

Dwudziesty drugi lipca to niby środek lata, a Warszawa zimna jak w marcu. Ledwie pół godziny leżałem w południe nago na dachu, spragniony słonecznego blasku. Komin domu zasłonił przed porywistym wiatrem, który dziś wieje od Huty, niosąc w niemal mroźnych powiewach smród węgla i żeliwa. Szczęśliwie okna pracowni wychodzą na przeciwną stronę Żoliborza, zresztą pachnie farbami, że nie czuć smogu.

Zszedłem do siebie, pod dach, zacznę pisać już po raz trzeci do Ciebie. W maju skończyło się na paru lirycznych linijkach, a parę dni temu przeszkodziła mi zapaść psychiczna, która zanika w pamięci, istnieje jak powidok; cierpienie było w przestrzeni głowy, bo przecież nikt mnie nożem nie dziabnął, głodny nie byłem. Zatem? Tracę czas cierpiąc, to egoistyczne zajęcie, trzeba więcej przebywać z roślinami, dziećmi i niebem. Z tym, co **jest** ufne wiedzą istnienia.

Więści od Ciebie wprawiły mnie w zamieszenie. Szczerze pisząc, a właśnie to zamierzam, nie mogę się połapać, chociaż biegam szybko. Jakże to? jeśli Twoje zamiary prawdziwe, to wszystko przestaje tu cokolwiek znaczyć.

Daleko skacze? Ależ oczywista, wyciągam z Twego przesłania wnioski praktyczne. Jakby zarwała mi się winda pod nogami; poleciałem w dół, prawda? Oczekiwanie na wstrząs i rozbiecie? Nic nie nastąpiło, poza tym, że nadal lecę i wcale nie w dół, gdzieżbym śmiał. Swobodna grawitacja, dobry napęd, kierunki umowne. Nawet nie ma o co rozbić głowy, tak się zrobiło przestronno. Nie wiem dlaczego, wiem tylko jak. Bardzo.

Myślałem że jestem nasieniem stamtąd, że gwiazdna jest moja ojczyzna. Twoje wieści wydają się sugerować, że jestem nasieniem

stąd, że gwiazdna jest moja ojczyzna. Nie odnajduję swego początku w wymiarach czasoprzestrzeni. Zaczynam się zupełnie gdzie indziej. Rodzę się teraz.

Żółty zeszyt, w którym piszę, posłuży zastosowaniu się do Twojej życzliwej porady; a ponieważ mnie do pisania skłaniasz - stajesz się adresatem.

Nie czuję się mądrze. Patrę na płomyk świecy poruszający się w przeciagu, powolne ściekanie stearyny, płynne układanie się jej na świeczniku i poniżej na drewnie stołu w melodiach zwierząt Pink Floyda z głośników. Księżyc wychodzi z pełni przedwczorajszej srebrny, otoczony obłokami niosącymi od północy szybkie chłody i deszcze. Zrobiłem pranie.

Chętnie przebywam myśleniem z Anną, to nawet nie myślenie, a poczucie obecności. Piękny kwiat, który właśnie rozkwitł. Żadna kobieta nie zachwycała mnie tak szczególnie: radość, jaką ma w sobie, głęboka prostota życia, fakt, że wszystkim potrafi się cieszyć. Zatrważająco przy tym wątła, nie znosi ciśnienia psychicznego, nie umie pracować, nie pracuje nad sobą.

Zbieram się do wyjazdu z Warszawy, mam z tej okazji więcej gości niż zwykle. Opowiem wczoraj; ciągle będzie wczoraj, bo dzianie się to nie pisanie. Wróciłem z miasta z Piotrem, który mi robił wystawę w Pałacu; fajny człowiek, swobodny, rozmarzony; doprawdy nie pojmuję co go tak precyzyjnie na kwadratowo ociosało, przybrało w języka na głowie, prostokątne okulary, zawsze szlachetnie szary garnitur, białą koszulę i krawat.

Parzę herbatę. Pukanie do drzwi. Otwieram i oto stoi przede mną coś okrągłego, rumianego, i chichra się niemożliwie. Przedstawia się jako Tereska, przysyła ją kolega malarz Marek z prezentem.

- Jaki to prezent? - pytam, zapraszając do środka.
- A czy ja mogę zdjąć spodnie? Bo mi tak strasznie ciasno rozmawiać.
- Możesz - śmieję się, a Piotr głupieje. Panienska ściga spodnie, siada na materacu, zaraz też wyciąga się na nim swobodnie, lekko

poruszając biodrami. Nie chce herbaty, akceptuje wino.

- Już możesz powiedzieć, co to za prezent?

- Pieprzniczka - odpowiada chętnie, kładąc dłoń na łonie. Łono jest osiemnastoletnie i wdzięczne, chociaż grubo ciosane, bez talii; pasowałoby do Piotra, ale ten dopija herbaty parząc wargi i zmyka. Tereska śmieje się bez przerwy, to najlepsze co potrafi, kochane dziewczęce stworzenie, kurewskie i wstydlive, bezczelne i lęklive, wrażliwe i głupie. W trakcie kochania jej twarz przybierała jakby azjatyckie rysy, czy wietnamskie.

Również wczoraj późnym wieczorem z wizytą Ewa, Konstancja, Dorota i oba Tomki; tacy wszyscy fajni, wdzięk młodości, swobody. Zabawne reakcje Tereski, dziewczyny z ludowej Pragi, na widok osób tak kulturalnych - to jej określenie.

Zabawna scena w poranku - wysyłam ją do sklepu po mleko, pieczywo i sery na śniadanie, mam tylko banknot 500 złotych, bierze go patrząc mi w oczy, widzę co ma myśli, wybucham śmiechem. Z pewną dumą przynosi żywność i kładzie na stole pieniądze. A po śniadaniu wyznaje, że jeszcze nigdy nie brała do buzi, więc dostaje i ssie i uczy się zapamiętane. Żeby wspomnieć jeszcze:

- Czy ty masz z tego jakąś przyjemność? - pytam.

- Ech, czy dziewczyna musi wszystko wiedzieć?

Ostatnio codziennie odwiedzam przyjaciół, chodząc po Warszawie piechotą, nie unikając wielkich dystansów, z flaszką wina i kamerą w torbie. Mogę Ci wszystkich pokazać, których tu spotykasz w słowach.

Dobra rozmowa na Nowym Mieście z chłopcami Hari Kriszna. W cywilnych ubiorach, żeby ich nie pobili łobuzy, co niechybnie by nastąpiło, gdyby paradowali w żółtych szatach. Podeszli do mnie, żeby sprzedać lub choćby podarować zeszyt, wydrukowany zresztą po polsku. Emisariusze nowych religii i nowych przesądów - szukają życia w prawdzie.

A dzisiaj polskie święto i jestem sam z tej okazji, tutaj i z Tobą. Człowiek naprawdę uczciwy ma w życiu jeden cel: chronić, rozwijać,

pielęgnować życie. Czy tak pojęta uczciwość jest do pogodzenia ze schabowym, pół litrem, patriotyzmem przy okazji gola, całą szumiącą dookolnie cywilizacyjną pianą?

Roślina, drugi człowiek czy zwierzę zajmują, w miarę wpływu lat mego spóźnionego dojrzewania, taką samą pozycję, są na równi ze mną. Rośliny zupełnie nie kłamią, kocham je. Z ludźmi jest trochę ciężiej, ale przecież nie jestem zainteresowany, jak kłamią, albo - jak usiłują mówić swoje biedne prawdy. Odczuwam ich wyraźniej poza opowieścią.

Na sztalugach ostatni malowany w Warszawie obraz, przeznaczony dla Wandy. Jeszcze parę godzin i skończę, mam z nim sporo zachodu; jakbym zbyt przywiązywał się do tego, co już jest na płótnie; że niby jest fajnie, ale żeby było lepiej. Ale to trochę wymaga żywego procesu, żeby być, ciągłej zmiany, a nie przytrzymywania się przy tym, co dokonane. Nie przywiązywać się do niczego - tak w przeżywaniu jako i w malowaniu. To bolesne, ale staje się prawdziwe; niełatwe, ale zapewne mi dane - przeżyć wszystko.

Cieszyłem się z byle czego.

Cierpiałem z potrzeby wzruszeń.

Los mi wskazuje milcząco

na odrodzenie we wszystkim.

Tęsknię dziś do zapachu żyta, który tak bujnie wieje nad miejscem planety gdzie jestem, w środku chłodnego lata i Europy, całkiem stąd niedaleko, zaraz za tym smogiem. Pragnienie lotu do gwiazd?

I oto świta 23 lipca. W dole za oknem aż do horyzontu jest bezmiar zieleni warszawskiej, połyskujących w niej dachów wśród mgły i czegoś, co mnie przerasta.

Poranek zastaje mnie przy przesadzaniu kwiatów, dziewiętnaście zielonych znakomitości; ciekawe, pożyją długo pod opieką innych?

A teraz zmierzcha się, to najbardziej czarowna pora doby,

kolory intensywnieją, zanim rozplyną się w mroku. Czy podobnie jest z życiem? Przerывam malowanie na posiłek.

*Poczucie braku, Nostalgia nieokreślona
która oznacza bezmiar.*

*Jestem mieszkańcem pustki,
domownikiem energii.*

*Na progu zatrzymał się lęk i ból,
nie ma wstępu dla myśli.*

*Tu jest ojczyzna niczego,
wszystkiego.
Spotykam w niej małe dzieci, kolory, rośliny.*

Wciąż maluje się obrazek dla Wandy, niesiony na odrobinie, na jednym płatk śniegu. Kolejne przezroczyste warstwy coraz ciemniejszych błękitów; może jest już skończony? W moim obrazie często idzie o to, by skończyć nieskończone.

Wiesz? Mam za parę dni urodziny. I ruszam stąd wkrótce w nowym roku życia. Moja miła nie chciała dopuścić do sytuacji, w której zostałyby w Warszawie sama. Uwinęła się i nawet wyjechała wcześniej - do Amsterdamu, gdzie mamy się spotkać. Lubię to miasto, mieszkałem tam przed paroma laty i dobrze się czułem jako grafik; lecz teraz, kiedy stałem się malarzem - jakże się z płótnami pomieszczę w misternej amsterdamskiej ciasnocie?

A jechać trzeba, jeszcze nigdy nie mieszkałem w jednym miejscu dłużej niż dwa lata, tutaj więc terminu również nie przekroczyć. Jestem jak mój oleander - zabrałem go przed dwoma laty z miejsca gdzie marniał, w nowej doniczce poczuł się ze mną znakomicie, wyrósł i zakwitnął. A teraz trzeba go znowu przesadzać, już ma ciasno, w obecnej ziemi może wegetować, lecz nie rozwijać się. Na wegetację sobie nie pozwolę nigdy. Więc gdzie mnie los poniesie? Niech sprawi,

że nie będzie dla mnie odpoczynku, że płonąc ywewnątrz przezroczysty ogień będzie przeze mnie wiał do i dla innych.

*Nie rozpoznaję własnej twarzy
i nie wiem, skąd przychodzę.*

*Jestem z pobliza: wiatr i górski orzeł
nazywają mnie bratem,
to znów błyskawica
rozświetla drogę.*

*Przebyłem czas, widziałem z drugiego brzegu:
formy nie są tym, na co wyglądają,
a ludzie noszą w sobie nasiona zwierzęce.*

*A jednak spotykam - bez przerwy, bez reszty - Ciebie,
grzeje mnie Twój blask.*

*Jak delikatnie
prześwieca przez kwiaty jaśminu, czuwające obok,
przez oczy kobiety, gdy staje się ze mną.*

*To wibracja początku,
migotanie iskier,
chłód nocy, stąpanie niepodległe
znikąd do nikąd -
wszechmogący płomień.*

Długo pisał się wiersz, dochodzi północ. Obraz zmienił się w tych godzinach, jest bardziej wyraźny. Parokrotny spazm wzruszenia, beztrósko wsparty o wilgotniejące oczy.

Tęsknię do kobiety albo wspominam Annę, jej rumieniec, sutki, delikatną rosę wstępującą na czoło, wilgotność rozkoszną i blask w oczach, gdy nadchodzi orgazm.

*Czy wiesz?
byłby z ciebie piękny jeź!
Lecz nie masz żadnych igieł -
dlategoś szczygieł?*

25 lipca zaczął się na zegarze. Ludzie zachowują się w życiu i mówią o nim, jakby wiedzieli. Oni jedynie wierzą, że wiedzą. A wiara, zdolna przecież góry skaliste przenosić - rzuca ludzkie pyłki na pastwę wielkim wiatrom.

Jak to jest ze mną? ja nie wiem, wyznaję szczerze, wyczuwam jednak w sobie miejsce, z którego promieniuje światło. Miejscem jest świergot wróbli na dachu, szum przejeżdżających aut, cokolwiek: starzec kuśtykający po gazetę do kiosku, koza skubiąca wyschniętą murawę, kawał skały porzuconej przez boga pod domem. Wszystko promieniuje, gdy się jest w stanie łaski. Stan towarzyszy jak niebo nad głową, nawet gdy o nim zapominam niemrawo gapiąc się w sufit. To nie jest stan wewnętrzny, ale nieuchronny. Przesłanie Twe, Przyjacielu, rozjaśnia mnie jeszcze bardziej, już prawie boleśnie.

*Nie,
nie jestem przebudzony,
daję się ponieść snom
dokąd zdążają.*

*Daję się widzieć, tęsknić,
ach! tęsknię żarliwie i nie wiem do czego,
lecz jest to coś prostego i dotkliwego
jak wiosenne gałązki w słoiku,
preludium organowe Bacha,
coś
prostego jak życie, które śnię
w przeczuciu,
że czeka mnie przebudzenie.*

Domyślam się kształtu mojego do Ciebie pisania. Kształt ma na imię worek. Zapiski dzienne i nocne, sny i wiersze, spotkania i pożegnania, wszystko co niesie przepastność istnienia. A wszystko to jest marnością. I gonitwą za wiatrem. Czy to nie ostrzeżenie? Daruj, nie wysilam się, żadne znakomitości formy czy polotu nie wchodzą w rachubę, nie mam na to czasu.

A zresztą, jeśli rozumiesz konsekwencje nowin - rozumiesz także, że wszystko w moim życiu się porozplątywało, zrównały się porównania, rozpadły hierarchie, wartościowania, nadzieje.

Przecież nie mogę mieć żadnego pojęcia czy wyobrażenia o tym, co jest dla Nich istotne - procesy trawienne czy procesy sądowe? skład chemiczny manny z nieba, czy zawartość skrobi w fobii? Wszystko jest zatem równoprawne i niepodległe, co - zapewniam Cię z oddaniem - będzie korzystnie karmiło mój humor.

Odwiedziłem też dzisiaj Marysię i Jana. Dobrzy, mili i sympatyczni - ot! jak zwykle! ale naleśniki z konfiturą wiśni - oto co niezwykle. Do herbaty ciekawa rozmowa o czasie. Że, chociaż w czasie przecież rodzimy się i umieramy, to go właściwie nie ma. Że to jest tylko produkt uboczny życia. Jan, nerwową dłonią przynaglając brodę, żeby szybciej rosła, podjął nawet próbę skonstruowania fizyki bez używania pojęcia czasu. To bodaj Ouspensky, że czas nie jest warunkiem istnienia uniwersum, że jest warunkiem postrzegania uniwersum.

Zadzwoń do Marka K, dziękując za prezent Tereski; ostatecznie nasze spotkanie było dlań ciężkie. Jest dobrym człowiekiem jako i malarzem, ale niekiedy podnosi się w nim straszny mieszcuch i zagania do życia w którym trzeba się lękać, grać rolę, pić i mieć problemy. To karma! Nie dziw się więc, że czasami muszę nań krzyczeć. Sam daje prawo, wymyślając mi od geniuszy.

Wczorajszym popołudniem wizyta Danusi, och, jakże było niezręcznie i sztywno! Upuściła coś bez powodu na dywan, schyliła się, żeby to coś podnieść, uklękła, oparła dłoń na jego kolanie, znieruchomiała na chwilę. Powoli i delikatnie przesunęła dłoń do góry, pochylając się przy tym i dotykając ustami do jego kolana. Nie poruszył się, dłonie wsparte na udach, siedział na krześle swobodnie z lekko rozchy-

lonymi kolanami, między którymi klęczała. Jej połyskujące w słońcu włosy opadły, przesłaniając twarz i dłoń. Nie poruszał się, martwiało całe ćwierć sekundy w paraliżu różowym i sinym. Czuł po wewnętrznej stronie kolana jej ciepły oddech, przesuwający się ku górze, przenikający przez dzinsy. Dla podkreślenia niewagi sytuacji z radia leci majestatyczna muzyka, harmonizuje się z szumem aut pod oknami, warkotem helikoptera nad domem, lotne glissanda polśniewają między jednym a drugim uderzeniem serca. Jej dłoń zwalnia nacisk na udo, aby przesunąć się wyżej, oddech i serce, muzyka. Wstrzymał się jej oddech gdy jego dłoń drgnęła, uniosła się w kierunku stołu, sięgnęła po papierosa ze świeżo rozdartej paczki, wyciągnęła go i skruszyła obracając w palcach. Ciut zeszytniała, uniosła głowę, cofnęła dłoń. Podsunął jej papierosa, podał ogień, usiadła na krześle. Pełna dyskrecja, chłód w istnieniu. Kobiecości oblepiającej nie umie podolać. Nawet pisze Ci o tym w trzeciej osobie.

Jest w pół do czwartej, niebo lekko błękitnieje na wschodzie.

*To czas jest we mnie,
nie ja w czasie.
Wiele pamiętam narodzin,
wciąż widzę nowe.
I tyle śmierci.*

*Teraz okazują się zasłoną unizaną z paciorków
kolorowych codziennych faktów.*

*Prawdziwe życie jest gdzie indziej,
nie zawiera się w wydarzeniach,
niedotykalne,
a przecież troskliwie prowadzi.*

Przeczuwam, że przyszła wielka twórczość, która wyprowadzi narody z domu niewoli, z nędzy duchowej, będzie się jakoś wywodziła z nauki. Mistycyzm w laboratoriach? Ach, gdzież jest teoria pola?! Jednolita, koherentna, praktyczna!

Pięknie wstaje słońce. A człowiek się kładzie.

Ach, w międzyczasie zrezygnowałem z możliwości pomieszkania w Kopenhadze. Pewnej nocy czerwcowej gościłem w pracowni parę osób z duńskiego teatru, powiadam Ci, zadziwiające jak dobrze się rozumieliśmy. Grażyna przyszła z nimi, może teraz leży gdzieś w trawie, wypatrując, czy będę przechodził. Mówiłem im o planach wyjazdowych, i dziesięć dni później dostałem piękne oficjalne zaproszenie, zapewniające wszystko, czego malarzowi do szczęścia potrzeba: wystawa, miejsce do pracy czyli jakieś atelier, dobre towarzystwo.

Nie pojedę tam jednak, znam nieco to miasto. A że poznałem tych dobrych i rozumnych ludzi? Jestem wilk i samotnik, chodzę własnymi ścieżkami, nie jestem przygotowany do dzielenia życia z innymi. Jeszcze nie. Pozostaje to, co najbliższe, ciekawe i zapewne trudne, Zachodni Berlin. Byłem tam parokrotnie - zawsze jakby po drodze i na krótko. I zawsze wstrząsająco.

W czwartek 27 lipca jest nieco cieplej. Życie przyśpiesza w przygotowaniach do wyjazdu. Co było wczoraj? Naprawiłem ząb! Pierwszy, bo jutro będzie następna wizyta. Wychodząc od dentystki spotkałem poetę Antka poznanego niedawno gdzieś w tłumie. Poszliśmy do herbaciarni Gong w Alejach i zajadaliśmy się lodami gawędząc o śmierci, napawając się radośnie naszą wspólną niewiarą. Czy dotrwa ona do śmierci?

Potem poszedłem do Tomka i przewieźliśmy do pracowni rzeczy Anny. Pojawiła się tam Beata ze swym chłopcem, lecąc ostro czymś napowietrzonym, ani chybi speedem, bo Piotruś gadał aż do wystąpienia piany na ustach. Mam dodać, że o niczym? Ależ proszę, ależ pro... Wkrótce był też Marek z gotową opowieścią o statusie społecznym i obowiązkach jednostki, czego nie popieram, chociaż rozumiem, że nie czuje się dobrze, będąc jednym z powodów mojego wyjazdu. Cóż, atelier jest jego własnością, wynajął je na czas jakiś, teraz chce sam w nim pracować. Był także drugi Marek z Martiną sympatyczną dziewczuchą z Hamburga. Chałupa pełna gwaru. Nocą podwieźli mnie do centrum, odwiedziłem Beatkę i dzwoniłem od niej

do Amsterdamu, do Anny. Przemilczeć wiejący w rozmowie zapach nieporozumień i nieufności.

Zafrapował mnie sen, śniła bowiem, że miała mnie w swoim brzuchu, ale inaczej niż to zwykle (niezwykle!) bywało, bowiem mnie rodziła.

Wróciłem do domu o ósmej rano, wykąpałem się, ogoliłem i pojechałem do Urzędu Konserwatorskiego, aby prosić o zezwolenie na wywiezienie mych obrazów z Polski. Przyjechał ze mną młody człowiek Andrzej, pieczętował obrazy, spisywał dokumenty, pośpiesznie rozmawialiśmy o sztuce, sensie, życiu. Teraz godzina czternasta. Od dawna nie spałem ani nie jadłem, sporo wina. Nie, nie idę do łóżka. Idę na dach. Na słońce, na całość.

28 lipca; obudziłem się słaby po szesnastu godzinach snu. Czuję się podle, opuściła mnie energia, kątem oka widzę jak z kątów porozumiewawczo mi migoce brzytwę.

Nigdy ci nie zapomnę, jak ukrzyżowałeś Jezusa.

*Przez twoje zniecierpliwienie w tramwaju, wrzask
pijacki na dzieci, plotki, a nawet
przez twoje zachwyty, orgazmy, premie
za wzorową pracę,
także
przez jęki w szpitalu, gdzie zdychasz na raka,
i przez szum morza przetwarzany w głowie,
przez przemówienie, modlitwę, pokraczną piosenkę -*

*słyszę
chrapliwy oddech człowieka,
widzę
przemglone światło agonii człowieka,
wącham jego skrwawione i wciąż jeszcze
drgające w konaniu*

*ciało,
mięso uniesień, błyskawic, wzruszeń.*

*Nie moją sprawą jest osądzać, wybaczać, rozgrzeszać,
gdyż nie wiem czym jest zło dobro i całe twe pojęciowe gówno.*

*Nie zapomnę ci tego,
co wszędzie widzę, doświadczam, czuję i dotykam,
co jest rozmazanym dreszczem, lotnym spazmem!*

*Nie, nigdy ci nie zapomnę
jak krzyżujesz Jezusa.*

Niespodzianki słowa z pianki! Zapisałem wiersz o poranku i zupełnie o nim zapomniałem jako i o moim wisielczym humorze. Pojechałem z paszportem do ambasady niemieckiej złożyć wnioski o wizę, potem jeszcze raz do Urzędu Konserwatorskiego po odbiór papierów, do Desy w sprawie wyceny wywożonych obrazów, do Ministerstwa Finansów po informacje celne, do dentystów wyzebrać na dzisiaj wizytę, znowu do ambasady po odbiór wizy. W barze na Saskiej Kępie, gdzie wstąpiłem na posiłek po drodze, spotkałem brata Anny, rozmawialiśmy o niej ze szczyptą niepokoju, bo przecież jest w Amsterdamie bez forsy, pewnie już także bez wizy. Ciekawe, czy ma chłopaka. U mnie obrodziło w romanse, prawda, że raczej niewesołe, seks bez miłości wydaje się głupią zabawą, porównywalną do alkoholowego tripu.

Po drodze zaszedłem nad Wisłę, aby moczyć stopy w wodzie - może po raz ostatni w życiu! - i siedzieć w słońcu godzinę. Mostem Poniatowskiego na drugi brzeg rzeki pod prąd wiejącej w twarz rozgrzanej samochodowej lawiny; przez Powiśle i park na ulicę Kubusia Puchatka, gdzie pani dr. Malanowska połatała moją górną szczękę. Należę przecie do pokolenia chrupawczaków! Wyszedłem z objęć fotela na ulicę wprost na przyjaciółkę Ewę; razem poszliśmy do Jarka na herbatę z rumianku i pogawędki pożegnalne.

Teraz kończy się dzień, kończy się też kolejny rok życia. Cierpię chwilami dotkliwie i nie wiem dlaczego. Trzeba to pojąć! Trzeba uczynić cierpienie materią lotną jak zachwyt, szczęście, miłość.

Trzeba też pospać. Położę się głową do wschodu i obudzi mnie słońce.

Ciekawe u Junga: *"człowiek rośnie odpowiednio do wielkości swojego zadania, ale musi być do tego zdolny, w przeciwnym razie nie pomoże mu najtrudniejsze zadanie."*

I:

Wstąpić w trawiący wszystko płomień nieśmiertelności.

Stać się tym, czym się naprawdę jest.

30 lipca. Och, jak źle się czuję dziś od rana, Przyjacielu. Piszę Ci tutaj co piszę, jak leci, zgodnie z danym sobie przyrzeczeniem, w pośpiechu zgola szalonym. Z Berlina nadal nie ma wieści co do ewentualnego transportu obrazów, farby dzisiaj już spakowane i boli mnie głowa, środowisko zdaje się beznadziejnie przepalane. Jakby się odgrywała płyta sprzed lat. Te same melodie, to samo odczuwanie. Tyle przeżyłem, tyle się narobiłem - a wciąż ten sam szloch, cierpienie bez powodu. Samotność? Ach, bez etykiet! Nie wiem jak to się nazywa, i taka wiedza jest mi zbyt cenna. Kiedy poruszam się w lewo lub w prawo, kątem oka notuję błysk - śledzi mnie jakieś ostrze?

Stoję przy oknie, spoglądam na miasto. Wiesz, pracownia jest na jedenastym piętrze, mam stąd widok na całą Warszawę - ale nie wiem, kto patrzy, co widzi, o co w tym wszystkim chodzi.

*Któregoś dnia trawy uniosą się w słońcu,
wiatr nas rozwieje i zamieni w przestrzeń,
już nie będziemy rozpaczać i tęsknić,
trawy zaszumią nad nami,
i nie będzie łez.*

Dojrzewam powoli, coś jest zdecydowanie zapóźnione w życiu. Nie dałem sobie jeszcze czasu na rozważenie losu. Nie do wiary,

Przyjacielu - nie mam czasu dla siebie! Cóż to takiego mnie pędzi? Dlaczego tak przejmująco ostro? Doprawdy - jest tyle, ile potrafię znieść, ani szczypty mniej, ani chwili spoczynku.

Zapewne, sonda kosmiczna będzie informacyjnie pełna, jeśli doświadczę wszystko i przeżyję Wszystko. Ale skąd ten pośpiech? Ku śmierci?

Ale przecież wiem i czuję dotkliwie: mam z siebie coś dać, a wciąż nie jestem urzeczywistniony, wciąż nie jestem w pełni. A co oznacza niespełnienie? Że dni się zmieniają w epoki mijające w mrozie. Takie przestrzenie rozświetla tylko miłość, ale pisząc te słowa jest mi jakoś mdło; wciąż jestem odczuwaniem z Anną, chociaż serce wie, czego nie dopowie.

Chcę znowu spotkać kobietę, którą pokocham, której spędzę dzieciaka, chcę życia w pokoju i przestrzeni rozległej.

*Chcę być jak człowiek, chcę znowu chcieć!
Osiągać, porzucać, rozczarowywać się,
podlegać zaczarowaniom -
i stąpać na oślep!*

*Tak, chcę cię rozpoznać, kobieto
zaledwie przeczuwana w dreszczu lata.
I żeby z okien naszego domu widoczny był czas
niepodległy.*

*Wśród świerków wzgórze tam zbiega ku morzu,
szum fal zestrąja się z dzwonkami i beczaniem owiec,
nasze dzieci krzyczą nie do zniesienia,
strząsając kasztany,
wołając o mleko.*

Co znakomicie czyni moją sprawę otwartą, Przyjacielu, to brak strachu. Nie wiem, czy kiedykolwiek się bałem? Miałem trzy lata, kiedyś ojciec powiedział wieczorem, abym przyniósł zza stodoły wiązeczkę grochu mamie do łuskania. - Żeby cię tylko strachy nie zjadły - dodał żartobliwie.

Pobiegłem beztrudnie przez podwórze jasne od światła okna, ale zaraz za furtką zatrzymałem się. Ciemność i tchnienie nieznanego w przegromnym świetle, wzmożona słyszalność wszystkich dźwięków nocy. Stałem przytulony do desek stodoły dopóki oczy nie zaczęły widzieć wyraźnie w mroku, serce uspokoiło się. Wiązka grochu zatrzeszczała sucho, dlaczego znowu zamarłem w bezruchu? W silnym powiewie wiatru przeciągle zaszumiała brzoza opodal, i ten szum jakby porwał mnie i roztopił w obecności nocy, stałem się falą niesioną w mrok, bezgranicznie otwartą, radosną. Gdzie tu miejsce na strach?

Dziewiętnasta na zegarze. Oczekuję przyjaciół, którzy pomogą mi zawieźć do Wandy parę doniczkowych kwiatów i obraz jeszcze mokry, jak jagnię świeżo narodzone, równie dla mnie czuły.

Świat mieni mi się połyskliwie, zdarzenia i fakty przeżywam w tysięcznych wariantach, mimo iż tak proste. Oczyścić ten gigantyczny śmietnik zwany wyobraźnią. Życ samym życiem, rozprzestrzeniać się jak ono bezkresnie, bez szumnej piany i wizyjnych mydlin.

*Mój ogniu wewnętrzny,
prowadź mnie jasno i śmiało
przez kraje,
ludzi
i przemiany losu.*

*Ty, który wiejesz swobodnie przez wszystko, co widzę,
wywiewaj z mego życia resztki pomysłów na życie,
ach! więcej przez nieskończone
i płoń
nieskończenie.*

Przewiewasz mi tę stronicę, nie rozeznaję się w słowach, wszystko mi w oczach tańczy śmiele, mam chyba znowu gorączkę, dopada mnie wieczorami i spala. Mam nadzieję, że to od przeżyć, nie prątków.

Warszawa się perli za oknem szara i różowa o zmierzchu. Tak mało jest wokół miłości. Nawyki, pamięci, nadzieje i oczekiwania, użerania się z losem. Wszystko im wystarcza. Im, moim sąsiadom.

*Uwolnić się od tego.
Być wiatrem, wiać aleją, szumieć,
pachnieć, wiedzieć, nie rozumieć.*

Nocą zaś, już po wizycie u Wandy i długim spacerze z Gagarina na Krakowskie Przedmieście - jestem u Jarka poety malarza.

Siedzimy przy stole we wnęce okiennej, miejsce do złudzenia przypomina przedział kolei transsyberyjskiej, gdzie poznaliśmy się w poprzednim wcieleniu, jak teraz, w podróży - uprawiał bowiem wtedy, jak teraz, poezję, czarny przemyt, białą magię, i czynił barwnym szare życie.

*Mówimy o duchach wiatru, miłości, pokoju.
Rzeczy są jawne, przemijają przed nami.
W pobliżu są burze i dzieje, gwiazdne galarety,
zjawiają się niestworzone historie
o stworzeniach z krwi i kości.*

*Zawsze znajdzie się ktoś, komu objawił się bóg
i na użytek chwili się przebrał w jaskółkę lub jabłko.*

*Jest tęsknie i śmiesznie, śmiejemy się z siebie,
wskazując palcem na nikogo.*

Konstancja, Ewa, Tomek i ja tworzyliśmy barwny widok w autobusie z doniczkami w dłoniach, oddzieleni od publiczności pokaznym kawałem 'przestrzeni międzygwiazdnej', tak bowiem nazywa się obraz, który Wandzie podarowałem jako błękitne echo minionej miłości.

Bardzo cudny i zasadniczy synek Wandy, Sebastian, muszelka niewielka i przedziwnie żywa.

O świcie zaś, notuję dla porządku, że to 31 lipca, leżę w trawie na skarpie za Warszawskim Uniwersytetem. Słońce już wzeszło i

oświetla czuby drzew kołyszące się w wietrze. W dole za nimi jest jeszcze parę ulic ledwo mających me mgłę, a dalej szara i kochana Wisła.

*Drżenie listków topoli przejmuję mnie dreszczem.
Jestem.*

Popołudniem powietrze zabarwione jest złoto i ochrowo. Spałem parę godzin w trawach i wietrze, szczęśliwy jak niegdyś w niezmiernych stepach. Teraz przyszedłem do kawiarni Związku Literatów, piszę, pijam herbatę.

Wyjąłem ten zeszyt, bo miałem Ci coś ważnego do komunikowania, ale rozproszyło się - może dlatego, że siedzę naprzeciw Kazika, Poety Tragicznego. Wygląda jak upiór zrobiony z woskowego ciała. Prawe oko wbite w głąb, przymknięte, twarz lśniącą od cierpienia i błąda, udręka niepodległa.

Kiedyś dawniej udawało mi się go rozśmieszyć, lecz teraz... teraz jest w nim tyle nienawiści do innych, że zaledwie toleruje mnie milcząco i bez złośliwości, którą normalnie wprost rzyga wokoło. Też coś skrobie w swoim kajecie, ani chybi bierze kąpiel w wannie pełnej krwi. Patrzymy chwilę na siebie, nie mruga powiekami, ja to mam od medytacji a Kazik? Pijany wódą i alkoholem autodestrukcji. Nawet mu współczuć nie można, bo przecież męczeństwo wybiera. Ośmielałem się zagadnąć go okiem kamery, **także** fotografuję Basię poetkę; wygląda dramatycznie po trepanacji czaszki, dlatego o portret prosi.

Dziś wieczorem ma dzwonić Michael, berliński przyjaciel. Trzy lata temu miałem w jego galerii wystawę grafik, która cieszyła się dużym powodzeniem. Był tutaj wiosną - oznajmił, że ma dla mnie pracownię.

Kończy się dzień 1 sierpnia. Dzisiaj się urodziłem trzydzieści osiem lat temu. Dokładnie w godzinę urodzin, czyli za kwadrans jedenaście byłem na szosie - oto jak lubię celebrować święto! - i przyjecha-

łem autostopem na wieś do rodziców. Jak tu inaczej. Inny jest kolor, zapach, wibracja. Wróciłem ze spaceru po zroszonej łące.

Jakże muzycznie jest tu, na wsi!

*Jak fioletowo
snuje się wibracja gałązek w wietrze,
orkiestracja psich nawoływań, wrzask gęsi,
rżenie konia,
który z rozwianą grzywą
grzmiąc kopytami zawraca wprost w moje dzieciństwo
- jakże niebiesko!*

*Nie, nie jestem człowiekiem -
mam więcej wspólnego
z życiem.*

Doprawdy, nie wiem skąd się pisze powyższe stanowcze. Oczywiście, że jestem człowiekiem, chociaż Twoje wiadomości nadają mi w samooglądzie wygląd nieludzki. Urodziłem się z kobiety, mej matki, a spłodził mnie mężczyzna, mój ojciec. Tu, gdzie teraz jestem: zielona wieś w lekko pofalowanej ziemi lubelskiej. Nawet mały strumień płynący przez łąki zna mnie tu wybornie. Odgłos pociągu, wieża kościoła w zapadającym mroku przezroczyście, prosto i zwykle.

Więc może to dobre miejsce dla sondy kosmicznej?

Cała rodzina zadowolona, że przyjechałem raz jeszcze, żeby się pożegnać. Miłe gawędy z rodzicami o moim dzieciństwie. Opowieści. W przeddzień porodu rodzice pracowali zwożąc zboże z pola, mama do wieczora układała wielkie snopy mieszanki w zapolu; lato było udane i zboże wyrosło na podziw. Gdy obudzili się rano, mama powiedziała:

- No, Janek, jak żniwa to żniwa! Zaprzęgaj Gniadego do woza i jedź do Niedrzwicy po akuszerkę, bo ktoś się na ten świat wybiera.

A kiedy się urodziłem, mama opowiada z uśmiechem i gestem zadziwienia, pierwszymi jej słowami były: - Jaki on brzydki! - Od tamtego dnia się cieszy swoją pomyłką. No i jestem.

Natomiast moja wyprawa na dotknięcie nieznanego - czyli po wiązkę grochu - odbyła się na trzy sposoby; pamięci matki i ojca różnią się od moich. Mniejsza o to, nie chcę, by pamięć wpychała się w teraz. Jestem mianowicie w swym rodzinnym domu i, jeśli pozwolisz, pożegnaj Cię na dziś. Chcę po prostu pobyc.

Głęboka noc. I jakże spokojna. Nie chce mi się spać. Wczoraj Michael powiedział telefonicznie, że jego znajomy wyraża ochotę, aby przyjechać po mnie i moje obrazy, czyli harmonijnie układają się sprawy. Rodzice wspominają Anię z miłością. Pokazali mi fotografie, jakie tutaj robiłem przed rokiem w trakcie zabaw z dziećmi. Co się z nią dzieje? Z kim się kocha w te piękne noce? Czy się jeszcze naprawdę spotkamy?

Tak się od siebie różnimy! Łączy nas miłość życia, kochamy, nie lubimy nikogo i niczego krzywdzić. I wiemy o tym! Natomiast nie łączy nas praca. Ani poznanie. Nie łączy nas - ach, dosyć! jej sposób życia nie daje mi szansy. Nie mogę być z nią, czyli trwać w bezradności wobec faktu, że przestaje rosnać. Ta piękna róża zapewne potrzebuje już innej doniczki.

Patrzyłem dziś długo w zachodzące za linię drzew słońce, widziałem jego kolor zmieniający się z żółci poprzez oranże do rozżarzonej matowo czerwieni. Wyraźnie i pewnie moje ciało poczuło, co jest - powolny ruch obrotowy matki ziemi wokół własnej osi, majestatyczne odchylenie się planety od słońca - w noc. Czy kiedyś poczuję jej ruch orbitalny? Pęd naszego układu słonecznego poprzez bezmiary Drogi Mlecznej? Kosmologia to przecież podstawa każdego szanującego się malarstwa.

Noc z trzeciego na czwartego, chce się piekielnie spać, ale parę zdań. Uściskałem w południe bliskich, ucałowałem staruszków. A to im się syn trafił! Przyjeżdża, żeby się przywitać, bo skądś przyjeżdża, to

znów przyjeżdża, żeby się pożegnać, bo dokądś wyjeżdża; niespokojny duch. Nie zwracałem im głowy, nawet nie wspomniałem, kim naprawdę jestem. Ani słowa o wiadomościach od Ciebie. Przecież by zamartwiali się, że zwariowałem. Wiesz, jak to jest na planecie rodziców i dzieci?

Wróciłem do Warszawy, jak pojechałem, autostopem, ze sto kilometrów czasu rozmawiając z chłopką, kobietą tak czerstwą, że nie wypada powiedzieć, że staruszka. Gawęda o bogu. Używała często Imienia Pańskiego, więc zapytałem, czy wierzy w boga. Oczywiście! A jak wygląda jej bóg, i gdzie jest, czy o tym myślała. - Panie, pewnie że ja myślała, ale nie taka głupia, żeby rozpowiadać.

Ja jej odpowiedziałem, że nie wiem, czy wierzę. Owszem, zdarzyło mi się doświadczyć boskiej obecności moim własnym życiem - ale, czy wierzę? Przecież gdybym miał boga, zaraz byłaby też nieboga, a mnie się nie wydaje, aby było i to, i tamto.

Popatrzyła na mnie surowo: - Ej, lepiej by się nie naśmiewał!

Z trawy podniosła się Grażyna, poluje przynajmniej na widok; przywitałem ją dziś tolerancyjnie, właśnie notując w zeszytach; zapytała, co piszę; odpowiedziała zagadkowo, jak czarownica potrafi:

- Książka może być napisana, jeśli popęlnia się jakieś zasadnicze kłamstwo. Wtedy cała reszta może być prawdziwa.

Wariatka nie wierzy w żadne wariactwa! bodaj nie uznaje Twojej obecności. Nie zaprosiłem do siebie; znużyła uwielbieniem, już nie dopuszczam; wyjeżdżam, żegnaj z zamiarem na zawsze.

W pracowni zastałem Marka, Bogusia z Trudą oraz jej synem z Kanady. Pysznic, sałata z ryżem, jazda do Doroni na party pod tytułem do zobaczenia, zaś o trzeciej nocą do Jarka, gdzie Danusia z Promyczkiem komponowały dla mnie prześwietną sukmanę, dwa rodzaje zgrzebnego płótna tkanego ręcznie przed jakichś dwustu laty, czysty i piękny łowicki haft na rękawach.

O poranku szedłem Krakowskim w stronę domu we wcieleniu wieśniaczo-rycerskim z jakiejś dobrej ery.

Jest pierwsza nocą. Jakie to natchnienie pogłaskało głowinę u Jana parę godzin temu? Że raz pierwszy w życiu identyfikuję się z tym, co robię. Pokazywałem przedtem utwory czy obrazki z pewnym zażenowaniem. Nie, że tak osobiste! Raczej w poczuciu / przeczuciu, że mi nie dorastają. Teraz mogę wskazać na każde moje płótno palcem i powiedzieć Tat Twam Asi, czyli: to jestem także ja.

Czy oznajmia to zmianę jakościową w mej pracy? Czy to raczej efekt uboczny Twego przekazu, w świetle którego nie ma dla mnie różnicy między myśleniem a zmyśleniem, prawdą i kłamstwem?

Co za dzień! Czwarty sierpnia, zatem piątek i od rana zgiełk. Bank i urzędy, zakupy papierów, sznurów, pakowanie obrazów. Straszny cug! Po robocie wpadłem dla relaksu do Marzeny i Marka, a tam po prostu dół i kupa nieszczęścia. Jan i Marek gdakają o dupie maryni, atmosfera zapadni w malutkim teatrze. No, wprost musiałem spierdalać. I zaraz chciałem wpaść do Magdy i Andrzeja, tam zawsze jest jasno i dobrze z kosmiczną energią. Idę na postój taksówek, a tu kolejka ludzi, więc dalej, i łapię łebka, który mnie podwiezie, jest to miły inteligentny pan, dorabia po godzinach. Na Marszałkowskiej wyprzedza nas biały fiat, a kiedy zmieniamy pas - zajeżdża nam drogę z lewej. Zwalniamy. Drugi wóz z prawej jest blisko, jakby ktoś komuś chciał się przyjrzeć, albo kogoś fotografować. Czerwone światła. Fiat wjechał na pasy dla pieszych, kierowca pociera lewą dłonią twarz, jakby się chciał przed kimś zasłonić. Oniemiałem wstrząsowo, czując, jaki potężny ładunek atropiny wstrzyknęły do krwi moje sekretne gruczoły.

Po minucie jazdy, gdy jeszcze podłączyłem do interpretacji zjawisk zły humor a może przeczucia Jana i Marka, rozmowę telefoniczną z Andrzejem, który dopiero co wrócił ze Stanów - pytam kierowcę, czy zwrócił uwagę na te manewry, na scenę jakby żywcem upolowaną w kryminalnym filmie.

- Tak - odpowiada - ale właściwie dlaczego ktoś cię śledzi?

Andrzej i Magda cudni, mam wrażenie, jakbym coś cennego dostał od nich na drogę. Przyrzekamy pisać do siebie, gdziekolwiek nas losy rzucą.

Tymczasem już szósta, trzeba mi trochę pospać, potem dokończyć pakowanie, zrobić ostatnie zakupy - nie zapominając o tytanowej bieli.

O trzeciej w nocy z soboty na niedzielę jestem wreszcie sam, obrazy spakowane po kolejnym dniu wytężonej pracy. Była cała gromada przyjaciół, dużo wina i dymu, lecz ja się cały czas krzątam.

A teraz zapaliłem świecę, aby przy niej popisać. I drugą, dla Anny. Przewróciła się, zgasła. I drugi raz to samo. Za trzecim razem płonie jako przepowiednia.

Dziwne foto zrobił mi Marek. Podejrzewaj! moja kamera pokazuje prawdę. W jaką to czarną dziurę patrzę w biały dzień?

Wtorek już ósmy sierpnia. Dokładnie dwa lata temu przyjechałem do Warszawy po pobycie w Amsterdamie i Sztokholmie. Jak to się składa i powtarza w niewiadomym celu. Znowu wyjeżdżam. Życie ma w czasie regularny puls.

Wróciłem wczoraj do domu dobrze po północy i z daleka zobaczyłem wielki szary wóz pomalowany zabawnie w górskie rajskie widoki, i usłyszałem głośno rozbawionych fryków. Szóstka! Mianowicie Richard i Rumpel z Zach. Berlina, oraz czworo autostopowiczów z NRD. Spali dziś wszyscy pokotem na podłodze w pracowni, nakarmieni i wykąpani. Wyjeżdżamy pojutrze rano przez Czechosłowację, bowiem Richard i Rumpel mają zakaz przejazdu przez terytorium NRD z wyjątkiem korytarza między Berlinem a RFN.

Jestem zmęczony i rozdrażniony, chyba nawet smutny. Tak niewyraźnie! Jakbym swą aktywnością chciał zatkać czarną dziurę? Już mnie tu prawie zupełnie nie ma.

Należę do nigdzie.

*Wywodzę się stąd, gdzie właśnie jestem,
z samego początku kosmosu, źródła, słońca, łąki.*

*Stawanie się
stało się
mną.*

To ostatnia już noc w Warszawie, chłopcy kierowcy już śpią, jeszcze z taśmy cichutko i rzewnie leci Quintessence. Nie czuję nic specjalnego przy wyjeździe, może ulgę, że nadchodzi zmiana. O niczym nie zapomniałem.

Jest coś czarownego w tej nocnej chwili, oświetlonej płomykami świec na ławce nad głową, w poczuciu Twojej dalekiej życzliwej obecności w życiu.

W jakie okolice jadę?

Wspomina się jak niedobra czkawka wróżba Mario wykrakana w Berlinie przed laty. Spełniła już swą rolę w życiu? Nauczyła dystansu do ludzi, wyostrzyła i rozwinęła me twórcze energie przez stworzenie zagrożenia, memento mori, Don Juan z Castanedy, śmierć obecna po prawej na wyciągnięcie ramienia.

Ale! Nie poddawać się sentymentom, uczuciom fajności, powierzchownym braterstwom.

Czuwać!

Żyć w prawdzie!

Istnienie jest naznaczone nostalgią. O co właściwie chodzi w moim życiu, skoro jest wszystko jedno, jakkolwiek się toczy. Daję Ci nawet prawo, aby zaświadczyć.

- Przemalujmy ten świat! - mówiłem Markom na pożegnanie. - Przemalujmy go, bo taki, jaki jest, jest nie do zniesienia, nie można w nim żyć. A ja kocham żyć.

Co jeszcze zanotować na pożegnanie pracowni, w której przeżyłem dwa słoneczne lata? Już wygląda, jakby z niej życie uszło. Na drzwiach zostaje mój wielki napis PEŁNIA NA OKRĄGŁO! Komu przypomni o obowiązku? o nieosiągalnym?

Wydarzyło się w ostatnich dwu latach coś nadzwyczaj ważnego - rozpoznałem kolor Warszawy - jest to kolor szary. Perłowa roz-

wibrowana szarość mieniąca się tęczowymi lśnieniami - w nierzadkich chwilach, gdy Bóg na nią patrzy.

Dzisiaj było trzęsienie ziemi w Tybecie.

Na początku tego zdania są lasy świerkowe na obszernych wzgórzach Bawarii, zaraz też pojawiają się jaśniejsze brzoźowe plamy, wioski i miasteczka kreślone w przestrzeni czystymi liniami jakby kolorowej włóczki. Powietrze pachnące lasami, chłodne. Wszystko widoczne jak na północy; nic dziwnego, wieje przecież zimny skandynewski wiatr i pejzaż lśni w promieniach słońca przejmująco wyraźnie. Wrażenie inności kraju, do którego wjechaliśmy. Kraj gospodarski, zadowolony z siebie, dostatni.

Jedziemy.

Koniecznien Ci opiszę tę podróż, przyda się kosmitom w każdej sytuacji. Wyjechaliśmy z Warszawy około południa powolutku, sprawdzając, czy bak benzynowy nie przecieka; chłopcy go uszkodzili przy wjeździe do Polski, załoga pracowicie żuła gumę i kleiła dziurę, żeby do mnie przyjechać. Teraz sprawuje się dobrze - Jan go przecież pracowicie kleił epidianem.

Nasze zwierzę typu opel tranzyt jest półtoratonowym wozem miękko sunącym w przestrzeni, zwłaszcza przy głośnym rock and rollu. Sunęliśmy więc na południe ku granicy pięknie i muzycznie, tyle, że z kanistrami trzeba mi było chodzić do stacji benzynowych, przedtem ukrywając auto z berlińską rejestracją. Aktualia w kraju są takie, że dla wozów z zachodu sprzedaje się benzynę wyłącznie na kupony, za te zaś trzeba płacić dolarami przy wjeździe do Polski. Dobre dla burżujów.

Granice osiągamy o północy. Celnicy początkowo wzburzeni, że wiezie się pół setki obrazów bez odprawy celnej w Warszawie, ale, gdy okazuje się, że z obrazami jest malarz, zadawalają się oglądaniem fotografii i przeżroczy w biurze. Dostają filiżankę kawy i mogę się wytłumaczyć, o co mi chodziło na tym obrazie, albo na tamtym.

Tymczasem z chłodnicy ucieka nam woda.

Zauważ tę cholerną liczbę mnogą, symbol niemocy. Kiedy się

jedzie, jest jeszcze jako tako, po przystąpieniu wycieka wszystko. Nabieramy na granicy wody w co tylko się daje, nalewamy pełniutką chłodnicę i ruszamy. Po paru milach w Czechach chłodnica jest pusta. Stajemy, nalewamy. Po kwadransie zabieg trzeba powtarzać, ale nie ma już wody. Jesteśmy na szczęście wśród jakichś zabudowań i Richard znajduje studnię. Północ gdzieś dzwoni na zegarze, śpi miasteczko. Ruszamy i oto nic nie cieknie! dojeżdżamy jednym ciurkiem do Pragi. Jak dobrze. Zasłużony posiłek: bochenek chleba z Warszawy, pół litra, kiszone ogórki. Po czym spacer po nocnym mieście, gdzie jestem po raz pierwszy. Urokliwie i cicho, most jakiś, mury ładnej starej architektury. Tu i ówdzie gromadki rozdokazywanej młodzieży - za każdym razem niemieckiej, R i R są jak u siebie w domu.

Śpimy w wozie na małym placu w starym mieście, Richard i ja na przednich siedzeniach a Rumpel na dachu. O świcie budzą nas ludzie i każą jechać, przeciesz stoimy pod znakiem zakazu. Chętnie. Jesteśmy przyjaźnie nastawieni do świata, chłodnica ziębi i pracuje jak się marzy. Śniadanie w barze przydrożnym socjalizmu, fajnie chwilę pobyć w pokoju, prawie czysto, są tylko kielbaski, chleb i herbata.

Jedziemy i przestaje nam działać prądnica. Sprawa nowa i nagła, odwiedzamy przydrożne warsztaty i nawet te dalsze, ale nikt nie chce nam tego robić. Pchamy się zatem dalej, już bez muzyki, aby oszczędzać akumulator. W Karlowych Varach spotykam nagle natchnienie na ulicy, a ono każe mi próbować szczęścia w bazie transportowej ciężkich wozów. Na robotników można liczyć! Pomagają nam chętnie, pewnie po raz pierwszy widzą taki freak brothers ensemble, R i R są włochaci i brodaci, od bardzo dawna w drodze, nie odwiedzili fryzjera po wyjściu z więzień NRD, a moje włosy też rosną od dziesięciolecia. Chłopaki reperują rozdzielacz a my siedzimy w słońcu za wiatrem, ciągnąc małymi łykami żubrówkę i żartując. R i R mają specjalny patent albo teatr na wszystkie okazje - gdaczą, prześmiewają się, błaznują i dyskutują rozbrykani - jak dziarski muszkieter na wakacjach wiecznych (Richard) i młody Engels, co zdecydował się zostać kukielką (Rumpel).

Pewnie, jest się z czego cieszyć, są młodzi, wolni, i jest środek lata. Ruszamy, szczęśliwi, że w drodze. Auto działa, nic nie cieknie.

W nastroju entuzjazmu prądnica przestaje wszakże ładować po

paru kilometrach, ale nie ma mowy o powrocie, dopchamy się jakoś do granicy, a tam będzie niemiecki Automobilklub i pomoc.

- Może to tylko lampka przestaje świecić, a prądnica cały czas ładuje? - staram się rozładować elektryczny nastrój. Nikt się nie przejmuje. Wspominam powiedzonko taty w kłopotliwych czasach: - Niech się głupi martwi.

Docieramy do granicy słonecznym popołudniem. Pora na atrakcje. Czeski celnik chce obejrzeć pół setki płócien w tranzycie, każe je rozpakować po czesku, rosyjsku i niemiecku. Wiesz jak to, kiedy się ma wielkie skrzydła i małą klatkę? On nawet nie chce nam, boże uchowaj, wyrządzić przykrości, rzeczywistość na poziomie płotka jest prosta - widzi trzech niezwykle facetów, radby z nimi napić się wódki albo zapalić jointa i komunikować, a tu nie można - służba!

Zawracamy na parking i rozpakowujemy majdan, niszcząc moje misterne zabezpieczenia transportowe. Robi się bardzo łagodnie, niespodzianie przecież. W trakcie wyjmowania i rozstawiania obrazów schodzą się żołnierze i celnicy, także parę cywilów skorych do oglądania, już można pogadać, nikomu się przecież nie śpieszy. Wyciągam kamerę i fotografuję sytuację włącznie z ich zasranymi tajnymi szlabanami i parkanami, ale facio, który spowodował zajście - zobacz, jak opuszcza głowę i nie pozwala fotografować swej twarzy. Nieważne teraz nawet, że coś się w papierach nie zgadza, mam trzy płócienka więcej, ale możemy jechać.

Jedziemy. Niemiecki celnik tylko nam kiwa dłonią, przejeżdżać. Gehenna się dopiero zaczyna. Prądnica rośnie, czy temperatura ładuje? Niestety, pomidor na wyrót! To prądnica ładuje, a temperatura rośnie. Chłodnica przecieka. Zatrzymujemy się i nalewamy raz, drugi i trzeci. Dla dobra sprawy formuje się Wasser-Komando. Najwięcej wody wycieka na postoju, także przy nalewaniu, więc trzeba szybko. Zatrzymujemy się na poboczu, Rumpel nalewa mi wodę do słoja, Richard w rękawicach odkręca buchającą parą chłodnicę, pióropusz się zmniejsza, nalewam wodę, teraz Rumpel zakręca chłodnicę, Richard jest już przy kierownicy, rusza, wskazujemy w biegu, jedziemy - czyli hurra panowie bracia - następne dziesięć km. Przy postojach na poboczu autostrady momentalnie pojawiają się motocykliści w zielonych mundurach, czyli policjanci.

- Chłopcy lubią szybko jeździć - z tonem uznania objaśnia mi Richard - dlatego mają taką fajną robotę.

Zieloni oglądają nas, kiwają głowami, jedziemy.

Świta sobota na parkingu w Bawarii, chłopcy jeszcze śpią zwinęci na przednich siedzeniach. Wokoło pobrzmiwa melodia parkingu, śmiechy, nawoływania, szum silników i strzępy muzyki. Nocą nie mogłem zasnąć, więc spisywałem ten powyżej absurdalny raport, w trosce, by nie pominąć roztrzęsionych śrubek. Twardo, leżę wciąż jeszcze na wiązce blejtramów, wciśnięty między obrazy zajmujące z lewej i prawej resztę przestrzeni w wozie. Nie jest mi dobrze ani źle.

Popołudnie. Nasz pojazd wymusił na nas twórcze współdziałanie i poczucie respektu, zawalczył o własną indywidualność, posiada nazwisko, nazywa się Smutne Szare Zwierzę. Jeszcze 150 km do Berlina, stoimy na stacji Mitropy, już w NRD. Zjadłem obiad wraz z Rumpem, teraz Richard je obiad a Rumpel szuka pomocy. Odpoczywam w kabinie przy wtórce the Doors.

Rano Zwierzę było bardziej smutne niż szare - nie chciało ruszyć z miejsca. Nie umiemy ustalić, co jeszcze się zepsuło, na mechanika trzeba czekać godzinami. Nie, nie domyślasz się, o piosenka pełna grozy! - oto na widok fachowca Zwierzę zaryczało potężnie i wprost rwało się do podróży, nie trzeba było nic naprawiać! Testy i próby wskazują, że wóz bez zarzutu. Wiemy, że nie na długo, ale cóż, jedziemy, w miłosnym uścisku cholernej liczby mnogiej. Wasser-Komando pracuje sprawnie gdy przekraczamy granicę, rozkraczamy się 20 km dalej przy wtórce dźwięków silnika, oznajmiających przekraczanie bariery dźwięku. Teraz trzeba wszystko rozbierać. Na tym szczęśliwie się nie znam, operację przeprowadza R i R według wskazówek, a wkrótce także z pomocą milicjantów, którzy i tutaj zjawiają się niezwłocznie. Nie ma za co nas aresztować, więc trzeba wspomóc. Kiedy znowu ruszamy chłodnica prawie nie działa, wodę trzeba dolewać co 4 km. Dłonie mam omdlałe od czynności chłodniczych, a i pchać trzeba było grata dobre parę razy. Zmęczenie.

Oto je rozpędziłem przy pomocy skręta i spaceru w wietrze. Jest już lepiej, między chłodnymi chmurami zaświeciło słońce. W pewnym sensie nie wierzę w śmierć. Bo jeśli patrzę teraz na topole w wietrze i staję się jedną z nich, a moja samoświadomość w wielości liści, gałązek i konarów zaczyna tak miłośnie zmagać się z wiatrem - to przecież co to znaczy? Moje ja i poczucie obecności jest w życiu drzewa. Moje ciało umrze, ale będzie żyło drzewo. I las, i puszcza. W czasach, gdy bywam samym życiem, a nie jakimś tam Twoim kolegą - co wtedy się dzieje, gdy przekraczam niewidzialną barierę? Życie jest, było i będzie. Ja jestem życiem, byłem i będę. Gdyby adresaci tej kosmicznej sondy wiedzieli, co wiem, co tu wyrażam, może ten zabieg cudów technologii nie byłby potrzebny? Co? że chciałbym się migać?

Teraz dochodzi jedenasta wieczór. Poparzone mam dłonie od pary buchającej z chłodnicy. Posunęliśmy się w międzyczasie dobre 40 km. Nalewając wody, zmieniając świece, pchając cholerne pudło, i jadąc w sumie z szybkością drabiniastego wozu. Teraz wysiadł już drugi cylinder, stoimy na Intertanku. Holowanie do Berlina kosztuje 800 marek, wcale ich nie mamy.

Jedenasty, niedziela, piąta rano, dzień boży święcony przybyciem do Berlina. Setkę km ciągnęła nas ciężarówka, którą jechał beatowy zespół angielski. Na berlińskim Ringu skręcali w lewo, więc nas odcepili na stacji benzynowej, gdzie nabraliśmy wody i kawy. Jakie zdziwienie, gdy Zwierzę, teraz na dwóch cylindrach, rusza i jedzie dalej. Do następnego wybuchu po kwadransie. Znowu milicja i tym razem alarm, transport specjalny dla wariatów tanio, za 30 marek.

O bladym chłodnym świetle na granicy Zach. Berlina czeka na mnie - dość używania liczby mnogiej! - niespodzianka, celnicy odmawiają wpuszczenia obrazów do miasta. Wcale nie wiedzą, że Niemcy podpisały ONZ-owską konwencję o swobodnym poruszaniu się artysty z jego dziełami. Żądają listy, wyceny i zapłacenia wwozowego cła.

Wóz stoi więc na parkingu Urzędu Celnego. R i R natychmiast pojechali do dyskoteki Bowie, żeby zdążyć potać i napić się piwa, ja wyciągam się wygodnie na przednich siedzeniach i piszę, przejęty grozą na myśl, że może ta nasza wariacka i żałosna podróż jest metaforą na moje przyszłe życie tutaj. Omen?

Po długiej nocy jestem jeszcze rześki, wziąłem efedrynę, żeby przetrwać nawałnice i kłęski żywiołowe podróży, zapewne wciąż jest we krwi.

Obudziło mnie w południe słońce wychylające się zza drzew na skarpie. Posprzątałem nieco w wozie, otwierając go szeroko, potem poszedłem do baru na kanapkę i filiżankę kawy. Teraz mam luksusowo, leżę w słońcu na piaszczystym zboczu wśród sosen nad przejściem granicznym, i zapalam skręta. Dobiega zewsząd dźwięk dzwonów wydzwanających południe. Patrę na amerykańskie francuskie i brytyjskie flagi powiewające nad granicą. Przejście wygląda raczej skromnie w porównaniu z wielkimi betonami urzędów granicznych po NRD-owskiej stronie. Ogromny ruch, wozy ledwo zwalniają, mkną dalej.

To był całkiem człowiek, celnik wschodni pod Berlinem. Śmieszny w mundurku, odstające uszy, inteligentne dobre oczy, podobny do Franza Kafki w czasach, gdy robił jako urzędnik. Chciał obejrzeć obrazy, podałem pierwszy najmniejszy i wzruszył się znajdując w nim Mglawicę Andromedy. Lubi kosmologię, biologię, astrofizykę, chce studiować. Zapytał, czy będę wystawiał we wschodnim Berlinie. Pewnie się to wydarzy, ale za moje ewentualne notowanie adresu celnika mogliby go zamknąć.

Piszę zwiedzany przez mrówki, przenoszę je troskliwie z siebie na piasek. A teraz poważnie prezentujący się trzmiel wylądował na zeszyte podróży. Środkową łapkę z lewej strony tułowia dokładnie oczyścił przednią łapkę z prawej, popatrzył na mnie porozumiewawczo, odleciał. Te owady wokoło są zdania, że świat jest bezczasowy lub wieczny. Mój czas jest poczuciem ciała i rozumu, ale one z kolei są emanacją wieczności, wypustką absolutu. Czółenko życia tka kolejne zdarzenia i układa je w porządku czasowym, lecz intuicja sięga poza to, gdzieś głębiej.

*Świat
rozprzestrzeniający się w krystalicznych wzorach energii*

*spogląda na zająca, który wybiega w południe wśród wydm,
słucha dudnienia nieba i szumu aut za wzgórzem,
dotyka, poznaje, doświadcza,*

*w ruchu nieskończenie powolnym,
podobnym do mojej podróży*

*świat
spogląda na siebie
moimi oczami.*

Dochodzi północ, jest jeszcze dzisiaj, Na parking przyjechał po mnie polski kumpel Waldi i zawiózł do Christiana. Byłem tu przed dwoma laty, więc gadu-gadu przy flaszcze wina. Aż tu wraca z wakacji jego żona Petra, taka żywa i śliczna. We czworo zatem na Savigny-Platz do włoskiej knajpki na sałatę z tuńczykiem. Miły dzień kończy się teraz u Rumpła, fajny człowiek nie-Engels.

Tymczasem Michael właśnie dziś rano wyjechał na wakacje; cóż, długa była moja podróż pomiędzy światami. Zostawił dla mnie klucze - tylko od piwnicy, gdzie mogę złożyć obrazy. Dobre i to? Jutro idę z Christianem w sprawie wystawy. Piękna czysta muzyka, Garbarek. Za parę dni ruszę dalej, do Amsterdamu, oto jej od dawna nawet nie wspomniałem. Oddalił się jej obraz.

Kiedy się nie jest ciałem.

*Kiedy przestrzeń wewnętrzna obejmuje niebo nad głową
i bruk pod stopami,*

*rozświecła się byle gałązką lub trzmielom,
i nie jest w czasie,
choć tyle przemijań
jest w niej zawartych,*

*radości i bólów,
które wreszcie się mogą spotkać i objąć w uścisku -*

ale nie w czasie.

Czternastego sierpnia jest popołudnie dobre do teraz. Wstałem wcześniej. Dziwnie jest tutaj; biednie, jak rzadko gdzie w Polsce. Za oknem sypialni, a jesteśmy na pierwszym piętrze, jest ślepa ściana w odległości dwóch trzech metrów, trzeba wysunąć głowę na zewnątrz przez okno i popatrzeć w górę, by stwierdzić jaka jest pogoda. Okna pokoju wychodzą na podwóreczko i następny budynek równie lichutki, bliźniutko, ze cztery metry stąd. Kibel na schodach, zlew z zimną wodą w kuchni, architektura grabieżczego kapitalizmu. Umyłem się, zrobiłem zakupy i zjadłem śniadanie, pojechałem do Christiana; mieszkają przy gwarным Theodor-Heuss-Platz ale zacisznie jak na wsi, w budyneczku pośród wielkiego ogrodu.

Powiódł mnie Christian do Urzędu Sztuki Charlottenburg, Bert oglądał z zainteresowaniem moje przeźrocza i fotografie obrazów, poszuka możliwości wystawienia, a przede wszystkim załatwi ich wóz do Berlina. Jeszcze nigdy obrazy nie były daleko ode mnie. Pijemy potem herbatę w ogrodzie i gawędzimy o życiu, czyli Christian roztacza swe wdzięki.

Grosz mam w kieszeni niewielki, ale wciąż mam, ponieważ Michael dał chłopcom paręset marek na pokrycie kosztów podróży; dopiero teraz się dowiaduję, że nie musiałem tak bezwzględnie płacić po drodze! Przejazd kosztował w sumie jakieś 900 marek - do licha, przecież ktoś z Polski zrobiłby to o połowę taniej i dwa razy milej! Ha, mądry Polak po szkodzie.

Rumpel chce, żebym się uczył niemieckiego, i to od zaraz, bo chciałby pogadać, ale obawiam się, że to będzie trudne, z conajmniej trzech powodów.

Mówię językiem znanym od miliardoleci.

*Jest to język przemiany,
znają go małe dzieci,
plaże, gwiazdy, zwierzęta, cokolwiek żywego.*

*Mówią do mnie i mówię do nich.
jesteśmy tu od zawsze, mamy sporo czasu
nie mamy natomiast spraw sekretnych, granic,
więzień, zaszczytów, nadziei, nieczułości, śmierci.*

*Wiemy właściwie to samo i jesteśmy razem
sobą
i tym co przez nas mówi.*

*Ach tak! tym zwłaszcza
od miliardoleci.*

Czwarta rano 15 sierpnia. Chodziłem z Richardem po Berlinie, oglądałem ulice, domy i ludzi. Domy są dziwne, wiele z nich jeszcze w hełmach. W tym mieście jest wiele przestrzeni, szerokie ulice, obszerne ogrody, dość miejsca na wszystko. Czy jest miejsce na Wszystko? To się okaże.

Słuchałem opowieści Richarda o jego przygodach. Studiował filozofię w Rostock, zresztą razem z Rumpem, są przyjaciółmi od dawna; ze studiów trafił do więzienia, dostał dwa lata jako element aspołeczny - wystarczy nań spojrzeć, rozumie się wyrok. Po półtora roku odstawiony do granicy zachodniej, znaczy wykupiony przez RFN. Pokochał się włóczyć po Europie, ot, tak właśnie - duży bus, przyjaciele. W Rzymie wzięto ich za anarchistów, kojarząc wygląd zewnętrzny i język niemiecki. Zostali otoczeni na ulicy przez grupę karabinierów i policjantów, i skuci. Roger nie chciał oddać dłoni kajdankom, dostał więc kolbą karabinu po głowie, padł zły krwią, nieprzytomnego wrzucono do celi z innymi, żadnej pomocy lekarskiej. Po czym chłopcy dostali po 10 miesięcy więzienia za stawianie oporu władzy.

Rzymskie więzienie wspomina jak najciekawszy uniwersytet,

siedział z przemytnikami, anarchistami, dealerami i włóczykami z całego świata; przeważnie mieli pieniądze, w więzieniu nie brakowało wina, acidu i haszu. W efekcie akcji protestacyjnych i awantur prasowych po trzech miesiącach wypuszczono ich na wolność, więc dalej w podróż. W miesiąc później aresztowany prewencyjnie jako możliwy anarchista w Rumunii, gdzie przyjeżdżał z wizytą premier Izraela. Jeszcze opowieść o potwornym trzęsieniu ziemi w Bukareszcie.

Wieczorem dzwoniłem do siostry w Warszawie, pozdrowić, oznajmić, że dojechałem i zapewnić coś jeszcze, że będę uważał - na co? na kogo? doprawdy nie pamiętam.

O zmierzchu siedzimy w pubie Kastania pod wielkim kasztanowym drzewem, pijemy piwo i gaworzymy, albo nic nie robimy jak teraz, co pozwala mi wyjąć zeszyt i pisać do Ciebie. Bardzo tu między ludźmi inaczej, jedno wielkie spowolnienie, relaks. Widzę twarze i gesty, oni żyją w zupełnie innej temperaturze psychicznej niż Polska, jakby tu była inna podstawa czasowa.

Ja rozumiem, istotne jest widzenie, poznanie, myślenie; dosłownie wszystko będzie informacją sondy. Nieważne, co tu zapiszę. Mam wszakże nadzieję, że pisząc do Ciebie, będę mógł sobie samemu uświadomić, co jest, co będzie - treścią Przekazu. Świadomość jest niezbędna, przecież uczestniczę w akcji całym życiem.

Nadchodzi pełnia księżycy i charakterystyczne mrowienie krwi w żyłach, trochę elektryczności i nerwów - bo przecież mam do postawienia życia parę pytań - gdzie malować, co robić, jak żyć i przeżyć w tym zupełnie innym świecie.

Szesnasty sierpnia po północy to telefon do Anny. Im bliżej, tym dalej? Nie potrafimy ze sobą nawet składnie porozmawiać.

- Kocham cię, bardzo cię kocham, ale nie wiem, czy mnie zaakceptujesz taką, jaka jestem.

A cóż to? Odmieniona? Rogi ci wyrosły? Ach, zapewne... widzę przecież, jak ten ostatni tydzień mnie spłaszzył i wyjął. To zupełnie inna bajka, to zupełnie inny świat.

- Bo byłem dotąd dziewczyną malarza, przychodzili bez przer-

wy ludzie, robiłam herbaty.

Nic się nie komplikuje, wszystko się upraszcza, prawda? Nie będę podtrzymywał jej obecności we mnie. Nie będę podtrzymywał jej obecności we śnie.

Ograniczyć wyobraźnię - prowadzi do kłamstwa.

W południe u Richarda po śniadaniu w łagodnym świetle słonecznym, które świeci przez wielkie okno i lśni na owocach. Mieszka w wielkim mieszkaniu, parter na rogu, duże okna na poziomie ulicy, zapewne kiedyś był tutaj sklep, podłoga pofalowana ze starości jak i uliczka na zewnątrz. Jesteśmy w sektorze amerykańskim, dzielnicy biedaków, artystów i gasterbeiterów, Kreuzberg.

Ogień jest moim żywiołem. Mama opowiadała, że w pierwszym okresie życia śmiałem się do wszystkiego i wszystkich. Czy także do trupów? - nie pamiętam. Czy człowiek rodzi się szczęśliwy?

Teraz też się uśmiecham, nie ma żadnego schizja na 20000 mil podmorkiej żeglugi wokół, bycie Przekazem i bycie niczym nie są w opozycji. Rumpel ładnie opowiada, że człowiek może przeżywać złe i gniewne stany w ciszy i skupieniu wewnątrz, dla innych mieć to, co dobre, śmiech i radość.

Moje cierpienia to zgęstki psychiczne, które jeszcze nie stały się palne i lotne. Skwierczą, pękają w wysokiej temperaturze przeżycia. Cieknie żywica z pnia historii odmienianej przez gatunki i indywidualia, kultury, bakterie, cywilizacje. Pewnie, że to musi boleć.

*Wstąpić w trawiący wszystko płomień nieśmiertelności.
Stać się tym, czym się naprawdę jest.*

O czwartej nad ranem obrazy są ustawione w piwnicy u Michaela. O dziesiątej będę u Berta, aby poczynić jakieś ustalenia wystawiennicze. A inne ustalenia? Gdzie mi wypadnie żyć następane 2-3 lata, tu, czy w Holandii? W tym kłopot, Przyjacielu, że bez malowania życie mi się przykrzy, że chciałbym malować duże i bardzo duże formaty. Przysiadam w południe na krawężniku Zillestrasse, aby zanotować, co właśnie z uczucia krystalizuje się w słowa:

*Jestem we wnętrzu wielkiego miasta.
Przestrzeń, wiele kolorów, bogate dekoracje,
ale sens sztuki nie jest mi znany.*

*Żyje tu parę milionów ludzi
a ja nawet nie wiem
czy grana jest komedia czy dramat.*

*Jestem tu obcy jak w innych miejscach,
obcy nawet śmierci.*

*Jakbym już nie miał narodowości, imienia i koloru skóry -
oddycham miłością
I nie gram.*

A szkoda, malarzu, a szkoda! dopisuję popołudniem w domu, ach! co ja plotę, w jakim domu, to przecież nie jest mój dom przestrzenny! Sens mego podróżowania: dobrze być wśród nowych ludzi, dobrze być na nowo. W kraju rodzinnym kolosalne połacie istnienia martwiały mi czasem, wciąż ktoś mnie chciał sprzed roku albo z wczoraj. Ale tak chyba jest wszędzie.

Byłem w Urzędzie Sztuki u Berta, o wystawie mówi się w czasie przyszłym dokonanym. Czyli błękitne jest niebo.

A gdyby tak trafiły się w życiu trawy wysokie i bujne, to chętnie bym się w nich pozwolił zagubić na zawsze.

Hej, Przyjacielu, lato się zmierzcha, niech babie lato nam wyściele jesień. Stałem na deszczu i patrzyłem w niebo między gałęziami, przewiewał mnie wiatr. I oto gwałtowny powiew uderzył w korony topoli, drzewa zgięły się w jęku, za nimi śmignęła z nieba błyskawica, jak dobrze!

Christian schronił się przed deszczem, przed chwilą żartowaliśmy w ogrodzie. Jakże świetnie jest połyskliwy i mądry chwilami,

jakże niekiedy starczy i znużony! Cóż to za człowiek? Dobrze się miewał w Polsce, miał powodzenie w krytyce literackiej, wyjechał zaś, aby móc pisać swoją wielką powieść. I pisze, już po raz trzeci, od wielu wielu lat. Ze dwa razy w ostatnich czasach odratowany od śmierci; nie ma zmysłu węchu, prawie wcale smaku, silnie zakłócony zmysł równowagi - a bystry przy tym jak smok. Przed trzema laty spędzałem w Berlinie lato z wystawą, i wtedy uczył mnie ping-ponga i zmuszał do kopania piłki w parku, bardzo sprawnie fizycznie. Boże boże, co to się narobiło. Lecą liście pierwsze z drzew.

Piątek osiemnastego sierpnia, popołudnie chwytą mnie na godziny w parkingu pod Hanowerem i nie popuszcza. Jadę z Berlina autostopem, startując raczej nieszczęśliwie; facet wziął mnie po drodze, aby móc sobie kupić flaszkę wódki więcej w tranzycie przez NRD; za granicą skrzył w górę mapy, zostawiając mnie na stacji benzynowej bez ludzi. Za to pachnie lasem, w którym jest obfitość bardzo smacznych malin, tak pasujących do kromki chleba.

Siedzę teraz w trawie, pokazuję plakat z napisem Dortmund-Amsterdam, jest mi dobrze.

Z malinowego chruśniaka zabrała mnie młoda para ludzi jadących na weekend do rodziców; tacy ciekawi Polaka i polskości. Pod Oberhausen zimny wieczór, daleka jest droga.

W sobotnie popołudnie jest Anna i Amsterdam, oboje śliczni. Nie spałem od przedwczoraj, co czyni mnie znakomicie rozwibrowanym w tę pełnię księżyca i szczyt energetyczny. Siedzę już kwadrans w oknie, patrząc na kamieniczki, wody i łodzie płynące powoli. Spokój. Niech przeniknie serce i duszę.

Wspomnę kolegę z podróży; Bernt, holender studiujący w Berlinie socjologię na Wolnym Uniwersytecie i zafascynowany ostrą walką polityczną, jaka tam się dzieje. Zagadywał wszystkich ludzi przystają-

cych po benzynę i Anglicy zabrali nas obu. Wszakże w Holandii brakło im paliwa, przydrożne automaty nie działały, więc zdecydowali się zostać na noc w Eindhoven.

Na autostradzie w zimną pod księżycem noc. Idziemy długo poboczem, do wszystkiego daleko. Proponuję, aby zboczyć do lasu opodal, rozpałić ognisko i zagrzać się trochę, jeśli nie przespać w ciepłku. Bernt taki czubek, a popatrzył na mnie jak na wariata i odmówił stanowczo, może nawet zbyt szybko. Po godzinie marszu zobaczyłem zaparkowany na poboczu wóz z włączonymi światłami i szeroko otwartymi drzwiami. Zawołałem do idącego nieco w tyle:

- Spójrz, przyjacielu, ktoś na nas czeka.

Tymczasem Anna zapowiada, że gotuje zupę i daje mi kwadrans czasu. Zatem kiedy indziej o rudym kierowcy i naszych dialogach. Po nocnych drgawkach przyszedł bezwzględnie piękny świt w muzyce i szybko sunącym Mercedesie. Pełnia księżycy nisko nad ziemią z lewej, i pełnia wschodzącego słońca po prawej stronie autostrady - nad taflą perłowych i srebrzystych mgieł, z których rzadko przebijały do światła czuby drzew, wieżyczki kościołów, dachy domów. Nic równie pięknego nigdy nie zobaczę.

Rudy Holender dowiózł mnie do lotniska, skąd wzięłem bus do dworca kolejowego. Telefon do Anny, słoneczna łaskawość dnia, śmieszna wędrownka tramwajem, gdy pojechałem w przeciwną stronę niż trzeba. I dlaczego wszystko tak bezwzględnie znaczy?

I wreszcie widok Ani, małej bladej dziewczynki wychylającej się z okna nad wodą, pośpieszne radości i pocałunki, ciut obcości w sercu. Prysznic nareszcie i spacer po zakupy we dwoje, bo dom ogołocony ze wszystkiego, co jadalne! śniadanie, rozmowy, spacer. Nie umiemy iść razem, wpadamy na siebie.

Niedzielne popołudnie w Vondelpark, gdzie wszystko od stuleci zdaje się być takie same; poczucie, jakbym tu bywał zawsze. Przed trzema laty na trawie rozkładałem tu obrazki i zarabiałem na obiad. Leżymy w pobliżu stawu, kaczkę polują w mule, demonstrując wdzięk

swych kuperków. Skończył się koncert reggae z szalonym tańcem Anny. Przyjaciółka Ewa ze Sztokholmu, tak niespodziane spotkanie. Pijemy piwo, Ani zdaje się dziwne, że znowu piszę. Ula wyjmuję pierś i karmi dwuletniego Nono.

Ludzie wszystkich kolorów i ras. Włosy długie albo ogolone na zero, stroje najprostsze typu džinsy na pupie, i stroje wyszukane fantastyczne kolorowe, twarze pomalowane niekiedy błazeńsko, tatuaże, biżuterie, kolczyki w uszach. Całkiem stara tłusta i ogromna pani tańczy energicznie w kręgu psów, które szczekają, skaczą na nią, też tańczą na swój psi i nieskoordynowany sposób. Świetna ciemnobrązowa dziewczyna w wysikich butach, džinsach i fantazyjnej czarnej bluzce, obwieszona setką dzwoneczków i łańcuszków, przechodzi jak muzyka. Kelner śpieszy z tacą pełną kufla tańcząc, podśpiewując.

Możliwości są wszystkie otwarte na oścież, zabawa bez wytchnienia, każdy się zachowuje i nosi tak, jak ma ochotę. Pasja indywidualizacji przy pomocy przybrania, luz. Byłem tu wcześniej i wiem, że także w Amsterdamie życie bywa bezwzględne i groźne. A teraz jest we mnie napięcie, z którym nie wiem co począć, przerwa w malarstwie tak nagła, nie ma pędzla, żeby się przytrzymać, ani zajęcia, w którym miłość poślubia energię.

Spacer z parku do maleńkiej knajpki na Heerenstraat, co zwie się złota szynka, czyli Golden Ham, no hard drugs and dope dealing. Zjadamy sałaty, pijemy herbatę i palimy co nieco. Przy nas dwie białe dziewczyny z Południowej Afryki narzekają, że nie mogą zwiedzić Polski, gdyż rasistkom odmawia się wizy. Są zafascynowane swobodą, jaka tu panuje, i czarni są tu zupełnie inni niż tam u nich w domu. - Pewnie, bo tutaj są wolni - mówię, i życzę dziewczynom zniewolenia.

Ania stwierdza, że właściwie jestem bardziej z zeszytem, gdzie piszę, niż z nią. I patrzy na mnie jakby z wiedzą, że nie piszę o niej. Żyje tu ostro, dużo paliwa i koksu, znacznie mniej żywności i prawie bez słońca. Zrobiła się szczupła, co uwydatnia, jak bardzo młodziotka. Jest bliżej niż wczoraj, kwiat już rozchyła płatki, mysz zaczyna cichutko popiskiwać w radości. Zostawia mnie, idzie do domu, aby sprzątać.

Mam wrażenie, że jeśli we mnie pojawia się człowiek, którego czuję, myślę lub pamiętam, to w tej chwili ten ktoś też pamięta o

mnie. Nie można tego sprawdzić, stworzyć warunki laboratoryjne takiemu doświadczeniu, to zniszczyć samą jego esencję. Czy jesteś ze mną teraz?

*Bolesna pogoda gości w sercu.
Ostatnie skurcze lata
przesuwają me ciało przez parki i kolorowe ulice,
powietrze ma smak przyjaźni,*

*cierpienie i radość, sery i wino, ciemny chleb, miód
i okruchy wspomnień
w niesymetrycznym układzie na białym obrusie
podane są do posiłku.*

*W dole za oknem płyną łodzie,
wszystkie beze mnie.*

W nocy z niedzieli na poniedziałek leżę już w łóżku, w białym pokoju wśród kwiatów w muzyce. Ania bierze prysznic. Pokój jest jasny i ruchomy od refleksów światła odbijanych od powierzchni wody w kanale za oknem. Wstanę jeszcze, mam podlać rośliny.

O jedenastej rano zmęczony, budzony wielokrotnie ze snu ostrym kaszlem Anny, aby pamiętać dzikie sny, w których ją porzucałem w nieznanym pejzażach. Wspomnę Ci zdanie - że ona należy do losu, nie do mnie. Nie potrwa to długo; mój ucisk w głowie stwierdza, że te wakacje z Anną - tak sobie już nazywamy - są podejrzane moralnie. Patrzę w okno z tęsknotą; narodzić się jako obłok, płynąć w dal zawsze, nie móc się zatrzymać.

Spacer po markecie w południe, wspaniałe są te kramy, barwne stosy żywności, nawoływania i handel. Ugotowałem zupę z jarzyn, siedzę w oknie, Ania coś jeszcze robi z papryką. Spokój? niepokój? poza jednym i drugim. Ale ciśnienie rośnie. Poznany dziś Rodolfo, sympatyczny wariat z Argentyny, najlepsza kokaina pod słońcem. Nie,

dziękuję, i bez tego nie czuję się czysty. Dobrze być tutaj. Teraz, i tylko teraz. Dzwony, kamieniczki, muzyki, kwiaty, mewy, światła. I bezpośredni otwarci ludzie, których spotykam wszędzie i pozdrawiam jakbyśmy się znali od zawsze.

Pod wieczór pogoda jeszcze słoneczna, choć zrywa się wiatr. Wróble kąpią się w piasku, co zwiastuje deszcz. Cóż jeszcze odcedzić można z chwili przezroczystej?

Trzecia nad ramen. Wieczór miłosny z Anną-Anną czyli miłą do potęgi drugiej, jej taniec ekstatyczny i opowieści niezwykle. Wizyta przyjaciół, dla których trzeba było się ubrać, wprowadziła atmosferę momentalnie napiętą - dowiem się wreszcie, o co tutaj chodzi? Spooky jakby nieco ironizował, gdy była wobec mnie dobra i czuła. Zapytał, czy się zmieniła.

- Tak - odpowiedziałem.

- W jaki sposób?

- Najlepszy z możliwych.

- Czy naprawdę tak myślisz? - Ania pochyliła się ku mnie życzliwie, ale podejrzliwie.

- Tak, ale to co mówię świadczy tylko o mnie, a nic a nic o tobie, bo jestem taki facet, co wierzy, że wszystko się nam przytrafia w sposób najlepszy z możliwych.

Anna się jeszcze pluszcze, świta, ten pokój ma czarodziejską wibrację prostoty. Anna. Pewnie, kochamy się, bo cóż mamy robić, gdy razem idziemy do łóżka.

Jakże chciałbym oderwać się kiedyś od ziemi w stan nieważkości, choćby na orbitę. Wyobraź sobie ten eksperyment kosmiczny - puszczam bąka, aby przekonać się, jak daleko poniesie mnie mój własny napęd.

Wtorek jest ostatnim dniem słońca w znaku Lwa, może wołałbym go mieć samotnie, ale jesteś w parku, Cecylia świat łagodzi

jakąś nudną opowieścią. Dzisiaj jakbyśmy sobie wręcz przeszkadzali, drażni mnie jej słowo, gest albo spojrzenie. Ławka spowita szumem drzew, dzień jest chłodny, słoneczny, gruchają dzikie gołębie; ba, czy dzikie? Tu nawet korniki w drzewach są napalone i oswojone bez reszty. Znad jeziora dobiegają dźwięki congas, poszczekiwanie psów i odgłosy rozmów. Nago przebiega chłopiec z kijem w dłoni, na którym podwiesza się zębami czarny wielki pies, rzuca kij na środek jeziora, a pies płynie aż pod fontannę.

Spotkaliśmy Rodolfo i innych, ale nie ma komunikacji. Mam wieczny problem - innych potrafię rozumieć, sam nie znajdując rozumienia; owszem, sympatię, a to nie jest mało. Ania, dzisiaj widzę wyraźnie, leci tripem gorączkowego przepełu przygód, przeżyć, przyjemności, nie może mieć zrozumienia dla życia pojętego jako praca.

Tak łagodnie jest wokół, tyle we mnie napięcia, jakbym nie widział do jutra. Napędza mnie szum drzew, refleksy słońca na wodzie, migotanie wzorów energii we mnie.

23 sierpień jest dniem rozczarowań, bowiem dzisiaj chciałem czegoś dokonać w realiach. Przed trzema laty zostawiłem tu prace w trzech galeriach, powinny być z tego jakieś pieniądze! Jak przykro. Pierwsza galeria zamknięta przed dwoma laty, ten gentleman wyjechał do Stanów, osiem dużych formatów najpiękniejszych grafik nie ma, jakże mi żal czystych intensywnych błękitów, na zawsze stracone.

Druga galeria zamknięta na wakacje, ale właściciel Guido jest w mieście, jutro się spotkamy.

Zmęczony spacerem, przyszedłem do Golden Ham na supkę z asparagusa, teraz już sączę czekoladę i spisuję Ci słowa, bez wiedzy, czemu to ma służyć, czy to mnie może ocalić?

A skoro tu siedzę - opowiem Ci wczoraj. Zaproszeni na obiad do Jana. Młody holenderski lekarz, dobry i ciepły człowiek, oddany przyjaciel, rozstał się ze wściekłą polską żoną przed rokiem, mieszka w zielonej dzielnicy z dala od centrum, z córeczką, która ma bardzo jasny i stanowczy charakter. Pojechaliśmy rowerami. Anna niemal szczała po nogach z rozdrażnienia, bała się jechać obok mnie i miała

nieskończone pretensje. Traf chciał, że marudząc i jadąc za mną z tyłu przejechała skrzyżowanie na świetle już żółtym czy czerwonym, i zjawił się wóz policyjny, grzecznie poproszono o paszport. Przewidując nie miała go przy sobie, przecież nie ma wizy, zarumieniła się natomiast tak wdzięcznie, że poprzestano na udzieleniu informacji o światłach i obowiązku noszenia dokumentów przy sobie. To nas jakby zbliżyło i wizyta u Jana wypadła spokojnie, bez napięć, z maleńkim nieswojem, gdy życzliwie traktował nas jako chyba małżeńską parę.

Nocą zaś doszło do tak zwanej zasadniczej rozmowy. Że to już dość, że trzeba sobie powiedzieć miłe do widzenia a nie czekać, aż miłość zacznie się rozkładać i niepięknie pachnieć. Nie obyło się bez świństw, bowiem chciałem zabrać swoje fotografie i wzięłem jej zeszyt leżący na półce, notatnik; wierszyki, uwagi liryczne, i oto opis snu, w którym Ania ma w brzuchu kochanka, o tym jak go rodzi. Bodaj wspomniałem Ci o rozmowie telefonicznej i niepewności, gdy opowiedziała ten sen. Tyle, że w zapiskach kochanek ma na imię Fernando, argentyński anioł pozłocisty.

Nie próbowałem ukryć lektury. Dlaczego mi nic nie wspomniała? no, bo przecież jej głupio. Dlaczego, gdy dzwoniłem z Warszawy, opowiedziała mi ten sen? No, bo Fernando spał na jej łonie właśnie, była tak zmieszana, zupełnie nie wiedziała co powiedzieć, a czuła, że coś powiedzieć powinna. Czyli upojne argentyńskie tango, jeszcze chwila, a zaczną wirować. Anna jest jeszcze przekonana, że nasza miłość to coś zupełnie innego od wszystkiego innego. A kłamstwa? nic nie znaczą w kontekście przestępstwa, jakiego dokonałem otwierając zeszyt. Rozmawialiśmy długo i zupełnie po nic, kończąc przy pomocy dobranoc na zawsze.

Tyle osób i opowieści, co z tym począć? co oni z tym poczną? Była tu Cecylia, koleżanka po fachu bo niby malarka. Przez dwa lata pracowała na farmie w południowej Argentynie zarabiając na otwarty bilet, który kosztuje piętnaście setek dolarów. Drugie piętnaście setek miała na sobie przy lądowaniu w Amsterdamie.

Okradziono ją doszczętnie już w pierwszej godzinie. Coś za coś, bo teraz, gdy zupełnie nic nie ma - traci powoli również swój straszliwy lęk przed ludźmi i życiem. Sprząta po ludziach, ciągle szuka pracy, będzie znowu oszczędzać pieniądze - na powrót. O swym malarstwie nie mówi ni słowa. Zdaje się zagubiona beznadziejnie, a jej głos dźwięczy, jakby się wydobywał ze środka mocno zawiązanego węzełka.

Czwartek? To czwartek, kawał życia już dziś przeminęło. Odwiedziłem w południe mą trzecią galerię i dowiedziałem się, że nie mają dla mnie pieniędzy. Odebrał je mój przyjaciel Ryszard. Naprawdę przyjaciel, pół życia spędziliśmy razem lub w pobliżu. Kiedy wyjeżdżał z Warszawy dałem mu pokwitowanie i upoważnienie do podjęcia pieniędzy - na wypadek strasznoty jakiej, że zostanie bez dachu nad głową, wiem przecież, różnie bywa na dzikim zachodzie. Słyszę, że głodny nie był, wyjechał stąd do Londynu z pieniędzmi; w przeddzień wyjazdu prowadził ze mną rozmowę telefoniczną, w której powiedział, że nie był w mej galerii, nie miał na to czasu. Ten drobny finans dzisiaj byłby wcale pokaźny. Ach, jakże mnie to wzburzyło!

To nie wszystko. Kiedy poprosiłem w takim razie o zwrot pozostałych dziesięciu prac, właściciel galerii zdumiał się widocznie:

- Przecież twój przyjaciel je nam sprzedał za 50% ceny, nie pamiętam dokładnie, ile to było pieniędzy, zaraz wróci sekretarka to ci pokaże kwity i sumy. Przyszedł tutaj, miał już wyjeżdżać, bardzo mu się śpieszyło, wprost wmusił we mnie twoje obrazki. Prawda, że poszły do ludzi i na tym nic nie tracę, ale - jak to? nic nie wiesz? nie zawiadomił cię wcale?

Smutno mi, Przyjacielu, ale cóż robić, poszedłem na długą wólcę po mieście, aż się zmęczyłem i nie miałem siły na smutek. Zajrzałem wieczorem do Spooky, wydawał pożegnalne party przed jutrzejszym odlotem do Stanów. Kupa dziwnych albo ciekawych ludzi z całej naszej planety. Jeszcze większa kupa paliwa i koksu. Poznałem Fernando, owszem, miły chłopiec typu ciepły klusek. Ania ucieszyła się

na mój widok niezmiernie. - A widzisz, nigdy nie mów nigdy!

I była dla mnie czuła, znowu kochająca, wracaliśmy więc razem na jednym rowerze, śmiejąc się i żartując. Chciała być kierowcą, zrezygnowała z ambicji dopiero po dwóch wywrotkach, usiadła na bagażniku, głośno śpiewając. Za nami jechała Gisela, jej najlepsza tu przyjaciółka.

W domu Ania jest nagle bardzo wyciszona, nastawia płytę i głośną muzykę. Ja jestem świeżo z Polski, jeszcze wciąż kulturalny, więc zwracam jej uwagę na sąsiadów, przecież po pierwszej. Dziwna jest ta zaciekłość, z jaką mi odmawia, jej oczy lśnią wspaniałym metalicznym blaskiem, hej, to jest Anna nieznanna!

Mam zamknąć dziób i nie przeszkadzać, ona chce słuchać muzyki. Wchodzi z kuchni Gisela, mówi, że chce spać, wycisza muzykę. Anna bluzga stekiem przekleństw. Jeszcze się nie rozeznaję? Najwidoczniej, bo chcę pożartować, albo zmienić temat. Ania zrywa się z miejsca i chce wybiec z domu, trochę dlatego, bym jej nie pozwolił, to tylko kac kokainowy, wiem, to przejściowe. Teraz furia kieruje się na mnie, krzyczy, bym schodził z jej drogi, zniknął z jej życia - wiesz, co się krzyczy w takich zajściach.

Rzuca we mnie filiżanką, coś jeszcze rozbryzguje się wspaniale za mną, kiedy się uchylam. Więc skacze na mnie, grzmoci piąstkami, rwie w strzępy koszulę - do czego ma prawo, gdyż to od niej prezent. Jestem bierny, nie bronię się wcale, bo cóż mi może zrobić szczygieł! ale drzwi zasłaniam sobą zupełnie stanowczo. Biała wściekłość, potok wymyślań i groźby, że robi mi coś złego.

- Rób - mówię z uśmiechem, jakby nagle się coś rozjaśniło - może to właśnie ty.

Nagle rozładowanie, uspokoiła się, nazywając mnie już tylko wariatem, usiadła. Zmieniłem koszulę, pozbierałem drobiazgi, wrzuciłem do torby i wyszedłem, skoro ktoś wyjść musi. Gisela płakała w kuchni, zapytałem, czy ona coś z tego pojmuje.

- Nie wiem, przecież ja nic nie wiem o jej życiu, ona teraz przychodzi do mnie tylko po pieniądze.

Tak więc się potoczyły nasze małe kręcki. Wyszedłem na ulicę, długą chwilę stałem na przystanku tramwajowym usiłując zorientować się gdzie jestem i jak dojść do dworca kolejowego, bo gdzie ma się

udać bezdomny. Kręciołek w najlepsze - po długim marszu wróciłem na ten sam przystanek.

Wreszcie położyłem się na murku pod drzewami w pobliżu Stedelijk Museum i momentalnie zasnąłem. Zbudziłem się zmarznięty, świtało. Pobiegłem wokoło dla rozgrzewki. Na ławeczce opodal siedział facio owinięty w derkę, nakryty kapeluszem. Pokiwał w moją stronę flaszką. Napilem się dobrego rozgrzewającego trunku.

- Skąd jesteś? - zapytał.

- Zewsząd - odpowiedziałem a on roześmiał się głośno, jakby po tej odzywce rozpoznawał swego. Oto jego opowieść. Przypłynął ćwierć wieku temu z Brazylii i dna poniewierki, wyszedł na ląd, rozejrzał się, zdumiał, i postanowił, że już nigdy więcej nie będzie pracował i zarabiał na życie. Ma zatem zawód żebraka.

- Wystarczy, że wyciągam rękę - powiedział - a czasem i tak mi się zdaje, że zbyt wiele robię dla ludzkości.

Pojechałem do Jana w samą porę, wychodził właśnie z córeczką. Przywitał mnie i udzielił gościny serdecznie, że rozproszyły się nocne mroki. Śniadanie, prysznic, godzina snu. Noc była okrutna, ale powidok Anny został we mnie dobry, tyle było energii w jej oczach - wprawdzie negatywnej, ale dobre i to, przecież wcześniej czy później wszyscy uczymy się jej transformacji w dobrą. Będzie Ani potrzebna.

Ach, jeszcze jedno zdanie, Frank wczoraj wznioł kielichem toast: - Vive l'áamour! - a biedna Ania powtórzyła omylnie: - Viva la muerte!

I spacerowałem znów wiele godzin, zwiedzając galerie i wystawy malarstwa - żadnych oczarowań. Nasi współcześni, Przyjacielu, malują impresje ze śmietnika kultur, przedstawiają jakże istotne swoje reakcje na świat, w najlepszym wypadku wyrażają siebie, a cóż mnie, u licha, obchodzi czyjeś mniej lub bardziej wyrażone ego.

Interesuje mnie w malarstwie kreacja, energia tworzenia, światło objawione. Ale to, zdaje się, trzeba malować, aby móc oglądać.

Herbata jaśminowa w maleńkiej kafejce, gawęda z człowiekiem, którego gdzieś już w ostatnich dniach widziałem, pamiętam, że

nasze oczy spotkały się życzliwie. Irlandczyk trochę młodszy ode mnie, wędruje, pisze wiersze, zawsze ma przy sobie maszynopisy, niekiedy ozdobione rysunkami - i żyje z tego, ofiarując je w kawiarniach i pubach oraz ludziom spotkanym po drodze. Bardzo czyste wrażliwe na światło oczy. Za parę dni jedzie z przyjaciółmi do Nepalu.

Może chcę z nimi pojechać? Byłbym siódmy w wielkim Mercedesie kupionym od urzędu pocztowego. Cóż, mój nowy przyjaciel pochodzi z Zachodu, ani się domyśla, ile czasu, pieniędzy i rozterki musiałbym poświęcić, aby zdobyć wize do tych wszystkich krajów po drodze. Przecież dla tych wszystkich bałwanów w mundurach mój paszport jest jak ja czerwony! Mój czas przebiega w innym kierunku, pięćdziesiąt obrazów spoczywa w berlińskiej piwnicy, gdzie jesienią robi się wilgotno. Żegnaj się z Irlandczykiem życzliwie i pewnie na zawsze. Wychodzi, i zaraz mam przy stoliku trzech Niemców z Berlina, kolejna gawęda, bezpośrednia sympatia Dietera sprawia, że notuję jego berliński adres.

Chwilami wraca mój podstarzały pierdolec - że wspomnę Mario złośliwą wiedźmę, której krakanie o śmierci do mnie dobiega z mej czarnej przeszłości. Raz jeden w życiu ktoś chciał mi wyrządzić bezinteresowne zło.

Kiedyś widziałem we śnie Wandę, biegnącą za mną w mroku z wołaniem: - Wróć, przecież cię kocham... - a kiedy niezdecydowanie zwolniłem, usłyszałem straszliwy szum kosi, którą usiłowała mnie ściąć. Wanda, pocziwa, że ledwo komara uśmierci, jako kosynier? A wczoraj w Annie, która mi szczygłem śpiewającym, górskim strumykiem pełnym czystej wody, widziałem czarną damę, viva la muerte.

Zapada mrok, na zachodzie muszla płomienna, z której uszło słońce. Dobry wieczór, nocy! Patrę na pejzaż ziemski i zwykły, a jednak piękny i wzruszający głęboko. Pieszczotliwie łagodnie wznosząca się smuga dymu z komina, parę dachów i drzew prawie czarnych, w tle głęboki błękit. W pejzażu nie ma nic niezwykłego ani szczególnego, jest piękny przez to, że jest.

Jeszcze jedna wizyta, dziś jestem u Jaapa, bardzo holenderskie mieszkanie: kwiaty, obrazy i stare meble, dywany, dobra muzyka,

płonące świece i wonna herbata, swojska atmosfera wśród ludzi, z którymi nawet nie muszę rozmawiać. Tyle, że trochę niewygodnie pisać na kolanie. Jaap z niedowierzaniem kiwał głową, oglądając na przeźroczach prace moich ostatnich trzech lat, znał przecież tylko twórczość na papierach. Jak to określił? Jako malarstwo ducha, łatwo pojmowalne, bo bezpośrednie w doświadczeniu, bez ładunku symboli. Po czym mnie przekonywał namiętnie, że teraz winienem zrobić coś dla siebie, czyli zwać w Himalaje, usiąść w lotosie i medytować rok albo pół życia. Żartuję, że przecież tam byłem dwa wcielenia temu. Także w obecnym wcieleniu często ludzie pytają, czy jestem z Indii. Tym razem urodziłem się w Europie, z pewnością po coś. Już zresztą jechałem w stronę Indii przed czterema laty, ale rozbiłem wóz w drodze, czyli los nie pozwolił.

Czuję się zmęczony albo rozkojarzony po potężnym sniffie. Kokaina mi nie służy; będąc nawet tak high czuję jej dwojakość - jasną energię, z którą nie wiem co robić, skoro w pobliżu nie ma farb, pędzli i płótna - oraz ciemny wiatr, przeciąg z drzwi otwartych na bezmiar zrobiony z przygnębienia i klajstra. Już zresztą bije północ, pora na spacer do Jana i sen bez pamięci.

Sobotni poranek 26 sierpnia jest w melancholijnym deszczu. W Warszawie narzekałem, że rosną mi korzenie, teraz jestem w próżni. Mój drogi i daleki, nie wiem, czego chcę, co znaczy los, czy ja sam go kształtuję. Zapewne, ale moje działania nie są na tyle świadome, abym mógł znać konsekwencje. Jestem chłopakiem ze wsi i zwykłym człowiekiem - mimo Twych sugestii. Na zwykły sposób łaknę miłości, pokoju, spełnienia. Miriady ludzi mają dom, rodzinę i pracę, określoną przeszłość, przyszłość pełną nadziei. Taka normalność jest mi niedostępna. Cierpię, pewnie, że cierpię, chociaż nie zamieniłbym cierpienia na byle jaką rozkosz. Ach, nawet nie oczekuję, abyś mnie rozumiał. Mój program na czas najbliższy - odsunąć się od cyganów, włóczykijów i fryków od siedmiu boleści. Nie jestem z nimi. Prawda, ja też odpadłem od społeczeństwa, ale ku prawdzie. Boże boże wielki, pozwól mi wrócić do malowania, ono mnie przeprowadzi przez

wszelkie wądoły. Tylko praca przynosi wytchnienie. Za ścianą piękne śmiechy i dokazywania - to Jan ze swoją córeczką Babetje.

W wieczór sobotni parę słów przed snem. Był dzisiaj spacer w parku i koncert, dwie, trzy wystawy, obiad z Babetje i Janem, przegrana partia szachów, odwiedziny Elizy i Richarda, sherry i gadu-gadu. Pod wieczór wypogodziłem się na tyle, że łyzy się nie cisną do oczu. Chciałem jechać stąd jutro porannym pociągiem, mam ostatnią stówę na bilet kolejowy, lecz Jan namawia na wycieczkę do Haarlem. Sens mego życia nie jest poza mną - to pewne.

Niedzielny poranek, serce uderza wahając się, wolno. Pada rześsisty deszcz, nie śpieszę się ze wstawaniem, w taką pogodę pewnie nigdzie nie ruszamy.

Powracam w czas dzieciństwa. Tak czysto! Zima, grubo oblodzone szyby, przez wychuchany w lodzie otwór mały chłopiec patrzy na podwórko, lśni połyskliwie śnieg w słońcu, mijają sekundy, wieki.

Jak się tutaj znalazłem? Gdzie to właściwie jest, planeta ziemia? czemu to wszystko jest niepojmowalne? Czy wymyśliłem świat takim, jakim go przeżywam? To przecież inni włożyli we mnie sentymenty, potrzeby, przywiązania, to przecież świat, czyli inni, nauczyli mnie żyć. Aby teraz, o własnych siłach, musiał się od przekonań uwalniać. To boli. Wyrzucam z siebie zwiazki, nawyki, protezy, często z kawałami żywego mięsa, płynie krew, ten deszcz za oknem jest z mojej krwi, nie widać końca procesu.

Dzieciństwo ma czyste oczy. Później będą mnie uczyć jak kłamać, sprawiać ból, zdradzać i zabijać. Teraz patrzę przez otwór w lodzie na zasypany śnieg w słońcu, iskrzy się świat niezmierny.

Przyjechaliśmy pociągiem do Haarlem, wypożyczyliśmy dwa rowery i oto jesteśmy nad morzem. Wiatr szarpie moim zeszytem podróżnym.

*Morze północne rozpościera muzykę nad nami,
wiatr porywisty, mgła nad falami i piaskiem.*

Jakże podobne jest do mnie to morze!

*Powoli się wzburza, długo uspakaja,
żadnego wiatru nie nazywa nieprzyjaznym,
z równą czułością traktuje brzeg,
mewę, muszelkę, człowieka.*

Nie, nie jest obojętne, chociaż nie zna śmierci.

Siebie nie jest świadome, ani mnie.

*Powoli oddycha
w rytmie mego serca.*

Niedziela kończy się rymem do ach! Piszę w łóżku, ostro znużony ale szczęśliwy na tyle, że nie chcę dnia zatrzymać dla siebie, lecz dzielić się nim z Tobą.

Pociąg do Haarlem, wypożyczalnia rowerów jest na każdym dworcu Holandii! Około południa niebo się przejaśniło, wyjrzało spoza chmur słońce.

Haarlem jest starszy od Amsterdamu i chyba jeszcze piękniejszy, stareńkie bajkowo barwne kamieniczki, jezdnie niekiedy ułożone z takich samych cegieł jak domy, z lekka pofalowane przez stulecia. Miasto kompletnie puste, nad morzem ma miejsce wielki raid samochodowy, z dala nam towarzyszy ryk silników. Przejechaliśmy przez Haarlem, ścieżką nad brzegiem morza do Zandvoort, stąd ścieżką dla rowerów do Castell Beach; w białym pawilonie piliśmy kawę, patrząc na żagle walczące z wichurą. Potem jeszcze 10 km drogą ogrodzoną kolczastym drutem - bo wstęp na wydmy wzbroniony, tam tylko mewy składają w piasku jajka - i byliśmy na plaży. Na białym piasku w słońcu i huraganowym wietrze nic nie robiłem, byłem poprostu szczęśliwy, Jan bawił się z Babetje, ja fruwałem z mewami.

Po godzinach poszliśmy w diuny rzadko porośnięte szostkami

trawami i krzewami jeżyn w obfitości owoców; bardzo dojrzałe i smaczne. A potem pedałowaliśmy pod wiatr i pod górę, moje nogi są wprost omdlałe. Herbata i ciastko jabłkowe w Zandvoort, pięknej miejscowości wypoczynkowej, i znowu baśniowe domki w drodze do Haarlem, czyste, obrosnięte kwiatami. Podziwiam szczerze: każdy metr kwadratowy ziemi jest zadbane, tu nawet ziemia została zrobiona przez ludzi, odebrana morzu, nic dziwnego, że o nią dbają. Kraina to jeden wielki ogród. Raid się skończył i jezdnie były zapchane, ale rowerami śmignęliśmy szybko wzdłuż kanału Leidse-Haarlem; już w siedemnastym wieku miał tutaj miejsce regularny transport ludzi i towarów na łodziach ciągnionych przez biegnące po brzegach konie. Wróciliśmy na stację w samą porę, po chwili w zachodzącym słońcu do Amsterdamu. Który wydał się zakurzony i tłoczny.

Wstąpiliśmy do Marjoleine malarki poznanej przed trzema laty, trafiając w porę na obiad - sałata, spaghetti i groch w sosie na zimno, Armagnac, kawa i wino. Głodny jak wilk dokładałem trzy razy.

Jan poszedł do domu, aby ułożyć Babetje do snu, i wracając przyniósł przeźrocza mych obrazów. Marjoleine dobrze widzi me prace, dostrzegając w nich płomień i pokój. Jakby onieśmielona prowadziła mnie do pracowni, ale obrazy ma śmiałe i nawet brutalne, robi autentyczną sztukę, ma przejmująco dzikie i żywe autoportrety. Jeśli nie jest geniuszem to dlatego, że boi się zwariować. W jej atelier podobnie jest jak u mnie, gdy zatrzymuję się gdzieś na dłużej - białe ściany, rośliny i obrazy, brak ozdób.

Stwierdziła dwa razy, że ja przekroczyłem granicę. Szkoda, nie zapytałem jaką, co przez to rozumie. Czyżby intuicyjnie przeczuwała Przekaz? Jeszcze szklaneczka whisky, i o północy wróciliśmy do domu.

*Przyjaciele, radujmy się, wokoło się szerzy niezmierna noc,
tyle gwiazd iskrzy się nad morzami, łąkami!*

Tyle miast

Isni migotliwą poświatą,

ach! tylu ludzi się kocha w tej chwili,

pracuje, umiera, rodzi się lub śni.

Za parę godzin jest jedyny brzask.

Dochodzi południe, pamiętam noc. Kiedyś Ryszard wymyślił przyjaciółom test samopoznawczy pt: z którą postacią mitologii czujesz się tożsamy. Najbliższy mi Prometeusz. Wtedy chodziło o ogień, teraz o ból wątroby, którą ktoś wyjada.

Wykąpałem się, zjadłem śniadanie, zrobiłem małe pranie, piję dużą kawę. Jan kochany powiedział, że chętnie służy pożyczką, kierując się intuicją, bo przecież nie narzekałem. Poproszę go zatem o stówę, nie więcej, bo przecież trzeba oddawać. Jadę do muzeum.

Rozczarowała mnie ta wizyta; wystawa mistrzów rysunku wczoraj się skończyła, więc oglądałem stałą ekspozycję, wspaniałości Vermeera, Rembrandta i Halsy, jeszcze Alessandro Magnasco z jego niezwykle bielami, nieujarzmiony Tintoretto, ach! wszystko znane z przeszłości aż do bólu brzucha. Nie lepiej było iść do parku, gdzie wszystko zawsze nowe?

Ostatnia to kawa w Golden Ham. Obok mnie siedzi chłopiec w białych płóciennych szatach, nie mogę się napatrzeć jak zręcznie posługuje się przy jedzeniu palcami, bez sztućców. Zamieniamy słów parę, medytuje, jest Sufi, ostatnie parę lat spędził w Persji. Dziewczyna z lewej to francuska poetka, mozolnie coś skrobie w notesiku, rumieni się przy tym i wybucha śmiechem.

Jak oni wchodzą do Przekazu, ludzie wszystkich dni? Jako moja impresja, czy tacy jacy są, ze wszystkim, czego w nich nie rozpoznaję? I co w ogóle znaczy informacja w odniesieniu do istot tak plastycznych?

Oto północ. Smaczny z Janem obiad pożegnalny: kasza, mieszana sałata, pomidory w sosie, jogurt z owocami, a na deser przy partii szachów wysączyliśmy flaszkę Dry Martini. Odnowiłem się tutaj, w atmosferze przyjaźni, która niczego nie żąda, zwykła jak oddychanie.

29 sierpnia w podróży, w przedziale dwie holenderskie panie i ciemnoskóry chłopiec z Iranu, który jedzie do Berlina, aby studiować medycynę. Interesujące rozmowy, pewnie, że pokazuję przeźrocza. Ciekawe, ludzie mówią często o Turnerze jako moim przodku; znam go zaledwie z paru reprodukcji, podejrzewam, że chodzi o ducha, esencję.

Pejzaż niemiecki jest już taki inny! Mniejsze okna, w oknach mniej kwiatów, architektura solidna raczej niż kolorowa, nie ma tej miłości do życia, jaką się czuje w Holandii. Trudo się dziwić - Niemcy i miłość do życia!

Ile to lat temu żegnał mnie Andrzej na tym szarym peronie Hanoweru za oknem, ze łzami w oczach, rozpaczający, że nie może wrócić do Polski? Siedem, osiem... teraz znów jest w Warszawie, zapewne wkrótce spotkamy się znowu - w Berlinie. Noc była wtedy zimna i wietrzna, dzisiaj też chłodno, pochmurnie, chwilami pada deszcz. Moja pogoda wewnętrzna wzmocniła się w te lata; nadal jestem obcy, może poczucie samotności czy odrębności wzrosło, a jednak - na tej planecie prawie jak w domu. To dzięki malowaniu stałem się, staję się, sobą. Staję się, to proces ustawiczny, dziejący się i dziejowy, a nie ostygnięcie w formie, choćby przedustawnej.

Pod Hannoverem na małej stacji kolejowej weszło do przedziału dwóch młodych szybkich mężczyzn, ubranych zwyczajnie w dżinsy i swetry. Zwrócili się wprost do mnie z pytaniem czy wiozę jakieś narkotyki. Zaprzeczyłem zgodnie z prawdą, chociaż, jak żartował Jastrzębiec, gdyby mnie tak np. wygotować i odcedzić, to pewnie sporo łakoci zostało by na sicie. Dokładnie przejrzeni portfel i torbę, znajdując moje śliczne puzderko ozdobione perłową macicą i morskim konikiem, a w nim ostatni polski proszek od bólu głowy z krzyżykiem. Uwierzyli, że na ból głowy, ale wywąchali, że był w nim haszysz. No pewnie, że był - stwierdziłem zgodnie, wcinając nadal kanapkę z serem. Nie przejmuję się wcale, wykonują przecież tylko swój obowiązek, chociaż to pieski los i obowiązek.

Poszli sobie. Tyle razy przekraczałem już różne granice, zwykle mając przy sobie coś do palenia, albo jedyną pigułkę; dzisiaj nic nie mam, więc trzeba mnie sprawdzić. A gdybyś widział reakcję ludzi w przedziale, Niemców już od godziny. Oburzenie na twarzach, nikt nic

więcej nie mówi, nikt na mnie nie patrzy. Jak zaistnieją w Przekazie?

Wreszcie dojeżdżamy do Berlina, to męcząca podróż, w przedziałach brudno i duszno jak w kolejce do Przeworska.

Trzydziesty sierpnia, zmierzch chłodny i harmonijny w szumie aut, odgłosach kroków, jeszcze warkot helikoptera i krzyki bawiących się dzieci. Na ławce w małym ogrodzie nieopodal Theodor-Heuss-Platz. Zieleń krzaków ciemnieje, róże pachną, żyją. Może jeszcze wrócą słoneczne pogody, może po chłodnym lecie jesień nadciągnie słoneczna? i ciepła, na litość boską!

Ostatnią noc spędziłem u Christianów, bowiem na drzwiach u Rumpła znalazłem anons, że wyjechał do Amsterdamu, do mnie. Ciekawe, czy mnie tam spotka. Wyszedłem na spacer, aby oszczędzić przyjaciołom niepotrzebnych atrakcji, bo łyzy same płyną mi z oczu. Pewnie, że bez powodu!

Po zimnym deszczowym dniu niebo się wszakże roz pogodza i mnie również dotyka spokój. Z dala od tych, którzy mnie kochają.

Coś zrobiło się pewne - wróciłem do Berlina z wiedzą, że tu ma być mój dom. Jakże nie płakać.

Wieczór z Petrą i Christianem. Poznali się w pociągu NRD i pokochali, po długich przygotowaniach udało się jej uciec na zachód, pobrali się przed trzema laty. On pisze swą wielką księgę, ona jest nauczycielką. Ze zgrozą w głosie opowiada o szkole, ponieważ zajęcia zaczynają się za parę dni. Jest to wielki kombinat do nauczania. Kompletna klimatyzacja, od której dostaje się bólu głowy. Okien nie wolno otwierać, bo klimatyzacja kaszle. Pełna nowoczesność nauczania polega na likwidacji indywidualnego kontaktu między uczniem a nauczycielem - są wszakże komputery i testy, maszynki do przerabiania dziecięcych mózgow na wysoce użyteczny grysik. Nieustanne wyścigi - trzeba być najlepszym, tylko tacy znajdą pracę i będą mieli coś pewnego w życiu.

W telewizorze film o Munchu, czasami widzę poruszenia pędzla i przyglądam się serdecznie; widziałem innych malarzy przy

pracy ledwie parę razy, a to takie ciekawe, i można się uczyć.

W moich obrazach kosmiczna cisza i spokój, we mnie gorączkowo i niespokojnie. Ile czasu będzie dane memu ciału, zanim pełnia się spełni? Jakże nie śpieszyć, kiedy tyle do zrobienia.

Kim jestem? Czym jestem?

Tak, to moje ciało, długopis, moja ręka, która teraz pisze. Ale nie jestem ani tym, ani tym, ani tamtym. Patrzę w siebie i widzę niewiedzę. Która nie jest kompletna. Mogę ją nazwać przestrzenią.

W tej przestrzeni jest moje ciało, przeżywanie, kot który spaceruje po parapecie okna, planeta ze stołem nakrytym koronkowym obrusem, słońce obok planety, niedojedzona kromka chleba na stole. A to wszystko czym jestem, i nawet to wszystko, czym nie jestem - bardzo by chciało pomalować.

1 września w chmurach. Spałem u Christianów, w południe odwiedziłem Waldi i zrobiliśmy wielki obiad. Mieszka w norze. Tak zresztą nazywa wszystkie swoje kolejne miejsca pobytu, bo przecież nie ma domu. Wyznał, że czuje się jak szczur. Pewnie ten z chińskiego znaków kalendarza, bystry, zapobiegliwy, energiczny. Jest tzw. złota rączka, naprawi i robi wszystko, co trzeba. Zatem jest w drodze, wszędzie jakoś dając sobie radę. Poznałem go w Warszawie jako młodego pisarza, fajne opowiadanie wydrukował; tak mi przynajmniej ktoś mówił, że to Krzysztof zamknął go w pokoju i zagroził, że nie otworzy drzwi, dopóki Waldi nie napisze tekstu do jakiegoś 'naszego' pisma.

Pojechaliśmy do Kalle i Helgi, przyjaciół dla tych, którzy w drodze, zwłaszcza, jeśli są z Polski. W Halle, bo pochodzą ze wschodu, mieli dom otwarty. Tu jest inaczej, ale znakomicie - w każdym kątku po dzieciątku, a na tym się pewnie nie skończy.

Nocą pojechałem znowu do Christiana, gdyż zostawiłem tam zeszyt, w którym piszę do Ciebie, a bez niego nie ma jak poruszać się w świecie.

Z zeszytem przy boku poszedłem do pubu Kastanje na Schlossstrasse; zanim zdążyłem cokolwiek zapisać - przyszli Richard i

Rumpel, już z powrotem z Amsterdamu, gdzie mnie jednak nie znaleźli. Piwo, a potem dyskoteka Bowie i pijaństwo z amerykańskimi kowbojami z Air Force, którzy tam byli z wielką flachą whisky. Napić się trzeba, prababcia Mike'a pochodzi z polskiej Babiej Góry.

I tak dali i tak dali, a co dali, zamazali, jak twierdzi porzekadło. A na lewej dłoni - od wewnątrz, gdyż to moja sprawa - mam pieczętkę z napisem BEZAHLT, że za wszystko zapłacone!

Wspominam noc błękitną jasną kiedy cwałowałem konno, wzbijając się ponad pola i wieś w zawrotnym wicherze i pędzie, w uniesieniu i czujności niezwyklej, bowiem nieziemski mój rumak miał grzbiet zębaty jak wielka piła, siedziałem w zagłębieniu między pagórami kostnymi cienkimi jak brzytwę, ścisnąłem rumaka kolanami czuły na jego rytmy, wiedząc, że chwila nieuwagi wystarczy, abym został przecięty i spadł jako połówki niezdolne do lotu i życia. Przez szpary między deskami przenikało do stodoły księżycowe światło, gdy obudziłem się ze snu, siano pachniało mocno całymi łąkami, a chłopiec, którym wówczas byłem - czy on się domyślał ze snu metafory na życie?

Niedziela trzeciego września jest znowu dniem chłodnym, pochmurnym. Chciałbym żyć po ludzku, czyli malować. Mieszkanie Rumpla jest szczególnie chłodne, słońce tu nigdy nie zagląda; potwornie śmierdzi, na parterze jest masarnia ryb i wielki sklep.

A oto, co mi się przydarzyło przed chwilą, gdy jestem w domu sam. Nastawiłem wodę na herbatę i wyszedłem na korytarz do ubikacji. Drzwi zatrzasnęły się w przeciagu, gdyż nałogowo otwieram okna, a wiatr huraganowy.

Odałem się, i próbowałem wybić drzwi ramieniem, nie mogąc wszakże uderzać z całej siły, bo odzywa się ból w kręgosłupie. Wyszedłem na ulicę w naiwnej nadziei, że może wóz policyjny, że poproszę o pomoc. Mam kwadrans czasu, po wygotowaniu się wody zacznie gotować się i topić garnek. Wszedłem w podwórko i zacząłem szukać czegoś poręcznego; westchnienie ulgi, jestem przecież w Niemczech i nawet w tak biednym domu znalazł się w podwórzu sto-

jak z narzędziami. Wybrałem łom. Ostrożnie, by nie narobić niepotrzebnych szkód, wyrwałem obudowę zamka. Woda już się zagołowała, mogłem się napić herbaty i włożyć zamek do drzwi, wspomagając nadwątlone drewno klejem. Zjadłem jeszcze śniadanie i poszedłem w Zamkową, dzwoniąc po drodze do Christiana - a ten mówi, że z Warszawy przyjechał Andrzej, którego parę dni temu wspominałem. Umówiłem się z nimi do kina, na Rok 1984 wg. Orwella, ale już w drodze do Kastanii rozmyśliłem się, bo co mnie w końcu obchodzi ta psychopotyliczna bzdura.

Wolę tu pobyc z Tobą, skoro miałem sny wieloznaczne, znowu sny po długiej przerwie, i to parę, jakby się coś odkorkowało; spiszę je tutaj, łatwiej będzie pojąć.

Wyobraź sobie, że idziemy z mego domu rodzinnego do stacji kolejowej w Niedrzwicy Kościelnej - przez łąki, kładką ponad strumykiem i obok zabudowań Kluska dochodzimy do polnej drogi z kępą brzoź. Śniło mi się, że tu się właśnie zbudziłem - jakbym spadł z wysokości w trawę obok brzozy. Podniosłem głowę i zobaczyłem żołnierza przy torze kolejowym, który znajdował się tuż tuż, znacznie bliżej niż jest faktycznie na ziemi. Żołnierz był wysoki, obcisły mundur, matowo lśniący hełm. Ta ulga momentalna, że był zwrócony w stronę północy i mnie nie dostrzegł. Wiedziałem, to Niemcy, strzelają do wszystkiego co się rusza. Następnie zobaczyłem sunące na platformach czołgi i ciężkie działa.

I nagle zrobiło się pusto, zmienił się dzień lub pogoda, ze słonecznej wyrazistości się przemienił w pochmurny, przemglony. Wiesz, śnił mi się jakby inny wariant tej samej sytuacji, przede mną rząd świerków, żywopłot przy torze, na polu rolnik z koniem i bronią. Wokoło mnie leżały porozrzucone w upadku przedmioty: książka, fajka, żółty zeszyt, w którym teraz piszę, jabłko. Pozbierałem, wrzuciłem do torby, otworzyłem zeszyt, w którym teraz piszę.

Rolnik - nie pamiętam czy go znałem we śnie, pamiętam jego wygląd, był suchy, przygarbiony i mocny, z pobrużdżoną twarzą jak milion braci pracujących na roli - popędził raptownie konia w moim kierunku, wyprzągnął go z bron, i - krzyżąc do mnie, abym stąd uciekał - sam uciekł. Zza zakrętu ocienionego świerkami wyłonił się pociąg pancerny najeżony lufami, potem drugi wojskowo-transportowy

załadowany armatami, czołgami. Liczyłem je, zapisywałem dane w zeszytach dokładnie, fachowo, czułem się na służbie.

Przez ażurową zasłonę zobaczyłem kwiat amarylis na oknie, ścianę za oknem, szare światło dnia. Przebudziłem się. Potem - uświadomiłem to sobie - jest wszystko.

Przyjechałem znów do Berlina, i trochę rozglądam się: czy spotkam może tych Niemców, których widziałem w dzieciństwie? Czy oni może już wszyscy wymarli? W jednych snach występują jako maszyny do zabijania, w innych konkurują zaciekle i ciuflają, aby się naćpać. Nie, tu nie idzie o ćpanie, chodzi raczej o to, aby zabezpieczyć się przed niewiadomą, która z przeszłości szczyrzy upiorne zęby lśniące pożogą mordów.

Zamyśliłem się niepewnie, obudziłem milej, tym razem w amsterdamskim burdeliku. Ulrike mnie łaskotała piórkami swego szala, była tam także Anna, i poczułem się skrępowany, jakby mnie całego włożono w ramy, które może nawet nie ograniczają, lecz określają moją widoczność. Zwróciłem się ku Ulrike, rozmowa, pieszczotliwy uścisk. Poszliśmy na górę, biorąc jakąś flaszkę ze sobą. Widny jasny pokój, w odległym roku popiskujące dziewczyny, duże akwarium przy oknie. Prawie się zaplątałem w wodorostach, gdy Ulrike znów do mnie podeszła. Pocałunki, leniwe pieszczoty na kompletnym luzie, jak pociąganie ze szklanki i przypalanie papierosa. Byłem tam jakby kolega, nie klient, zabawa zaczęła mnie wciągać, i poczułem jak Ulrike zaczyna dygotać stając się kobietą; otacza mnie jedną nogą i drugą, tak że zawisa na mnie, otwarta. Przenoszę ją na łóżko i kładę, ze śmiechem ściągając jej suknię, dotykam spazmatycznych sutków i warg sromowych, zachwygam się wydzielanymi krystalicznościami. Z takiego snu nie trzeba się budzić.

- Śnie, trwaj, jesteś wieczny - jak nie powiedział Goethe.

Miejsce, gdzie siedzę przy piwie, to Kastanje, jeszcze nie miałem okazji, aby ją dla Ciebie zobaczyć. Jest jakby swojsko, żółto i brudnawo, na ścianach plakaty, na stołach zawsze świeże kwiaty, muzyka rock i pop. Czterech młodych mężczyzn w czarnych skórach od góry do dołu; zapewne zsiadli właśnie z motocykli, aby napić się piwa i pograć w szachy. Chłopiec w trampkach i kompletnie podartych

dżinsach poklejonych białym plastrem; szara podkoszulka, niegdyś biała bluza, twarz bystra i wilcza; patrzy mi w oczy długo i nieruchomo, co odwzajemniam bez drgnienia powieką. Przy stoliku naprzeciw dwie ostro podchmielone pary, jedna z dziewcząt wciąż się odwraca, patrzy na mnie i chichocze; śmieszy ją fakt, że piszę. Przyjaciółka pokrzykuje na nią: - Gaby! - i przywołuje do porządku.

I cóż, mam świeże piwo, mogę dalej? Opowieść Petry z wczoraj wstrząsająca:

- Christian szalenie ostro przeżywa lot samolotem, a z Berlina możemy tylko latać, ze względu na status uchodźców. Zawsze jest nerwowo, w czasie lotu pije dużo whisky albo napala się przedtem haszyszem, żeby się jakoś uspokoić. Ja natomiast ufam moim przecu-
ciem i za każdym razem wiem, że to jeszcze nie teraz, że jeszcze nic nam nie grozi. Ale raz późnym latem w Wenecji czułam, że zaczyna się dzieć coś niesamowitego, jakaś dziwna zwirowana magia, wszędzie są pokrzywieni i kalecy ludzie, garbate strupiate koty, kose spojrzenia, przygnębiająca chmura niemocy i może nawet zła od horyzontu po horyzont! W dodatku w hotelu wieczór zgasło światło i we mgle ciemności straszno brzmiały nawoływania z gondoli, odgłosy rozmów i kroków. Było przerażająco, i nie mogłam spać.

Rankiem postanowiliśmy wyjechać dopóki nie ma trzęsienia ziemi, albo, czy ja wiem... Dworzec kolejowy był spowity w koszmar, czułam że może się nam przytrafić coś złego, śmierć krążyła wokół, raz i drugi pomyślałam o katastrofie. Cóż to się stało, w tej poczekalni na dworcu?! Wokół nas nie było jednego człowieka, widziałam tylko mordki, paszcze, ryje i pyszczki, miny żarłoczne, łupieżcze, hienowate mordy... Byłam porażona potwornością widoku, w którym ani jednego człowieka. Nie było to specjalnie zagrażające, gdyż cały ten zwierzostan okazywał nam obojętność. A potem w tłumie nagle zobaczyłam ludzką twarz, ale tak bardzo, tak przejmująco człowieczą, wprost nie do wiary! bowiem był to pies...

Poszedłem się odsikać, na marginesie więc zdanie z kibla: "Bądźmy realistami, walczmy o niemożliwe!" Obok duża litera A w kółku - znak niepodległej anarchii.

...ale pies też był dziwny, tak, przyszedł do nas, ale nie pozwolił się dotknąć ani pogłaskać, tylko patrzył mi w oczy. Trwało to długo i było niesamowite, więc żeby coś zrobić, zaproponowałam fotografie, i zrobiliśmy sobie nawzajem parę zdjęć z psem. Wsiadliśmy wreszcie do pociągu i ruszyli w drogę. Minęło parę minut i poczułam, jak atmosfera się oczyszcza, niebezpieczeństwo minęło... Wyobraź sobie moje zdziwienie, gdy w Berlinie zrobiłam z filmu odbitki. Na fotografiach jest wszystko: my i inni, posadzka, walizki, kolorowe plakaty. Tylko psa nie ma na żadnym ujęciu.

Czy trafili na swego guru? Był kiedyś zacny w Indiach. Pewien fotograf chciał mu zrobić zdjęcie, i wszystko wyszło - kwiaty, uczniowie, poduszka, na której siedział mistrz i nawet zagłębienie w poduszce, ale jego na fotografii nie było. Biegnie znowu fotograf do mistrza, dziwuje się niezmiernie, ten zaś powiada:

- Chłopcze, chcesz sfotografować czystego ducha? - potem wszakże pozwolił na powtórne ujęcie, dzięki czemu w książce Yoganandy oglądałem guru, siwiutkiego, stareńskiego i przezacnego człowieka o mocnym i gładkim ciele. Nazywa się chyba Mahasaya.

4 września jest poniedziałek po niedobrej nocy; nie mogłem zasnąć a teraz obudziłem się wcześniej i niepotrzebnie już w porze świtania. Przyjechał z wakacji Michael jakiś taki w stosunku do mnie niewyraźny, niepewny, jakby mnie badał. Wyraźny jest w stosunku do mej pracy - akceptował mnie w tych niedużych błękitnych słodkich grafikach sprzed lat, które odniosły sukces w jego galerii; malowanie dużych obrazów wyrzuca mi jako nieskromność.

Żeby to streścić - nora wisiała nad moją głową w tę noc! Żadnego atelier, do którego zapraszał.

Dzień był długi i kończy się pogodnie około północy. Śniadanie z Waldim, który przyjechał tu rano i po swojemu, prawda że zajmująco, głądził o dupie maryni. Chwile z Petrą i Christianem nad przekładem wiersza. Widzenie z Andrzejem, piwo pod kasztanem. Spotkanie z Michaela tajemniczą miną i opowieścią o filmie, który chce robić.

Leżę już w łóżku. Przed chwilą pukanie, chrobot klucza w zamku - weszło dwóch chłopców z Belgii, o poranku wystartowali autostopem z Brukseli, wieczorem w Berlinie nie mieli gdzie spać, więc spotkali na ulicy Rumpla na LSD-owskim tripie, narysował im mapkę, żeby mogli tu trafić, dał klucze - oto już śpią w śpiworach na podłodze.

Na czym to stało? Często miałem wrażenie, że jestem skądinąd, na dawno przed Twą wiadomością. Nie mogłem nijak przyzwycząić się do gęstego powietrza w stosunkach międzyludzkich, do wiatru i kurzu wiejącego z gazet i telewizorów. Naginałem się niekiedy przez czas jakiś do czegoś, ale szybko prostowałem się w mym poczuciu inności. I jakoś żyłem - tutaj, stamtąd.

I pojawiła się wizja, pierwsza taka prosta: punkt świetlny w górze, gwiazda w błękitnej przestrzeni. Druga wizja: gwiazda wewnątrz gwiazdy, tzn. gwiazda wyrzuca z siebie światło-energie tak, że tworzy się jakby gwiazda zewnętrzna, w regularnie mieniącym się wśród przetworzeń siatkowym pulsującym oplocie; podobna do oka.

W trzecim ujęciu kamera albo oko wewnętrznej świadomości świata patrzy na mnie. Jestem tutaj przestrzennym zgęstkiem, a przestrzeń zakrzywia się ku mnie ze stron wszystkich. Istnieję nieskończenie, ale w ogóle wyodrębniam się z kosmosu tylko przez zabieg samooglądowy. Przemieszczam się np. jako abstrakcyjny punkt, ale gdzie zatrzymuję się chwilę - pojawia się w przestrzeni bytu charakterystyczne ugięcie i ściągnięcie wymiarów - zgęstek samoprzestrzeny, wypustka absolutu. Jeśli natomiast nie bawię się samooglądowo, czy mnie wtedy nie ma? Jest poczucie świetlnej nieskończonej nocy, pulsującej rytmicznie przez zgęstki przestrzenne, energoświetlne kolorowe spazmy.

Z wizji wróciłem do siebie, jak ten który pisze, wdzięczność i radość były mym udziałem. Piękno planety, miłość do życia form ziemskich. A przecież były lata chmurne, gdy wyrzucałem rodzicom, że

mnie w ogóle poczęli, bo przecież na ten świat się nie prosiłem. Pycha ignorancji.

Mam poczucie, że nasz rodzaj jest ostatnim odkryciem kosmosu, innowacją, która jest na progu niebywalej ewolucji. To się zaledwie zaczyna!

Czy jeszcze jakąś fabułkę nawinać w środku wielkiej nocy? Opowieść o rudym Holendrze, sterującym mercedesa ku wyspie na morzach południowych? Metaforycznie rzecz biorąc mówię o innym wcieleniu.

Jasna piaszczysta plaża, przez którą silny wiatr niesie tumany piasku na zieloną powierzchnię laguny. Grzmot fal oceanicznych dudniących o zewnętrzny pierścień koralowych raf. Gnące się nad nami czuby palm. Trzaskanie, syczenie, migotanie ognia, który nie zagaśnie...

Zasnąłem w tym miejscu wczoraj, ogrzany ogniem w miękkim locie słów. Czy nie latam jak gupi? Teraz w Bleibtreu Cafe z Andrzejem. Ma ogromną zaletę: oto nie widzimy się lat parę, więc jest chwila rozmowy, ale i czas na wszystko - oto ja piszę, on czyta szwedzkie wiersze i robi notatki do przekładu na polski.

Co jeszcze było nocą? właściwie nad ranem - dzwonek do drzwi, to R i R na najwyższych obrotach w psychodelicznym kieracie. Byłem zbyt śnięty, aby uczestniczyć, pamiętam śmiechotoki z kuchni. Po porannej herbacie Belgowie spłynęli, następnie pranie, mycie, zakupy, śniadanie. I spacer tutaj, gdzie miło, ale tak ciemno od dymu papierosów, że jawi mi się pomysł plakatu przeciw paleniu: ogromny żarzący się papieros, przez żar którego prześwieca trupia czaszka.

Oto znowu wieczór, byłem w międzyczasie w domu, przebrałem się i wyszedłem nie wiadomo dokąd, lecz wiadomo po co. W bramie szedł do mnie Waldi. Przyjechaliśmy do knajpy Michaela, która zwie się "Zielony palec Mc Cartney'a". Wolę Lennona. Muzyka, gwar! Siedzę przy dużym stole, Waldim i piwie, a na zeszycie siada przezroczyista muszka. Też jestem przezroczyisty, czyli dla kumpla stanowczy - wychodziłem na piwo i pisanie, nie zamienię tego na

towarzyskie gadanie. Chcę Ci napisać o wyspie z pamięci, zanim ją przykryje przyptyw zdarzeń. Wyspa istnieje w czasie na mapie wewnętrznej.

Taniec.

Na sypkim ciemnożółtym złociście mieniącym się w słońcu pamięci piasku, który w fontannach wzbija się spod stóp, z sykiem śpiewaniem trzaskaniem gałęzi w ognisku, migotaniem isker w powietrzu na piasku i na skórze, co stają się jednym.

W pełnym słońcu taniec ognia, co nie miał początku i nigdy nie zgaśnie, znasz taki taniec, kiedy ciało jest lotne?

Ogień wieje przez wszystko, którego strzegę, niczego nie spala. Drobiny piasku i iskry, kropelki wody przelatujące w powiewach sponad skał od zachodu, lśnienia i migoty.

Miriady komórek ciała drgają w rytmie, który poza nie wykracza, w rytmie powielanym i rozchodzącym się jak fale - od opuszków mych palców do linii horyzontu wokół.

Jestem ośrodkiem tańca, jednocześnie korzenie wyspy, bazaltowe giganty wynurzające się z jądra planety, z tym co w górze obiega gwiazdy, wprawia je w drżenia harmoniczne i zmienia w iskry gasnące na skórze.

Przyjemnie w knajpie, jakoś tutejszo, Michael dziś osobiście zasuwa przy barze. Oj, co to, może mu przeszkadzam tym swoim pisanie? Zamiast co? Może umyć kufle?

Kiedy tańczyłeś, a w ogniu pękały drewniane polana, ja puchłem przywiązany do pala szorstkimi linami, wokół więzów ciało zsiniało, nabrzmiało. Myślałem, że to może jest upiorny sen, z którego nie mogę się zbudzić, że przecież nie można tak bez końca tańczyć! że pewnie przeżywasz mękę równą mojej. Ale też wiedziałem - ty będziesz żył, gdy moje serce zostanie wyrwane i rzucone płomieniom.

Ziajał się mój długopis? gdzie mnie zapis niesie? Ale to nie ucieczka od jawy, jeśli nawet gonitwa za wiatrem. Po tym życiu będę miał, obiecuję sobie, długie chwile spokoju, pobędę jakieś lato i jesień szczerzłotą w nieznannej przestrzeni, gdzie skupia się i skrapla doświadczenia żywota w jedną kroplę najczystszej energii, i pobywa się nią. Aby następnie w brzuchu matki oblekać się ciałem, i rosnać raz jeszcze - do nowego życia.

Czy może źle, że się usadowiłem w jedynym fotelu przy stole gościnnym, jak się okazuje? Jamnik kelnerki przywiązany do krzesła zaczął na mnie szczeleć. Michael nie spojrzął w naszą stronę. Nie lubi Waldiego? To go tak nastraja? Mają też jakieś finansowe niedomogi, jak słyszę. Rzeczywistość jest złożona w prostocie, prosta w komplikacji.

- Każdy ma swego boga - autorytatywnie komunikował Antonio, ten tramp amsterdamski. W stronach lubelskich, skąd pochodzę, nad wejściowymi drzwiami wieszka się krzyżyk święcony. Michael nad wejściem umieścił tysiącmarkowy banknot, reprodukcję przecie.

- Panie, strzeż mnie od złego - modli się i czyni co czyni.

Wiedziałem, to nie potrwa długo, koniec twojego tańca przyniesie koniec męczarniom. Był moment cierpienia, w którym świat ściemniał i zagaśł, znów rozjaśnił się w migotaniu i blasku, na nowo widzialny. Ból zanikł - porwany w taniec, jakbym się znalazł w zasięgu ognia i momentalnie został przewiany płomieniem.

Tańczyłeś teraz w rytmie mojego pragnienia, uderzeń serca, w melodii oparzeń, ukłuć tętna, uderzeń fal o skały, w rytmie rozedrganym jak światło, którym wszystko się staje. Rytm zaczął się spowalniać, rozsmarowany po czasie, przez moje istnienie jęły się przesuwac obrazy.

Wracałem w przeszłość? Kiedy spojrzales mi w oczy, już nie było bólu. Płynąłem przez szeroki potężny ocean, kroczyłem wśród olinowań statku kołysząc się na lekko ugiętych nogach, w poczuciu siły owiewał mnie słony żywy wiatr.

A był to wiatr przyjazny, nigdy już więcej nic złego mi się nie

przydarzy, wracałem do portu. Objął mnie i zatopił w namiętnej fali gwar tłumu, nawoływania straży, pokrzykiwania dziewczyn i dzieci.

Wielki wilczur który niespokojnie buszował po knajpie wybiegł na ulicę, a za nim pan jego podobny do człowieka o imieniu Yeti. Wrócił niosąc psa w ramionach, posadził go na wysokim stołku przy barze. Pies zachowywał się zbyt radośnie, liżąc włochatą twarz, więc dostał po nosie, jesteśmy w Berlinie i jakiś porządek ma być!

Patrzę na bawiących się berlińczyków, mają fajne życia. A może im zazdroszczę, że mają tak wiele czasu na wszystko? Prawda, że życie innych na czym innym polega, jasno tego doświadczam.

Przez płomień niczego nie spalający, wszystko tworzący szedłem, wędrowałem po zaułkach portowych, byłem znacznie młodszymi. Jak ufnie pozwoliłem się objąć ramionom Eriki, młodsiutkiej kurwy o błyszczących oczach, wciągając ją do wąskiej bramy, aby tam w szeptach, śmiechach i przyspieszającym rytmie serca wbić się w nią kutasem wyprężonym jak dyszel wozu wiozącego słońce po niebie, poruszyć się zwolna raz, drugi i trzeci, wchodząc głębiej i głębiej w płynne krystaliczności jej pochwy, rozwierające się i skupiające zarazem, aby poczuć wzbierający przyływ czasów i zdarzeń.

W uścisku ramion i sznurów wracałem do początku. Potem następowało, co było przedtem. Młodzieńcze uniesienia z błahego powodu albo bez powodu, dlatego że się żyje i oddycha. Poprzednie życie zjawiało się w krótszych albo dłuższych błyskach, sytuacjach nieciągłych i wyraźnych, jak piasek wzlatający spod stóp w tańcu. Czułem się podwojony, powielony, rozmieniony na pojedyncze komórki i kropelki wody, obłoki, liście, przez które migotliwe światło...

Tymczasem Waldi poszedł; nie jestem towarzyski, prawda, nie mam też zobowiązań. Co mógłby mi powiedzieć widzę przecie - w nieruchomym i szklanym błękiecie oczu.

Kawał przelotu w ostatniej godzinie! Siedzi na podłodze i patrzy we mnie wspaniale zmięta szmatka pod tytułem pies. Wychodzi na ulicę, zapewne żeby się odlać, po czym wraca, układa na podłodze i gapi.

Oderwałem się od pisania, aby zapalić, i napotkałem spojrzenie człowieka bez lewego ramienia w wieku sześćdziesiątki, skłoniliśmy głowami, wziął w rękę swą szklanice i wznosił ją ku mnie, ująłem swoją i przepiliśmy z daleka, ponowne spojrzenie w oczy i skłon głowy. Zapytał, czy chcę ognia, ale już miałem w ręku zapalniczkę. Zajarzyłem skręta, podaję go po chwili na prawo - chłopcu mej przyszłej dziewczyny, która siedzi za nim. Nic niepokoi kalekę? A błysk wyobrażenia, w którym jest postrzelony przez polskiego żołnierza w Berlinie?

Wstałem do Michaela, oto wojak jest przy mnie, każe mi zgasić peta, bo częstuje Lordem, i może mi podać ogień zapalniczki, z którejś dla jakiegoś powodu jest dumny.

To fajna myśl, że u Rumpla pomaluję na biało większy pokój, z rupieciarni uzbieram jakieś lampy i zainstaluję oświetlenie. Waleczne zamysły bezdomnego.

Już pisanie zanika, nie ma koncentracji, mam Achima, który podszedł życzliwie z pytaniem, co piszę, że mu opowiedziałem, co piszę do Ciebie. Że z tego może wyjść nic, ale o wszystkim.

Jest fotografem, żałuje, że nie ma przy sobie kamery, taki mu się zdaje fotogeniczny. Zrobił na plaży japońskiej, powodowany czystym natchnieniem o świcie fotografię flaszki Guinnessa, przyjaciel wysłał do Anglii, firma zrobiła plakat z napisem, że Guinness podbija świat - i Achim ma trochę szmalu.

A tak naprawdę pracuje, aby cechy boga, wymyślonego przez ludzi i obdarzonego ich najlepszymi cechami - przywrócić ludziom.

Nie wierzę mu słowem, jeszcze jeden wariat! Przysiadł się jeszcze stary wojak, naskarżył na odstrzelone ramię w Berlinie. Chciał dostać najmniejszą jakąś polską monetę, grosik, postawi mi za to dwa piwa. Istnienie jako manifestacja tęsknoty.

Ale ja nie chcę piwa, po czterech głowa się kiwa, trzeba mi stąd ruszać. Nieźle się ułożyło - rzeczywistość dnia kolejnego pozwoliła się przeżyć.

6 września popołudniem notuję u Rumpla, że obrazy tańca

powyżej to sygnały zamieszania z okazji dialogu z rudym Holendrem w drodze do Amsterdamu. Jeszcze do tego wrócę w chwili innej, bowiem się śpieszę, o szóstej mam być u Richarda w Kreuzbergu. R i R są cały czas ze sobą i grają rozbyczony teatr. Mają też dobry acid.

Siódma. Łagodnie zaczyna się trip. Są zapalone świece, Richard i Rumpel odświętni, misa owoców jarzących się i żywych, stareńki zielonkawy popękany piec. Spokojnie, powietrze staje się widzialne, jesteśmy pod przejmująco wczesnym błogosławieństwem Bacha. Staję się jego muzyką pełen najdotkliwszej wiedzy, że on to wszystko rozumie i dziękczynni, że pozwala przeżyć byt harmonijny!

*Oto na życie
patrzę znów po raz pierwszy.*

*Jakże jest rozległe!
mieni się przede mną miriadami zdarzeń,
a każde gotowe uwodzić
w namiętne korytarze pożądań i spełnień.*

*Lecz ja
przeżyłem swe życie ufnie
oddając się wszystkiemu,
że nie ma już we mnie nikogo na dzisiaj,
kogo można uwieść.*

Minęło życie, potem drugie i trzecie w coraz smutniejszym celu. Nie lubię atrakcji. Bliżej mi do abstrakcji.

Jest czwarta nocą. Pootwierałem okna, bowiem pokój do którego wszedłem pachnie nieświeżą pościelą.

Tutaj mam - spać? mi dopomoże - zmęczenie?

Raz jeszcze rozelśniła się przede mną zasłona Mai i znikła, rzucając mnie o byle co, byle gdzie. Jakby to streścić?

*Zbrukany śmieciami zachodniej cywilizacji.
Z czym?
Chyba tylko z deszczem mam tu coś wspólnego,
z błogosławionym echem Bacha
i deszczem, co pada za oknem.*

*Zmęczona jest głowa, oziębione serce.
Moje ciało ciężkie, nie do uniesienia.*

*Daleko od rzeczy najprostszych:
zagroda ze świeżym sianem, poszczekiwanie psa,
zroszona trawa, po której można iść bosą,
głos jakiś wołający w oddali -
nie to powietrze, które dusi.*

Skóra mi pęka ze zmęczenia, komórki ciała mdleją przez ćwierć Europy.

O świcie prysznic i herbata. Niewątpliwie tej nocy skala i kierunek przeżywania były pod kontrolą świadomości. Nie, to nie tak! nie było żadnego kontrolera ani dziurkacza do biletów; były - w polu świadomości. A świadomość - w obliczu obnażonego oceanu nieświadomości, z jego nieskończonymi falami zdarzeń i doświadczeń.

Dzisiaj odmówiłem oceanowi. Wolę szklankę wody czystej i żywej. Widzi mi się, że wziąłem trip, aby przestać tripować. Mniej jest więcej, naprawdę.

Ciężko. Moje oczy patrzyły na Berlin, ten pofałdowany, biedny, brudny, nostalgiczny Kreuzberg, jakże podobny do warszawskiej Pragi. Ach! smutne życie w kamienicach, kamieniu, betonie. Współczuję tym, którzy tu się rodzą, kochali, cierpieli. Którzy czynią to teraz i zawsze, i na wieki wieków, amen.

Że do tego stopnia unieszczęśliwiło mnie na tripie nieświeże powietrze, brudne ściany, śmierdzące ulice! Między R i R a mną nie było dobrej komunikacji, przez język trzeci, angielski. A nastawienia życiowe też inne - oni chcieli się bawić, a mnie to męczy i nudzi. Gdy pobywali chwilę ze mną - przestawali tripować.

Oni to nieskończone czuby - a brali mnie za wariata! Leciał film w telewizji - a ja wolałem raczej TV-set rozstroić i patrzeć na kolorowe migające plamki, gdyż to było ciekawsze niż opowieść o ludziach filtrowanych przez mózdzek filmowca.

Byłem zatem w przelotnym domu, umyłem się, ogoliłem i przebrałem, poszedłem na długi deszczowy spacer do parku, siedziałem w trawie, zebrałem bukiet z siedmiu rodzajów kwiatów na łące, zaniósłem go po drodze Christianom, gdzie byłem krótko, ponieważ zajęcia chroniczno-telewizyjne. Teraz, dziesiąta wieczorem, siedzę w Kastanii, ciągle odpoczywam. Trip miał ciekawe aspekty poznawcze, może Ci kiedyś o tym napiszę, ale dziś, na świeżo, nie chce mi się w to bawić: nędza mej ludzkiej egzystencji, marność nad marnościami.

Refleksja z wczoraj: to, co daję z siebie - ludzie zawsze mieli: światło, prawdę, miłość. Nic nie daję.

W samym środku tripu poszliśmy na ładną przechadzkę, domy gięły się melodyjnie, linie tańczyły, pachniało piekłem. W kinie Tali był film, jak go zwą? Rocky Horror Picture Show. Fakt, to horror, picture też na całego. Ostro bezczelnie zrobiony, tyle że finalnie ma ciemną wibrację; bawi rytmem, smuci głupotą, jaka wieje z zamierzonej bezbożności. Arystokracja ducha - a u drzwi kostucha. Po filmie znowu spacer w kamiennych ulicach. Pytałem o jakiś park, ale na naszej drodze nie było nawet jednego drzewa, gdzie na chwilę można by się przytulić i zamknąć oczy, na powitanie lub pożegnanie.

Byliśmy jeszcze w dyskotecie punk, gdzie na szczęście było już po wszystkim, sala się opróżniała, ogromna i śmierdząca krzyżówka piwnicznej izby i poczekalni dworcowej, oświetlona od góry niebieskimi i czerwonymi neonami.

Dopiłem właśnie piwo. Dzisiaj jednego dość. Wyjdę stąd, pochodzę w Charlottenburgu wśród drzew. Pójdę do Rumpfa, gdzie wciąż zakotwiczony mój dom, usiądę przed ścianą i pomedytuję.

Z medytacją jest pokój. Jestem sam. Siedzę przy kawie.

Jestem nikim. O nic nie pytam. Krople deszczu uderzają o szyby. Szept świecy. Rzeczy to stany energii, utrwalone w formie przez postrzeganie.

*Co sprawia, że o świecie
zaczynam pisać ten wiersz,
że wierzę w jasność i dobroć,
że bywam łatwo szczęśliwy
ponieważ wiatr, kamień, brat?*

To sprawia śmierć, która jest przy mnie.

*Nie pozwala mi przejmować się
śmiercią bliskiego człowieka,
unieważnia moje zobowiązania,
rozpuszcza hierarchie.*

*Dzięki swej czuwającej nieobecności
nie dopuszcza do żadnych pomyłek,
czyni mnie równym gruszy,
każe robić, co chcę.*

*Wszystko jest nieistotne
I przeświecone blaskiem.
Idę z istnienia w istnienie,
mogę być wilkiem lub trzcina.*

Ósmego września siedzę w słońcu godzinę lub dwie. Dzień nie przynosi otuchy. Wiadomość, że wystawa będzie w połowie października, Bert właśnie wraca z wakacji. Ciężko będzie doczekać z jedyłą stową.

Z Petrą i Christianem pojechaliśmy nad Wansee, moczyłem stopy w jeziorze, zamyślałem się. Herbata u nich po powrocie i zaprzyjaźniona sąsiadka czarownica, która wróżyła nam po kolei. Mnie - kłopoty urzędowe i zdrowotne - i coś takiego z dwoma kobietami. Proszę, jakie to zaczyna być konkretne.

Dziewiąty, południe, siedzę przed oranżerią pałacu Charlottenburg, jest pochmurnie i ciepło, trochę Ci siąpi z nieba na mój zeszyt. Coś niedużego skrzydlatego przysiada na kartce, kiwa główką, spogląda wymownie na literę "a". Mówię:

- Jak się masz?

- W porządku, w porządku - kiwa prawą łapką, podnosi ją do pyszczka i czyści, kolej na lewą, obie już błyszczą i są suche, teraz środkowa para łapek gładzi od dołu korpus! Co za pieszczoch! Strzepuje pyłki niewidzialne, zapewne wiedziane. Kiwa główką i odlatuje. Też spadam. Idę na Klausener Platz pochodzić po pchlim targu.

Gdzie niezwłocznie spotkałem Dietera, pamiętasz? Poznałem w amsterdamskiej Golden Ham. Kupił właśnie dwa ciastka i jeszcze nie wiedział dla kogo to drugie, kiedy mnie zobaczył.

Świta za oknem niedziela.

Cóż to mi do głowy przyszło przed paroma laty, a potem chodziło po niej tupiąc wiosną i latem, jesienią i zimą? Że poprzednie wcielenie spędziłem na jakiejś wyspie w Mikronezji, dziko opiekując się ogniem naszego plemienia, i tańcząc. Zabijając przeznaczonych na ofiarę ognia, biorąc w siebie ich mękę i lęk, aby nieskończoność swego bytu mogli przeżyć w ekstatycznym ofiarowaniu. Ogień żył ich radością, miał nigdy nie zagasnąć.

Rudy Holender zobaczył nas w trakcie jazdy; przejechał jeszcze wiadukt i za nim mógł się zatrzymać na poboczu autostrady. Drzwi mercedesa były szeroko otwarte, głośno wspaniale grzmiała muzyka, stare rosyjskie pieśni w wykonaniu niemieckiego chóru. Kierowca niedbale elegancki, szczupła twarz z wyrazistymi siwymi oczami, jasno rudawa broda. Bardzo zmęczony, od dawna w drodze. Odpoczął nieco czekając na nas, cieszył się naszą radością, rad pogawędzić - to odpędza senność. Częstował miętowymi pastylkami i hiszpańskimi papierosami, dla siebie robiąc grube skręty z czarnego tytoniu, ot tak swobodnie, w prawej dłoni na kolanie, druga ręka na

kierownicy. Rozmowa zaczęta od sakramentalnego:

- Skąd jesteś? - i bezczelnego z mej strony:
- Zewsząd.

Przejechaliśmy resztę nocy w muzyce, wjechaliśmy w perlisty baśniowo piękny świt. Wschodzące słońce po prawej, pełnia księżycy po lewej. Bernt wysiadł w Utrechcie, a wtedy rudy Holender stał się bardziej osobisty.

- A dokładniej, skąd jesteś?
- Z brzucha matki - odpowiadam ze śmiechem.
- To tak jak ja. Chcesz powiedzieć, że jesteśmy braćmi?
- Nie bardziej niż jesteśmy.
- Zmieniłeś się, odkąd ciebie ostatnio widziałem.

To zdanie powiedziane inaczej, jakoś dobitnie, chociaż bez podnoszenia głosu, z mocą. A zarazem tak neutralnie, jakby nie czekał na moją reakcję. Żadna nie nastąpiła. Wiedza jest kompletna na samym początku, akt rozpoznania dokonuje się momentalnie. Spojrzał na mnie raz i drugi.

- Stałeś się bardziej ludzki, wtedy byłeś z zupełnie innego wymiaru. Ale nie przejmuj się, wszyscy jesteśmy na tripie.

O właśnie, to mi się zdawało, że on w wysokim locie. Żartobliwie opowiedział, co pamięta nie wiadomo skąd. Był już kiedyś Holendrem, pływał na żaglowcu jako pierwszy oficer, po katastrofie w sztormie wylądował żywy na wybrzeżu. Pochwycony przez dzikich i ofiarowany ogniowi.

Słuchałem powieści z zaciekawieniem, biegła paralelnie do mojej, co się w życiu zjawiało nie wiadomo skąd, z oceanu wieczności? skarbnicy nieskończoności?

Tyle pamięci, obrazów, wyobrażeń leci w przestrzeni życia, bezbrzeżna migotliwa rozedrgana rzeka, czemu ma to służyć? czy to wszystko ma być zawarte w Przekazie? czy ja, Ty, oni, czy ktoś?

Wspomnę Ci jeszcze o lekkim poczuciu, jakaś czająca się blisko granicy zaistnienia groza? Niebezpieczeństwo? Jakby drzwi się otwarły, a za nimi - właśnie, nic przecież, ale nabrzmiałe od możliwości. Nic, ciemno, potężne tchnienie wiejące z mroku.

Nic więcej się nie wydarzyło. Mocny uścisk dłoni. Wyszedłem z wozu na lotnisku.

Jeszcze parę obrazów chciałem Ci zapisać, lecz teraz, czy dlatego, że wróble ćwierkają na dachu, czy może czuję, że talentu nie starcza - coś zwykle minęło.

Wrócił Rumpel do domu, już się zrobiło rano. Nagotował misę kartofli - pora śpieszyć do innego dzieła.

Słońce błyskało w dniach ostatnich, lecz nocą przyszły gwałtowne wiatry i zanosły niebo chmurami. Świta dzień jedenasty września w ulewnym deszczu, wraz z nim nagle ocieplenie.

Wczoraj sen do południa, obudził mnie Waldi, zrobiłem nam obiad: ryż gotowany bez soli, wrzucone doń jarzyny, pod koniec gotowania z odrobiną masła - pyszne i słodkie.

Potem wizyta u Kalle nadziewana plackiem z owocami upieczonym przez Helgę. Inny polski malarz przyjechał wczoraj, trochę u nich mieszka, Tomek, z Krakowa? Katowic? Ciekawa prawie z nim rozmowa, chociaż dodatnie strony kariery artystycznej tak wcześniej nie wychodzą mu na dobre.

Dzień ukoronowany piwem z Waldim i Tomkiem w Kastanii. Trzech Polaków - cztery światy! Przygoda z komarem, takim krewnym o wielkich skrzydłach i długachnych nogach, latającym nad stołem poniżej zwisającej na poziomie oczu lampy z zielonym płaskim kloszem.

- Komarze, komarze - przemówiłem żartobliwie, - zmykaj stąd, bo nie dość, że opalisz skrzydła, to jeszcze wpadniesz Waldiemu do piwa i sam się upijesz!

Wiedz, komar obniżył lot dokolny i usiadł na stole pośrodku, może chciał odpowiedzieć? Ale oto Waldi wymierzył mu prztyczka celnego, zmiatając facia ze stołu i życia! Nie pominąłem okazji, taki jestem ciekawski:

- Możesz mi powiedzieć, dlaczego to robisz? - spytałem patrząc w wodne patrzalki. - To nie znaczy, że mam ci coś za złe, chciałbym rozumieć, co się dzieje. Przecież wiesz, że te wielkie komary nie gryzą człowieka.

- Dlaczego zabijam? - powtarza trochę głupkowato. - Bo nie

lubię, jak mi się toto pałęta przed oczami.

- Zagrywasz głupio, ale wiem, jaki jesteś cwany - nie popuściliśmy. - Przecież toto żyje! więc jakim prawem?

Czy byłem ciut agresywny? Ależ nie, przejawilem ledwie irytację, jaka podnosi się w sercu na widok ignorancji i nieuwagi. Byłem jako maleńki moskit kąśliwy, dziurka w skórze, cieniutka igła, odrobina jadu - a ożywczo piecze i budzi ze snu.

I potoczyła się rozprawa między panem, wójtem a plebanem. O śmierci, życiu, odpowiedzialności za życie.

Wróciłem na Zillestrasse okrężną drogą wokół jezior Letzensee - a teraz przy herbacie piszę Ci o tym. O czym to jest właściwie?

Trzecia po południu. Wstałem późno, słysząc za oknem ulewę. Zupa kartoflana na śniadanie i burza. Rozmyślam nad swym położeniem. Możliwość mieszkania u Rumpła pełna skrępowań wzajemnych. Waldi mówił w Kastanii, że od jutra mieszka w Lichterfelde na drugim końcu Berlina, mogę zatem wprowadzać się na Zamkową. Ale nora jest ciemna i brudna, jej vibracja emocjonalna ma te same treści.

Dwunasty, zmienia się pogoda, ostatnia doba niesie burze i ocieplenie. Będzie złota jesień. Niebo czyste, gwiazdy pachną, nisko i szybko pomykają pojedyncze obłoki. Tyle o polityce. Moja głowa czysta. Odwiedziłem miejsce mej przyszłej ekspozycji. Powiedziano mi w Urzędzie Sztuki, że jest tam aktualna wystawa, więc pomyślałem, południe to dobra pora, zobaczę ściany i ludzi. Ale galeria zamknięta, nikt nic nie wie o kluczach.

Trzynasty, szósta rano po nocy, w której zrobiłem parę rysunków. Jeśli nie będę miał gdzie malować, wrócę do rysunku jak do początku. Kiedy wreszcie położyłem się do snu, przyszli pijani R i R. Czy mogę im pożyczyć jakiś grosz? Dałem im dwudziestaka, ten sam banknot, który wczoraj oddał mi Rumpel. Zostałem z piątką przy

duszy. Popijam herbatę, rozżarzony do białości. Brakuje mi domu, pokory? I jeszcze parę drobiazgów.

Któregoś dnia, kiedy ledwie świtało, mały uśmiechnięty chłopiec obudził się ze snu, podniósł z łóżka, drżąc z chłodu podszedł do okna. Na zewnątrz był jeszcze półmrok, niebo nad stodołą jaśniało przezroczyście, ale podwórze było zacienione. Oparł się dłońmi o framugę okna, czoło na szybie, wstrzymał oddech. Spod kępy leszczyn koło wozówki wybiegły dwa zwierzaki zwinne i ruchliwe, zatrzymały się naprzeciw okna. Ciemne węszyło i szukało w trawie, drugie, białe w ciemne łaty - stanęło na tylnych łapkach i spojrzało w okno. Czy ruch się wstrzymał i blask ściemniał? znieruchomienie trwa jeszcze, zuchwale sięga w przyszłość, oczy patrzą w oczy.

Hej, chłopcze, co to było? Przeprowadziłem cię pod gwiazdami, wykarmiłem oddechem, wskazałem cuda i strasznoty ludzi. Pamiętaj, oddychasz, drżysz z chłodu, wokoło jest świat. Po co podniosłeś się z łóżka? nie wiesz, że o świcie śmierć podchodzi do okna, zagląda do środka? Nikt ci nie powiedział? Patrzysz jej wprost w oczy, oddziela cię od niej tylko cienka szyba, wszystko jest przezroczyste, widoczne. Już nigdy więcej nie będziesz niewinny. Pamiętaj, oddychasz.

Pamiętam, że oddycham. O ósmej R i R wrócili już kompletnie pijani, poszedłem zatem do parku, chodziłem w alejach.

Teraz u Michaela słucham paru zwierzeń. Jakże różne mają sąsiedzi wersje istnienia - siebie samych i bliźnich, jak o tym mówią, plotkują, zwierzają się - niekiedy mam wrażenie jestem kosz na śmiecie, lecą we mnie szmatki, papiery, ogryzki i niedopałki. Czy o tym mam Ci pisać? Przecież to jest na codzień - niezrozumienie, pogarda, pycha, ambicje i nawyki, egoizmy i stereotypy. Wiem, wchodzą do Przekazu, skoro istnieją. A życie czyste i prawdziwe, którego szukam? Jego obecność, albo tęsknota do niego jest dla prawdy Przekazu bardziej niezbędna, niż te gówniane szczegóły.

Dochodzi północ. Dzisiaj Michael okazywał mi przyjazne zrozumienie, jak niegdyś zawsze. Zjedliśmy u niego obiad, zawiózł mnie do galerii; to wcale nie jest galeria, okazuje się, że jakiś klub jakiejś katolickiej młodzieży. Miejsce zamknięte, w biurze informują uprzejmie, że nikt nie przychodzi na wystawę, więc nie ma jej po co

otwierać. Nie pierwszy to omen na berlińskie czasy.

W oranżerii wystawa Hundertwassera, znakomite grafiki, świetny film, barwne smakołyki. W jednej recenzji omawiano nas w Szwecji osiem lat temu, a patrz, gdzie poleciał, światowa kariera. To twórca pierwszej klasy drugiej kategorii, nie ma wartości uniwersalnych, prawd ostatecznych, nie bierz mi tego za ocenę, to stwierdzenie faktu. Są przecież malarze... patrzysz na obraz i widzisz, jest między Tobą a Bogiem, prześwieca przez płótno światło bytu.

Kawa i gawędy z Michaeliem w Zielonym Palcu. Kiedy go pytam, gdzie jest to atelier, do którego zapraszał mnie wiosną, zupełnie przestaje rozumieć po angielsku.

Tak, zamieszkałam w norze, skoro na mnie czekała, niechże się zmęczę, robiąc nowe. A teraz przy herbacie od Petry pomyśl na obraz o śmierci: ledwo formująca się głowa z jasnych błękitów, otoczona zawieruchą płomieni leżących w przestrzeń głowy.

Lada chwila zrobi się pełnia księżyca.

Trzynasty wrzesień jest wieczorem u Christianów. Po śniadaniu byłem chwilę u Michaela, na parterze po drugiej stronie bramy w obszernych pokojach, które chce przerobić na galerię, gdy znajdzie nowe mieszkanie. Czuję, że ten właśnie lokal miał na myśli wiosną, mówiąc o moim przyszłym atelier, wiem także jasno, że dzisiaj to nie jest realistyczne.

Telefon do Waldi w domu, w którym ma zbudować szklany dom, nie! szklany sufit. To nieprzyjemne, zagrał niemowlę wyrzucane z kąpielą nieszczęście, bo przez całe życie. Chciał mnie zatrudnić do wylewania tej metaforycznej kąpeli. Rozmawialiśmy z godzinę, wiele się wyjaśniło w zakresie tzw. kompleksów. Przyjedzie jutro w południe, zabierze swe graty, bo zgromadził tam nieliczne śmietniki, i pomoże w sprzątnięciu. Michael dał mi klucze.

Klucze do nory!

Poszedłem do Dietera, mieszka ładnie w pobliżu na Nehringstrasse. Miłe czasy tam miałem; Kay z Irlandii opowieści o ludziach

z wybrzeży. Poznałem Klausa, telewizyjny kamerzysta mieszka na Kreuzbergu a pracuje w NRD - jaki uczynny człowiek! Zawiózł mnie do siebie, aby obdarować kawałkiem paka.

Potem byłem w 'domu', ogoliłem wariata, przebrałem w czyste szmatki i przywiozłem do Christiana, gdzie piszę. Drugim gościem jest Alek, młody filozof ze Śląska, rozmawiają opodal. Christian pyta:

- Czy wchodząc do jakiegoś domu, Wiesławie, zauważasz kwiaty?

- Oczywiście, są żywe jak ludzie.

- Zatem, skoro traktujesz je jako żywe istoty, jak możesz łamać je lub ścinać? Petra jest tak wrażliwa, że kiedy byliśmy w ogrodzie i chciałem zerwać parę róż, powstrzymała mnie mówiąc, że kwiaty płaczą.

- Nie zawsze płaczą - odpowiadam. - Jeśli wiesz, co robisz, jeśli powiesz im, że teraz będą z tobą, nie mają powodu do łez.

I tak dalej przyjaźnie i filozoficznie toczy się rozmowa, kiedy piszę opodal. Formuje się może wiersz na ten temat?

Różo, jesteś wolna!

*Tak, jesteś wolna,
bez formy, imienia.*

Nie płacz i nie mdlej, że cię łamią.

*Przeżywasz w mojej miłości
Wszystko, czym byłaś i czym będziesz.*

*Raduj się, słonko świeci,
masz jeszcze parę dni
wraz ze mną.*

Kończy się piętnasty, zaczyna pełnia księżyca. Ostro pracowałem nad odgruzowaniem nory, gdzie śmierdzi od brudu i zaduchu pokoleń. Spakowałem rzeczy Waldiego do toreb, wywaliłem wszystkie

meble na korytarz i co się dało do kamery, sprzątałem, szorowałem i myłem. Waldi w ogóle nie przyjechał.

Jestem na podwieczorku w ogrodzie Christianów. W pakamerze znalazłem sztalugi, na których malowałem Czarne Słońce przed dwoma laty, kiedy gościłem u nich po drodze ze Szwecji; także maty ze słomy ryżowej, którymi przykryję straszny buraczkowy dywan. Alek mi podarował samochód Renault 4 z bakiem pełnym benzyny; kupił na wakacje, zwiedził Europę, do Polski zabrać nie może - zbyt wysokie cło. Mam go zarejestrować i ubezpieczyć; postoi, zaczeka?

Z innej jawy wspomnę Ci oleander, który przebywał ze mną w pracowni warszawskiej i zakwitł na pożegnanie przed wyjazdem do Amsterdamu parę wiosen temu. Niebo błękitniało na wschodzie. Maciek siedział wmurowany w ścianę, gruntownie zajęty lawiną sunących przezeń obrazów i czasów, Jan śmiał się i dowcipkował, Andrzej meblował istnienie żartami, obuwał i ubierał krzesło, które następnie uczyliśmy chodzić; na podłodze powstał inny facio złożony z butów, kozucha, szalika i czapki, robiliśmy z nim wywiad na temat przepastnych możliwości twórczych, które nas rozpierały.

Gdy uspokoiło się po wybuchach śmiechu, Andrzej ustawił na stole krzesło i usiadł, aby kontemplować wyłaniającą się w błękitnym brzasku Warszawę i lecące wrony,

ja zaś podszedłem do oleandra, który tak wcześniej, na początku marca, rozwinął swój pierwszy kwiat; mówiłem, że na pożegnanie. Świeży i delikatny, zwrócony trochę ode mnie w stronę okna. Zapatrzyłem się w jego płatki, komórki, wnikając w różowości i pracę istnienia, która w przestrzeni kwietnej jest samym spełnieniem. Czas się rozciągnął i poszedł sobie, trwałem w medytacji życia widzianego jako rozkwitanie, stając się nim, gdy postrzegłem ruch! to kwiat powoli, fascynująco powoli, zwracał się w mą stronę. Znieruchomiałem, a kwiat się poruszał, aż wreszcie popatrzył mi w twarz, poczułem wonny delikatny powiew, który dotknął mnie i owiewał wiedzącą pieśczęcią, pachnącą radar.

Takie to było doświadczenie miłosne i świetlne, mistyczne, świadome siebie i czyste bez granic. To był bóg! Cierpliwie, powolnie, wspaniale - harmonizował się oto i sam siebie stwarzał - z oleandra, przyjaciół wokoło, mnie, oraz całej reszty.

Po sosnach skacze wiewiórka, na wielkim dębie przede mną ląduje stado gołębi, osa siada na szklance z wodą, wróbel skacze po gałązce i przekrzywiając łebek spogląda na mnie to lewym, to prawym okiem. Gołębie zrywają się znowu do lotu, na sośnie pracowicie kończy dzień swój dzień.

Zmierzcha się melancholijnie. Trzeba wracać do nory i kontynuować roboty, zabierając sztalugi i maty. Czeka tam na mnie pewnie Waldi, ubrany w pyszczek steranego szczura, który swoje wie.

*Spotkałem dziś paru ludzi,
pierwszy
mówił o bogu spotkanym w nocy nędzy i poniżenia,
drugi
o krzaku róż, który szlochał,
trzeci o nieszczęściu
potrzebnym do przeżywania życia w pełni.*

*Spotkałem wiewiórkę uważnie patrzącą mi w oczy,
żuka w kolorach czerni i połyskliwego fioletu.*

*Gdy szedłem ulicą mignęła mi w lustrze twarz
tak natarczywie,
że musiałem znaleźć odpowiedź na nic i na nikogo.*

*Była też muzyka Marley'a, wiersz Rilkego, kłopoty
przyjaciółki, mój okrzyk
zachwytu i płacz
dziecka siedzącego na bruku, obok parkowej ławki.*

*Wciąż ta sama melodia,
a dźwięczy tak zmiennie.*

Zmęczony jestem nocą, pełnia się jarzy na niebie, pustka wypełnia duszę. A pisać trzeba, zaszran obowiązek!

Pełnia księżycyca przynosi niespodzianki, noc dzisiejsza w nie obfituje nadzwyczaj. Petra mnie odwoziła wozem - i rozbiła głowę o sztalugę. Ledwo zabrałem się do roboty, przyszedł z pijacką awanturą Waldi; chodziło o to, że traktuję go gorzej niż komara! Ośmieliłem się tykać jego brudne rzeczy. Pokazałem, jak troskliwie wszystko spakowane. Spokój i chłód, wyjaśniałem, że nie robię mu krzywdy, przecież jest mi obojętny, a jeśli coś nie tak - przepraszam pokornie. Siedziałem na krześle reperując wielką lampę, która posłuży jako górne oświetlenie, a on biegał i mówił, wzbudzając się z pomocą całego swego życia, które bezlitosne. Widziałem to jako grę i mówiłem otwarcie o zgrywie, motanej, aby doświadczyć wielkiego przeżycia, o jego potrzebie ponizenia, i że nie będę uczestniczył w grze.

Nie było kontaktu, miejsce spotkania to nora, teraz w obecności szalejącego szczura! Chciał fizycznego kontaktu, raz i drugi uderzał mnie w ramię, ale na prowokacje nie reagowałem. Chwytał za kołnierz mej dżinsowej bluzy, krzyżując dłonie, i zaczął mnie dusić. Nie reagowałem, z tym światem nie chciałem mieć nic do czynienia. Dusząc uniósł mnie z krzesła, krzycząc coś jeszcze raz o komarze, i o gównie które zmiecie ze świata. W lewej dłoni wciąż miałem lampę, w prawej duży nóż, którym wkręcałem śrubki! Nie czułem wzburzenia, dziwnie spokojny w sytuacji, której dalsze ciągi mi się nie podobały - nie rozeznaję się w takich uczuciach, może to pogarda? Walnął mnie mocno w klatkę piersiową powyżej serca, przewróciłem się na kozetę, skoczył na mnie i nadział się twarzą na uderzenie mych stóp, wstrząs, skoczył raz jeszcze, a wtedy chwyciłem głowę i unieruchomiłem. Powiedziałem spokojnie: - No, podokazywali chłopcy, a teraz koniec zabawy! - i odepchnąłem silnie. I już było spokojnie, aż się zadziwiłem! Chodziło o komara sprzed paru dni; wyznanie, że dusił nie, żeby zabić, lecz mieć ze mną kontakt. Cóż, trudno zaistnieć na jego płaszczyźnie. Teoretycznie żałuję, że nie pobiłem łobuza - byłoby mu w to graj!

A teraz leżę przy świecy i zeszyt, boli mnie szyja, już świta; po awanturze pracowałem godzinami zaciekle, tyle brudów do usunięcia, nie chciałbym poświęcać im życia.

Widzisz, co znaczy być artystą? Jedna noga u boga, druga w gównie po uszy!

Siedemnasty pod znakiem bólu w klatce piersiowej. Wczoraj pokazało uwikłanie w życiu. Dlaczego nie dziabnąłem nożem, nie waliłem w brzuch? zachowałem się jak noga, zatem nie mogłem spać powyżej mej podduszanej szyi, a w każdym oddechu boli mnie klatka piersiowa. W Kastanii dochodzi północ, dzień przy zakładaniu instalacji elektrycznych i sprzątanii, unikając w bólu większych wysiłków. Zjadłem dwie wielkie kanapki i popijam je piwem. Przyrzekam sobie w przyszłości, jeśli podobna się zdarzy - uderzać pierwszy i łamać, jeśli trzeba. Tak, przyjacielu, dzisiaj daleko do pana Jezusa, a z nieba wiatr wywiał anioły. Dopiję to piwo, pójdę, po drodze znajdę parę kwiatów, żeby było z kim mieszkać.

Osiemnasty kończy się u Christianów. Obudziłem się wcześniej w potwornych bólach, na piersi nabrzmiewa guz, szyja spuchnięta jak słoniowa noga, mówię głębokim basem Armstronga. Zrobiłem zakupy, prawie nie mogłem ich donieść.

Zawiozła mnie Petra popołudniem do Rity lekarki na Mariannenplatz, dostałem proszki, maści i skierowanie do rentgena; ma kosztować stówę, której nie ma.

Wieczorem rozmowy z Christianem na tematy medyczne, jego opowieść o pobytach w szpitalu, łupaniu czaszki i utracach przytomności, a jeszcze o przewidywanym końcu życia we wcieleniu żebraczym.

Ciekawe strofy o egocentryzmie, który winienem w sobie pielęgnować; Christian w nim widzi moją prawdziwą naturę - ale ja pytam, jak widzi, skoro ślepnie?

Przerwa na dramatyczne wejście Petry, pod tytułem: on ciągle pije i pali, naraża swe zdrowie i życie, potem śpi do południa, wstaje i narzeka, że nie chce żyć dłużej, ona tego nie może znieść! Czy mówiłem coś autorytatywnym basem o potrzebie akceptacji?

Przykro, nie umiem żyć, nie mam domu. Ale czy ktoś taki jak ja, nasienie gwiazd, człowiek oko - może mieć dom i ojczyznę? Trzeba

uczynić mi domem planetę, życie moje uczynić ojczyzną.

Ucisk w piersi i głowie; tam w kraju wielu ludzi, którzy mnie kochają; teraz, gdy wyjechałem, czuję, mówią o mnie, dodają otuchy.

Wierzę w to jedno: moja prawda niewielka potrzebna jak kamień i chmura, trawa albo wspomnienia. Będę podążał z wolą i mocą. Trzeba powołać do istnienia boga, odkryć nowe planety, rozprawić się ostatecznie z nieszczęściem, niesprawiedliwością, niewiedzą.

'Kto ufa własnemu sercu, ten jest głupi', komentuje moje wzdychanie Salomon 28/26.

Poranek dwudziesty września, zimno, bóle i dół psychiczny, nic do wykonania. A wobec świata trzeba być odważnym i życzliwym.

Ale w parę godzin później jest lepiej po rozmowie z Michałem; otworzył kredyt w Zielonym Palcu, moje rachunki wpisuje się do niebieskiego zeszytu. Pożyczył mi stówę. Nakarmiłem się zacie i przyszedłem do Dietera, siedzę w fotelu, przy herbacie piszę.

Międzynarodowe towarzystwo: Nike przyjechała z Amsterdamu tańcząca, napalona jak bączek, opowiadająca o wszystkich freak brothers, których spotkała na szlaku; przemiła Kay, dziewczyna Dietera; Chris z Anglii bezzębny czubeczek nawija o 10-letniej pdróży po świecie; Bob ze Stanów od dwu lat muzykujący w Berlinie; jaka prześliczna Niemka. I jeszcze chłopak w Golden Ham widziany; ma na oku jęczmień, poradziłem pocieranie złotem, i oto dostał pierścień prababki Kay, już się może leczyć.

Opowieść o przyjacielu, który okazjnie kupił autobus, sam nie wiedząc po co. Ktoś doradził mu sprzedaż w Grecji, gdzie można na tym zarobić, ale sprzedaż nie wyszła, pojechał więc do Bagdadu, gdzie interes miał być jeszcze lepszy. Ale bus można sprzedać w Iraku dopiero po miesięcznym pobycie, a jemu zaczęło się śpieszyć - pojechał więc do Maroka i siedzi od półrocza w jakiejś wiosce, nie ma pieniędzy ani ochoty na powrót, w autobusie bawią się dzieci.

Dieter mnie obdarował domowymi butami, które przywiózł z Nepalu: trzcina, tkanina zielona i pink.

Jest poranek 22-go u Christianów; przyjechałem do nich wieczorem i robiłem pranie. Dręczony przez bóle i komary nie mogłem zasnąć o czwartej. A potem rzuciły się na mnie sny.

W pierwszym byłem bezdomnie w mieście-krzyżówce Lublina i Amsterdamu, odwiedzałem Carlo w więzieniu, a potem siedziałem na jakimś murze, paliłem fajkę haszyszu, patrzyłem na jadące w dole ulicami czołgi.

Przebudziłem się ze snu ponieważ chodziły po mnie mrówki - w chałupce babci Woźniakowej pachnącej ustawionym pod ścianą tatarakiem, z klepiskiem zamiecionym i posypanym świeżym piaskiem. Wszedł wuj Stanisław, spytałem, czy to normalne, potwierdził:

- Sposobu na nich nie ma i cholernie gryzą, musisz poprosić o nocleg u sąsiadów, albo szukaj innego kąta.

Sięgałem za ucho i zdejmowałem mrówki, upodobały sobie to miejsce, już były następne, uderzałem się po plecach i udach, i byłem znużony.

Przebudziłem się w zielonym pokoiku i wstałem ze swędzącym ciałem, wziętem prysznic i zebrałem ze sznura w ogrodzie bieliznę, zaczynał padać deszcz, przygotowałem śniadanie, zbudziłem Petrę, żeby nie musiała mnie budzić o ósmej, piję herbatę, notuję, nie rozumiem snów ani jawy. Czy to bezdomność dyktowała motyw? Mrówki wynalazłem, żeby akceptować łaskotanie kocich sierści w pościeli - zjawisko zracjonalizowałem i nawet polując na mrówki mogłem dalej spać. Charakterystyczne, zauważasz? Sen często się zaczyna od przebudzenia ze snu.

Minęło dwadzieścia godzin, życie się odmienia.

Poszła nora do doktora: - Ora et labora!

Rano Petra przywiozła mnie do domu po drodze do pracy, do szkoły. Rozwiesiłem pranie i w miłej muzyce pospałem, zjadłem drugie śniadanie, obiełem płótnem pokaźny 100 x 120 cm blejtram, i zagrun-

towałem po raz pierwszy. Niech schnie. Wyszedłem, szukałem kwia-
ciarni, ale chyba niedziela, bo wszystko zamknięte; pomyślałem w
powrocie, wybrałem obraz 'Dotknięcie światła' jako prezent urodzi-
nowy dla Michaela. Byli Petra i Christian jakoś smutni, uroczą dziew-
czyna bossa Ewa, i jego synowie lat 17 i 19, elegancy w ostrym kon-
flikcie z ojcem. Drinki, skręty, w przerwach chodziłem do siebie na
szlifowanie płótna papierem ściernym i powtórne gruntowanie, żeby
płótno wśród zabawy schło. I wyschło.

Wreszcie malowanie.

Wprawdzie ręka pracuje jak drewniana, ale nic to po przerwie.
Zaczynam w kolorach niezdrowych jak moje przygody, zielenie, fiole-
ty, najchłodniejsze róże. Wylania się twarz jakby widziana z profilu,
poniżej głowy ciało przezroczyście, robi się z pejzażu. Fajnie jest
poczuć charakterystyczny ból mięśni prawej ręki i barku od pędzla.

Jestem w Zielonym Palcu, zjadłem zupę, piszę i odpoczywam
przy kawie, lekko wstawiony - u Michaela przeleciała niejedna flaszka.
Dobrze jest mi wśród świec, luster, starych lamp i muzyki. Zamawiam
jeszcze lampkę wina, jak zaprawa to zaprawa, skoro rachunek
zatroszczy się o mnie w przyszłości.

Obrazek, na razie ciemny i groźny, rozświetla mi przecież ist-
nienie. Wracam do gwiazdowego domu. Tęsknię do malowania
wielkiego płótna, którego przecucie miałem na długo przed malarską
przygodą. Bohater mego opowiadania, malarz, malował ewolucję.
Eksplodująca spirala, centrum w chłodnych bielach, ogromniaste
ramiona w czerwieniach, oranżach, żółciach, wylaniające pejzaże
wulkaniczne w ogniu; dalej ramiona spirali robią się zielone i barwne,
to światy biologii, lasy, morza i pejzaże; w dalszym ruchu stają się
granatowe, fioletowe, migocą światłami cywilizacji, i zanikają w
barwach kosmicznej nocy.

Przy barze dwóch chłopców młodzieńskich, jaśni, z pierwszym
zarostem na twarzy; wszedł stary grubas w zielonym prochowcu, żeby
podyskutować. Spojrzałem znowu w chwili gdy grubas trzymał chłop-
ca za kołnierz i walił pięścią w nos: szamotanina, krew, skok Michaela,
wyrzucanie grubasa. Już wiem, o co chodzi: my pracowaliśmy na
Niemcy w trudzie i znoju, a wy gnojki tylko byście się opierdalali!

Weszła do baru i przyszała do mnie dziewczyna, dotyka, liże,

obejmuje, chce się niezwłocznie kochać. Była policja i pogotowie, coś
się działo z chłopcem i grubasem, ale jestem zajęty dziewczyną. Poszła
po zapalki, wracam do pisania, zmęczyła mnie w parę minut, niechże
idzie, gdzie chce.

Spałem długo, obudziłem się w pościeli pachnącej Jeanne.
Moja pierwsza miłość w Berlinie dziwaczna jak wszystko inne, piękna
w grozie absurdu.

Po śniadaniu spacer w pałacowym parku. Piękne aleje pełne
złotniejących liści, ptaki, wiewiórki przybiegają na cmoknięcie, zatrzy-
mują się w odległości dwu kroków, czekają; jedna zupełnie młoda i
pewnie dlatego odważna wsoiła się po mych spodniach i bluzie na
ramię, gmerała pyszczkiem przy policzku, niestety nie miałem orzesz-
ka, ale ten zapach dzikiego życia z rudej obecności! Usiadłem nad
wodą na trawie, przede mną dokazywały kaczki i łabędzie, gołębie
podchodziły blisko, karmiłem je kruszonymi w dłoni żółędziami.
Nasyciłem się naturą, spokojem, pachnącym jesiennie powietrzem.
Jest ciepło.

Wróciłem do domu - teraz mogę to prawomocnie nazwać? -
poczytywałem prozę Christiana z poczucia obowiązku wobec kolegi,
bo ciemno i nudnie, malowałem następnie sprawnie i szybko, aby
wieczorem znowu przyjść tutaj i pisać, bo Jeanne mi w głowę wbiła
pachnącego ćwieka.

Pisałem, kiedy weszła, podniosłem głowę i nasze oczy spo-
tykają się, zostają ze sobą, gdy podchodzi do mnie, siada na krześle
obok i bierze za rękę, aż wreszcie, uśmiechając się, bo lubię się śmiać,
mówię do niej:

- Hello!

Śmieje się mówiąc coś po niemiecku, proszę o angielski, reagu-
je przyciągnięciem mej dłoni na stole, wacha, układa w niej głowę.
Patrzę na szyję, włosy rozsypały się na boki i odsłoniły skórę delikatną
i jasną. Kładę tam lewą dłoń, jak pięknie, wszystko czego ostatnio doty-
kałem było szorstkie! Porusza głową, zaczyna pieścić językiem
wnętrze mojej dłoni. Podnosi się, piękne oczy, głęboki błękit w blasku

żrenic, jeszcze dziecięca zaduma w oprawie powiek, oczy podobne do tych, które już kochałem. Wyciąga rękę by mnie objąć za szyję, cofam się nieco z uśmiechem:

- To nie tak łatwo!

Piękne usta, teraz ją oglądam, lekko spierzchnięte i obrzmiałe, bardzo jasna cera, długie nogi w czarnych dżinsach, granatowa jedwabna bluzeczka naznaczona twardymi wżgórkami piersi i sutków, na tym powiewne kimono z wyspy Bali z kilkoma oszczędnie malowanymi smokami, czarny kapelusik ozdobiony pękiem rudym o tym samym odcieniu co jej puszyste, obficie skręcone włosy. Patrzy na moje usta i wybucha śmiechem, ma nierówne zęby, maleńka skaza na pięknej urodzie jakby mi ją przybliża. Pieści moją rękę, patrzymy sobie w oczy, ciepły dreszcz, delikatne elektryczności owiewają podbrzusze i uda.

- Chcę, żebyś mnie pierdolił, wiesz? - mówi po angielsku i brzmi to nieco brutalnie, - jestem szczęśliwa, że ciebie spotkałam, jestem samotna, a to niezdrowe dla kobiety, wiesz? Chcę, żebyś się na mnie położył i mnie pierdolił, chcę mieć cię w sobie głęboko i poczuć, że naprawdę żyję.

- Ale dlaczego właśnie ja? - próbuję się migać, albo porozmawiać - w tym mieście milion mężczyzn, którzy ci to chętnie zrobią.

- Bo tak chcę! Ja zawsze robię, co chcę! Czy to złe, jeśli położysz się na mnie i będziesz mnie pierdolił? Jesteś mężczyzną, a ja kobietą - mówi za głośno, trochę to krępujące, jest na ostrym tripie, może pijana; czy jestem na zawołanie? Patrzę w nią, pewnie, że podniecony, ale się trochę cofam. Bierze papierosa, zapala, zapałkę beztrząsco rzuca za siebie, bezczelna, piękna, rozkapryszona.

- Jak masz na imię? - pytam.

- Nie mam imienia, jestem kobietą a ty mężczyzną, chcę cię - przyciąga moją dłoń i kładzie na piersi, dłoni podoba się obrzmiałe i gorący sutek, jednak ściąga dłoń w dół na udo, chce sobie umieścić ją w kroczu! Cofam, patrzymy w oczy, znów głowa na mojej dłoni i wilgoć, do licha, ależ ona płacze!

Idzie do toalety i wraca ze ściągniętymi gniewnie ustami, jakby postanowiła. Zza baru śmieje się do nas Michael i tańczy.

Dopiłem kawę, zamówiłem wino, dziś mogę spokojnie pisać,

prawie pusto i nikt nie przeszkadza. Siedzę przy oknie. Wolfgang przynosi wino i mówi, że stukot w barze to drobna bójka między starym i młodym - jak wczoraj. Spogląda na mój zeszyt, odchodzi; wie, że wchodzi do Przekazu ze wszystkim?

A wczoraj? Pali się papieros i Jeanne mówi swe imię, więc decyduję się; zakładam żakiet i kapelusz, cześć Michaelowi.

- Chodź, Jeanne, idziemy - wychodzi za mną, bierze pod rękę.

- A położysz się na mnie? Będziesz mnie pierdolił?

- Tak, Jeanne, idziemy.

- To dobrze, wiesz? Ja nie mam przyjaciół, znam wielu ludzi, zwą mnie przyjaciółką, ale nieprawda, w Berlinie nie ma się przyjaciół.

Zaczyna padać, Jeanne ma na ręku indiański koc z miękkiej ciepłej tkaniny, owija się weń szczelnie. Dochodzimy do domu, siada na murku pod oknem - ona się stąd nie ruszy, zostaje w deszczu, niech ją deszcz pierdoli.

Rozśmieszam ją, że deszcz zbyt mokry jak na Zeusa, otwieram bramę, jest przy mnie, wchodzimy, zapalam w pokoju świecę.

Wymierza powietrzu kopniaki zrzucając w ten sposób buty, ściąga spodnie z majtkami, kładzie się rozrzucając pościel i nogi swobodnie, śmieje się, że patrzę. Rozbieram się i myję w zlewie, ona robi to samo, wpychając pupę pod kran.

Idziemy do łóżka, kut jest z lekka obrzmiałe, bierze do ust i pieści, natarczywie spycha mi głowę, więc całuję jej wargi sromowe i rozchylam językiem; smakuje jak koza, zwierzę się retorycznie, bo przecież kozy nie smakowałem. Pieścimy się niecierpliwie, jesteśmy nawilżeni, kładę się na niej, wchodzę powoli i mocno do środka, przy każdym poruszeniu krzyczy radośnie, nie bardzo wie, jak to robić? Cieszę się jej radością, walę z całej mocy, orgazm przychodzi nie robiąc krzywdy, a przecież jakoś zły złażę z niej, biorę szklankę wody, pijemy obok siebie w odpoczynku bez słów.

Moje oczy i opuszki palców są zachwycone jej ciałem, ja jakby trochę dalej. Jeanne pieści mnie namiętnie, Kochamy się i za drugim razem jest lepiej, bliżej, razem.

Odpoczywamy, szuka papierosów, gdzieś się zapodziały, wypadły mi na ulicy. Nie wierzy, szuka ich wszędzie, więc zapalam

światło, otwiera nawet pudełka z farbami; myję się i ubieram, mam co robić.

Wspaniale mi idzie! W pierwszych uderzeniach pędzla zmienia się zamysł obrazu, poniżej twarzy zarysowują się wielkie oczy, wygląda z płótna ochoczo pysk demona. Jeanne się wścieka, jak śmiem zajmować się martwym płótnem, gdy ona tutaj ciepła i żywa! W agresji chce łamać obraz, nie pozwalam, odpycham, jest jej zimno i zaczyna szlochać. Uspakajam, otulam pościelą, wracam do roboty, potrzebuję godzinę, tłumaczę, akryle schną szybko, polewam je wodą na talerzu.

- Boję się - mówi. - Lubię cię, ale ta zielona twarz patrzy na mnie i mówi, Jeanne, idź stąd - głoszę ją po twarzy i całuję czule, aż przestaje płakać. Biorę pędzel.

- On mówi, Jeanne idź stąd, znajdź swój dom i mężczyznę do kochania, znajdź przyjaciół, gdziekolwiek są.

- Okay, Jeanne - mówię i patrzę jej w oczy. - Idź, słuchaj mego demona, to może twój głos wewnątrz.

Odprawiam do bramy, jeszcze wracam po zapomnianą opończę, pocałunki i szloch. Oddala się środkiem alei w stronę pałacu. Wracam, na oknie leży jej śmieszny kapelusik, wiem go na sztalugach nad głową demona - niechże się ktoś tej nocy ogrzeje. Maluję godzinę albo dwie bez uczuć i myśli, momentalnie zasypiam.

A teraz jest dziwnie, zmęczyła się od pisania ręka, piszę ze dwie godziny, wino kwaśne, w domu czeka demon. Twarz zielona u góry zanikła, łeb umieszczony centralnie jest z rozwianych płomieni, chłodne niebo przeziera przez otwarty pysk. Droga do nieba wiedzie przez pysk demona.

Dzisiaj? Dwudziesty szósty września, dzień w niebywałym przyśpieszeniu. Maluję ściany i sufit po akcji zbieractwa resztek białej farby wśród znajomych, jest tego sporo puszek i wiader.

Ściany schną, a ja z desek znalezionych w piwnicy robię stół, półki i rusztowanie regału nad kuchnią - wejść wysoko wszystkie obrazy; nora robi się jasna, to świta nadzieja - na życie i malowanie.

Jeszcze chwila, a będzie tu pałac!

Wizyta w galerii, która i dziś zamknięta, na wieki wieków, już więcej nie pójdę; wizyta u Rumpla i szybka butelka czerwonego wina z Richardem. Po drodze widzę Michaela, zaprasza na obiad, jedziemy we troje z Ewą; miłe, że między nimi znowu zgodna miłość. Zasypiam.

Kolejny dzień to zajęcia robocze. I wizyta Henryka. Znamy się jeszcze ze studiów, czyli lat dwadzieścia, widzieliśmy się pięć lat temu w Sztokholmie; posługuje się wiedzą przedustawną, co trochę krępujące; jego fascynacje teatralne niosą jednak dobre wieści.

Wieczór spędzamy u Christianów. Zmęczony jak dziki osioł, a tańczę jako chwat! Heniek kracze, przepowiadając mi ciężką zimę w Berlinie; ach, częste są niespodzianki, zapadnie losu nieobce. Jeszcze nigdy tak nie było, żeby to jakoś nie było. Przetrwam z nadzieją, że wiosna będzie gdzie indziej.

*Kwiaty są tak zajęte
przekwitaniem,
że nie zostaje już miejsca
na lato.*

*Jesienne słońce złoci mnie szczęśliwie,
gdy nie ma śmierci.*

Znalazłem parę doniczek, kwiaty wykopałem bezczelnie z ogrodu przy metrze; prawda, że kradnę, ale mróz je zwarzy za chwilę, a mnie jest z kim mieszkać.

Lubię Demona i jego zmienność. Łeb robi się solidny, ale zupełnie powietrzny i przezroczyty; wszystko jest przestrzenią.

Martwi mnie nieco, Przyjacielu, że przyjaciel twego przyjaciela, czyli mój mały - jest jakby spuchnięty, rozdrażniony. Czyżby miła zostawiła coś jeszcze poza kapeluszem?

Dwudziesty ósmy w intensywnej pracy, już trzeci raz zamalowuję sufit i drugi raz ściany, żeby rozbielić zacieki przeszłości. Około północy stałem jeszcze na drabinie kończąc robotę, gdy usłyszałem pukanie w szybę albo poczułem, że na mnie patrzy. Pomyślałem:

- Jaka ona dziś brzydka - z zawodem, bo wczoraj... wiesz, że w głowinie miesza się i myli.

Tak poznałem Rotraut. Rozmawialiśmy chwilę, stojąc po przeciwnych stronach okna, wreszcie powiedziałem: - Wiesz co? Wskakuj do środka, mam tu flaszkę wina. - Wypiliśmy tę flaszkę i gadali do świtu, ciesząc się ze spotkania.

29-ty wrzesień, na cześć tej daty szorowałem dziś okna i wielkie drzwi, po czym pomalowałem dwukrotnie białym lakierem. Jeszcze mozolne mycie szafki w ścianie z pokładów brudu i tłuszczu, malowanie na biało. Tuż przed szóstą zakupy, mycie się, i wieczór z Rotraut w Cafe Einstein: trójka tancerzy ze Stanów w dramatyczno-lirycznych wygibach. Obok Rotraut nieco skrępowany, jakbym np. miał zacząć nowy rozdział w pisaniu do Ciebie, a czegoś nie wiedział.

Po spektaklu Zielony Palec, tam ją mogę zaprosić na wino, gdzie mam kredyt - a zaraz jest Richard mnie poszukujący. Gdyż poszukuje mnie policja, gdyż szuka Urząd Celny, gdyż... A kysz! A kysz!

Więc lampka wina jedna i druga, potem jeszcze jedna, bo okazuje się, że jesteśmy na jej urodzinach. Z okazji całuje mnie zdecydowanie, do czego Ci to przyrównam? Pewnie tak czuł się Jonasz, gdy go całował wieloryb!

Poszliśmy w stronę domu objęci, Rotraut mieszka na ostatnim piętrze a ja na parterze, może się zrobić z tego domu kanapka!

W bramie całuje ją tylko w policzek i mówię: - A teraz miła miło zaśnie, ja jeszcze nie jestem dla ciebie gotowy. - Jakkolwiek dwuznacznie to brzmi, bo dzisiaj jestem pewien, że mój mały chce pana doktora.

A teraz przed snem wiadomość od Gurdijeff'a, jako że czytam czasami coś budującego: nie wyrażać negatywnych przeżyć, pozbawić

takie uczucia możliwości ekspresji. Okazyjna zaduma, przecież Rumpel niedawno mówił to samo.

Jeszcze od Heraklita:

'Droga w dół i w górę jest jedna.'

'Harmonia ukryta wyższa jest od widocznej.'

'Złymi świadkami są oczy i uszy ludziom, którzy mają dusze barbarzyńców.'

Kolejny dzień przepracowany w atelier. Czujesz jaki awans społeczny ma nora? Dzisiaj jest jako atelier! Przecież myję bez przerwy i czyszczę!

Wieczorem u Christianów, bo nasza młoda przyjaciółka Monika w drodze do Paryża przywiozła mi paczuszkę z bielizną od siostry, której za to chwała, i wążek z trawą od łaskawej bozi, której za to wieczność!

Wróciłem w dom o północy i malowałem ściany do świtu.

Rano zbudziła mnie Rotraut na jaśminową herbatę przy trociskach i płomyku świecy. Wciąż jeszcze leżę w łóżku, ciesząc się wytchnieniem. Piękny jest dzień za oknem, cudownie złoto-jesienny. W atelier kompletnie jasno, wszystko przemalowane na biało. Każda rzecz, kwiat czy obraz jest w bieli kolorowym stworzeniem.

Jaki to dzisiaj dzień? Szeroko otwarte okno, jeszcze pachną farby. To zapewne niedziela, czuję jak Bóg odpoczywa.

Byłem godzinę na górze u Rotraut, mieszka bardzo pięknie; dostała w upominku urodzinowym najjaśniejszą z grafik. Teraz jest pora na długi spacer między drzewa i liście.

Wtorek zabawnie w poczekalni lekarza chorób wenerycznych, wśród wielu oczekujących, żartów lub stresu, jak u prześlicznej dziewczyny o brązowej skórze, azjatyckiej buzi. Korzystam z wolnej chwili i piszę do Ciebie.

W niedzielę miałem party na otwarcie pracowni. Rotraut

zrobiła smaczne jedzenie na porcelanie i srebrach, Michael dwie flaszki, ja jedną. Śmieszny podział kastowy: Rotraut, Monika i ja siedzimy swobodnie na poduszkach nisko, zaś Ewa i Petra, Christian i Michael - ciut sztywno na kanapie. Ludzie z tak różnych światów nieprzypadkowo spotkani, bo po to, abyś mógł ich poznać. Niech Ci się nie wydaje, że mówię ludziom o Przekazie i kosmicznej sondzie - Rotraut jest psychoterapeutką, ma dość ludzkiego wariactwa.

Ma dwie twarze, jedna radosna a druga natchniona. Gdy jest wzruszona, rozgrzana uczuciem, buzia się robi uduchowiona i piękna. Jak matka boska, oto skojarzenie trzeba zanotować. Mój boże, gdzie ja to piszę, gdzie matkę wprowadzam!

Wczoraj malowałem Demona, z przerwą na zawieszenie Petry do szpitala, gdzie wytną jej migdałki.

Wieczorem odwiedza mnie Rotraut, a wkrótce też Monika z dwojgiem Niemców: ona milcząca ponura i brzydka jak noc, on po szkole filmowej w Paryżu chce coś zrobić w Berlinie, jakoś bardzo spięty, może tak działa na ludzi moja bezpośredniość?

Jeszcze pukanie do okna, Richard z flaszka Martini i opowieściami. Po północy wszyscy sobie poszli, malowałem jeszcze do czwartej, o dziewiątej wstałem na śniadanie i prysznic, po czym przyszedłem tutaj, gdzie na tablicy świetlnej zaraz będzie mój numer.

Piątek szósty października zaczyna się po północy, ale oto weszła Rotraut, znów nie mogę pisać.

Po nocnych rozmowach i pocałunkach poszedłem o świcie na spacer, zbierałem bukiet łąkowych kwiatów. Spałem trachę na jawie, przed południem biegłem dzielnie do metra, aby odwiedzić policję, bowiem już trzeba przedłużać wizę; spotkałem na ulicy Dietera, naprawiał swego białego Jaguara; orzekł, że to za późno na policję.

Zrobiłem więc drobne zakupy, po drodze spotkałem Christiana; sam już nie może prowadzić, więc go zawiozłem do Rity; udziela jej synkowi lekcji gry na fortepianie. Rita jest lekarką, zadbała o mnie po wypadku z Waldim. Przed trzema laty miałem pierwszą w

Berlinie wystawę, a ona była pierwszą osobą, która kupiła obrazek.

Mieliśmy właśnie herbatę i ciastko, za ścianą dźwięczy fortepian, chwila wytchnienia w pięknym jasnym domu.

Widać w zapiskach, że mam wiele pośpiechu i zauroczeń, a mało czasu? Jeszcze nie skończyłem Demona, maluję drugi obraz, wczoraj malowałem też "Otwarte wybrzeża", które się otwierają od kwietnia.

Problemy z policją i Urzędem Celnym; zaniósłem dokumenty do Urzędu Sztuki, niech się dzieje wola nieba.

Po wizycie wtorkowej u lekarza nie miałem pieniędzy na zakup leków, a okazało się, że na kucie mam grzybki, poszedłem więc do Michaela po następną stówę; dostałem ją opakowaną w poniżające komentarze, chociaż zazdrościł mi Jeanne szczerze.

Jest przed mym oknem ogród wynędzniały i usychający; w chwili rozterki znalazłem w podwórku gumowy wąż, założyłem go na kran z wodą, rozwinąłem na całą długość i zacząłem podlewać. O, jakże nakrzyczyła na mnie pani dozorczyńni Pett, staruszeńka biała. Jeszcze i to!

Przyjacielu mój i zeszyte żółty, poświęcam Ci znacznie mniej czasu, nawet zaniedbuję. Czy to jest powodem trzęsączki na początku dnia i tygodnia, czyli dziewiątego października?

Sobota: malowałem lecąc na płatku śniegu, Richard i Rumpel przyszedli z dziewczynami, potem Rotraut z przyjaciółką Mane, pojechaliśmy we troje na przyjęcie u Krystiana.

Ciekawe środowisko, elegancki świat, młodzi ludzie prowadzą rozmaite terapie, medytacje, czynnie w psychoterapiach uczestniczą. Okazy zdrowia! Z czego oni wszyscy się leczą, pyta we mnie głupek niby ironicznie, mój pierdolec zdaje się w tym ludzkim kontekście apokaliptyczny. Słabo rozwinięty drugi czakram, orzeka Rose.

Wróciliśmy do domu wieczorem, malowałem zaciekle do świtu. Tylko przed sztalugą nic mnie nie ogranicza.

Po takiej sobocie żadnego przebaczenia w niedzielę, chłodno w kokonie ze szkła. Jest przezroczyty i niezauważalny, izolacja szczelna.

OdwiŹdziłem Petrę w szpitalu, czuje się dobrze po zabiegu; wykonałem nieudany spacer po parku z Christianem i Rotraut, tam nastąpiło nieudane spotkanie z Michaelem i Ewą; kiedy jestem w naturze z ludźmi, nie jestem z naturą.

Udany obiad u Rotraut.

Jest taki rodzaj medytacji aktywnej: dwie osoby patrzą sobie w oczy bez mrugania powiekami, w relaksie, godzinę. Znasz to? Patrę Ci w oczy i po jakimś czasie Twoja twarz się zmienia, jest zupełnie inna! Parę razy w trakcie jednej sesji. Na tripie lsd-owskim takie dzianie się ma pełną intensywność, widzimy nie tylko różne twarze, ale poznajemy wzajemnie nasze inkarnacje.

Rotraut nie używa żadnych narcotico, nasza sesja jest trzeźwa. Widzi we mnie starego indianina, wojownika pokrytego bliznami, i matkę.

Widzę w niej piękną szesnastoletnią, bladą bezwzględną staruchę, a potem demon, jakby tybetański, szczerzy kły w uśmiechu.

Przyciągająca i odpychająca zarazem, może to pojmę, kiedy podrosnę? Pieszczoty intensywne, ale się nie kochamy, przecież się leczę z poprzedniej miłości.

Jej koty Rozyna i Feliks czarnobiałe, prawie jaśniepaństwo.

Piękne jesienne słoneczności, dobrze jest oddychać.

Dzień czuwa w znaku samotności.

Dziesiąty, południe, złocista pogoda; siedzę w słońcu pośrodku lipowej alei naprzeciw mego okna, padają liście, jest zachwycająco ciepło. Moja pracownia już piękna, choć tak maleńka! Biel ścian i zieleń roślin, poza tym tylko obrazy, a zaproszone dziś do środka światło zrobione jest ze złotej ochry i łaski pańskiej.

Berlin się teraz żółci, różowi i perli. Obok mnie na ławce siadają dwie kobiety z Azji, ładnie pachną, są chłopskie, czyste i przaśne. Spogląda mi w oczy i zeszyt turecka babcia, obok kwoczy się jej obszerna córka, a wokoło biega czwórka czarnookich kogutków. Przechodzi Rotraut, zostawiając mi pocałunek. Do pracowni zagląda już wiele osób, przepała jak w Warszawie. Fajne włoskie chłopaki,

obieżyświat z Kolumbii, czarny fotoreporter z Australii strzela setkę zdjęć; są także sąsiedzi, zaciekawieni malarzem, okazujący sympatię. Najlepiej korzystają z mego pobytu koty Feliks i Rozyna - zbiegają z piątego piętra, są chwilę w pokoju, aby przywitać, powąchać, a potem idą przez okno na nocne podchody w ogrodzie i alei.

Oświecony przez błyskawicę.

*Złote światło jesiennej burzy,
szelesty płowe
iści i pocałunków,
blask
rozciągly w przeszłe i przyszłe,
pejzaże
wolne od grawitacji.*

Po północy, przed pełnią, niedziela. Seks wcale nas nie zbliża, ani nie oddala, może z nami pobyc? Christian zrobił mi tzw. rybkę, czyli dosłowny przekład mych wierszy na niemiecki, teraz z Rotraut pracujemy nad właściwym przekładem. Poza tym trzy doby malowania. Nowy obraz. Maluję otchłań.

*Oświecony przez błyskawicę,
złączony z niebem i ziemią
w błysku.*

*Wolny - od,
swobodny - do,
rozwiany, bezforemny, pusty,*

*bez celu,
bez pamięci,
roztopiony w świetle,*

który jest miejscem na człowieka.

Rzadziej pobytam z Tobą, oto już dwudziesty.

A co że co? Co mnie rzeczywistości pisanej przywraca? To cielesne zbliżenie ma taki czarujący wpływ; nie wyrażać, prawda, Herr Gurdijeff? negatywności, wystarczy suchy opis wilgotnych faktów.

Miło nam tego wieczora; idziemy do niej na górę, biorę prysznic, czekam nagi w łóżku wariat. Przychodzi pachnąca po kąpielu w pocałunki, pieszczoty; jest soczyście i dobrze, wchodzę w nią głęboko. I oto miła zaczyna szalenie oddychać, sztywnieje ekstatycznie w fontannach okrzyków i potu, jakże jej sprostać zabawą? Odechciewa mi się w sekundę, ukośnym lotem szybuję w dół z przeciążeniem pięciu g, sterując w prawo, w me spodnie i ubranie, a w ubraniu na parter; w bramie przechodzi Michael; szybka fajka, kawalek afgana na dalszy ciąg. Mój jasny pokój, w którym żadnych czarów, chłodna bestia. Sniff krótki, czyli płatek śniegu na słoneczną jesień, już jestem nietykalny dla zmęczenia, samowzbudny bałwan. W miłosnym przepychu farb i pędzli. Ona? samotna, porzucona na wybrzeżu ekstazy.

Jaki to dzień? Wiem tyle, że słoneczny - i cały za oknem. Maluję od dawna, półtorej doby z dwugodzinną przerwą. Boli podstawa kręgosłupa; gdy poruszam się szybko, ból zagęszcza przestrzeń i zmienia ją w blask. Poruszam się więc powoli, to jedyny dzień.

Jeszcze parę godzin i skończę ten obraz, który nazywa się "Nic", chociaż to może za dużo powiedziane. Bez przerwy steruję mnie z radia muzyki, było już prawie wszystko, co kocham.

Bestia rozszarpała ciut gardło, prawda, że nie sarence? teraz cwałuje w czas.

Będą się malować przestrzenie gwiazdne, gdzie tam i ówdzie wybucha światło twórcze.

Dlaczego się tak zmęczyłem? Aby się zmienić. Ciśnienie tak wielkie, że forma rozwała się, uwalniając boleśnie i twórczo. Chwała piątkom! Okay, sobotom też.

Godzina druga na niebie, trzy godziny spałem. Przyszedł Michael z listonoszem; paczuszka od kolegi artysty: świeca już pali się na stole, werniksy i nieco hopsa, czyli dobrej trawy. Chwała przyjaźni troskliwej!

Obraz bywa piękny niejako po drodze. On chce być tylko prawdziwy.

Jaki gwałtowny wiatr tej jesieni!

*strąca
ostatnie liście,*

*porywa
ostatnie myśli.*

Dzisiaj nie interesuje mnie pytanie, jak żyć. Interesująca jest tylko odpowiedź na Wszystko.

Obudziłem się w teraz, cicha noc, jakaś godzina? Dziwne życie. Parzę kawę, znoszę na stół dwa jajka na miękko i chleb z cebulą.

Ten obraz przeszedł swoją ewolucję. Próbował różnych możliwości zaistnienia. Oto jest. Znaczy - osiągnął wewnętrzną spójność, stał się bytem samoistnym - i samoświatnym w tym szczególnym przypadku. Jest już wolny ode mnie.

Istota obrazu? jest uczestnictwem w duchowości świata.

Prawda dziś trzyma uniwersum w jedni.

Spotkałem grzecznie Rotraut i poszliśmy na zielony targ po zakupy. Miała sny straszne po naszym erotycznym zajściu.

Dobrze, że speed się kończy, wałnąłem w tym roku paręnaście razy; jest tylko jedna doza, zatrzymam na wernisaż, jeśli do takiego dojdzie; nic w tym kierunku nie robię.

Zimno, włączyłem elektryczny piecyk typu smok; rachunek może być kosmiczny. Hm, wiesz, że byłem wcześniej elektrykiem?

Odkręcam uważnie śruby na liczniku, badam instalację; zakładam gumowe rękawice, nożem ściągam izolację z kabli, podłączam druty do tych doprowadzających prąd do licznika; gotowe.

Jeszcze mały pędzelek - nie do malowania przecież! - nabieram nań kurzu z kąta skrzynki i pokrywam uważnie miejsce operacji; wygląda nie dotykane przez dziesięciolecie. Piecyk elektryczny stawiam na kamiennej płycie na wypadek silnego rozgrzania; może pracować spokojnie całą zimę. Się gorszysz? a byłeś biedny?

Spoglądam w ten zeszyt do tyłu w czasie. Przeglądam się w nim jak w lustrze. Tyle, że widok faluje, jakbym patrzył przez płomień; a może to faluje woda w mirażu dla spragnionego?

*Nie wiem, który to dzisiaj i nic mi do tego,
zbliża się jakaś północ,*

*to śliczna droga - płonąć,
widzieć w zdarzeniach
nauczyciela,*

nie akceptować go bezstronnie.

Dwudziesty dziewiąty październik, data na kwiecie, więc wiem; kupiłem i dzwigałem brykiety węglowe; jeszcze jedno obciążenie, jak temu podolać? Ale piec już grzeje, dom ciepły, mimo, że lata świetlne dzielą mnie od domu.

O, kiedy Pan Budda mnie wreszcie obuddzi?

Umarł Louis, kot Michaela, z tej okazji przyszedłem do Zielonego Palca, aby napić się piwa i pisać; w domu atmosfera dla słów niełaskawa, kolory skaczą do oczu a zapach terpentyn i oleju w nozdrza. We mnie umiera Louis wciąż jeszcze.

Ale spokojnie! - od wczoraj pisząc, beznamiętnie, bo droga wyboista.

Wczoraj z Christianem, który łaskawie towarzyszy mi jako tłumacz, w galerii o drugiej, a Berta ani śladu. Telefonuję, a on wyjaśnia, że czekał na mnie w czwartek, pomylił dni tygodnia mówiąc po angielsku, umawiamy się jutro w ratuszu.

Żeby stress mnie nie kasał maluję dzień cały, wieczorem

siadam w fotelu z pędzlem i paletą w dłoni, aby chwilę popatrzeć na obraz, i zasypiam. O brzasku przemarnięty do szpiku kości owijam się w koc, śpię dalej jako zimny kamyk.

Rano, och! budzenie Michaela, toż to cała wyprawa! jazda po Christiana, wreszcie osiągamy ratusz z półgodzinnym spóźnieniem. Bert jest w akcji noszenia obrazów, ma wyraźne pretensje, czekamy bitą godzinę. Ustalamy termin wystawy na 29 listopada. Drukuje mi się tylko zaproszenie, pod koniec roku Urząd Sztuki nie ma pieniędzy. Jestem po fakcie spięty, głupio obciążać nieznanego człowieka moimi sprawami, nawet w imię sztuki.

Kawa i relaks z Christianem u Michaela. Otworzył drzwi, wypuścił koty do ogrodu. Poskarżył się - uważaj! - że nie wie, co z nimi zrobić. Przeprowadza się właśnie do nowego mieszkania, nie może ich tam zabrać, bo mu podrapią meble. Są teraz już same w tej pustej galerii, nie może w niej nic zrobić, bo podrapią mu klientów. Że takie bestie! Najlepiej by zrobiły, gdyby się zgubiły.

Straszna bywa moc życzeń!

Po kawie poszedłem do malowania, kot Louis przyszedł z wizytą przez otwarte okno, zna drogę dobrze. Był niespokojny, miauczał, ocierał się o mnie, zaciekle polował na komary i wszystko ruchome; głaskałem go i coś mówiłem, chcąc się go pozbyć, zwykła między ludźmi rzecz. Czasami.

Rozwahałem, czy może zostać ze mną, ale zobaczyłem, że sierść jest już na palecie i płótnie - jakby nie dość było, co strzępi się z pędzla.

Widziałem go jeszcze i słyszałem miauczącego pod drzwiami galerii. Malowałem dość długo, gdy przyszedł Michael, zabębnił palcami o okno.

- Wiesz, co się stało? Louis umiera.

- Gdzie?

- Tam na ulicy za czerwonym Oplem; możesz go wziąć? proszę, bo ja nie mogę, on jest taki wielki.

Oczywiście, ja mogę wszystko, zwłaszcza dla kolegi. Powstrzymuje mnie jeszcze, najpierw do piwnicy, tak! znajdujemy pudło tekturowe, tak, chyba się zmieści. Idę sam na ulicę; jest wielki, gdy go nie ma, przetrącony kręgosłup, już stygnie; wrzucam do pudła, idź Louis,

jesteś wolny, z królestwa niebieskiego cię nikt nie wypędzi. Niosę pudło. Michael pojawia się z rolką taśmy, tak praktycznie, oklejam pudło na krzyż, i dopiero teraz ośmiela się go dotknąć, okleja pudło jeszcze osiem razy, nie żałując robocie serca ani taśmy! Żeby kot nie wylazł?

- Co teraz? - Michael ma w oczach ciepły blask. - Napijemy się wódki.

Dobrze, mogę się napić wódki, zwłaszcza dla kolegi, wziąć cjanek potasu, zakopać kota, zakopać! A gdzie? W ogrodzie Christianów pod wielkim dębem. Wracam do siebie i gaszę światła. Czeka na mnie, nie chce już dotknąć pudła, wkładam je do wozu, jedziemy.

- Louis zawsze miauczał jadąc samochodem.

- A teraz jest zupełnie spokojny.

Otwiera nam Christian przebrany za szpiega w wielkie łapcie i uszatką syberyjską czapę - skąd?

Oto dzisiejsza przygoda: ktoś miał dla Petry propozycję współpracy, oferując duże pieniądze i ułatwienia w wyjeździe jej rodziców z NRD w zamian za zupełnie niewinne informacje, ot, tytuły książek w amerykańskiej bibliotece. Ktoś zamawiał francuski koniak, mówił po rosyjsku, śmiał się z pogroźek niemiecką policją. Fajnie, jak na koniokrada.

Łopata i do ogrodu, między czarne drzewa. Michael sapiąc wykopuje dół, przyglądamy się powinności w milczeniu, umieszczam pudło w wądole, myśl pożegnalna, i sypie się ziemia, Michael ubija łopatą wzgórek. Śpieszy na kryminał do kina, ja się nie śpieszę; podwozi mnie do domu.

Maluję potem

- tu przerwa w pisaniu na siku w toalecie; wracam a na zeszytach leży 5 marek, ktoś zaprasza na piwo, a nie chce przeszkadzać! -

parę godzin w obecności kota, po czym przychodzę tutaj i piszę. Będę się chwilę chwalił. We wtorek spotkałem w ulicy Rumpla, przyszedł na herbatę i oddał mi 20 marek, zaraz też był listonosz z paczką i miałem czym płacić za doręczenie, dzięki wszystkiemu za zbiegi okoliczności! A w paczce kożuszek mój brązowy i fajny koc od siostry, przesłany przez Filipa ze Sztokholmu. Widzisz, z jakim to idiotą masz do czynienia? Wziąłem ze sobą w podróż tylko

obrazy, żadnych ubrań, pościeli czy garnków. Jakbym się parę razy z głupstw w międzyczasie budził.

A co maluję? Stary obraz, już pewnie rok mnie świruje, nazywa się "Miejsce na człowieka"; w promienistej przestrzeni ziele chłodna granatowa niemal czarna dziura, w której formuje się twarz.

Ach! dodam jeszcze, że w kocim wstrząsie i rozgardiaszu Michael pożyczył mi trzecią stowę bez drgnienia powieką, głodu nie zaznam więc w czasie. Co na to przestrzeń?

*W pełni księżyca
wyje wilk,*

*chudy
samotny wilk
biega bez przerwy
wzdłuż drucianej siatki,*

*wyje
w mroku duszy,
chroni mnie przed złudami,
nie oszukuje samobójstwem.*

Piątek to drugi listopad. Po raz ostatni dotknąłem błękitem 'Demona', a ponieważ to farby akrylowe, więc od razu wernik-sowałem, żeby się ustrzec od pokusy dotykania pędzlem raz jeszcze.

Zbudowałem piętro nad kuchenną częścią moich posiadłości; rusztowanie było od dawna na miejscu. Pomieściły się zgodnie z przewidywaniami wszystkie obrazy i płótna; na dole przestrzeń do pracy i życia.

Skończyłem, prawda, że dziwnie i niespodzianie, duży obraz "Poranna piosenka"; wielkie malowane tam usta posypałem puchato barwnymi ostrużynami zeschniętych farb z palety, którą czyszcę i skrobię niekiedy, zachowując resztki w słoikach. Cudny kontrast brutalnej materii olejnej w kontekście jasnych obłoków i gwiazd.

W sobotę mnie budzi Michael. - Następny kłopot - mówi, - Ewa chce zabrać kota Humphrey'a.

Zostawia mi klucze od galerii, która nie stanie się moim obiecany domem; wyjeżdża do Lubeki na 3-dniówkę filmową. Petra przyjedzie tutaj, zaopiekuje się kotem.

Poszedłem na targ warzywny jakże krzykliwy i barwny! zakupy, śniadanie - ciekaw jesteś, co? dwa jajka na miękko, chrupki chlebek, papryka i mleko; generalnie sprzątnąłem pracownię, wywalając kozetę na śmietnik, wystarczy mi materac do spania na podłodze, mniej gratów to więcej życia. Facio sprzedający jarzyny na markecie krzyczał coś w rodzaju:

- Hitlera na nich trzeba, żeby zrobił porządek! - nie wiem, o kogo chodzi, ale zakupy robię raczej u starszego pana opodał; wygląda jak zdrowa pietruszka, co żyje daleko w grządkach.

Wykąpałem się i posiedziałem w słonecznej alei, po czym zrobiłem obiad - jeszcze ciekawy? ryż gotowany z kukurydzą i grochem! - obiłem płótnem uff trzy blejtramy. Wieczorem są Petra i Christian; pod ich wpływem wzięłem kota Humphrey'a do siebie, w galerii ma zimno, samotnie.

Około północy dzwoniłem z budki w alei do Warszawy; Marek, o którym tak ciepło myślałem, okazał się ciemnym i zaspanym kątem, w rozmowie z siostrą byłem obcy; no, niech tam, i tak ich kocham.

Przed chwilą zaś, o trzeciej, skończyłem robotę z obrazem, umyłem zęby i poszedłem spać - ale czyniłem to wszystko solennie, że sen sobie poszedł, zapaliłem więc znowu lampę, by zapisać, co?

Parzę sobie kawę, kręcę papierosa. Za dobę Rotraut wróci do Berlina; spędza tydzień w Belgii na psychoterapeutycznym kongresie. Jakie to będzie spotkanie?

Jakże smaczna kawa, błogosławiący świetlisty Bach. Dobrze w tej nocnej chwili, bo w godzinę powstał nowy obraz, minimalistyczna

"Pełnia", metr trzydzieści na metr. Na surowym płótnie jest biały okrąg, posypany barwnymi zeszkobkami z palety. Wewnątrz niego jest kropka słońca, pod nim kreska horyzontu. Podstawowe doświadczenie na planecie, wewnątrz świata.

Kot Humphrey leży na moich stopach, grzeje mrużąc i senie, lecą toccaty i fugi Bacha. Siedzę, a dokądś zdążam.

Poniedziałek już się zaczyna, doba przemalowana ze szczętem. Rotraut przyjechała wczoraj piękna i urzekająca jak kwiat, czarodziej-skim masażem stóp przywróciła mi siły. Kochaliśmy się żarliwie i tkliwie, po krótkim śnie na mym ramieniu wróciła na górę. Również Rozyna i Feliks złożyli wizytę, a ponieważ jest Humphrey, było wiele wyszczerzeń i groźnych podchodów. Nie wiedzą, że mnie jest wszystko jedno. Wszystko. Jedno. Dobranoc.

Wtorek jest z bólem głowy i rozmywaniem się widzialnego w oczach. Rotraut i spacer w parku pod szklanym hermetycznym kłosem, jeszcze paru gości. Ożywiłem się nieco na temat rozwoju ludzkości; zasadniczo weń wierzę, sam rozwinąłem się znacznie przez te parę pamiętanych wcieleń.

Bywam wszakże przekorny, rozumiem także szacownego pana, który twierdzi, że ludzkość się nie rozwija.

- Jest parę możliwych punktów widzenia. Nie ma żadnego postępu. Kiedy boli głowa, ludzkość jest w regresie. Dzikus żył w obliczu nieznanego w bojaźni i trwodze; w nic nie wierzył, miał doświadczenie, bóg się pojawiał w każdej błyskawicy. Wiem, jestem dzikus. Popatrz na mass-ludzi, co za ignorancja! świat widzi się im uporządkowany mocą zabobonów, wyjaśniony dopóki telewizor działa. Jakże oni wierzą! że ktoś za nich sprawy ostateczne załatwia, bo tak jest zdrowo i naukowo. Popsute automaty stąd dotąd czasem wierzą w Boga w biblijnym ubranku, zawsze wierzą w elektryczność, nic o niej nie wiedząc. Postęp? ależ współczesny człowiek to fabryka gówna!

Zatruwa siebie i planetę, zagraża wszystkim innym żywym istotom.
Pewnie, tylko punkt widzenia. Będę optymistą, kiedy się wyśpię.

Czwartek o piątej rano; wczoraj czarna rozpacz, wieczorem przesilenie, noc wspaniałej pracy.

Pięknie rozwija się oleander, który wzięłem od Rotraut na kurację do siebie; każdy jakoś leczy albo człowieczy jak może.

Dramatyczne zajścia w Iranie, ostre walki w Rodezji, co właściwie w Polsce? wieś spokojna? Włączam radio i szukam Warszawy w tęsknocie, aby zaraz dowiedzieć się, że 'świnie rosą lepiej, jeśli mają paszę soczystą - dlatego zielonki miesza się z krwią z rzeźni'. Zawrotne płasy ludojadów!

*Nad moją biedną
ojczyzną
gwiazdy nieruchome.*

Pierwszy raz zero stopni, zima jest blisko, skoro podarły mi się ostatnie portki na dupie.

Ewa i Michael przyszli na szklaneczkę wina gdy jestem na sennym wymieraniu; znowu są razem i zgodnie; i tak co drugi piątek. Chwała czwartkom!

We śnie krzesła opuściły widownię i poszły na poszukiwanie publiczności, zaczepiały każdą dupę namawiając na siad, kopały przechodniów.

Rotraut kruszyna pozłocista obudziła mnie pocałunkiem w południe. Zjadłem śniadanie i gościłem Christiana, nie pozwalając mu narzekać, skłaniając do wysłuchania kasety Divine Melody / Boska Melodia, czyli wykładu Bhagawana o miłości. I właśnie umyłem pędzle do czysta.

Wszystko jest energoświatłą przestrzenią. Tu i ówdzie w nieodpowiedzialnym ruchu zagęszcza się ona, wyłania świat form i ludzkich kuśpitków. W malarstwie jest przenikanie tego, co uniwersalne, z

tym, co subiektywne; rozróżnienie między podmiotem i przedmiotem staje się nieistotne, zanika.

W świecie mi się to zdarza z kobietą.

W piątek czyli po spaniu zrobię projekt zaproszeń na wystawę.

W sobotę rano jest zimno jak w syberyjski poniedziałek. Spałem źle albo dobrze.

Śniłem znowu chałupkę babci Woźniakowej; krzątała się tam mama, opowiadając że brat Andrzej utracił mnieszkanie, bo nie miał stu tysięcy na wpłatę; nic nie wspomniał, mówię, a przecież bym pomógł. Wuj Stanisław przeziębiony, gdyż biegał po śniegu boso do Bełżyc i z powrotem. Patrzyłem na ściany i okienka izby, twierdziłem, że były gdzie indziej. Wuj zachwycał się złocistą barwą światła w izdebce; żartowałem, że powiększy okna i przerobi chatkę na pałac. Wyglądam przez okno a tam Rysiek, mój brat cioteczny, prowadzi ścieżką konia. Kasztan niesie głowę wysoko, przednie nogi ma przedłużone szczudłami i stąpa niepewnie; wypadek?

Inny sen gdzieś w świecie - przerabiałem hangar czy barak na pracownię; pracowałem od dawna; byłem bardzo biedny, dosłownie nic nie miałem, ale wieść się rozeszła i od przyjaciół i znajomych z wielu krajów dostawałem paczki z żywnością i rzeczami. Było tego już tyle, że od dawna przestałem przesyłki otwierać.

A tu zjawia się z Polski pan profesor Artur w ciemnym garniturze wytwornym, jak kiedyś w Sztokholmie, gdy go widziałem maszerując na Gamla Stan łowić ryby, aby zapewnić sobie kolację. Pan Artur jest zakłopotany, gdy otwieram paczkę w jego obecności i widzi, że są w niej trzy zupy w proszku i dwa podkoszulki! Na ścianach wiszą nagie wielkie płótna, patrzy z zacięciem wokół. Słowiańska niemoc z mannej kaszki.

Spada ostatni liść jesieni, jest ostry chłód. Mopsożelazny piecyk grzeje bez zarzutu, ale gdy gaśnie ogień jest momentalnie zimno; pod spodem piwnica, z jednej strony mieszkania brama, z drugiej budynek się kończy, drzwi wejściowe na klatkę; sąsiedzi tylko nad sufitem, który 5 metrów w górę. Rozumiesz, czemu zimno?

Piecyk elektryczny sprawia, że kran nie zamarza, ale to cała zasługa.

Rotraut twierdzi, że zaniedbując sprawy urzędowe poddaje się przypadkowym związkom z łupieżem społecznym prawa i policji; mogą mnie stąd wykopać.

Co mówi, mówiąc, że stoję w otwartych drzwiach? W stosunku do niej czuję się sprzeczny wewnątrz.

Niełatwo jest w towarzystwie Christiana, rozsiewa mocne ciemne wibracje, a jego książka, którą z trudem czytam, zięje zapiekłą urazą, nawet nienawiścią; rozumiem, musi wywalić z siebie jad, ale mi niełatwo.

W nowym zeszytzie żółtym zaczynam pisać 12 listopada; noc spędzona miłośnie z Rotraut przyniosła mi sen dziejący się we wnętrzu kościoła w Niedrzwicy Kościelnej i ciemności pobliskiej, cmentarnej; mroczno i źle, demony, wampiry, zapach krwi i śmierci. Czy moje ciało leżało w trumnie w kościele? Czy mną powiewał wiatr? w górze, ponad koronami lip, gdzie krążyłem w szumie skrzydeł śmierci? Sen powtórzył się dwukrotnie, chciał się zapamiętać. Zapomnieć!

*Ja nie umru! dusza w zawietnoj liriej!
Moj duch pierieżywiat i tlienija ubiežit,
i sławien budu ja, pakol w podłunnom mirie
žit budiet chot odin piit.*

Że w polskiej transkrypcji, bo nie mam ruskich czcionek, zacytuję na temat, co sądzi Puszkina.

Brzydę się śmiercią!

Pierwsze godziny dnia pod chmurą sennego koszmaru - śnio-
ne, bo życie jest snem, również w dzień, snem lekko wytłumionym,
włożonym w ramy rzeczywistości przez pracę, czynności fizjologiczne, soc-
jalne. W południe spacer w parku, taki Berlin mnie wzrusza; zbieranie
klonowych liści, które mogą się przydać przy robieniu wystawy, piękne
chwile z wiewiórkami, dla których miałem orzeszki. Jakże przyjaźnie i
ciepło między nami. Obiad i wieczór spędzony razem, po czym

wróciłem na dół, aby raz jeszcze przepisać na maszynie biografię.
Samopoczucie kiepskie: ból głowy, biodra i prawej nogi. Żeby mnie nie
zjadł tutaj reumatyzm!

Szesnasty, nadeszła pełnia księżycy bez odrobiny paliwa. Już
tak od tygodnia nieludzko! Dzisiaj kolejny cios. W poniedziałek w
Urzędzie Sztuki tłumaczenia (się) i użerania o druk zaproszeń, potem
w galerii mierzyłem ściany i planowałem ekspozycję. Wtorek, telefon
do Berta jeszcze raz w sprawie druków - a on udziela mi informacji, że
Instytut nie godzi się na otwarcie wystawy w weekendy, a w ogóle
tylko w godzinach pracy, czyli do siedemnastej. Ani chybi chrześcijań-
scy demokraci boją się czerwonego z Polski. Z wystawy nici, bo nie ma
sensu w takich warunkach pracować

Wczorajsza rozmowa z Michaelem dotyczy jego galerii; zro-
bimy wystawę u niego, weźmie na siebie druk plakatu i zaproszenia, ja
zrobię resztę. Ale wczoraj telefon Berta z nową informacją: załatwia dla
mnie galerię na Ku-damm; w poniedziałek o jedenastej spotkamy się
znowu.

W galerii N pokazałem swe prace; pani suchotka biurokratka
machala w popłochu rękami, przerażona moimi dziełami i chyba mną
również; poczułem się jak barbarzyńca, co nie było nieprzyjemne w
kontekście tego na ścianach: pieszczotliwe gówienka. Chcę pójść do
KaDeWe z grafikami.

Mam 14 wierszy z listu do Ciebie przełożonych na niemiecki;
dźwięczą dobrze.

Dziś posadziłem cebule narcyzów, krokusów i tulipanów pod
oknem, niech się aklimatyzują do kwitnienia wiosną; mam wiele roślin
również po wewnętrznej stronie okna, miejsce jest bardzo przyjemne
i barwne.

Noc z Rotraut; jest zmęczona i przepracowana, śpi krótko,
cudna i mądra, mamy świetny kontakt. O ósmej rano wyszła; poprze-
dział ją kot Feliks, ogon wzniesiony heroicznie, gdyż całą noc buszował
za oknem; za nią postępowwała kotka Rozyna. Czysta poezja.

Lipa, którą sadziłem jako chłopiec przed szkołą w Sobiesz-

czanach, ona pewnie stała się wielkim drzewem.

Wkrótce miła wróci z seminarium, gotuję obiad: ryż z groszkiem i papryką; do tego będzie sadzone jajko i mleko. Ryż gotuję w wodzie z dodatkiem zupy grzybowej w proszku, co przełamuje jego smak, jak laserunek przełamuje i rozświetla kolor.

Na jasnym niebie miłości jednak ciemna plama! na moim małym, co się otarł w jej pochwie do krwi. Trzeba o tym powiedzieć.

Późny wieczór i wczesny remanent: wykazuje brak płótna, bletramów, pieniędzy; nie mam na czym malować, a przecież moja praca ma wartość, powstają piękne obrazy!

Istnienie w świecie ma własności sprzeczne. Jestem wśród ludzi mały, pośród innych wielki. Paniąkom, co chichocą zaglądając przez okno, zdaję się dość stary; przemiła pani mulatka Dorothy z drugiego piętra zowie mnie młodzieńcem. Stary i młody, mały i duży, mądry i głupi; opis ma rację bytu w stosunku do innych; zawieram w sobie sprzeczne własności, wszystko ładnie prawdziwe.

Nie mogę się opisać ani zidentyfikować; żadna ilość przymiotników nie wyczerpie prawdy! Ba, nawet jej nie dotknie. Rzeczywiste nie daje się opisać. Jest nieznanne i proste - świeci.

Mam złe i dobre cechy jak Ty. Ale czy naprawdę jest 'ty', jest 'ja'? przecież jest tylko uniwersum. Jedno.

Ty i ja istniejemy w języku.

Dobrze jest widzieć się przez światło. Dobrze jest widzieć rzeczy przez światło. Które wyjaśnia jasno, że formy to byty pozorne, które rozpuszcza rzeczy i nas w sobie. Które jest. Jedno.

Pewnego dnia odrzucę wszystkie ograniczenia, stanę w świetle, moje ciemności będą rozproszone.

Nie interesują mnie odpowiedzi na pytania zaczynające się od 'dlaczego'. Końkut mówi, że się głupieje od tego. Nie pytam, czym jest prawda, lecz - jak ją osiągnąć. Nie zajmuję się filozofowaniem, jest bezużyteczne. W centrum życia jest doświadczenie; pytam 'jak' i doświadczam, gotowy na wszystko.

Odbiór obrazu to dynamiczny proces, w którym widz uczestniczy w wyższym poziomie rzeczywistości. Wiele rzeczywistości w sztuce i życiu emanują z Jednego; postrzeganie takie jest pierwotne,

wspólne człowiekowi i pszczole; pojmowalne jedynie w głębi osobistej intuicji, nie ma nic wspólnego z rozumowaniem, myśleniem.

Intuicja - oto, co mamy na własność. W głębi człowieka jest ukryte / uśpione światło, prawda i wiedza jest wewnątrz; to osobiste doświadczenie otwiera mi oczy.

*Prowadź, gałązko brzozy, przez burze, sezony i słoneczne dni,
roń swoje liście,
nie powstrzymuj mych łez,
wyzwalaj światło, które czeka wewnątrz.*

Nasze przemiany tryskają ze wspólnego źródła.

*Pewnego dnia zobaczymy się wzajem,
przez blask pojmowalny -*

nasz śmiech potrząśnie światem.

Widzieć prawdę można tylko w przejawach i uwarunkowaniach, lecz ona, nieskończona, jest wolna od uwarunkowań czasu i przestrzeni. W każdej rzeczy zawiera się nieskończona potencja prawdy. Jesteśmy wychowani w kulturze, widzimy wielość manifestacji, trudniej postrzegać jedność. Jakże boleśnie doświadczam zmienności w procesie ciągłej przemiany!

Siedemnasty listopada zaczął się późno lub wcześnie; do trzeciej czy czwartej nocą pisałem i rozmyślałem.

A potem wiele śniłem; w rodzinie, z braciszkiem Andrzejem i kimś jeszcze coś jeszcze.

Ostatni sen przed wstawaniem zgoła fantastyczny; śnił mi się film widziany jak na ekranie, postrzelony i aresztowany bohater ucieka ze szpitala; dziwaczne zmieszanie czasów; najpierw poznaję fakty, potem ich filmowe opracowanie; dzieje się akcja filmu, jestem w nią zaangażowany wbrew własnej woli! Migawkowe komiczne sceny w

szpitalu, windy, ubikacje, przebieranki, groźne i śmieszne awantury. Jestem twórcą filmu, okiem kamery, która niekiedy staje się mną a wtedy tracę kontrolę produkcji, uczestniczę bezpośrednio w zdarzeniach w poczuciu skrajnego zagrożenia.

Budzę się zziębnięty i przygnębiony, to zbyt wiele wina i papierosów nocą. Niepokój, ciemna aura z płatków sadzy i zwątpienia. Wyciszenie. Spóźniam się na market zielony, kupuję tylko paprykę i pomidory, co powinno wystarczyć.

Osiemnasty od paru godzin; znowu piszę nocą; wieczór spędzony z Rotraut, mówiłem o kłopotach z małym; zapewne przeskadza nam ta miseczka, którą sobie zakłada antykoncepcyjnie; zbadam to jutro dogłębnie.

Zdaje się, że dostanę pracę; tydzień całodobowej opieki nad heroinistką, która będzie tu mieszkała na okres kuracji odwykowej.

Trzeba mi dalej pracować nad przekładami, aby mieć dość poezji na czytanie, gdy przyjdzie do wystawy.

A skoro do spania daleko, wspomnę Ci szkołę dzieciństwa w Sobieszczanach, pierwszy murowany i piętrowy budynek w okolicy. Nie byłem tam już ćwierć wieku, ciekawe, jak wygląda teraz, czy nadal sale są czyste, duże i jasne? Przed szkołą zapewne ogromnie lipa, którą posadziłem; od małego lubiłem się zajmować drzewami i roślinami. W szkole woźną była Magda, nikt nie znał jej nazwiska, ogromna wówczas baba, świetnie dająca sobie radę z gromadami dzieci i utrzymaniem wnętrza w czystości; jej pokój z kretonowymi firankami czyściutki i zadbane, mieścił się na parterze od strony północnej. Teraz Magda jest szczuplejącą starowinką, sąsiadką rodziców, z niewielką rentą, biedulka.

Och braciszku, nie lubiłeś mnie w dzieciństwie i zazdrościłeś, wrobiono cię w zazdrość; chciałeś być gorszy niż jesteś, żeby się jakoś ode mnie odróżnić; a nie wiesz, jak mi ciążyło ustawiczne wychwalanie, jaki zdolny, śliczny, grzeczny, jak mnie to wyobcowało przedwcześnie; wrabiano mnie w rolę lepszego, więc chłopaki stronili.

Zawsze w dzieciństwie i młodości byłem od wszystkich młod-

szy, poszedłem bowiem od razu do drugiej klasy, umiając od dawna już pisać, a zwłaszcza czytać. Zaważyło na losie, gdyż nie chciano mnie przyjąć do żadnego liceum ani szkoły średniej; pomogła dopiero protekcja przyszłego szwagra Wiesława, znał dyrektora Technikum Energetycznego w Lublinie, zostałem zatem technikiem. I tam byłem młodszy; nieco nieśmiały z natury, wspomagany w tym odczuwaniu przez starszych - nauczyłem się słuchać ludzi i rozumieć.

Opuściłem wcześniej dom rodzinny w wieku lat trzynastu, ty miałeś dziewięć dopiero, gdy ciężar braterstwa spadł ci z ramion. Rzadko pisujemy do siebie, braciszku, wkrótce to naprawię; ciekaw jestem, czy pomogła ci w zdrowiu wizyta u Anglika Kleiff'a, który leczy dotknięciem dłoni. Braciszku, śnię cię często.

Zamyśliłem się gapiąc w okno. Która to godzina? Włączam radio American Forces, i w tym momencie zasypiam, więc budzę się w Kopenhadze dręczony, że ktoś nastawił zbyt głośno muzykę; ubieram się, wychodzę na balkon jak w Rinkeby u Filipów; wspinam na poręcz i ściszam komuś radio; to maleńka turystyczna "Szarotka", reperowałem je w młodości masowo. Z mieszkania wychodzi pan Duńczyk, trzeba się tłumaczyć, ale łatwiej zmienić sen; spacerujemy więc w ulicach nad wodą z Ryszardem i zaśmiewamy się do rozpuku. W innym śnie siedzę w trawie z Christianem. Spacerują opodal dwaj policjanci, więc nie zapalam jointa, a on mnie przynagla, abym to uczynił, bo siedzą w pobliżu jasnowłose dziewczyny.

- Zapal - mówi - to przyjdą do nas.

Sięgam po zapalniczkę, ale ze skrzyta przesuszzonego sypie się trawa, trzeba więc zrobić filtr z kartonika. Na co wreszcie się budzę, by wyciszyć radio. Włączam Bacha, trzask płomyka świecy potwierdza mój dobry gust.

Kontynuuję wieczorem; myłem się o poranku kiedy przyszedł Christian, Napili się chłopcy po kielonku, ponarzekali kulturalnie, że nie ma co palić - bowiem ze snu nie ocalałem jointa, musiał się sam wypalić. Przyszła Ewa i Petra, napiliśmy się wina, nadjechał Michael z

fajką, która. Dziewczyny poszły robić obiad, jedliśmy w pięcioro u Ewy.

Rozmowa z Michaeliem o wystawie, którą zrobię u niego, a z Christianem o życiu. Michael zniecierpiwiony i niespokojny, jego brat były alkoholik, słabiutki, nie przychodzi i nie przynosi te paręnaście tysięcy utargu z dzisiejszego Pchlego Targu, może go ktoś napadł? Jedzie po niego; po chwili przychodzi Petra, że obiad gotowy. Kończymy skręta, idziemy do Ewy, proszą do stołu. Chcę zaczekać.

- Nie, nie wiadomo kiedy wróci - pada odpowiedź.

Spaghetti z sosem z puszki wcale mnie nie zaprasza, ograniczam się do szklaneczki Chianti. Przychodzi Michael z dwoma flaszkami, widzi nas przy stole, nie zaczekaliśmy, wybiega obrażony, Ewa biegnie za nim, przeprosza, zawraca, wspomagam ją w akcji, mówiąc, że wcale nie zacząłem jedzenia. Dziecko małe w Michaelu pozwala się przeprosić, po chwili zamieszania siedzimy razem jako tako pogodzeni.

- Ty, Wiesławie, zawsze wyglądasz inaczej, niż my wszyscy - Christian zwykle zaczyna od komplementu, by późniejsze szyderstwo mogło być dotkliwe.

Michael coś mówi po niemiecku. Pytam: - Christianie, o czym śpiewa Michael?

- Śpiewa? Ja nic takiego nie słyszałem.

- Tak, śpiewa, a ja nic takiego nie widziałem - zaśmiewamy się, pijemy wino, okazujemy z ochotą godną lepszej sprawy.

A zatem wszystko może być Przekazem, czy wszystko nim jest? Od bliźnich dowiaduję się - w doświadczeniu, bo ich słowa kłamią - jak nie należy: gotować, postępować, żyć, prowadzić interesy, kochać, jeść, oddychać, chodzić, rozmawiać z wiewiórką. Rzadkie są ludzkie wyjątki, przeważnie uczę się przez negację, widząc, że tak nie można. Jest to bezpośrednio doświadczenie, uważne, pozytywne, z dodatnim sprzężeniem zwrotnym i blokadą wzbudzeń.

Wczoraj opowiadałem Rotraut wycieczkę do miasta Lublina w wieku lat siedmiu. Jechało ze dwadzieścioro dzieci z szóstej i siódmej klasy na furmankach ciągniętych przez konie, mnie najmłodszego zabrał w przygodę ojciec, który był jednym z trzech furmanów. 25 kilometrów polnymi drogami w słonecznym poranku, tego dnia wszys-

tko było po raz pierwszy, w radości; przejazd przez miasto, widziałem wreszcie ulice i domy, do obozu koncentracyjnego na Majdanku.

Ołowiane i ciemne zrobiło się niebo w deszczu; w baraku sterty dziecięcych bucików, tysiące, dziesiątki tysięcy bucików, zapach, zapach skóry i śmierci. W następnym baraku sterty włosów, chmury włosów przeciągnęły nad krótko ostrzyżoną łepetynką z szeroko otwartymi oczami.

Baraki z gazem trującym; niepewnie mi powiewają w głowie żółte nalepki i wyjaśnienia przewodniczki, że ludzi pędzono do zabiegu niby higienicznego pod prysznic, a z sufitu sypał się proszek Cyklon i w zetknięciu z wodą zamieniał w gaz. Sztorm cywilizacji, oko cyklonu, śmierć przez uduszenie.

Paleniska śmierdzące jeszcze palonymi ciałami, co? dopiero dwa lata się wietrzą, będą zawsze cuchnąć.

Kontrasty nie mogą być większe - czy była to może moja inicjacja? Pojechaliśmy do teatru Osterwy na spektakl Balladyny, przejmujący czar niezwykłego i niepowtarzalnego wiał ze strof Słowackiego, fantastyczna świetność kostiumów i dekoracji, w poczuciu bezpieczeństwa mój zachwyt grą aktorów i akcją złagodził straszną poprzednich obrazów.

Przemierzaliśmy tego dnia całe miasto. Zamek widziany z daleka, opowieść taty o salach wypełnionych trupami; w przeddzień swej klęski Niemcy urządzali tam zbiorowe egzekucje, po wojnie zamek stał się więzieniem.

Obiad na Kalinowszczyźnie w klasztorze braci Salezjanów; tak się ułożyło, że pięć lat później tam zamieszkałem; zielony korytarz jest w pamięci, łaźnia i umywalki, wielka sala sypialna z księdzem salowym śpiącym w rogu, służba do mszy świętej jedyna, bo wszystkie ubranka były zbyt wielkie, nie chciałem się wygłupiać, ani też w ogóle chodzić do kościoła; nie pamiętam ani jednego człowieka czy kolegi, jedynie szare wnętrza i ściany są w przestrzeni głowy, mecz piłki na dziedzińcu, bitwy na kamieniu z chłopakami z Kaliny, którzy robili tam jako wrogie plemię.

Powrót do domu przy słońcu skłaniającym się do zachodu, piosenki, ach, wspaniały smak przygotowanego przez mamę na drogę 'grzybka', czyli omletu.

Z radia słyszę "Pièce Heroique" Caesara Francka, znasz to? Poznaj koniecznie - mroczne romantyczne organy wznoszą dźwięki w noc ku światłu nieskończonemu.

Z BBC słyszę o aresztowaniach prawicy w Hiszpanii - policja, Guarda Civil i wojsko - faszyci gotowali się do zamachu.

*Wstąpić w trawiący wszystko płomień nieśmiertelności.
Stać się tym, czym się naprawdę jest.*

We śnie uliczka w Lublinie biegła nieco pod górę, a pod drzewami biegła ku mnie Katja z cudnymi piersiami i włosami powiewającymi na wietrze; Przytuliła się do mnie, zwarliśmy się w pocałunku; obejmując ją czule po chwili otworzyłem oczy i zobaczyłem naprzeciw mnie ścianę - łańcuch, niemal pozbawioną tynku, który spadając odsłonił pęknięcia rur, kabli i przewodów, kranów i złącz, pykającą szumiącą dygocącą machinę.

Ach! pojąłem, że widzę maszynię wszechmocy, która urabiała moje i Twoje dzieciństwo i steruje młodość, że właśnie tędy tłoczy się moje nasze przekonania, uczucia, poglądy! Zniszczyć to, zniszczyć! Kable odizoluję i zrobię spięcia, rury porozbijam łomem; głaszcząc ją po włosach i przytulając planowałem zamach.

Zawiniły nożyczki! Ksiądz salowy był wysoki i chudy, ale z wielkim brzuchem; tam wbiłem nożyczki porwane ze stolika; byłem zupełnie niewinny, a on mi wykręcał przemrożone i spuchnięte ucho. Trzeba było pożegnać klasztor.

Pierwsza stacja we dwójkę z Jóźkiem od sąsiadów. Staruszka miała maleńki pokój, gdzie wszedłem po raz pierwszy dopiero w dniu jej śmierci, i maleńką kuchnię, gdzie stały nasze żelazne łóżka, stoliczek między nimi do jedzenia i robienia lekcji, na oknie wąż pelargonii, kwiatek ubogich.

Mama dowożąca jajka, kaszę, mąkę i kurczaka, co stanowiło dla mnie pokarm i za mnie zapłatę; staruszka chciała mi wciskać lepsze obiady niż Jóźkowi, mój bunt. I bardzo dużo książek do czytania - w tym aspekcie byłem w mieście bogaty nieskończenie.

Dwa zwierzątka były dzikie, mocne i żywe, łase na doświad-

czenia, zwłaszcza zalotne obmacywanki z wnuczką, która nosiła staruszcze zupki i lekarstwa.

Nie mam żadnych emocji, zużyłem je wszystkie. Nie maluję, nie opisuję emocji. Tworzę raczej przestrzeń - ze snów i marzeń, myśli i kojarzeń - w której jest miejsce na Twoje emocje. Nie opisuję, tworzę.

Niedziela dziewiętnastego listopada zaczyna się dwugodzinna miłością; bez tej miseczki w pochwie mogłem wejść głęboko i było wspaniale, znowu po raz pierwszy. Bez mojego orgazmu, żeby nie robić ciąży; kochanie się jest miłe, że wytrysk niepotrzebny, a energia, gdy zatrzymana, robi ze mnie tytana.

W południe pięknego słonecznego dnia ciało pobolewa słodko po wspaniałym pierdolonku nocą; to może być tak urocze! dziwię się, jak zwykłem.

- Czuję się głęboko dotknięta, we wszystkich tego słowa znaczeniach, ale co będzie, jeśli zajdę w ciążę?

Dwudziesty, przed południem idziemy z Christianem do Berta, aby umówić się na kolejne spotkanie w czwartek, w Galerii gotowej na moją wystawę, ciekawe. Kawał dnia z Michałem, pomagając mu sprzątać knajpę i robić zakupy - czyli mamy wstęp do prac nad wystawą? Cierpi nieznośnie, drażni go wolność mojej niedoli i śmiech. Bo tego nie kupisz za żadne pieniądze.

Narąbałem mnóstwo drewna dla mojego piecyka i sprzątnąłem po pracy piwnicę. Jestem zmęczony.

Jesienne niebo nad Berlinem miało dzisiaj błękit lata, które minęło. Mocny zapach drzew przeniknął mnie mocno i czysto.

Wewnątrz mnie wisi chmura; zbyt podległy warunkom, żeby wiedzieć, jak jest naprawdę. Dopóki jest coś do osiągnięcia poza mną, dopóty życie nie ma sensu, jest szamotaniną.

To w sobie - wewnątrz - mam poszukiwać spełnienia.

Szukać go w pracy - więc bez szukania, i bez oszukiwania się.

Rotraut moja złota kruszyna jest ogromnie wrażliwa na przeciągi wibracji; Michael wszedł z pretensjami do mnie, a ona w minutę osłabła, pobladła, jakby z niej życie uszło; zapewne rzadko spotyka się z chamstwem.

Kruszynką nazywałem Teresę przed 20 laty. Śliczna i smagła przyniosła do naprawy radio turystyczne "Szarotka"; pracowałem w warsztacie Stacji Obsługi Radiowej w Lublinie; po odbiór przysłała o piątej, gdy zamykałem warsztat. Poszliśmy na kawę, gdzie nie pozwoliła się pocałować. W parę dni później na przedstawienie opery objazdowej 'Straszny Dwór' w Hali Sportowej, gdzie nie pozwoliła się pocałować. Gdy ją zegnałem pod drzwiami mieszkania po trzecim spotkaniu i nadal się nie pozwoliła całować, chciałem już odejść zły i na zawsze, ale nie wypuściła mej ręki, przyciągnęła do siebie. Śmieszne żalosne dalej między nami, a nawet to, czego wcale nie było; nie chce mi się pisać.

Wpadł znowu Michael uskarżając się, że kobiety są niemożliwe; ledwo wyszedł zapukała do okna Kristina, abym otworzył drzwi, zamykane w domu o dwudziestej; pobiegła na górę do Ewy i na całe podwórko słycać podniesione głosy; zbiegła z powrotem, aby wyjść, ale rozmyśliła się i zapukała do Michaela. On kocha się w Ewie, a Kristinę wziął sobie, bo śliczna. Cóż, miałem jej nie wpuścić? Nie jestem ani dozorcą, ani też ochroną; to raczej ja powinienem być pod ochroną, taki rzadki zwierz; w bogu nadzieja, że się nie pozabijają, bo kto mi zrobi latem wystawę?

Przebudziłem się przed godziną, lecz mi się nie chce wstać. Szedłem we śnie z siostrą Halusią i Rotraut poprzeczką obok zabudowań Woźniaków ku mostkowi nad strumykiem w porannych mgłach; nad łąkami wschodziło wielkie czerwone słońce. Halusia trzymała mnie pod rękę z lewej, a z prawej Rotraut. Nic nie mówiliśmy, było tajemniczo i dziwnie, a nasze sylwetki rzucały cienie na słoneczną tarczę. Obejrzałem się do tyłu - gdzie jest to źródło światła, co rzuca

nasze cienie na słońce? ale wokoło było szaro, nisko wisiały mgły, sennie i mglisto było też między nami.

Dwudziesty drugi i środa o drugiej. Stworzyłem z pomocą Rotraut teksty zaproszeń, u Michaela w galerii piliśmy smaczny likier a ja mozolnie - przecież to pierwsze lekcje niemieckiego - przepisywałem teksty na elektrycznej maszynie. Ach, jaki M ożywiony, gdy R zesłała do nas, przynosząc kawę i orzechy; gadał jak kataryna! Urzekła go swym pięknem wewnętrznym, powiedział.

Teraz Feliks ociera mi pyszczek o twarz, pociesza i mruczy; wiem, gruczołami pyszczka zostawia wydzielinę na skórze, znaczy mnie jako swoją własność. Domaga się pieśczoły, nie pozwala pisać, czyli użalać się, mądrzejszy ode mnie.

Więc powiadasz, że wszystko jedno, co piszę?

Feliks, królewski lekarz w Sztokholmie, powiedział, że nazywa się tak, bo przynosi szczęście. Wszedł do galerii, w pierwszym spojrzeniu zakochał się w mym malarstwie, kupił wszystkie duże obrazy i sprawił, że mogłem spłacić kolosalne długi i pracować dwa lata w pokoju bez troski o jutro.

Jakiż jestem skolatany, boże bądź miłościw grzesznej duszy mojej!

Michael miał ostrą przeprawę, a potem i rżniętkę z Kristiną; Ewa jest skłonna do wybaczenia, bo co może zrobić? ale dzisiaj długo nie wraca do domu, a Michaela biorą dreszcze.

Rano było tak ciepło! pachniało wiosną i bzami.

Specjalny dzień Rotraut miał miejsce podczas seminarium w Instytucie terapii oddechem; w czasie treningu doznała, jak wdech wchodzi w jej ciało i wieje przez dolną połowę od stóp do bioder; czuła każdy wdech i wydech jak wiatr! Przewiana oddechem wzruszyła się bardzo, musiała przerwać trening i opuścić salę, położyć się na kuszetce i odpocząć, szlochając serdeczne pół godziny. Jestem u niej. Dlaczego chcę stąd iść?

Na dół.

Na dół, czyli do nieba.
Gdzie trzeba napalić w piecu.

Parzy się czarna herbata, w piecyku huczy ogień, momentalnie robi się ciepło i trwa, póki się pali. Musiałem wrócić do siebie; w obecności Rotraut nie mogę Ci o niej pisać, chociaż zna tylko trochę polskiego. Chciałbym się może z nią żenić i robić trojaczki; całkiem to możliwe, skoro jej babcia i matka były z bliźniaków, jeśli się myślę, a może z czworaczków. Ale znam wariata, który we mnie mieszka i wiem: jest tak wrażliwy na światło bijące ze skóry i jędrne ciało, że pofrunie za pierwszą panienką, jaka się nawinie. Co za dola, ja pierdola! No, boję się jej trochę.

Pozdrawiam cię swym oddechem.

*Pozdrawiam cię swym oddechem, tak,
rzędem brzózek na wzgórzu, wiosną,
lotem szpaka,
tym, co przynosi los.*

*Jest czwarta rano, pozdrawiam cię każdym zmierzchem,
ogniskiem rozpalonym gdzieś wysoko w chmurach,
kromką chleba,
śniegiem.*

*Spójrz: w moich oczach
jest jak nad morzem,
parę skał, wiatry,
drzazga jakaś uparta
tak sobie.*

*Pozdrawiam cię życiem
jak to robi kwiat,
pozdrawiam cię w czas.*

Popołudnie, dziś Niemcy obchodzą święto pokory i żalu za grzechy. Wcale im się nie dziwię! Zrobiłem na obiad soczewicę z ryżem i ziemniakiem, sałatę. Zaczekam na powrót Rotraut. Ona tak naturalnie pokazuje, jak należy postępować i pilnować własnych spraw; trzeba być nieskazitelny w świecie, aby być wolnym od świata.

Piszę Ci fragmentik Bhagawana:

'Kiedy patrzysz przez oczy - to nie oczy widzą. One się tylko otwierają do widzenia, patrzący jest poza oczami. To, co patrzy przez oczy - to nie oczy. Oto dlaczego możesz je zamknąć i wciąż widzieć: marzenia, wizje, obrazy.

Patrzący jest poza zmysłami, porusza się przez zmysły ku światu. Ale gdy zamkniesz swe zmysły - patrzący zostaje wewnątrz.

Jeśli patrzący, ta świadomość, jest scentrowana, nagle staje się świadoma siebie. A jeśli jesteś świadom siebie - jesteś świadom całej egzystencji, ponieważ ty i istnienie to nie są dwie różne rzeczy.'

Komunikacja z bliźnimi? Wyrażać się wyłącznie przez sztukę - porzucić inne środki porozumienia, jako i złudzenia.

Dwudziesty trzeci listopad, czwartek, jak dobrze! Wielkie płótna były do transportu zdjęte z blejtramów i zrolowane w belkę. Dzisiaj je rozwinąłem, naciągnąłem na blejtramy i powiesiłem na mych wysokich ścianach. Pokój stał się rozległy, jest w nim widok na kosmos.

Zabawne snów koleje; byłem we śnie w KaDeWe, gubiąc po drodze grafiki, w poczuciu nieszczęścia oglądałem tam potwornie drogie obrazki. Po herbacie porannej pojechałem na jawie do KaDeWe, a tam obrazy na ścianach taniutki, choć równie nijakie jak we śnie; dwaj faceci zmiłuj się boże od sztuki gotowi kupić wszystkie grafiki po 50 marek od łebka, czyli trzy razy za tanio.

Bert zostawił wiadomość z adresem, stara się coś dla mnie zrobić - po powrocie do domu jechałem więc znowu - do Folk Galerie, tam ludzie życzliwi i konkretni, zwłaszcza Nafti; za tydzień będzie kontrakt - płacę dziesięć procent od sprzedaży, mam trzy sale do dyspozycji, zmieszczą się duże płótna; dostanę klucze i będę musiał

obsługiwać, otwierać i zamykać; wystawa na początek roku, niestety, jest doń 5 tygodni, jakoś przetrzymam. Szkoda, że to piętro, bez widoku z ulicy.

Ulga, nie muszę robić wystawy z Michaelem; ciężko się będzie nam polubić po jego oświadczeniu publicznym na przyjęciu u Ewy - że jest dlań wielkim ryzykiem łączyć swe nazwisko z moim. Dobrze, że ma dla czegoś szacunek, choćby to było własne nazwisko; źle, że przy dużym brzuchu człowiek się robi malutki. Dziwna zrobiła się ta przyjaźń, ale czy nie za dużo pretensji? Niech sobie będzie jaki chce! Ja raczej winienem zająć się sobą. Nie egocentryzm, lecz centryzm, Christianie. Scentrować się, skoncentrować!

Masowe samobójstwo Amerykanów w Gujanie. Mawiał Janik pan stary: - Panie, czego to ludzie nie wymyślą! - i uważnie wkładał połówkę papierosa do lufki.

Czy będę miał czas, aby Ci o nich wszystkich napisać? Tylu już ludzi spotkałem, poznałem, uszanowałem w mej duszy. Jak mam wyrazić tę dziwną miłość, jaką do nich czuję? Miłość bez uczucia.

Z Folk Galerie pojechałem do Christianów, jadłem smaczną zupę, piłem kawę i gwarzyłem z Christianem. Poszedłem przez park do domu i byłem w samą porę - to był już Christian! bo Petra ma przecież hiszpański w domu obok.

Następnie Rotraut, wkrótce Petra i Kristin greczynka, tak ciepłe czyste oczy, że chciałbym w nie patrzeć; mówiła do mnie po grecku, jakie piękne melodie, ja do niej po polsku, nie pozwalając Christianowi na złośliwe przekłady! Kolacja z Rotraut.

Goliłem się przed lustrem, aby jej za chwilę nie drapać, ale zadzwonił Richard - czy nie wezmę na parę dni na przechowanie psa. Chce z Rumplem jechać na weekend do RFN. Zgodziłem się. Przyjąłem po chwili trójkę; pies typu czarny pocieszny wariat, złakniony domu i wody, głodny. Chłopcy wyszli natychmiast, żeby złapać ostatnie metro, a pies zaczął szaleć, więc musiałem odbyć jeszcze jeden długi spacer, uspokajać, tłumaczyć, przylać po dupie smyczą, bo wyciem budził dzielnicę. Postanawiam oddać im jutro! Teraz leży pod drzwiami nakarmiony i śpi, pojękując. To samo się układa - Rotraut śpi z kotem, ja z psem, czy to pełna harmonia?

Dwudziesty czwarty, nic mi się nie śniło, mister Black zachowywał się, sikał i szczekał; gdy R i R przyszedli z puszkami żarcia i paliwem - zatrzymałem paliwo, prosząc o zabranie puszek i psa. Poszedł.

Chwila z Rotraut, przyszedła powiedzieć, że dzwonił Christian, do niego Michael, żeby się umówić na zasadniczą ze mną rozmowę o czwartej. Wpadła Ewa; sądzi, że między mną a Michaelem mota Christian; gruntownie nieszczęśliwy czuje się może lepiej, gdy inni w nieszczęściu? To nadmierny optymizm.

Jakież ja skołowany, uderzyłem się ścianą o głowę! Nie ma sposobu na Michaela, żyje lękiem. Poza nami dwoma nie ma żadnych przyjaciół, kontakt z ludźmi wyłącznie przez pieniądze; zarabia wiele a pieniędzmi trzeba administrować, inwestować, kasować, pożyczać niekiedy. Ta wolność materialna, Mercedes i Jaguar, jest wielka jak wewnętrzna niedola. Czuję się przyjacielem jak kot Louis; trzeża być czujnym, nie wpadać pod koła.

Ach, jeszcze nie zapytałem, doprawdy, kto Louisa przejechał!

Po zakupach chleb z serem i mleko, jeszcze filiżanka kawy i list do brata; ciekaw jestem, czy udały się zbiory trawy, którą siałem w ogrodzie, czy dostanę jakie świeże zioła. O czwartej przyjechali Petra i Christian, Michael przyszedł na rozmowę z godzinnym spóźnieniem, niosąc Humphrey'a na rękę; Christian pośpiesznie potępił spóźnienie, a rozżalony Michael natychmiast wybiegł. Tyle o dyplomacji.

Ugotowałem makaron z marchewką i groszkiem; przyjdzie Rotraut, dodam jajko sadzone, kiszony ogórek - czy dla kosmitów kalorie nie są zagadkowe?

Masada zwała się żydowska wioska, kilkuset ludzi skoczyło w przepaść nie chcąc się poddać Rzymianom, a religia zabroniła im walki. Jedyny wypadek zbiorowego samobójstwa przed tą makabrą amerykańską w Gujanie. Każda godzina to coraz więcej znalezionych trupów. Gdzie człowieczeństwo w tym pstrokatym śmietniku?

Oni wszyscy ze sobą ptaszkuje! Ach, ta dzisiejsza opowieść

Rotraut przy obiedzie o jej związku z amerykańskim czarnym india-
ninem Rony; matka kochała go bardziej niż męża, wypuściła ze swej
sypialni w wieku lat osiemnastu, nic dziwnego, że życie seksualne
rozpoczął po trzydziestce. Rotraut była mu żoną, Iltraud kochanką,
choć była żoną Tacha, który kochał się w Helen, a mieszkał w komu-
nie z Iltraut; w Tacha kocha się wszakże Greta. Jutro się wszyscy
spotkają na weekendowym treningu w Utrechcie. Żartowałem, że w
tym sekstecie są możliwości jeszcze nowych związków; prawie płakała
z bólu, jaki jej wyrządzam, pozłocisty kaczeniec.

Ma tyle pragnień, jakże ludzkich! Ale pragnienia się nie speł-
niają, tworzą tylko formy - puste, w które może wpłynąć ból.

Co mówi mistrz na temat wystawy u Michaela? Nie szukaj
tego, co ciebie nie szuka!

Boli mnie głowa, od szczęścia daleka.

Ciekawe, odwiedzić Dietera? Dzisiaj już za późno. Ciekawe,
Ryś i Kasia przysła mi jakieś pieniądze?

Nocą się wyjaśnia, że Michael się spóźnił, bo chciał nam kupić
haszu. Przyszedł teraz ze skrzem na chwilę, zaraz wołała go Ewa.

Już 25-ty południe. Obudziło mnie pukanie do drzwi, ale kiedy
się zerwałem, nie było nikogo. Byłem sam jak we śnie, gdzie wielkie
obrazy wieszałem między drzewami wzdłuż szosy, żeby chociaż ludzie
jadący na jarmark i z powrotem mogli je obejrzeć. Niedobrze, Wieś,
niedobrze. Potem malowałem na biało pokój dziadków w Sobieszcza-
nach, och, już za chwilę wniosę sztalugi. Wybierałem się za granicę,
ktoś mnie telefonicznie ostrzegał, że jestem śledzony, mam przed
wyjazdem spotkać się z panią, która udzieli informacji. I temu podob-
ne ilustracje drastycznej niepewności śniącego podmiotu lirycznego.

Ach, dzisiaj nie lubię snów, nie kocham jawy. Nędza i ponie-
wierka, zima na czatach; brykietów starczyło na miesiąc, dwa czter-
dzieści w kieszeni.

Rotraut gościła i podejmowała śniadaniem kuzyna w moim
wieku, bodaj generała. W dzieciństwie bardzo się lubili i przyjaźnili; w

wieku dojrzałym spotkali się po raz pierwszy w czerwcu na pogrzebie
matki.

Opiszę jej mieszkanie, abyś poznał śmiesznotę porównań.
Ostatnie piętro stuletniego domu, od ulicy trzy wysokie pokoje w amfi-
ladzie, zdobione gzymsami, z wielkim balkonem, po drugiej stronie
obszernego korytarza sypialnia, łazienka, kamera i kuchnia. Jasne
drewno podłóg, biel ścian i sufitów, minimum mebli, białe dywany,
obfitość regałów z książkami i roślin, srebrne sztuczce, stara porcelana.
Mógłbyś powiedzieć - piękne mieszkanie, czystość i elegancja.

Kuzyn odwiedził ją dzisiaj, a jest tak wrażliwy, że musiał dwa
razy wychodzić do toalety, bo płakał; miejsce widział jako dno upadku,
podobne widywał rzadko w najuboższych dzielnicach - tak strasznie,
strasznie biednie!

Rodzina z wyższej sfery, wysokościowiec społeczny; Rotraut z
rodziną w konflikcie? czy mnie pamięć szuka? ma dzisiaj czyste oczy i
cieple światło przez nią promieniuje.

Że nieco plotkuje?

A znasz to? 'Nie mów przyjacielowi, czego wróg nie powinien
usłyszeć'. Gdy wszystko ma być Przekazem - jakże mi wątpić? i w co?
Co dalej z nocą? podle się czuję, pójdę do łóżka, dam odpocząć bolą-
cym mięśniom karku i kręgosłupa.

26 listopad, w nocy miałem niebywały trip, przyszła Rotraut i
zrobiła masaż moim wszelkim bólow, otwierając czy uświadamiając
mi czakram trzeci; jaka ulga!

Dzisiaj niedziela, Akademia Sztuki, dobra wystawa "Artykulacje
przestrzeni", dwie setki obrazów różnych; nic porywającego czy
inspirującego - poza wrażeniem, że powinienem malować, bardziej
ufać pędzłom, czy nawet - oddać się im we władanie. Czy to pro-
fesjonalne skrzywienie?

Wieczorem wizyta Petry i Nandy; ona pani psycholog o bardzo
słowiańskiej urodzie, sobieszczańskie światło w oczach; on ze dwa-
dzieścia lat młodszy, mistyczny, mówi o obrazach z zapalem,
przyniesie mi jakąś księgę o kolorze. Przyjaźnie i tak normalnie! chyba

do normalności tęsknię. Piękna orchidea od Petry na stoliku cieszy się wraz ze mną. Sprzedałem dwie grafiki za czterysta, czyli mój ostry kryzys finansowy był fikcją, trwał krócej niż przeziębienie czy sraczka.

Jak pięknie Rotraut mówiła?

- Kocham cię, a to zmienia całe moje życie, wiesz o tym?

- Wiem - odpowiadam - ale momentalnie zapominam, więc powiedz, co zmienia?

- Byłam sama, przez ostatnie lata uczyłam się, studiowałam, medytowałam nad sobą, pracowałam nad sobą, byłam coraz bardziej sobą. A teraz jesteś ty tutaj, z tysiącem twarzy, zmienny, różnorodny. Jest nas dwoje, właściwie troje, bo przestrzeń między nami jest żywa osobowa. Jestem jak kwiat wiosną, w kwietniu; przebija ziemię czując słońce, ostrożnie, bo jeszcze mróz może wrócić, niepowstrzymanie - korzenie głębiej w głębę, w górę pierwsze listki. Lada chwila kwitnę!

Seks fajny do zabawy, lecz tu jest wszystko na Ach! Jakby seks ograniczał komunikację? Niezwykle? bo i ona niezwykle! Jakby nasze bycie miało miejsce wyżej? Serce jest wyżej niż seks! Prawda, jeśli się stoi, a jeśli się już leży? to choćby dla rymu człowiek rypie jak należy.

- Czuję cię wokół siebie, cały świat dotyka mnie z zewnątrz i od wewnątrz przez ciebie - mówi, a wilk we mnie łagodnieje; gryzę szyję, zaciskam zęby na krtani, przyciągam i odpycham.

- Nie boisz się wilczych kłów na krtani?

- Nie boję się - śmieje się Rotraut.

- Co to za dziwna owca, mówi we mnie wilk, co z taką owcą począć?

- Zachowaj ją na deszczowe dni.

Kochliwa jak przepiórka w szczycie sezonu.

27.11. Człowiek, który widzi rzeczy takimi, jakimi być powinny, jest bardziej szczęśliwy niż człowiek, który widzi rzeczy takie, jakie są - mówi na dzisiaj Great AFN.

29-ty dokładnie przemalowany jako i obraz; już się stabilizował w istnieniu jako "Stan niepokoju", teraz zanosi się na "Stan pokoju".

Wykochałem wczoraj Rotraut ten jeden raz w życiu! A może nawet lepiej; jak w czasach, kiedy to lubię. Piszę, zeszyt leży na desce, deska na kolanach, a mnie staję pod deską; przyjemne, jakież normalne uczucie. Ja tęsknię do normalności. Wrócę do obrazu.

Ha, nalatałem się dzisiaj między oknem, gdzie odchodzę, by widzieć z daleka, a obrazem, który się staję błękitny, świetlisty.

Gdzie jestem? gdzie

ja właściwie jestem?

szukam po lasach, wybrzeżach, pośród gwarych miast,

widzę czasem ślad stopy,

czasem mnie dobiegają o mnie opowieści,

lecz siebie nie spotykam -

wokoło

jest przestrzeń, i tyle istnienia,

że na 'ja' chyba nie starcza już miejsca.

Żeby pojąć Händla, trzeba pojąć jego symfonie, mówiłem, a Christian w ogóle nie lubi muzyki symfonicznej. Wrócę do obrazu, skoro do pióra nie dopływa krew.

30 listopada czwartek przemalowany bez wytchnienia, w bólu mięśni od poprzednich malowań i kochania się z R. Efektem jest wizualne wyrażenie wizji II Koncertu Brandenburskiego Bacha, który mnie wzruszył na tripie i poratował w potrzebie. Pod nim 'Stan niepokoju', a wcześniej były tam szczęście wibrujące smugi; przemalowuję nieskończone, gdy brakuje płócien. Zmęczenie wszego

rodzaju i poziomu. Co obraz przedstawia? Powiedzmy, ziemskie pejzaże zdążające w porządku objawionym do światła.

*Powiedzmy,
jest górskie jezioro i wiatr,*

fale widzisz na moim obrazie,

*a czujesz zapach wiatru, co porusza wody?
przestrzeń, w której wiatr wieje?
ruch fal i nieruchomość jeziora?*

*wewnętrzna
sprzeczność obrazu?*

Piątek pierwszy grudnia po nocy miłosnej i gadaniu o dzieciach. Zasnąłem w jej ramionach z wrażenia - ona myśli o domu, dzieciach, byciu moją żoną; cóż począć z takim nagłym trojaczkiem?

O jedenastej rano przyszedłem właśnie do Urzędu Sztuki, dostałem filiżankę kawy i piszę czekając na Berta. Miałem być o dziewiątej, cóż, kiedy zasnąłem, a jeszcze szedłem na piechotę, przedłużając drogę pod wpływem niepokornego jointa libańskiego, którym obdarzył mnie po drodze Dieter. Nic nie straciłem, Bert spóźnia się wciąż jeszcze i chwala mu za to.

Czuję się zgnębiony myślą, że ją kiedyś porzucę.

Siedzę w wygodnym skórzanym starym fotelu, patrzę przez okno na szumiącą Heerstrasse; kto siadywał w tym czarnym fotelu jakie 40 lat temu? Stawiam jeszcze głupie pytania, lecz znika ze mnie mniemanie, że to naród morderców.

Ładny dzień, słoneczny, wyraźny.

Poczyniliśmy z Bertem ustalenia wystawiennicze: wernisaż piątego stycznia o dziewiętnastej, ale wystawa ma być gotowa na Boże Narodzenie, otwarta dla dziennikarzy, którzy coś o mnie z okazji świątecznej napiszą. Zrobić mam projekt zaproszenia; cztery strony,

czarnobiałe zdjęcie malarza, barwna reprodukcja obrazu na okładce. I projekt plakatu, bo nowy rok przynosi w Urzędzie luzy finansowe, druki są już możliwe.

Czyli radośnie w ogrodzie róż oszklonym, który mnie znalazł na swej drodze przez czas; o, gdybym mógł Ci przekazać ten zapach! Opromienia duszę! Jak to jest z zapachami, jak można przekazać informację o zapachu róży? co zrobią kosmici z moją pamięcią zapachu?

Kupić po drodze do domu pistolet do obijania płócien i biel tytanową. Przeprzić po drodze Michaela za to, że istnieje. Tobie opowiedzieć dziurę w niebie, która się pojawiła latem nad leżącym w trawach. Chmury skupiły się w wirze nade mną, w spiralnym ruchu oko wstępowało po kolejnych obłokach ku otworowi, hen, w górze, gdzie nieruchomo świeciło oko nieba, jasny błękit przestrzeni.

Namaluję te chmury, skacząc po nich w górę.

Zawsze skakałem, podskakiwałem, porzucałem wszystko po drodze, każdy dom możliwy na rzecz nieznanego. Tyle wszystkiego może się wydarzyć, nie trzeba stawiać mu nic w drodze.

Ciekawa dziewczyna poznana u Dietera, pogłaskana w locie; lubię kobiety, lubię patrzeć im głęboko w oczy, widzę urok i dobroć, wdzięk i zachwycenie, pewnie, że niekiedy stłumione borykaniem się z losem. Mężczyźni tworzyli kulturę, czy dlatego tyle krwi i barbarzyństwa? Kultura Zachodu to coś, z czego trzeba się leczyć. Do głosu dochodzą kobiety z ich naturalną biologiczną skłonnością do dawania i pielęgnowania życia.

Rotraut weszła w moje życie nagle; nie mam innego wyboru, jak tylko powstrzymać napór jej miłości?

Wspomnę dom na Mariensztacie, patrzyłem nań przed pójściem na herbatę do Związku 31 lipca, lecz zapomniałem Ci napisać, widząc Kazika; to ogromna ściana ślepa bez okien; po lewej połowie rytmicznie romboidalnymi płatami poodpadał tynk, po prawej pięła się winorośl, rysując ten sam wzór rozedrganych planów przestrzennych. Dwa różne zjawiska, a ten sam rytm; zapewne oba należą do szerszego planu łaski. Łaskawa jest pamięć.

Odrywam się od malowania o trzeciej nad ranem trzeciego grudnia - jakie dokładne parametry, co? - aby Ci się zwierzyć ze szczególnego zapachu; Bert życzy mi jak najlepiej, chce abym otworzył wystawę na święta dla dziennikarzy, pod tytułem - oto polski artysta w święta pracuje, nie może do mamy, może mieć kłopoty z paszportem. Kiepski interes, mój paszport pozwala na przyjazd jutro i wyjazd przedwczoraj, a wystawę mogę robić wolniej niż mi się w planach zdawało. Będę na czas właściwy.

Dzwonił Christian, bo szuka mnie Dieter, zapraszając na party, ale pędzel zagroził mi drogę, nawet nie oddzwoniłem.

Wczoraj siedziałem u niego i patrzyłem na kota na piecu; przygotowywał się do skoku, zdążyłem wyciągnąć palec, nie zdążyłem powiedzieć; wylądował przednimi łapami celnie na półce obok dłoni ślicznej młodej kobiety, lecz tylną łapą zaczepił o szklanekę, wylało się mleko. Cudny wyraz jej ust, kiedy mówi: - Ach, Nono... - wyciera mleko, zabiera z półki drugą szklanekę, a kot rozsiada się wygodnie, aby na nas patrzeć. Tacy są Niemcy, których spotykam: uważni, harmonijni, pełni życzliwości; może mam szczęście do takich?

Święta Bożego Narodzenia po raz pierwszy w Berlinie, niejedno kolorowe zjawisko może się wydarzyć.

Życie to narodziny, śmierć to próg dojrzałości.

Się zatem piszę.

Może trochę ostro począłem sobie z Ryszardem listownie, ale przynajmniej jasno postawiłem sprawę - niech się nie przewraca.

Już po północy; Rotraut nie przyjdzie; żal, nie pomogłem w wieczornej pracy. Aby mieć delikatne wyrzuty sumienia? Uczę się szybko, może liczyć na poprawę mego zachowania. Dziwnym zaiste człowiekiem jest ten tu Twój przyjaciel, wciąż nieco zawstydzony ksiąźącego pochodzenia, występujący w przebraniu trampa i malarza.

Ona śpi pewnie smacznie; za parę godzin, jeśli przetrzymam nocną nawałnicę i nie zwałę się w sen, pójdę do niej na śniadanie.

Nie lubię w sobie bezradości, gdy zjawia się źle postawione pytanie. Dlaczego maluję łąki? Z tęsknoty do krowy. Twierdzi księga Tao, potwierdza pan Ciekawao.

Ósma rano ma watę w mózgu i pustkę w oku. Przemalowałem noc na niebiesko, o świcie przesadziłem żółte kwiatki do nowych doniczek, a zielone jałowce Rotraut do skrzynek. Moje przekonania, np. że nie chcę mieć dzieci, o czym powiedziałem, czy to nie stereotypy?

- I tak jest nas za dużo, po cóż zapraszać kogoś do życia w tym piekle? - mówiłem, ale wytłumacz kobiecie!

Nadciąga zima, kracze

na topoli wrona.

Cóż począć z ojczystym ciepłem?

Piąty grudnia słoneczny, już nieco mroźny. Wczoraj malowałem jasną "Madonnę" cały dzień i noc, o świcie szmatą wytarłem oleje do czysta; i tak już ponad rok z tym płótnem.

Czuję się zmęczony, bezsensowny w świecie. Jest we mnie pustka. Długo siedziałem w lotosie, by uspokoić oddychanie; zrobiło się płytkie i nieregularne. Prawe ramię omdlałe od pędzlowania. Powoli wracałem do ciepła relaksu. Jakże ja tęsknię do przestrzeni, malując w tej maleńkiej dziupli! Zły dzień; rozeznaję się w położeniu patrząc na moje obrazy; kiedy nie podobają się wcale, znaczy, dzień chujowieńki, trzeba zmykać z domu.

Jestem u Christiana; Bodo ma na parterze warsztat samochodowy, proponuje, że naprawi i przeprowadzi przez kontrolę techniczną moje Renault, żebym miał czym jeździć; chce w zamian obrazek olejny, wybierze sobie, różnicę w cenie dopłaci. Alek napisał list, żeni się! Ma chłopak szczęście, hej, będą dzieciaki.

W nadchodzący weekend trzecia rocznica urodzin malarza; bezstronnie, efekty kolosalnego wysiłku na płaszczyźnie życiowej są żadne: jestem bez domu, pracowni, pieniędzy i płócien. Jest już tego kilkaset kilo, bagaż ma wielkie możliwości rozwojowe, jak dokądś dalej

jechać z takim ciężarem? Im bardziej indywidualne i piękne robią się obrazy, tym większe kłopoty mogą być z wystawieniem, sprzedażą, nie mieszczą się w ramach galerii, businessu.

Lecz mam co robić, jak nigdy nie marzyłem, a to sens życia na własność. Chcę obić wielkie płótno na nowy rok pracy.

Nadchodzi pełnia księżycy, już piąta na obczyźnie; po raz pierwszy w podróżach czuję, że jestem na obczyźnie i tęsknię do pobytu w kraju, ale teoretycznie tylko - nie ma powrotu, aniele - do czego wracać? dokąd? do kogo?

Kojarzę z pełnią obawy. Skądinąd, gdyby prześledzić inne regularności, np. wtorki mogłyby okazałyby się sensacyjne. Przyjaciel lama tybetański mi mówił w Sztokholmie: pełnia jest okresem szczególnej energii, winienem zachować ciszę i skupienie, bez seksu, alkoholu, używek; jeść mało, pić wodę, medytować, żeby nie rozniosło.

Piątka jest moją cyfrą, więc może się pełnia przekręci; może montaż wystawy?

Dzwoniłem do siostry, jedno rozczarowanie! Bo nie wysłali trawy, nie wspomagają w biedzie! Jej komentarz:

- Braciszku, bieda jest wtedy, kiedy nie ma chleba!

- Och, siostrzyczko, guzik wiesz o biedzie, w ludowej Polsce nie mogłaś jej poznać ani doznać! O zgrozo! I nawet nie znasz smaku trawy, będąc moją siostrą!

Siedzę już ze dwie godziny, Petra zrobiła obiad z kaczką, a nie mam siły pofrunąć. Ręce, która pisze, już nie chce się pisać. W pracowni jest jak w dziupli, brak miejsca na oddychanie, duszno od farby; szczerze mówiąc, to trochę trujące, ale i tak nie będę żył wiecznie na ziemi. Pójdę na długi spacer, zmęczę się do końca, napalę w domu w piecu i zasnę. Patrz tylko, ile dziś wiem o przeszłości!

Źle czułem się nocą po przepastnym spacerze, Rotraut masażem kręgosłupa mnie przywracała do życia i wydobywała z dziury, gdzie wpadłem z pomocą znów malowanej Madonny. Poznałem jej przyjaciółkę, Lizę. Otwierałem bramę, śmieszne oniemiało na widok,

jakbyśmy się dawno nie widzieli i spotkali nader niespodzianie.

Te kobiety, niestety, spójrz takiej w oczy - o rety!

Nie jest dobrze, zamiast głowy mam kocioł z wrzątkiem, gotuje się bulion obrazów, realne i fantastyczne równie męczy i boli. Czy grzeszę, narzekając? Mam dach nad głową, żywność i przyjaciół, a ilu na planecie bezdomnych, zamęczanych w więzieniach? dzieci umierających z głodu, matek z usychającymi piersiami, starców umierających w pyłe dróg do nikąd!

Szóstego sennie robię projekt zaproszenia. Ania ma nic do dodania.

Siódmy, noc spędzona miłośnie w radości, zaśmiewaliśmy się do łez a spali ze cztery godziny; porankiem pomogłem Rumplowi i Richardowi w odstawieniu Szarego Zwierzęcia Opla do warsztatu, a Forda na złom; kupili go za 50 marek, przejechali parę tysięcy kilometrów - domyślam się jak! Często wałem herbatą, nastawiałem Bacha, trochę malowałem; zrobiłem pranie, się senny, na górę nie idę. Gdy jej nie kocham, to także nie lubię chwilami. Biedny Wieś. Tyle, że mam to gdzieś. Tyle, że mam to w tyle.

Moje obrazy, będzie im tu obco? W Szwecji były u siebie, bo mistyczne niebo, tam zacząłem malować. W Polsce były u siebie. A tu?

Spałem godzinę wieczorem. Złożyłem do kupy dwumetrowy blejtram z krzyżem, jutro obję płótnem, osłonię się przed światem. Obecny dół to zaledwie dołek startowy.

Ósmy grudnia wraz ze mną gruntuje i szlifuje nowe wielkie płótno, robimy to trzy razy i właśnie schnie, niepokalane. Na czwarte urodziny malarza - widzisz, jaki chłopiec! Malarz młodziotki - zaczął malować w wieku, gdy święty Vincent umierał.

Odwiedziła mnie Mane, obdarowując szczyptą trawy z własnej plantacji na dachu - jakże to współbrzmi z pracą!

Dziewiąty, na imieniny własne zaczynam duży obraz, Galaktykę spiralną. Po mroźnym dniu wczorajszym i śnieżystej nocy dzień robi się ciepły i dżdżysty; wietrzę, stoję w otwartym oknie i piszę, odkłaniam się, macham ręką, tutejsi mnie znają, często zaglądają do okna, patrzą, jak maluję. Zrobiłem przezrocze obrazowi, chcę notować kolejne fazy, utrwalić przemiany. Nie chce się pisać, Przyjacielu, Przekaz leci dziś innym kanałem; czy dotrze do celu?

*Noce i dnie,
księżycy i gwiazdy.*

*Co łączy
jedno z drugim?
mnie z tobą?
słońce i łzę?*

Co to właściwie jest?

Dziesiąty, w drugiej dobie przemalowałem piętnaście godzin. Obraz, jeszcze surowy w kolorze i dziki, prezentuje potworną energię rozbryzgu. Wyszedłem teraz nocą na środek alei, aby go widzieć z daleka przez otwarte okna - jarzy się niebywale!

*Strojny jak dupa pawiana i krocze św. barana,
o którym legenda pisana i mówiona
mówi,
że on to ona!*

Pozdrowił mnie właściciel pubu z sąsiedztwa, pytał, ile kosztu-

je, ale przy porodzie dziecka trudno orzekać o jego talentach, choćby i fenickich. Szkoda, jestem krytyczny, ale też nie mam innych płócien; może powinienem go teraz podpisać, uznać za skończony?

Siren gibka wielkooka gazela przyszła wraz z rodzicami na moją wystawę grafik u Michaela przed paroma laty. Matka cicha i słodka, ojciec smukły, arystokratyczny w obejściu malarz i rzeźbiarz, zajmuje się też miedziorytem; przyjechali z Turcji odwiedzić córkę na studiach w Berlinie; piękne było nasze spotkanie i rozmowa o sztuce i mojej wynalazczości; print-painting to była moja własna technika graficzna. Powtórne spotkanie miało miejsce wczoraj, gdy przyszła ze swym przyjacielem Thomasem odwiedzić Rotraut, i rozpoznała mnie po chwili w uciechą. Robi architekturę i wielkie wrażenie. Daleko śpiewa syrena! Szumu prawdziwej fali nie słyszałem od wieków!

Wyszedłem wraz z nimi do siebie, aby pokazać pracownię i malowanie; o! ja biedny idiota, dlaczego jej nie pocałowałem, gdy byliśmy w kuchni, czyli za obrazem, dzisiaj by do mnie przyszła! Obraz galaktyczny robi z mej dziupli dwie, zajmuje tyle miejsca, że stojąc na sztalugach oddziela część kuchenną od reszty.

Już nowy tydzień, rano wizyta u Berta a wraz z nim w drukarni; ha, słusznie nalegałem na zrobienie korekty - brakowało daty otwarcia wystawy! Ładnie wygląda, obraz trochę ciemny. Mam zrobić projekt plakatu z reprodukcją nowej Galaktyki, radzi mi Rotraut, ale właśnie powietrze uszło z gumki-myszki.

Po kolacji i kawie z Rotraut pogoniłem przygnębienie w przeszłość, wyszedłem wysłać listy do rodziców i brata, w Zielonym Palcu dwie podwójne whisky Ballentines i tegoż zasięgu list do Diego, przy trzeciej wyjmuję z torby zeszyt, aby notować na później.

Sączyłem tę whisky często w Polskim Instytucie w Sztokholmie; proszono o moją codzienną obecność na wystawie, więc miałem co jeść i pić. Dwa i pół roku temu, zupełnie jak teraz bez forsy; wszystkie widoki na przyszłość do zobaczenia jedynie na płótnach.

Piękne wnętrza, pierwszy w życiu sprzedany obraz, bo malowałem zaledwie od czterech miesięcy, ale prezentowałem parę tech-

nik; niezwykle były mi doświadczenia nt. jak funkcjonuje polska kultura i władza, pani szatniarka, cieć, agenci bezpieczeństwa.

Przeczę wszystkiemu, prawda jest prosta olśniewająca, w niej są wszystkie ich szmatki. Prawda jest taka, że dane jest Wszystko, ograniczone tylko zasięgiem pojmowania. Mniejsze o małe życie, co tak pośpiesznie przemija, przez nie uczestniczę w bycie, który jest, nieprzemijalny. Przyjacielu, składamy się przeważnie z wody, reszta to czysta nieskończoność. Ach, racja, trochę whisky.

Dochodzi trzecia, do domu pójde okrężną drogą, by trzeźwieć.

Po czwartej jestem już w łóżku, piszę na dobranoc; ledwo urwałem się długopisowi w knajpie, gdy przedstawił się pan elegancki Hans w średnim wieku dziennikarz, postawił whisky, wypytał, i tak serdecznie zaprosił na Święta, spędza je tylko z żoną, dzieci na nartach, że dałem mu telefon Rotraut, chociaż chcę raczej malować.

Bardzo mnie wypogodziło tej nocy: spacer, listy, człowiek, whisky i zaokrąglający się księżyc.

Moje życie jest elementarną cząstką, leci z nikąd do nikąd, jest niemal niczym, doświadcza niemal wszystkiego. Albo się nim staje.

Jest cząstką, całość jeszcze zakryta.

Wtorek dwunastego przespany szczęśliwie do szesnastej; Bert zawiadomił, że praca w galerii odłożona chwała bogu na jutro. Znalazłem numer Wolfganga i już dzwoniłem - przyjedzie z kamerą i światłami. Przed trzema laty przyszedł do galerii, zrobił mi serię najpiękniejszych zdjęć, kupił jeszcze grafikę, chociaż chciałem darować. Zaprzyjaźniliśmy się po drodze; i Ty znasz go zapewne, oto namiary: Keith Jarret, Köln Concert, jego pierwsza płyta; Wolfgang zrobił foto na okładce.

Znaczy, będę miał fajny plakat.

Wieść od Christiana, przyjechał Henryk malarz z Warszawy, ma dla mnie przesyłkę, czy to wonne zioła? Petra przyjedzie na hiszpański, wezmę jej wóz i pojedziemy.

Trzynasty, widziałem Henryka W, tylko kwadrans rozmowy, przywiózł mi kilka zup w proszku! Sen to, czy jawa?

Różne są od siebie, pewnie, we śnie nie maluję, ale na wystawach bywam: moją wystawę chciałem zobaczyć w świetle dnia po nocnym montażu, wszedłem, a tam wielkie błękitne płótna i pełne zaskoczenie, przecież ich nie namalowałem. Zrobię to jeszcze, zobaczę na jawie.

Petra po lekcjach ma przyjść do mnie, więc pośpiech wczoraj; chwila z Henrykiem, który otworzy wystawę w Düsseldorfie i wstąpi w drodze powrotnej; jazda na Bleibtreustrasse z Christianem, aby kupić haszu. Trzeba mi było wraz z dealerem zmykać ile tchu, by nie wpaść w ręce policji kryminalnej, co w trzech postaciach wyszła zza roga raroga.

Pod drzwiami czekały już niecierpliwie Petra i Kristin, przestało im się śpieszyć przy herbacie; malowałem Galaktykę do ósmej rano, przyjechał Wolfgang, wynosiliśmy Kreację na ulicę, aby wraz ze mną fotografować w świetle dnia.

W galerii spotkałem Berta, chodziłem dookoła wojtek patrząc na ściany, szkicując plan ekspozycji.

Pojechałem do Christiana i uparcie skłoniłem do zrobienia rybki przekładu na niemiecki, co nie było łatwe, jako że się leni.

Jest dwudziesta, spać mi się chciało już wczoraj o tej porze, czekam na Rotraut, aby wykąpać się i zasnąć w jej ramionach.

Mój nowy obraz dyszy ze zmęczenia, centralny rozbłysk światła pulsuje leniwie, majaczysz mi przez to wąskie światło, Przyjacielu; czy mi się zdaje, czy postrzegamy się wzajem?

I tak dzień za dniem, pełna akcja. Piątek zaczyna się cudnie przesyłką pachnącą z Warszawy; wizyta w Urzędzie Sztuki; dostałem

setkę zaproszeń; wyszły fajnie, tyle, że w biografii jest wystawa-fantom w Ernst-Lemmer-Galerie u katolików; nie dość, że nie była, to jeszcze krew psuje; może dodał ją Bert, aby mi dodać powagi?

Dzwonię do Wolfganga i dowiaduję się co? że fotografie Kreacji nie wyszły, prześwietlił się film! cóż to, Wolfgang mistrzu, ducha czystego nie uchwycisz na foto? Przyrzekam zatem w drukarni projekt plakatu na poniedziałek.

W drodze powrotnej Christian i rybka wiersza, a potem malowanie do dziesiątej wieczorem z przerwą na skręta z Michaeliem; czytał mi swoje wiersze, mało z tego pojąłem, bo tłumaczył je na angielski, którego nie zna.

Wieczorem długi spacer z Rotraut nad Lietzensee, łabędzie i kaczki, drzewa, deszcz i mgła w poczuciu obcości - taka to i natura w huczącym autostradami mieście!

Dziwny wieczór. Był tu przez kwadrans Mario, przyprowadził go Christian, który chętnie eksperymentuje na ludziach.

- Ja jak spoglądam na takie obrazy - powiedział Mario, wskazując Kreację - to się zaczynam bać.

W moje oczy też nie zaglądał; nieładnie zagrał przed pięcioma laty, w spotkaniu ze mną, Andrzejem, Christianem i Alą, jego pierwszą żoną. Pod pozorem wróżenia z kart groził mi szybką śmiercią; diabeł jest ten, który wyrządza zło bezinteresownie. Tyle, że trafił na człowieka, który ciemne energie przetwarza na szczerze złoto przeżycia.

Teraz o pierwszej zjadłem obiad z pora i marchewki, ogoliłem się, naparzyłem kawy - coś mi się należy z tego dnia. Wszedłem w Galaktykę olejami; do dziś malowałem akrylami, jak zwykle ostatnio na początku; olejne farby zrobią go przezroczyście, ma być przecież z przestrzeni.

Malowałem. Dzień, wieczór, noc, poranek, i byłem wciąż na dobrym cugu, kiedy raz jeszcze przyjechał z kamerami Wolfgang. Zrobił ze setkę zdjęć; tak pięknie mną komenderował, aż poczułem się sobą, pokazywałem wszystkie twarze i byłem we wszystkich; dzisiaj

był artystą co się zowie; ciekawe, co z tego wyjdzie, jakim mnie widzi, jak ja właściwie wyglądam, kim jestem?

Dostałem dziś znowu paczkę: świeca od Jana, krem do golenia, Nowy Wyraz, paczka herbaty niby na wątrobę; zdradzę Ci skład naturalny herbaty która mocno pachnie, bo i kosmitom zwierzenie się przyda: to ładnie pokruszone kwiaty trawy zmieszane z suchymi jagodami jałowca; zapalam teraz skręta cienkiego jak igła, pogryzam jagódką. Przyjechał Christian z Petrą, która, o ironio przecinków, melodyjnie szczebioce o przepowiedniach Mario bezbłędnie sprawdzających się gdzieś w rodzinie i pośród znajomych.

Dobrze, że jestem cham! że na to sram!

Środa wieczorem dwudziestego grudnia; umówiłem się z Henrykiem na Kaiserdamm, ale nie przyszedł; pewnie pomylił stację; przyszedłem do Zielonego Palca, aby Ci popisać, bo gorączkowość ostatnich dni nie pozwalała na wiele; przychodzą do mnie ludzie licznie jak w Warszawie, zabiera to wiele czasu; dużo jest malowania, zwłaszcza wczoraj; są duszne gorączki w głowie z dreszczami i chłodem dłoni i stóp.

Wczorajszy dzień spiszę Ci dziwny; po śniadaniu z Rotraut zszedłem na dół, po chwili Henryk W, ugwarzyliśmy godzinę, przyszła Rotraut, malowałem, po chwili Christian, po godzinie Petra i Kristin, zaraz także Michael, wiele jointów; już nie malowałem, bo nie ma jak się w ciasnocie poruszać. Przed północą obiad z Rotraut, poznałem jeszcze jedną kobietę zaangażowaną w terapię, Juta, i dałem jej zaproszenie; jej chłopiec to mim-tancerz, którego oglądałem w Cafe Einstein z Rotraut na początku naszej znajomości.

Nocowałem u siebie, gdyż o 7 rano przywieziono mi węgiel, cztery i pół cetnara za 60 marek; zostaje mi 50 i dwa tygodnie do wystawy, jakoś bidę opędzę.

Byłem w południe w galerii, zdejmowałem obecnie wiszące obrazy ze ścian i nosiłem do magazynu; mierzyłem ściany i planowałem. Okazała będzie wystawa, pół setki płócien! Ściany są

czyste i rozległe, ale koszmarny bałagan, w dużym pokoju skrzynie, w biurze burdel, w korytarzu opakowania i szmaty; mają to jutro sprzątać. Ulga, że Kreacja wejdzie ukosem przez drzwi, mając nawet 3 cm luzu. Źle, bo słyszę, że galeria od dawna nieczynna, czyli nie ma 'miejscowych' gości.

Malarz i pomieszanie zmysłów; cierpię, że mało maluję w Berlinie, brakuje pół setki płócien. Jest nowy Demon, Pożegnanie jesieni, Stan pełni; skończone są zaczęte w Warszawie Otwarte wybrzeża i Poranna piosenka.

Tymczasem Galaktyka traci niesamowitą energię, jaką promieniowała w pierwszych dniach po wybuchu, pogłębia się przestrzeń, spowalnia ruch rozbryzgu. Wiele tracę, nie wiem, co przyjdzie; może skończę na wystawę?

Przy stoliku obok pianina siedzi Michael z dwoma fajnymi dziewczynami, teraz to zauważam; bo do tej chwili zauważałem co chwila, że kelnerka ma śliczne wypukłości a oczy ciemne i łatwopalne.

Ciekawe, nie pojawił się Henryk; jest dobrym, mądrym i wrażliwym człowiekiem, ale nie korzysta z energii płynących przez ciało, komplikuje się zatem metafizycznie i śmiercionośnie. Dobry malarz, takiego nic nie zmoże, może się pomęczyć!

Zadał mi pytanie, bo na zaproszeniu stoi Sadurski i Polen, czy zatem reprezentuję Polskę. Tak, bez wstydu, chociaż moja twórczość jest najpierw ludzka, dopiero potem polska. Ale jest wiele chmur, zwierzę się Tobie, życie mną miota, wieczorny przyptyk gorączki.

Nie jest mi dobrze tu, na północy, w zgodzie ze sobą nie jestem.

To Salvatore Quasimodo.

Wieczorem przed siedmioma laty też miałem gorączki, mieszkalem na Maklakiewicza u pana Jana, co wrócił z rentą z Kanady i kupił sobie mieszkanie, które mi odnajął, gdy wróciłem ze Sztokholmu i szybko przestałem mieszkać u Basi; pokochałem Wandę. Pięknie tam było, czysto i kwietnie; miłość, przyjaciele poeci i muzycy, otwarte wieczory autorskie nagrywałem na magnetofon, przedłużały się w dyskusje do rana; działało się dużo i nic, zwłaszcza to drugie, ale nadzwyczaj intensywnie. Przed rokiem porzuciłem rysunek piórkiem, po meskalinie i lsd znalazłem zajęcie niezgodne z moim charakterem; może charakter się zmieniał? Pisałem jakieś bzdury. Pod koniec roku

zaczęłem chorować; zawodzili lekarze, antybiotyki obniżały gorączkę na parę dni ledwie, leciałem trzy miesiące między 38 a 40 stopi cel-sjusz. Wreszcie, a było to już w marcu -

ta prześliczna dziewczyna od Michaela przechodząc włożyła mi do ust pistacjowego orzeszka -

- Marysia oficjalnie jako psy-

chiatra doradziła, żebym coś odmienił:

- Wróciłeś do Warszawy i chorujesz, jedź raczej tam, gdzie będziesz zdrowy! - powiedziała, a ja momentalnie uwierzyłem, przecież starsza ode mnie jest o dobre pięć godzin! Paszport miałem, okaza się trafiła, mogłem wrócić do Sztokholmu z Andrzejem i Leną, jechali dużym Pontiac. Przez Berlin.

Na Ringu berlińskim wjechał nam w rufę z tyłu mały VW; zostaliśmy w Zach. Berlinie ze względu na ubezpieczenia, w hoteliku na Kantstrasse. Andrzej wyszedł z ciosem: kupa pieniędzy na naprawę wozu, który kosztował nie powiem ile, zwrot kosztów za pobyt w Berlinie, hotel i bilet lotniczy dla Leny, która odleciała po trzech dniach - ale ja przez te 3 tygodnie wydałem wszystkie pieniądze.

To wtedy wczesną wiosną zdarzyła się noc, która drastycznie przyspieszyła dojrzewanie. U Ali i Christiana w pięciorko. Mario, pisać go jeszcze? wybitna osobowość, dobitna lisica; postać dziwna, ale nigdy mi nie wadził, ani w Warszawie jako pisarz, ani w Berlinie jako piskorz. Wróżył mi z kart z własnej inicjatywy, mówił długo, delektując się mową, wzruszając się sobą - to tylko potrafi! - tak pięknie i mądrze nawijającym na szpulkę wciurności. Streszczę: wkrótce zacznę robić coś zupełnie nowego, wielkie osiągnięcia; a ponieważ nie mówię 'nie', ponieważ ludzie mają do mnie sympatię, ponieważ jestem jaki jestem, przyciągnę wielu psychopatów, nocne motyle do światła; nudzą mnie przecież i męczą, ale ich rozumiem i nie potrafię odtrącać, więc jeden z tych wielu.

Michael podszedł, przywitał, poradził, bym przestał pisać i usiadł przy ich stoliku; złożyłem życzenia urodzinowe prześlicznej dziewczynie, co kończy w tej chwili lat siedemnaście, rozkwita w

oczach, świetlista promienność. Beztrosko zakłada nogi na poręcz krzesła, ileż uroku w tym swobodnym rozkroku! Wiosienność. Jest piękna. Zbliżyła się do mnie, hej! to słoneczny wiatr, elektrycznie naładowane cząstki lądują na skórze brzucha i przemieszczają się w dół, sprawiają, że wystawiony ku Suzannie front mojego ciała.

Zapędziłem się; widzisz? już oto front, zaraz wojenka, a to tylko prześliczna panienka!

Zawrócił mi w głowie drugi, nie, to już trzeci kielich szampana, zakochuję się z bąbelka na bąbelek, zarazem temu nierad zawracam do pisania, widziałem ją w twarzach innych kobiet. Basia spod znaku lwa nagle zakochana w rzeźni lubelskiej, wśród świńskich połówek; tam mnie nosiło, pracowałem czas jakiś doglądając załadunku bekonów do wagonów z lodem; plombowałem je i wysyłałem do portu w Gdyni; sam jechałem autostopem, bo miałem trzy dni czasu do ładowania na statek do Anglii. Fajna robota na lato, gdy Basia z ząbkami każdy oddzielnie żarłocznie we mnie wśmiechnięty.

Dziwnie spędzają czas ludzie; nudzą się, piją piwo, gapią się w mecz telewizyjny, leniwie gawędzą; ja jeden jestem z elektrycznych zawirowań, rżenia koni, pędzących cząstek elementarnych, przenośni i szumu wiatrów.

Piękne zdjęcia zrobił Wolfgang, zwłaszcza to: rozmazana w ruchu człowiecza plama dotyka pędzlem nieruchomego, patrzącego na mnie autoportretu.

Narobiłem się dzisiaj w galerii, pisałem? Jutro uprzątną klamoty, a ja poproszę Berta o pięć, może siedem? szkieł metr na siedemdziesiąt na duże grafiki, i dziesięć małych formatu A3. Chciałbym wigilię spędzić w galerii montując wystawę; nie zdążę na święta, też powiem Bertowi, zresztą sam widzi.

Drzwi galerii otwierał mi dzisiaj starszy ujmujący pan, profesor Jaenisch ma tam atelier; robi piękne delikatne grafiki i obrazy, które dziś bezwzględnie usuwałem ze ścian. Jest pozytywnie zdumiony moim malarstwem; pokazuje jak ordynarnie podpisałem niektóre akryle w rogu.

- Ten podpis jest z innego świata, nie pasuje do subtelności koloru - mówi. Odtąd te sygnatury będą bolały mnie w oczy.

O!

Telefon w barze zabrzmiał dla mnie: Henryk! Będzie tu zaraz z Andrzejem, Christianem i Waldi, aby - pojechać do mnie! Ależ u mnie wszędzie porozkładane print-paintings, które jutro wiozę do galerii!

Ależ ja mam tęgą gorączkę! boli głowa, pieką usta i skronie, dłonie są z płomienia; upojnie lecę w ten wieczór.

Michael mówi, że to dla mnie zupełnie nowe natchnienie, ta jego siostrzenica, co ma lat siedemnaście a taka dojrzała. Ale Suzanne nie mówi po angielsku, a ja? czy nie wystarczy, że kocham? coś jeszcze robić? nie wiem, napalony, upity.

W telewizorze tymczasem strzelono gola, dobrze, że nie wiem komu, tak będzie lepiej dla Ciebie a także pieprzonych kosmitów.

Dziwnie; czy wizyta Mario i wpływ grawitacji tak mnie uświadamia? wskazuje, że odrywam się od przeszłości, staję się innym, widocznym zewsząd, nie mającym nic na własność ani do ukrycia, przez którego prześwieca światło, a który temu nieomal nie może podolać. Może i może. Wstałem do pożegnania, powiedziałem, że piękna, już tyle znam niemieckiego; pocałunek dwojga kochanków; czy moje usta kiedykolwiek dotykały olśnienia tak delikatnego? Na pewno nie dzisiaj. Siedzę już z Henrykiem, Michałem, Andrzejem i Waldi - tyłu mężczyzn w mym życiu!

Druga godzina nocą; jakbym trochę przycichł. Śmiesznie wygląda nasza grupa: tłuściejący Christian zamyślony przy pomocy wąsa, fajny Henryk skryty za pracowitą ręką i brodą, brodato-brudnawy Waldi, brodaty-lśniący-tłuszczący-się Michael, zeschnięto-brodaty i niewątpliwie speedujący Andrzej - ubrani w stroje ciemne, typowe mundury maskujące lub szare; ja biało-niebiesko jak jestem.

Przyjechali do mnie, wypili pół litra, pogadali, poszli. Spala mnie gorączka, błaznowałem ostro, dobrze się czuli koledzy - mogło się wydawać w kontekście, że są zupełnie normalni.

Przejęty samoświećnością i promiennością jej skóry niemal wspomniałem Rotraut, ale boli mnie głowa, natarcie konnicy

Budionnego łomoce w skroniach. Pada śnieg.

20 lat temu idąc ulicą w Lublinie w obficie padającym śniegu układałem pierwszy wiersz. Szedłem do miejskiej sypialnicy w wielkiej sali, dwa sześćdziesiąt za spanie na górnym łóżku. Pada śnieg. Dziś nie mam żadnych przyjaciół, ach, oprócz Ciebie! śnieg pada od morza do morza, nic mnie z nikim nie łączy, nic od nikogo nie dzieli. Chyba, że tajemnica, nieznane, ale kto ma na to czas?

W czwartek obawiam się - czy moje gorączki i bóle głowy nie zwiastują torbieli nad zębami w górnej szczęce. Wyraźnie czuję to miejsce obrzękłe i obolałe, szykuje się niemoc z okazji wernisażu?

Jaka znów ciemna wibracja leci od kolegi.

Dziś piątek malowałem, galaktyka wiruje w gorączce, ale mnie nie spala. Wspomnę Suzannę, lecz nie pamiętam twarzy, jest jakaś przebitka, nasuwa się na nią twarz innej dziewczyny; recytowała wiersze, śmiała się rozszczęśliwiając; nie pamiętam imienia, tylko ten śmiech i spazm.

Wstępne wybuchy petard za oknami, właściwa kanonada za parę godzin, trzeba się ogolić i przespać.

- Czy chciałbyś być w domu? - zaskakująco pyta Rotraut.

- Mój dom jest ze mną - odpowiadam - a ja nigdzie.

Taka świąteczna rozmowa. Bóg się rodzi, moc truchleje, ma granice nieskończony. Ale naprawdę, wiesz? naprawdę chciałbym być tam, gdzie naprawdę jestem.

Tyle, że czuwam.

Boże Narodzenie idzie w wielkim deszczu,

usamotnia się czysto moja dusza.

Tyle, że jestem.

Poniedziałek wieczorem dwudziestego piątego grudnia u siebie

napalam w piecu, wietrzę pokój, zapalam świecę i pałeczkę kadzidła. Om Mani Padme Hum. Siadam w medytacji i pobytuję z rodziną, odwiedzam zdalnie przyjaciółki, przyjaciół.

Dzień wigilijny pełen zajęć, dopiero wieczorem Rotraut i spacer w pustym wietrznym parku. Po czym składamy wizytę pani Danowski w domu starców po drugiej stronie alei. Wyschnięta szczapka bieluśka w loczkach - życie mieszkała w moim obecnie pokoju.

W ostatnie święta Rotraut odwiedziła ją jak dzisiaj z kwiatkiem i ocaliła od śmierci; gaz się ulatniał, a starowinka nie mogła się ruszać. Teraz mieszka wygodnie: dwupokojowe mieszkanie z wszystkimi darami cywilizacji - ale nie jest szczęśliwa. Widuje w swym mieszkaniu osoby. Dziewczynki z piłką na balkonie, młodego mężczyznę, który się goli w łazience, kobietę z dzieckiem na kolanach w kuchni. Dziś nawet czuła przypalone mleko. Wstaje rano, jest przecież starszą osobą, krępujące, wolałaby być sama, mówi owym osobom zupełnie otwarcie, ale - pytałem o to, Rotraut tłumaczy na bieżąco - nie jest przez nie zauważana; ach, raz chyba zobaczyła ją jedna z dziewczynek, roześmiała się wskazując palcem i rzucając piłką, ale piłka przeleciała przez starszą panią nie wyrządzając jej krzywdy. Doprawdy żenujące, co się tutaj dzieje, Frau Danowski w kłopotcie, boi się mówić o osobach do innych ludzi, wie, że ich status podejrzany. nie chce uchodzić za wariatkę; nas nie uważa za innych. Wigilia jak wszystkie dni samotnie; częstowała nas lampką wina, przejmujący nastrój. Zdziwienie widokiem Rotraut, rozpraszającej mroki i zadumy starszej pani uśmiechem, prostotą i życzliwym słowem; we mnie leciały rolki filmu snute z tej opowieści, moja gorączka znakomicie przyswaja, adaptuje, wspomaga.

Pod drzwiami pokoju kwiaty i życzenia od Dorothy czekoladowej z drugiego piętra, zaraz także spotkanie i nieutulone opowieści o rodzinnej Gujanie i Francji; Rotraut udziela znowu pierwszej pomocy psychicznej z prostotą słonecznego promienia, ciemność nie może się ostać. Ojciec Dorothy łądował w matkę morfinę i skopolaminę, dali jej coś domięśniowo przy porodzie bez wiedzy o narkotykach, więc sparaliżowało jej nogę; Dorothy urodziła się, żeby dostać potężną dawkę chininy. Jeszcze jest w opowieści mąż, mały synek, starszy syn i 'jego siostra'; ale nie powiem więcej, jeszcze nie zgłupiałem; dramat ze zbyt wielką liczbą finałów.

Rotraut ślicznie się cieszy otwierając koperty z życzeniami i paczuszki z prezentami. Ode mnie 'Pożegnanie z jesienią', malowane przecież w poczuciu jej przemożnej obecności; mnie cieszy Polaroid, maszynka dla malarza.

Niezwykły prezent przyniósł Michael - ukośną świecę. Ogromna, gruba, i tak nadtopiona ukośnie, że nie może stać, leży. Patrz, kto inny, mniej wrażliwy, wyrzuciłby na śmietnik, a on spożytkował twórczo, podarował przyjacielowi z radości, że Pan się nam narodził.

Przy wszystkich zapalonych lampach i świecach w mojej duszy mroczno; chciałem napisać: w pokoju, ale się samo przekręca. Gwiazda przynosi noc - tak namaluję ten dzień.

Był Michael raz drugi, przyniósł mi zaproszenie na czwartkowe party do Anette, koleżanki Suzanny. A Ruth patrzy mi w oczy, czuje, kojarzy i wie.

Kocham jedną kobietę - tę, która prześwieca przez wszystkie.

Dwudziesty czwarty, dochodzi czwarta rano, czekam u Rotraut, aż wanna napełni się wodą. Za 10 godzin wiozę obrazy do galerii, mam wziąć wszystkie, bo Urząd Celny chce kolory czarno na białym. Stoją przed oknem z rogami opakowanymi w tekturę, ustawione w kolejności, w jakiej mają znaleźć się w wozie. Który przyjedzie o pierwszej, znowu troszczy się o coś Bert.

Wieczorem party i Suzanne, z której pamiętam tylko gwiazdą przestrzeń oczu.

Czy dodać, jaka to klamra spina dzień i noc do kupy? Potworny ból głowy. Żyję zdrowo jak umiem.

29-ty grudnia. W południe przyjechała ciężarówka z dwoma fachowcami sprawnymi w transporcie obrazów; szybko poszło, można im zawierzyć. Ale od ciężarówki nosiłem już sam do bramy i na piętro; zmachałem się setnie, już stoją w galerii, nawet wypociłem z siebie ból głowy. Nie dość, że maluję, to jeszcze noszę i noszę. Znalazłem w

kuchni opodal ulubioną herbatę Darjeeling, popijam ją teraz, streszczam Ci w zeszycie.

Wiesz? kiedy w Sztokholmie zaczynałem malarstwo - przeżywałem szczęście, wiedziałem, że wstępuję w wolność, święta rzeka porwie z mego życia wszelkie bariery oddzielające; wolność, światło maja! A potem? A teraz? Przecież nie narzekam - tylko noszę i noszę!

Wkręcałem po herbacie haki w ramy, dwadzieścia obrazów, jeździłem z Wolfgangiem po śruby i listwy do sklepu; potrzeba mi dwieście metrów bieżących, a to kosztuje sto sześćdziesiąt marek; czy zrezygnuję?

Kolejna herbata u Rotraut, podejmuje właśnie dzieci Dorothy; tancereczka Joell ma lat szesnaście, studiuje balet w Londynie, złota indiańska skóra po matce, to o niej mówi się per 'jego siostra'; Yves ma jasną karnację, uroda po ojcu, francuskość wychowana w Aglii gubiąca się nieco w Berlinie; chce wstąpić na ochotnika do armii, albo zaciągnąć się do farmerskiej komuny gdzieś na pustyni, ale matka twierdzi, że nadaje się tylko do domu wariatów. Wierzę, trudno mu matkować, jest bystry, nadwrażliwy, niebywale rozkręcony, samotny.

Po szybkim obiedzie z Rotraut spotkanie Michaela i jazda czarnym Jaguarem przez Berlin, w prawo od Clayallee, żywoplot, bzyknięcie automatu otwierającego drzwi, zwirowana ścieżka, domek jednorodzinny o przemyślnej nowoczesnej architekturze; w drzwiach Anette śliczna w koronkowej białej bluzce, czarny atlasowy kombinezon obwieszony świecidełkami Bagdadu.

W obszernym living room o brązowych ścianach kilkanaście osób spokojnych i rozgadanych, dobre jedzenie, dużo wina i haszu, chociaż nie wszyscy piją i palą, muzyka. W rogu duża choinka pachnie, chociaż funkcjonuje jako ilustracja anarchicznego stosunku do tradycji, jest obwieszona pustymi opakowaniami po ciastkach i paczkami po papierosach Camel. Powiedz o tym moim rodzicom, a wyda się im, że wiedzą wszystko o berlińskim życiu; bardzo by współczuli.

Suzanne naga, pomalowana w koczownicze farby biegnie pod prysznic; dziewczyny malowały się do fotografii i błaznowały. Wydaje się nieosiągalna, choć ciało smukłe i chętne, odbiega boso po rosie marzeń w swój rok osiemnasty. Rodzice wyjechali, młódzież robi pry-

watkę. Wszyscy swobodni, rozgadani! nie ma właściwie zabawy, nikt nie tańczy, nikt nawet się nie ściska po kątach. Michael wskazuje palcem: obaj chłopcy Suzanne rozmawiają ze sobą przyjaźnie, żartują. Ona całuje wilgotnie, ale w pocałunku nie ma namiętności, jest zimna jak ja, kiedy jestem zimny.

Jan mnie rozpoznaje, był na wystawie przed laty; piękny koncert chłopców: Tom na fortepianie, Christian na gitarze; różana śliczna Betty mała lady w rozgardiaszu tka spokojnie na szydełku krawat.

Nie pojmuję, w jaki sposób wchodzi do Przekazu, czy ma znaczenie notatka, czy wystarczy spojrzenie i uśmiech? Niestety, w Zielonym Palcu - bo tutaj mam kawę i trzeźwieję - gasną światła, pora iść, Przyjacielu, w poranek, niechże nas coś dobrego spotka.

Kończy się piątek, leci woda do wanny Rotraut; przyjechałem z galerii, cały dzień wkręcałem w ramy haki i naciągałem linki, przygotowując obrazy do wieszania, no, powiesiłem przecież akryle.

Jutro będę wiedział o ekspozycji coś więcej; tymczasem ona tak miła, że po kąpieli będzie masa zajęć - bardziej czułych niż dzienne, lecz nadal fizycznych.

Ostatni to dzień starego; świta w galerii. Pracowałem sobotę, wieczorem przyjechała Rotraut i pomagała dzielnie przez noc; pomoc niezbędna:

- Lewy róg do góry, obraz 5 cm w dół - i temu podobne. Okazuje się o świcie, moje klucze od Berta nie otwierają bramy wyjściowej, wracamy na górę, śpi kruszynka na kozetce w biurze, nie mogę zasnąć w fotelu, chodzę po galerii i myślę, przestawiam obrazy do wieszania jutro, staram się widzieć całą salę na raz, piszę te słowa.

Noworoczny już dzisiaj poranek; w południe dopiero byliśmy

w domu; kąpiel, sen, noworoczny szampan, i zaraz drugi w towarzystwie Dorothy i Yves; bąbelki na szkle przemglonym, ognie sztuczne na niebie, okazjonalne iskrzenia w głowie; wysyłam pocztą telepatyczną życzenia bliskim i przyjaciółom, widząc ich oczy twarze w rozbryzgach kolorowych ogni na niebie i po drugiej strony oczu.

O drugiej już cicho i tylko we dwoje wśród kwiatów i kotów, w jasności świec, poduszki na białym dywanie. Rozwijam sreberko, dostałem noworoczny prezent, kręcę tłustego skręta z czarnego świątynnego nepala. Popalała ze mną niekiedy, więc z nowym rokiem.

Skręt jeszcze w mej dłoni smaczny i pachnący, a z pierwszym wdechem czuję lekkie uderzenie w splot słoneczny; spowalniając wydech, siadam prosto i rozluźniam się, drugi wdech dymu i podaję dalej; gorąca fala obmywa tył głowy i wznosi mnie do góry, że ach! Tymczasem Rotraut osuwa się na podłogę blada, już traci przytomność, gdy niosę ją do łazienki, żeby zdążyć - w pierwszym ataku torsji pochyła się do wanny. Zdarzało się, wiem, co grane, nie ma powodów do niepokoju, natomiast są godziny torsji i wymierań ogólnych. Pomagam jej jakby chodziło o parzenie herbaty,, ale to, co się dzieje, jest reanimacją ze dwa i pół raza. Już śpi spokojnie, wzruszona, że przeżyła, że będzie żyć dalej.

Na końcu sprzątam pokój wraz z popielniczką, wracam na dół do siebie, rozpalam ogień i dopalam jointa, gdy huczy mile w piecu i wtóruje wiatrom.

Wszystkiego dobra Ci życzę, Przyjacielu, w tym roku i zawsze. Zdrowia, szczęśliwości ogólnej, pokoju.

Jeszcze Nowy, ale wieczór: Rotraut przeżywa tak mocno. Kocha, chce kochać więcej, jakby sobie nie wierzyła. A ja się nie daję. Przeglądam wiersze; spędzamy wiele czasu z przekładami, poznaję, jaka uważna, gdy się angażuje; poznaję słowa niemieckie, teraz to moje słowa; robię w tekstach skróty - w niemieckim trzeba więcej słów niż w polskim, aby znaczenie wyrazić.

Jeżdżę codziennie metrem, zwierzę się, że na gapę; czuję się zbyt intensywny dla współtowarzyszy podróży jeśli nic nie robię, więc czytam dobre rzeczy; przepiszę Ci fragment z Ouspensky'ego:

“Wzrost wiedzy oznacza przeniesienie ze szczególnego w ogólne, od detalu do całości, z iluzji do rzeczywistości.

Prawdziwa wiedza pokazuje nie tylko detal, ale również miejsce, funkcję i znaczenie tego detalu w relacji do całości.

Rozumienie jest rezultatem doświadczenia; wymagane jest pewne doświadczenie w istnieniu i pewne doświadczenie w wiedzy.

Wszystkie nasze energie są zdeterminowane przez poziom istnienia, na którym jesteśmy.”

Skończył się trzeci stycznia; półtorej doby w galerii; oprawiam obrazy w listwy drewniane, które mi się zacie funduje i przywozi ze sklepu, chwala Bertowi! oprawiam grafiki w szkła, wieszam obrazy na ścianie na żyłkach od sufitu, ciężko w pojedynkę, coraz to róg jaki za nisko lub za wysoko, i znowu na drabinę. Uruchamiam instalacje elektryczne, kable, oprawki, wkręcam żarówki. Myję okna! W chwilach odpoczynku przepisuję wiersze na elektrycznej maszynie w biurze; kiepsko to idzie bez znajomości języka, popełniam błędy.

Teraz odpoczywam dla Ciebie przy świecy w towarzystwie Feliksa i Rozyny; siedzą po obu stronach i patrzą na zeszyt. Piękne koty; czarnobiałe bliźniaki różnią się jedną łatką na nosie Rozyny, mądre i odważne. Zwłaszcza Feliks. Codziennie znajduje mą twarz jak teraz, ociera się pyszczkiem, mrucząc; ma oczy intensywnie przyjazne, wizualna stacja nadawcza. Herr Oberschmuser zwę go po niemiecku, czyli Pan Superpieszczoch, ale jest londyńczykiem; gentleman jak się patrzy, po niemiecku rozumie więcej niż ja, a jeszcze mniej mówi.

Pani Olimpia staruszeńka z ulicy Zielenieckiej miała osiemnaście kotów na parterze maleńkiego domu. Bardzo biedna, zarabiała roznosząc butelki mleka o świcie. Codziennie komuś jednemu brakowało mleka pod drzwiami, ale ludzie nie sprzeciwiali się, wiedząc, że to podatek na koty. Żeby jakoś sobie i gawiedzi pomóc zamieszkała w kuchni, a pokój wynajęła lokatorce, też dobrze pod siedemdziesiątkę. Ta miała kota na tle zamążpójścia, czyli wizję albo proroczy sen, że to się zdarzy lada dzień; okrągła i malutka, kolekcjonowała z tej

okazji tapczany. Dwa stanęły w pokoju zajmując niemal całą powierzchnię, trzeci się zmieścił pionowo pod ścianą.

Praktycznie nie było już dla niej miejsca, więc całe dni spędzała w kuchni, pilnując, aby żaden z kotów nie wszedł do pokoiku i nie naszczał, na litość boską, na tapczan. A było czego pilnować! Lokatorka kupowała staruszce i kotom trochę jedzenia, spłacając komorne w codziennych ratach. Zacisznie było w tej kuchni, gdy zaglądałem z podwórka; pojąłem wtedy, jak się powiększa grono jej obluźbieńców - oto dwóch małych urwisów przyniosło kotka i domagało się pieniędzy na lody.

- Ale ja nie mam żadnych pieniędzy, synkowie.

- To my zrobimy kotkowi kuku!

I oto już było dziewiętnaście kotów; czujesz ten zapach? Pani Olimpia. Kojarzy się z Olimpem, ale jej cienkie nóżki w białych skarpetach przypominają o Hamlecie.

Przepiękna zima. Śnieg i mróz umiarkowany, przecież wszystko wybieli, roziskrzy. Ćwiartka księżycy na niebie. W moim pokoju strasznie zimno, napaliłem jednak wczoraj rano! Siedzę przy huczącym piecyku i piszę czekając, aż się trochę ogrzeje; z lewej mi dobrze od ognia, z prawej powietrze kąsa przez ubranie. Szedłem z galerii piechotą, żeby mieć trzy kilometry powietrza. W domu kartki od bliskich, lotne znaki miłości, pamięci. Nie piszę, nie ślę znaków, pamiętam i kocham. Świt czwartkowy, jutro wernisaż. Dożyję.

W piątek rano wystawa wisi, skończyłem przepisywanie przekładów, popołudniem powieszę je między obrazami, przytwierdzając do ściany klonowymi liśćmi, które zbierałem w parku.

Leci wanna do wody, mam chwilę czasu dla Ciebie. Ach, jeszcze uprać różowe dzinsy, które dostałem od Ani w czasach, gdy ktoś się mną opiekował; do tego będzie rycerska sukmana od Danusi i Promyczka, i czarny koronkowy szal hiszpański od Kasi. Kto ma mala-

rza ubierać, jeśli nie kobiety?

O butach lepiej nie wspominać, włożę do nich świeże gazety jako dnia każdego.

Teraz się kąpię i śpię parę godzin: wieczorem będzie ludzka nawałnica. Napadało śniegu! robi się zima, że hej!

Świta sobotni poranek, czyli jest po wszystkim, wernisaż się odbył znakomicie. Prawie miałem czas wyspać się wczoraj, a po śniadaniu wziąłem ostatni płatek śniegu czyli speedu, aby na czas zdążyć; telepie mną jeszcze teraz, po 16 godzinach i setkach rozmów, kielichów, powitań, uścisków, dyskusji, odpowiedzi. W takich opałach byłem parę razy zgubiony, tym razem nie lepiej.

Pomimo szalejącej zimy stulecia było niemal tłumnie. Witałem własnoręcznie, podając dłoń i parę słów; po angielsku mówią niemal wszyscy; Bert w ładnym przemówieniu przyrównał Twego przyjaciela do liścia, który tu z nieba gwiaździstego spada; a tu Lord-mayor prosi, że liść ten do nieba się wznosi! Czyli tak i siak. Rotraut przekłada na bieżąco. Tyle o liściach, a ktoś podał mi skręta ze świeżych kwiatów, i tak się rozlistniło, że ja, ze szczętem zaganiany przez ostatni tydzień i jeszcze zziębnięty, zdołałem ledwie dodać, że liście są od was, a mnie jest tak miło. Mądry Polak po szkodzi; mogłem przecie sformułować trzy pytania i dać dwie odpowiedzi, przybliżyć dalekie.

Co, znowu narzekają? A przecie miałem takie zachowania tępić! Chwalić się! Ludzie przemili, ich reakcje cudne; co chwilę ktoś mi meldował olśnienie i zachwyty, albo zrozumienie; byli też tacy, co nic np. nie pojmują, ale lubią kolor. Fajny plakat w zieleniach ze śmiejącym się Wiesiem; na boga! upomnieć się u Berta o honorarium za fotografie dla Wolfganga!

Fajnie było, żałuj, że Cię nie było; ludzie szli do domu roześmiani i zadziwieni. Czuję się dobrze, spełnia się los doczesny, życie stabilizuje się na cztery tygodnie, mam wystawę i jasno określone obowiązki - otwierać ją, czuć, zamykać codziennie. Meldują się też ochoty - zatrudnić elektryczną maszynę do pisania, która jest w galerii. Przyjaciele namawiają na przysłanie reportażu z podróży; dawno przy-

rzekałem, nie realizowałem, więc może? przecie piszę Ci tu niemal reportaż, i całkiem pewne, że z podróży. Akurat trafia się wytchnienie na początek roku, w galerii maszyna, przepiszę pierwszy zeszyt, poślę do Warszawy, niech coś się narodzi.

Na wernisażu nie sprzedałem wiele, ot, dwie małe grafiki, żeby opędzić bieżące wydatki. Ceny nie są przystępne, oleje od tysiąca do dwudziestu trzech, bo chociaż biedny to dumny; swe obrazy lubię, chyba się tylko domyślam, ile w tym pracy życia. Mając tak dobre ceny nie muszę niczego sprzedawać!

Gorzej, że właśnie nie umiem sprzedać obrazu, nie chcę o tym rozmawiać, ba! Rotraut mówi, że robię obrażoną minę, gdy ktoś się ośmiela. Trudno się dziwić - kiedy ja się wyśpię? Albo, poważnie - kiedy się obudzę? Ukryłem więc listę cen, chcę sprawę traktować nowatorsko - praca za pracę; pracowałem z płótnem powiedzmy tydzień, kosztuje Cię zatem tyle, ile dostajesz za tydzień swej pracy; jaka właściwie jest sprawiedliwość na ziemi?

Popołudniem sobotnim w galerii palą się wszystkie światła. Chcesz mnie odwiedzić, Przyjacielu? Podaję Ci oto namiary: z Drogi Mlecznej bierzesz kurs na Berlin Zachodni, z Kudamu skręcasz w Leibnitza, po 200 metrach zielone światła pubu po lewej, wchodzisz w bramę przed nimi, pierwsze piętro, drzwi galerii otwarte.

Naprzeciw ciębie w końcu korytarza masz "Tunel miłości"; to dwumetrowe płótno, prawie dwa lata pracy, ale też jarzy się; prawda, tu dokonuje się przerób materii w ducha, wiele pokoleń farb olejnych żyło w tej ewolucji, żadne nie przeminęło. Po drodze masz na ścianach serię barwnych print-paintings, robiłem je w Berlinie przed trzema laty, wystawiając i malując w galerii Michaela; może będzie kiedy trochę luzu, to Ci opowiem technikę, która poprzedziła malowanie obrazów a powstała w pasji, w awanturycznym okresie żywota. Ale tymczasem po lewej masz pokój wypełniony akrylami; tu wisi ostatni rok pracy, ręka chodzi swobodnie po niebie, obrazy jasne. Tak, to ja siedzę w fotelu z żółtym zeszytem na kolanie i szklaneczką wina, cześć, możemy sobie odpowiedzieć na jakieś pytania, ale uprzedzam, że będę się migał;

piszę list, mam mało czasu. Lepiej idź do dużej sali, obejrzyj Kreację i oleje, podejdz do kartek podtrzymywanych przez klonowe liście, poczytaj na zdrowie.

Rozmowa z piękną siwą, a przecież młodą i rześką panią Irene, świetnie czuje malarstwo; prosi o przesłanie wierszy, kiedy je wydam, prowadzi bowiem Joga Centrum, poleci je ludziom do medytacji, coś takiego! Rozumie moją pracę, najbardziej lubi w niej światło i wolność; widzę, że zna je z osobistego doświadczenia. Ale oto mam następnych gości.

Gundula przyprowadziła Normę z Argentyny, śpiewa podobno heroicznie, wkrótce opuszcza Berlin; nieśmiało zapytała, czy pozwoliłbym jej na koncert pożegnalny w galerii; jej córeczka Wirginia bębniła w zachwycie piąstkami po obrazach.

Ósmy stycznia jest smutny, bo poniedziałek; przytłacza mnie ciężar niezrealizowanych istnień; odwilż za oknami, wilgoć pod powiekami. Wzrusza się dusza, nie rusza w samoubójstwa.

Wkrótce pojedę do galerii - patrzeć, czy obrazy na mój widok nie spadają ze ścian. Właściwie mieszkam w tych dniach bardziej u Rotraut niż u siebie, gdzie teraz siedzę przy piecu otulony w kożuszek, notuję. Ludzie różni mówią, że jesteśmy podobni jak siostra i brat.

Michael przyniósł do niej Humphrey'a kota, co wygląda na dziadka Feliksa i Rozyny; są przepychanki, miauczenia i groźne odgłosy; kot jest po śmierci Louisa zupełnie szalony, chodzi i ciągle miauczy, woła, dostaje spazmów, kiedy go pogłaskać. Rotraut gotowa go zatrzymać, jeśli trójka kotów potrafi się akceptować, czyli ma miejsce eksperyment; na razie Humphrey pędzi Feliksa, a sam obrywa od Rozyny.

We wtorek wieczorem nie ma tu już nikogo, pogoda zresztą taka, że psa się nie godzi wyprowadzać na spacer. Stukałem parę godzin na maszynie, zamyślając się okazyjnie. Przepisałem pierwsze

trzydzieści stron tego Listu do Ciebie, jestem tam jeszcze w Polsce, z niejakim zdziwieniem widzę w maszynopisie, jak było wysoko. Ostatnio prawie nie ma wierszy, ale nie przejmuj się, zima mnie zwykle uziemia.

Kwestia poważniejsza - widzę, że nie znalazłem czasu na omówienie Przekazu. Zbyt zalatany, aby sprostac sprawie? Jakbym odkładał najważniejsze na jutro? Tekst tymczasem zamienia się w dziennik podróży, dobre chęci nie mają czasu na realizację. Nawet - wyznam Ci dzisiaj, w wietrze hucznym i szalejącej za oknem śnieżycy, że sprawa Przekazu zdaje się ciut abstrakcyjna; jakbym się znalazł na innej płaszczyźnie, gdzie to, co zdawało się rzeczywistością podstawową - teraz staje się fantazją, załganiem? Czy Twe wiadomości były wymysłem? co ja tu robię, pisząc?

Naparzyłem kawy, zapaliłem skręta, chodziłem po salach patrząc na obrazy. Dzisiaj mnie przerastają. W kosmicznym Przekazie pauza na małość. W obliczu tego, które nieznanne, boże bądź miłościw.

Piękne klonowe liście na ścianach suszyłem w papierach, nic nie straciły z koloru. Wpominam spacer z Rotraut, kiedy je zbierałem, już ożywiony miłością, a przecież umierający beznadziejnie na piękną chorobę, co życiem się zowie. Wciąż pachną! Niech nas ten zapach poniesie w jesienie dzieciństwa, moje się działy na wsi, pamiętasz? parę miesięcy temu pisałem stamtąd do Ciebie.

Wiesz, nie posługiwałem się pamięcią przez życie, nigdy nie miałem czasu ochoty na wspomnianie; zwłaszcza ostatnie dziesięciolecie plastyczne żyłem w teraz, nieustannie w tworzeniu. Pisanie do Ciebie zmienia nieco stan spraw, leci lawina wspomnień, obrazów.

Nie mam zamiaru pisać o wszystkich tych polnych drogach, parzącym w stopy piasku, o burzach, pożarach, przygodach, jarmarkach, Niemcach, Rosjanach, o szkole sobieszczańskiej jak okno w świat, o ogniskach, strumieniach, koniach, żniwach, strzelaniach nocnych, powodziach, bandytach, polowaniach, pogoniach.

Tylko jeden widok ze skraju lasu; krowy pały się na łańcuchach; ja wchodziłem na szczyt drzewa; jeden komar był odłamany uderzeniem pioruna zapewne, i w majestatycznej koronie dębu miała miejsce wyrwa, a w niej widok na panoramę lasu. Zwykle pasalem tam krowy popołudniem, jesień skrzyła się wielobarwnie,

mogłem patrzeć i patrzeć. Schodziłem ns dół w porę, aby iść z krowami trzy kilometry piaszczystą drogą do domu, pod zachodzące przed oczami słońce.

Tym razem byłem tam wczesnym rankiem, pewnie niedziela, bo inne dni szkoła; popędziłem krowy wcześniej, aby szukać grzybów, ale zachciałem obejrzyć świat z góry, bo ziemię zalegała gęsta, ciepła mgła. Wdrapałem się na drzewo wysoko jak można, było cicho, bezwietrznie, także we mnie, gdy patrzyłem na las. Po prawej nad fioletowymi zwalami chmur wschodziło słońce, oświetlając niematerialną przestrzeń lasu we mgle; siwa niebieskość masy perłowej rozelśniona złotoochrowo, zielono, czerwono. Czuby wielkich dębów i sosen ponad mgłą świeciły w słońcu.

Mogłem zostać tam na gałęzi całe moje życie! zastanawia się małpa, po co zeszła z drzewa.

Środa; o poranku przygotowałem do renowacji środkowy pokój Rotraut, wynosząc z nią meble, osłaniając folią podłogę przyklejoną taśmą dookoła, przygotowując wałki do malowania i pędzle. W galerii pisałem na maszynie, rozmawiałem z gośćmi, wspominam.

Oczy miałem widzące, a zacząłem malować tak późno! W szkole bez trudu najlepszy, przyjęty do drugiej klasy, bo umiałem pisać i czytać. W piątej klasie chciano mnie przenieść do szóstej, lecz pani nauczycielka fizyki się nie zgodziła. Prowadziła również lekcje rysunku, i oto kiedyś - zadanie: narysować szkolną ławkę w klasie. Zrobiłem to inżyniersko: płaskie plany, prostokąty jeden nad drugim we właściwych proporcjach, wyglądało to nader abstrakcyjnie; nauczycielka wyśmiała mnie wobec klasy, biedna, musiało ją moje mistrzostwo uwierać!

Czarek, kolega z ławki, zrobił to przepięknie, w rzucie perspektywicznym z cieniami ławka stała jak żywa. Został maszynistą kolejowym i po pijaku wypadł z parowozu na zawsze. Zapomniałem historię na lat dwadzieścia ciśnienia; znalazło mnie wreszcie malarstwo; pani Jasnos i zdarzenie wróciło w pamięci po malowaniu pierwszych wielkich płócien. W warszawskim dziesięcioleciu mego

pobytu blokada była przemożna, powtarzałem Ryškowi i Kasi, Irkowi i Januszowi, a więc malarzom, którzy namawiali do próby:

- To ostatnia rzecz, jaką mógłbym robić - czułem się w tym aspekcie jako beztalencie. Dzisiaj jest to ostatnia rzecz, którą robię; życia nie starczy.

Szkoła prowadziła w zaułki; także druga, w Lublinie; nie chciało mnie nigdzie przyjąć, za młody, wreszcie technikum energetyczne, dyrektor kumpel szwagra. Tak zostałem technikiem, specjalizacja: urządzenia nastawcze elektrowni ciepłych; matura jeszcze w szesnastym roku; na siedemnaste urodziny pracowałem; technik, jako robotnik w zakładzie remontowym; naprawialiśmy elektryczne silniki i transformatory sieciowe zniszczone przez pioruny; pół roku nie mogłem domyć zapachu spalonego oleju i izolacji, za osiemset złotych brutto miesięcznie robiłem jako 'pijaczek'.

Wczesną zimą zrobiłem maszynę do spawania i robotę rzuciłem; byłem niemal wynalazcą, gdy spawarkę sprzedałem. Grono niebieskich ptaszków, pierwsza dziewczyna, zagrania gangsterka; nowe przygody kończą się skrajną poniewierką i bezdomnością w zimie; do domu rodzinnego nie było jak wracać. Każdy dzień długi jak kiszki grające z głodu, każda noc epopea.

Wiosną miałem już nową robotę jako radiotechnik; byłem jednak amatorem, już przed paroma laty zbudowałem pierwsze dla rodziców radio, gra do dzisiaj. Wkrótce zarabiałem ponad tysiąc dziennie, naprawiałem radia błyskawicznie, wszystko o tym wiedziałem. Miałem lat osiemnaście, to pięćdziesiąty ósmy, po Poznaniu w 56 odwilż polityczna w Polsce, wychodzą arcydzieła literatury świata, czytałem zaciekle; codziennie teatr lub koncert; pierwsza w życiu wystawa malarstwa, ekspresyjne obrazy Kantora w lubelskim Zamku; przeżycie wstrząsające, wgląd w nowy wymiar istnienia; Zamek obmyty z krwi i więziennych mroków działał już jako dom kultury. Nigdzie nie zamieszkałem; tanie były najdroższe hotele i restauracje. Niczego nie miałem, kupowałem piękne białe koszule w butikach po drodze, wyrzucałem brudne do kosza.

Już byłem poetą, poznawałem innych - Andrzeja Tchórzewskiego i Edka Stachurę na ich wieczorze autorskim; powstawały pierwsze przyjaźnie. Nie chciałem iść do woja, więc przenieśliśmy się do

Warszawy, rozpocząłem studia filozoficzne.

Następne lata jak z bicza strześlił - przyjaźnie i miłości, dysputy, studia, wieczory autorskie, rozmaite okresowe prace, nagrody poetyckie, pierwsze wydane tomiki.

Rozpoznanie społeczne; pracowałem na budowie i jako reporter w piśmie, przy remanentach w miasteczkach i w radioreklamie. Czy to dla Przekazu robię jako wieloczynnościowy kombajn, taki co to węgiel dziobie w kopalni i pszenicę młóci?

Pożegnałem ostatnich gości; wycieczka szkolna z Zachodnich Niemiec, przyszli zobaczyć coś z Polski i zostali długo, przepisując wiersze ze ścian.

Gaszę światła w galerii, robi się późny wieczór. Mam tu filiżankę herbaty, parząc ją myślałem o kontynuowaniu pisania, ale tymczasem pióro od ręki odlata, jakby powiedział Ryszard; ciekawe, co go doświadcza w Londynie.

Czwartek wieczór w galerii po wielu rozmowach budujących nadwątlone architektury malarza. Przy kawie po długim dniu.

O poranku malowałem bielą gzymsy, rogi, kąty dużego pokoju Rotraut, jutro przelecę wałkiem i będzie po robocie.

Mieszkamy praktycznie razem, cieplej we dwoje w zimie stulecia. Ale jest między nami dziwacznie, uczucie ześlizguje się w stosunek familijny - brata i siostry, nie - żony i męża.

Zmęczyło mnie dzisiaj grono wytrawnych entuzjastów mej sztuki, popisy wrażliwości i zrozumienia. Wolę kontynuować zwierzenia. Dziś będzie o pierwszej w życiu kobiecie, wcześniej były tylko dziewczyny, oraz o pierwszych pracach plastycznych.

Już wiele lat robiłem za literata i przerabiałem wielkie ilości czystego papieru na makulaturę, żyłem pośród artystów i cyganów, przyjaźniłem się z malarzami; całkiem romantyczny facio z kwiatkiem za uchem, zarabiałem pisaniem, wynajmowałem mieszkanek; miałem właśnie komfortowe i, jak się okazuje, jedyne w życiu roczne stypendium, gdy poznałem Barbarę. Wkrótce podarowała mi pudełko węgla i

dwa bloki papieru. Była bardzo francuska i elegancka, przyjechała z Paryża. A ja słuchałem dniami nocami kwartetów Beethovena, nie mogłem skończyć szalonego abstrakcyjnego dramatu. Którejś nocy, jeszcze zanim żeśmy się pokochali, zaskoczyło; węgle czarne, perlący się papier, opuszki palców, mięsiste drapieżne formy w spiralnych splotach wszechrzeczy; zaskoczyło krótko, za narzędzie pracy uważałem maszynę do pisania, Mercedes Prima mianowicie. W pół roku później kochaliśmy się pięknie i mieszkali razem, gdy przyszła seria akwarel, znów jednorazowo.

Pierwsza w życiu seria rysunków zaczęła się śmiesznie. Moja śliczna odjechała na dwa tygodnie, aby odwiedzić męża. Dała mi papiery, piórka, tusz, zaleciła terapię zajęciową. Próbowałem rysować jej ciało naprzeciw wielkiej nocy i polubiłem zajęcie. Na całe dwa lata.

Basia piękna i mądra kobieta malowała niewiele, ale prosto, wzniosłe i barwne; doprawdy, przeszkadzał jej wstyd, nie chciała niczego nikomu pokazać, tylko ja nieproszony wchodziłem do jej pokoju pracy, zresztą bez jej wiedzy.

Widzisz, już od dziesięciolecia żyłem sztuką; ona mi pokazała sztukę każdej chwili i każdego działania, nadała mi połysk; bóg jeden wie, ile jej zawdzięczam, maleńki pyłek dzisiaj. Wreszcie po dwóch latach w trosce o moją przyszłość i z miłości do mnie - wyprawiła mnie za granicę, aby półtora roku beznadziejnie tęsknić, gdy ja kochałem się tymczasem po drodze.

Jestem taki zajęty, wplątany w sprawy, ludzi i godziny, że, Przyjacielu, pewnie nie widać już nieba przeze mnie.

W piątek zabawnie po drodze do galerii. Wysiadłem na Bismarck, aby zmienić pociąg, ba! wyskoczyłem w biegu jak inne pętaki - i wskoczyłem w nic, w dziurę niebytu, z której ocknąłem się równie nagle, pod tytułem kim jestem gdzie jestem. Zanik pamięci równa się olśnieniu; światła, cywilizacja betonowa, ach tak, to Ziemia i Berlin. Rozglądam się w sytuacji, to peron, gdzie jadę? ach, siódemką na Rudow, w porządku, jestem we właściwym miejscu. Moje ciało wiedziało! zeszło do ruchomych schodów, zjechało na dolny

peron, ustawiło się po właściwej stronie - podczas, gdy mnie nie było!
Jakiż luz, sam sobie bywam zbyteczny!

W porannej sesji szybko skończyłem malowanie pokoju, nawet folie i śmiecie wyniosłem do śmietnika idąc do galerii.

To szósta pełnia księżycy w mym liście do Ciebie, piątek nocą jestem u siebie w pokoju, z którego chciałbym daleko wyjechać albo z daleka nie wrócić; nie mogę zasnąć; wstałem po położeniu, żeby podotykać pędzli i donieść soczyście, że pierdolec w zenicie. Napić się herbaty, patrzeć na drzewa w śniegu, zniszczyć ten obraz?

Po zamknięciu galerii piwo w pubie i rozmowa z Nanni; chętnie da krzesła, kable i mikrofony na jutrzejszy koncert. Norma jest argentyńską pieśniarką, wśród moich obrazów zrobi pożegnalny koncert w Berlinie.

Po piwie szybki spacer do domu, szybki posiłek z Rotraut i Yves, przyjazd Petry i Christiana, wszyscy jedziemy do kina Tali, spotykamy innych i Thomasa, który nam kupił bilety. Tłum przy wejściu, film idzie 67-my tydzień w tym kinie przy kompletach widzów! Sami młodzi ludzie, żartują, nikt się nie popycha, ktoś posypuje nas z góry ryżem, co to, zaślubiny? Jest obskurnie, włochato, kolorowo, punk. Sala czarna i zaśmiecona, puszkę po piwie, butelki, kolorowe confetti. Freaks wszelkiej maści, fajki, skręty, flaszki, brawa, gwizdy, tupania, zapachy dymów, napis na ekranie 'cygara, papierosy, nikotyna - fuj! tu się tego nie pali', wiadomo, gdzie jesteśmy.

Film super-kuper! musical, ostry rock & roll; dwoje zdrowych Amerykanów, młoda para wychodzi z kościoła, sypie się ryż na szczęście, tajemnicze obstawy, podróż poślubna autem, burza, błyskawice, pień drzewa na szosie, noc ciemna; na sali zapalają się zimne ognie, świeczki i zapalniczki, tupanie, chichoty, okrzyki, komentarze sali, nastrój swawoli i rozbawienia, ja też mam flaszkę wina; państwo młodzi szukają schronienia w zamku; zaprasza się ich do środka, a tu się bawią transwestyci z planety Transsylvania i akompaniujące pokraki; uwodzenia i kopulacje, podchody, śmierć i ludożerstwo, blond adonis wskrzeszony z niebytu; mknie to szybko, nie mru-

gaj, bo przegapisz, wśród tupań i podśpiewania wokoło. Bogate dekoracje, fantastyczne przestrzenie, jawna i ujawniana sztuczność akcji, pupa z gęby.

Bezczelny film, sexy kpina z amerykańskiej way of life, jej wynaturzenia i sztuczności, i kultury europejskiej, chociaż to wszystko w ciemnym kolorystyce; czy się powtarzam? widziałem film wcześniej, na tripie, nie mogę wszakże znaleźć w zeszycie miejsca, gdzie go zapisałem.

Następny seans bezpośrednio po filmie jest ciekawszy; ma miejsce w samochodzie podczas jazdy do domu. Zdenerwowanie Petry i Christiana, ba! wzniosłe oburzenie. Christian gotów całować policjanta na rogu w rękę - za to, że stoi, że zapewnia jakiś ład i porządek! Tylko dlaczego nie wejdzie pluton policjantów do kina i nie wystrzela z pistoletów maszynowych tej całej gawiedzi na widowni?!

Skąd takie święte uniesienia, oburzenie, wybuch i eksplozja? ano, są reguły gry i kultury, myśli ukryte, pretensje do prywatności, malutkie zboczoności, a ktoś się z tego beczelnie naigrywa. Rozstrzelać! ani chybi wąż w jajach! są obrażeni głęboko osobiście śmiechem na sali i zabawą innych. Dygotki stereotypów, spazmy mieszczańskie; w tych warunkach powstaje sztuka konserwatywna.

Tymczasem jest cudna księżycowa noc.

Pełnia przezierną przez tumany śniegu.

*Blade jest niebo, mroźne powietrze
drzewa drżą pod ciężarem płatków.*

*Pełnia jest tym, co się spełnia,
dziś w śniegach,*

jutro - bez wczoraj.

Południe sobotnie trzynastego stycznia; we dnie weekendowe w galerii od rana do nocy, w tygodniu pierwsze godziny odsiaduje pani

z Urzędu Sztuki, ja zaś przychodzę na godziny wieczorne.

Bieluteńka, stareńka, jakże urocza pani, wróciła po życiu w Indiach do Monachium, prowadzi medytacje duchowe, nie ma pieniędzy na zakup obrazu, wybrała by Punkt styku drukowany na zaproszeniu; lubi wszystkie obrazy, ale najbardziej akryle ostatniego roku, powstawały szybko, jeden dwa dni pracy. I nagle jak ja wyglądam? Punkt styku namalowałem w jednej sesji, pierwszy akryl, trzy godziny pracy! Jak ja wyglądam? - przecież pani chętnie zapłaci czterdzieści pięć marek, bo zarabia w godzinę piętnaście. Moja koncepcja dotyczący cen jest przez to spotkanie unieważniona.

Wciąż pada śnieg, w taką pogodę tylko maniacy chodzą po galeriach, a z maniakami trudno, wiem po sobie; przegadałem mil parę przez ostatni tydzień.

Przemknęła para gości w pośpiechu czyniąc notatki; przyjdą z rodziną później; Taha turecki terapeuta przyprowadził Gundę, która mi się podoba; starszy pan inny zapowiada powrót, żeby coś kupić, ale oni tak zawsze mówią, Tonio tancerz i jego ruda wielka przyjaciółka dosłownie przez godzinę mówili o moim malarstwie.

Tako to ja formułuję:

to joga malarstwa, joga sztuki; sto trzynasta droga;

ma za sąsiadów bhakti jogę radości, jnana jogę wiedzy, karma jogę czynu, hatha jogę ciała, tantra jogę miłości.

Wieczorem zasłużone znużenie; nosiłem pół setki krzeseł z piwnicy na górę i myłem je wszystkie, układałem kable; to przygotowanie koncertu. Jeszcze ustawiam tu i ówdzie świece, już wszystko gotowe

Myślą się przeczucia, myślą się tęsknoty; w tak ograniczonej przestrzeni życiowej może zająć się inną techniką? białe papiery, czarny tusz, pędzelki?

Późna niedziela po pięknym koncercie Normy. W tle miała jak aureolę 'Tunel miłości', śpiewała jak indiańska święta z namiętym żarem. Wieczór gwarny i pełen otuchy; ona była gwiazdą, lecz mala-

rzowi też się dostało za te przestrzenie kolorowe i miejsce. Szkoda, że nie mam wierszy w kopiach, były przepisywane ze ścian, co chwilę proszono o papier. Ludzie z południowej Ameryki serdeczni są i otwarci; pierwsze lato w Stockholmie przez Magrę poznałem dziesiątki setki ludzi z Brazylii, Peru, Kolumbii, Wenezueli; wszyscy ją kochali.

Późna jest dzisiejsza niedziela lecz mam świeżą herbatę, więc polecimy na chwilę do Sztokholmu i trochę dalej; w jasnym ciepłym pokoju w akademiku wśród skał i lasów mieszkałem już pół roku; pierwsze wystawy rysunków i bida; tripy lsd-owskie, meskalinowe, haszowe - w tej właśnie kolejności; pierwszą książką czytaną po angielsku były 'Trzy filary Zen' Kapleau; medytowałem w za-zen, żyłem latem wśród psychodelicznej braci z całego świata, to była ostatnia fala wędrówki ludów hippie; studenci na trzy miesiące dostawali prawo do pracy, gdy Szwedzi na wakacjach. Dieter z Bratysławy, sąsiad z parteru, mówiliśmy do siebie po polsku i słowacku w pełnym rozumieniu:

- Popatrz, królowna. - szepnął do mnie, gdy wsiadaliśmy do autobusu w mieście, by jechać do domu. Wysoka szczupła indiańska piękna w czarnym futrze, świecące wielkie oczy.

Zaraz, zaczekaj, czemu po skojarzeniu lecę w jakąś partykularną sytuację z przeszłości? Nie gubię się w zimnej nocy? Tak Magrę wspomniałem, że serce bije mocno.

Streścić? mój świat był w katastrofie, tonął statek pijany na morzu terażniejszości, ledwo trzymałem się żalosnej tratwy - a tu płomienna zawierucha; Magra przewiana płomieniem, tancerka, aktorka, poetka prosto i ludzko mądra. Oddzieliła się oceanem od dramatu miłości, od pół roku była sama jak ja. Tyle, że ja przed dramatem.

Wtorek szesnasty wizyty w galerii, rozmowy.

Powtarzają się pytania, jak to się dzieje, że żyję tutaj, podróżuję; czy nie mam kłopotów z paszportem? Dobrze, że mogę odpowiadać tak prosto: nie mam żadnych kłopotów z paszportem, od roku 70-tego przeważnie zagranicą, lecz zawsze są problemy z przedłużaniem wizy.

Nie, nie istnieję w mej świadomości na płaszczyźnie polity-

cznej, moja świadomość jest lotna, pracuję na wewnętrzną wolność, nie uznaję granic.

Nie, nie maluję z wyobraźni, ale z doświadczenia; obraz jest przedmiotem wiedzy wewnętrznej, nie można jej opisać, możesz go właśnie obejrzeć.

Nie, nikt nie bierze mej działalności przeciwko sobie, angażuję się pozytywnie; widzisz, co maluję? jakie piszę wiersze?

Zdarza się, jak widzisz, że moje odpowiedzi, pozytywne z natury, zaczynają się od przeczenia. Formułują pytania ludzie, że trzeba przeczyć, by dalej oddychać.

Wystawa, gdy idzie o materialne, to kłapa. A jednak duchowe dodaje otuchy.

Zrezygnowałem z robienia wieczoru poezji, nie trzeba się przemęczać.

Wczoraj w powrocie do domu widziałem światło w galerii Michaela, wstąpiłem doń jak się okazało na wódeczkę i słowa otuchy; pieniędzy nie potrzebuje, zaczeka na zwrot długu rok albo pięć. Bardzo przyjemne. Po chwili przyszła Ewa ze szkoły, zakochują się w sobie po kryzysie wspaniale. Po chwili dzwoniła Rotraut, że Humphrey znów naszczał na łóżko, więc przywędrował do galerii; ekperyment się nie powiódł. Po chwili poszedłem do domu i szybko robiłem obiad.

Michael jest przecież artystą; ma złe humory swoje i liczne paranoje, ale jest cudnym człowiekiem, kiedy się otwiera. Założył się z Rotraut o butelkę Genevieve; twierdzi, że nie sprzedam żadnego obrazu.

Siedemnastego srebrno-niebieski 'Sokół' Boeing pilotowany osobiście prze szacha leci na emigrację; tyle trupów wymościło drogę na wakacje; to jest prawdziwa rewolucja, więc teraz będą wieloletnie rzezie?

Przyszedł z przyjaciółmi Enrique, gitarzysta Normy. Przepisywałem list na maszynie, pauzy robię tylko, gdy przychodzą goście. Gabriela dziennikarka wróci tu z fotografem, chce coś napisać o mnie zachwycona.

Pieszko odbywam codzienną trasę z galerii do domu. Jest pięknie, pachnie najczystsza zimą.

Siedemnasty i środa, wiele dysput; jest chwila ciszy, siedzę w dużej sali, obrazy jarzą się spokojnym pięknem. Dobra rozmowa z Hansem panem profesorem, który tu ma pracownię, o muzyce w malarstwie. Widzi mnie jako romantyka i metafizyka. Miły z cichym uśmiechem, bieluteńką głową i cygarem; maluje delikatne urokliwe obrazy abstrakcyjno-morskie, że się wyrażę, przełamane jakąś płaszczyzną żagla, falowaniem światła. Jesteśmy sobie podobni - w delikatności, lecz moje światło jest barbarzyńsko bezwzględne.

Wielu innych pominię; ludzie jak ludzie, żyją na poziomie asocjacji, zajęci bieganiem po jawie głowy, o prawdzie słyszą przez sen.

Wystukałem 70 stron listu, zepsuła się maszyna do pisania. Leniwy w stukaniu pomijałem wiele ach wychanych różową watą, zostawiam wszakże wzloty abstrakcyjne, więc maszyna przestrzega?

A chłopiec widzi to wszystko, sam niewidzialny. Co widzi?

Płacze maleńkie dziecko w sercu.

Noc jest samotna,

z dala od gwiazdowego domu.

O czym ostatnio tęsknie nawijałem?

Patrzyłem w autobusie na Magrę, ale wiesz, zdziczały, kochałem z daleka Barbarę, sam, daleko od kobiet, leciałem raczej lirycznie wizyjnie. Poszedłem swoją drogą, gdy wysiedliśmy o dziwo przy Lapisie na tym samym przystanku. Dieter odważny poszedł za nią, zaproponował towarzystwo i fajkę haszu, odmówiła. Zapytała, czy ma acid, powiedział, że kolega wie wszystko i przyprowadził ją do mego pokoju. Oglądała porozrzucane szkice i rysunki, była moja fajeczka, nie było herbaty. Było zaproszenie Dietera na herbatę i dalszy ciąg u niego; fakt, u mnie nieprzytulnie, u niego lampki, świece, kolory, wspaniałe stereo.

Opowiedziała o sobie; ojciec wiedeńczyk, mama indianka z

amazońskiej puszczy; studia filozoficzne, aktorskie, od paru miesięcy w Europie, od paru dni w Sztokholmie. Od dawna nie ma acidu.

Powiedziałem, że kupię jej jutro. Dobrze nam w wieczorze. Dieter miał na dziewczynę okrutną ochotę, ja byłem zachwycony, lecz nie podjąłem tematu. Przygotowałem wielką fajkę, żartowałem, śmiałem się szalenie. Magra wyciągnęła rękę, aby dotknąć grubej żyły, która mi występuje na czole od śmiechu. Otwarcie trzeciego oka na pieszczotę zewsząd? poruszyłem głową delikatnie, aby popieścić jej palec. Bardzo powoli przychodzi dotknięcie mej twarzy i uścisk. Już się nie rozłączamy paląc tę wielką fajkę; wkrótce zrezygnowany Dieter zostawia nas, idzie do dyskoteki. Nie kochamy się tej nocy. Ani następnej. Jesteśmy ze sobą w pocałunkach, dotyku, pieszczotach. Rozpoznaje swego białego księcia, a ja w niej sarnę objawioną.

Trzeciego dnia miłości zjadamy razem acid.

Wczesny poranek. Przyszedłem wczoraj wieczorem do galerii i zaledwie usiadłem, gdy weszła. Zanim odeszła. Gudrun-piorun. Za parę godzin ale znów otwieram galerię, się przespać, ona potrzebuje czasu dla Ciebie, by wejść do opowieści.

Streszczę tylko: patrzymy sobie w oczy,, robi się miętko w kolanach, padamy na podłogę.

Niedziela 21 stycznia. Otwieram galerię, piję kawę, popalam i rozmawiam z gośćmi; ona bardzo warszawska, on niski silny blondyn, patrzy w oczy i mówi powoli, właśnie znajdując proste trafne sformułowania, że moje demony świetliste, z tej samej materii co pejzaż, że pejzaż to idea pejzażu, bo natura jest częścią tego, co maluje.

Naprawiłem maszynę do pisania.

Niedziela mija w przemożnej obecności i nieobecności Gudrun; piękne, co się stało; była mi piękną. Silne gładkie prężne ciało, nieco wyższa ode mnie, skóra sucha i promieniująca, długie białe włosy; tyle wyrafinowania i słodczy w pieszczotach, że tak mogło być

raz jeden, być może, albo nieustannie. Wszedłem wczoraj wieczorem i usiadłem w fotelu, gdy w korytarzu, gdzie byli Nafti i Wolfgang, usłyszałem pytanie, jak długo jeszcze będzie galeria otwarta.

- Jeszcze godzinę - odrzekł Nafti - malarz jest obecny.

Zobaczyłem smukłą skromną dziewczynę w czarnym futrze, jasne włosy i okulary; nasze oczy spotkały się, a głowy skłoniły; poszła do dużej sali. Po pół godzinie poszedłem i ja, żeby ją ocalić; przywitałem się, coś mówiłem, nieco onieśmielony widokiem; a skoro szklaneczka wina w mej dłoni, więc pytam, czy też się napije.

- Tak - odpowiada, po czym wszystko jest na tak; mówimy o życiu i obrazach idąc do małego pokoju, gdzie fotele i ciepło, pijemy wino. Studiuje architekturę, również maluje, lecz zawsze miesza farby, gdy ja używam czystych. Pytam o okulary; dlaczego, jak widzi, co widzi. A kiedy przynoszę z kuchni herbatę dla niej i kawę dla siebie, mówi bez okularów:

- Wiesz jak to jest? skupiam wzrok na twej dłoni, widzę tylko płamę.

- Zobacz ją z bliska - odpowiadam, podając jej dłoń; dotyk sprężysty i miękki to kilometr bliżej; właściwie wystarczy mnie dotknąć, reszta idzie sama; elektryzująca pieszczota skóry dotykającej skórę, zetknięcie głów, dotykanie ustami włosów, wachanie, ocieranie policzków, gra poszukujących warg, godzina pocałunków i pieszczot.

Żeby było ciekawiej - już w minutę po naszym pierwszym dotknięciu dzwoni Rotraut i mówi:

- Masz ochotę na spacer? Jest taka mroźna noc, wyjdę naprzeciw, to się spotkamy wpół drogi.

- Dobrze - kłamię - ale chcę jeszcze pobyc w galerii, zadzwonię do ciebie przed wyjściem, to się spotkamy wpół drogi.

Zamykam galerię ale od środka, gaszę światła, zapalam świece, nastawiam cichą muzykę; kiedy leżymy już na podłodze, na futrze - ktoś wchodzi do galerii, zapala światło; zrywamy się śmiesznie, ale ktoś idzie do kuchni; po chwili światło gaśnie, zatrzasują się drzwi. To mogła być Rotraut; wzięła klucze od Wolfganga po drodze, by zrobić mi niespodziankę?

Ale teraz ma czas i miejsce to opisom niepodległe!

Figle są czasochłonne nawet w warunkach polowych, dopiero

nad rankiem opuszczamy galerię, odprowadzamy się do ZOO i odjeżdżamy autobusami w przeciwne strony. Co na pożegnanie?

- Do zobaczenia, jeśli będziesz chciała - mówię tak szalenie rycersko, no nie? Żadnego miłosnego słowa w stanie krańcowego zmęczenia i głodu.

A dzisiaj jestem niespokojny, zakochany ze szczętem; suną przeze mnie spojrzenia, rozmowy, pierwsze delikatne pieszczoty i nagła porywczosć objęć, czuję rozkoszne wklęsłości i wypukłości jej ciała, długie uda, ciepłą płaskość brzucha, słodycz uśmiechu, smak skóry i śliny; przepelniony tęsknotą za dotykiem czułym i mocnym, za widokiem jej oczu w jeszcze dziecięcej oprawie. Gudrun-piorun. Przewróciła mi w głowie, przewracając się na podłogę.

Jest Skorpion, jak Magra; o! twórcza mocy wspomnień!

Był Helge młody malarz raz drugi z dziewczyną, także inni młodzi, już przyjaciele; o połowę młodszy a młodzi jak ja, mózgi im nie zarosły przekonaniem; nasze nieskończone rozmowy o życiu i tajemnicach, o czasie, przestrzeni, miłości.

Zamknąłem galerię, jestem w pubie na dole, przy barze i piwie; zaraz koncert, Pete Wyoming i "Life is too short"; życie jest zbyt krótkie, a on wie, co mówi.

Pub się zapełnia powoli; Pete w bieli, džinsy, koszula, kapelusz; nieduży mocny indianin popija piwo, patrzy na tłumnie wchodzących ludzi. Pięknie narasta we mnie tęsknota do Gudrun.

*Tęsknota,
światła w górach,
śnieg
padający na morze.*

Tęskno mi nawet do melodyjnego jej niemieckiego, którego to języka nie lubię. Kocham nawet jej okulary, których nie zapomniała; nie wygląda wszak na osobę, która cokolwiek zapomni.

Dość pisania dzisiaj, raczej napiję się piwa, zamknę zeszyt, pójdę do muzyków.

Zamknąłem zeszyt, gdy podeszła wysoka dziewczyna w czarnych jedwabkach i skórach, i zagadała po polsku; Katja jest z NRD, była żoną Polaka czy nawet dwóch, śpiewała rock & roll także w Polsce, nauczyła się polskiego i trochę za Polską tęskni.

Usiadłem z nimi. Patrick fajny z Paryża inżynier dźwięku, wódeczka i wódeczka, przepiękna królowa Izraela obok, ciemna szczupła szlachetna. W przerwie koncertu Pete mi gratuluje obrazów, ja jemu ostrego rock & rolla.

Nie wiem jak szukać Gudrun, trzeba czekać, aż ona mnie znajdzie! Jest z Münster, pracuje u architektów, ach! miała się przeprowadzać na Wittemberg Platz, może wtedy zadzwoni? Jeszcze ją pamiętam, jej twarz rozpoznałbym w tłumie. Ale za tydzień?

Ależ mnie bije po oczach gorączka, atak konnicy w skroniach, niebywała fizyczna zapaść; ledwie siedzę głową do góry.

Ta inkarnacja to ciągła perturbacja!

Pada śnieg albo marznący deszcz typu upiorna mżawka, serce bije tak szybko, dokąd się śpieszy?

Dzwoniła oto Rotraut, przyjdzie do galerii, przyjdzie pora zwierzeń.

*Gdy wyruszałem przed laty w podróż mą ojczystą,
ważka nad łąką wzniosła się przejrzyście,
zboże pachniało i szumiło latem,
kobieta pomachała mi kwiatem ode mnie.*

*Dlaczego mówię o tym?
dlaczego nie?
gdy nie wiem, co jest mną,
co nie.*

Czwartek radosny, dzień jest wiosenny słoneczny, śniegi gwałtownie topnieją i ja się im nie dziwię - wczoraj do galerii przyszła Gud-

run. Przyszła z serca łomotem, zatrwożona dziwożona o czystych oczach i gibkim ciele. Uścisk wyjaśnia, że potrzeba ich bezlik.

Wchodzi Katja z przyjacielem italiańskim Luciano, także jej pianista i kompozytor Rainer; jedziemy wkrótce kupą do Cafeterium na kawę, wino i rozmowy. Katja chce okładki na płytę, Luciano praktycznie ciekawy technologii print-painting, Rainer nuci i marzy, Gudrun czeka. Po dwóch godzinach jesteśmy we dwoje, czyli w dwójnásób; ona ma wielkie oczy miłosne; tyle, że miałem dzwonić do Rotraut, ale co powiem, gdy siedzimy we dwoje, dotykając się i całując? Gudrun jest architektem, teraz robi architekturę pionową, schody wiodące w chmury.

- Zabiorę cię tam ze sobą, chcesz? Zabiorę cię ze sobą w chmury i pokażę jak swobodnie żeglują, można się z nimi zabrać w dal, będziemy się na nich kochać, są sprężyste miękkie przyjazne, a kiedy będziemy chcieli być w słońcu, wystarczy skoczyć w górę, w upał, gdzie jest szalenie zimno i wszystko, wszystkie gry i kłamstwa widać zupełnie wyraźnie. Wiesz, będą się z nami bawić, wirować i walczyć, bo chmury umia walczyć! Złękiesz się, to zawsze możesz schować się za mnie, ja sobie z nimi poradzę. Ale ty się nie złękiesz i to będzie dziwne, życie zupełnie bez strachu.

Tak się mówi o życiu i chmurach, ociera policzkami, całuje i śmieje. Cóż jeszcze robić o północy? Mój pokój tam krzepnie w mrozie, ona mieszka gdzieś przy rodzinie, zresztą wstaje o szóstej rano do pracy. Odprowadzamy się znowu do ZOO, wśród pieszczoł wymieniamy adresy. Patrzę, jej oczy rozszerzają się, jestem w świetle; mówię niespodziewanie, że kocham.

Wracam do domu, napalam w piecu, parzę herbatę, myję pod kranem twarz, dłonie i małego, idę do Rotraut. Patrzy na mnie i wie, jestem przecież przewiany wibracją innej kobiety; pyta dyskretnie, jest skupiona podniecona otwarta. Rozmawiamy, świat staje się z chwili na chwilę, jest mi bliska jak siostra, ale kobieta w niej płacze.

Idzie spać, zostaję w pokoju; jak tu zasnąć? wstaje, robi i dla mnie herbatę. Idę pod prysznic, niech nie drażni jej zapach innej,

odpoczywam w strumieniu wody; biorę ją w objęcia, zaczynam pieścić i kochać, kontynuujemy to zwycięsko do świtu. Krótki sen, węglarze przynoszą brykiety, pijemy razem herbatę, przyjeżdżam do galerii, siedzę w muzyce i piszę.

Rotraut wie, że jestem ptakiem przelotnym, nosiła jak mi się zdaje foto do Romay, a ta mnie dotknęła czarodziejską różdżką? Mówi mi tajemniczo, że coś w miłości wykluczam, dlatego nie mogę zapuścić korzeni, poruszam się w zmianę.

- Zapytaj sam siebie, co to jest - mówi.

Ach wiem, wiedziałem zawsze, to nienasycenie. Kochanie miłe i troskliwe, cóż poradzę, że krzyczy pode mną miłośnie inna kobieta? niezbędną, bym się od ciebie oddalał, niech to nas sobie przywróci.

W galerii rozmowy i goście; bywam wzruszony głębią przeżywania; w Berlinie widać, jak rdzennie polskie jest to, co maluję; Niemcy stąd niosą serdeczne przeżycia; mówią, przeżycia polskości; niektórzy nawet pojmują, że w obrazach idzie o niepojmowalne!

A jeśli o niemieckości... oglądałem film, właściwie tylko kwadrans w ogólnoniemieckim programie TV. Sceny masowych egzekucji dokonywanych przez Niemców w 41-ym na wschodzie; rzędy nagich przed wykopami, serie karabinów maszynowych, dobijanie rannych strzałami rewolwerów w głowę. Wśród przyjaciół wokoło kolosalny wstrząs; mnie zdaje się, że byli chronieni przed takimi obrazami.

Ostatni odcinek jutro, chcę go obejrzeć w całości.

Nie wiem jaką godziną, przy pisaniu czas biegnie inaczej; gdy człowiek się zamyśla, czas ma inną podstawę czasową, czasami.

Piję kawę, sam; nie wiem, co mnie czeka. Panie wczoraj rezerwowały zaciekle dwa berlińskie obrazy, dziś nie wróciły; człowiek prosił o numer i adres, chce koniecznie 'Punkt styku'; wcale nie zadzwonił. Ludzie błaznują nie wiem po co. Gudrun wyjechała do Münster.

Na ulicach dziś pusto i w pubach, naród niemiecki siedzi przed telewizorami. Amerykański film Holocaust to wstrząsające dzieje rodziny Weiss.

A potem żywa dyskusja w telewizorze: redaktor, pisarz-więzień

Oświęcimia, politolog, lekarz, psycholog; tłumaczy Rotraut na żywo, razem przyjechaliśmy do Katii. Byli żołnierze potwierdzają prawdę filmu, ślą dokumenty i listy; inni protestują, że film antyniemiecki. Jedna taka pani melduje, że Żydzi powinni zostać wybiti; taki pan melduje udział w masowych egzekucjach. Bronią się też, o niczym nie wiedzieli, zatajane do dzisiaj.

- Dlaczego dopiero dziś? - pytają, albo: - Dlaczego wciąż te stare historie, płaciliśmy ciężkie miliardy, kiedy się okupimy od winy?

- Dlaczego nie puszczacie filmu w dzień? - pyta dwunastolatka.
- Chłopcy rysują w szkole swastyki, powinni film obejrzeć, żeby nie zostać faszystami - młodzież reaguje ostro; wojna była przedstawiana jak zabawa, żądają prawdy, niczego nie da się ukryć w epoce informacji. Siwy pan mówi o wdzięczności dla świata, że nie postawił go w konieczności wyboru.

Gdzie był kościół? Gdzie papież? Mówi się o antyżydowskich tradycjach kościoła katolickiego; że Hitler był ubóstwiany jak prorok, a egzekucje uważano za mniejsze zło, niezbędne do osiągnięcia 'dziejowego skoku'.

- Rozumiem, że niektórzy oburzają się - mówi redaktor TV. - Bo jak to pogodzić, znać takie fakty i siedzieć w fotelu, w kulturalnych warunkach, i dyskutować?

Moja twarz jest maleńka zmięta po nocnych przekrzykiwaniach się o obozach koncentracyjnych, historii, miłości i sztuce, którym towarzyszyła flacha Chianti niezwyklej rozmiarów, bodaj pięć litrów, wysuszona do kropli. Katja, biała lady w czarnych skórach jest żywo przejęta obrazami i wierszami, interesuje się listem do Ciebie, gotowa tłumaczyć na niemiecki; jej mieszkanie z ciężkim zapachem farb; Luciano z wielkim talentem malarskim widocznym na ścianach, bo mieszkają razem; Rainer tokujący o obrazie Kreacja, który wzniesła nowe melodie w jego kompozycjach; w Berlinie od jesieni, udało mu się na zachód, teraz czeka na przyjazd żony i dzieci z NRD; Klaus trąbka jazzowa, wielkie chłopisko mówi trochę po polsku, bo był grywał, także z Namysłowskim, którego kocha jak brata; straszne jego

opowieści o Nowym Yorku i przepowiednie powszechnej rewolucji. Szarutki ze zmęczenia, nie zdążyłem się golić, życie jest szorstkie przy pomocy brody.

Mimo to w sobotni pogodny niemal wiosenny poranek jestem znowu w galerii, ktoś musi ją otwierać dla ewentualnych gości. I zaraz wspaniały pan Theo, któremu dziewiąty krzyżyk; zafrapowany obrazami, ściąga telefonicznie znajomych.

- Musisz przyjechać, czegoś takiego w życiu nie widziałeś!

Pęka z okazji wódeczka, nie doczekała poety Witolda, poznała Rauschenbacha rysownika.

Telefon Christiana o Holocaust, wszyscy goście mówią o filmie.

Tymczasem w galerii spaceruje para; zastanawiają się, który obraz kupić; doprawdy, wystawa się prawie kończy.

Noc ciemna, opalam i sprzątam moją dziuplę, jakby przygotowując ją na coś, na kogoś. Tęskno do zapachu i smaku Gudrun, do obecności sprężystej. Nowe zajęcie - z pomocą klonowych liści, przesłonięty i czarnego spray'u zrobię obrazki do wierszy i powieślę na kolorowych papierach; kopia kosztuje jak tekst, a będzie także obrazkiem.

*Nocy styczniowa, pobłogosław mój wysiłek,
spraw, aby stał się bezinteresowny
przynosząc szczęście i pokój na ziemi.*

*Oto odrywam się
od moich wspomnień, poglądów, wizji,
porzucam przyjaciół, wyobraźnię i rozum,
dotkliwie odpadam od zachwyty.*

*Nocy styczniowa, śniegu, wietrze,
bądźcie
moją rodziną,
unieście
ciężar braterstwa,
bo nie znam swych dróg.*

Gdzie więc jestem zwrócony
z tą niespokojną pełnią?
z czym się żegnam, co witam?
czy - jestem?

Niedziela zaczyna się po północy w Zielonym Palcu; nie mogłem usiedzieć w domu po napisaniu powyższego wiersza; szerzy się atmosferyczna schizofrenia w postaciach Rotraut i Gudrun; powinny poznać się i pokochać, byłby święty spokój. Widzisz i wiesz przecież - w wolnych chwilach przeżywam szalenie głęboko.

Druga sprawa przy drugim piwie na jawie; przepisałem 100 stron listu, przesłałem do Warszawy; ciekawe, co koledzy? czy jest to tzw. tekst literacki? czy życie to sztuka? kto wie, pani nauczycielka powie, że dużo erotico i narcotico; a brzydkie słowo bodajże wymknęło mi się dwa i pół raza z za zagrody zębów.

Jest pytań dodatkowych - tekst się zmienia i nie wiadomo, co trójcy szanownej może się przydarzyć, czyli listowi, mnie i Tobie. Czy sprostam zadaniom samooglądu, które mi zadałeś? na ile uświadomię esencję Przekazu, i kiedy? teraz? dopiero w momencie śmierci?

Rotraut żartowała na temat pisania, bo przecież opowiadam o Tobie:

- Dawniej literat pieścił swój utwór, pracował nad nim, a potem mówił, patrzcie, jaki jest piękny, jaki prawdziwy. A ty po prostu bezczelnie wskazujesz na siebie, i mówisz: patrzcie, jaki piękny! jaki jest prawdziwy!

Niech tam, nie wiem, co mówię; dopiero przez innych można się usłyszeć? niech tam.

W tym miejscu, nocy wczorajszej, wypisał się długopis; też się zakłopotał?

Dzisiaj mam nowy, więc nowe zapaly, dwudziesty dziewiąty styczeń niechże nam będzie przyjazny.

Nie umiem się zachować, nie znoszę sprzedawania obrazu! Niemiecki lekarz z włoską żoną, oboje bladzi z uduchowienia - wołałbym im płótno darować niż robić jako piskorz. Wiesz, wypasałem na pastwisku głowy cudny pomysł: obrazy nie mają ceny, mieniamy życie na życie, płacisz za obraz tyle, ile w czas malowania zarabiasz. We 'Wschód czarnej dziury' waliłem pędzlami pół roku, gdyby lekarz miał płacić, ile w tym czasie zarobił - toż to byłaby fortuna! nie stać go na coś takiego. Zrezygnowany podałem listę cen; wrócą pojutrze, na ostatni dzień wystawy nadzieja.

Z inicjatywy Rotraut i przyjaciół będzie w galerii pożegnalne party.

Środa wieczorem; chłopcy Rumpel i Richard przyszli do galerii, poszliśmy do Leo na flaszkę wina, po czym zabrali mnie na wędrownkę po knajpach Kreuzberga pod pozorem organizowania wystawy; nici z tego, brudne ściany, w powietrzu więcej dymu niż obrazy wołają. Piliśmy tego. Ostatnia knajpa to stareńka sto lat i brudna Leydicke, dużo uciech, koncert na krzesłach z murzynami z Sudanu, morze wina, ściszałem się z jakimiś kobietami; nieszczęsna dysputa z rockersami o sensie życia, dzięki niej straciłem piękny skórzany kapelusz, teraz, kiedy po latach używania był wspaniały łach; Bożenka przywiozła mi do Sztokholmu prezent z Krety, ubrała odgórnie na trzy lata. Rockersi ogromne draby w czarnych skórkach, sztylety, żelazne krzyże, swastyki, trupie czaszki tatuowane na czołach i dłoniach; wyglądają na morderców, łatwo mogą nimi zostać. A ich dziewczątka, małe słodkie i różowe blondie! Ktoś z nich przymierzał mój kapelusz, a ten z przejęcia stracił głowę - moją! Dziewczyny, uściski, oczywiste poranne bóle głowy i kac. Miałem szczęście, trafiłem do domu, bo stopy znają drogę, gdy głowa pijana.

A jednak dzielnie wstałem wczesnie rano, zrobiłem kąpiel i wielkie zakupy na party, myłem kielichy i szklanki, przygotowałem

sterty kanapek na wieczór. Sprzedałem obraz tragiczny, wzniosły zatrzymałem dla siebie; blada uduchowiona para wróciła z pytaniem, czy nie powinni raczej kupić 'Wędrującej gwiazdy' w akrylu, ale ja o ten obraz czuję się zazdrosny, przekonuję, że ciężkie oleje są wspanialsze, biorą 'Wschód czarnej dziury', który jest droższy, tak dobrze. Mam kieszeń pełną banknotów, fajnie dla odmiany. Nadchodzą goście.

Późno teraz, nad ranem; po hucznym i tłumnym party, gdzie zwaliło się ze sto osób, wylądowałem z chłopcami i Heo w barze Billy nocą. Heo jest małą koreaną, zaplotła w galerii z moich włosów warkocz i przypadła do serca; chłopcy to Rumpel, Richard, Leo, Claudius i Latsch, jeszcze są w stanie pić, dobra kompania, wszyscy z NRD po filozofii i więzieniach.

Wieczór miły, przyjazna atmosfera, gubiłem się beztrako wśród pań. Była delikatnie i uroczo Gudrun, ale pojechała wcześniej, niepewna, widując mnie w innych objęciach; Rotraut również około północy, widząc, że bezpowrotnie przepadłem dla Heo, która siedzi obok mnie w pubie zdezorientowana; że co to za wariat? pisze wśród takiego pijaństwa! Przypomina dla Ciebie, co istotne w życiu: trzy lata w ławce technikum siedział obok mnie Kim-Miā-Guon; chłopców z Korei było w klasie pięciu, w amerykańskich bombardowaniach stracili rodziny, w Polsce znaleźli przyjacielski dom. Jacy uważni, serdeczni, uprzejmi i giętycy! ale pod giętkością była twardość stali; nauczyli mnie więcej niż szkoła.

Była kochana pani Maria i pan Witold poeta; lubię ich bardzo, ale nie zgłaszałem się lata po awanturze, której niechcący świadkowałem, gdy Witold oskarżał jednego takiego kolegę, że tamten ma w teczce magnetofon i szpieguje; bóg świadkiem, po latach domyślałem się, że podejrzenia zasadne! Miło się znowu stuknąć szklaneczką; odwiedzę ich kiedyś, mam nadzieję jeszcze, w życiu.

Wpadł także Bert na party i szybkiego kielicha; zaproponował przedłużenie wystawy o trzy tygodnie; pełna zgoda, ale nie będę codziennie, dość spotkań atrakcji dyskusji, przyjdę tylko w weekendy.

Między Richardem a Claudiusiem powstaje potężny konflikt. Są przyjaciółmi życie całe, ale było już z 10 butelek wina, przy czym Heo i ja prawie nie pijemy. Richard jest zbyt pijany, by zachowywać się

czynnie, ale w obronie zabiera głos przeciągle jego najserdeczniejszy przyjaciel Rumpel - i dostaje od Claudiusa pięścią w nos. Powtarza wołanie - powtarza się cios. I trzeci raz, i czwarty! Zrywałem się do akcji nic nie pojmując, ale Heo mnie powstrzymuje, sprawa jest między nimi i tylko oni mogą to załatwić. Nikt inny nie interweniuje, spojrzenia obojętne. Rumpel podnosi się z nieprzytomnej podłogi, krwawią mu wargi i nos, wpelza na krzesło.

Popatrzyłem, pożegnałem wesołą kompanię, nawet uczucie do Heo mi jakoś mineo.

*Gwiazda nie gaśnie
w więzieniu.*

*Ci, którzy budują mury,
znajdują się poza murami.*

*Ci, którzy walczą,
są już pokonani.*

Naturą gwiazdy jest zwykła obecność.

Trafiłem do domu; napaliłem w piecu i poszedłem na górę; okna Rotraut świeciły. Zapytałem o Gudrun, bo dziewczyny długo rozmawiały w galerii, i zmroziła mnie wieść: Rotraut dała jej do zrozumienia, że mieszkamy razem. Wróciłem do siebie.

Po zamknięciu galerii poszedłem do Katii, był już Rainer i Patrick, jedziemy wszyscy do Quasimodo na koncert Laboratorium; jazz ciut techniczny, ale z muzyki powiało rozległą ojczyznę, tyle ognia, nostalgii, energii; rozmawiało się z nimi serdecznie; zaprosiłem na wystawę. Wróciłem do stolika, a tam na krześle obok najpiękniejsza dziewczyna, obejmowana przez chłopca, co nie przeszkadza nam w wymianie spojrzenia, uśmiechu.

Kiedy wychodzi do toalety wszczynam z nim rozmowę, tak

łatwiej będzie do niej; wraca i okazuje się, że do Niemiec przyjechała przed sześciu laty z rodzicami ze Śląska. Martina prześliczna i świeża już zapomina polskiego, jest spod znaku wagi czyli piękna w miłości; rozmawia ze mną z takim ożywieniem, że, kiedy opiera nogę na krześle, draoieżnie pieszczę dłońią jej udo. Chłopiec jest tuż za nią, nie widzi, ona nie reaguje; dopiero, gdy on odchodzi do baru - wymierza mej dłoni mocnego klapsa. Przyjdzie na wystawę, ale razem z nim.

Poznałem masę ludzi, jako 'ten malarz' z wystawy; wspomnieć norwega Olafa! dobrze spotkałem Waldiego, rozmawialiśmy przyjaźnie raz pierwszy po morderczych przygodach.

Ależ jestem w cugu! w moich żyłach zamiast ciałek krwi zasuwają wolne elektrony!

Drugi luty wieczorem w galerii.

Dziś rano paliłem w piecu gniewny, po przebudzeniu rozbiłem pięść o ścianę, by wyładować agresywną energię; jadłem śniadanie i byłem gotów do wyjścia, gdy przyszła Rotraut po drodze z wykładów, jakie prowadzi w Instytucie Goethe. Chciała odsunąć Gudrun, położyć na gazelę cień, więc czyni ją droższą. Jest teraz szczypta boleści za to, mój chłód.

Wychodzę z domu, spotykam Michaela i proponuję zwrot długu; po raz drugi zapewnia, że nie ma pośpiechu, chociaż w międzyczasie już po raz trzeci miauczał do Ewy, że go uwiera. Dobra nasza, mam potrzebny luz, dobre i tyle, skoro nie mam płócien. Tęsknię za odmianą, znużony monotonią wystawy; ostatni miesiąc to nie kreacja, raczej socjalna palpacja.

Tęsknię do pracy wśród ludzi, nie tak samotnie wśród płócien; mam wyżej uszu pracy w pojedynkę i pieprzonej splendid isolation. Film? teatr? co pozwala i każe pracować z innymi; co na to Wyspiański?

*Teatr mój widzę ogromny,
wielkie powietrzne przestrzenie.
Ludzie go pełnią i cienie,*

*ja - jestem ich grze przytomny.
Ja jestem, czuję i patrzę,
widzę ich - w duszy teatrze!*

W tym momencie dzwoni Gudrun z Münster. Moje rozedrganie zmienia się w kwietną wibrację, już tańczę.

Jej głos - subtelność węża, gdy pełźnie przez trawy. Albo - jakby jej ktoś właśnie łechtaczkę miodem smarował.

Zamknąłem galerię, w drodze do domu posilam się pizzą i capuccino. Dzwoniła też do galerii Rotraut, mówiłem prawdę, jak bardzo jestem daleko; jakże to ją wzburzyło i popchnęło w gorączkę! czuję się zażenowany, że ona chce walczyć. Z kim? Czym? Jak? O co? Oddalam się jako mężczyzna; kocham ją jak człowiek, ale cóż kobiecie z takiej miłości!

Dopijam kawę, będę szedł do domu, tam wszystko, co potrzebne do zrobienia obrazków do wierszy, kupiłem kartony i farby. Znowu rozedrgany, rozmigotany; patrzę, nie, ręce mi nie drżą, to ciało przechodzi w stan energetyczny; materia znika przetwarzając się - w co właściwie? w dygot!

Pierwsza nocą, zimno w piwnicznej izbie, chociaż bez przerwy huczy ogień. Będzie cieplej - pojawiło się tu dzisiaj Nowe.

Wróciłem o ósmej i zabrałem do pracy, przygotowując półpłynną farbę akrylową w misce; chciałem kochany intensywny błękit, ale z ostatnich dni przesączył się doń jakiś matowy połysk stali.

Patrzę w poczuciu rezygnacji, że tak proste jest dziś niemożliwe! A mój łokieć zawadza o miskę, farba się leje na karton, patrzę, ścieka na drugi karton, zmierza w kierunku maty na podłodze.

Cztery lata wcześniej, gdy robiłem print-paintings, jasna noc w pracowni. Byłem rozgrzany, znużony powolnością powstawania grafik; dłonie promieniujące ciepłem. Dla ochłodzenia włożyłem prawą do puszki z czarną farbą drukarską. Bardzo gęsta i chłodna! Powoli rozgrzewana ode mnie, stawała się cieplejsza. Skupiłem się - i uderzyłem

dłonią w karton. Skoczyły do oczu czarne sylwetki. 'Szaman' wzbudził sporo ironicznej uciechy wśród przyjaciół kulturalnych smakoszy, jest zapomniany gdzieś w papierach.

Więc nie sprzątam wolno płynącej farby, sięgam na półkę po arkusze papieru; wkładam dłoń do farby, skupiam się na niczym, którym dzisiaj jestem - walę dłonią o papier - i oto pierwsza głowa gotowa.

Zaraz też cała seria obrazów; uderzenia dłonią lub tylko palcami, jedno dwa trzy dotknięcia. Głowy, portrety dziwne, demoniczne trochę, obrysowane siatką rozbryzgów.

Ten przekaz jest momentalny; dotyka wieczności?

Jestem rozkojarzony, ostro podniecony. To nie ma nic wspólnego z moim projektem. To jest zupełnie nowe życie.

Czwarta rano w niedzielę czwartego lutego, pracownia. Wieczór na Savigny Platz w towarzystwie Rotraut przy korekcie niemieckich tekstów, pizza frutti di mare i Chianti. Po powrocie do domu potwornie rozboleł mnie brzuch.

Nie chcę Cię wtajemniczać w historię każdej sraczki, ale nie wiem, doprawdy, co ważniejsze w świecie. Może ten mikroskopijny pajęczek, co spaceruje po krawędzi zeszytu i bezwiednie wchodzi do Przekazu - może on powie kosmitom o życiu więcej niż wszystkie moje twórcze biegunki?

Byłem zniecierpliwiony na świat - na Rotraut, że cierpi, na Gudrun, bo czuję w niej zwierza o agresywnym zacięciu.

Wziąłem więc parę kartonów i czarną farbą na bieli pokazałem mej dłoni, co o tym wszystkim myślę! Od czasów początku wśród monotypii aż do dzisiaj nie używałem czerni. Ściany, książki, okno, nawet tu i ówdzie liście roślin pokryte są rozbryzgami farby.

Popołudniem w galerii jakże mnie niecierpliwi starszy pan, co chce rozumieć obrazy przez etykietę mistyka; taki to i mistycyzm! mój świat jest przecież konkretny, zna smak kamienia powszedniego i chleba pańskiego; joga to praca i doświadczenie, nie mistyka!

Jestem wszakże zasadniczo niedospany.

Ciężkie westchnienie spod pióra wzbija się ku Tobie - była tutaj Rotraut, a z nią 'zasadnicza' rozmowa; reagowałem wstrząsowo na każde 'my'; wniosła nadzwyczajne wartości do mojego życia, a moje życie od niej zmyka. A przecież podoba mi się bardzo we wzburzeniu i gniewie, łzach i śmiechu. Zwierzam się jej o przemianie, jaka ma miejsce, o fascynacji kobiecością, której chętnie ulegam.

Cóż to się stało? skąd szklana ściana między nami? Ty wiesz, Przyjacielu, z dotknięć, uśmiechów i zapachów innej kobiety. Oczekiwanej właśnie; dziś wraca do Berlina i wkrótce tu będzie.

Pewnie nie przyjechała, albo pociąg się wykoleił. Zamknąłem galerię, mam piwo w pubie na dole. Zadała mi czar najlepszy, nieznanego; niebezpiecznego? na party w galerii była aż tak szczęśliwa! mocno objęła mi szyję oboma dłońmi, dusząc.

Życie nabiera rozpędu; jeszcze jest parę zajęć w galerii, w następne dwie niedziele wieczory autorskie; proszę muzyków poznanych u Anette o wtórowanie na gitarach, Christian ofiarował się przecież; może Katja zaśpiewa? drukuję wiersze-obrazki, będę na kartonie, do wieszania na ścianę, skoro mnie nie stać na książkę.

A więc życie i rozpęd - rozpęd w popęd!

Czeka na mnie dobre malowanie - czernią, przecież jestem w Berlinie.

Poniedziałek rano, w Urzędzie Sztuki miłe panie puściły już na maszynę moje zaproszenie na wieczór poetycki, drukuje się, a ja mam szybki kwadrans dla Ciebie.

Jak zwykle - sprawozdanie z wczoraj, ciąg dalszy upojnego dnia. Wróciłem do domu nieco zawiedziony, ona nie przyjechała. Pa-liłem w piecu, patrzyłem na nowe obrazki; nie wiadomo po co odwiedziłem Rotraut.

I stało się ciekawe wydarzenie. Usiadłem przy stoliczku w pobliżu pieca, podała herbatę, zadzwonił dzwonek do drzwi, to Gudrun. Piorun. Delikatny, uroczy.

Pociąg się znacznie opóźnił, w galerii mnie już nie było;

znalazła mój pokój oświetlony i domyśliła się, gdzie szukać. Widzi nasze filiżanki, nie ma wyjścia, napije się chętnie herbaty. Potworne przerażenie na widok kotów; wyobrażasz sobie? ona zamienia się w histeryczną mysz, kiedy Feliks chce ją obwąchać. Rotraut niezmiernie uprzejma. Króciutka jest ta herbata; Gudrun wstaje, by odejść.

- Stop! - mówię - idę z tobą.

Idziemy na dół i kochamy się z zapamiętałą czułością do świtu.

Patrz, niczego nie ukryłem, byłem wczoraj szczery w rozmowie z Rotraut; jest ból, ale nie ma kłamstwa, można dalej oddychać.

Wieczorem otwieram zeszyt w oczekiwaniu na pizzę; adresowałem dziś dwie setki kopert; zaproszenia wyszły w Urzędzie z cieniami i błędem, pomyłka w godzinie otwarcia, więc jutro zrobię raz jeszcze i na własny koszt, ktoś przecież musi płacić.

Po zapalach miłosnych z niedospania jest w sercu kropla goryczy, sam nie wiem, którą kocham, Rotraut, Gudrun, Heo, Martinę, czy sanjasinkę Maliko? Dziwacznie świat się dzieje i komplikuje; ale oto jest pizza i zaraz mnie zbawi, nie muszę już myśleć.

Wtorek wieczorem w La Plaza na Savigny czekam na Rotraut i sałatę z tuńczykiem. Dziś zaproszenie wyszło przepięknie, ręcznie pisane na zielonym papierze; setka ptaków w ruchu wzlatywania tworzy przestrzeń. Wysłałem ponad dwie setki listów, w galerii pisałem na czysto niemieckie teksty, przełożone przez Christiana i już po korekcie Rotraut. Następne robimy za chwilę.

Posiliła mnie ta sałata; byłem tak głodny, że nie mogłem się doczekać Rotraut, zajada teraz gorące muszle, a ja przy kawie piszę Ci dalej. Dobrze się nam pracuje razem nad przekładami, fajnie czuje te raczej górne regiony i rozrzedzone powietrze wierszy z początku listu do Ciebie; że orły latają wysoko? rodzą się przecież na szczytach.

Zabawne w takim cugu, gdy nie ma czasu się wyspać; pomyśl! już bez paliwa, trawka się dawno skończyła. Braciszek raczej nie obiecuje nic w dzisiejszym liście; jest w sanatorium, nadzieja, że go podlecza.

Jeszcze druki wierszy! Michael nie żąda zwrotu długu, mogę sobie pozwolić na wszystkie ekstrawagancje związane z wystawą, druki i wino, obiady w knajpkach, słowem: zaspakajać me minimalne potrzeby, i tworzyć.

Zabawne, chciałem zadzwonić dziś do piorunka, ale zgubiłem karteczkę z numerem.

Zabawne, na Kantstrasse po drodze usłyszałem: - Wiesław! - to Kay wróciła do Berlina i robi wieczorny spacer; piliśmy kawę, Dieter w Ameryce, może ją pocieszyć? Mamy świetny kontakt, następnym razem może się okazać dogłębny.

A na murze za oknem wielkimi literami stoi TRAUMSTADT. Miasto snu.

Siódmy, środa i zima gwałtowna; wspaniała noc miłosna z Gudrun, otwarcie ekstatyczna; jest skromna i wyuzdana, bezczelna i delikatna; poznajemy się i dopasowujemy, za każdym razem jest piękniej; wrażliwy na kwitnienie sen w jej ramionach; poszła rano do pracy, ja robię wierszobrazki dzień cały.

Wstąpiła na chwilę Rotraut w stanie rozpaczliwym, że się przerażiłem; Bert przekazał jej dane o aktorze, który ma czytać moje wiersze; pijemy po szklaneczce wina od Gudrun, na które nocą nie mieliśmy czasu.

Piątkowy wieczór zagubiony w pustynnej śnieżnej gorączce; nie mogę wprost oddychać, padam na twarz ze zmęczenia. Rano chciałem robić druki, ale w firmie tłum ludzi, wszystkie maszyny zajęte. Odwiedzam jeszcze dwa miejsca, wszędzie jest tak samo.

Znowu przepisywałem więc wiersze na maszynie; potrzebuję je w określonym układzie graficznym do obrazków, a że nie znam języka, myślę się i trzeba robić raz jeszcze; wizyty paru gości; wino z aktorem, co będzie w niedzielę czytał, ciekawe, jak to zrobi, nie wiem o nim nic jeszcze.

Po zamknięciu galerii na ulicy było tak zimno, że niespodzianie wstąpiłem do burdelu przy Adenauer Platz, aby się może zagrzać rozpustą; ale dziewczyny nieładne, krzykliwe, i w ogóle padół. Do pizzerii zatem przy Kaiserdamm; tam spotkałem Luciano, otwiera za miesiąc własną restaurację, zaprasza do powieszenia grafik; zjadam sałatę, pijemy grappa; odwozi mnie do domu; do rana maluję obrazki do wierszy.

Wszystko wypala gorączka, jest jako tako gdy w pracy, ale kiedy wypadam z rytmu - samotność się zaraz szerzy od morza do morza, a one wszak w lodach. Straszno. Nadchodzi jednak odmiana, nowe twórcze możliwości; naładowali mnie sympatią i miłością ludzie.

Dziesiąty luty, popołudnie, sobota; spałem krótko, ale solennie; o dziewiątej byłem przy maszynie, o jedenastej jechałem już do galerii z wielką paczką druków: trzydzieści trzy wierszobrazki po 50 kopii, papiery w pięciu kolorach. Fajnie, tyle, że papier cienki; maszyna nie chciała trawić kartonu. Dzwoniłem do Gudrun, wczoraj czuła się źle, dzisiaj świeci słońce. Napisałem list rodzicom, którzy tęsknią za pierworodnym.

Dzwoniła Rotraut chwilę przed odlotem do Holandii na występ Rony; mam opiekować się kwiatami i kotami, opalać dla nich mieszkanie. On jest zapewne ciekawym człowiekiem; byli ze sobą kiedyś dwa lata; zaczął tańczyć przed paroma laty podczas pisania pracy doktorskiej, traktując to jako poranną gimnastykę; tak to się rozwinęło i usamodzieliło, że robi spektakl, teatr-pantomina-taniec, muzyką doń jest rytm stóp uderzających o wielki bęben, na którym tańczy.

Rotraut zostanie prawdopodobnie tydzień w Belgii u swej profesorki psychoterapii; potrzebuje tego, oderwać się ode mnie, oprzytomnieć i pozbierać do kupy. Jeszcze jeden telefon, spóźniła się na samolot do Hamburga, poleciała gdzie się dało, dzwoni z Düsseldorfu, dalej pojedzie pociągiem, przyjeżdża o 7,45, spektakl o ósmej, zdąży taksówką.

Jutro mam wieczór autorski; ostatni był w warszawskim ZLP przed pięcioma laty, czytałem Końkuta i pokazywałem pierwsze jesz-

cze niemal monochromatyczne print-paintings. Odmieniło mnie malowanie, wiersze są inne, nie ma tzw. pracy nad tekstem; ręka zapisuje, gdy serce dyktuje; wiem, że zalety istotne jak wady, że harmonia to akceptacja. No to co, jeśli się trochę usprawiedliwiam!

Polskie przysłowie streszcza: wyżej dupy nie podskoczysz!

Siódma, wkrótce przyjdzie Gudrun; dziś przeprowadza się do nowego mieszkania. Znowu mam silną gorączkę, ledwo patrzę na oczy; może galeria nie służy, powietrze tu suche. Nadchodzi pełnia, gdzie skierować modły, aby następne dni i noce były spokojne? Ona jest skorpion, wnosi w życie niespokojną rozedrganą wibrację; przypomina Magrę cudną indiankę; co się z nią dzieje? miałem kiedyś jej miłosne zaproszenie na podróż i parę tysięcy dolarów; mogliśmy przejechać obie Ameryki. Wybrałem Wandę, wybrałem Azję, a w efekcie wyboru lądowałem w zimnej pracowni na Grochowie, aby rodzić się jako grafik. Odezwać się do Magry! uraduje się widząc moje wcielenie malarskie.

Przyjacielu, gdy jestem sam, często jestem obecny z kobietami, które kochałem; wciąż je Kocham; żyć się z nimi wprowadzić nie dało, bo skoro wciąż na nowo, to i żona nowa, ale wspomnieć ten zachwyt, zawsze jednorazowy - to mi się udaje.

Ależ się dziś rozpisalem; prawda, ostatnio odwaliłem kawał roboty przekładowej, maszynopisania, graficznej, drukarskiej, korespondencyjnej - mogę pobyć znów z Tobą, czyli ze sobą. Zaraz tu będzie gazela. Towarzyszy mi w pisaniu Bach w interpretacji jazzowej; to Wolfgang przyniósł magnetofon z pubu.

Niemiała wiadomość to zmiana w płatnościach; nie naciskałem Berta na pisemny kontrakt, i oto są skutki, mam płacić trzydzieści procent od sprzedaży, nie dziesięć jak w ustaleniach; ekstra ponad tysiąc diabli wzięli.

Nastrój oczekiwania, lekkiej tęsknoty, samoświeltnej szczęsnej wibracji; z każdym spotkaniem nasza miłość rośnie; zwłaszcza ostatnia noc piękna, tyle kochania, tkliwości i wspaniałości serdecznej. Trwoży mnie to chwilami; po jakimś orgazmie zaczęła szlochać i drzeć, wibrowało każde włókienko jej ślicznych smukłości. Może wolałbym być mniej kochany?

W niedzielny wieczór pełnia na niebie, ja w domu. Doczekałem się wczoraj, poszliśmy na wino w Bleibtreustrasse, potem na ZOO, żeby wysłać listy. A w metrze spotkanie! to Bernt, ów chłopiec poznany dokładnie sześć miesięcy wcześniej, w pełnię zimnej nocy w drodze do Amsterdamu. Pamięta żywo nasze spotkanie i rudego Holendra; był dziś w galerii, przejął się obrazami i wierszami, mówiąc, że teraz wszystko rozumie: moje propozycje palenia ogniska, rozmowy z kierowcą zesłanym przez niebo. Jakże podekscytowany! - tak powstają legendy. A Gudrun zadziwiona, bo opowiadałem przy winie, wskazując księżyc, tamtą noc; jest czuła na magię, gadała z Bertem po niemiecku i pytała wiele.

Przyjechaliśmy do mnie na miłość, czułość i wspólny sen; do snu jej opowiadam historie wymyślane łatwo i chętnie, po polsku zresztą, więc jestem jedynym znawcą sensów, które zapominam; ona momentalnie zasypia w szeleście strumienia. Staje mi się droga; rozpoznaję jej twarz, tkliwość największą czując do małej dziewczynki, której trzeba opieki i miłości.

Dziś późne spotkanie, marsz do galerii, przygotowania, wieczór autorski; aktor czytał zbyt szybko, zbyt sztywno, nie czuł się pewnie z tą delikatną liryką do mówienia półgłosem, niepotrzebnie chciał nadać jej patos. Lecz było sympatycznie, sprzedałem wiele wierszy, zarobią na sobie, czyli zwrócą inwestycję w druk.

Jestem zmęczony, senny, pośpię dzisiaj wcześniej?

Nie, jednak nie, jestem sam rzadko! zaparzyłem herbaty, czytam Chuang-Tzu. Chcesz kawałek?

*"Jest początek, nie ma początku. Nie ma nie-początku.
Jest istnienie, jest nie-istnienie. Nie ma nie-istnienia.
Kiedy jest podział między istnieniem i nieistnieniem,
nie wiem naprawdę, co jest istnieniem, a co nie-istnieniem.
Właśnie coś twierdzą, ale nie wiem, czy to coś
jest naprawdę stwierdzone,
czy nie jest naprawdę stwierdzone."*

Co? brzmi zachęcająco? zdaje się uczciwe i proste to, co jest poza słowami; a wszystko o mnie: niekiedy się gubię, niekiedy świeci słońce. Przeżywam ustawiczną transformację, szkielet ubrany w mięso i nieskończoność, a w przeżywaniu odmienia się świat. Idę aleją, nie ma we mnie ruchu, to aleja sunie przeze mnie. Kiedy siedzę, czuję półdupki, nie mam żadnych zmartwień. Wiatr wieje przeze mnie, gdy wieje za oknem. Kiedy się naprawdę uspakajam i medytuję, ma miejsce rozkoszna wibracja; depolaryzacja ładunków elektrycznych w mózgu i kręgosłupie, mówią uczeni, jak w robieniu seksu. To nie jest stan ciągly, albo ja nie-ciągły; trudno na huśtawce; dół, góra, dół, góra.

Według Wei-shih nasza mentalna hierarchia ma osiem rodzajów świadomości, a każdemu jest przypisana szczególna funkcja. To, czego doświadczamy przychodzi przez zmysły: widzenie, słyszenie, zapach, smak, doznania cielesne; szósty zmysł, zwany intelektualnym, analizuje i syntetyzuje co postrzeżone przez zmysły.

Najtrudniejsza do opisanego jest siódma świadomość; z jednej strony funkcjonuje jako ego i jest środkiem komunikacji między intelektem a świadomością kosmiczną, z drugiej strony posiada funkcje świadomości czystej.

Siódma świadomość jest konceptualna, gdy zajmuje się tym, co namacalne; samoświatna, gdy zajmuje się nienamacalnym, niezmysłowym.

Ósma świadomość jest kosmiczna, nie umiem Ci streścić, sam nie pojmuję szczytu paradoksów, fascynuje mnie wszakże następujące pytanie: jeśli jest kosmiczna - to jaki sens ma ten Przekaz, sonda kosmiczna, kosmici i ludzie?

Żeby utrzymać ten przelot wysoki, przepiszę Ci jeszcze fragment Lao-Tzu:

*"Tylko ci, co patrzą wewnątrz
mogą powstrzymać pasję i myśli.
Przez powstrzymanie umysł staje się spokojny.
Uspokoić umysł to nakarmić ducha.
Kiedy ktoś karmi swego ducha - wraca do natury."*

Prawda, Przyjacielu, sprawy zasadnicze są szalenie proste? I pracochłonne, jakże by inaczej.

Poniedziałek to pełnia w pełni; spałem szesnaście godzin; ktoś we mnie był przemęczony. List ekspresowy od siostry, aby natychmiast kupić leki dla Kuby; wyobraź no sobie: list ma stemple z przodu z 2 lutego, a z tyłu również warszawskie, z 7-go; jaki zasraniec trzymał pięć dni, mimo, że jest ekspresowy i kosztuje 16 zł. polskich? A mały Kubuś powinien dostać zastrzyk już wczoraj.

Kupiłem, wysłałem leki i wróciłem do domu; obdarowałem Michaela kompletem wierszy, których nie przeczyta; przyszedłem na górę prać bieliznę w maszynie Rotraut; dzwoniłem do Warszawy, do Janusza, chciałem się dowiedzieć, czy drukują pierwszą część Listu; tekst przesłany lotniczym ekspresem dwa tygodnie temu jeszcze nie dotarł; szkoda, że nie ma dylizansów, kiedyś było szybciej; ale ale, może są jacyś panowie czytelnicy po drodze? czego nie bierzemy pod uwagę - nie musi nie istnieć.

Z moją Gudrun sarenką długa rozmowa telefoniczna; jest ożywiona, ma tysiąc pomysłów architektonicznych i na życie ze mną; tak pięknie dźwięczy w jej ustach 'my love'; przejęta, że nie rozumie mych wierszy; wyjaśniam, że nic tu do rozumienia, apeluję tylko do intuicji, wzruszenia; rozum potrzebny do czego innego. Skąd wniosek prosty - kładź dupę w osty.

Po czym wracam do prasowania prześcieradeł, w których się będziemy kochali. Pełnia ma przebieg łagodny; wysłuchane modlitwy?

Ona nie zgadza się, walczy, czuje się w stosunku do mnie zgoła opozycyjnym biegunem! żartuję, że się nie dziwię, ma przecież tę śliczną wilgotną wklęsłość, podczas gdy ja prężną wypustkę.

Któregoś dnia zrobię wierszooobrazki po polsku, tyle że na kartonach, do wieszania na ścianie, roześlę przyjaciółom; ale do tego trzeba ciut pieniędzy. Raz pierwszy od dawna naprawdę odpoczywam, sam jeden, i myślę, co jeszcze rzadsze.

*Ciepły mrok wiosenny, zapach bzu i skóry,
rybitwy krzyczą nad wodą, a w dreszczu zachwyty
wypada z ręki jabłko.*

*Spełnienie, słońce stałe nad horyzontem życia,
miriady wydarzeń
są w tobie,
i proszą o pokój,
aby rozwinąć się w melodię barbarzyńską i wzniosłą,
która rozbrzmiewa, gdy zanika 'ja',*

*aby rozkwitać i pachnieć jak ten mrok wiosenny,
zapach skóry i bzu.*

Chciałbym zrobić w Berlinie więcej, zanim go opuścę; poznałem ciekawych ludzi, są czegoś warci, warci wspólnej pracy, razem jakiś artystyczny workshop lub teatr? w galerii Michaela, który aż się pali do nieokreślonego, w mej pracowni, w ogrodzie okolonym krzewami przed domem; muzyka, wiersze, przyjaźń i wino, i miłość, malowanie, wiosna ze wszystkimi, którzy się przyłożą; zrobić upojny maj lub czerwiec; sierpień z pewnością już będę w Christianii, gdzie chłopcy robią 2-miesięczny międzynarodowy workshop.

Jak żałuję, że nie jechałem w ubiegłym roku na festiwal do Danii; skończony osioł! Poznałem fantastycznych Duńczyków, sami do pracowni przyszli, bratnie dusze, przesłali szybko zaproszenie, gotowi robić wystawy i zapewnić wszelką pomoc. Sam widzisz, pchałem się do Berlina, gdzie kapitalizm kanibalizm.

Ale wszystko może się jeszcze przekreślić; dojrzewam tu jako artysta, zapewne trudności są także by wzmocnić charakter, stać się świadomym siebie i świata; no przecież! dzięki pracy, ludziom i Tobie. Poranek czysty, w niebie piorun świeci, pora na alleluja.

*Wiem, do ciebie trzeba mówić,
trzeba ci opowiadać historie,
pokazać każdą stokrotkę na łące,*

*wrony wieść na spacer w podobłoczne przestworza,
zajączki puszczać, biedronki swawolić.*

*Trzeba ci bywać wiatrem, ciepłym deszczem, śniegiem,
zawyć smętnie wilkiem, rozświergotać skowronkiem,
a wszystko delikatnie.*

Wiem, trzeba cię kochać.

Wtorek południe wspomagam Christiana w przekładzie Michała na polski; zdumienie, to proste i mocne, chociaż ciemne wiersze.

Wieczór z Gudrun ogniście; potem nieporozumienie, duszności, milczenia i zapaść ogólna; omal nie powiedziałem, aby poszła. Noc miłosna, lecz niespokojna; ona po paru nieprzespanych nocach, dzisiaj nie mogła zasnąć. Wstałem rano i zrobiłem śniadanie; poszła do pracy, zasnąłem i spałem do trzeciej.

Gdy byłem na górze, karmiłem koty i namawiałem Rozynę na porzucenie tchórzostwa, zadzwonił telefon, to Waldi w błahej sprawie; przyjeżdża na kawę, pogawędka, wizyta w galerii Kwarz, gdzie Polak Mariusz wystawia grafiki mocne, krzyżówka wizji i realności warszawskiej Pragi, dosyć tradycyjna wibracja. Obiad w hinduskim barze Ashoka obok galerii, po czym jedziemy do mojej galerii; uwagi Mariusza o wystawie zabarwione niepokojem i fascynacją. Odwozimy go do galerii, w niej ciekawy gadacz Haka, życzliwy człowiek

Późnym wieczorem pada niezwykle obfity śnieg; Waldi odwozi mnie do domu, zapraszam na herbatę, on zaprasza na wino; ma właśnie dobrą flaszkę w swej kolejnej norze, jedziemy, pijemy świetnego burgunda, palimy i rozmawiamy. To ostatnie jak zwykle nie ma większego znaczenia. Jest przyjaźnie i dobrze między nami, ale... Zobacz nas w tej niewielkiej przytulnej kuchni, ze świecą i flaszką na stole, żółtą lampą przy oknie. Wierzysz, żem świadom otoczenia?

Waldi opiera łokcie na stole, jego ręce w czasie rozmowy i popijania wina bawią się otwieraniem i zamykaniem wielkiego noża; po drugiej stronie stołu siedzę na krześle swobodnie, dłonie wsparte na

kolanach, patrzę w oczy, lecz spojrzenie mam nie-widzące. Wiesz, wykształciłem w malowaniu szczególny stan widzenia, kiedy masz oczy otwarte, ale nie koncentrujesz wzroku, widzisz niejako pasywnie, tzn. wszystko przed oczami jest równie widoczne; ciekawe, gdy ten rodzaj widzenia staje się naturalny - wtedy niesie ze sobą uwagę i totalny relaks. Co widzą nie-widzące oczy? Trochę z boku i za mną stoi oparta o framugę drzwi niewielka siekiera, pewnie rąbie nią drewna do pieca; jakby co, jest w zasięgu jednego skoku. Mijają nam wartkie tematy, że wspomnę o 'ścieżce zdrowia' na Krakowskim w Warszawie, knajpa pełna pijaczków, monety poukładane w odstępach na podłodze między krzesłami i stolikami, które zbiera pełzając babcia klozetowa. Tymczasem nóż i toporek balansują się na spokojnej wadze; narzędzia jak narzędzia, żadnej grozy; w pewnej chwili nareszcie słyszę:

- Co ja bawię się nożem jak kto głupi! - mówi, rzuca zabawkę gniewnie w róg pokoju; nie dotykam siekiery. Nerwowy jest pracuś, musi coś obracać lub robić. Dobry człowiek; ale jego dłonie, psy niewierne, muszą biegać.

Przyjemne gadanie także o teatrze i maju; w lot chwytam koncepcję. Parę słów o naszym 'braku kontaktu', że to nazwę oględnie, sprzed paru miesięcy. I moja opowieść o pomysle sprzed dziesięciu lat - że my, grupa artystów, przyjaciół, kochanych - żyjemy na scenie mieściąc, w teatrze otwartym dzień i noc, gdzie wszystko jawne.

Słyszę, że jestem jego pierwszym gościem, odkąd tu był Mario; w wietrze czarna nitka trzepoce w czasie, leci nad Berlinem, zaczepia o domy.

Chce wreszcie mnie odwieść do domu, ledwo odkopujemy auto spod zwałów śniegu. Napalam kotom na górze, teraz to robię u siebie, parzę mocną herbatę i piszę w poranku środy. Wciąż pada śnieg, w Berlinie ruch kołowy ustał zupełnie, nad milionami ludzi zalega wielka biała cisza. Otwieram się na nią i czuję, jak wypełnia mnie chłodna, bezwietrzna prawie, bez żadnej tęsknoty.

Pomedytuję teraz, niech się rozpuszczą ulotnią wszystkie wrażenia. Niech będzie we mnie przestrzeń jasno. Gdyby jaki bóg przechodził w pobliżu - żeby mógł wstąpić i zagościć w sercu.

Wczoraj Mariusza poznałem, dziś odwiedził mnie w domu, wyraźnie wzburzony, być może żartowałem wiele na temat klasyczności konfliktów; kto daje mi prawo na takie bezprawie? Jest szczupły, wysoki, siwostalowe oczy a dusza wrażliwa; czuję, niekiedy kryje się przed światem, aby móc szlochać. Co niepokoi go we mnie? może cisza wczorajsza, serdeczna beztraska? chwila, a będzie agresywny.

Dzień pod znakiem rozmyślań, jak i co dalej. Czy podołam trudom tworzenia teatru? znajdę ludzi chętnych do współpracy?

Pojechałem o piątej na Teodor-Heuss-Platz, aby zrobić niespodziankę Gudrun; czekałem pod biurem dwadzieścia minut na próżno; wróciłem do metra, a tam po chwili objęła mnie ona radośnie zdziwiona; w torbie łyżwy, w drodze na lód, więc tylko pocałunek i słowo serdeczne; przyjedzie wieczorem; przez ostatni tydzień postarzała się znacznie. Może to przelotne wrażenie? tęsknota już za odmianą? ach, nie pozwalać wykluczyć się głupim pytaniom, niech zostają w jajach.

Doprawdy, myślę. Wibrujący, niespokojny jak struna reaguję na każde dotknięcie, wibrację. To dobre dla Przekazu, myślisz z uśmiechem? Chcę robić teatr między ludźmi. Czy tu? w Berlinie? w parę tygodni nauczę się niemieckiego, jeśli będzie trzeba, ale.

Wydaje mi się, czy już wiem, dlaczego wybrałem Berlin na pobyt? miasto sprawia, że przeżywam swą polskość, którą nierzadko pojmowałem jako obcość; a jestem tu ledwie parę miesięcy.

Kobieta przyprawia mężowi rogi - on każe przyprawić jej jaja. Zabawne? Wczoraj Waldi powiedział, że jestem jego pierwszym gościem od czasu, gdy odwiedził go Mario. Dziś Christian zaprosił na jutro, snuje się nitka czarna z kłębka wszechrzeczy, bo przyjdzie doń Mario; szczerze odrzekłem, że nie gustuję w szmatławym towarzystwie. Za co się właśnie wstydzę, bo kimże jestem, aby oceniać bliźnich. Fakt! wolę być z Tobą.

Wrabiał mnie w trip śmiercionośny, ale nie znam lęku. Zagrożenie czyni mnie silnym wewnątrz; pojawia się wolność. Tak, gotowy na śmierć w tej sekundzie - i ta gotowość czyni mnie wolnym. Poznawałem bandytów, oni czują momentalnie, kochają mnie za to; szczęśliwe geny.

Ufam - pożyję długo, ponieważ mam wiele do zrobienia; ponieważ człowiek nie umiera, gdy jest gotowy, lecz kiedy życie opuszcza ciało. Stań się światem, nigdy nie umrzesz; nie będzie początku i końca, żadnych podległości.

Jestem dziś zagubiony, sprzezroczyście; może za dużo miłości? może nie ma przyczyn, rosną skutki? Mając co robić trzy tysiące wcieleń, na dzisiejsze nie mam sensu i ochoty. Gudrun dzwoniła i zapraszała, ale śniegi są bujne, cisza wielka, ja samotny.

Wiesz, jak mało mam miejsca, zmontowałem w moim pokoju stół; we framugach okna przykręciłem śrubami dwie listwy, blat stołu wsuwa się pod nie ukośnie, trochę pochylony ku mnie, nie potrzebuje nóg. Po obu stronach dwa reflektorki pożyczone od Rotraut. Pięknie to wygląda, już mogę malować, ale nie dopuszczam tego, czuwam i patrzę; postępuję, jakbym nic nie wiedział; możliwe jest, że doświadczana jasność to iskra na końcu nosa, zwidzenie albo projekcja. Cisza jest we mnie i noc wielka, dopuszczalna. Jak wyrazić, że jestem? Mój list do Ciebie, czułe udawanie.

Doświadczam energii, chciałbym stąd jechać w jakiś świat ludzki, skoro wystawa się kończy; i zabrać wszystkie obrazy, nic nie zostawić hienom. Agresja, autoagresja, nazywaj, jak chcesz.

Minęła godzina, stół czeka, wypilem butelkę wina, zelżało. Nowe gazety do butów i idę do parku. Szkoda, że Cię tu nie ma. Dobrze byłoby iść razem w śniegi, milcząc, wskazując dłonią lub ruchem oczu cokolwiek, co dziwi.

Dzwonił Christian; Rotraut nie zastała mnie w domu, dzwoniła do niego; przyjeżdża jutro z Belgii, przyjdzie po klucze do galerii o sześćnastej. Dzwoniła Gudrun, abym przyjechał; odmówiłem, dziki wilk szczerzy kły, w tym stanie lepiej nie widzieć jej karku. Doświadczenie bytu jest niewyrażalne w słowach.

Siedemnasty, w południe sobota jest przewiana śniegiem i zeszywniała w mrozie; w galerii ciepło; nie byłem tu od tygodnia, obrazy jarzą się wewnętrznym światłem, nigdy go nie utracą. Prawda,

przekonuję się ze zdziwieniem, że dla pewnych ludzi są niepojmowalne, za bardzo wychylone w przyszłość? Ci, którzy medytują, mówią o doświadczeniu świata astralu, a inni?

- Bardzo mi się podoba, lubię twoje kolory, ale nie wiem, co to znaczy - oto wypowiedź częsta. Znaczenie pojąć niełatwo; a cóż dopiero brak znaczeń? a byt samoistny? Żyją w świecie nierzeczywistym, obrazy zdają się im śnione, z fantazji i wyobrażenia; dla śniącego akt bytu zdaje się marą senną, a rzeczywiste są tylko majaki.

Niecierpliwie się, radbym zmienić tryb życia lub zawód; pakować obrazy, spierdalać, gdzie pieprz rośnie. Robić jakąś żywą wystawę, malować i działać z ludźmi; to straszne, co się dzieje z malarzem; chwila za chwilą i rok za rokiem samotnie, naprzeciw płótna, którego biel i niewinność niszczy, zwrócony plecami do świata.

Parę osób długo ogląda wystawę. Zapewne szkodzi mi powietrze w galerii; stawiałem na kaloryferach miski z wodą, lecz to niewiele pomaga; czułem się tydzień chyba dobrze, prawie nie pamiętam, a teraz znowu gorączka, ból głowy. Ale czym innym chciałbym się z Tobą podzielić; to w sercu poczucie, że uniwersum, natura, my wszyscy - to jedno. Dlaczego stawiamy się poza i ponad, poniżej i obok? czy to konieczne? chcę sobie pomóc, chcę stać się sobą; jeszcze mnie nigdy nie było, więc skąd mam wiedzieć, jak to się robi? Bhagawan mówi: doświadczyć swej identyczności z bytem. Rozumiesz, Przyjacielu, ten wysoce abstrakcyjny problem? Jeśli jest tylko byt, wtedy - niepotrzebny Przekaz. Tymczasem byt mój cząstkowy, masz jakąś radę?

Coś zmienić, wychylić dziób ego z piwnicy na światło dnia; doświadczam, że jesteśmy razem, pracujemy razem. Jak? Nie wiem, nie będę wymyślał, lecz podążał w kierunku, dokąd stopy moje jedyne chcą iść; więc to nastąpi.

Była Rotraut godzinę, szczuplutka i blada siostra serdeczna, jakby silniejsza w sobie po pobycie w Holandii. Dałem jej klucze od mieszkania i jest miło, że za chwilę powitają ją koty oraz ciepło i jasność domu, który podtrzymałem w istnieniu.

Szedłem piechotą szybko aż do ZOO, żeby przegonić wariata, i po peronie chodziłem lubiąc sprężystość mych mięśni. Pociągu nie

było; obok chodziła szczupła dziewczyna w czarnych skórach; ominąłem dwa razy i odwróciłem się do kwiatów w budce - pachniały do mnie przez szybę. W pociągu dziewczyna usiadła przy mnie, ani chybi na polowaniu, ale tak wibrująca, że odsunąłem się zaraz do rogu, gdy zrobiło się miejsce. Zamknąłem oczy, nie chcę żadnej baby. Podniosłem powieki dwie stacje później - naprzeciw mnie siadała inna dziewczyna, również w czarnych skórach, ale brązowa, świadoma siebie, piękna, żadnych chichów. Wstałem, aby otworzyć okno, bo duszno. W palcach mały kamyczek, który noszę jak zeszyt, obracam, aż mi mówi, jestem twardy krzemień. Patrzyła na mnie, siadając spojrzałem w oczy. Ciemne spokojne świetliste mogą opromienić miłością; leciutko skinąłem głowę w pozdrowieniu, odpowiedziała cieniem uśmiechu i zamknęła oczy, pozwalając się dotykać spojrzeniem. Patrzyłem w szybę, w dłoni kamyczek ciepły ocali. Wysiadła, zobaczyłem, że spodnie u dołu ma poplamione farbami; piękna malarka! Zapamiętać trzy jasne smugi we włosach, skoro nie staną się trójcą przenajświętszą!

W domu wraca napięcie, że omal serce nie pęknie. Wytrzymać i zwrócić w twórczość, boże bądź miłościw grzesznej duszy mojej. Ale oto Michael zaprasza do siebie.

Pierwsza nocą, niespodzianie wysoko. Mówiłem do Michaela o projektach majowych, o żywej wystawie pod tytułem: dowiedz się, kim jesteś. Znajdą się inni poeci, muzycy, błazny, malarze; zrobimy coś razem. Michael odniósł się do pomysłów z sympatyczną werwą. Harmonizuje się tej nocy, co było, co będzie. Co było staje się zrozumiałe; co będzie - staje się możliwe.

Uniesiony wysoko w szczęśliwe zbiegi okoliczności bez mdłości, w znaki, talenty, prawdy, błazeństwa, zmyślenia, wariactwa, pracowitości, zadumy, wędrówki, poznania i doświadczenia. Życie jako kreacja; tak, Przyjacielu, kreacja jest tym, co nas łączy.

Poranek poniedziałkowy pokranka, w domu zimno, natychmiast opalam, bo noc spędziłem u Gudrun. Kochanie się bez końca, więc o poranku stosowne zmęczenie i brak uwagi dotkliwy w skutkach; złapa-

ła mnie w metrze kontrola i musiałem przy Operze wysiadać, płacić haracz marek dwadzieścia, i jechać do domu już sam; Gudrun pojechała dalej do pracy zasmucona.

Wczorajszy pożegnalny wieczór autorski w galerii wypadł okazale. Czytał Wolf znacznie lepiej niż pierwszym razem; przeczytałem mu wiersze po polsku, by wiedział już, o co chodzi; także Rotraut i ja, trochę po niemiecku, więcej po polsku, dla rodaków. Na gitarach pięknie grali Christian i Tom. Sporo wina od Katii, ludzi, tańców i swawoli; taniec ekstazy z Gudrun; w jej łóżku kontynuowany parę lat, stąd mandat o poranku? oplata opiata?

Co?

co ci powiem?

cokolwiek!

ale o wietrze,

plomieniach,

tak! o morskich mewach,

źrebiętach, natchnieniach,

powiem ci,

tak!

że cię kocham.

I powtórzę chętnie razy kilka. Wieczór udany, ale większość nie płaciła za druki, zwłaszcza Polki, przemilczę imiona, niech wstydzą się anonimowo, ich pieska niebieska.

Siedzę w Zielonym Palcu, chwila pisania o zmierzchu. Trzeba Ci donieść, że dzisiaj pozostanę czas jakiś w Berlinie; ciekawe, jak zdołam przetrwać, najgorsze chyba za mną, wkrótce idzie wiosna. Wystawa kończy się fiaskiem tylko finansowym, ale to niemało. Umówiłem się tu z dziewczyną, ale nadchodzą znajomi.

Przeszkodzili w pisaniu, zakrzyczeli bzdurami bez ładu i sensu, dla pustej zabawy, w której chodzi o to, żeby się napić; nocą jestem w domu. Dzwoniłem do Gudrun; po przyjeździe do pracy była tak zmęczona, że chwilę posiedziała, popatrzyła w okno, pojechała spać do domu. Umawiamy się, że jutro przyjadę do niej z galerii.

Odwiedziłem Rotraut; spokojna, słaba ale dzielna; opowiedziałem o pomysłach i wątpliwościach. Jej się to nie podoba; czarna nitka w atmosferze psychiki trzepoce; ona twierdzi, że teatr wysie ze mnie energię, że te suche trupy, których tylu ożywionych krząta się wokoło, bo tak widzi bliźnich, potraktują mnie jako pokarm, i zeżrą z marzeniami, z mięsem. Że potrzebuję życia w miłości i prawdzie; słowem, radzi mi wracać do Warszawy albo Sztokholmu. Dobra i mądra, ale cóż mogę robić, jeśli nie swoje. Miłość i prawda są ewentualnie w sercu - nie między ludźmi. Pytam się: co za sens zmieniać miasta, jeśli nie można zmienić planety?

Wtorek to dzień odwilży; kolosalne ilości śniegu sprzed tygodnia zapewne długo poleżą, brunatniejac zwolna, zanim zanikną. Po nocnych dywagacjach o wyjeździe / powrocie spałem dobrze; wróciłem do Polski niezwłocznie, bo we śnie.

Chodziłem w sobieszczańskim podwórku karmiąc gołębie i kury; zmierzchało się łagodnie, nieliczne obłoki różowe sunęły po niebie. Na dachu wozówki przysiadła para obcych gołębi; czerwonobrazowy zerwał się i odleciał do sąsiadów, drugi przeleciał na dach obory; popatrzyłem z nadzieją, że może zostanie, chłopiec łasy na polowanie; sygnąłem ziarnem. Krzątałem się, nabierałem wody ze studni, a była to stara studnia z dzieciństwa, z cembrowiną okrytą mchem, stojąca tuż przed chatynką, w której się rodziłem.

Zdziwiłem się na widok gołębia tuż pod stopami; piszczał, niby uciekał, lecz bardziej chciał do mnie. Pewnym ruchem chwyciłem, spojrzałem; pojdka wyskubana i naga, pośrodku piersi rana, niewielki otwór; nad nią długi młody, bo jeszcze żółty dziób. Pokazałem ptaka kobiecie stojącej obok; były to dwie kobiety, moja matka i Rotraut, wszakże w jednym kształcie fizycznym; ptak nie zdawał się już być gołębiem. Zacerpnałem dłonią wody i obmyłem zranione miejsce; dziób otwierał się i zamykał, podsunąłem garść wody, dziób się natychmiast zanurzył. Zbliżyłem ptaka do wiadra z wodą, zanurzył w niej dziób i łebek cały, raz i drugi, głęboko, widocznie spragniony; obmyłem ranę raz jeszcze, znów zacerpnał wody - wzniosł główkę do

góry i oto ujrzałem, jak od dzioba do góry przez łebek i grzbiet powstaje i wyprostowuje się wspaniały pióropusz z barwnych, zielonkawo, srebrzyście, niebiesko i czarno połyskujących piórek; jakby rozbłysło światło. Uradowałem się pięknym widokiem, otworzyłem dłoń, lecz ptak nie odleciał, siedział na rękę, patrzył na mnie przekrzywiając łebek; parę razy machnął skrzydłami; powiew powietrza poczułem na twarzy tak wyraźnie, że się przebudziłem.

Transformacja się dokonuje przy moim współudziale; grzbiet rumaka dinozaura, pióropusz ptaka, grzbiet kotka, na co znaki wskazują? gdzie sens ukryty? czy może ecie-pecie się samo plecie poecie?

Nie opowiedziałem Ci jeszcze o rekordowym śnie, w którym budziłem się kilka razy w tej samej rzeczywistości, lecz na coraz to niższym poziomie agonii.

Naszkcuję Ci snu warunki i sen. Zimowa pełnia przed rokiem, ale w Warszawie. Dwie czy trzy doby bez snu, malowałem niezwykle intensywnie; w łóżku śpiąca Ania; położyłem się przy niej o drugiej, zasnąłem po jakiej godzinie. Obudziłem się w domu rodziców w Sobieszczańach, powiększonym jakby, przestrzennym; byłem w pokoju sam; za oknem szeroko w środku lata otwartym jaśniała pełnia księżycy.

A piszę w galerii przy herbacie po robocie; zdejmowałem wiersze i obrazy ze ścian, wyjmowałem spod szkieł grafiki. W metrze widziałem człowieka, który wyglądał jak koń; możliwe, że to był koń, który wyglądał jak człowiek. Zaraz jadę do Gudrun, ale zwierzę Ci się z dziwności - oto jakbym sobie coś przypomniał, a jeszcze nie wiedział, co! Może ten człowiek-koń w pociągu by wiedział?

I znowu przerwa na pierdolec gigant! Jestem u siebie.

Po pracy w galerii pojechałem na ZOO i kupiłem różę; przywitała mnie Gudrun mile, lecz jestem dzisiaj rozwibrowany, co chwila inny, no nic. Piliśmy herbatę, poznałem dwie inne tu mieszkające dziewczyny; piliśmy wino, gawędząc; Regina leży w łóżku z grypą i atlasem Berlina, wkuwa adresy, bo wkrótce zdaje egzamin na kierowcę taxi. Gudrun zrobiła pyszną zupę; to nam się należało! przerywały

pobywanie ze sobą telefony, mnóstwo telefonów; po kolacji idziemy do jej pokoju w rozmowie i pocałunkach. O dziesiątej telefon i jakaś długa rozmowa; rozebrałem się do naga i wszedłem do łóżka, przeglądając album; rozmowa się przedłuża, czuję się niewyraźnie, mający myśl pierwsza, aby wyjść. Nie, tego nie zrobiłem, jednak na powrót ubrałem się. Weszła Gudrun i zrzuciła suknię, bla-bla i pocałunki. Zapytałem, czy fotografia na ścianie to Markos, z którym spędziła ostatnie lata, lecz przed paroma miesiącami opuściła wyjeżdżając z Münster.

- Tak, to Markos. Tak, kocham go. Tak, długo byliśmy ze sobą i być może będziemy żyć razem w przyszłości.

Nie mogłem sobie dać rady z odkorkowaniem butelki, ten głos obojętny, korek trochę krzywy, wreszcie udało się; stuknęliśmy się kielichami, łyk wina, po czym poprosiłem, by otworzyła mi bramę, chcę iść. Krótka przepychanka, pytanie:

- Why?

- Because of the sky.

Rozumiesz nonsens rymu, który wymyśliłem? znaczy: dlaczego? bo niebo. Buzia Gudrun skurczyła się, zbladła; wróciłem do domu. Wrócę do siebie?

Była to pełnia księżycy kiedyś, malowałem intensywnie dwie trzy doby bez snu; położyłem się do łóżka o drugiej, miła zbudziła się na chwilę, aby mnie pocałować w wargi, szyję, pierś, brzuch, aby mnie wziąć w usta i zasnąć znowu; jeszcze długo nie spałem, patrząc na księżyc; a potem obudziłem się o czwartej, czyli spałem bardzo krótko - i jakże treściwie!

Przygotuj się na chwile horroru, bo rzecz jest o umieraniu. Sen działa się w paru fazach; akcja doprowadzała do omdlenia z bólu; następował powrót do przytomności czyli w nowy sen, którego akcja doprowadzała do konania. Opiszę snu część ostatnią.

Zbudziłem się gdzie straciłem przytomność, w miejscu, gdzie upadłem - na podłodze kuchni rodzinnego domu w Sobieszczańach.

- Dobrze, to było omdlenie, nie śmierć - stwierdziłem. Wyszedłem przed dom. Ciepły zmierzch lata, oranżowo-złota pełnia księżycy i spokój rozległy pachnący maciejkami z klombu. Ojciec niósł ze

stodoły worek obroku dla koni; stałem długą chwilę ciesząc się spokojem, zapachami, kolorami nieba. Wśród kwiatów grządek po prawej postrzegłem ruch, podszedłem, ach! to czarny mały kotek, którego znalazłem wczoraj po drodze i przyniosłem do domu, sprawiając radość siostrzeńcom - teraz ciągnął wielokrotnie od siebie większą połówkę indyka! Wiem, będzie jutro bankiet, dom pełen śpiących gości. Ze śmiechem schylam się, chwytam kotka za skórę na grzbiecie i podnoszę do góry z myślą, że pokażę tacie, co to się dzieje, obaj się uśmiejemy z jego bezczelności. Ale widok jest nie do śmiechu, sam oceń: łebek jego to żywa trupia czaszka obciągnięta małpią skórą, szczerząca w świetle księżycy ostre kły, usiłująca mnie ugryźć. A łapki - nie kotka przecież a monstualnego stwora, co zwija się, szarpie i usiłuje uwolnić - zakończone są szablasytymi pazurami! Jego grzbiet jest pokryty zębataymi ostrymi kośćmi, jak piła tną moje ciało, leje się z dłoni krew. Przerzucam potworka w powietrzu do drugiej dłoni i biegnę do wozówki, gdzie ojciec wszedł przed chwilą.

- Zobacz! - krzyczę - zobacz, co się dzieje! - ale ojciec milczy, nie widzi grozy sytuacji? Raz i drugi pazury rozorują mi ciało, gdy sięgam po siekiere, kładę potworka na pniaku do rąbania drewna, przyciskam ostrzem silnie, napieram ciężarem ciała, aż przecinam na dwie połowy, które padają na boki w drgawkach; drży wielka cisza.

A cóż się dzieje dalej w grozie bezistnienia? Przednia połowa potworka we krwi i drgawkach unosi się do góry na dwóch łapkach i biegnie dookoła pniaka! dosiada tylnej połowy - i monstualny stwór, już na czterech nogach, biegnie, by skryć się w ciemności - kopulując! To właśnie groza - ta kopulacja! pojmuję, że będą następne potwory.

Krzyczę do ojca:

- Patrz, patrz! to zupełnie jak w moim śnie! - bo śniłem to wszystko niedawno jako ostrzeżenie; dzieje się strasznie, bo sen zapomniałem, moja wina. Uderzam obuchem siekiery w tę straszliwą parę; obłoczek kurzu i nic! żadnego śladu!

Ojca tu nie ma; idę ku domowi, aby budzić ludzi, opowiedzieć, ostrzegać, bo nie wiem, czy stwora zgładziłem, a jeśli nie - wszystkim grozi koszarne niebezpieczeństwo. Ale iść prawie nie mogę, drętwieją nogi i ręce; rozumiem, że pazury i grzbiet kościsty wsączyły we mnie truciznę. Z najwyższym trudem otwieram drzwi, wiem, że umieram,

nie mogę dobyć głosu. Ostatni wysilek świadomy, żeby padając zawadzić ramieniem o regał z naczyniami, rozebrzmiał alarm; słyszę blaszany szcęk garnków, wszystkich obudzą, kiedy padam na twarz.

Wracam do jawy w łóżku wsparty o wysokie poduszki, wokoło parę zaniepokojonych bliskich; głos siostry wyjaśnia:

- Już dobrze, Wieś, już dobrze. To wszystko przez tę Tereskę Wężarkiewicz, która sypiała z ojcem swego męża.

Wyjaśnienie ma moc uspakajającą, zasypiam w błogości.

Budzę się naprawdę; nie umrę we śnie raz jeszcze, ale niepewny, co jest naprawdę. Kojarzę teraz dla Ciebie zębata grzbiet kotka, grzbiet jak piła szablasyta rumaka gwiazdnego - i pióropusz ptaka. Czy przynależą do Twojego świata?

Za oknem świeci słońce w środę, lecz nie jest mi jasno; dlaczego sprawiłem ból? Nie dzieje się dobrze, jestem maleńki jak literki, którymi piszę.

Za oknem nagląco kląska ptaszek. Gudrun mi powiedziała, to ona jest ptakiem z mojego snu; jest ranna, ale to ukrywa. Dlatego trzasnęły ją wilcze kły? poczuły krew? coś głupio; tak opuściłem nagle Magrę, śliczną kochaną indiankę. Dzień się dopiero zaczął, nie będzie krótki. Co było powodem? Mówiłem coś o wyjeździe do Polski, ona o powrocie do Münster; o innych sprawach, które rozdzielić nas mogą; że związek nasz jest śmiertelny.

- To, co śmiertelne, niech umiera już teraz, nie poświęcajmy mu czasu - myślałem, dając sobie dzikie prawo, by cokolwiek orzekać. Jak mogę żyć; doprawdy, gubię się; nie odnajduję się w prawdzie, nie żyję w niej dzisiaj.

Dotkliwie przeżywam dzisiaj to, co przed laty - że moje zachowania miny gesty barwa głosu - to gra. Jakbym sam siebie przedrzeźniał. Jakby moje ciało, myślenie i pamięć - chciały mnie zgrać.

Czy ja jestem grą? i o co, na miłych bogów? kto dyktuje stawki? Jej wiotkość i bladość zwałają mnie z nóg.

W rozterce zająłem się czymś prawdziwym jak drewno, skończyłem robić stół wygodny i duży; dwie listwy na parapecie okna tworzą mu ramę podtrzymującą w poziomie, nie ma nóg ani podpórki; po pracy mogę go wyjąć i nie zajmuje miejsca. Dokładnie sprzątnąłem pracownię. Widziałem przelotnie Rotraut; dzisiaj uważa, że jestem obłąkany; prosi o adres mej siostry i rodziny, 'na wypadek, gdyby coś się stało'. Pojadę do galerii pakować obrazy, ale ogolę się przedtem, skoro wszyscy powariowali.

Trzecia nocą, zmęczony, ale nie ma przeprosić, winienem Ci słów parę o minionym dniu. Pojechałem więc do galerii, zdjąłem resztę obrazów ze ścian, spakowałem objijając rogi falistą tekturą i pistoletem. Skończyłem o ósmej, wstąpiłem na wystawę Mariusza, poznałem jego przyjaciółkę Suzanne, przyjechał Waldi, piliśmy flaszkę wina, które przyniosłem ze sobą. Rozmowy leniwe, lecz Mariusz cały czas rysował, jakby się chciał bronić; myślałem cierpliwie, czy zadzwonić do Gudrun; siedziałem przy telefonie, więc wypadło na 'tak'. Jeden sygnał, drugi, postanawiam zaczekać do pięciu, czwarty, piąty, podniesiono słuchawkę, gdy moja dłoń opadała na przycisk, rozmowy nie było. Raz jeszcze Waldi zaprasza do knajpy na sałatę i wino. Wiele o tym, co wydarzyło się przed półroczem; opowiedziałem mu Mario i przepowiednie, echa harmoniczne i skojarzenia, list do Ciebie i cały ten wir, w ruch którego się dostał przez spotkanie ze mną. Trochę go oszołomiło. Fajnie było i miło. Ważne.

Teraz po trzeciej; oczy się zamykają, lecz śnię o wolności; nie zamieszkać znowu w Warszawie, będę żył w podróży, pięć lat, czyż nie tak postanowiłem ostatniej wiosny?

Zatem pośpię, nie będę planował, sram na przyszłość, nie wiem, co zrobię jutro. Kocham Gudrun sercem i zwątpieniem, tajemnicą i natchnieniem. Dobranoc sarenko, koniczynko, kwoko.

Południe dwudziestego lutego, dzień słoneczny i piękny; maluję bez uciechy.

Ale oto wszystko się zmieniło; czekałem, gdy wychodziła z

pracy, pozwoliłem jej przejść, chwilę za nią szedłem, potem delikatnie wziąłem pod rękę. Szła właśnie do mnie; zjedliśmy obiad, pojechała na godzinę do siebie, wróci później, zdecydowana złagodzić mą okrutną stójkę. Przyjedzie też pewnie Katja.

Przyjechała z Rainerem, Rotraut przyszła z innym Rainerem; obaj podobni do siebie: cisi, spokojni i smutni; obaj też muzykują. Na przyjście Gudrun Rotraut reaguje trzęsączką, wkrótce wychodzi pod pretekstem, że.

Posiedzenie krzykliwe i alkoholowo-miętowe. Potem długa i piękna noc; o boże boże, ile erotyzm może!

Wstaliśmy wcześniej rano na radosne śniadanie; pojechała do pracy. Ja pociąłem kartony, wsunąłem nowy stół w okienną ramę, wlałem do miski z pół litra czerni, w miseczce utarłem pół tuby błękitu pruskiego i trochę manganowego na półpłynną masę, dodając oszczędnie wody. Na podłodze położyłem koc; parę ruchów i skoków w powietrzu dla rozgrzania ciała; kładę się na kocu, dłonie po bokach otwarte do góry, stopy lekko na boki, a następnie relaks w ciepłej fali oddechu, co wieje przez ciało rytmicznie, spowalniając się; teraz kilka asan jogi powoli i w rytmie oddechu; usiadłem przed ścianą i zamknąłem oczy, zostawiając za sobą pokój i miseczki z farbami, kartony i kwiaty, zapalone świece, ciało moje i resztę.

Wstałem już po kwadransie, zmieszałem lekko kolory, natarłem prawą dłoń tłustym kremem, osuszyłem i włożyłem do miski z czernią; zanurza się w farbie, zanika, bąbelki powietrza; unoszę dłoń, polewam palce od wewnątrz błękitem. Przede mną jest czysta możliwość, karton 70 x 100 cm, przede mną nie ma nikogo; ze mnie jest tylko oko patrzące, widzące taneczny ruch palców na nieruchomym papierze.

Dobrze jest - zmienił się świat.

Przechodziła Rotraut wracając z zakupów, wreszcie wyraźnie na mnie obrażona. Ech, żegnaj, krzyżówko marzeń i braku ochoty!

Zaniedbuję Cię, Przyjacielu w mym żółtym zeszytcie. Jest niedzielny poranek, leżę jeszcze w pościeli, która przejmująco wprost

pachnie miłością; Gudrun pojechała do siebie, zostawiając mnie z zapaloną świecą i herbatą. Wczoraj malowałem, dziś będę malował.

Pomyłka; niedziela jest dopiero dzisiaj, a właściwie już była; rano pojechałem do Gudrun, poznałem przyjaciółkę Barbarę, co przyjechała na weekend do Berlina z 10-letnią córeczką Anną, śliczną małą lady. Śniadanie wypadło nam mile u Gaby; zachwyty Rembrandtem i Magnasco w Dahlem muzeum.

Słoneczny dzień, piękny spacer po zamrzniętym jeziorze, Grunewald; jest jakoś tkliwie, żartobliwie, wzniośle. Wracamy do domu na chleb z avocado. Jakże kochamy się oboje; każda minuta jest promieniująca. Znowu idziemy do Gaby, na kolację; Klaus i opowieści o południowej Ameryce; Kalle i Sigfrid z Hanoweru, którzy coś robią w filmie, jeszcze parę osób; mięsa wkładane na długich widelcach do wrzącego nad ognikiem oleju; piję tylko wino.

O jedenastej Anna idzie spać, a nasza trójka - jaki ożywiony pełen akcji dzień! - udaje się do pubu Zapáta; Gudrun jest tam umówiona z kimś z komuny, gdzie chce zamieszkać.

W pubie tłum; Gudrun przeciska się do drugiego końca stołu, my siadamy z brzegu, młodzież się ścieśnia, żeby zrobić miejsce; rozmawiam z Barbarą, jest profesorką architektury w Münster; przyjaźnią się bardzo. Pyta, jak długo będziemy razem, Gudrun i ja.

- Jak długo będziemy razem? - powtarzam pytanie; nie wydaje mi się, że to potrwa długo, Gudrun po drugiej stronie stołu jest zajęta brodaczem, nie ma czasu na spojrzenie w tę stronę. Słyszę, że w komunie architektów, gdzie chce zamieszkać, jest trzech mężczyzn i jedna kobieta. Zatem brak spojrzeń ma swoją, powiedzmy, przyczynę? Zazdrość przeczuwam, czy tylko znużenie?

Po pół godziny opuszczamy Zapáta; odprowadzam je do domu, żegnam Barbarę; umawiałem się z Gudrun, że u niej zostanę, lecz teraz mówię:

- Dobranoc - i odsuwam się, żeby uniknąć pocałunku. - Jak bę-

dziesz chciała mnie zobaczyć, to wiesz, gdzie szukać.

- Jak to? Przecież jesteśmy umówieni.

- Ale mężczyzna zmienną jest!

Wracam do domu wściekły i oburzony, że nie powiedziałem jej żegnaj. Ach, pośpię, niech jutro niesie zawały jak chce.

Czwartek to chyba pierwszy marca, piszę cholerne zmęczenie.

Jakbym oddał się przeznaczeniu.

Zanurzam dłonie w farbę i walę o papier; z uderzeń, rozbryzgów farby i plam kształtując - co? co właściwie?

Namalowałem dziś 'Imperialistę', a potem 'Idziemy na wojnę'; we wściekłej bestii budzi się pacyfista. I ach, wielka brązowo-czarna kompozycja na metrowym kartonie - jeden ruch ręki wykreślający rytm przeznaczenia. Oddany nieznanemu spazm czerni okazuje się głową, to szejk afrykański składa nocną wizytę.

Właściwie to samo, za każdym razem inaczej, robiłem w grafice i olejach. Przestrzeń dla istnienia. Teraz to twarze i sylwetki.

Zabawny wieczór wtorkowy: Heniek, Waldi i Christian widząc mnie tańczącego wokół prawej dłoni - wprost nie chcą wierzyć oczom. Próbuję im wytłumaczyć: nie każdy człowiek spotyka w życiu geniusza, to brak doświadczenia sprawia, że oczom nie chce się wierzyć.

Natomiast Michael odwiedził mnie ostatniej nocy, no i oszalał z radości, wykrzykując, że wreszcie, meldując objawienie! Traktuję zachwyty sceptycznie, jako że zaliczył przedtem pół litra.

Nieważne, nieważne.

Budzę się ze snu niebycia; tańczę przy głośnej muzyce z radia, napinam mięśnie ciała w rozgrzewce i rozluźniam w medytacji, oddychając głębiej, ładując się energią, której bezmiar wszędzie.

Patrzę na kartkę, za nią jest nic, wywiewa ze mnie wszystko.

Tymczasem dłoń miesza w misce farby, są to ciężkie emalie dzisiaj, rozgrzewam je ciepłem własnym, aż stają się ciekłe; koncen-

truję się i centruję, a kiedy jestem - uderzam raz jeden o karton.

Dotykam tęskniąc, pieścąc miłośnie, odpycham agresywnie i drwiąco - różne są przedwiosenne pogody a kartonów wiele.

Gudrun była owszem miłośnie w poniedziałek i poszła, aby nie wrócić we wtorek. Wczoraj mnie odwiedziła Monika, malowaliśmy razem w fiolektach, że co? ach, całując się trochę.

Rotraut wciąż rozkochana i przepelniona nadzieją; mówiłem jej o dłoniach - one walą w karton, nie chcą cię dotykać. Gdy mowa o miłości, myślę fatalnie imiona, mówiąc jej: - Gudrun, moje serce zimne.

Heniek mieszkał noc u mnie i czytał pierwsze 100 stron listu do Ciebie, zdawał się pochłonięty; podoba mu się, co chcę robić w maju; będzie wracał z Kolonii, może się twórczo przyłoży. Także Monika; wyrasta na spokojną i dobrą dziewczynę, niestety nie wiele robi, toteż gubi się między ludźmi, no ale z ludźmi jest trudno. Henryk, gdy jechał do Warszawy, zdawał się tryskający energią; teraz wrócił smutnawy, stłumiony.

Czy moje serce zimne? ach, nie; ale nawet Gudrun, której miłość słodka jak Anny i otwarta jak Wandy, nienasycona jak Rotraut i tkliwa jak Basi - nawet ona nie może mnie zabrać do nieba lub piekła na długo. Żyję na ziemi, malarstwo to najwspanialsze uczucie, studzi wulkany, wycisza emocje. Tu miłość ma imię boga.

Dziś list kochanej mamy i sympatyczny Dudiego ptaka czubatego, co teraz nad Stanami fruwa muzycznie; mnie do Nowego Yorku robi się coraz to dalej.

Rotraut miała wczoraj natchnienie mówić długo i mądrze, że nie lubię kobiet i sobie na moje nie-lubienie nie pozwalam, jakkolwiek dziwnie to brzmi; że Gudrun nienawidzi mężczyzn; ha! jej drapieźny uścisk na szyi i słowa: jesteś moją kobietą! że jeszcze to i tamto.

Ach, Rotraut się myli, choćby sądząc, że nadal ją kocham. A może? Wzięła do ręki ze stolika fotografię, na której był Heniek. - Ma kłopoty z żoną, i co on ma jeszcze? ach, pięcioletnią córeczkę - nie dziwię się prawie, gdy mówi, że widać na fotografii wszystko, co opowiadał Henryk. Dobrze, wierzę, a siebie zdecydowanie odmawiam.

Potykam się, gubię prawie i poruszam chaotycznie, spodeczek leci z rąk, mleko się wylewa, ale gdy stoję przy stole - jestem precyzyjny i pełen blasku. W zawierusze pięć fotoportretów polaroidem - twarze tak różne, aż dziw, że serce jedno.

Teraz wrócę do stołu. W czystą czerń. Aż dziw, że czerń jest blisko światła! dopóki nie robisz, nie wiesz; jakbym od innej strony atakował przestrzeń.

Druga nocą. Zrobiłem osiem obrazków, seria struktur sprężystych kolczastych żywych w czerni, dwa w żółciach i chłodnych różach. Gudrun nie przyszła, bo ile można. Ach, kocham, albo nie kocham jej wcale; jestem, gdzie dwie niemożliwości spotykają się. Też dobrze, jeśli się na tym skończy; pani Ekstaza podała nam parę razy poziomki ze śmietaną, a jeśli to nie wystarczy - nic nie wystarczy.

Odwiedzili mnie na śniadanie Suzanne i Mariusz, na obiad po koreańsku zaprosiła nas wszystkich Rotraut; ledwie sam, a już wpada Michael na półgodzinny monolog o filmie wspaniałym, który muszę bezzwłocznie obejrzeć; Peter Brook, 'Meetings with a remarkable Man', o Gurdijeffie.

Ja jestem wyciszony, popijam sherry, rozłożone są wokół kartony i farby, dwa reflektory świecą do stołu, lada chwila się zacznie, co jest, to święto. Pięć dużych arkuszy zaprasza do bieli. Farba jest czarna i zielona, tu i ówdzie błyska bąbelki żółci, zmiesza się w uderzeniu.

Dłoń się w tym zanurzy; mnie odcisnie czy byt nieskończony? co się wydarzy?

Wydarzyło się, przyszła Gudrun, a kiedy wieczorem sprzątałem suche już papiery i myłem dłonie - Katja, dwóch Rainerów i Niels, ten dzisiaj cenny, bo kupił dwie grafiki po dwieście i chce zakupić 'Poranek stworzenia'.

Jakże było wesoło, wysoko i gwarnie! a potem już we dwoje miłośnie bez końca. Sarenka była zraniona, parę dni bała się przyjść do mnie. Kochamy się także w poranku; przed herbatą, po herbacie, przed

śniadaniem, po śniadaniu. Wychodzimy z domu na lekko omdlałych nogach, a tu właśnie nadjeżdża Petra, Christian i Andrzej; ten sądzi, że jesteśmy znarkotyzowani, żartowniś. Odprowadzam ją do metra, wracam do pracowni i sprzątam, wprowadzam ład kolorowy, gdzie trzeba.

Późny wieczór; popołudniem sherry z Andrzejem, co z Hannoveru wraca do Warszawy. Była jakaś eksplozja w warszawskiej rotundzie, a teraz żart: - Słyszałeś, że nam ostatnio złotówka podskoczyła? - wydał się dzisiaj spokojny i ciepły, bez łobuza w oczach.

Malowałem lakierami i emaliami pięć obrazków, badania i zachwycenia, gdy wróciła Gudrun; nie będzie mieszkać w komunie, raduje się i smuci; zasnęła, trzy dni napięć, wczorajszo-dzisiejsza miłość, rozładowanie w erotycznym uściśleniu, jakie miało miejsce, sprawiają, że sen jej chce być lekki i głęboki. Nie znałem miłości do dzisiaj. Oto się budzi na uśmiech, pocałunek, pytanie:

- Co się ze mną dzieje?

- Śniesz?

- Tak, od popołudnia.

Śpi znużona Kochaniem, odświeżona pięknem. Patrzy na nas w świetle świec miłość, nadziwić się nie może.

Tyle uroku w nocnej chwili. Piszę do Ciebie, towarzyszy muzyka, Liszt z radia, obok śpi moja kobieta; kiedy pójdę do niej rozbłyśnie wspaniale w zdumieniu i zachwyceniu. Poznają ją, jej drogę do wolności. Czy będzie to wspólna wolność? Dobranoc, Przyjacielu, życzę Ci tego, co mnie za chwilę użyje miłość i los.

A teraz wtorek; szalenie intensywny weekend; miłość, spacer, kino 2001 Space Odyssey, posiłki po drodze, spektakl o Joannie d'Arc w Tanzfabrik na Kreuzbergu, spotkania, przygody, rozmowy. W ten wieczór Gudrun maluje, ja względnie odpoczywam. Przyniosła mi ciężkie ogromne pąsowe kwiaty amarylis. Z radia preludia Liszta; emanuje z nich cisza górskiego stoku porośniętego ciemną kosodrzewiną; parę skalistych szczytów w oddali pośród spraw ludzkich i wzniosłych.

Poranek czwartka. Od niedzieli intensywnie pracuję. Wiele obrazków. Płomieniem jestem chłodnym i zmęczonym.

Odkrywam duchowy rytm natury. Kolory, stół, ciało, papier, melodia istnienia, którym dźwięczy 'ja'. Każde dotknięcie jest doświadczeniem ontologicznym, aktem bytu.

W popołudnie czwartkowe bolą mięśnie, ciężko idzie pisanie, ręka zużyty ochłap.

Jakbym osiągał stan istnienia nie-osobowego, jestem używany do malowania jak papier i puszki z farbą, niezbędny i wolny; na stole spotyka się przypadek i konieczność.

Nie zawsze pracuję w poczuciu radości. Wczoraj i dzisiaj towarzyszy cierpienie; na papierach pojawia się twarz śmierci. Wziąłem czarne emalie, chciałem wyrazić schizofreniczny skurcz ducha; wścibski Schiz i rozpustna Frenia w rytmicznych wstrząsach opuścili mnie i przyłgnęli do kartki na zawsze. Następny karton to 'Galaktyczne zwierzę' - żeby, już wyzwolony, miał rumaka. A moja miła wybaczy, że użyłem zazdrości, szalonej miłości i wrodzonej rozpaczki, aby móc rzygnąć wizyjnie? 'Wypatrujący' jest na kolejnym kartonie w organicznych strukturach.

Minęła godzina, teraz herbata z mięty i skręt. Chwała czerni na wysokości - uwalnia od życia szarości.

Czy żyję jak trzeba? Prawie, bowiem winienem zadzwonić do Gudrun, uporządkować galerię i obrazy, płacąc imperialistom imperialistyczny haracz. Przywieźć obrazy do domu, dać Rotraut adres siostry w Warszawie; niech ma, skoro prosi, skoro nic się nie stanie.

Idzie wiek męski, nie będzie to wiek kłęski!

Poszedłem do łóżka o ósmej rano, a już w południe budzą mnie Petra i Christian; jego momentalna wypowiedź:

- Mario by powiedział, że medium oszalało, cały czas maluje.

A moja reakcja?

- Jeśli geniusz jest medium, to co znaczy pętać?

Będą tu mieszkać w podwórku, muszą opuścić swój dom z ogrodem i od paru miesięcy nie mogą znaleźć mieszkania, zaś Michael zmienia, etc.

Gudrun mówiła, boi się o siebie, nie może podolać, ma tyle do zrobienia a zawala, bo wciąż przychodzi do mnie.

W kochaniu się znakomicie, ale w głowie tysiąc spraw na utrzymaniu, wspólnych niekiedy z pradiadkiem. Jestem światem, czy to nie zbyt wiele jak na smukłości blond i śliczności wgląb?

Co jeszcze w opłotkach? Michael zdołał wczoraj obejrzeć wszystko, co zrobiłem, zmęczył się nawet entuzjazmem.

List Janusza, że właśnie odchodzi z redakcji, że cały jej skład się zmienia; radzi składanie Listu jako książki, ale jestem zaledwie w połowie pisania. Znam panów redaktorów - zgorszą się zanim przeczytają; ani chybi będzie dopiero wydanie pośmiertne.

Piszę przy świecy, bolą mnie oczy, prysnęło w nie nieco emalii z terpentyną; za oknem kroki, nie, to nie Gudrun; zadzwonię, przecież we wtorek źle się czuła i miała gorączkę, może chora.

W późne popołudnie piątek wciąż jeszcze u Gudrun, śpi chora. Miała wysoką gorączkę, gdy przyjechałem wczoraj; przytuliłem serdecznie spoconą rozgrzaną; uspokoiła się znacznie. Rano zrobiłem zakupy: mleko, miód, pieczywo i sery, a także dwie wspaniałe róże. Wkrótce wracam do domu; mam sklep wyborowy po drodze, gdzie kupię srebrne, złote, szare, czarne i białe kartony.

Niedziela kończy najbardziej intensywny tydzień, może miesiąc życia. Dziś, w pełni, malowałem godzinę, nie mogąc się skupić.

Jakby Ci tydzień streścić? Około setki obrazów na kartonie i bristolu w paru różnych technikach; farby i narzędzia dobieram stosownie do samopoczucia.

Zdumiewam się, w każdym ruchu szpachli czy dłoni, pędzla czy spray'u - tryskają z niebytu rzeczy otwarcie piękne i straszne.

Więc tak się robi sztukę!

Po prostu zgadzasz się na to, czym jesteś, a to, czym jesteś, staje się płomieniem.

Co Ci to przypomina? Wszystko jest prawdą! - dziecko macha rączkami i krzyczy z radości, śmieje się do łez.

Gudrun nadal chora, byłem dwa razy a dzisiaj dzwoniłem, sam podziębiony. Nadal wyjada ją bronchit, ale już bez gorączki. Tak bardzo się kochamy, że to, co przydarza mi się w metrze z dziewczyną, wprost onieśmiela; nie muszę Ci pisać.

Coś przydarzyło się także Christianowi, uciekł od Petry w tę upojną noc, bywa szalenie agresywny; ona ma nadzieję, że nie wydarzy się to, co Mario wywróżył; komu znów? Christianowi?

Siąpi marznący deszczyk, za oknem zimno i nieprzyjemnie, masz szczęście, że nie jesteś bezdomny.

Petra przejęta mówiła chaotycznie o jakimś strasznym zawodzie Christiana, coś z jego książką, ale nie wiem, o co chodzi; że w nią nie wierzy? że była dla niego wszystkim; kto właściwie, Petra? książka?

Czy to wpływ Mario, który bywa u nich częściej, odkąd bywam rzadziej? Ha, lepiej truc się farbami, niż zapachem ściierwa.

Rozbłysły mi dzisiaj dwa obrazki niebywalej urody: tańczące pnąca w zieleniach, błękitach, żółciach; drugi to potworny łeb.

Wieczór z Rotraut, kruszyna spłakała się dziś w me kolano; jest jej nielekko, ale cierpienie uszlachetnia, pocieszam i życzę najlepiej, jest dobra i obdarzona wiedzą; jak na mój gust trochę wiele cudów i wiary, ale ja przecież cynik.

Wątki i myśli, piszę jak żyję bezładnie, w oczekiwaniu wiosny, która lada chwila. Co robię? To, co przychodzi do głowy lub wychodzi z serca, co chcę - a nawet czego nie lubię, jeśli tak każe obowiązek wewnętrzny.

Gudrun przeżywa chorobę, lecą przez głowę obrazy, wspomnienia i wizje. Mówię:

- Pozwól się temu toczyć, niech się odkrywa, ujawnia. Patrz na to, bądź wewnętrznym okiem, nie tym, co oko widzi.

Pada deszcz, robi muzykę; w ostatnich obrazach nie ma namiętności, jest wiele energii. I chłód.

Już tylko parę stron do zapisania w żółtym zeszytcie. Christian czytał życzliwie pierwsze 100 stron Listu, radzi uparcie, abym motyw wróżby i zagrożenia śmiercią traktował pierwszoplanowo, że to uczyni książkę zajmującą. Sram na zaloty, podcieram się niezapisanym papierem! Ani mi się śni, Christianie, życie jest rozległe, mam tyle do stworzenia, żadnego miejsca na nieprawdę. Dziś żyję. Gdy śmierć stanie na drodze, to niech się strzeże kostucha!

Pełnia księżycy; z okazji odwiedził mnie Bernt przyjaciel podróży do Holandii; wpadł chwilę, prowadzi taxi, miał kurs w pobliżu.

Przedwczoraj Yves tak przejęty na widok, że na jego oczach powstał w metrowym czarnym kartonie galaktyczny zapis.

Kilka osób malowało ze mną: także Mariusz, który chciał ołówek, a potem, patrząc na moje rozmachy poprosił o bristol, ze szmaty zrobił tampon i w godzinę machnął śliczny obrazek; melancholijny silny kościół, otwarte okna i parę przestrzeni w jasności.

Samoświetly wobec wielkiej nocy. Ból głowy, nieskończona operacja dokonuje się na moim mózgu. Może widziałem zbyt wiele cudów? Może to znak, że winienem coś zmienić; piję wina i kawy, sen przypadkowy, dużo miłości, mało powietrza. To zwłaszcza! Mój pokój potwornie śmierdzi, wyobraź sobie, codziennie tyle lakierów i emalii, terpentyna i benzyna; tylko szmaty wyrzucam do suszenia za okno.

Kracze wrona wśród nocy.

Chyba środa, rano przyjdzie Gudrun, skoro zaczyna chodzić; czy od niej złapałem wirusa? boli głowa i serce, oczy obrzękłe, ledwo widzę. Po powrocie do domu usiadłem w jakiejś kataleptycznej medytacji, potem jednak skłoniłem się ku pracy, i malowałem do świtu, zanim spostrzegłem, że gorączka wyjadła mnie do połowy.

Seria obrazków dziwnych, mam kłopoty z akceptacją; zazwyczaj niszczę nieudane obrazy nazajutrz; słyszę, bywa, że matka nie lubi bezpośrednio po porodzie dziecka; ależ dziwne to życie.

Dzień następny i wieczór, gorączka i kaszel, świdrujący ból głowy przemieszcza się z miejsca na miejsce. Rano zadbała Gudrun, karmiąc, opalając i sprząając mieszkanie; wieczorem Rotraut przygotowała napar do inhalacji. Z jakiejś niemieckiej stacji leci Symfonia fantastyczna Berlioz. W iluż miejscach, pokojach, mieszkaniach i pracowniach była mi towarzyszem doli i niedoli! Dlatego lubię czarownice.

Jestem słaby i sam. Podnoszę się, żeby pochodzić po pokoju, ale głowa cięży, suną ławice obrazów, ludzkie postacie utkane z płomienistych zawirowań; prześledzić możliwości ekspresyjne sylwetki!

Późną nocą poszła Rotraut; tyle już rozmów, a ledwo Ci wspomina - z zażenowaniem! ona nie może pojąć, że można kochać i przestać. Dzisiaj się wściekłem; leżę słaby, zbołały, a wali się na mnie lawina pretensji, wyrzutów. Np.:

- Stawiasz zatem pieczęci na kobietach, Gudrun jest ci kochanką, mnie nazywasz siostrą.

- Nie stawiam żadnych pieczęci, a jeśli to tylko na Gudrun, na jej skórze. - mówię, a ponieważ zdaje się nie rozumieć, dodaję: - Wiele żółtych, niebieskich, fioletowych pieczęci po moich palcach, zębach i paznokciach.

Albo mówię:

- Muszę ci wszystko tłumaczyć? moja skóra kocha jej skórę, wilgotność, elektryczne ładunki w porach, zapach i smak.

Albo:

- Nie mogę cię dotykać, całować, kochać się z tobą, ponieważ mnie kochasz. Mogę to robić z co drugą kobietą, ale ty mnie kochasz, więc to nie ma sensu.

A potem:

- Dziewczyno, Wieś jest nieobliczalny, i gotów ci tego dowieść - ostrzegłem raz i drugi, czując jak budzi się z uspienia czarny anioł,

przeciąga się w pogardliwym ziewnięciu, szczerzy białe kły.

Poczuła i przelekła się, przecież widzi myślane; błada i prze-
rażona poszła; sam jestem. Chłodno sercu.

Noc czwartkowa i gorzej, amok! było mi duszno, że wybiegłem
na ulicę, aby się wietrzyć, zostawiając otwarte drzwi i okna, niech się
smród ulatnia. Gorączka wysoka, ból głowy szczelny wtóruje śpiewom
wolności.

*Idę aleją,
wiatr wieje przeze mnie
i nie znajduje
kłamstwa ani prawdy,
księżyc świeci.*

Zmierzcha się niedziela; słaba muszka, ale znów jadam, czyli
zdrowie wraca. Po obiedzie Gudrun poszła na spacer do parku; sam
jestem i muzyka. Czuję się, odycham przez oba nozdrza, atrakcje gry-
py się kończą. Było ich co niemiara, zwłaszcza w nocy z piątku na
sobotę - wspaniałe halucynacje. Skurczony embrionalnie, przykryty
wszystkim, co było pod ręką, bo w dreszczach, skupiony w każdym
wdechu do punktu między brwiami, posyłający wydech po kręgosłupie
w dół. Oddychałem uważnie, w ostrym ataku gorączki całą energię do
walki czerpałem z oddychania; ciało skłonne się poddać.

Stopniowo dreszcze mijały; rozpalony jak piecyk kowalski na
jotę nie zmieniałem pozycji, ciała prawie nie czułem, ale przestrzeń
przezeń zajęta spokojna była, promienna; żyły na skroniach nabrzmia-
łe i pulsujące boleśnie. Zaczęło się od punktu; oczy miałem zamknięte,
wzrok wewnętrzny skupiony między nimi; początek jak końcówka
Odysei Kosmicznej, film widziałem niedawno, było od czego zacząć; z
punktu trysnęły kolory i linie, wzory i formy - z tak wielką szybkością,
że zawahałem się, czy podołam, czy mogę lecieć w nieznanne.

Otworzyłem oczy -

teraz podnoszę wzrok znad zeszytu i widzę za oknem granato-
wiejącą tafłę nieba, a w połowie drogi do niego wzory czarnych już
drzew, konarów i gałęzi w alei -

i nic się nie zmieniło, z miejsca na ścianie,
gdzie spoczął mój wzrok leciały na mnie kolorowo rozplatające się
kształty, świetlne rozbłyski; nic lepszego do roboty więc patrzyłem,
bez fascynacji i zdziwienia, lot stawał się powolniejszy.

Przejmująco wyraźnie ujrziałem na ścianie wzór wszechrzeczy,
drgającą regularną mozaikę; każda grudka farby na ścianie, każda
nierówność i wklęsłość, różnica w kolorze i cieniu ożyły; lśniąc,
migocąc i drgając wypełniły się światłem, duchowym rytmem, który
naturę przenika i tworzy; z każdego punktu tryska sześć promieni ku
innym punktom; wzór widoczny na jednym centymetrze albo całej
ścianie, wizja rzeczywistego. Zobacz to raz, a zostanie zawsze;
będziesz miał wizję w obłokach na niebie, w liściach drzew w wietrze,
w ziarenkach piasku na plaży, w porach skóry czy architekturze Starego
Miasta oglądanej z przeciwległego brzegu Wisły o poranku, zmierzchu.

A potem igranie obrazów; pysk konia szczerzy się w potwór-
nym śmiechu jak na Guernica Picassa, ale ma zamiast wędzidla sto-
krotkę; drewnieje momentalnie, dymi, zmienia się w pysk smoczy wie-
jący ogniem, co w locie ku mnie rozdziawia się i ogarnia ciemnością w
jakimś potwornym jazgocie - ach, tak! był przecież pełny zasięg
halucynacji dźwiękowych.

Chciałem Ci pisać na gorąco, lecz zbyt gorący, aby wyjść z łóż-
ka a zeszyt daleko; uczestniczyłem w pokazie bez słów, zaśmiewając
się niekiedy - nie dlatego, że wizje śmieszne, to ja byłem szczęśliwy.
Pamiętam jeszcze, ale nie bawią już, ani się nie wydają sensowne.

Tymczasem żółty zeszyt się kończy; zaczęty 11 listopada służył
nam przeszło trzy miesiące. W procesie urealniania się - czy słusznie
tak mniemam? O zawartości będę miał pojęcie, kiedy przepiszę na
maszynie, ale na ostatnim kawałku papieru chcę się podzielić z Tobą
uwagami. List się robi niemal dokumentem; oddaję się przecież losowi,
życzę Ci prawdy, nie zaś miłej do poduszki lektury.

O, nie da się pogwarzyć! Gudrun wraca ze spaceru. Ledwo

wyzdrowiała, jest bardzo słabiutka, szczupła i blada, ale rumiane teraz policzki. Będziemy się kochać; żartuję, że pierwszy raz w życiu bywam w łóżku z inżynierem.

Podaję Ci namiary, jest druga nocą dziewiętnastego marca 1979, w środku Europy parę stopni ciepła, zimny wiatr jest w świetle latarni widzialny, bo niesie tumany kropelek deszczu. Piszę do Ciebie w trzecim zeszyt; kolor okładek czerwony, prezent od Gudrun. Żadnych ceregieli: ona śpi, a ja jestem daleko odniesiony opowieścią opowiadaną jej do snu, w której ewolucyjnie wykształciły się lotne, niemal czysto energetyczne istoty, aby po milionach lat zawładnąć planetą, układem słonecznym i środkowym pasem galaktycznej ekliptyki.

Jej powrót z parku, kolacja, wizyta Toma; moje poczucie powrotu do zdrowia, nasze kochanie się nocą; opowieść po polsku.

Nie mogę zasnąć, leżę i nudzę się trochę, nie mam co myśleć a sen nie przychodzi, wstaję zatem, parzę filiżankę jaśminowej herbaty, otwieram zeszyt.

Wizyta Toma; lat 28, wysoki blondyn, przystojny, nawet piękny; w pierwszym spojrzeniu w oczy szczerze go polubiłem; skończył prawo i wiele podróżował w Ameryce, od niedawna w Berlinie; jeszcze jeden człowiek nie wie, co robić we wspianale usystematyzowanym świecie, wyzwala się w trudzie. Czysty. Nie pije, nie pali, żadnych narcotico. Miła rozmowa i opowieści o Stanach.

Pod koniec wizyty fatalne nieporozumienie. Zapytał:

- Czym jest dla ciebie malowanie?

- Wszystkim - odpowiedziałem. - Niczym, jeśli wolisz.

Nie uwierzył - a na ścianach nie ma jednego obrazu, jeszcze wszystkie w galerii! Twarz mu się zrobiła zmęczona, pobladła. Przejęło mnie to do głębi. Mówiłem potem do Gudrun, że nie wiem, co mówię, że powinienem to inaczej wyrazić, albo, sam nie wiem.

Ale teraz myślę, że zawsze mówię prawdę, nawet gdy sobie przeczę. Kto powiedział, że prawda niesprzeczna! Kto powiedział, że trzeba mi wierzyć? Nie, prawda nie jest wiarą, jest tylko i wyłącznie prawdą. A jednak przykro; spotykam ludzi po drodze i czasami widzę,

jak ktoś odskakuje ode mnie w poczuciu wstydu, czy krzywdy. Spowolnij lot, Wieś, więcej uwagi dla bliźnich, skoro kochasz.

Śpi moje nocne słonko, wzdycha przez sen. Osłabiona chorobą ledwo chodzi; uważaj, Wieś, nie za wiele miłości! Ależ to piękne - kochać i być kochanym! Od pierwszego dotknięcia manifestuje się wolność i uczucie; dni przynoszą odkrycia, noce pieszczoty; jest mi wspaniała. Czyżby znalazły się dwie połówki platońskiego jabłka? zachwycamy się sobą bez końca, jabłko jest cudnie bez-błędne.

Wieś, uważaj! nie zrób się gruszką przedwcześnie!

Ach, śpi niespokojnie gazela, step przez nią pomyka cwałem, głowa ją boli? Dobre duchy, jeśli jakie w pobliżu, sprawcie, niech sen przyniesie wytchnienie, niech obudzi się silna i zdrowa. Nie jesteśmy uważni, dowodem ostre choroby; ależ łapiemy je niemal świadomie, jako wytchnienie od napięć miłosnych i niepokojów. Minęła niedziela, jutro znowu startuje do pracy, pięć dni w tygodniu, dziewięć godzin dziennie przy rajzbracie kreślarskim. Jeszcze dwa tygodnie, potem przerywa pracę; jest inżynierem architektem, zarabia na dalsze studia, które chce podjąć w kwietniu. Zrezygnowała z mieszkania w komunie architektów, a ja mimo wszystko omal nie doradzałem. Jedyna alternatywa to zamieszkać ze mną, może nawet wyjść za mnie.

U mnie jest jej dobrze. Wracając zawsze mówi, jaka szczęśliwa. Poproszę o rękę, niech się dzieje, co chce; gotów zostać na czas jej studiów w Berlinie, w wolnych chwilach zabierać ją do Warszawy. Czy takie dwie dziczki potrafią żyć razem? Dałem jej rękę bez wahania pierwszego dnia życia w galerii, nie odmówi mi swojej. Zaczekaj, Wieś, zaczekaj, atrakcji co niemiara, zaczekaj z następnym zawrotem głowy.

Nie wiem, Przyjacielu, nie wiem, niemało już razy, obiektywnie rzecz biorąc, co to za paskudne słowa! przeżyłem uniesienie; zdumiewałem się potem, że nie jest wieczne.

Wątpliwości? np. co przyniesie zwykłe życie. Ach, zwykłe życie dawno temu się skończyło!

Nie mam wątpliwości, potrafimy żyć razem wspianale. Odczekaj trochę, Wieś, zorientuj się, czy zakładanie rodziny. Owszem, sztukę robię genialną, posłuchaj tylko tych wszystkich, którzy chcą Ci to mówić; lecz nie wyrabiam na papu, coraz mnie ktoś czymś obdaro-

wuje, zupy w proszku, wazonik, jakoś mogę przetrwać. Trzeba obejrzeć mieszkanie, którym dysponuje Michael, zorientować się w perspektywach pożywania wspólnego.

Berlin.

Berlin wali po głowie kłonicą, prawda chce istnieć! Przyjacielu, parę zapaści i depresji w pierwszych miesiącach Listu przemilczałem, nie chcąc Cię trudzić, skoro nie mogłeś mi pożyczyć pieniędzy. To, co piszę, ma być Przekazem, moim życiem jak leci, prawda? a przemilczenia robią ze mnie gnoja. Allah jest wielki, czytam Sufi szejka, prawda nad wszystko, nie inaczej, prawda wymaga całej otwartości.

Skąd te uwagi liryczne? Przeglądam List, i widzę, co zataiłem. Co we mnie zostało ze śmietników przeszłych - winno się ujawnić! Nie idzie o pragnienie doskonałości ani o tych pieprzonych kosmitów z galaktyki nieznannej, dla nich tak czy inaczej wszystko jest, będzie, odkryte. Prawda wymaga otwarcia, nie strojenia się w szatki.

Tu idzie o mnie. Moim obowiązkiem jest wiedzieć. Może od zaraz? Ukrywać przed Tobą, który jesteś mną w taki magiczny sposób? siedzę przy świecy osłoniętej od Gudrun kartonem, by światło nie raziło w oczy. Rzecz dotyczy Anny, żegnanej dramatycznie w białym pokoju w Amsterdamie o suficie oświetlanym przez refleksy wody; wspominam kochaną i życzę radości, zasługuje na najlepsze, więc dodać? Kiedy z W-wy dzwoniłem do niej, ni stąd ni zowąd opowiedziała mi sen; była ze mną w ciąży, tzn, nosiła mnie w brzuchu; rozmowa nieładna, nic się nie kleiło. W przeddzień pożegnania wziąłem notes z półki, prawda, aby zabrać zdjęcia, dureń! i przeczytałem, co wpadło w oko; we śnie nosiła Fernanda; dlaczego kłamała? bo śpiący był na łonie, a przecież miała coś mówić. Nie miałem za złe chłopca, to byczek z bajki; dlaczego miałem za złe kłamstwo? widzisz w Liście, jak kłamię - z nadmiaru fantazji, braku odwagi, duchowego lenistwa. A jakoś siebie nie potępiam, co?

Co to za wariatkowo, co piszę?! Otwieram pierwszy zeszyt teraz, patrzę i widzę - nic nie kłamałem, ledwie przeoczyłem! jakie zaskoczenie! A niech to tak zwani wszyscy diabli! co? czyli w sosie piekielnym smażyć cielęcinę? boże bądź miłościw grzesznym kopytkom w galarecie bzdury!

Niech będzie z innej beczki; Marek mi podarował Strzemiń-

skiego "Teorię widzenia"; nie mogłem się do niej zabrać przez lata, zdawała się nieznośna, ale parę niedziel temu widziałem kilkanaście Rembrandtów, a parę dni temu otworzyła się książka na słowach o Rembradtcie tak świetnych, że czytam od deski do deski, jak się mówiło w czasach, gdy książki miały drewniane okładki.

Gudrun śpi niespokojnie, też się położę, chciałbym wstać o siódmej i podać śniadanie.

Wtorkowy poranek w śniegach, co padały zaciekle od wczoraj, zastaje mnie zdrowego; wariatkowo w pełnym rozbiegu. Wczoraj Gudrun po pracy przyszła na obiad, następnie figle w łóżku fantastyczne od śmiechu; o 10-tej odprowadziłem do metra, malowałem do ósmej rano w pełnej zaciekłości, jakbym nadrabiał zaległości.

Jest wieczór; kiedy pisałem powyższe zdania? dziś rano? wczoraj? jest chyba środa, ach, dowiem się jutro.

Popołudniem szedłem do pałacowego parku i chodziłem długo, po powrocie do domu zwalając się w sen. Wieczorem Rumpel i Ruichard przyszedli na herbatę z prezentem: dwa lsd wielkiej klasy. Malowałem cztery obrazki. Jadłem kolację.

Jest druga nocą, noc zimna, wszędzie pełno śniegu, trudno zimować; otwieram okna, paląc bez przerwy w piecu; znów malowałem lakierem, śmierdzi w wychodku cywilizacji. Może od tego moje istnienie się tępi? Gudrun daleko, trzeba wytchnienia w kochaniu. Ciało jako ekspresja ducha. Śniłem nad ranem wiele snów; pamiętam?

Rozległy pofalowany wzgórzami las, wspaniale nad nim górujące korony kwiatnych białych drzew, podobne do gigantycznych storczyków; jakże dostojnie i pięknie! coś z nimi robiłem? Coś...

Nagle gwałtowne burze i deszcze wprawiają las w żywy ruch. Spotykam w lesie brata. Chce, żebyśmy coś w związku z drzewami robili, żebyśmy je rozkwitali? ale ja zobaczyłem grzyby i wołam do Andrzeja: - Grzyby! zbierajmy grzyby! - było ciepło, czysto, pachnąco.

Wolał rozkwiatać drzewa, więc poszliśmy swoimi drogami. Cieszyłem się grzybami, wspaniale rosną po deszczu, miałem już pół worka.

Następne kadry widziane wyraziście jakby z góry: gwałtowny ruch w lesie, sarenka w ucieczce, gigantycznych rozmiarów maszyna ciągnięta przez potworne rumaki przeczesuje las, dopędza sarenkę, dwaj chłopcy biegną po bokach, ach! jeden z nich smagły o ciele dzikiego psa skacze na sarenkę i uderzeniem kija przetrąca kręgosłup! Coś takiego! Oburzony podchodzę do mężczyzny, który prowadził a teraz zatrzymał straszny pojazd, on ma wąsy, zielone spodnie i bluzę, to leśniczy; krzyczę, jak śmie, on i jego synalkowie, kłusować w lesie i zabijając zwierzynę!

Gniewna odpowiedź, że nie jest leśniczym, mam się odczepić, zostawić naturę w spokoju. Odchodzą, odbiegają z sarną; pojmuję, ile mam szczęścia, gotowi byli mnie zabić!

Obraz chłopca skaczącego na sarenkę z kijem towarzyszy mi w dzień, gdy w parku witam się z drzewami; chwile skupienia i kontemplacji, gdy pojmuję je jako żywe organizmy, tak różne ode mnie z korzeniami i gałęziami, żyjące ziemią i słońcem. Poczucie wzajemnego poznania się, gdy dotykam kory dłonią i ustami.

Oddany światu zajmowałem przestrzeń ciała; cokolwiek pomyślałem fałszywie lub smutno - dostawałem powiewem wiatru w twarz, lub przejmujący świst suchych liści grabu chwytal mnie za ucho w momencie, gdy wiersz składałem o braku liści! Obecność ludzi mnie nie znosiła! dziwny spacerok po drugiej stronie snu.

Dość pisania. Lubię dzisiejsze cztery obrazki, chcę zrobić jeszcze dwa, żeby nie przegapić spostrzeżeń w parku; te zbiegi okoliczności co chwila! Ach, przy okazji grypy rzuciłem palenie papierosów; trulem się prawie rok.

Czwarta nocą, zamiast dwóch zrobiłem cztery obrazki na srebrnych i złotych kartonach. Chcesz wiedzieć, jak dzisiaj?

Rozlewam na kartonie czerń łyżką, formując lekką i lotną formę okręgu, mieszam w misce i kładę szpachlę parę odcieni szarości, poruszam kartonem i farby mieszają się w ruchu, wprowadzam strzykawką biały lakier w paru miejscach i patrzę, kompozycja jest dobra; przykrywam ją drugim kartonem, przygniatam lekko dłonią; rozdzie-

lam kartony w ruchu obrotowym, jakieś 30 stopni. Ta operacja sprawia, że kolory mieszają się ze sobą, tworzą gwałtowne przestrzenności; forma zostaje ta sama, ale jej wnętrze bogate w struktury i ruch.

Patrzę, analizuję, robię drugą kompozycję wykorzystując świeże doświadczenie, nazywam ją 'Kamień mej twarzy', uważaj, żebyś się nie potknął!

Biedna Rotraut, pewnie jej ciężko; nie pokazuje się u mnie, mnie też się nie chce albo nie wypada. A ja? niepoczytalny stary koń nawija Ci o żeniaczce! czy ja zwariowałem?

Fakt, że pożycie z gazelą jest cudne; opowiadam jej po polsku do snu historie, ale zapominam; w gorączce opowiadałem jej po angielsku, dlatego pamiętam - historię Króla Gór, ale jeśli ją zacznę spisywać teraz, złapie mnie w czuwaniu poranek; raczej pośpię.

Sobota wieczorem przy świecy i okolicznościowej zadumie, przez parę dni nie otwierałem zeszytu; gdzie byłem? w dole! wiesz, gdzie to jest? Okolicznościowe wariactwo, tak zapisać. Miłość przychodzi z burzami i piorunami! ta zwłaszcza! wciąż olśniony, piszę już poparzony.

Tak, ja Ci to po prostu opiszę. Widzisz, czemu służy list do Ciebie? służy także samopoznaniu; jeśli coś zapisuję, choćby bezwiednie, to później, w czytaniu, mogę obejrzeć się lepiej niż w lustrze. Ach, List! nie ma na nim nadawcy, adresat niewidoczny.

Dnie ostatnie to życie rozchwiane. Bowiem Gudrun. Bowiem mój dygot wewnętrzny, który zestrąja się z hukiem miasta i sprawia, że to Berlin szumi, w całej głowie nie ma nic innego. Zbrodniczo trują mnie farby, kaszlę, samoubójstwo na raty płacone w dzień każdy. Osłabienie, przepracowanie, w myślach błędzenie. Nie akceptuję słabości fizycznej, zwałam się w dół psychiczny, a tam, na dole, jestem zawsze sam. Daleko od Gudrun.

To było w czwartek? Przeglądałem i sygnowałem ostatnie obrazki, gdy spojrzełem w okno; stała za szybą.

Szyba między nami. Co się stało? Skąd w piersi ucisk, w istnieniu znieruchomienie? I teraz, kiedy piszę, długopis zawisa nad kartką,

oczy gapią się w płomień świecy. Uległem bólowi, nie powiedziałem słowa. Poszliśmy na spacer, świat nie do uratowania. Teraz nie ma szyby, lecz na mej głowie szklany klosz, skafander, łączność nie funkcjonuje, kable przecięte; robot posuwa się do przodu, ciało wyprawia łamańce, głądzi, potyka się, patrzy, drzewa się nad nim litują, je pizzę rodzinną we dwoje z wielkiego talerza. Gudrun dziewczyna wrażliwa, więc nastrój się udziela, ale też wie, że w ciężkich przypadkach kontakt seksualny może.

Ale kiedy już go mamy i Kochamy się w pracowni, to widzę brodatą facjatę Andrzeja zaglądającą do okna; przyjechał na parę dni z Małgosią, zapowiadali wizytę, już mówiłem Gudrun, powtarzam to teraz; przerywamy nasz akt strzelisty.

Czemu się tak śpieszę, skąd nawraca dygot? Ubieramy się, wchodzi goście, gawędzimy przy reńskim winie. Małgosia piękna gwiazda filmowa, Gudrun patrzy w święty obrazek, dziewczyny rozumieją się świetnie; moje napięcie rośnie.

Gdy wychodzą, Gudrun mówi, że czuje się dziwnie, chwilami patrzy na mnie i zupełnie nie rozumie, dlaczego we mnie tyle nerwowości, dlaczego ja właściwie zachowuję się jak wariat. Rozmawiamy, światło świecy, czuły dotyk.

Pukanie do okna, to Heniek w drodze z Bremen do Warszawy; nie udzieli gościny, widzi rozgrzebaną pościel i nas gotowych, ale jest znów lampka wina, gadanie. Zabawne te odwiedziny w obecności Gudrun, która nie znosi całowania w dłoń, jest wyemancypowana i ją to poniża! Jakże ma rację! Bo polaczek bywa przy damach z gracją, ukłonem i całusem w dłoń, a pod ich nieobecność mówi 'dupy'; zamiast przecinków w wypowiedziach używa 'kurwy' - jeśli takie są dane wejściowe, jaka powstaje sztuka? Wychodzi po północy, miła wstanie przed siódmą, idziemy do łóżka, sen nie przychodzi; słyszę:

- Myślę, że jednak dobrze będzie, jeśli na trochę wejdiesz we mnie - wchodzę.

Rano nieco zmęczeni, ona po śniadaniu do pracy, maluję, wieczorem pójdziemy do kina. Ale wieczorem gazela śpi w domu; jak przez sen opowiada telefonicznie sen, w którym miałem do niej okropne pretensje, że w Kochaniu się jest z drewna; zapewniam, że jest wilgotnym płomieniem.

Heniek nocuje u mnie, przyjeżdża Waldi, nie chcę z nimi do knajpy, więc jadą we dwójkę, maluję do późna.

Heniek budzi mnie rano, aby się pożegnać. Wstaję, parzę mocną herbatę, jadę do sklepu, kupuję belkę białego kartonu. Płacąc rachunek orientuję się, że drzwi swego pokoju zatrzasnąłem za sobą, zostawiając klucze w środku, taki skołowany.

Dźwigam papier do domu, przyjeżdża Petra i Christian z wizytą. Próbuję użyć ich kluczy, przechodzi Dorothy, klucze też nie pasują, jej mąż przynosi wielkie dłuto, ale dom stuletni, budowany solidnie, nie udają się próby wyważenia okna lub drzwi. Widzę przez okno moje klucze na krześle. Decyduję się odwiedzić Rotraut i prosić o siekiere; otwiera błada, wystraszona? Pożyczam narzędzia, ale mam pomysł i drucziany wieszak, obcęgi robię zeń wytrych; już w pierwszej próbie otwieram drzwi. Petra i Christian jadą, śpieszy im się nagle, bo Małgosia i Andrzej zapewne pod drzwiami. Przywracam wieszakowi pierwotną formę, odnoszę wraz z narzędziami do Rotraut; akurat przychodzi Klaus pacjent, na szczęście nie mamy czasu na rozmowę. Tnę karton na arkusze.

I tak idzie ten tydzień bez ładu i składu. Obrazki zrobiły się czarne - nie tylko w kolorze, ale i nastroju, dramatyczne, tragiczne.

Noc z niedzieli na poniedziałek; dzień to Kochanie się aż do zmroku, zauroczeni pięknem. Maluję; dzisiejsza praca to jeden obraz udany, dziesięć podarłem w strzępy. Kocham Gudrun, ciało zmęczone, chce spać. Ona też wyczerpana ze szczęścia; przed odjazdem wieczorem mówiła z trudem, takiej dostała chryпки; nie z przeziębienia! darła się szalona w miłości. Jutro 12 godzin pracy, dzisiaj nocuje u siebie. Chcemy zamieszkać razem.

Noc jakaś, prawie nie mam siły na długopis, zmęczony, jakbym robił w gnoju, a nie w malarstwie; śmierdzi jeszcze gorzej. Otwieram okno na deszcz, ubieram kożuszek, zaraz pójdę nad jezioro, zostawiając też drzwi otwarte, niech przeciąg suszy lakiery i pędzi zapachy.

Ale narzekałem, że brakuje mi czasu; żeby mieć o czym myśleć na spacerze, przepiszę Ci z Bhagawana, niechże Cię pocieszy:

“Dzielimy czas na trzy części: przeszły, teraźniejszy, przyszły. To podział absolutnie fałszywy. Czas to przeszłość i przyszłość. Teraźniejszość nie jest częścią czasu. Co minęło, jest czasem; co będzie jest czasem.

To, co jest, nie jest czasem, ponieważ to nigdy nie przemija. To zawsze jest. Teraz jest zawsze. To jest tutaj zawsze. To teraz jest wiecznością.”

Kochany głędoła! Przeglądam prace ostatnich dni, i tępię w strzępy dwie trzecie obrazów.

26 marca poniedziałek; sam w pracowni, ale w obecności Gudrun i zapachu miłości w pościeli. Gapię się na wiszący nad półką karton 70 x 50 cm; czarno-biała kula wisi w wieczności na srebrze. Mam ochotę powtórzyć motyw bardziej wizyjnie, użyć mniej farby, tylko obrys i formy we wnętrzu, oszczędnie i walorowo; biorę się do pracy, aby nie żałować.

Trzecia nocą; zrobiłem serię kręgów i tarcz, bo jeszcze nie planet; formaty 60 x 50, biel, szarość i czerń; wprost się napatrzeć nie mogę. Ale chcę przecież pisać. Dzień cudny, spacer, wizyta u Petry i Christiana; zabawne przygody, bo Andrzej poszedł z pieniędzmi kupić samochód i przepadł; dziewczyny w akcji ratunkowej.

Pierwszy naprawdę wiosenny dzień chodziłem po parku w koszuli; wykorzystuję chwile słońca w ostatnim tygodniu jak słonecznik, zwrócony zawsze twarzą; schodzi mi skóra z czoła. Wiesz, jak złakniony słońca? zima była nielekka. Dobrze się dzieje na stole w pracy. Wiosna zaczyna się wcześnie. Niels kupił grafiki, mój bilans pozytywny, chociaż z szaloną rozrzutnością kupuję farby i papiery. Jest sporo wina, mniej trawy. Kończy się ważność paszportu, trzeba do polskiej misji.

Ach, zasnąłem momentalnie i obudziłem się o pierwszej w

południe. Chyba pójdę na spacer; sprzątnąłem pracownię po nocnej robocie, piłem kawę z Paulito portugalczykiem, który usiłuje pracować u Michaela i zaczepić się jakoś w Berlinie; ma wiele pytań do malarza.

Jest ciepło teraz, pochmurnie. Wczoraj zamieniłem słów parę z przechodzącą Rotraut. Nie - nie gniewa się. Tak - leci na dwa tygodnie do Kenii.

Co znaczy, że czuję się rozkojarzony? towarzyszy mi to uczucie od jakiegoś czasu, może po prostu przytruty farbami.

Piszę stojąc w otwartym oknie. Wczoraj i przedwczoraj uwijał się w ogródku czarny kos z rozdziawionym dziobkiem; usiłował dziobać w ziemi, ale dziobek na wpół otwarty, jakoś zaklinowany. Próbowaliśmy doń podejść, mówiąc, że śpieszę z pomocą; popatrywał czarnymi ślepkami, pozwolił podejść bliżej, ale nie dał się dotknąć, to nie sen. Dzisiaj nie ma, pewnie zjadły go koty. Natomiast Michaelowi zmarła babcia, się wydało, Wiśniewska.

W parę godzin później przychodzi jasna Suzanne, dzisiaj smutna, bo Mariusz wrócił do Warszawy, następnie Gudrun; roześmiana i śliczna w fartuszku gotuje makaron z wieloma jarzynami na obiad. Chcemy mieszkać razem, szykuje się nowe życie.

Otworzyłem dzisiaj ten zeszyt, długo patrzyłem na pustynną kartkę. I zapisuję nic.

W środę popołudniem wspaniale obolały po nocnych miłościach i dziennych pracowitościach leżą na ławce w parku, słonko przygrzewa, niebo lekko przemglone; oddycham tak długie chwile, słucham śpiewu ptaków, patrzę w słońce nie mrużąc powiek, żeby po chwili mieć zabawny powidok świetlnej plamy; gdy patrzę w aleję plama przesuwająca się po ścieżce, mogę ją kierować jak puszczanym z lusterka zajączkiem.

Porywisty wiatr, szumią gałęzie drzew i zeszłoroczne liście grabów, które wciąż się uparcie trzymają gałązek. Wśród drzew jest

czarno, brunatno, brązowo, ale już każdy pączek nabrzmiewa, poświadczam Ci to osobistym wglądem. Dobrze mi na bezludziu, w poczuciu tylko Twojej obecności; trzeba uciekać z domu, jeśli chcę побыć sam, ale lubię gości i zgiełk; przekazuję moje impresje kartonom.

Około północy w Zielonym Palcu po latach nieobecności; czas psychologiczny różni się od kalendarza.

Gdzie jestem? w poszukiwaniu wspólnego z Gudrun mieszkania. Niezłe jest w podwórku, ale Petra i Christian nic nie mogą znaleźć, i z musu, jak się wydaje, zamieszkają w Zamkowej.

Naprzeciw Michaela, w czerń jak zawsze ubrany czyta gazetę; unika, żałuje chwilowego entuzjazmu dla terażniejszych obrazów i projektów; galerię chce przerobić na biuro, żadnych wystaw.

Przerwałem zapiski, aby z nim jednak rozmawiać. Właściwie to monolog na temat: jaki jestem biedny. Szczerze: czuje się samotny, widzi przed sobą wielką ścianę, której nie może podolać; szuka miłości wiecznie niezaspokojony; śpi z jedną kobietą a trakcie stosunku łaknie innej i wyobraża ją sobie; doszczętnie zajęty interesami szuka w forsie oparcia, poczucia bezpieczeństwa.

Nie znajdzie; moja diagnoza jest bezwzględna: nie znajdzie miłości, bo nie ma jej w sercu; nie znajdzie bezpieczeństwa, każde okaże się złudne; nie znajdzie akceptacji wśród bliźnich, bowiem siebie nie akceptuje - nie mówiąc o bliźnich!

A przy tym staje się młodzięczy i radosny, kiedy umie się śmiać. Wrażliwy, tego nie wyraża; zamienia wrażliwość w drażliwość i nie może jej znieść. Ciężka karma! Mnie trzeba stąd zmyku, precz od obowiązków, co ograniczają. Przy okazji dowiaduję się, że czynsz za mój pokój śmieszne 60 miesięcznie; liczę więc długi w dzień dzisiejszy: 760 cholerna podróż jak do Nowego Yorku, 360 czynsze, 300 pożyczki, rachunek w Zielonym ze stówę, elektryczność ze dwieście; siedemnaście setek; to nie wygląda groźnie, chyba, że dla Michaela, sądząc po labidzeniach; ale kiedy indziej się zwierza, że zarabia dziesięć tysięcy na tydzień. Niels może kupi upragniony obraz, więc oddam długi. Wybrać się do galerii, załatwić wystawę! Mam sterty nowych obrazów, setki! wszystko na papierach.

Wczoraj to było? wieczorem, gdy zjedliśmy obiad, przyszła Jeanette ze swym chłopcem. Mieszka w Steglitz, gdzie do niedawna Gudrun; ma lat 14, jej chłopiec 15, są kochankami od dawna, w tym wieku miesiące zdają się latami. Dziwne spotkanie nie wiem po co, może chcą wejść do Przekazu? Zostawiłem ich z Gudrun, poszedłem do Christianów.

Po dniu tak szczęsnym jestem w niespokojnym drganiu. Po co pracuję zaciekle? co przywalam stosem obrazów, wierszy i stronic?

Ach, pytanie jest retoryczne, nie odpowiesz na nie, bo przecież niczego nie przywalam - odkrywam!

Dlaczego więc zagubiony? znaleziony w malowaniu? co robić z obrazami? jak żyć? Wczoraj i dzisiaj nie malowałem - oto, co mi doskwiera. Pójdę pospać, dobranoc.

To czwartek, ledwo się zbudziłem a piszę, bo śniłem wiele, a sen to jakbym żył powtórnie.

Nieprzyjemne śnione okolice chorób; sen ostatni zawiera specjalną wiadomość dla tego, który ma się obudzić.

Stoję na peronie małej stacji kolejowej w zapadającym mroku, zwrócony twarzą w stronę pociągu, który rusza z miejsca; przejeżdża pierwszy wagon; zamierzam wskoczyć do drugiego, lecz ktoś przede mną przechodzi, przeszkadza; oto trzeci wagon, pociąg jedzie już szybko, skok staje się niemożliwy a ja niezdecydowany. Stoję jeszcze, gdy przejeżdża ostatni wagon, i zrywam się do biegu, jakże wspaniale się biegnie, jak lekko! pociąg sunie przede mną, mam szansę dogonić; biegnę sprężysto, niemal bez wysiłku, dopędzam pociąg orientując się wszakże, że przebiegłem połowę drogi i skakanie już nie ma sensu; wymijam biegnącego starszego mężczyznę, śmieje się do mnie i macha rękami, zachęca do skoku; poboczne toru jest sypkie z drobno tłuczonych kamieni - skok musi być nieomylny!

Wyciągam lewą rękę, dotykam poręczy wagonu, odbijam się stopami - otwieram oczy, patrzę w okno, dzień jest deszczowy i siwy.

Gonię jak gupi za pociągiem, zamiast wejść doń na peronie,

albo, jeszcze lepiej, pójść piechotą przez las! Ale, ale! a co z doświadczeniem biegania?

Siąpi deszcz. Napalę w piecu, zjem jabłko, pójdę do sklepu po brykiety; cóż jeszcze do roboty?

Rozwiałem deszcze i mgły gwałtownymi uderzeniami dłoni.

Pierwsza seria w kolorze szaro brunatnym wpadającym w czerń; druga w głębokich zieleniach wpadających również w czerń, gdzie farby dużo. Uwaga ogólna - lepiej przygotowywać się do sesji pracy, medytować! nie marnować kartonów i farb na rozgrzewkę!

Dzień ciepły i dżdżysty. Dzwoniłem do Katii, mamy jutro oglądać mieszkanie ewentualne do wynajęcia. Dzwoniłem do Gudrun, pracuje dziś długo, przyjedzie na obiad: ryż i sałata z pomidorów, avocado, ogórka i czosnku, w sosie majonezowym. Męczące życie: prawie mieszka ze mną, wstaje wcześniej, gdy ja, zdarza się, jeszcze pracuję; dziupla mała dla dwójga żyjących w innych rytmach ludzi.

Od troski i rozterki wyzwala mnie praca; wiesz? jest taki stan przy malowaniu, szczególnie jasność w głowie, poczucie niemal złości, agresji, stan energii. Energia - to lubię! ślady mych palców i dłoni na kartonach wyglądają jak fotografie kirlianowskie, są obrzeżone delikatną aureolą rozbryzgów farby, pajęczych linii, dziwnych wzorów o matematycznej precyzji. Kocham je, cóż z nimi począć?

Właśnie jest Gudrun; widzi, że piszę, śle Ci pozdrowienia.

Oczekuję wizyty Petry i Christiana, obejrzymy razem mieszkanie, które jest wolne, lecz raczej dla nich. Jadą na dwa tygodnie i zostawią mi wóz; przywiozę wtedy przynajmniej część obrazów z galerii do domu. Dzwoniłem w tej sprawie do Berta, ale go nie było.

Śpi, ma twarz piękną, dziecinna dziś i pachnąca, świeża jak kwiat azalii, która kwitnie na oknie od stycznia. Taka otwartość sprawia, że jest się samym życiem. Jakże ją kocham w tej chwili każdej. Cudna - od małego palca stopy, który wychyla się ku mnie spod śpiwora do charakteru pisma; od dźwięku głosu do zapachu pachy. Olśniewająca wiosna i kwitnienie skupiły się w kształt ciała, które jest otwarte i przyjmuje mnie w radość i wilgoć.

*Moja miłość zasnęła;
szelest ognia w piecyku, głos wiosennego wiatru,
odgłos kropel uderzających o szyby,
szum opon samochodowych na mokrym asfalcie -
nie przeszkodzą jej we śnie.*

*Jej cichy oddech wszystkie inne dźwięki
łączy i harmonizuje, oświetla.*

*Jej lekko zrogowaciała skóra pięty
wysuwa się spod dwóch śpiworów,
bo okno otwarte i marzec.*

Jej sen, mój oddech.

Zbyszek i Waldi przyjechali, kiedy jedliśmy sałatę z ryżem, w chwilę później Petra i Christian. Pijemy wino ode mnie, palimy jointy od Waldi. Idę z Christianem i Gudrun na oglądanie mieszkania. On jest jak Arsen Lupin w nowej bluzie skórzanej, pod wąsem, w czapce i z pękiem kluczy. Mieszkanie miłe, ale mało słońca. Fajne okno kuchenne na wschód i za oknem fajnie, ale okna zachodnie są naprzeciw okien Rotraut i niżej, słońce zagląda tylko latem. Gudrun przejęta jak ja, robimy coś pierwszy raz. Pysznic trzeba instalować w kuchni, przebić ścianę i wstawić drzwi między dużym i małym pokojem, wszystko czyścić, malować, pracy co niemiara; czynsz półtorej setki miesięcznie. Jutro mamy oglądać inne mieszkanie, do którego nie chce wprowadzać się Katja. Co za akcje! atrakcje!

Dzisiaj od stacji metra szedł za nią mężczyzna; omal nie zapytała dlaczego. Wyobraź sobie - wspaniale maszeruje, śmieje się, wygląda jak zakochana, oczy jej błyszczą - jak nie pójść za taką, choćby, żeby poczuć ten rytm kroków. Żartuję, że gdybym ja za nią szedł, miałaby odwagę odwrócić się i zapytać wymagająco, jak potrafi:

- Co to znaczy? dlaczego za mną idziesz?

- Ja? Idę za tobą? - skłamałbym ze śmiechem. - Ależ ja idę do tej kafejki na rogu, o, widzisz? mają tam wspaniałą kawę po irlandzku.

- Po irlandzku? - powiedziałyby Gudrun, a oczy by się rozsze-

rzyły i rozbłyły, jak to robią co chwila. - Pewnie, że chcę spróbować!
Po czym zapewne byśmy się przewrócili do akcji.
Kochamy się w życiu raz pierwszy, nasze uprzednie przeżycia i osobiste historie przygotowały nas na to, co się dzieje.

*Moja gazela to pani o smukłym ciele
i złotniejącym w słońcu wdzięku.*

*Przez ciebie pada deszcz za oknem,
przez ciebie wieje wiosenny wiatr,
przez ciebie nie śpię, gdyż cię kocham,
przez ciebie pisząc, malując i dźwięcząc
jestem.*

Chcę życia w pokoju i przestrzeni rozległej - napisałem Ci kiedyś. A słowo ciałem się staje. A ciało jest piękne.

Opowiadała mi wczoraj, tak, wczoraj, bo jest już druga lub trzecia godzina, jak zamieszkała w Steglitz; przyszła do tego domu i w trakcie pierwszej wizyty widząc 14-letnią dziewczynę pomyślała, że może mieć z nią kłopoty. Zamieszkała, i okazało się, że ta mała kobieta, tak, kobieta! przeurocze zjawisko Jeanette! wstaje wcześniej rano i je samotnie śniadania; Gudrun też wczesna, więc jedzą śniadanie razem. I zaraz Jeanette jej opowiada o miłości i życiu erotycznym, a miła rewanżuje się opowieścią, się bowiem składa, że mała jest pierwszą osobą która o mnie słyszy, o naszym spotkaniu i przewróceniu się na podłogę w galerii. To dlatego ją tu zaprosiła!

Moja pani po dzisiejszym wieczorze była przejęta maleńka, rada się schować w mysia norkę; tak mi powiedziała, z nadzieją, że też będę w mysiej dziurze, a może, o tak! może będę ziemią dookoła norki. Chłodna miała dreszcze, więc okryłem ją pościelą i sobą, rozgrzany jak trzeba ująłem jej stopy między moje stopy, czuwałem i doznawałem jej zasypiania, oddechu, który uspakajał się zwolna, w wielokrotnych dreszczach spowalniając rytm.

Opowiadałem jej, mając czas i miłość, o krzaczku poziomki rosnącym na skraju lasu, otwierającym pierwsze listki wiosną; jak rozwija się, gdy krążące soki i słoneczne drobiny energii skupiają się w

jego życie. Rośnie, ze środka bytu wypuszcza łodyżkę, na jej szczycie wyłania się pączek, a z niego kwiatek o pięciu płatkach delikatnych, niemal przezroczystych w żółtozielonym skupieniu pośrodku. Nieskończenie powoli i niepowstrzymanie rozwija się, w otwarciu i skupieniu przeistacza się jego energia; wchłania w siebie blask, pozwala w sobie uczestniczyć kropelkom rosy, wilgotności gleby, deszczom, wiatrom, obłokom i całemu światu - rosnąc wśród trawy skromnie, prawie niewidocznie, niezauważalnie. A kiedy dojrzewa, przeistacza swe molekularne gęstki w coś o kolorze, zapachu i smaku och.

Tyle we mnie miłości w tej nocnej chwili, gdy mogę ją ofiarować źródłu, z którego bierze początek. Zapaliłem kolejną świecę, chwilę pobywając z Gudrun; zbudziła się bez wiedzy, gdzie jest, szczęśliwie odnajdując się w dotyku, gdzie miłość. Znów śpi.

Jeszcze wrócę do minionego wieczoru. Więc Zbyszek jakoś dziwnie spięty, Petra niezmiernie ostro traktowana przez Christiana. Więc Christian chwilami wzruszony; lecą do Maroka, proszę o przekazanie pozdrowień od krewnego z Berlina dla małp, jakie spotkają w górach Marakeszu. Życzę Christianowi, żeby nie załamywał skrzydeł - aeroplanu, żartując z fobii latania. Waldi został dłużej i męczył zaproszeniem na obiad do knajpy, ale wolimy we dwoje.

Jutro pojutrze udam się do misji z przedłużeniem paszportu, a na święta wielkanocne, jeśli się wyrobię, pojedę do Polski; zawieźć ze dwadzieścia płócien, ile się zmieści do samochodu. Zaraz no, jakiego samochodu? Renault od Alka zabrała policja; ach, da się coś pożyczyć?

Dobrze, że Gudrun do pracy jutro na dziesiątą, wyśpi się miła.

Jest zachwyty uważności, gdy patrzę na kwiat azalii lub wychodzę przed dom, aby posłuchać, czy to woła pomocy ów kos z otwartym dziobkiem.

Piątek, popołudnie 30 marzec. Gudrun poszła do pracy, długo jeszcze zostałem w łóżku, leniwie słuchając muzyki. List od Kasi z Londynu, tam wiosna, ptaszyna ożyła, śpiewa, rozpościera skrzydełka.

Malowałem, ale bardzo mi nie szło, tzn. jeden obrazek piękny, cztery sam nie wiem, trzy do śmietnika.

Pozdrowilem przechodzącą Rotraut, jest sterana, szczupła, podałem herbatę; nie pocieszyłem mówiąc, że szukamy mieszkania. Litery, którymi piszę, malutkie.

Gdzie żyjemy? Opisać małego ogrodnika, co trafia do wielkiego świata; ten świat ma bzika - wydaje się sobie tak wielki, że dzieli się na państwa i rasy, systemy, osoby. Pokazać zakłopotanie ogrodnika; gdzie kwiaty, gdzie chwasty? nie wie, kogo podlewać.

Sobota wieczorem rozżarzona do białości. Co drażni? Gudrun powiedziała, że po pracy spotyka się z przyjacielem; mimo szybkości ruchów refleks miewam spóźniony, znaczenie tego, co powiedziała, pojawiło się później; więc to tak? zostawia się mnie w sobotę wieczorem samego, aby spotkać się z przyjacielem? Odrzekłem, że będę w domu od ósmej; rozdrażnienie podrzuca żaru do paleniska, szalona seria obrazków o wysokim poziomie energetycznym sama z siebie.

A co zamierzam? napiszę zostawię w oknie karteczkę 'czekałem, życzę miłego weekendu', pójdę w miasto; zadzwonię do Zbyszka, który mieszka u Christianów i opiekuje się kotami, wezmę wóz Petry; zostawiła go w mej dyspozycji; pojedę w miasto, może do dyskoteki Bowie, gdzie dawno nie byłem. Może na spacer, dyskoteka później?

Jak to jest między nami? wybornie, ale poroniony pomysł, żeby mieszkać razem. Wiązać się? z Gudrun? z Berlinem?

Owszem cudnie się kochamy, jest najwspanialszą kochanką pod słońcem - może zbyt dobrą, jak na żonę? nie samą idyllą miłość się żywi, ale od dawna nie było nieporozumień.

Moja zemsta się nie udaje; Zbyszka nie ma pod telefonem, wozu zatem też nie ma. Już po dziesiątej. Przygotowałem farby i serię kartonów, same duże formaty 100 x 70 cm. Kończy się flaszka wina od niej. Dobre malowanie, ocala od głupot raz jeszcze.

Przyjacielu, jestem szczęśliwy; piszę to lewą dłonią, bo prawa w farbie.

Poznaczony pręgami wielkiej nocy.

W królestwie nie z tego świata.

*Jak gwiazda
wznosząca się tam
gdzie nie ma już góry i dołu.*

Jak pięknie!

Pierwszego kwietnia, Przyjacielu, żarty; sytuacja kołem błędnym się toczy, powtórka z historii: Gudrun śpi, nie mogłem zasnąć, ubrałem się znowu, zaparzyłem herbaty, zapaliłem świecę. Melancholijnie, jedenasta wieczorem, miłość przemija, jest chłodno.

To było dopiero wczoraj? moje uniesienie doszło do zenitu, zrobiłem serię najlepszych obrazów.

Około północy wracała z miasta Rotraut, zwierzyłem się z kłopotu, że flaszka pusta; zaprosiła do siebie - tam butelka Genevieve, którą przegrał Michael; wspominałem Ci o tym? Zarzekał się, że nic nie sprzedam na wystawie, Rotraut przyjęła zakład, i oto wypilem ze dwie trzecie flaszki, ostra woda. Sam widzisz, pijam wiele i niewiele, rzadko upijam się; dziś potrzebny wyjątek? Jeszcze rozmowa o życiu przy herbacie, na drogę 'Silmarilion' Tolkiena. O pierwszej czy wpół do drugiej byłem na dole, Gudrun nie było; nie zwlekałem chwili, poleciałem jak wiatrak do telefonu. Odebrała Malize, Gudrun już śpi, ale dzwięczałem stanowczo, więc ją obudziła; pytałem, dlaczego nie przyjechała, co znaczy? Źle się czuła, chciała być sama, zmęczona i wyczerpana, położyła się wcześniej spać.

- Sama?

- Sama! jak możesz?

- Mogę to i więcej, nie przyjechałaś, możesz w ogóle nie przyjeżdżać, nie fatyguj się - tak oto poleciałem, powiedziałem żegnaj, jeszcze parę słów bez wahania, wróciłem do domu zimny jak powietrze.

Jakże poczułem się wolny! wolny od niej, od obaw, Berlina, od myśli i obowiązków jutra, wolny od decyzji. Pijany!

Malowanie ach! piękne chłodne uniesienie. A jeszcze - znaleziona w pamięci i wydobyta z szafki butelka Retzina, którą piję. Wizyta dwóch lekko przyprawionych młodych ludzi przy oknie, adzia-badzia, sprzedanie za stówę jeszcze mokrego obrazu; proszę, do czego dochodzi, moje dotknięcie kosztuje setkę! jeszcze malowanie!

Dzień nadszedł bezwzględnie jasny, przysnąłem w drodze między czynnościami. Obudziłem się koło jedenastej, zza okna patrzyła Gudrun. Leżałem poplamiony czernią, w ubraniu, owinięty w koc, niemiłosiernie skacowany. Dostałem aspirynę, głaskany po głowie.

Ból głowy powoli mijał, umyłem się, ogoliłem, ubrałem, tymczasem na materacu Gudrun zapadła się w sobie. Pod ścianą siedziała czarna dziura, przenicowana na wylot, blada i brzydka. Wiesz, zachwycała do dzisiaj, a teraz? straszne!

Wyszliśmy, na Kaiserdam, dla niej pizza, dla mnie sałata, spacer nad jeziorem; nawet miło, przyjaźnie, ale bez pieszczot i pocałunków. Popatrywałem na nią z boku widząc rysy zgrubiałe, ponurą opuchliznę wokół ust, przeraźliwą w twarzy tępotę. Potworni zdawali się inni ludzie. Wróciliśmy późno, szczęśliwie zmęczeni, poszliśmy spać bez pieszczoty; zasnęła, po godzinie czy dwóch ubrałem się - i masz mnie oto. Przejętego niewiedzą. Gdzie moja czułość, miłość i prawda? oddanie i troskliwość? Dziesięć tygodni oczarowania to cała epoka.

Wieje zimny wiatr wiosny, wywiał ze mnie uczucia.

Na ścianach pyszną się potworne, energetyczne i agresywne obrazy ostatniej nocy. Bezczelna, świadoma siebie i trudu istnienia energia. Czyli nie jest źle! Tylko serce uwiera, jakby klatka piersiowa zamknęła je w przestrzeni ciasnej dla śpiewu.

*Przewiany wiatrem wczesnej wiosny, zziębnięty
nie widzę dalszych ciągów.*

*Na drzewach rozwijają się pierwsze listki,
zwinięta w kłębek dziewczyna w moim łóżku
śni bez miłości.*

Jestem zbyt ciasny dla świata.

Chmury.

*Dopiero pojutrze
spodziewam się słońca.
Dzisiaj go nie ma, powtórzę raz jeszcze.*

*Jaka jest odpowiedź
gdy nie ma pytań?*

Nie ma odpowiedzi. Parę dni temu chcieliśmy razem mieszkać, mówiliśmy o wspólnym życiu; dzisiaj, gdy o tym wspomniała, mój dreszcz. Nie ma przebaczenia, jestem wolny do szpiku kości. Chłodny jak moje kości w ziemi odpoczynku.

Trzeba pracować! To mam dla siebie co zrobię dla Ciebie. I paru nam podobnych. Prawda, w obrazach na płótnie jest urok i delikatność, światło medytacyjnych przestrzeni; teraz dominuje tragizm, energia! tyle pociechy.

Nie mogę czytać Silmarilionu, nudne. Pójdę do łóżka, przecież nie boję się Gudrun.

Drugiego kwietnia wieczorem tnę na duże formaty belkę kartonu, którą przydźwigałem ze sklepu.

Dzień? budzimy się o dziesiątej, kochamy przez trzy godziny, Gudrun robi zakupy, ja śniadanie, kochamy się znowu i zasypiamy. Budzę się o piątej cichutko, zostawiam śpiącą, jadę po karton. Budzi się kiedy wracam, idzie na spacer do parku, jadę do Zbyszka, którego znów nie ma; wracam, gdy skaczę z metra, na peronie Gudrun. Uścisk i pocałunek, pojechała do domu.

W pracowni karteczka z komunikatem miłosnym. Gudrun wchodzi przez okno. Zostawiam je zawsze otwarte, jest wiosna, niech się wietrzy; kto kocha może wejść i robić, co chce; śmieję się szcze-

rze, bo każdy berlińczyk dźwiga wielki pęk kluczy ze sobą. Jestem sam, kartony pocięte i zwinięte w rolę - w odwrotną stronę niż na belce, żeby się prostowały.

Jestem sam, chciałbym odwiedzić kogoś, albo zaprosić.

Wtorek, zmęczenie zwiastuje grypę? spałem dwanaście godzin, boli głowa, są dreszcze; piję aspirynę. Trzeba mi coś zrobić, zarobić pieniądze, pojechać do Polski, ach! żeby było mnie stać na wynajęcie pracowni, więcej mi nie trzeba.

Przygniatają mnie stosy nowych obrazów.

Co z moją dziewczyną? teraz poznaję historię; żyła dwa lata z mężczyzną, pierwszą wielką miłością, wyjechała do Berlina wciąż z nadzieją, że potrafią być kiedyś razem; do niego jeździła po naszym spotkaniu; też był w Berlinie, przyjechał na tydzień, ale wyjechał po dniu; były jakieś strasznoty.

Czy zazdrośny? zapewne, zapewne, ale, z drugiej strony, wszystkie związki śmiertelne, a ja - desperado. Piję drugą aspirynę i idę do parku; niechże mnie zachwyci!

*Zrodzony ku prawdzie i śmierci
idę przez park,*

*wśród dźwięków gałęzi i ptaków
nie omijam niczego,*

*nic
zatrzymuje się przy mnie,
przeze mnie
nic podąża ku tobie.*

*Czy widzisz,
jaki beznadziejnie prawdziwy dziś jestem?*

Patrz!

*nic
mnie nie zatrzyma,
przemienię!*

Taki oto wiersz na park i wtorek.

No i dobrze! Dzięki życiu, że jestem śmiertelny! Czyniąc Przekazem - świat odziera mnie ze złudzeń do gołych kości. Dziwnie było w parku, boleśnie. To ja byłem parkiem rozległym i spokojnym, ze zdumieniem patrzyłem na zgorączkowanego i płaczącego siebie, biegnącego w tęsknocie bez celu i długich alejach. Patrzyłem w obojętności czulej i troskliwej, bez serca.

Znowu noc i powtórka, Gudrun w łóżku, ja czuвам; pisałem list do siostry, teraz do Ciebie. Mieliśmy śmieszny wieczór w żartach, ale gdy się nieco oddalam, popadam w malignę.

- Powiedz, kochasz mnie? - zapytała; spojrzenie w oczy, wołanie: - Nie! nie! nic nie mów! ja o nic nie pytam!

Dziwaczna architektura głowy; wznosiły się jakieś konstrukcje, to z tym, tamto z owym, absurdalna budowa; dach się właśnie wali, pękają ściany.

Nie chcę mieszkać razem. Nie poproszę o rękę. To nie ma sensu, skoro nie chce mieć dzieci; tak mi przychasiało?

Czwarty kwietnia słaby jestem dla wieści ze świata; katastrofa reaktora w Pensylwanii, egzekucja Bhutto, atak przeciwników Amina i Tanzanię na Kampala, zbliżenie Egiptu i Izraela; codziennie słucham dzienników, wiem wszystko na bieżąco, rzadko Ci wspominam; sądzę, że jesteś również w nasłuchu. Dzielimy przecież los, więc także zainteresowania, zapewne.

Wiele snów nocą, śmiesznie wplątują się w jawę, sam zobacz.

Czułem się słabiotko-malutko, Gudrun zapytała, czy ma jechać, czy zostać; powiedziałem, żeby wracała do domu, tak właśnie to formułując, skoro uważa, że dom jest tutaj; nie posłuchała, i dobrze.

Położyłem się obok i szybko zasnąłem. Budzimy się do pieszczot. Chcemy się kochać, ale nie mogę wejść, jest za ciasna, za sucha.

Budzimy się, Gudrun mówi, że przez sen ją szturam, obudziła się podniecona szturaniem, więc może; próbujemy, nic z tego, jest za ciasna, za sucha.

Budzę się naprawdę, mój człon wyprężony jak struna typu maczuga. Gudrun śpi, rozpalona jak piecyk; przytuliłem, zasnąłem.

Aby znaleźć się wraz z nią w Warszawie, na rogu Mokotowskiej i Placu Zbawiciela przydzielono nam na pracownię stary i omszały sklep z wielkimi oknami od ulicy; oglądam, kombinuję, co zrobić, to może być piękne miejsce. Nie pamiętam, co jest na rogu na jawie.

Wpadł na pół godziny serdeczny przyjaciel Michael, rozmawialiśmy - z jego inicjatywy - o wystawie już w przyszłym miesiącu.

Dziś rano, gdy poszła do pracy, zasnąłem raz jeszcze i śniłem w Polsce nadzwyczajne party, wiele znajomych i Wanda gwiazda wieczoru, piękna i w pełnym rozkwicie z Sebastiankiem na ręku; za nią pochylony usłużnie Stasiak kolega dzieciństwa, kierowca jej długiego czarnego auta. Dobrze jej życzę, pewnie. Pozwól, że przerwę list, aby napisać list do niej.

Prawda, mam wóz Petry, zawiozłem więc koty i Rotraut do zaprzyjaźnionej komuny; Martina, Michael, Ewa i inni, ciekawe piętro, życzliwi ludzie; mieszkają i pracują razem jako komuna psychoterapeutyczna; bardzo nowe, dziwne, egzotyczne. Koty zostaną tu na okres jej nieobecności, żegna się z nimi wzruszona.

Jedziemy do Zielonego Palca pogadać przed jej odlotem do Kenii i napić piwa; leci z Rony; ciekawe, jak on, ciemnoskóry amerykańczyk, poczuje się w czarnej Afryce; Rotraut jest cała w nerwach; ma być jego tarczą?

Daje mi japoński olejek z mięty: dwie krople na pół szklanki ciepłej wody małymi łykami; mój migrenowy ból głowy się rozwiął.

Gudrun dzisiaj nie przyszła, odpoczywamy na luzie. Napiszę jeszcze list do rodziców.

*W pachnącej kwietniem przestrzeni
kraczą wrony lecące nad domem
od niepamiętnych świtów.*

*Moje nie-moje ciało przy oknie,
w dole, aż po horyzont,
moje, nie-moje miasto.*

W przestrzeni, którą jestem.

Wiersz zapisany przed rokiem na Reymonta, tam miałem widoki! Dzisiaj też kwiecień. Sam widzisz, Przyjacielu, list staje się prywatny, powątpiewam w literackość pisania w tym sensie, że nie wyobrażam sobie publikacji w Polsce. Jeszcze parę tygodni cierpliwości, a skończę pisanie do Ciebie.

Dzisiaj mi dobrze, że Gudrun gdzieś tam, w Berlinie; kocham i nie kocham zarazem. W niedzielę rano po owej wariackiej rozmowie telefonicznej przyniosła kopertę, zaadresowaną do mnie zamasztyłym pismem.

Otworzyłem dopiero, kiedy już zasnęła; ach, gwoli wyjaśnienia, słowa 'wszystko lub nic' napisałem na drzwiach, gupi, już znowu zamalowałem, ale pod farbą czuwają. Treść listu:

"Wszystko lub nic; nie jestem wprawdzie wszystkim, ale też absolutnie nie jestem niczym. Zraniłeś mnie, mam ranę w piersi, ale widzisz mnie, jak ja Ciebie - jestem Twoją kobietą, chcesz tego, czy nie.

Jest to raz pierwszy, że nazywam się kobietą mężczyzny. Wieś, taka jest moja miłość. Weź ją. Życzę Ci, abys był ze mną. Gudrun."

Miła sarenko, kurtyzано rokoko, kocham cię przecież, ale porzucę, niewątpliwie, dla innej kobiety, gotowej ze mną dzielić te wariactwa, tworzyć dom i życie.

Czwartego spałem krótko. Zrobiłem pranie w misce, a nie u Petry, jak zamierzałem, wczorajsza wizyta nastawiła mnie niechętnie do Zbyszka; zostawili mu mieszkanie w dobrym stanie, Petra to brylantowa czystość, a zastaję tam śmierdzącą wibrację kaca i niemocy; aż dziw bierze, że w parę dni można tak zapuścić dom.

Powiesiłem pranie na sznurku, pojechałem do galerii, nosiłem, wozilem i nosiłem znowu, zostały płótna największe; czterdzieści ob-

razów w domu. Krzesło, po nim na regał, ustawiłem wszystkie wysoko. Dziwnie zasnąłem. Poleżałem w łóżku, poszedłem na pocztę wysłać listy. Przyjechałem na Savigny, zjadłem sałatę po grecku, piję kawę i piszę. Od paru dni ani obrazka! Malowałem wprawdzie przedwczoraj i wczoraj, ale poszła w strzępy słabizna! Czyżby okres twórczy się kończył, na zasadzie, że ile można? Właśnie teraz, gdy nowa belka kartonu i sporo szarych i złotych kartonów?

Gudrun zapewne nie przyjdzie dzisiaj, musi się czasem wypaść; Rotraut jutro jedzie do Holandii, pojutrze leci dalej. Przyniosła mi właśnie klucze od mieszkania, mam je opalać ze względu na kwiaty i rośliny; bardzo mnie to urzęda, wrzucę bieliznę pościelową do jej automatu.

Czy bzdury tu piszę?

Co Cię obchodzi moje pranie, ziewanie, ból głowy i sraczka? czy w ogóle mam coś do pisania? Zdaje mi się, owszem, początki Listu interesujące, działa się więcej, oczekiwałem gruntownych zmian w życiu. Widzisz, jakie nastąpiły. Już nie podbijam świata, odbijam ślad mego istnienia w kolorze. Czarnym, bo Berlin. Nie czuję się źle; listy, które pisałem do rodziców, Wandy i siostry tryskają zuchwałą radością - tu jednak, do Ciebie, zdaję się sobie spiczniały.

Poszedłem do toalety, żeby się zdrowo wysrać, i mnie wzięło natchnęło. Pojadę stąd do Blebtreue, kupię kawałek haszu, tak dawno już nie paliłem, może przełamie niemoc twórczą; a czuję, że nie powinienem pić wina.

Zaraz to zrobię, kawa się kończy, dla Ciebie nie mam inwencji. Ciekawe, porzuciłem ów trip płomienny z Holendrem, tyle się w głowie kłębiło; pewnie się ukoilo, nie chce mi się wracać. Ciekawe, czy zastanę w domu Gudrun; coś mi się widzi, że nie; nikt nie wejdzie przez okno.

O ósmej w domu czuję gwałtowny przyptyw miłości, idę do kiosku i dzwonię, nie ma nikogo. Po maleńkim joincie stoned jak trzeba; kupiłem za dwadzieścia kawałek marokana, ździebko afgana.

Był tu Karuna cejlończyk; osiem lat w Londynie, studia dziennikarskie i ekonomiczne, doktorat właśnie w Berlinie; gada jak kataryna ale rozsądnie; pochodzi z rodziny buddyjskiej, uważa się za ateistę; ma

sensowne i bliskie moim poglądy społeczne o futurystycznym zacięciu; lat 50 a zdaję się młody; 15-letnia córeczka.

Poszedł.

Siąpił deszczyk drobny, lecz się wypogodziło; połówka księżycy srebrzy się na niebie; jestem zakochany w kobiecie, niech będzie to Gudrun lub inna, i tak kocham jedną.

Totalna przebudowa świata.

W nastroju zuchwałym i modlitewnym mówiłem:

- Świecie, który jesteś, dopomóż! - kreśląc dłonią czule bezczelnie na bristolu formy lotne i błyskawiczne, mocno osadzone w wieczności.

Czerń z ultramaryną. Czerń z głęboką rembrandtowską zielenią.

Ułożyłem papiery na podłodze do schnięcia, przygotowałem nowe farby w ciszy i pokoju. Chwila odpoczynku.

Zanurzam dłoń w farbie, w momencie uderzenia zamykam oczy. Wyłączam światło, przecież obraz powstaje szybciej, niż oko może zobaczyć; świeca za mną na stoliczku wystarczy.

Pracuję w ciemności, zanurzam dłoń w farbie a siebie w wibracji, którą jestem; uderzam w karton, melodię, stan tęsknoty; śpiewając, pokrzykując, mówiąc wiersze, płosząc to wszystko ze mnie na zawsze, amen.

Kompletne wyczerpanie, wielki strumień energii. Kładę się na materacu, mięśnie drgają, jakby do niedawna krew do nich nie dochodziła. Odpocznę, zasnę, obrazki wyschną, nie ma jak chodzić, są wszędzie.

Czym jest moje malowanie?

*Czasem radością,
czasem tęsknotą,
czasem bólem,
czasem zachwytem,
czasem gniewem,
czasem modlitwą,*

*czasem natchnieniem,
czasem melodią,
czasem światłem,
czasem bytem,
czasem wściekłością,
czasem przywołaniem,
czasem wspomnieniem,
czasem marzeniem,*

*czasem
jest czasem -
i drogą dalej.*

Chyba odpocząłem, także przy pomocy powyższego Credo, ale obrazki mokre, teraz widać, jak nie mam co robić! może pójde na spacer albo pomedytuję.

Siedziałem w półłotosie dobrą godzinę przy całkowicie otwartym oknie; w powolnym głębokim oddychaniu rozgrzałem ciało, rozluźniłem mięśnie; dobrze mi to zrobiło. Obrazki już suche, włożone pod teczkę, żeby się prostowały; teczka tak ciężka, że nie mogę jej podnieść, tylko przesuwam.

Nocą w łóżku notuję, że będzie czas na kolory, których nigdy nie lubiłem: szarości, brunatności i błota.

Miło zaczął się piątek piątego kwietnia; pierwszy raz tej wiosny zakupy na markecie; zmieniłem wystawę na moich ścianach, karmiłem przylatujące na okno gołębie. Podeszła Ewa do okna na rozmowę; uśmiechnąłem się do dziewczyny przechodzącej ulicą, podeszła do nas uroczą, również Ewa, uczy się w szkole alternatywnej, pracuje w Kastanii, ale wina nie pije, reaguje alergicznie na wszelki alkohol; więc stuk szklaneczką do pierwszej Ewy; podszedł Peter, chłopak drugiej i student prawa; nie lubią ich sąsiedzi za wieszane na ścianach i drzwiach plakaty proletariackie.

Poszedłem do parku, po powrocie zjadłem dwie pajdy chleba z

serem i miodem. Szejk Saadi, wielki mistyk z Shiraz w Persji, mówi o żołądku:

*“Dwie jego części winny być wypełnione
czystym i prostym pożywieniem,
jedna część świeżą wodą,
a czwarta część winna zostać pusta,
gotowa na boskie światło.”*

Napiłem się więc kawy, zrobiłem skręta, pociąłem kartony. Wieczorem piszę w oknie szeroko otwartym; Przyjacielu, zauważasz? nie ma żadnej zimy! Podłoga zasłana mokrymi obrazkami. Użyłem bieli, czerni i jasnego fioletu, który zrobiłem z błękitu turkusowego, bengalskiego rózu i bieli. Przy świetle świecy i rozproszonym z ulicy. Muzyka Haydna.

Dziś w pełnej koncentracji na stanach uczuciowych tęsknoty, łaknienia, czułości, kojarzonych z różnymi doświadczeniami życia; sięgałem w siebie, stawałem się stanem, i dotykałem papieru. Dobra koncentracja, gdy dłoń miesza farby w misce i ociepla je sobą.

Taka jesienno-wiosenna pogoda, lada chwila może zacząć padać. Gudrun nie przyszła, nie mam siły dzwonić, siedzę przy świecy w kożuszku, wokoło leżą obrazy, które potem będę oglądał. Tyle przyjaźni ze światem.

Gudrun mogła wyjechać do Münster albo Rzymu o którym marzy, a w takiej chwili, gdy drzę od przepływu energii, chciałbym wtulić się w piersi, zanurzyć w mrok miłosny rozświetlany przez dotyk, dreszcz lotny i wieczny. Kocham dziś wszystkie kobiety, które kochałem w życiu; wracały do mnie w ciepłe ludzkie. Nieobliczalne miejsca, łowy, księżycy i gwiazdy, obrazy, twarze, wonie, prześcieradła, dywany, pnie drzew, sytuacje i śmiechy, wszystko, co towarzyszy uściskom wróciło, abym je wzmacnił, skierował na papier.

Kocham kobietę, gdzie ona dzisiaj i która? jak znaleźć ją w mroku Berlina, gdzie pójść, aby spotkać?

We wczesnym poranku farba jasnozielona i czarna, obok żółta z bielą; dziesiątek arkuszy. Wcale nie szalony, tylko trochę gorączki.

Znów cisza i skupienie, lampa w oknie i reflektory oświetlają stół, pali się świeca, pachnie trociczka. Pracowałem lewą ręką, ko-

rzystny wpływ na balans ciała; nawet charakter pisma się zmienił.

W medytacji przed malowaniem widziałem w ciemności jasny punkt; zbliżał się i przemieniał w kontury ludzkiej sylwetki, powielającej się tęczo w przestrzeni, prześwieclanej od góry. To niemożliwe do namalowania.

Byłem dobrym malarzem, powiem Ci patrząc na wiszące po lewej Linie wznoszenia i Galaktykę, która jeszcze nie ukończona i drażni, wszyscy ją lubią, a jeszcze tyle roboty. Wyrażałem przestrzeń i ruch, czyli czas. Teraz wyrażam przestrzeń mikroczasu, eksplozje energetyczne mocne i wolne. Tu byt dotyka niebytu w zetknięciu dłoni i kartki. Przeżycie z natury miłosne - płachta papieru jest goła, gotowa jak kobieta, zawsze może. Przeżycie poznawcze - dotknięcie tajemnicy. Tak, i jeszcze inaczej; chyba się przeinaczę!

'Wewnątrz siebie człowiek może znaleźć i osiągnąć wszystko. To, co osiągnie, zależy od tego, jak szuka, i czego szuka.' Ouspensky.

O drugiej nocy przyszedł Michael, zaraz też Ewa; wydarzyła się wielka bitwa w języku niemieckim, czułem tylko rozmiar, znaczenia nieznanne. Nie było kiedy spać! Kiedy wyszli, malowałem jeszcze, o ósmej rano przyszedłem na górę, podałem wodę roślinom, wziąłem kąpiel, po czym bezczelnie władowałem się do łóżka Rotraut - dobrze, że pod jej nieobecność; tu jest czysto i pięknie.

Z soboty na niedzielę o wpół do trzeciej w Zielonym; zostałem Gudrun śpiącą i przyjechałem na piwo, moczę wargi w pianie, żeby ochłonać, nie bluzgać przekleństwami z za zagrody zębów.

Zadzwoiłem dziś do niej.

- O, wreszcie się doczekałam telefonu! - przyjechała, padliśmy sobie w objęcia, zaraz też na materac. Nie wiem, co grane, moja miła leci strasznym wariactwem; ja zachowuję się jak król? nie może tego znieść! król śmierci? Skąd tyle agresji i nienawiści w słodkiej miłości?

Puma! tygryś! Skoczy na mój grzbiet i przetrąci kręgosłup uderzeniem łap! Lubię jej agresywność i pasję, działa jak ciąg elektrostatycznych ładunków drażniących podbrzusze, ale dzisiaj się zdaje, jakbym nie był na właściwym miejscu będąc między jej udami. Jest

zachwycona, kiedy wchodzę, kiedy się otwiera; zaraz też krzyczy: - Ale chcę być zamknięta! - przeczy sobie, świruje w giętkie meble.

Oczywiście, agresja rośnie na miłosnym podglebiu; kochanie się uspokaja ją, usypia; dla mnie ten uścisk zbyt mocny i ciasny, moje posiadłości zbyt małe, aby go pomieścić.

A co? miałem zostać sam? patrzeć w okno, nie mogąc zasnąć?

W Zielonym Palcu gasną światła, to i dobrze, bo cóż Ci pisać? ale spać się nie chce! Właściwie kochamy się chwilami, a te nie zawsze trafiają na właściwe chwile. Tu zamykają, żegnaj.

Pomyłka, Przyjacielu, nie zamykali, raczej otworzyli, bo wszedł Michael z liczną kompanią, poznałem George i piękną żonę Ritę, jej uroczą siostrę Dorothy, która zaraz kręciła wielkiego jointa, jeszcze Arno i Mathiew. Zamówiłem więc drugie piwo, Michael postawił wszystkim wódeczkę, George jedną whisky i drugą, w wesolej kompanii pięknie mija noc, i tyle opowieści! Nad ranem jeszcze Bacardi z Colą.

Ledwo znalazłem drogę do samochodu, który podczas jazdy kołysze się jak jacht na wzburzonym niebie; dobrze zna drogę do domu, żadna zataczająca się ulica nie wyprowadzi go w pole!

Czyli wróciłem rano, pamiętam, że w objęcia; zbudziło mnie głaskanie po dłoni; dziesiąta, Gudrun gotowa do drogi; zerwałem się momentalnie w lekkim kacu, Gudrun zrobiła śniadanie; pojechaliliśmy do Krumme Lanke w cudne okolice.

Spacer do jeziora to dobre parę kilometrów przez lasy i łąki, wygłupiałem się jak można, siebie przerosłem w żartach i śmiechach. W drodze powrotnej spowolnienie rytmów i odpoczynek, godzina na leśnym wzgórzu, blisko siebie, patrząc w pejzaż bez słów.

Wracamy do jej domu, bierzemy ciepłą kąpiel, kochając się w niej zaciekle, mimo, że kwadrans wcześniej, gdy żartowałem na temat rżniętki, usłyszałem stanowcze i zimne:

- Nie dziś!

Kiedy odpoczywamy w łóżku, Gudrun wyjaśnia niektóre zachowania przy pomocy poprzedniej miłości; okrutnie odpychała od

siebie mężczyzną, bowiem nic z kochania nie miała; nie miewała orgazmu, biedactwo! co? ona, co ledwie ma czas, żeby odzipnąć między jednym a następnym? Spostrzega ze zdziwieniem, że jej stereotypowy odruch manifestuje się wobec mnie.

Wyjaśnienie rozsądne, miłość to także samopoznanie, prawda?

Kolejna miłość wspaniała; miła roztapia się w szczęściu i otwarcu; jedna noga na lewej ścianie, druga na prawej, parę metrów bieżących otwarcia!

Szybki posiłek, Gudrun śpieszy na koncert Marka i Wacka, dostała bilet w prezencie; ja wychodzę również, chcę jechać do domu; jej się wydaje, że uciekam z mieszkania.

Lubię wracać do domu, dobrze tu pachnie teraz, jak w ogrodzie, kiedy nie śmierdzi. Napaliłem w piecu, naparzyłem herbaty i ledwo zacząłem pisać, a Gudrun już z powrotem; zażenowana koncertem; oczekiwała polskości, polskiej muzyki, a zobaczyła spektakl burżujski; rozmowa nt. czemu nie lubię jej odwiedzać, dlaczego musi wciąż do mnie; wyjaśniam, że lubię być między obrazami, mogę malować, gdy zechcę, a kiedy nie maluję to patrzę, wyciągam wnioski, poznaję przebiegi, słowem, maluję w intuicji. Zmęczenie, wśród pieszczot zasypiamy w sen dwanaście godzin.

Budzimy się do leniwego miłowanie, potem śniadanie, i gra miłośna w całej intensywności, wyzwalająca - z kogo to? pytam! - mordercze instynkty; drapiemy się do krwi; omal jej nie pobiłem, prowokowała do tego. Jako tako wracamy do stanu przyjaznego zawieszenia - ale jednak broni! ostrzegam, nie zamierzam brać udziału w grach nienawiści; omal znów nie mówiłem, żeby poszła, ale i tak nie posłucha.

Biedna sarenka, najbardziej ją kocham, gdy śpi.

Może po prostu spotykać się ze dwa trzy razy w tygodniu, i wtedy klaskać w spazmatycznych wzlotach i uściskach? Wiesz, akt erotyczny przedłuża się na całe godziny, mogę to robić jak ona, do znużenia mięśni. Różnice w akcji są znaczne, ona się pławi w orgazmach, ja kulminację mam rozsmarowaną w czasie, w sensie, że

rozkoszny jest ruch; nie robię wytrysku, on niewiele daje, jest, jak dokładnie to brzmi w polskim slangu, spuszczeniem się. A tak? energia nie przemija, mogę znowu zawsze, energia się wzmacnia.

Dlaczego nie krzyczę, nie gdczę i nie wołam w stosunku, czy nawet orgazmie? Pytają mnie wszystkie. Bowiem nie przeżywam szczególnych uniesień! to bardzo przyjemne kiedy jest przyjemne, ale kosmiczne przeżycie? jedność przedustawna, ekstaza? Owszem, z literatury wiem, o czym mowa. Ale w orgazmie nie doznaję wszystkiego, ono jest zawsze i wszędzie.

Jest jednak szesnasta, pora iść do sklepu po brykiety, zakupy. Czy się przeżywa, czy nie, dzień jak codzień, we mgle.

Północ; sklep z węglem był zamknięty, więc zakupy papiernicze, dwie role bristolu i dziesięć wielkich czarnych arkuszy. Pranie w maszynie Rotraut, palenie w piecu na górze, po czym sałata z połówką kurczaka w nagłej ochocie na padlinę. Niebo nocami jest czyste jak dziś i gwiazdziste, jedynie dnie są pochmurne, chmury zjawiają się około południa; po śnieżnej zimie wiele wilgoci w powietrzu. Słyszę w radio, że w Polsce straszne powodzie; serce się ściska, po strasznej zimie i to!

Sprawa do omówienia! z prawa i lewa mówi się z pretensjami, że nie chodzę po galeriach, nie robię wystaw. A może ja nie chcę tu wystawiać, tylko spierdalać?

Byłem na górze w poszukiwaniu papierosa, bo strasznie zachciało się palić, naiwny, u Rotraut szukam papierosa! Ach, pójde do automatu zanim jeszcze zaparzę kawę. Nie, nie mam drobnych, poprzestanę na kawie. Polecę Ci fajny przepis, chociaż nie bardzo zdrowy. Ucierasż żółtko z cukrem lub miodem na kogi-el-mogiel, dodajesz kawę neska, zalewasz wrzącym mlekiem. Mmm, piłbym cię jeszcze!

A, żeby wrócić do kobiety, wyglądam na kawał drania. Patrzę w zapiski ostatnich tygodni do Ciebie, lepiej rozumiem agresywność Gudrun. Jestem czuły, zmienny, chybotliwy brutal, to może rozstrajać, ale - rzucać się z pazurami? Owszem, doświadczenie to wszystko, mam iść w nim do końca? A jeśli końca nie ma, początku nie było? Ma we mnie, co w sobie, i więcej; zwłaszcza tego 'więcej' nie znosi,

bowiem to właśnie kocha. Ma we mnie lustro; nawet jeśli ono odmawia odbijania w twarz.

Wiesz, jakim dziwne zwierzę, niech więc się zwierzę.

Poczułem w prawej dłoni, a trzeba Ci wiedzieć o wczesnym karate, i świecę gaszę zwykle strzepnięciem palców w pobliżu płomienia, i maluję palcami; dłoń precyzyjna; poczułem w niej dreszcz, w sobie obraz - rzut palcami obracającej się dłoni i rozorany dotknięciem policzek Gudrun.

Może jest przekaz w zdarzeniu / widzeniu? Przychodzi mi do myśli, że myślę; będąc stworzeniem emocjonalnym, nie idę za emocją w akt, myślę, potem działam; może w braku uderzenia przekaz?

Pozwolić się zdarzać? Nie przepuszczać przez siebie czujnych obrazów tego, co wydarzyć się może, lecz zdarzać się, pozwalać się zdarzać innym i sobie? Pytania przypominają wszakże, że odmawiam uczestnictwa w grach nienawiści!

A gdybym sobie pozwolił? Gdybym uderzył Gudrun, zranił policzek? Przecież potrzebuje tego! Przecież piszcziała z radości, że drapiemy się do krwi.

- Jak koty! Jak koty! - krzyczała; ona, która panicznie się kotów boi. Konsekwencje pieszczot chcą nas w posiadanie? Sarenko, po jakich to gąszczach skaczemy? Czyżby ten mały drań o ciele dzikiego psa, przetrącający grzbiet sarence - to ja? Trudno krzyknąć z zachwytu.

*Trudno bez przerwy krzyknąć z zachwytu.
Dlatego cierpię? Dlatego doznaję?*

*Chmury płyną po jasnym niebie, księżyc pełny,
mrok wiosny wilgotny i chłodny.
Trudno w nim krzyknąć, śmiać się, płakać.*

Jeszcze potnę kartony na mniejsze, przygotuję na wszelki wypadek, wypadek wszelki. Jeszcze parę tygodni będę kontynuował pisanie do Ciebie, którego nazywam Przyjaciem tak słusznie; kogo innego mogę zwać tym imieniem? kto inny ma czas i cierpliwość na moje wzloty, upadki? w miarę upływu czasu samotność wzrasta, przestajesz być ocaleniem. Co z Tobą?

Wtorek cudnie słoneczny leżałem w słońcu, hobby zawsze nowe. Upalne dzisiaj! Jem kolację, pojedę do Gudrun. Jedzie rano do Münster; trzeba się ładnie przywitać / pożegnać.

Środa upalna i spędzona w słońcu. Gudrun w podróży, tym razem do rodziny? wczoraj przeziębła gardło, głosu nie mogła dobyć. Wydobrzała? pojechała chora? Ciekawe, czy jej do twarzy w rozstaniu.

A może tęsknię do nowej miłości? do fantastyki zjawiska, którym jest zetknięcie, pocałunek, wnikanie wgłąb i lot wzwyż.

Wieczór wibruje z pełnią księżyca na niebie. Zrobiłem serię lotnych form w jasnych zieleniach, szarościach i czerniach; schną, nie lubią mnie, na gardle dotyk brzytwy Ockhama, sam w sobie jestem absurdalny. Nie znasz brzytwy? Dźwięczy: nie mnożyć bytów ponad miarę!

*Nie wiem,
skąd wyruszyłem,
dokąd śpieszę.*

*Pełnia księżyca
mnie oświeca.*

Szarości, błękity, róże.

- Boże dopomóż! - tak się pozdrawiają, jak chłopcy na polu.
- Szczęść Boże - brzmi odpowiedź.

Poszedłem na górę, dzwoniłem do Berta, zapewnił, że po Wielkanocy załatwi wóz do transportu dużych płócien z galerii. Jest między nami skrępowanie; Michael twierdzi, że Urząd Sztuki zawsze

kupuje obraz od wystawianego malarza, oto, co Berta martwi; nie dość, że nic nie kupił, to jeszcze opłata galerii wzrosła trzykrotnie. Co mnie krępuje? no, dobry jesteś! Mnie krępuje wszystko! Obiecuje kontakty wystawiennicze w Niemczech zachodnich.

Odłożyłem słuchawkę, zadzwoniła Gudrun już z Münster, pod tytułem: wszystkiego ci najlepszego, bo święta. Głos jej wrócił. Nie lubię jej dziś okropnie!

Gdy popołudniem stałem w oknie popijając kawę małymi łykami podeszła do mnie Ewa szlochając, bo Michael, bo Kristina, bo ona musi stąd jechać na święta do Francji. Wie teraz, że związek Michaela z Kristiną trwa dwa lata od czasu, gdy odebrał jej cnotę. Mogłaby darować mu skok w bok, ale coś takiego!

Delikatna, urocza, zakochana jest Ewa, ale Kristine to dziewczyna piec! Dobrze, odwiozę o siódmej rano na check-point, dobrze, nie powiem Michaelowi słowa. Smutne te sprawy, Przyjacielu, w niebie nie ma aniołów, tylko wiatr wieje, strzępi puste skrzydła.

Złożyłem suche obrazy do kupy, nie będę malował, siedzę zmartwiały, nieśmiały.

Przebiegłem ulicami szukając, czego nie zgubiłem, poruszając się na fali wstrętu i nienawiści do świata, który mnie otacza. W Sztokholmie czy Warszawie też nie było lekko, ale jakże inaczej, praca była wyzwoleniem, radością; w męce i trudzie widziałem światło; teraz żyję bez życia, bez kolorów - bo czerń to śmierć kolorów! Te tłuste mordy wokoło, ten terror widzialnego. Wróciłem do pracowni i zacząłem malować jak kto głupi, ponura seria z szarości i zieleni - gdzie mi tam dzisiaj do różu, błękitu! Obrazy ohydne, bydlęca energia nienawiści, widzę w nich to, czego nigdy bym sobie nie życzył oglądać. Malowałem lewicą, prawej dłoni nie mogę włożyć do farby, jest podrapana pazurami.

Gorąca jest kawa, a zeszyt otwarty; hej Gudrun, nienawidzę, nie otworzę cię nigdy, niech kto inny na tobie tyra! Szczupłątko rozkoszne, niech diabli wbiją cię na rożen, smażą w śmiechu wieczystym!

Piszę już w łóżku; wstałem, żeby poskładać na kupę obrazy, ale jeszcze mokre; za trzy godziny obudzi mnie Ewa; śpię jak na ulicy, otwarte okna, szum aut, okrzyki nocy.

W czwartek rano odwiozłem Ewę, przyjechałem do Grunewald; siedzę w porannym słońcu nad jeziorem, mam całą godzinę, polska misja otwiera się o dziewiątej. Zostawiłem wóz na ulicy, poszedłem przed siebie w aleje; to piękna dzielnica, ogrody, wille, lasy i jeziora. Czy ludzie tutejsi wiedzą o Kreuzbergu, który parę kilometrów dalej? nigdy tam nie bywają, bo po co? cóż mają tam do roboty?

Po prawej most nad przesmykiem między jeziorami. Trawa już oschła z rosy tu, gdzie siedzę i piszę do Ciebie. Słyszę nagle głębokie stęknienie, zupełnie nowy odgłos; spoglądam, a po moście spaceruje kawalkada słońi; jest też parę wielkich aut; z tej strony mostu wielki wóz ma od tyłu dostawiony ku ulicy pomost, ludzie w oranżowych kombinezonach wyprowadzają tyłem młodego, nieco mniejszego słońia. Oczom się wierzy przecież, prawda? Na środku mostu wielki słoń robi wielką kupę, po chwili ciężki ciepły zapach dociera do mych nozdrzy, zupełnie nowy; przypomina nieco końsko-krowskie łajno, przecież to wegetarianie.

Teraz się wszystko uda w misji; to dobry omen, tak potrzebny, bo paszport był ważny do wczoraj! Gudrun medytuje o tej porze w Münster; mówiła o centrum medytacji i czasie od siódmej do dziewiątej; posyłam jej parę choler serdecznych na mantrę.

Czwartek się kończy, piątek zaczyna od imienia Dorothy; opowieści będą o nim krążyły cały dzień, jak się wyśpię; jest już trzecia, ja wstawiony, bo tyle szampana. W pierwszą wiosenną pełnię dotknąłem ustami kącika ust Dorothy zalotnie i cudnie nadstawionego mi przez resztę; jej taniec zwiny i swobodny, bladeść zwiastująca długą do mnie tęsknotę! czemu właściwie ją zostawiłem beze mnie w tę noc? by mieć teraz tę chwilę nostalgiczną z Tobą, gdy ona tam przeczuwa swój szloch i szczęśny spazm? Gdybym się starał, albo - gdybym nie potrzebował tej nostalgicznej chwili - mogła się przytulać zamiast do siostry do mego ramienia, brzucha, uniesienia. Dobranoc, pośpię teraz, sam!

Wielkopiątkowy wieczór zastaje mnie na balkonie Rotraut. Znów cały dzień w słońcu, daję sobie leniwe bezmyślne wakacje, niezdatny do malowania. Teraz wraca nostalgia tęsknica nie wiadomo o czym i do kogo. Nie mam nastroju do malowania, trzeba dzień święty święcić. Jestem przy świecy, głośno leci z płyty japońska muzyka Zen, czysta i głęboka jak niebo wysoko, nakłuwane pierwszymi gwiazdami.

Więc 1979 lat temu krzyżowano Jezusa. Dziwne, dziwnie stałe są obyczaje na tej planecie. Umarł jak człowiek, po prostu, zamęczony przez bliźnich.

Lepiej późno niż wcale odwiedziłem wczoraj polską misję; pan Tadeusz attache kulturalny mówił mi możliwości wystawiennicze; wziąłem formularze paszportowe, przyniosę wypełnione we wtorek.

Michael w ostatniej chwili zaprosił mnie jednak na otwarcie nowej Cafe-galerii, narzekając, że miał tyle pracy, a ja mu nic nie pomogłem; faktycznie robił sam i w ukryciu. Wystawia Uwe delikatne kulturalne obrazki, łagodność i rzewność, burżujska sztuka; on miły człowiek, a jego dziewczyna Michaela to wulkan; ciekawa rozmowa o miłości i sztuce; maluje duże obrazy, czerwień i miłość, czerń i nienawiść, zaprasza mnie do pracowni; ma sto metrów kwadratowych, rozumiem te formaty!

Wielu wszystkich znajomych; bawiłem się dobrze, także zachowaniem Michaela, który wystawianemu artyście kazał podać szampana dopiero po ostrej i głośnej interwencji Michaeli. Napiszę Ci, bo zabawne, scena jak z filmu, żarł z podobnymi do siebie specjalnymi gośćmi kurczaki i świnie, pękały szampany, leciały grube jointy; kiedy zapytałem, czemu się pali jednostronnie, odparł: - To zupełnie inny stolik! - ale też odebrał jointa Wolfgangowi i podał mnie; pewnie, że po sesji jedzenia, picia, palenia rozluźnił się nieco, i nawet zagadał do Uwe dwa razy. Jest coraz większy i grubszy, a ukryć się chciałby zupełnie; czarne okulary, dłoń z papierosem osłania twarz. Biedny bogaty - pojdziesz, o co chodzi? Tak biedny, że zazdrości mi biedy! wolności, sztuki, braku pieniędzy. Ma za złe innym, że inni; pomieszanie z poplątaniem. Przedstawia mnie ludziom wszakże chętnie jako swego przyjaciela artystę.

Dużo z Ritą i George, to były judoka dużej klasy, teraz maluje

mieszkania, tapety i podłogi, bo była z nimi Doris tak urocza, że gotów byłem się kochać. Ale serce dziurawe, kapu kap wszystko przecieka, albo kończy się na zawrocie głowy; oceń sam, co gorsze. Pajacuję? Gdy poznaliśmy się w Zielonym Palcu przed tygodniem, byli wszyscy na tripie lsd, teraz się wyjaśnia; ciekawe, oni tu na tripie piją alkohol!

Wspomnieć Hashima z Iraku, 10 lat w Berlinie, 8-letnia córeczka, młodszy ode mnie, a już szpakowaty, mówi, od nadmiaru przeżyć.

Wieje wiatr, świeca migoce. Dzwoniła Mane po powrocie z Togo, lubię ją, jest dobra. Wielki złoty księżyc, pierwsza wiosenna pełnia; nie powieszę się, to pewne. Mam wino, nie smakuje dziś reńskie, naparzyłem herbatę. Nastawiam płytę z sonatami Bacha na flet. Grzmi w niebie odrzutowiec. Wraca ten moment z galerii, gdy Gudrun miłośnie chwyciła mnie dłońmi za gardło. Dziwna miłość, wielką się zdała, jak wiatr się rozwiła.

Gdyby mieć jedną godzinę ciszy z dala od łoskotu miasta!

Po świętach, które spędzę w słońcu, bo dni idą pogodne, będzie kupa zajęć, misja i paszport, Urząd i transport obrazów, Cafe Einstein spotkanie i Cafe Anselmo. Michael mówił wczoraj, że powinienem zrobić wystawę u niego. Pewnie, jeśli mówi poważnie, trudno się przecież rozeznąć.

Jedenasta, niepokoję się trochę, Petra i Christian mieli dziś wrócić z Maroka, a wciąż ich nie ma.

Wielka sobota to rozjarzony i upojny dzień; o dziewiątej telefon Petry, przysznic szybki, wóz, flaszkę szampana po drodze, opowieści o ciepłych przecie krajach Maroka, pomrukiwania na Zbyszkowe nieporządki, skręt z Christianem albo pięć, jako że szczęśliwi wdechów nie liczą, i jeszcze opowiadania.

Spacer do domu i leniwe popołudnie w słońcu, jak trzeba, ale nerwowy podryg wieczorem i próba malowania, bo zapomniałem o przyrzeczeniu, że stop; klęska i guzik z pętłką; zniszczyłem dziewięć kartonów. Przeglądam zatem całą produkcję, wybieram najlepsze obrazy do pokazania gdzieś w galerii. Trudna praca; reguła, że najwyższej jeden obraz z serii. Wyszło sześćdziesiąt sztuk, gruba teczka, kawał

roboty; więc myślę okolicznościowo, że chciałbym pochodzić po galeriach, pokazać berlińskim manszardom. Dziwne, w Amsterdamie odwiedzałem z teczką wiele galerii, w Sztokholmie znalazłem dobrą galerię przy pierwszym podejściu, w Berlinie się nie fatyguję; a jest przecież parę miejsc, gdzie wystawa może radować. Po świętach.

Wszystko na po świętach. Na dzisiaj - wyznam Ci chętnie, podobają mi się sześćdziesiąt obrazów, każdy inny kolorystycznie, wizyjnie, technicznie, przez wszystkie dźwięczy śmiech wolności.

Przyszedł Lim irlandczyk, przyniósł afgana, że omal nie padłem; prawda, nasza nostalgia z dala od rodzin, opowieści.

O 10-tej wieczorem wdrapałem się na górę, a że fizyczna zapaść i ból głowy, więc siadłem w medytację godzinę czy dwie przy świetle świecy i kadzidle; uspokoilem się, wydobrzałem. Posprzątałem odkurzyłem, przestawiłem niektóre rośliny na balkon, inne w księżycowe światło - niech mają coś z pełni. Nie dostały wody, potrzebują lekkiego przesuszenia w słońcu. Pootwierałem wszystkie okna, jest wietrznie, przestrzennie. Prosto tutaj i jasno, taka dobra wibracja! Czy pani tego domu, gdzieś pod afrykańską pełnią, jest pełna jasności? Zapewne! Czy Gudrun grzeje się w rodzinnym ciepłku, czy może w ramionach tego pana nauczyciela, żeby po doświadczeniach ze mną spróbować raz jeszcze?

O, patrz, jak kiepsko ze mną, wstąpił Michael, jedzie do Cafe-galerii a tam jest Dorothy i złoty księżyc nad nami ewentualnie! Ale ja malutki, dostałem kłonicą afgana między uszy! Nie chcę jechać, żegnaj się z miłością zanim rozbłyśnie.

Powinienem się oczyścić, przepościć, medytować, oddychać; przygotować się do acidu. Pochodzić po galeriach. Moja twórcza epoka lata nie doczeka, być może reszta kartonów długo na akcję poczeka. Teraz zamierzam odpocząć. Chodzić i patrzeć. Robić hatha-jogę w parku i leżeć w słońcu. Pokazać się w galeriach, ewentualnie robić wystawę z Michaeliem.

Za oknem paru chłopców wyje 'pijmy jednym duszkiem' po niemiecku, co podobne jest świadectwom mej bylejakości na kartonach, które zniszczyłem; teraz pośpię, bo trzecia.

Wielka Niedziela nago w słońcu, w muzyce miasta przez cały dzień wchłaniam skórą blask. Wieczorem u Christianów, gdzie Waldi; ależ u nich chłodno! nie chciałem zostać ani z Waldim na kolację jechać; zjadłem kolację u siebie, chłodna noc, szumi Berlin w otwarte okna. Więcej czasu poświęcać sobie, więc pośpię.

Bardzo istotne: jutro jest dziś.

Odkładam na jutro. Dziś - chodzić po galeriach, zrobić głodówkę, przedłużyć paszport - skoro nie ma jutra, skoro tylko w dzisiaj jest szansa na przełamanie czarownego kręgu bylejakości i nędzy. Jakże bym rozkwitł w podróży! Jak długo jeszcze podróż zakotwiczona do alei Zamkowej w Berlinie?

O wystawie z Michaeliem myślę w rezygnacji; maj już za pasem, rozwiały się sny, a dzisiaj list od Moniki z Paryża, gotowa przyjechać we troje z teatrem marionetek! Czy inny projekt u czarnego bossa może wypaść lepiej? Pisałem Ci o jego zachowaniu z wystawianym artystą! Nie szukaj tego, co ciebie nie szuka.

To poniedziałek, dzisiaj wstałem wcześniej, piję herbatę, medytuję w muzyce Zen. Gdy nocą zasypiałem, zadzwonił telefon; podszedłem doń taki senny, gdy skojarzyłem... że nikt z przyjaciół nie dzwoni, to może być Michael, lub Gudrun, nie podniosłem słuchawki.

Nie jestem przyjaźnie usposobiony do bliźnich; do ich wibracji właściwie; wczoraj u Christianów ten chłód i miedzyludzka beznadziejność! sami ludzie, własnoręcznie, stwarzają swój los, mówieniem lub nie-mówieniem, robieniem, lub nie-robieniem.

Jutro jest dziś, innego nie będzie, a skoro świąteczne mam ferie - trzeba je spacerować. Dzień się robi mglisty, nawet pochmurny, nie spędzę go w słońcu, nie szkoda wcale, jest czas wiosny, piękna każda pogoda. Słucham Wiosny Vivaldiego. Zamyślam się, co ja właściwie piszę, pisząc ten list do Ciebie.

Refleksja, że, dzieląc się z Tobą, dzielę się moim życiem z innymi. Jestem artystą, mówisz; ależ znaczy to tyle, co: jestem hutnik, jestem rolnik, jestem ciocia szwaczka; istotne w tych wypowiedziach

jest pierwsze słowo 'jestem'; a to czym jestem, jak jestem - dzielę z Tobą, to wszystko, co posiadam. Jesteśmy razem, jakkolwiek samotnie się złudzi, i życie ze wzlotami i przycupnięciami, bólami i radościami może być dzielone - na tej planecie, zgęstku materii i energii wirującym w przestworzach; wiem, chętnie sięgasz przecuciem i myślą w układ słoneczny, przepastne przestrzenie galaktyki, we wnętrzu życiodajnego kosmosu.

Ale tymczasem Wiosna się skończyła; ocieplę pantofle gazetami, bo są w chujowieńkim stanie, i pójdę w prawdziwą wiosnę, ha ha!

*Pędzi zeschnięte liście zeszloraoczne wiosenny wiatr,
słońce świeci żółtawo w pierwsze pączki,
pachnie donośnie, a wilga
oznajmia swój rewir nad wodą.*

*Dźwięk piły mechanicznej na obrzeżu parku,
tło dźwiękowe miasta spoza szumu wierzb.*

*Biegacze ciężko dudnią na ścieżce, albo śmigają lekko,
matka i córka w granatowych sukienkach, jak dwie
czasowe kopie jednej tajemnicy,
para duża z córeczką,
które z dzieciństwa zostało tylko dziewictwo.*

*Idę tędy dla Ciebie, siebie i dla przekazu
i widzę piękno, dobro, prawdę.
Mógłbym chcieć czegoś więcej?
wybrać inną drogę?*

Wieczorem w domu już po wizycie Petry i Christiana; są opaleni i zdrowo wyglądają jeszcze, a już potykają się w jamy głębokie; ach, sam człowiek robi dołki, w niewiedzy, w którą wpada! Nie ma przebaczenia, styl życia ku zapaści prowadzi; nic tu powiedzieć, ani przekazać nie można, jedne sprawy wynikają z drugich, wszystko jest koherentne i samosprężne.

- Życie jest bez wartości - mówi Petra.

- Dlaczego więc go nie zmienić? jak? radykalnie! nie roić, nie marzyć, zmieniać!

Robi to zresztą Petra, zmienia, uczy się hiszpańskiego, co pozwoli jej zrealizować marzenie o południowych krajach, lecz to jest powolne. Po co te orzeczenia wszakże? wyroki zaciemniają życie. Nie doradzę jej przecież przygody erotycznej z kimś takim jak Christian.

Tymczasem zapadł zmierzch, piszę przy biurku Rotraut; stała mi się znów bliska przez pobywanie tutaj, w domu, który mógł być naszym domem. Nie dla psa kiełbasa, dla wariata wstążka. Młoda pupa widziana po drodze przyprawia mnie o rozstrój jajników, czy jak to się tam nazywa - jej jajników! niepokalany instynkt płodzenia, wiesz przecież, co na przyzbie myśli.

Kwiaty i rośliny tutaj dobrze ze mną mają; wiem wszystko o pochodzeniu i potrzebach, troszczę się miłośnie beztrudnie, jak lubią.

Napisałem list do Kasi w Londynie; szkoda, że nie mam adresu Basi w Paryżu i Ani w Amsterdamie; miałbym do zakomunikowania wiele o wiosennym życiu erotycznym kosów, o tym, jak się motyle motyla, przy biurku Rotraut wypadłoby to czysto i przekonująco.

Wypełniłem kwestionariusze paszportowe, odniosę je rano; wykąpałem się, jem banana.

Zmęczył mnie dzień; mogłem pójść tam i spotkać Dorothy, którą widziałem zaledwie dwa razy, Dorothy, którą raz pocałowałem, Dorothy, która mnie smuci, taka jaka jest, zasmucona, że nie przyszedłem. Życie jest tylko tycie tycie, albo ja punk.

17 kwietnia w chłodzie, pada sobie śnieg; jestem w polskiej misji, papierów tak o to się nie oddaje w okienku; czekam na przyjęcie przez bardzo ważną osobę, piszę na kolanie.

Tłusty wielki pan Przemysław wymyślał jak poddanemu; fakt, powinienem przyjść wcześniej, ale przesadził! uderzał paszportem w stół, krzycząc, że paszport wielokrotny mogę przedłużać tylko w kraju, że dostanę trzydniowy na powrót do Polski - jeszcze zanim wzięł podanie do ręki!

Ty wiesz, czego on nie wie - że nie mam dokąd wracać. Tu jest dziupla pracownia i coś się dzieje twórczego. Tam? gdzie się podzięję ze stertą obrazów i warsztatem? gdzie zamieszkać? u przyjaciół, których w międzyczasie utraciłem?

Jak reagowałem na krzyk? niech gwałt się gwałtem odciska! Ja zacząłem krzyczeć tak głośno, żebym ewentualnie słyszany był w korytarzu albo u sąsiadów; czy to za takie zachowania on dostaje polskie pieniądze, ja tu robię kulturę, a on uprawia terror. Zelżało momentalnie; mam wnieść opłatę - czyli wygrałem sprawę! i wrócić z paszportem raz jeszcze. Jakże to wzburzyło, przyprawiło o ból głowy.

Kos siedzi na gałęzi za oknem; wyśpiewuje swoje mimo chłodu i śniegu. Tak trzymać! Rotraut ma pewnie ciepło w Afryce. A Gudrun? jest w Münster, prawda? ze swym byłym ukochanym? a niech sobie będzie z kim chce jak chce!

Ale nie pojmuję, co się narobiło; kiedy to się stało? kiedy to minęło? gdy zobaczyłem jej brzydotę, jeśli mnie pamięć nie myli.

Pada śnieg; ostatni tydzień były szczęśliwe wakacje, jestem opalony indianin; bodajże odpocząłem, nabrałem energii nie po to przecież, żeby ją wydatkować w spotkaniu z biurokrata.

Wpadł na herbatę Michael i poszliśmy na pizzę; wcale nie jest zachwycony moim ewentualnym wyjazdem; chce zrobić mi wystawy w galerii obok i Cafe-galerii równocześnie; jutro dalsze rozmowy.

Dziwnie mi bez kobiety, chciałbym się chyba sparować.

I smutno; któryś z moich demonów - bo niby dlaczego mam być niepodległy paranoi! - nadaje mi teksty: - Co, z galaktyki jesteś? to my ci, kurwa, pokazemy, skąd, kurwa, jesteś! ty chuju jebany, ty gównu, ty psie! Do budy łachudro, gnoju, głupku! artystą jesteś? łobuzem, kurwa, jesteś, do dupy ci nakopiemy.

Dziwaczne to szalenie; jeszcze żaden demon nie mówił do mnie w liczbie mnogiej!

Rotraut kruszynko droga pozłocista, masz jeszcze parę dni w afrykańskim słońcu, złotniej i rozkwitaj!

A może ja żadnej nie kocham? może te ekstatyczne miłosne wzloty - to tylko pragnienie miłości większej?

Gudrun, jeszcze nie mogę pamiętać cię tkliwie, jeszcze jestem

królem śmierci - śmierci naszej miłości. Nie złamiesz mi kręgosłupa, nie napijesz się krwi; nie pozwolę się dotknąć! precz ze mnie, skorpionie, żabo, tajemnico!

Nie wiedziałem, co począć popołudniem, więc uważnie przejrzałem plony bieżącego roku; pięć setek obrazów - owszem, przeliczyłem, trzeba czymś wariata zająć, żeby mnie nie powiesił.

Nieźle? naprawdę nieźle, są cudne; przy przeglądaniu ogarnia mnie uniesienie - ich energia udziela się, pozwala żyć.

Michael dziś zatroskany o mnie i ciepły, więc zapytałem dlaczego mnie nie lubi.

- Ja ciebie nie lubię? Przecież ja cię kocham!

Wiem, co wiem; nie lubi mego pobywania jako artysta, nie zna mych cierpień, zazdrości śmiechu i piękna chwili, które tak ulotne.

Mam wrażenie, że w efekcie krzyków przedłuży się paszport; zatęskniłem do Polski, chciałbym tam pojechać, zobaczyć przyjaciół, poczytać im wiersze.

Ouspensky tak odróżnia pragnienie i wolę:

"Pragnienie realizujesz, robiąc to, co chcesz. Wolę - gdy możesz robić to, czego nie chcesz."

W moim pokoju od jakiegoś czasu mnóstwo mrówek. Nie wiedziałem, jak je traktować; pędzić? nie pędzić? Próbowałem je namówić na zmianę mieszkania, prosząc sól w miejsca schadzek, aż dzisiaj, widząc je na słoiku z miodem, pomyślałem, starcza miodu dla mnie, starczy dla nas wszystkich; tyżeczkę miodu rozlałem w kuchni; niech się posilą, skoro mają żyć.

Ale nie powinienem robić niczego, co nie jest konieczne!

Wstałem dziś wcześniej, całodzienny kociokwik czyni swoje - nie mogę zasnąć; jest czwarta, przeleżałem w łóżku niepotrzebną godzinę; filiżanka herbaty; siedzę przy piecu. Znalazłem na półce książeczkę o ciekawym tytule 'Leczenie kolorem'; zaczyna się od obserwowania aury; ważne dla mamy i brata, bo oboje mają nadciśnienie: codziennie możliwie często przymykać oczy i wyobrażać sobie, że wdychane przez nos powietrze ma kolor jasnozielony.

Kolory Zodiaku: Aries czerwony, Waga niebieski, Byk zielony, Skorpion głęboka czerwień, Bliźnięta żółty, Strzelec purpura, Rak srebrny, Koziorożec czarny, Lew złoty, Panna brązowy, Ryby fiolet.

18-tego znalazłem długopis ulubiony w pisaniu do Ciebie; dostałem list od mamy z życzeniami i ślicznie miłosny od Gudrun; jednak trochę chorowała; wraca jutro pojutrze.

Co dziś robiłem? wielkie porządki! Najpierw u Rotraut, następnie w moim mieszkaniu, co zajęło kupę czasu, aż łśni! przemebłowałem pracownię, śmiech bierze, materac z lewa na prawo, regał z prawa na lewo, ale jest inaczej, więzień odmienił swój los.

Petra i Christian proszą o pomoc - płatną - w remontowaniu mieszkania w podwórzu, Christian oferuje dwie setki, chcą się przeprowadzić wkrótce.

Piątek po północy w Zielonym Palcu; po kolei od wczoraj: malowałem wraz z Petrą cały dzień mieszkanie i szło nam dobrze; gdy po pracy poszedłem na górę i wziąłem prysznic - zadzwonił telefon; to Gudrun z pytaniem, czy otworzę drzwi; są zamykane o ósmej, takie berlińskie zwyczaje.

Otworzyłem - spojrzałem, oto znów szczęśliwy; Gudrun wróciła piękna, zakochana może jeszcze bardziej. Rodzina, przyjaciele, spacer, medytacja, wizyty - opowiada o wszystkim; a Markos? ach, przecież dotknąłem ją tak głęboko, nie zbliży się żaden mężczyzna. Wróciła do Berlina, czyli, przede wszystkim, do mnie. Wspaniale się kochaliśmy nocą i porankiem.

Więc dzisiejsze malowanie mieszkania szło szybko i sprawnie, w śpiewie radości i tanecznych płasach. Gotowe są wszystkie sufity! Pojechaliśmy na obiad do ich starego mieszkania, ziemniaki z pieczarkami, a ponieważ czułem się jak na budowie - w drodze powrotnej namówiłem panią majster Petrę na zakup pół litra wyborowej - jak remont, to remont! Spowodowałem niechcący zajścia historyczne, historyczne.

Przyszedł Lim ze skrzyżowaniem słynnego afgana, pomaga przy malowaniu, w trakcie sączyjemy wódkę malutkimi łykami. Christianowi trze-

ba maleńko, żeby się zaprawić, zmęczył się, upił i zasnął w fotelu. Petra się wścieka na widok; pracowała intensywnie i dzielnie dzień cały.

O siódmej przyszła Gudrun głodna, wypła kielonek, poszła z Limem na pizzę; wróciła w chwili, gdy uprzątałem już malarski kram. Jesteśmy roześmiani i zakochani, co nie poprawia Petrze humoru, może bardziej spina; widzi szczęście, jest nieszczęśliwa, jakie to wyzwala emocje?

Robota skończona, możemy iść. To ja mam budzić Christiana, ona go dziś nie chce. Budzi się, chce iść do toalety, mylą się kierunki, Petra krzyczy brutalnie, on równie głośno, ona go popycha, on przewraca się na podłogę w toalecie. Podnosi się niezdarnie, bo ma przecież zakłócony zmysł równowagi, sapie, lecz w rękę trzyma wieszak do ubrań duży z trzema hakami, drze się okropnie, wznosząc jak topór do góry; Petra ucieka do kuchni krzycząc. - Polskie gówno! - co także mnie spina. Christian wygląda strasznie. Wchodzę między nich w momencie, gdy Petra pada, usiłując go kopnąć ślizga się, albo przezeń popchnięta; rozdzielam zdecydowanie małżonków; odbieram wieszak Christianowi, który wobec mnie łagodny, żadnej agresji.

Gudrun tu przyszła roziskrzona, jak ona potrafi, w czasie eksplozji schroniła się do drugiego ciemnego pokoju; teraz wydaję stanowcze polecenie, aby natychmiast wzięła stąd Petrę i wyszła. Czyniła to niemal biegiem. Uff.

Christian marudzi chwilę w toalecie, a kiedy wychodzi, gaszę światła, zamykam drzwi, prowadzę go pod ramię do samochodu.

Petra mówiła mi wiele razy, czemu nie chciałem wierzyć, że Christian po napiciu czy napaleniu staje się potwornie agresywny; doświadczam go takim raz pierwszy.

- A ona już nie będzie się na mnie rzucać? - pyta Christian.

- To raczej ty rzuciłeś się na nią.

- Ależ nie - stanowczo zaprzecza - atak nie leży w mojej naturze, ja nienawidzę walki, ja tylko się bronię, kiedy mnie atakują.

Nie oczekujesz ode mnie uwag nt. samozakłamania? to dobrze, nie jestem specjalistą w przedmiocie. Refleksja tylko, że można się okłamywać nic o tym nie wiedząc. Wsiedli do samochodu i odjechali; może jej nie zabije, bo kto go będzie podpierał! Ciężka ludzka sytuacja,

mrok egzystencji, która nie dopuszcza słońca.

Poszliśmy z Gudrun na spacer w aleje, wyciszając vibracje; nie nastraszeni, nie rozbawieni bynajmniej; to było jakoś ludzkie - co przydarzyło się w krainie snu.

Może jest pora na spisanie ich historii? krótko, prywatnie, i tylko dla Ciebie? Ja, widzę, nie posiadam prywatności; siedzę w pubie, w moim łóżku śpi miłość, zmęczona dniem, Kochaniem i przepastnością życia w nas i wokoło; ja jestem otwarty z wygody, bo wtedy jest się naprawdę.

Dlaczego z wahaniem naruszam prywatność bliźnich? Dlaczego, mówiąc prosto, akceptuję prywatę? Przecież to, że widzę, a także jak widzę, należy do Przekazu. Wola czy niedola, ość w dziąśle czy miłość - wszystko, co się manifestuje, jest w sobie i sobą - jest także dla! Jakbym wciąż łagodził, przemilczał, zatajał? zrozumiałe, że nie będę zwierzał się z czynów karalnych, nie chcę do mamra, pomijam; dlaczego przemilczam bliźnich? z tego samego powodu, żeby uchronić. Dobrze, będę chronił przed więzieniem, lecz nie przed prawdą, na boga! Oko patrzy i widzi, nie sędzi.

A gotów byłem do przeinaczeń, przepisując na maszynie ten List. Anuśkę, strumyk górski krystalicznej wody, czarną damę i gałązkę świeżą - przechrzcilem na Joannę; Ryśka, tak dosadnie przeżywającego byt, bezwzględne cudaka, intelektualistę, któremu system się zawsze rozsypał - nazwałem, przez jakąś to pomstę, Ambrożym; Waldiego steranego doświadczanego przez życie czyli siebie samego, bo on i jego życie to jedno - chciałem nazwać Tadkiem; Rotraut złocistą zwałem Ruth; jeszcze chwila, przeinaczyłbym Gudrun.

Porzucam fikcje! Przystaję liczyć zalety przyjaciół. Wracam do śpiącej zapewne w pokoju spokojnie, w milczącym świetle zapalanej świecy, czy tak? została z pocałunkiem, ale jest ze mną wśród głupawej muzyki i młodych ludzi, pijących piwo i spokojnie gwarzących w tę noc. Gudrun, jesteś, jaka jesteś; w miłosnym przegięciu widzę cię może większą niż jesteś. Widzę nie tylko ciebie, ale optymalny twój zasięg. Nie proponuję więcej, o czym gadania było za dużo; nie ulegajmy przesądom o rodzinie. Idę, biegnę, odpoczywam, oddycham. Idź ze mną. Tam, gdzie droga prowadzi, gdzie oczy poniosą. Niech

oczy prowadzą w kolory do ludzi, w muzyki i kwiaty, gdzie rośnie światło. Idź ze mną, gdzie to możliwe. Gdzie niemożliwe - poniosę.

Odpoczywam, zapalam skręta, proszę o drugie piwo; kelnerem jest młody, ubrany w homoseksualną opaleniznę, jasną koszulę i białe spodnie; za barem urzęduje Wolfgang; zmienił się Zielony Palec wiosną, dużo młodzi, żadnych pijaków; popatrują z zaciekawieniem na piszącego. Rozpływa się w dymie opowieść o Petrze i Christianie, bohaterach dzisiejszego wieczoru, co tak mnie podekscytowali, że po prysznicu, północy, kolacji, Kochaniu, zamiast położyć się spokojnie obok mej kobiety i spać - przyszedłem tutaj i piszę do Ciebie. To kobiety mnie tworzą - na miarę swych marzeń.

Zaraz, jak długo jestem w berlińskim tle dźwiękowym szumiącym milionami aut do wtóru memu niegłośnemu długopisowi? 20 września malowałem dziuplę, dziś 20 kwietnia. Piję tu piwo od siedmiu miesięcy! Dobrze się czuję fizycznie, cudny był słoneczny tydzień. Dziś znowu ciepło wraca, nocą dwanaście stopni. Wiosna atakuje skokami; przychodzi ciepły wiatr i słońce, płyną soki, a potem znów chłody; to korzenie się budzą teraz, potrzebują więcej czasu.

Zrobiłem wielkiego skręta z ostatniej drobiny afgana, dopijam piwo. Od siedmiu miesięcy jestem tu na kredyt, teraz proszę o rachunek Wolfganga, jest niewielki, zamawiam jeszcze Bacardi z Colą, aby dociągnąć do setki.

Tak dobrze mi tu z Tobą jak w domu. Wolfgang się zwierzył, że pijaków niemiłosiernie wystawia za drzwi i już nie wracają, teraz młodzię się bawi, gra w szachy, flirtuje. Dopijam Bacardi, płacę stówę; gdybym wiedział, jakie to miłe, może płaciłbym częściej? pójde do domu, może okrężną drogą, by trzeźwieć i wzruszać się.

Sobota 21 kwietnia, wieczorem w domu. W kącikach oczu odrobina kaca porankiem, ale miłość, śniadanie i zakupy na markecie zmęczenie rozwiały. Po zakupach likier jajowy we dwoje, pub 'Ruina' doszczętnie zatłoczony, w połowie zrujnowany, ze szczątków murów wyrastają drzewa, lecz sala z barem ma sufit i ściany całe; jakże malowniczo wśród ludzi, ubranych swobodnie i na wskroś oryginalnie,

same cudaki! Cały dzień malowanie mieszkania z Petrą; prysznic, teraz chleb, herbata; wkrótce idę na spotkanie Gudrun.

O wpół do jedenastej w Zielonym Palcu, za pół godziny przyjdzie miła. Będzie o Michaelu, którego dzisiaj nie lubię. Byłem w jego galerii jedynym malarzem, który przyniósł profit. Zaprosił mnie za to do atelier z fikcji, czy tak się traktuje gościa? wypomina każdą pożyczoną markę albo robi awanturę, jak dzisiaj! że ośmieliłem się zapłacić mój dług w Zielonym.

W dodatku życzy mi się, żartując, że najlepiej dla mojej sztuki byłoby, gdybym umarł, łatwiej by szła sprzedaż obrazów. Uważa, że to pyszny żart i powtarza innym. Wielki brzuch, tłusta twarz, czarna podkoszulka, czarna chustka pod brodą, czarne okulary i spodnie, czarny charakter; rozwiążność, wóda, niewiedza; biedaczek w czarnym Jaguarze, w zakłamaniu i strachu.

Jest mi pryzmatem, w którym załamuje się i rozszczepia światło kapitalizmu; w Berlinie jest kapitalizm w bezwzględnej postaci; czy ma postacie inne? Forsa się liczy, jest punktem wyjścia i dojścia, człowieczeństwo przejawia się w zarabianiu i wydawaniu, człowiek podporządkowany międzyludzkiej machinie. Tu forsa jest demonem, wyjada ludziom serca. Byłem w innych krajach, słodka Norwegia i Szwecja to socjalizm przyszłości, Holandia to demokracja i przyjaźń człowiecza, a tutaj? To, co masz, określa cię wobec innych, wyznacza miejsce! Buntują się, zwłaszcza młodzi, szukają jakiejś alternatywy, uwikłani beznadziejnie w mechanizm miażdzący indywiduum i serce. Mówiłem o tym dziś z Petrą, po paru latach w Berlinie czuje się zamotana w sposób ostateczny.

- Jeśli tak dalej pójdzie - mówi - trzeba będzie stąd emigrować! - i marzy o przeniesieniu się do południowej Ameryki, Anglii lub Hiszpanii.

Dzisiaj wyglądali zgodnie; ona nie rozumie polskiego, więc Christian opowiada, że to jej agresywność zmusza do zachowań stanowczych, że na kobietę trzeba kija, że groził bezwzględnym wieszakiem wiedząc, że go powstrzymam.

Jakie to przejmująco wyraźne było w świetle nagiej żarówki, wśród rupieci i kubłów z farbami! Wrzask jego i dłoń wzniesiona, furia

ją zmieniająca w dzikie zwierzątko. Nie mało tego, jak na ludzkie możliwości - nie wiele.

- Nie potrzeba wyjaśnień, Christianie, tajemnica jest nie do wyjaśnienia przecież, tylko do objawienia.

Przerywam, bo przyszedł wilk, którego mówię, czyli Michael, a oto jest i Gudrun.

Teraz niedziela 22 kwietnia wieczorem. Pięknie jest między nami, spokojnie, miłośnie i czule. Wypaliśmy się porządnie i wykochali znakomicie, spacerowali w pałacowym parku, gadali z drzewami i wszystkim.

Dobrze się składa z Michaelem, bo czynimy ustalenia wystawiennicze; coś się wydarzy po siedmiu latach chudych?

Dziś przerwa w renowacji Christianów, umyłem zatem okna w mieszkaniu Rotraut, wraca pojutrze, będzie jej miło. Skończyłem o zmroku, zszedłem do siebie, zjadam jabłko, zapalam pałeczkę kadzidła. W pracowni jest czysto mimo kleksów farby, pięknie. Mam na ścianie przed sobą dwie grafiki, dwa obrazy, dwa nowe kartony; zdawało mi się, że każda technika przynosi zupełnie nową wizję, teraz z radością widzę, że jest w nich ta sama wibracja, wolna i niepodległa, mimo, że światy różne.

Pogoda dziś prawdziwie wiosenna, zielenią się drzewa, wielokrotnie padał deszcz, dwa razy po drodze z przyjemnością zmkłem. Czy Ty wiesz, jak się cieszę wiosną?! Gudrun pojechała w odwiedzinach do siostry, wkrótce zapewne wróci. Rozmawialiśmy o nieszczęsnym tygodniu agresji; fakt, była w głębokim stressie, ja również, jeśli mi się nie zdawało. Tłumaczyć Ci się z nienawiści do niej świątecznej, gdy wyjechała z Berlina? Myślałem: wymusiła na mnie zachowania nieładne, aby móc się oddalić - w stronę rodziny, przyjaciół, mężczyzny, którego nie kocha. Nie tłumaczyć zbyt wiele, Wieś, czuwać we śnie. Niepokoi się moją sytuacją i ewentualnym wyjazdem, ale jest między nami przyjaźnie; tak lubię ją rozśmieszać! a wiesz dlaczego? robi się jej wilgotno, kiedy się szczerze śmieje; i znowu!

Poniedziałek w deszczu na chwałę kłęczom; wstałem wcześniej na śniadanie z Gudrun, teraz nie mam co robić, piję herbatę, patrzę w otwarte okno. Wczorajszy wieczór w nowej restauracji Luciano, maleńka uroczą knajpka przy gmachu opery, świetna kuchnia na obiad i atmosfera. Podjął nas deserem, czyli melonem, winem i kawą, słonymi ciastkami. Dam mu grafiki do wystawienia.

Wróciliśmy północą zmęczeni, ale dość siły na pieśczość i miłość; a co na dobranoc? opowieść o kwiatku jaśminu, który przejęty wieściami południowego wiatru zachciał koniecznie wędrować; co? kwiatek jaśminu wędrować? tak, czyli się trudzić w przemianach pachnąco. Mówiłem też, dlaczego dociekam początku kosmosu i życia. Jest tyle światów istnienia, galaktyk i zjawisk, a wszystkie fascynujące! tego nie podobna objąć umysłem. Ale kiedy się zbliżam w sobie do początku, do punktu, który w stanie przed-eksplozywnym zawiera w sobie wszystko, z czego stanie się przestrzeń, energia, masa i czas - w stanie początku intuicja porusza się sprawnie, ona i tylko ona może sprostać istnieniu. A może mi się zdaje, skoro ani słowa na temat nie umiem powiedzieć? Gdy tak mówię, a Gudrun zasypia na moim ramieniu, mnie także unosi fala liryczna i zabiera w sen.

Piszę to rozmarzony, a jakże, przebudzony! pójdę na górę, wyniosę śmiecie; wkrótce będzie tu Petra, ruszymy do roboty.

Dochodzi chyba północ w nowej Galerii-cafe; przyszedłem tu pisać po dniu rozżarzonym do boleści, nie wiem czym i jak; nie mówię, że do białości, bieli dość dzisiaj, wiele godzin ją smarowałem po ścianach na pohybel szarościom.

Petra przyjechała do pracy wstrząśnięta; Christian rano na badaniu oczu, trwało parę godzin, nie zostało ukończone, czekają go nowe badania, a także prawdopodobnie operacje, w liczbie mnogiej; grozi mu pełna ślepotą. Mario i tu przykładą cegielkę do absurdałnej budowli, powiedział mianowicie do Petry, przyjacielskie zwierzenie, że Christian umrze w ciągu roku. Rozmawiamy chwilę, a właściwie słucham skarg na jego permanentną agresję; Petra usiłuje sprawę pojąć przy pomocy wujka; umierał on na raka i ostatni rok życia zamienił w

piekło, wyprawiał straszliwe harce, nienawidząc wszystkich i wszystko wokół; może tu podobnie? Wyraźnie boi się Christiana, jego ataków wściekłości. Boi się także siebie; znużona jego ustawicznymi pretensjami do życia, codziennymi zapewnieniami, że śmierć byłaby wybawieniem, umartwiona wrzaskami, staje się chwilami okrutna, zdobywa się na proste stwierdzenie: - Umieraj!

Zdaje się chwilami, że tylko pisanie i książka go trzymają przy życiu. Fakt, pisze codziennie, pracuje bez przerwy, linijka czy stroniczka dziennie przychodzi mu z najwyższym trudem. Pracuje na alibi! jestem zawsze gotów do bezpardonowych stwierdzeń, jest tragiczny z lenistwa. Kto to widział - zdanie lub stroniczkę na dzień! London, gdy nie miał co pisać w swojej dawce paru tysięcy słów dziennie, wtedy przepisywał rozdziały książek, które lubił, aby trenować dłoń i umysł. Szklanka wina, łyk haszyszowego dymu lub kielonek wódki zwalają Christiana z nóg, albo prowadzą do zdarzeń, jakim świadkowałem; przy tym nie może usiedzieć, tak chce się dorwać do szklanki, fajki.

- Ach, przyjacielu, jak bardzo nie umiemy żyć! - takie westchnienie rwie się z piersi do lotu na widok Christiana. Ma zakłócony zmysł równowagi, a chodzi uparcie w drewniakach - dla elegancji, żeby się wydać wyższym, bo mają podwyższony obcas; na boso chyba nigdy po trawie nie biegał. Chodzi się źle w sztywnych butach, zatacza i przewraca, nic dziwnego więc, że z domu na spacer nie wyjdzie, chociaż właśnie ruchu i powietrza najbardziej mu trzeba. Całe życie brzydzi się pracą fizyczną, a ciało, nieużywane, psuje się. Pali mnóstwo papierosów i w ogóle robi wszystko, co szkodzi. Chce przyśpieszyć swój koniec? Nie, chyba nie, kocha żyć, ale - chciałby żyć inaczej, powszechna choroba

Liczy na to, że wkrótce skończy pisanie książki i rozbłyśnie jako geniusz, ale jego książka, ha! chętnie nie znam się na literaturze, nie może być aż takim wydarzeniem! Pewnie niełatwo ją będzie wydać, skoro tak ciężko czytać. Z różnych powodów; mnie się widzi, że przepojona jest nienawiścią i złością; żadnego pozytywnego uczucia, nic zadumy, miłości. Ironia, szyderstwo, zjadliwa zaciekłość. Jakie dziwne jest życie. Jak jasne to, że sami tworzymy los. W niewiedzy. Nie wiemy, co robimy; spotykają nas nieszczęścia, upatrujemy przyczyn w świecie albo u innych ludzi, a przecież to wszystko sami robimy! Działaniem

albo lenistwem, mozołem źle skierowanym, radością albo krzywdą - stwarzamy los, gotujemy życie.

To nie są abstrakcyjne rozważania, odnoszą się do niego i do mnie; dotykają Ciebie? Spotyka mnie cierpienie, i często widzę jak powstało - z moją pomocą, lub równie moim brakiem pomocy; że narzekam chwilami? boli, więc narzekam. Dobrze, że pojmuję, przekrabiam swe życie na pasze treściwe - jest tylu złaknionych i głodnych. - Na paszę dla świń! - powie anarchistka Ewa.

Niech mówi, co chce, życie przyniesie - jeśli bozia łaskawa gdzieś tam za brodą malowaną przez tylu malarzy - jeszcze wiele obrazów i wierszy, na Liście się sprawa nie zaczyna, nie skończy.

Na ile to moja osobista sprawa? co działa przeze mnie, gdy działam? czym jest energia, której dreszcze śmigają przez mięśnie, kiedy maluję? To nie jest moja energia, powiem Ci w zamyśleniu, to ona przecież sprawia, że rozwijają się zielone liście. Też się rozwijam. Przerwałem malowanie, jak widzę; belka bristolu leży bezużyteczna, nie przyda się więcej. Chyba się narobiłem setnie; chyba tęsknię do wielkich formatów i głębokich przestrzeni; ech, mieć setkę płócien!

Zawsze byłem dostatecznie wrażliwy, nieśmiały; w Berlinie przemiana, kształci się nowa jakość cenna w pracy artystycznej: bezczelność; zawsze na miejscu, gdy działa w parze z czułością. Nie oglądać się na nic i nikogo, pracować z całkowitą otwartością i bezwzględny oddaniem - oto droga; innej nie ma.

Ach, jutro wraca Rotraut; bardzo ją polubiłem zdalnie w te słoneczne dni spędzane na balkonie, ale będę ją nazywał siostrą.

Gudrun podjęła dziś studia, nie chce pozostać tylko inżynierem; wielkie wydarzenie, dostanie jutro z tej okazji kwiatek; piękne, że chce budować domy! hej, jeden dla nas świetlisty! pojechała dzisiaj do siebie, ale gdzie będzie mieszkać za tydzień? gdzie, kiedy odjadę? nienapisane życie wspólne. Niedobry dla niej dzisiaj w moim odczuwaniu. Nie jestem dobry dla Michaela, wystawa jest mi potrzebna, ale już nieznośna; nie chce mi się następnego malowania - teraz galerii; nie chce mi się robić projektów zaproszeń i plakatu; nic. Zwierzę Ci, że chciałbym jechać - ale nie mam na bilet. Mam dług; spłaciłem już drobne, u Michaela zostaje tysiąc. To drobiazg. List do Ciebie wkrótce

się zakończy w tym 150-stronicowym czerwonym zeszycie od Gudrun; liczę tygodnie, jakby coś jeszcze miało się przydarzyć, Przyjacielu, czy może to zwykła tęsknota do przyszłości?

Środa i już 25 kwietnia. Wczoraj: nudny poranek aż do przyjazdu Gudrun na kochanie; moja podróż do galerii B, aby się przedstawić, ale szef zajęty, mam wrócić jutro; powrót do domu na obiad, nadzwyczajne kochanie; praca z Petrą i prawie Christianem w ich mieszkaniu, a potem sen nie przychodzi.

O trzeciej nocą pomyślałem już bodaj raz trzeci w miesiącu, że wiosna, czyli nie potrzebuję kraść prądu; wstałem, zdjąłem pokrywę licznika i odkręciłem druty; kable zostały nagie, ale pokryłem je dużą warstwą kurzu. Założyłem pokrywę, wkręciłem śruby, również pokrywając je kurzem. Na oko, parę lat kurzu. Dobrze zasnąłem.

Teraz uważaj! o siódmej rano budzi mnie pukanie do drzwi, otwieram zaspany, a przede mną młody człowiek z narzędziową torbą, mówi, do kontroli instalacji. Zapraszam do środka, czuję się zupełnie przebudzony, wkładam spodnie i myję twarz wodą, gdy za mną od strony licznika słyszę coś w rodzaju: - Ho ho! - ale nie interesuję się zbytnio. Młody człowiek wychodzi do auta, powraca z kablem do wymiany. Jeszcze chwila i dziękuję, już mogę włączyć wodę na herbatę. Co Ty na to? niby jestem chaotyczny i zalatany, ale w porę robię swoje! albo to słynna łaska pańska, która głupka strzeże.

Gudrun kasłała już na święta, dzisiaj chora na dobre: potworny kaszel, gorączka i słabość; teraz zasnęła. Też mam kaszel i katar, ból głowy; bez sił. Nie mam Ci do powiedzenia ani energii do pracy; czuję się jak zużyta opona samochodowa; już do niczego, a długo potrwa, zanim się rozpadnie. Się przecież nie wyspałem, dlatego kiepsciutko.

Dzień zaczynał się słonecznie, teraz ciągną chmury. Rotraut jeszcze nie wróciła, co się dzieje? Pójdę na spacer, żeby nie narzekać.

Czwartek lekko rozchwiany po wczorajszych szampanach w nowej galerii Michaela; dobrze się czułem, świetny kontakt z ludźmi, zwłaszcza kobietami; bawiłem siebie i innych żartami i tańcem, błaznowałem w przeczuciu nowego zawodu? Gudrun dostała z tego wspaniałą pąsową różę.

Dziś jasno i ciepło, znów prawdziwie wiosennie, przecież to koniec kwietnia; siedzę i piszę na tej samej trawie nad jeziorem - dzisiaj bez słońca - ale prawie po faktach! Głosy ptaków, plusk wody, czyste powietrze i cisza, jak w środku natury. Południe. Wracam z polskiej misji. Zdarzenie podobne temu sprzed dziesięciu dni zaledwie w dekoracjach: ta sama ulica, budynek, drzwi i tęgi pan Przemysław - jakże inne w szczegółach.

- Znowu będzie pan na mnie krzyczał? - powiedział na mój widok; musiało się to spodobać. Przedłuży jak mu wolno, o trzy miesiące, a ponieważ prosiłem o rok, prześle papiery do kraju. Dziękuję uprzejmie; sam pojedę do kraju, poproszę o przedłużenie na trzy lata. Więc wszystko zależy od humoru urzędnika? Gbur wtedy, przyjemniak dzisiaj; a może na mnie ktoś przyjaźnie doniósł?

Dostałem od Michaela kontrakt na wystawę; wstąpię do galerii B w drodze do domu, jutro się przejdę do galerii K; może coś zdziałam przed wyjazdem. Oddycham głęboko.

Jakże piękne by było, co się nie zdarzyło; gdyby w takim powietrzu przestrzeni naturze i ciszy malować. Ba, to dla bogatych. Artysta potrzebuje biedy jak bogaty chleba, umiarkowanie.

Gudrun moja miła chora; okropny kaszel, nie wiem co począć; ma pecha! Zaczyna studia, powinna zapisać się na zajęcia, wybrać projekty, w których będzie uczestniczyć i profesorów, z którymi będzie pracować, a tymczasem choroba! W dodatku traci wkrótce mieszkanie, i co? zamieszka ze mną? mieści się tyle, zmieszczą się jej rzeczy, ale miejsce do pracy? Dobrze, słońko grzeje, ciasnota staje się przestrzenna. Ucieszy się miła paszportowo.

W galerii poznałem wczoraj Birgit: ciemna, wyraźna w pinku i czerni, o duszy jasnej i otwartej; spojrzęła, kiedy wchodziłem i uśmiechnęła się, więc zapytałem, jak się żyje; czasem fatalnie, często wspaniale, studiuje i robi teatr, ciepło! chce pracować z ludźmi i dla ludzi,

zwłaszcza dla tych, którzy żyją w biedzie. Suzanne blondynka skończyła pedagogikę, parę lat pracowała z dziećmi, ale ma tego dość ze względu na przełożonych, którzy narzucają metody wychowawcze. Michaela skorpion rumunka wariatka-sexy. Dorothy. Jeszcze inne poznane, pocałowane, dotknięte lub nawet pieszczone różą, która teraz z Gudrun.

Bezczelna to róża, uwierz! Wziąłem najpiękniejszą z bukietu, w ten wieczór i noc dotykała ust, policzków i piersi, bezwstydnie pieściła kwitnienie dziewczęce; a kiedy dawałem wachać, to uprzedzałem, że kokaina miłosna ten zapach, uważaj! dwa wdęchy - i dokąd cię niesie? Zaniósłem ją chorej.

Miłą chwilę ugwarzyłem z rzeźnikiem. Pieściłem Dorothy różą. Powiedziałem do dystynkcji pana w szarościach zaciekawionego, co sądzę o sądzie albo coś takiego w sztuce, że ma piękne ucho. Starsza pani małpa w koralach doczekała się też komplementu, powiedziałem, że ma prześliczną wnuczkę.

Towarzystwo na wieczorze do dupy, intensywnie obecna mała burżuazja, nieduże mieszczaństwo. Rysunki Uwe nie podobały się publiczności, moje pochwały widziano jako dalsze błazeństwa; nic dziwnego; słabiutki toto, bez jaj.

Minęły mi dwa trzy kwadransy z Tobą nad wodą jasną i czystą; wracam do misji, chyba pieczętka w paszporcie już wyschła.

Noc. Gudrun poważnie chora; zerwała się w gorączce i chciała jechać do domu w nagłym podejrzeniu, że mi przeszkadza. Uspokoilem, to miłe troszczyć się o nią; jedynym elementem zbytecznym jest tutaj choroba. Moją panią, się zdaje, akceptuję docześnie w każdym stanie.

Jestem zmęczony; wróciłem z paszportem do domu, zadbałem o Gudrun, napiłem herbaty, pojechałem wozem Petry do galerii B; ten sam młody człowiek, co we wtorek, ale prosi o teczkę z obrazami i przeżrocza to szefowie zobaczą, ach.

Pomagałem Petrze w pracach; byli także Kazik i Zbyszek sprawni w robocie aż miło. Wściekłem się przy okazji; pomoc, więc także w zakupach. W Bauhaus fajna tapeta niedroga wszystkim się podoba. Nie kupili. Podróż do innego sklepu i wybór najtańszej, idea

oszczędzania dochodzi do głosu, to jest tapeta zrobiona z granatowych cegieł; protestuję, przyniesie depresje; wskazuję na inną, również niedrogą i chujowieńką ale jako-tako; do toalety godzę się na najtańszą; kupili. Śmieszna oszczędność dziesiątaka, a przecież w tym ma się żyć. A teraz się oznajmia, że to ja dokonałem wyboru, prawda, i każdemu opowie.

Tymczasem Rotraut wciąż nie wróciła; dzwoniła do Dorothy, zapowiadając przylot wieczorem, od dawna noc, i nic.

Pierwsza nocą, zaczyna się sobota. Moja wariatka poczuła się lepiej, więc poszła na spacer. Oto wraca, wchodzi przez okno, zatem, Przyjacielu, nie napiszę więcej; nie mogę dopuścić, aby była o Ciebie zazdrosna; zajęcia będą przecież kontaktowe.

Ostatni dzień kwietnia, poniedziałek, jest dniem upiorów, duchów i demonów - stwierdziła Gudrun, budząc się o piątej rano na tyle głośno, aby mnie obudzić. Wstałem zatem, napilem się z nią kawy; nie chciałem śniadania, nie wiedząc jeszcze, co przyniesie dzień; tyle miałbym Ci do napisania w ostatnich dniach, ale żadnego czasu, codzienne przeprowadzki P i Ch, opieka nad chorą, znój czynności powszednich, jedzenie pranie mycie golenie zakupy gotowanie zmywanie.

W piątek wróciła Rotraut niebywale świeża, opalona i przejęta Afryką, a może jeszcze bardziej tym, co zdarzyło się ostatniego dnia; kiedyś opowiadała o śnie, w którym Rony pobiła, a teraz zrobiła to na jawie - na pożegnanie za udane wakacje? z miłości? Kobiety, niestety, łatwiejsze do kochania, niż do pojmwania. Była w moim pokoju dwa razy, przyjaźnie mnie i chorej; bardzo mi się to podoba.

Michael, free-lance-boss, porzucił Kristinę, bowiem wróciła do Berlina Ewa; kochają się znów serdecznie; on biegnący do samochodu, ona za nim z rozwianym głosem i szlochem w piąstkach wzniesionych ku niebu.

P i Ch już mieszkają tutaj; ileż roboty z przeprowadzką! dwoje ludzi, a jaka masa rzeczy, mebli, maszyn, książek, ubrań, automatów! zmęczony jestem do jutra. Wczoraj uprzątnęliśmy do końca stare mieszkanie, wyrzucając przez okno do ogrodu starty rupiecie i drewna, z których następnie zapłonęło wielkie ognisko, ostatnie dla nas w ogrodzie, dla mnie pierwsze w tym roku.

Płonęły rupiecie, nadzieje, wspomnienia, paliła się przeszłość, a na końcu dwa wielkie prostokątne stoły ułożone na krzyż! usiadłem w środku, aby medytować; gotów płonąć, ale Rumpel i Christian, Ewa i Elize nie potrafili powiedzieć, za co tak na stosie. Więc pozbierałem mrówki oszalałe biegające po drewnie i zszedłem, wyniosłem je na trawę, głupi, przecież i tak nie znajdą mrowiska. Posadziłem na stosie zastępcę, wielkiego smoka z cyny lub ołowiu, co nie wiadomo skąd w ich domu. Stoły stanęły w ogniu a smok w płomieniach i dymie nader malowniczo topił się, struga srebrzystego metalu płynęła po drewnie, podsycając płomień. Czyniłem zaklęcia, mówiłem wiersze, wszystko na próżno w pociągu znikąd do nikąd. Natomiast z Leszkiem kolegą z Warszawy nie znalazłem wspólnego języka, chociaż ideały nam przyświecają.

Sierpniowa pełnia księżyca przed czterema laty tutaj, wtedy wielki krąg z cegieł wyznaczał zasięg ogniska, a kiedy w trakcie biesiadowania wypełnił się żarem, przyniosłem z Michaeliem ogromny okrągły blat stołu z dębowego drzewa. Niemal przykrył ognisko; przepalał się od środka zwolna, i wkrótce był kręgiem płomieni, wokół którego siedzieliśmy w kręgu jak oczarowani, pod okiem pełni.

Piękny jest wieczór, nie pamiętam wiele z wczoraj; wiesz, jak z przeszłością - niech zanika i pachnie nikomu, gdy jestem prawie chory; boli gardło i kaszlę, zmęczony tygodniem. Piszę, prawie zasypiam.

1 maja wieczór, chłodno, jasne niebo, sierp księżyca, łagodne światło lampy. Gudrun pierwszy raz od tygodnia nocuje u siebie, od dawna nie malowałem; dziś zmęczony pracami z Petrą, montowałem regały i lampy. Jutro mam nowe zajęcie nadobowiązkowe - malowanie galerii, czyli praca od podstaw - nad wystawą przecie.

Siedzę przy stole, czy to Cię nie dziwi? stare biurko odremontowałem i pomalowałem lakierem na biało. Wszystko na biało! prawo do koloru mają tu tylko obrazy i kwiaty. Boli mnie gardło. Na podłodze jasna trzciniowa mata; mój pokój wiosną jest komfortowy; Kristin greczyńska mówi, to pałacyk Momo; nie wiem, co to znaczy.

Gudrun była u lekarza prawie po chorobie; ma silny bronchit, to wiem, co wskazuje na przeciągi w psyche. Trochę mojej zasługi, akceptuję ją w pełni co chwila, ale hoduję za szafą mniemania o życiu, nie zawsze bywam pusty, nie zawsze z nią. Inna sprawa, mówi Rotraut, że wobec silnego kontaktu ze mną wychodzą na powierzchnię świadomości Gudrun jakieś węzły psychiczne dzieciństwa; trzeba być delikatnym, gburze! bowiem jestem uważnie słuchany. Wyrażam swą wolę z całym przekonaniem - mówi Gudrun - nie sposób robić coś innego, niż sobie życzyć. Takim zdolny? zatem winienem sobie życzyć najlepszego i nie mieć życzeń. Spełniać życzenia, które wynajduje. Dobrze, więc powiem:

*W Obłoku Magellana
stała się rzecz niesłychana,
spotkały się dwa słońca,
zdziwieniom nie było końca!*

*szybko się obwęchały,
w spirale porozkręcały,
jęły się kochać,
ze szczęścia szlochać.*

*Wynikły z tego różne planety,
niestety.*

O rety rety; a na oknie stoi wielka ceramiczna misa wypełniona jasnozielonymi pióropuszcami rozwijających się konwalii; wczoraj wykopałem z byłego ogrodu P i Ch połąć ziemi z wieloma krzaczkami, ciekawe, że nie widziałem nigdy przedtem konwalii we wczesnym stadium; wyglądają jak kły bambusa; ciekawe bardziej, czy po przesadzeniu zakwitną. Stoją na parapecie zewnętrznym, obok pąsowych,

różowych i żółtych kwiatków, co w ogrodzie dzieciństwa zwały się 'babki'. Przychodzi mi do głowy i puka uwaga, że organizmy żywe lubią środowiska stabilne, w których mogą się mnożyć. Rację ma mama, że jestem odmieniec; mimo ociążałości ewolucyjnej dążę do odmiany, i nie chcę się mnożyć. Czyżby zmiana miała być na ziemi celem, wyzwoleniem? Może jest tak, że, będąc przekazem, jestem tylko innym, co to miejsca nie może znaleźć, bowiem jest skądinąd.

Drugi wietrzny, burzliwy; spałem do dziesiątej, zjadłem śniadanie i znowu zwałem się w sen. Śniłem Wandę, przyjechała do Berlina z Sebastiankiem, gdzieś mieli mieszkać, ale nie wypaliło, wiozłem ich starym bussem do siebie, patrzyłem uważnie, mały spokojny, ona zakłopotana jakby sobie sprostać nie mogła, pierwsze zmarszczki na szyi, ładna; jechaliśmy do mego domu, w którym byłem żonaty, czułem się niepewny, jak żona zareaguje na gości.

Sztormowe popołudnie, napiłem się kawy, myślę o początku świata; nie mam siły piechotą do sklepu i dźwigać kubły z farbami; Michael nie dał wozu, tylko kartkę, aby materiały wpisywane były na jego konto; Micky Majcher dzielnic.

Teraz późny wieczór; byłem na spacerze raczej biegowym w parku, tak chłodno. Wziąłem torbę na kwiaty, ale nie łamałem niczego, pozbierałem tylko kwietne gałązki lipy, połamane przez ostatnie wichury; zrobiłem piękny talerz z kwiatami.

Piszę przy świecy; Gudrun śpi ciężko, zmęczona życiem: uniwersytet i tyle pracy, niedobra atmosfera wśród dziewczyn, z którymi mieszka; wariatki emancypacji, co to polega na używaniu męczyzny jako obiektu seksualnego; czyli zamiana tradycyjnych ról, wariatkowo czyste; może zresztą spotykają męczyzn, których do czego innego używać nie sposób.

Wizyta P i Ch tutaj zostawiła w powietrzu ciężkie plamy ich depresji i nerwic; po ich wyjściu miła poczuła się źle, chciała iść. - Rób, co chcesz! - odpowiedziałem z życzliwym uśmiechem. Poszła z uśmiechem.

Przechodziła Rotraut potrącając mnie zapytaniem, dlaczego wzięłam jej talerz i nic nie wspominałam?! jakby nic innego nie było do powiedzenia, np. dziękuję za opiekowanie się domem. Kiedy stała przy oknie patrząc na mój ironiczny uśmiech - wróciła Gudrun, wzięła z parapetu okna klucze, otworzyła sobie drzwi.

- Mogę tu zostać? - pytanie, jakby nie wiedziała.

- Ależ tak, możesz być ze mną we wszystkich nastrojach.

Poszliśmy do łóżka, wzięłam małą w niej dziewczynkę w ramiona, opowiedziałem, co się przydarzyło w parku. Pod koniec opowieści przyszedł na nią sen, wstrząsowo rozluźniając ciało i spowalniając oddech. Śpij, dziewczynko, mój głos po zamęciu dnia łączy cię z naturą, pozwala być w czasie rozległym, otwartym na przestrzenie i marzenia, a nie skupionym w bolesną piąstkę, jak w dzień.

Opowiadałem, że poszedłem do ogromnej wierzby nad stawem w północno-wschodniej części parku; jej wielkie gałęzie wiszą nad zamyśleniem łagodnie, jeden konar wygina się łukiem sprężystym i tworzy wygodne miejsce do siedzenia lub leżenia, metr nad ziemią, dwa metry od wody. Siedziała tam Gudrun na którymś spacerze, pozdrowiłem więc wierzbę od niej, przychodząc; usiadłem na konarze prosto, rozluźniając mięśnie, zamykając oczy, poddając się delikatnemu ruchowi w wietrze, stając się tą gałęzią w przeczuciu inności życia między listkami i korzeniami. Otworzyłem oczy i niemal na jawie widziałem film, jaki bym robił o Berlinie, życiu i miłości.

Podniosłem głowę do góry, spojrzałem w potężną koronę wierzby z wielometrowej długości witekami, i powiedziałem głośno:

- Pozdrawiam cię! - a w tejże chwili powiał wielki wiatr, wzdęły się witki, gałęzie, konary w sprężystym ruchu wraz ze mną, szum drzewa był odpowiedzią, a chwila zdumieniem.

- Królu! - dodałem, i znów powiał przejmujący wiatr, drzewo skupiło się w potężnie orkiestrowanej odpowiedzi, niosąc mnie w tej muzyce.

- Który mnie niesiesz troskliwie jak ja!

Szum rozłożystej korony raz jeszcze odpowiedział w magii i harmonii, aż wybuchnąłem śmiechem w poczuciu całkowitego kontaktu; śmiałem się ze szczęścia, bo śmiesznego nic się nie zdarzyło.

Nic zabawnego w wizycie P i Ch gdy wróciłem, jak dwie kataryny na jednej melodii negatywności gadali, czego nie lubią u innych! oto temat zwierzeń do dzielenia się z nami! Żle to zniosłem, prace fizyczne są mniej wyczerpujące, niż psychologie; Gudrun poczuła się tak zniszczona, że nie znalazła nawet ze mną kontaktu - ale poszła tylko do parku i dzielnie wróciła, by zasnąć w mych ramionach. Kocham. Dochodzi północ, zrobię skręta i pójde na piwo: noc wielka woła!

Trzeciego maja biorę od Petry auto, przywożę kubła farb do malowania galerii; jadę raz jeszcze do galerii B; to Bert z Urzędu Sztuki nalega, abym przedstawił się właścicielowi; młody człowiek po długim kwadransie przepasza, szef nie może przyjąć, może przyjdę jutro.

Jedziemy z P i Ch do ogrody i sprzątamy popioły po gigantycznym ognisku; kamienie wciąż jeszcze ciepłe! znalazłem nadtopioną butelkę po piwie, ogień zrobił fajny flakon na kwiatka.

Dzień wietrzny, cieplej niż wczoraj. Zmieniłem okropny materac na jako taki. Hej, w pracowni przyjemnie, trzeba ją będzie opuścić. Czuję się jak sterana szczotka do szorowania podłóg, porzucona na marmurowej posadzce.

Piątek czwartego maja. Szamocę się, wzlataję, upadam, świat ma wymiary ostateczne i absolutne, a mieszka cały w drobinie zorganizowanej materii na planecie jak pyłek w kosmosie; jest niczym owiniętym w hiszpański czarny szal.

Dzwoniłem do galerii B i wreszcie zawiozłem teczkę i przezrocza, młody człowiek przekaże i zreferuje szefowi; jestem u ministra?

Życie dziś maleńkie, przycupnięte do ziemi, szare i zadeszczone. Zanim pójde spać, powiem Ci jak okropnie wyglądam, na twarzy dwie czerwone bolesne krupy, twarz rozlazła w rezygnacji na różowo. Ot, mały Wies głupi z bajki o przepastnym kroczu.

Na niebie pół księżyc a cała Gudrun w łóżku; leniwy blues z radia, pryskanie pęcherzyków wody mineralnej. Było dziś wiele obiadowania, kochania, spacerowania, kochania, nieutulenia i żaru miłosnego w oczach, który mnie zadziwia, że można aż tak! jaśniej i świeci, przejmuję obawą, czy to nie zbyt wiele, czy wytrzyma ciało.

Jak wczoraj jestem malutki; list do Ciebie nie jest uroszczeniem? moje malowanie nie jest, jak to nazwać? słów brak, zanikam; ponarzekać? za dużo się dziś najadłem, za dużo palę złotej californii.

Wspomnę dzisiejszy spacer niepodobny do innych; weszliśmy do parku tuż przed zamknięciem.

- Nie przejmuj się, jakoś to będzie - mówiłem. I było cudnie wśród czarnych mroków alei. Noc wśród drzew bardziej odnosi się do poczucia istnienia niż widzenia, słyszenia.

Żartobliwie instalujemy nasze atelier w pałacowym belwedrze, jest imponujące w świetle księżycy. A w drodze powrotnej przechodzenie przez płot i drut kolczasty nad nim poszło sprawnie dla dwojga urwisów, jakby w tym ćwiczeni.

Sobota i piąty na razie łaskawie w deszczu i słońcu naprzemian; jest popołudnie, moja słodka miłość w łóżku na śpiąco; mam od Christiana 'Idzie skacząc po górach' i zamierzam pójść w te góry, czytane już w młodości; dla Gudrun pożyczyłem 'Mistrz i Małgorzata' Bułhakowa, niech się raduje i dziwi.

Tak leniwie było w domu, że miałem ochotę tylko przysnąć przy Gudrun, ale jak się przyłożyć? będą znowu pieszczoty, kochania i znowu wyczerpania.

- Jeśli wytrzymasz ze mną - powiedziałem - dasz radę całemu światu! - Przyszedłem do Galerii-cafe na piwo i gitarową muzykę. Za barem Weronika; tak przypomina Magrę! gdy pierwszy raz ją widziałem w ulicy, poszedłem za nią sprawdzić, kto jest kto; jest jednak z Londynu. Jesteśmy we dwoje; pustki w lokalu, Michael się pewnie nie zachwyca. Ależ tu nieprzytulnie! Nawet świeże kwiatki co stolik

doniczka nie pomagają; brązowy sufit, brązowe ściany od dołu, przestrzeń do ekpozycji obrazów znormalizowana jak do urzędowych ogłoszeń. Nieszczęsny; gdyby pokazał, co robi, zapytał, okazał zaufanie - miałby wnętrze, z którego ludzie by nie chcieli wychodzić.

Obrazki Uwe to znerwicowany intelektualizm, szczypta liryki w sosie dobro-mieszczańskim.

Drzewa tymczasem z dnia na dzień i godziny na godzinę zieleńsze, korony kasztanów już nieprzezrocyste, jaśniutko świeżo dziękczynniej brzozy. A refleksja ogólna? nic równie pięknego jak kobieta, miłość kobiety; łączy życie z rytmem natury, ukonkretnia potrzebę zachwyty.

Pisałem Ci już o zachwycie dla Gudrun? ta ciemnoskóra Weronika, która teraz sprząta po braku gości, też zachwycająca; i inne kobiety, tak różne, a zarazem - głęboko - podobne, zachwycające.

Patrzę na literki, śmieszne sypią się spod kulki długopisu. Lubię pismo mej kobiety wyraźne i proste wśród fantazyjnych zawijasów, charakter artystyczny. Udziela się; miło poddać się dobremu wpływowi.

Ciekawie może być wieczorem; na obiad u Christianów są zaproszone wszystkie postacie występujące w liście do Ciebie a zarazem sprawcze przyczyny mego berlińskiego tripu: Michael, Mario, Waldi, Richard i Rumpel wśród panów; Gudrun nie chce dołączyć do pań, nikogo nie lubi, a ja się nie dziwię, mimo że lubię się dziwić. Przyczyny sprawcze? wybac, jeśli przesadzam, ale jest karma wspólna, co? staję się niepodległy w tym tripie, wrażliwy bardziej; wzburza mnie także wiedza, że nie ma w świecie rzeczy niemożliwych.

Silne wrażenie zrobiła lektura całego rocznika Nowych Wyrazów, które przyniósł Christian. Wiersze trochę nijakie, zakałapućkane wśród pragnień i gestów; opowiadania lepsze, niekiedy wstrząsające prawdziwością. Nic nie jest porównywalne z tekstem Steda! czytam go fragmentami na żywo przyjaciółom po angielsku; Christian rzucił tylko okiem i wiedział, że to w ogóle nie literatura; a także tu mógłby się czegoś nauczyć - tu zwłaszcza!

Piwo szczęśliwie się skończyło, a pęcherz ucisnął; uciekać pora; nie pocieszę dzisiaj Weroniki.

Wtorek przemija powoli w pełnym słońcu na ławce parkowej. Leniwe rozmowy z Klausem, przyszedł poczytać pekińskie dzienniki; studiuje sinologię; to i owo tłumaczy na angielski sądząc, że może mnie interesować; nie ma takiej rzeczy! nie interesuje mnie nic, szczerzę się do słońca.

Och Klaus, co wywiera na mnie wpływ w Berlinie? Wszystko! Drzewa, ludzie, muzyki, zdarzenia i miłość, która we mnie i świecie pospołu. Zadał mi parę pytań w parku, w parę godzin później odpowiadam na pierwsze.

Od trzech dni intensywnie maluję Galaktykę - oto dlaczego nie było mnie w liście do Ciebie. Już nie ma galaktyki, przekształca się w Pełnię wiosenną. Robiłem przeżrocza w trakcie pracy, od grudnia chyba dziesięć, zobaczę później poszczególne kadry; wszystkie okazują się zamalowane; dlaczego to nie jest dziesięć płócien i tyleż motywów? wiesz przecież!

Patrząc nie mogę na obraz, który maluję. Od życia nudności. O co tu chodzi? Jedenasta, czyżbym niespodzianie miał wziąć acid? Księżyc prawie okrągły, ciało dobre po nasłonecznieniu, obraz rozgrzebany i może mnie zająć. Szerokie przestrzenie? są, jakie dane, i basta.

Żelatynka pod język i medytacja, w pół godziny pierwsze dziury w przestrzeni a przed oknem Rotraut; zabawna rozmowa. Chce ogrodzić siatką balkon i okna do pół wysokości, ochronić koty przed wyskoczeniem. Bo one chcą polować na przelatujące ptaki!

- Ach, pozwól życiu, jak jest, się dziać! - mówię. - Pozwól kotu wyskoczyć! skąd wiesz, może on po to żyje, aby w ostatnim skoku nie dosięgnąć wróbla! Co to, Rotraut, czego się tak boisz, że koty chcesz siatką ochronić? A może nie ma strachu dopiero, kiedy nie ma żadnej, ale to żadnej nadziei?

Zaczyna się acid trip; charakterystyczna wilgoć nozdrzy, mrowienie krwi w żyłach, jak błyskawica mięsień rozluźnia się w dreszczu; słyszalna muzyka ciała, tętno.

Nie pisałem tu dni kilka, malowałem w zwisie - aż wreszcie dziś przyszło słońce, parę godzin parowały ze mnie obłoki kurzaw i

śnieżyć; z ducha niełatwo ustępuje zima. Jest mi wszakże zimno, nie idzie też malowanie. Jaki trip mogę mieć sam ze sobą? przytomny tak nie wiadomo czego w świetle świec, lamp i elektrycznego piecyka, bo chłodna majowa noc. Ciągnie wilgotnie od podłogi, żyję w koszmarne niezdrowym miejscu. Groza, widzialna bezinteresownie!

Moje ciało wchłaniane w spiralny ruch wszechrzeczy. Po cóż piszę? nie lepiej zanurzyć się w błogiej muzyce możliwości? W ciele moim dygoce napięcie i zimno, ach, schronić się w koce.

Wiem, jak można umrzeć pokonany przez własne niemoce. Pociąłem wielki obraz nożem, przekreśliłem go wielkim iksem, dwoma cięciami pewnymi jak poruszenia pędzla w początku. Dość mnie zamęczył. Jeśli ktoś musi umierać, niech umiera obraz, na malarza czas przyjdzie, nie ma wątpliwości.

Przejmująca chwila - równocześnie z uderzeniem noża przestała grać muzyka w radio, usłyszałem FLAP jakby stęknęcie, gdy ciężkie od oleju kawały płótna opadły w dół!

*Chyba jest pusta moja dusza,
chyba zupełnie nic.*

*A w niczym, w rogu, kłębek czerwonej włóczki
rozwijają się w ciemność.*

*Jeszcze jest szansa,
chwycę za nitkę?
wyjdę?*

Wschodzi słońce, co oświetli? trudno będzie żyć. Nie chciałbym umrzeć w Berlinie.

W środę zachodzi słońce, jeszcze nie spałem, zmęczenie; trip mi pokazał, że zdycham.

‘Wielki kosmiczny młyn, który tylko po to istnieje, aby mleć

winę i karę, samotność i nierzeczywistość' - oto jak precyzyjnie opisuje Huxley zły trip.

Poranek, czwartek; po napisaniu powyżej linijki spałem dwaście godzin. Trip był udany, pokazał, że zdycham. Ciało niesprawne, za mało ruszam się i biegam, nie robię jogi, za dużo kawy i wina, brzuch zakwaszony, zatruty; obrzydzenie do tego, co z organizmem zrobiłem; można by robić ze mnie lane kluski. Obudził mnie listonosz pukając w okno listem od Wandy; piję gorące mleko, głaszczę ją zdalnie po szyi. Idę do parku biegać, nie ma wątpliwości.

Zaczyna się wtorek piętnastego maja, dni śmigają, Przyjacielu, w pracy i krzątaniu, że nie znajduję czasu na pisanie. Od dnia tripu moje ciało się zmienia, wstaję wcześniej, idę biegiem do parku, tam robię hatha-jogę, pełną moją sekwencję szesnastu asan, co zajmuje godzinę, medytuję w trawie; wracam przez park biegiem, ulicą idę szybko, myję się, jem śniadanie i pracuję. Hej, jako robotnik przecież! taka twoja owaka.

Już pomalowałem galerię; wszystkie drzwi i okna podwójnie lakierem na biało, były przecież brązowe jak sny o S.A.; sufity i ściany pojedynczo bielą. Także fronton budynku i murki wokół ogrodu. Ze zdziczałego ogrodu Christianów setki konwalii przesadziłem do ogrodu tutaj, skopując troskliwie ziemię i nawadniając. Zrobiłem czernią liternictwo na ścianie galerii. Co jeszcze? żyję dobrze, jadam mało, ruszam się wiele. Dom wygląda pięknie, widziany ze środka alei. Życie prywatne miłosne? w porządku, nie mam siły pisać.

Siedzę w słońcu na przyzbie przed pracownią, błogosławione 25 stopni. Był przez godzinę Christian, ale on siedzi w cieniu; czarne okulary, pomieszanie z poplątaniem.

Dobrze, że Michael zabrał klucze galerii i nie mam co robić.

Na dzisiaj współpraca? nie zauważa, że w galerii lśni czystość za frajer, bruździ, jak można; jego projekt zaproszenia na wystawę to projekt upupienia; chce w nim umieścić swą wysoce krytyczną opinię o mej twórczości, zgoła po niemiecku i polsku, ale nawet mego nazwiska po drodze zapomniał. Czyli się wzięło i na mózg rzuciło.

'Człowiek zrodzony z niewiasty żyje krótko i pełen jest niepokoju. Wyrasta jak kwiat i więdnie, ucieka jak cień i nie ostaje się.' - jako stoi u Joba 14/1,2.

Latają wokoło gołębie, wróble, i dziobią okruchy; bezczelnie wchodzą przez otwarte okno i srają na maty w pokoju; do polanego przed kwadransem ogrodu przylatują kosy, przepatrują uważnie, gdzie coś jadalnego.

Byłem w galerii B w czasie wyznaczonego spotkania, ale zamknięta, ani szefa, ani obsługi; pójdę raz jeszcze, zabrać teczkę, nakopać komuś do dupy po drodze. Co? zabawnie w Berlinie, tyle sympatii i zrozumienia u jednych, obojętności i chłamu u innych.

Zabawny pewnie mój widok: brązowy kobold na tle białej ściany; w ogrodzie przybywa kwiatów i robi na berlińczykach wrażenie pięknego, chociaż ubogi przecie. Starowinki, których wiele, specjalność zachodniego Berlina, przystają w drodze, pokazują sobie, gaworzą. Ciekawe, jak jest we wschodnim.

W zajęciach ogrodowych chętnie sekunduje Gudrun, dobrze to robi, kaszle coraz mniej. Bardzo zajęta studiami, jej skóra zmęczona i zmięta nie budzi entuzjazmu; o, jakże jej trzeba słońca, wody, biegania nad morzem. Nie jest źle z entuzjazmem! wczoraj wieczór miłosny; Gudrun zaczęła tańczyć w muzyce, zbliżyłem się do melodii ochoczo; się tańczyliśmy, ze sobą, na styk bez dłoni, elektrycznie, gasząc światła, dotykając się w najczulsze miejsca, podniecając, zapalając kadzidółko i świece, rozbierając się wzajem z wolna, kołysząc wśród spazmów, natchnień i wzlotów kosmicznego ruchu.

Od rana buszuje w ogrodzie kos i zbiera materiał do budowy gniazda; jakież to pośpiech! speedy gonzales ledwo parę dni temu chrocił okrzykami i zdecydowaniem bojowym swe osiągnięcia, piskłeta, które wyfrunęły z gniazda.

Miła Zamkowa; cztery pasma szacownie roślących lip, jezdnie oddzielone od domów ogrodami, prawda, że biednymi, trawa i krzewy; w środku szeroka aleja dla pieszych prowadzi do pałacu Charlottenburg i wygląda pięknie, ale nie oglądaj się, druga strona to nowoczesne niebo, przenicowane kolorowo mdło. Piękna aleja wiosną, coraz więcej zieleni, w coraz to innych odcieniach.

W oknie galerii wielkie BALD, czyli wkrótce. Ludzie reagują; ci, którzy mnie znają, wiedzą o wystawie. Ogród żyje w słońcu, paruje lekko; wszystkie konwalie przyjęły się, parę ledwie zwiędniętych, co ożyją nocą. Straszne dla Gudrun - praca ze mną w ogrodzie; chyba pierwszy raz kopała ziemię, szybkie pęcherze na dłoniach.

Ale widzisz, mój Drogi, kuśtykając wśród prac i przygód, wróciłem dzisiaj do listu - choćby dlatego, aby mieć co robić.

Ano, jeszcze słowo przed świtem piszę długopisem Rotraut; odwiedziłem ją wieczór, aby się wykąpać; pieściliśmy się trochę, żeby poczuć, jak mi do niej staje; ale myśl o miłej to przerwa albo brak ochoty; zszedłem do siebie, dalej do kiosku, i zadzwoniłem do Gudrun. Cichutka, slabiutka, ledwo głos dobywa. Poczułem się zaskoczony, nie miałem do powiedzenia; wróciłem do biurka rysować. Pisałem do przyjaciół w Sztokholmie.

Szesnasty, list od Tomka z Warszawy pisany jest nieznanym alfabetem, przypomina pisma mitycznego wschodu. Spojrzałem parokrotnie i pistoletem przyspiliłem do ściany; co to za kontakt, w nieznanym języku o znanej tajemnicy?

Nie odczytujemy się wzajem. Mój list do Ciebie może również nie znaczy, może chce tylko pobywać?

Nie chwytam za nitkę, aby wyjść z niczego? nie układa się w życiu, gdzie zniechęcenie=zbydlęcenie; ale ale! proszę tu nie narzekać, bo przyleję paletą po dupie!

Dzień jak codzien zwykle, strzyżę trawę, maluję ostatni w galerii brudny 'pokój Humpphrey'a', zraszam ogród wodą, rozmawiam z

wieloma ludźmi, jak to chłopina w pracy; ciekawy dr Paul na spacerze z żoną, którą uczy chodzić w tempie metr na minutę; odpoczynek i herbata w słońcu; Engelbert pochodzi z Polski, architekt w Berlinie od lat dwudziestu, maluje swe fantastyczne architektury, nie znając możliwości realizacji. Peter, malarz słynny a w sobie mocny tu przyszedł; nie mówi po angielsku, a gdyby nawet po polsku, to cóż by powiedział? Gudrun z nim gadała, ona ma czuja, zwierzyła się z zaskoczeniem, że to czystej rasy burżuj. Sasiadka, która codziennie z dzieckiem w wózku, przynosi mi 20 małych słoneczników; niezwłocznie znajdują miejsce w ogrodzie.

Ach, Gudrun dzisiaj fantastycznie miła, kochanie się cudne. Party ogrodowe, Przyjacielu, rozkręca się zwolna. Pogoda upalna i słoneczna, bodaj przedburzowa; szum aut, dźwięki ptaków, muzyka radiowa; żyć nie umierać - jeszcze całe dwa miesiące!

Postanowiło się, że wernisaż 1 czerwca piątek o dziewiętnastej. To prawie po sezonie, ale niech się święci.

Sobota 19 maja zaczyna się wcześniej; świt we wrzasku ptaków. Święty Augustynie, jak ci życie płynie? Wczorajsze party ogrodowe odwiedziło wiele gości; skończyło się nieprzyjemnym starciem z Michaeliem. Ach, jakim tam starciem! z nim nie można się nawet zetrzeć, ucieka w nieznajomość angielskiego, używa Christiana do przekładu kwestii, a ten pompuje się na tronie ważności, zanim cokolwiek wygłosi; robi się rwetes. Boss żąda trzydzieści procent od sprzedaży, ja stanowczo odmawiam. Oto bilans: ma galerię, drukuje zaproszenie i plakat odpisując to sobie przecież z podatku, a ja? czyszczę i odnawiam galerię, maluję dwukrotnie okna i drzwi, maluję ściany, sufity, fasadę, remontuję toaletę w podwórku i mury; ba, robię wystawę i mam być na niej codziennie obecny!

Ponieważ labidzi i ufa, że nawet plakat i zaproszenie przyniesie straty - proponuję zwrot kosztów. O procencie od sprzedaży w sytuacji, gdy płacę również za elektryczność - możemy teraz pogadać.

Oburzał się, nie zgadzał na wystawę w takich warunkach - więc było o imperializmie, wyzyskiwaczach, czarnym kolorze, wielkim brzu-

chu i innych, jak mówią uczeni w piśmie, imponderabiliach! wiesz? gębę mam niewyparzoną, gdy sytuacja parzy! Nawet Christian się peszył, gdy mówiłem, aby tłumaczył, a nie popisywał się.

Prawda, że piłem sporo wina, jointy latały także spaśne i obfite. Yves już wrócił z wojska, okazał się zbyt chorowity; przyszedł z Limem. Nadeszła też pierwszy wiosenny potężny sztorm dla rozładowania napięć. Lim przyniósł skrzypce i jego ojczyste solo miało w tle wspańiałą orkiestrację burzy.

Padłem kiedyś, zasnąłem. Gudrun przysła o trzeciej, nie powitałem jej miło; obudziłem się nagle zrozpaczony i wstałem, napiłem się gorącego mleka, poszedłem o świtaniu na spacer.

Właśnie wróciłem i jestem w brzasku pod oknem na zewnątrz.

Wczoraj kwiaty do ogrodu od pani Dorothy i Rotraut, z Gudrun na markecie także kupiliśmy po pięć. Słoneczniki przyjęły się wszystkie, ale nie będzie im dobrze, za dużo cienia. Zasiałem trawę kolumbijską i marokańską, pierwsze wschodzą. Jak wiele ptaków w tej alei, pewnie więcej niż ludzi w ich dziuplach! Wiele też aut. Ach, Przyjacielu, nie chcę żyć w kapitalizmach wśród przekłętą gadania o forsie; w kraju nie brakuje go zresztą, porażało jak prądem, ale są młodzi, pełni entuzjazmu i ofiarności; czy ja wiem zresztą? dwa lata w Polsce malowałem zaciekle i nie wiem, jak żyją; mieszkałem zresztą pod chmurami, nie jak teraz, na widoku.

Pierwsi przechodnie, naparzę herbaty.

Piłem herbatę, potem w łóżku godzinę czy dwie, nie mogę spać, Gudrun ślicznie zaróżowiona śni głęboko; wstanę znowu i pójdę do parku, bo się zanudzę na śmierć, i kosmici będą zaraz to mieli. To! a Tobie byłoby żal, bo co? nie jesteś gorszy! À propos śmierci.

Siedzę na ławce, piszę na kolanie; zagajnik brzozy za mną, rzeczka wśród szuwarów przede mną. Upalnie, pachnąco, pochmurnie i mglisto po tej nocnej burzy; byłem zbyt zaprawiony, aby w niej uczestniczyć wzruszeniem; ostatnie, co pamiętam, to skrzypce i łoskot piorunów.

Nie jestem wysoko tej wiosny; na lewej skroni pojawia się guz wielki jak dwa poprzednie. Christian uroczko żartuje, że to syfilis.

O co poszło, gdy przysła Gudrun? ach, brakowało mi jej w ten

upojny wieczór; w jej obecności inaczej by brzmiała rozmowa z Michaellem; a może było mi źle w objęciach kaca? rozstrzygaj, jeśli potrafisz; ta cholerna polska tęsknica nie do zaspokojenia! Ona była gdzieś wśród nudnych ludzi:

- Ale nikt nie wychodził, więc dlaczego ja miałam wychodzić?

- Miałas wychodzić natychmiast, bo na ciebie nie czekałem, głupia!

Nie jestem wysoko tej wiosny; przed rokiem żyłem w uniesieniu, malowałem półtora roku bez wytchnienia, miałem kupę nowych obrazów i przekonań o genialności, w torbie paszport i wzniosłe plany podróźnicze, Ania piękniała w nieustannym śmiechu, wyruszałem niekiedy z pracowni i włączyłem się po Warszawie z butelką wina i paroma skrętami do przyjaciół i na koncerty.

Trochę później uniesienie i szczęście diabli wzięli. Dobrze, że lubię pracować, nie pozwoli mi to umrzeć z własnej ręki.

O świecie kocham ten ogród; nie mam na ekstrawagancje, bo zainwestowałbym kawałek grosza, by czynić go pięknym; nowe od wczoraj są tu geranie. Ogródek sprawia, że powątpiewam w sens włączyć; tam do licha! chciałbym mieć dom i ogród, w którym mógłbym przejawiać talenty.

Dom, ogród, śmiechu warte słowa. Nadciąga nawałnica płomienna, co znosi marzenia, nadchodzi praca, co będzie rozkwitać dla ludzi i w ludziach!

Przyjacielu, pytam, bo zraszam kwiaty - czy nie uwiądnął ten list?

Niedziela wieczorem; codzienne zajęcia ogrodowe polegają na tym, że zraszam ogród. Nie zrażam się nieobecnością Michaela, jest stan wojenny z czarnym pułkownikiem, usłyszał w piątek wyraźnie, co myślę; jest obrażony, tęsknił do powodu, aby się poczuć obrażonym, a niechże się wie dzie jasno w jego ciemnym świecie!

Pomalowałem dziś toaletę w podwórku, którą przecież będą odwiedzać goście; wyszedł świetny róż, gdy do bieli dodałem szczyptę czerni i sporo pinku; zapamiętać to zestawienie; przyda się kosmitom!

Kończyłem malować murek ogrodowy, gdy przysła ośmiolet-

nia dziewczynka Jacqueline; popatrzyła bystro wokoło, zapytała, czy może pomalować i dokończyła robotę dzielnie sama! Weszła do środka, aby myć ręce, i rozmawiała z Gudrun.

- Czy ty jesteś jego żoną? - zapytała, a kiedy usłyszała, że tak, powiedziała: - Jeszcze nigdy nie widziałam takiego małego mieszkania, musicie być bardzo biedni.

- Nie jesteśmy bardzo biedni - kłamie Gudrun, - ale bardzo szczęśliwi.

Ot, pogadały koleżanki! Ta mała to będzie przyjaciółka.

Idziemy z Gudrun na wino; cóż lepszego w piękny majowy wieczór, niż miłość i wino?

Dobrze przebiega weekend; wczoraj byliśmy długo i pięknie w ogrodzie botanicznym, codzienne są spacerki, miłość, pieśń i zrozumienie - dla małego przecie wiesz, kiedy nie maluje.

Rozmawiamy z ludźmi, co rusz ktoś przychodzi; dochodzi do tego, oburza się dzikus we mnie, że trzeba zasłaniać okno firanką, gdy chcemy się kochać.

Piątek 21-go w ogrodzie; przywiozłem z galerii duże obrazy i polubiłem znowu, wieszając w pracowni na ścianach i między drzewami; środowisko naturalne robi im dobrze. Ludzie przechodzący ulicą albo środkiem alei widzą wszystkie, czy chcą, czy nie chcą.

Ostre z Michaeliem napięcie, ale nie zwracam uwagi, zajęty ideą wystawy, jaka jest: w pracowni, na ścianie domu i między drzewami. Zdjąłem z okna galerii napis 'wystawa', zastępując go plakatem 'nic', co dobrze koresponduje z 'wkrótce'.

Przyszedł więc do mnie, mówiąc, że może skończymy te żarty i zrobimy popołudniem, co trzeba, aby wystawa ruszyła. Okazują się chętni i zgodni.

Dobrze czuję się wśród moich wielkich płócien. Znowu! Szkoda, że moja miła nie widzi. Wszystko jest dobrze w dniu ciepłym i pochmurnym; wieczorem przyjedzie Katja z przyjaciółmi; mam chyba już projekt plakatu.

Moje obrazy ciut blade w pełnym słońcu? malować w poranku

i pełnym światłem, w pejzażu, niech płótna sycą się przepychem życia i światła. Trudno identyfikować się z barwną przeszłością; może wystawa berlińskich obrazów wspomóc?

Ha! dzisiaj widziało obrazy więcej ludzi niż przez tydzień w zimowej galerii! Chociaż tam przychodzili na wystawę, a tu po drodze. Wielu jest takich, co zasuwają ze wzrokiem utkwionym w chodniku i świata bożego nie widzą; klasa uciśnionych przez myśl.

Tak mi się oto zaczyna żyć w otwarciu, na widoku, bez obaw, że jestem jaki jestem. Ciałem, wierszem, obrazem, jak popadnie.

Hej, Przyjacielu, dziesięć miesięcy już piszę do Ciebie ten list jednoroczny; skończę 22-go lipca dwa miesiące, już poza Berlinem, daj boże. Zmierzcha się. Umyłem włosy, ogoliłem. Obrazy jeszcze wiszą, już prawie niewidoczne, tylko oranżowy 'Dozorca świata' świeci w mroku. Wieczór; czy na polskich wioskach słychać pieśni majowe? Chwalcie łąki umajone? Płonie czerwona świeca na stole, dźwięczy chopinowski nokturn z amerykańskiego radia, pachną rozkwitające w ogrodzie konwalie, życie jest rzeczywiste, ale zbyt ciemno, by pisać. I zdaje się, goście przyjechali; o halo Rotraut! dzięki za bułkę śniadaniową na oknie!

Wtorek też niezły; zaproszenie w druku, chociaż powinno być już rozesłane; fajne, fragment obrazka z nadrukiem tekstu, jak sobie życzę. Boss kontynuuje działania opóźniające; projekt plakatu za duży, nie można fotodruku w tej najtańszej drukarni; mam robić raz jeszcze.

Przyszła Jacqueline, rodzice z Jugosławii, jej oczy rozblęły, gdy zapytałem:

- Kako se zowiesz? - przyszła z koleżanką i rozkładają na stole lalki i zabawki, przyniosła cały dobytek! na wszelki wypadek zdejmują ze stołu stopy. Dziewczynki zafascynowane, że do środka wchodzi się przez okno a żyje na zewnątrz. Skaczą jak ja w obie strony, cieszą się jak dorosłe.

Yves, syn Dorothy, ma lat osiemnaście. Nie wie, co w życiu

robić, poszedł z tego wszystkiego na ochotnika do woja! a ja chciałem lancetem ścięgną, żeby uniknąć większego zła! zachorował ostro przez miesiąc i go zwolniono; zamierza jechać na południe Francji i szukać pracy w okolicy Cannes; problem, że nic nie umie; tylko w marzeniach jest bez konkurencji. Okazują się nieuk, nie umiem doradzić.

Przyszła Gudrun jak miło; ostro zabrała się do studiów; raz w tygodniu, jak dzisiaj, pracuje w biurze projektowym dla chleba; bardzo mi się podoba jej energia, wola, pracowitość. Zabrał ją po obiedzie do Mistrza i Małgorzaty Bułhakow, a ja zrobiłem plakat prosty i piękny, jeśli nie zmieniają mi liternictwa.

A teraz druga nocą, po burzy powietrze jest czyste, pachnie majem i konwaliami, co kwitną w nieobliczalnej krasie. Dobrze w zapachu, lecz nie przeżywam specjalnych uniesień; jak zwykle po pracy i niedospaniu bolesny ucisk okolicy serca. Jeszcze 50 dni w Berlinie. Bardzo tęsknię za warszawskimi przyjaciółmi; nic do nich nie mam, po prostu uściskać, pobycć chwilę razem.

Wkrótce wystawa. Będzie sporo roboty, bo to dwie wystawy; na Zamkowej obrazy malowane w Berlinie i, jeśli dopisze pogoda, duże obrazy pomiędzy drzewami na linach, jak teraz, zaś w Galerii-caffe oleje warszawskie; Warszawa-Berlin piszę na plakacie.

Środa jest w niebywałym słońcu. Kochamy się po przebudzeniu, gdy zapukano energicznie do okna. To para staruszków, wyjrzałem górą ciała, bo niżej ach nagi. Mężczyzna donośnym głosem zapytał, jak się nazywam, zgadza się, oznajmia zatem, że poszukuje a może właśnie znalazł malarza, który na suficie balkonu wymaluje niebo, gwiazdy, słońce, księżyc i kometę. Dobrze trafił, jestem specjalistą od nieba. Zdziwiłem się dopiero widząc odchodzących, mężczyzna trzymał kobietę pod rękę, w drugiej dłoni miał białą laskę, ślepy! Co będzie, gdy malunek mu się nie spodoba w kolorze? Mam niebo malować zapachem? Zobaczę, mam się u nich pokazać o trzeciej.

Gudrun natomiast poszła, znerwicowana, że nie chodzimy razem, bo nie mam czasu; może czuje, że mnie nie zachwyca.

Siedzę w słońcu.

W zmierzchu przy Gudrun; zasłonięta Bułhakowem kompletnie, dobiegają mnie tylko śmiechy chichy. Zmęczyliśmy się chodzeniem po sklepach; parę herbat i ryż brązowy, nie kupiliśmy wszakże sandałów, a stare od Anki są tak nadgryzione przez czas, że połową stopy dotykam bruku.

Boże Ciało w południe i czwartek. Hej, Przyjacielu, nie zostawiaj mnie samego w słońcu na tydzień przed wernisażem dwóch wystaw, wspomóż dobrą myślą. Mam właśnie podłużną kartę zaproszenia; zobaczyłem ją rano przez okno galerii i wściekłem się, zasmuciłem, że ktoś zmienił układ graficzny; teraz, wracając od Rotraut, gdzie malowałem na białą deski biblioteczne i robiłem pranie, wziąłem kartę do ręki i polubiłem.

Co jeszcze ciekawego? wczorajsza o trzeciej wizyta u państwa L. jest wzniosła.

- Wie pan, ja jestem zupełnie ślepy. Proszę, pan pozwoli dalej.

Ładne mieszkanie, pachnące świeżo i czysto, meblowane i przybrane wiekiem osiemnastym. Ślepotą pana domu nowa, sądząc po niepewnym poruszaniu się w domu, albo mieszkanie nowe. Ach, pani domu miła! pan wykazuje do niej pełne zaufanie, będzie sobie mógł wyobrazić wszystko co namalowane, kiedy małżonka opowie.

Sufit balkonu to jasnoniebieska tafla, pierwsze podejście w stronę nieba, metr na trzy siedemdziesiąt pięć. Wiem, że mogę namalować piękny obrazek, trzy światy, projekt we mnie gotowy, mam rysunek do grafiki, której nie zrealizowałem. Dobrze, zrobię szkic; dobrze, przyjdą w poniedziałek.

Kontynuuję po potężnej burzy, która wstrząsnęła miastem, łamiąc gałęzie w alei i porywając w pierwszym powiewie wiatru moje obrazy ze ścian; jakże się śpieszyłem z noszeniem! Adresowałem setki zaproszeń, kleiłem znaczki i koperty. Z Michaelem jakże przyjaźnie i pięknie! Czy to ma być kosmiczny omen, że kupił znaczki z laboratorium Skylab? wysoko lecimy? żartów co nie miara.

Gudrun od paru godzin pracuje zaciekle, kreśląc szkice architektoniczne; mieliśmy obiad z Rotraut; zaprosiłem panie na jajecznicę z cebulą, papryką, pomidorami i czosnkiem na ryżu. Pachniało aż na ulicy. Na deser listonosz przyniósł list Kasi z Londynu, chociaż ona już pewnie wśród przyjaciół w Warszawie, poleciała na miesiąc.

Piątek 25 maja nudno. Odwiedziłem galerię B i dzisiaj zastałem sekretarkę; owszem, proponują wystawę na lato, pod warunkiem, że będę na niej codziennie; cały dom do dyspozycji, korytarze i klatki schodowe, ale nie sale galerii, bo ta będzie zamknięta! nie ma dobrego oświetlenia, jest dobra klimatyzacja, która w maju sprawia, że odczyna się oddychać; nie ma ubezpieczenia. Chodziłem, patrzyłem; wiesz, co zrobiłem? zabrałem teczkę do domu, rzuciłem na łóżko i poszedłem w trawy. Nie ma wystawy! jest joga i medytacja; miejsce dla indianina w naturze, za żadne skarby nie będę spędzał lata w szklanej klatce, jeszcze nie zwariowałem.

Dzwoniłem do Katii, nie wyszła wizyta z przyjaciółmi, bo nawalili; przyjedzie wieczorem z Nielsem.

Przeglądałem swą teczkę, czyli pół setki najlepszych kartonów bieżącego roku; tęskniłem do nich, gdy były w galerii; są fajne; przeglądając wymyślałem tytuły. Chciałbym sprzedać coś na wystawie, lecieć do Nepalu i tam zimować. Zapraszam już na wystawę ludzi, którzy do mnie podchodzą, właśnie urocza para staruszków z sąsiedztwa; może się wzruszą i będą się lepiej ruszać?

Późna noc; wysłałem resztę zaproszeń na pocztę; wizyta to Lim i Yves, czyli o podróżach, obrazach i życiu. Ledwo wyszli, a tu następni goście, Monika w drodze z Paryża do kraju z chłopcem Danielem; ona dzisiaj cielątkowata rozlazła, on ładny chłopiec ale zamiast dłoni flaczek. Nie chciałem jej dać do czytania tego Listu i ostro starliśmy się na temat prywatności. Nie wiem przecież, czy list do Ciebie jest listem do innych, prawda? trzeba przepisać na maszynie, przeczytać i rozejrzeć się w tekście, wiedzieć, o czym jest i po co.

- Ja nie wiem, co to jest prywatna sprawa - mówi Monika.

- Zapytaj mnie, to się dowiesz - odpowiadam. - Prywatną sprawa

wą jest praca. - Sam sobie przeczę i plotę bzdury niezrozumiałe, skoro ona nie znalazła pracy, i sprzeczne z sądami o prywatności, które głoszę, Ty wiesz. I poszli wreszcie.

Spoglądam na list Tomka na ścianie; czy wie? a co ze mną? samotność się pogłębia, do ludzi coraz dalej, co im nie przeszkadza mnie kochać.

Michael smutny; Ewa wróciła o północy.

Sobotni poranek w słońcu; wczorajszy wieczór dziś ciemny; za dużo paliwa i przemyśleń; dziś nie palę tytoniu, jem mało; odczuwam potrzebę samooczyszczenia przed wystawą, tym bardziej, że chcę wziąć acid w tygodniu raz jeszcze, po dokonanej korekcie życiowej poczuć, co jest, kiedy miną bóle; lewa dłoń ma krwiak od paru dni w przegubie, przed tygodniem chciałem wbić nią gwoźdź.

Piękny dzień; gdy chmura przesłania słońce kolory gwałtownie intensywnieją, bowiem po burzach ostatnich dni miasto i powietrze jest czyste. Siedzę na przyzbie w słońcu, orientuję się, że w tym życiu przyszło mi być artystą, co znaczy - być w słońcu; dobre zajęcie, zapewniam, ale fatalnie źle płatne.

Wzburzyła mnie wczorajsza rozmowa z Moniką, bo co? robię prywatę? nie lubię siebie, oto gdzie sens pogrzebany; czyli to schiż - jestem jeden, kto kogo nie lubi? Praca jest osobistą własnością w tym sensie, że jest jedyną prawdziwą własnością.

Popołudniem miła niespodzianka, to hinduska Sylwia i Mariusz z Suzanną, których już poznałem. Sylwia jest stewardessą właśnie na wakacjach, czyli lata po świecie, dziś na dwa dni Berlin, następnie Kopenhaga, Wiedeń i Cannes; zaprasza mnie serdecznie na odwiedziny w Delhi, coś takiego! jest śliczna. Także Lim, Yves, Haka, parę innych osób gwarnie i radośnie; ogrodowe party trwa codziennie. Dialog z indianką, która ogląda ostatnie abstrakcje:

- Co to jest?

- Obraz.

- Ale co jest namalowane?

- Prawda.

- Ale ja nie wiem, o co chodzi, ja tego nie rozumiem.

- Obraz nie jest do rozumienia - śmieję się jej w twarz. - To tak jak z tobą, można cię kochać lub nie, ale rozumieć? jesteś niepojęta!

Siedzę piszę na ławce pośrodku alei, bowiem o tej porze moja pracownia i przyzba są zacienione przez drzewa. Widać przez moje słowa, jakie kontakty z ludźmi? rozumiem, a oni to czują.

O zmierzchu chwilę sam; Gudrun rysuje w pracowni; tyle osób przewija się tędy, przesiaduje przy ogrodowym stole. Kiedy jestem obecny, jest także gadanie.

Z zupełnie innego świata w których żyje Mariusz przywędrowało z nim pół litra żubrówki, więc upiliśmy się sympatycznie w sześcioro: Gudrun i Leonie przyjaciółka, Mariusz, Yves, Lim i ja. Kanapki smaczne pożywne z serem i papryką. Stół już sprzątnięty, tylko misa konwalii i świeca. Spokojnie.

Przechodzą goście od Christianów, Zbyszek i Kazik z dziewczyną, co kocha me obrazy, a z nimi Mario arystokratyczny; lepszy cham niż taki chłam! jestem chyba zbyt grzeczny, dlaczego nie nakopię do dupy?! Nie lubię, to wcielona pycha! wcielona w cielę! łach, który gardzi pracą; rozpustna ciota, co ćwiczy się w wygibasach diabelstwa, studiuje jego przejawy i stosuje codziennie; powiedz, Przyjacielu, brzydzisz się czymś lub kimś? Jeśli tak, wiesz, gdzie jestem.

Dzwoni na wieży dzwon; może już wkrótce będę słyszał wokół polską mowę?

Nie lubię tej chwili; piszę przy świecy, konwalie przekwitają, Gudrun żartuje z Leonie; nie rozumiem niemieckiego albo udaję. Gudrun prawie zachwyca się Yves; kto wie, czym zazdrosny; w każdym razie zirytowany - oni gadają, a życie przemija! Czuję się spięty; tyle ludzi dziś i przydarzeń, nic mnie nie fascynuje - a ja bez fascynacji nie umiem żyć!

Tzn. sam nie wiem co. Gudrun wciąż o miłości nawija, a ja pytam, gdzie ona. Dobrze, że wkrótce jadę, ale czy przed rokiem nie czekałem na wyjazd? także przed dziesięciu, sześciu i czterema laty?

Zabieram siebie ze sobą, niestety, bo jestem, kim jestem. Bo siebie można przekroczyć, ale nie zagubić.

Czy Kocham ją jeszcze, skoro czuję samotność?

Moja dłoń silnie pachnie prochem; najmłodszy synek Dorothy przyniósł taśmę z wystrzelonymi ślepymi nabojami; bardzo przejęty, bo opróżnił ją w pistolecie maszynowym; nie wiem gdzie, istotne jest stwierdzenie, że skosił pół setki policjantów; chłopcze, rób tak codziennie, a za sto lat nie będzie glin w Berlinie!

Jestem szczątkowo; dni spędzam w pracy albo w słońcu, o, wtedy zadowolony na okrągło, jak ono, ale wieczorami stan wrzenia, ekscytacja i rozdrażnienie, staję się zbyt szybki, gdy wokoło drętwo i leniwie jak teraz! Niejednokrotnie list do Ciebie staje się oparciem, gdy mało wspólnego z ludźmi, wśród których przebywam. Nie ma w nich wiedzy; mało tego, nie mówią naszym językiem.

Piszę także na świecy, ryjąc gorącym gwoździem: 'To jest to, czego nie ma. Ja.' Usiadła obok Gudrun, zapytała, co znaczy.

- To nie ma znaczenia - odpowiedziałem, jej uścisk zelżał; gdybym powiedział to ze śmiechem, reakcją byłby śmiech i pocałunek.

Robi się pusto, Leonie poszła, chłopcy się żegnają, z sąsiedniego domu głośna fajna muzyka, z domu po lewej zapach szamba; jest mi źle, albo chcę być sam; powiem o tym? bo trzeba mówić, co się myśli, nawet jeśli to pomyłka?

Zamknąłem zeszyt przed akcją, ale Gudrun właśnie przez okno weszła do pokoju, włączyła radio i leci 'Love is like oxygen', no dobrze już, dobrze, tylko nie za dużo tlenu dla pana kłębka w miejscowości nigdzie.

Jestem przestrzenią, której mi brakuje. Próbuję i tak, i siak, chcę żyć inaczej. Tymczasem wszystko jak zawsze, na ćwierć gwizdka, na bylejak, na byle przetrwać. Ukręcę skręta i pójdę w Berlin.

Nie zdążam! Nadszedł Michael z twarzą drapieżnie pomalowaną, co czyni go groźnym błaznem-wojownikiem, Petra w kreacji zwiewnej pink, Christian ocieniony fantastycznym beretem i Ewa w czarnych koronkach marzenia; a z nimi, o tak! dwie butelki wina. Takie wybawienie, kiedy mam dość na dzisiaj? nic nie ocali.

Gudrun zasypia w muzyce, Petra gawędzi z Ewą; bardzo oszczędnie odmierzam sobie wino, nie zawracać nim głowy. Gdzie jest właściwie, skąd do Ciebie piszę? W zawieszeniu między przeszłością a przyszłością wieczność się czuje malutka i trzeba jej spać.

A na świecy, już prawie na wysokości płomienia, stoi: 'To jest to, czego nie ma. Ja. I to spłonie'. Christian tłumaczy na niemiecki, ale nikt się nie śmieje; oj, kiepsko dziewczyny chłopaki.

Przed ogrodem na chodniku przewrócony zakaz wjazdu; pijany facio zatrzymuje się przy nim, usiłuje podnieść. Frau jest pewnie zazdrosna, bo kopie go w dupę. Fatalny kot Humphrey miauczy w ogrodzie; lepiej mu teraz, wychodzi z galerii i jest głaskany przez wszystkich; wciąż szuka Louisa. Miaucząc.

Jest ciepło. Płoną także w ogrodzie świece; wśród morza konwalii jest wiele białych rozgwiazdek, co pachną jak storczyki i zamykają się sprawnie i szybko, gdy zraszam ogród wodą. Daleko dzisiaj od Gudrun i bliskich; moi bliscy są też daleko, albo w ogóle ich nie ma.

Po drugiej jestem w pokoju, party się skończyło, zostawiłem nieporządek do sprzątnięcia na jutro. Nastawiłem wodę, żeby zaparzyć filiżankę kawy. Rano przyjedzie Werner, żeby nas zabrać do Tiergarten, gdzie jego ukochana będzie tańczyła Tai-Chi z mistrzem! Już kombinuję, że wolę do parku sam w trawę i słońce; może już zaraz, kiedy napiję się kawy.

W tym stanie zbydlęcenia myślę chwilę, czy wziąć acid, ale to byłoby szaleństwo przed spaniem. Sylvia ostro mnie nakręciła na podróżowanie; dla niej świat jest okrągłutki i mały; nie mogłem sobie przypomnieć, czy kiedyś przedtem ją pocałowałem. Ona twierdzi, że nie, ja, że kobietom się nie wierzy.

Napiłem się kawy, tyle nowej energii że ogoliłem wariata; położę go obok smacznie śpiącej Gudrun, niech sen mnie odmieni.

W niedzielę byliśmy w parku podziwiać melodyjne płąsy pięknych ludzi, biegaliśmy po trawie w żartach i śmiechu; w domu nie-

dziela miłosna łagodzi zachowania nocne, kiedy mój świr robił ćwir.

Poniedziałek przepięknie; zjrzałem rano do Christiana, tam telefon Rotraut, szuka mnie Gudrun; mam wziąć wszystkie plastikowe torby i przyjechać pod uniwersytet, gdzie klomby i bratki.

Czynię to natychmiast; jadę, znajduję, zamieniam słów parę z robotnikami, jeden mówi po polsku; wyrzucają wszystko z klombów, by sadzić nowe; wybieram najmłodsze krzaczki, ze sto sztuk i mnóstwo narcyzów, co ledwo idą w paki.

Przychodzi Gudrun z koszem kwiatów; przemiłe rozmowy z majsterem, co kieruje robotami i kocha kwiaty; jest nami zachwycony, bo wiele kwiatów ocaleje; dostaje zaproszenie na wystawę.

Przywieźliśmy kwiaty do domu, miła niezwłocznie wróciła na zajęcia, ja zaś wiele godzin pracowałem w ogrodzie, sadząc i podlewając obficie; wygląda teraz pięknie, ale, wiesz? zależność powstaje - bez mnie ogród umrze w tydzień.

Przez ogród poznaję mieszkańców domu z daleka, bo nie znam języka, w którym do mnie mówią; wierzę, że uśmiech i spojrzenie wystarczy za wszystko.

Wtorek, złe wieści od Berta; Urząd Celny żąda, abym zabierał płótna z Berlina w trybie natychmiastowym; mówię o wystawie; miałem przecież dostać zezwolenie dwuletnie; zmienne są postanowienia jako i w galerii, gdzie płaciłem kapitalistom kupę pieniędzy za nic wbrew ustaleniom!

Wybieram papiery na wystawę, oprawiam je w ramy i szkła, które myję; szkielec jest za mało, Michael zgłasza votum nieufności; wizyta Geralda, co studiuje planowanie przestrzenne pejzażu; jeszcze Klaus, Rotraut i irlandzki muzyk, imię wyleciało z głowy, z kobietą-materacem ciekawie, męcząco.

Świta. Oprawiłem dwanaście obrazów, nie to, co chciałem, lecz to, co pasuje formatami do ram.

Środa, Bert uspokoił jakoś Urząd Celny; dostałem wóz i ludzi do transportu dwóch największych obrazów, zrobiliśmy to szybko i sprawnie. Jutro montuję ekspozycję w Galerii-cafe z Michaelem, dzisiaj sam robię tutaj, a roboty huk. Przepiękny list śle Dudi z Nowego Yorku; jest przyjaźń na świecie! Siedzę zatem w słońcu, którego częścią jest ten ogród, obrazy wystawy, i wszystko.

Czwartek bardzo zmęczony, robię wystawę sam; Gudrun nie pokazuje się w fałszywie pojętej trosce, żeby mi nie przeszkadzać, ma zresztą wiele zajęć w tym tygodniu; pamiętaj, nadrabia chorobę.

Rotraut zaprosiła na obiad smaczny nad wszystko, więc nie głoduję. Ale nie ma nikogo, kto powiedziałby, czy krzywo czy prosto, który róg w górę.

Sobota; siedzę na przyzbie; to zapewne miejsce słonecznego pobytu na parę następnych tygodni. Jest drugi czerwca po wernisażu, który wczoraj nadzwyczaj pięknie. Wiele ludzi, obrazy, ogród i kwiaty, świece, reflektory oświetlające Kreację, zawieszoną na linie między dwoma drzewami; obraz piękny z każdej odległości, ale miło nań patrzeć z dystansu dwustu metrów!

Ostatnie trzy doby wyężona praca; niemal nie spałem i nie jadłem, ale czułem się świetnie - po coś! W galerii obok wiszą 32 berlińskie obrazy, w tym siedem płócien; w Galerii-cafe osiemnaście olejów i akryli warszawskich.

Wystawa przyjęta dobrze, wręcz entuzjastycznie; ale są także opinie negatywne: inteligentnie ubrany malarz twierdził, że obrazy malowane dłońmi to czysta bezczelność, żadna sztuka; omal go nie pocałowałem z radości, że ktoś wątpi, jak ja.

Przerwała mi pisanie dziewczyna; obejrzała wystawę pobież-

nie, usiadła obok mnie, pytając, dlaczego się uśmiecham.

- To dobre! - wybucham śmiechem. - jest z Heidelbergu, studiuje dyrygenturę i organy. Gawędy chwilę; na pożegnanie objęła mnie mocno i ucałowała serdecznie, już kocha.

Gudrun wypoczywa, w łóżku boli ją głowa, rozstrojona wernisażem i tym, co działo się na jej oczach; mniejsza o wielość spotkań i rozmów, niech zdążę Ci zapisać najważniejsze.

Przyszła piękna dziewczyna, omal nie uwiodła. Rozmowa w galerii, pocałunki w bramie, dotyk nasz bardzo czuły; sterczące sutki.

Ach, zapytałem:

- Jak ci na imię? - a ona, dumnie wyginając szyję, nie pierwszy to raz taka odpowiedź, odrzekła:

- Nie mam imienia, ja jestem kobietą!

Nie do opisania jej piękno, więc co się będę trudził! chciała kupić obraz, ale było za drogo; może szło tylko o przedłużenie miłosnej pogawędki w ogrodzie, wśród pocałunków, które Gudrun z okna widziała. Rozeszli się goście, ostatni poszedł Latsch beznadziejnie zakochany w pięknej, spędzał z nią każdą minutę, gdy musiałem do innych; poszedł sam i smutny, mówiąc wszakże na pożegnanie, że mnie kocha.

- Widzisz, co za życie! - powiedziałem kobiecie. - Tak się lubimy, a teraz obrazy zamknę w galerii, tobie mówię dobranoc i pójdę, w moim łóżku czeka moja kobieta.

Dotknęła mych ust i oczu.

- Życzę ci pięknej nocy z twoją kobietą - powiedziała, i bardzo niepewnie dodała: - Ja naprawdę bardzo cię lubię...

- A ja ci życzę szczęśliwej nocy ze mną - odpowiedziałem - jakiejś innej nocy.

Czujesz, jaki idiota? ona gotowa do miłości w wiosenną noc, a czemu to nie przewałam jej w narcyzy i bratki? czemu nie kocham, skoro pyta stoi? czemu nie zabieram na długi spacer w noc gdzieś nad jezioro? Biedny kundel, zwłaszcza w świetle tego, co nastąpiło.

Zamknąłem zamki, do których oddelegowany, poszedłem do Gudrun; czekała nago, złakniona i czuła. W trakcie gorących pieszczot:

- Czy to ty robisz ten dźwięk? - wykrzyknęła z twarzą pobladłą jak strach. Uspakajam, nic nie słyszałem; opisała dźwięk jako niskie złe buczenie; zbliżyła się do mnie, a dźwięk się powtórzył! tym razem panika! ja również słyszę, w sekundę się wyjaśnia, że za mną na ścianie siedzi wielki komar, wiesz, jeden z tych wolno latających; odetchnęła z ulgą; w dwie sekundy odechciewa mi się pobywania; ubieram się, idę do galerii, potem świt nad jeziorem i spokój.

Królowej kobiety nie było; królowej kobiety nie będzie; królowa przychodzi jeden jedyny raz w życiu.

Kiedy wróciłem rano, Gudrun ubrała się i wyszła, mówiąc, że tego za wiele; w południe jednak wróciła dopić porannej herbaty; śpi.

- Sądzisz, że to był ten sam komar, który kiedyś donośnie zadźwięczał dla Waldi? - zapytałem.

- Sądzę, że to początek końca naszej miłości - odrzekła.

Zaczynają się długie dni; sporo ludzi odwiedza wystawę, wiele młodych, co rusz mi ktoś przeszkadza w pisaniu, krótkie i długie rozmowy; wczoraj bezczelny wobec kobiet; kochają podryw miłosny, to idzie łatwo, kiedy się zachwycam. Gabriela przyszła z Uwe zazdrosnym w oka mgnieniu; Gudula wpisała tu obok swój adres, mogę odwiedzić materac; Gaby cudna, po wypadku w barwach indiańskich, niebieskie żółte fioletowe plamy na twarzy i ciele; nie chciałem wierzyć, że wszędzie, nie chciała pokazać. Chciałem je wszystkie rozkochać i porzucić - w zemście za królową.

Dzień pogodny, słoneczny, jakaś wielka burza przeszła bokiem; radio mówi o przyjeździe papieża do Warszawy; parę dni temu Wiesław szwagier oznajmił, że rodzice też przyjeżdżają, żeby zobaczyć Papę; wielki dla nich dzień, zwłaszcza mama pewnie z tej okazji szczęśliwa.

Wczoraj był Andrzej i mówił o przygotowaniach w stolicy; ten podróżuje! teraz w drodze do Turcji.

Świeci słońce, złoci mnie z przyjemnością. Zatem mam wystawę; niczego to nie zmienia, ale daje wytchnienie; prawda, że mi się należy; teraz kontakty z ludźmi, stop dla malowania, atrakcje towarzys-

kie - więcej czasu dla Ciebie? Zachodzi słońce, lekka bryza strząsa nasionka z drzew; lecą, wirują w powietrzu małe helikopterki w nadziei na miejsce do życia; szybko mija dziś wiosna. Przyjacielu mój Drogi, pozdrawiam Cię; gdziekolwiek jesteś, jestem z Tobą.

Jak dobrze w czerwcu! można być razem we wszystkich porach roku, ale w maju! ale w czerwcu! Sam wiesz, jak to jest, kiedy nic nie wiesz, kiedy zwykle - żyjesz.

Oto znowu ludzie zatrzymują się przed obrazami, czytają plakat przyklejony do deski, przybitej do kołka, co wystrugałem w piwnicy, wchodzi do galerii; byłem tam przed chwilą, aby przekonać się, że jest bardzo high, bowiem od Gudrun dostałem kawał marokana jako prezent wernisażowy. Ach, miła Gudrun! W oknie galerii metrowy krzak margaretek, prezent od Rotraut; na stole przy mnie misa kwitających petunii: jasne fiolety w prążki, ciemne folety i jasne błękity, jeszcze pinki pręgowane bielą. Stół ten sam, który służył malowaniu, pokryty elektrycznymi ścięgami kolorów, głównie czerni. W zwolna nadciągającym zmroku pięknie w zieleni ogrodu świecą obrazy.

Pewnie wydaję się nie lada czubkiem sąsiadom z ulicy Zamkowej, gdy siedzę tak brązowy w białej, biało haftowanej koszuli, którą ukradłem a nie powiem gdzie, spodnie wciąż różowe, przez lata coraz jaśniejsze. Się lubimy; niektórych to z lekka niepokoi; nie przywykli do okazywania uczuć. Ich życie jest ciekawe, czy wchodzi do Przekazu, jeśli nie zapiszę?

Francuzka siwa pani czwartego piętra sąsiedniego domu zbliża się do ogrodu, z daleka wypatruje Humphrey'a, już kot do niej biegnie, pieści go i tuli w objęciach, ach! po pieszczocie jest i węgorzyk do poczęstunku! Pozdrawia mnie mówiąc, że wszystko cudne, albo coś w tym rodzaju.

Sąsiad z tegoż domu w weekendy kiwa się na nogach, gdy wyprowadza czarnego opasłego pieska na spacer; jest suchy i przygarbiony, w szczęsne dni ma przy piersi piersiówkę; zwierzał się przy wódeczce siedząc obok mnie na murku z najpiękniejszych lat życia, gdy był kimś, żandarmem we wsi Klukowo gdzieś koło Warszawy, sza-

nowanym i goszczonym wszędzie. Czy dlatego ostro pije, jak twierdzi Rotraut? myślę, że po prostu lubi gorzałkę, nie pije więcej, niż go na to stać, a węglarz nie może sobie pozwolić na wiele. Mówi do mnie odrobina angielskiego; zasób słownictwa niemieckiego ma również bardzo skąpy, mówi Christian.

Ja mówię do niego po polsku, bo nie mam nic do komunikowania - nic zrozumiałego! Była ciut starsza ode mnie, pięcioletni szkrab; nie jej wina, że urodziła się Żydówką. Nie jej wina, że matka, nie widząc szans na przeżycie, zostawiła dziecko w chłopskiej rodzinie, jako że gdzie troje drobiazgu, czwarte się uchowa. Czas mijał. Kolejny ukaz niemiecki głosił, że za ukrywanie Żydów kacet. Nie wytrzymał stary Antoni a może ktoś doniósł, chociaż miała jaśniutkie włosy. Żandarm był popularny w całej okolicy. Przyszedł pewnego dnia; może litował się, nie chciał robić kłopotu rodzinie, słać kogoś do obozu? pogadał z Manią, wziął za rączkę i powiodł w dojrzewające zboża. Na miedzy strzelił w główkę z rewolweru, poszedł dalej.

Wiesz, przed paroma laty, gdy odwiedzałem Polskę, ktoś mówił, czy ojciec? że żandarm został rozpoznany przez ofiarę, której nie domęczył. Żył na Górnym Śląsku od wojny; dostał wyrok i w czapę. A ten tu żandarm słucha mnie pokornie, nie wie, co grane.

Pisaczek śmiga mi po papierze z szybkością elektronicznego zapisu. Żyć na zawsze! będąc zastrzelonym na polnej miedzy, między zagonami lipca! ktoś kiedyś za to umierał na krzyżu? widzowie spektaklu stają się katami - to przecież bardzo dziwna bajka, nasz świat.

Jakkolwiek się dzieje - Przekaz będzie wąski; nie wierzę w jakość informacji. Wiesz, jak to widzę, jaka jest obawa? wyobraź sobie, że z bezmiaru wibracji świetlnych, elektromagnetycznych, grawitacyjnych, dźwiękowych - wybierasz, powiedzmy, kolor brązowy. I wszystko będzie dokładnie spisane: zapachy, uśmiechy, mordy, objawienia, cierpienia, olśnienia - tyle, że na brązowo! Co za myśli się pasą w niepokornej głowie? że jeśli w sondzie nie będzie moich intuicji i uczuć, to cały Przekaz może być na brązowo. Wiedz, wybieram ten kolor, bo nie lubię, chyba, że jako podkład. Nie używam brązów, asfal-

tów, szarości, czyli kolorów ziemskich. Przeze mnie Przekaz dla innego świata? z tego? ależ ja nie z tego świata, zapytaj mej mamy!

Ach, skończę nasiadówkę i pójdę do Christianów oglądać telewizję, zobaczyć papieża i tłumy, wśród nich rodziców moich.

Śpi Gudrun w późnym wieczorze; niemile powitani przez Christianów byliśmy tam krótko, nie lubią się wzajem; oni patrzą jak na wariatkę z powodu panicznego lęku przez kotami, które opasłe są na pierwszym planie domu; ona ze zgrozą patrzy na ich popołudnia w chmurze papierosowo-telewizyjnego gorąca, gdy wokół szaleje wiosna i najpiękniejszy park Berlina jest obok.

Wizyty papieża ledwie minut kilka, obszerny program był godzinę wcześniej; praktycznie nic nie widziałem! po powrocie do domu zdejmujemy Krecję z drzew i niesimy do bramy wejściowej; tam jej schronienie na noc i deszczowe dni. Gudrun nie chce przenosić się do Krakowa albo Warszawy, ale są inne miejsca. Żadnych projektów na przyszłość, przekonuję siebie, dopóki nie spłacę długów.

Właśnie, jak z długami? powiększyły się znacznie o koszty plakatu i zaproszenia, wernisażu i elektryczności; jak obszył dwa i pół tysiąca do Michaela; suma rośnie wolniej niż jego respekt, ten rośnie radykalnie; ma wystawę, czy chce czy nie chce, słyszy peany. Mówią jednoznacznie i wobec fali miłości do moich obrazów Michael przeżywa przemianę; już nawet pojmuje, co robię! i ceni!

- Nie przejmuj się długami, to przecież żadne pieniądze! oddasz, kiedy zechcesz! - czy to nie brzmi po ludzku?

Poznałem go przed czterema laty; przyjechaliśmy z Amsterdamu bez grosza moim busem z Wandą, Bogdan wrócił do kraju; pierwszego dnia w Berlinie Christian mnie zaprowadził do galerii czystej i białej. Michael polubił grafiki; miałem zaproszenie drukowane po angielsku, potrzebny był nadruk godziny i miejsca; projekt plakatu zrobiłem tejże nocy, parę dni później 1 sierpnia wernisaż wypadł w moje urodziny. Tłumy niesamowite, dobre recenzje, sprzedaż codziennie; Michael przeżył raz pierwszy smak sukcesu galerii; pokochał mnie i docenił.

Zna słabo angielski; kontakt w języku niewielki, żyjemy w

innych światach; usprawiedliwia się teraz, że zima była długa a jego główny interes market nie funkcjonował wcale; zaczynało brakować pieniędzy, bał się mnie i mego rosnącego w wyobraźni długu, zadrżał życia i ludzkich sympatii, nie cenił pracy, co? wiesz na żywo, ciężko bywało pomiędzy!

Codziennie mu gratulują ludzie wystawy, wszystko się zmienia; prawi mi komplementy, które słyszy; przyjaźnie apeluje, bym się nie martwił, z pewnością się coś sprzeda.

Dobrze, się nie przejmuję.

To okropne, jak się nie przejmuję! Teraz mi ludzie mówią, jaki byłem na wernisażu! oto pan chce kupić 'Wariata', prosi o listę cen, już idę, ale znajoma rzuca mi się na szyję, o panu zapominam do dzisiaj. To przykład - czego? beztroski? głupoty!

Polski Ryszard saksofonista przyszedł z filmowcem telewizji i jego piękną żoną; pytali, czy nie ma więcej obrazów, więc zaprosiłem do pracowni; tam okazuje się, że facio w warszawskiej galerii GP kupił grafikę bliźniaczą do wiszącej na ścianie. Ryszard chciał, abym coś podarował gościowi, on dużo może, robi o mnie film; propozycja podlizywania się tak wzburzyła, że ich porzuciłem.

Wczoraj facio z Dublina inteligentny i święcie zachwycony rezerwował obrazy, chciał dzisiaj przed odlotem wstąpić po zakup; się nie pojawił.

Sporo na wernisażu rodaków; hej, murek i okolice, gdzie gromadnie siedzieli, upstrzone setkami niedopałków, mimo że rozstałem obficie popielniczki, aby nie gasić peta w kwiatek; dziś oczyściłem wszystko.

Jestem dobrze zmęczony, niebo delikatnie jaśniej, zaczynają śpiewać ptaki na drzewach; przepisałem tę noc! A jeszcze jest tylu ludzi, których poznałem, rozmawiałem serdecznie, ale znikalem w pół zdania; są sceny komiczne, dramaty i łzy; trzydzieści świec płonących wśród kwiatów w ogrodzie.

Coś niezręcznie między mną a Rotraut; piękny kwiat od niej się pyszni w galerii, ale, ach, chyba nie miałem czasu dla niej i przyjaciółki starszej dystygowanej pani.

W niedzielę jest wszystko do dupy; chce mi się spać. Nudno w wytwórni jelit cienkich, zwłaszcza, że obok mnie siedzi życzliwa materac, nudzi i uwodzi od trzech piw, samowzbudna tłocznia; aż tyle ma do komunikowania na marginesie ulicy.

Gudrun prosiła, abym coś przeczytał z listu, który piszę.

- To wybierz jakąś datę - powiedziałem; wypadło na 29 marca, jeden ze szczytowych momentów miłości. Dziwnie mi się robi, gdy czytam po angielsku; coś się zmieniło. Znikło zauroczenie; zdaje się wiotka błada znerwicowana; złości mnie to i niecierpliwi! To ja dla czegoś takiego powiedziałem żegnaj królowej?! Groza w ogródku. Co z naszą miłością? Którędy biegnie w siną dal, czy się w ogóle trzyma na nogach, czy może jest czystą ideą miłości, której nie trzeba nóg, ani tego, co pomiędzy?

A jednak wczoraj wieczorem w kochaniu się była piękna i wspaiała; może piękno jest warunkowane uczuciem?

A co wspominam, gdy Petra gra na fortepianie i rozmowa z Christianem ucichła? Jak wieczorem konie uciekły z podwórza i szukałem ich z ojcem i rodziną po pagórkach; trzepot nocy w świetle przygody, wiejące w brzożach końskie grzywy; oczarowanie i dreszcz.

Christian czuje się zobowiązany do informowania, jaką to straszną agresywność odczuwa do Gudrun; fakt, nie zachowuje się ładnie w swym domu, kiedy nas gości, ani podczas wizyt u nas. Ba, agresywność nie odnosi się tylko do Gudrun, to wiodący motyw życia wewnętrznego. Christian prosi o przekazanie wyrazów ubolewania.

- To sprawa między wami, Christianie, nie rozumiem przecież, gdy obrażasz ją po niemiecku! ale jeśli ubolewasz, powiedz jej niezwłocznie.

Przełożyliśmy parę wierszy Michaela na polski; o tak, nasz czarny pułkownik pisze wiersze wyraźne.

Wróciłem do siebie, a Gudrun mówi, że idzie do kina; pełna harmonia; chciałem proponować, aby gdzieś poszła, wykorzystała te parę wolnych dni, odpoczęła ode mnie, siebie i pracy.

Czy będąc sam, jestem bardziej? mogę spokojnie wspominać

'kobietę'; poruszała się jak tancerka; zwinne piękne ciało, jej dotyk, czułość i delikatnie rodzącą się namiętność. Nie wróci, zbyt mało się zdarzyło, akt miłosny nie ukoronował spotkania. Całowałem na wernisażu niejedną i głowy zwracałem chętnie, ale ta jedna dotykała mnie czule i wzniośle; ciała nasze miały świetny kontakt. Jej dłonie o długich sprężystych palcach; ciepłe piwne oczy, mocne usta delikatnie mnie badające językiem; smaczne nieznanne. Już nie pamiętam, co było przedmiotem rozmów.

Dzień chwilami pochmurny, o drugiej nadciągnęły i zagrzmiały chmury, pokropił deszcz, więc Kreację zaniósłem z Gundulą do bramy. Zaraz też wróciła Gudrun - nie była w kinie, poszła opalać się nago w parku, tego jej trzeba najbardziej, ale deszcz pogonił.

Przed zmierzchem niebo staje się pogodne, wynieśliśmy obraz na miejsce zacne między lipami; świeci jak spokojna lampa, zapalam mu jeszcze reflektor. Chwila z Lizą i Rotraut, więc Gudrun znowu poszła, chłodny agresywny blask oczu na pożegnanie; wzięła koszyk podróżny ze swymi rzeczami; nie wie, kiedy wróci.

Bardzo miły wieczór, polskie Elżbieta i Barbara, obie świetnie czują malarstwo, kochają moje widoki; Michael zdruzgotany pytaniem, dlaczego nie wystawiam obrazów w Narodowej Galerii. I jeszcze trójka młodych poetów, którzy robili notatki patrząc na obrazy.

Wyjaśniło się, dlaczego chłód Rotraut; jestem zakłopotany; wrócę jeszcze do wernisażu, doprawdy straszna scena.

Przemiała starsza pani o arystokratycznym obejściu zaprosiła na zimową wystawę burmistrza i m. inn. jedynych klientów; teraz była zainteresowana ostatnim okresem twórczości, zachwyciły ją obrazy jednego dotknięcia, więc zaprosiłem obie panie do pracowni, by pokazać teczkę. Posłałem je znaczy pod moje drzwi na klatkę schodową, mówiąc, że wskoczę przez okno - i od środka otworzę. Zaraz zmieniło się w nigdy; ktoś mnie przy oknie zatrzymał, o paniach zapomniałem, Rotraut dzisiaj opowiedziała zdarzenie. Doprawdy, nawet przeprosić nie wypada po takim faux pas. A było podobnych sytuacji więcej.

W sumie dzień dzisiejszy udany, sporo ludzi odwiedza wystawę lub zagapia się, przystając przed Kreacją, wiele rozmów. To miłe wrażenie, być genialnym, nie mówić, słyszeć innych, gdy cię za-

pewniają. Co wszakże ani na jotę nie mąci kolorytu nieba, nie zmienia sytuacji materialnej podmiotu lirycznego.

Poniedziałek budzi się do życia późno i leniwie; zraszam ogród wodą; jadę z Ewą i Christianami kąpać się na Stadion Olimpia, gdzie woda mocno chlorowana, ale mokra i słońce przyjazne. Gdy wracamy, wieszam obrazy w ogrodzie i otwieram galerię, po czym idę na obiad do Christianów, zostawiając wszystko otwarte; niekiedy obrazy zostają na noc w ogrodzie i nikt niczego nie kradnie, chociaż tylu wchodzi i wychodzi.

Zabawna mentalność berlińczyków; lubili, gdy sadiłem kwiaty, ale mym akcjom towarzyszyło 'Schade', czyli: szkoda! wypowiedane z rezygnacją. Czego taka szkoda? Ach, bo ludzie rozkradną! a ludzie nie kradną często. Kwestionuję mym zachowaniem lęki i obawy sąsiadów, przy czym nie powoduje mną beztraska, lecz przekora.

Między dwójgiem tuczy się kryzys; nie wiem czy kocham, czy nie; wiem, że się nie zachwykam. A ja potrzebuję zachwyty do życia jak mydła do mycia! Jest szalenie zaniepokojona mym ewentualnym wyjazdem do Polski, pragnieniem życia i pracy w kraju; może pojedzie ze mną na wakacje? w tę stronę wczoraj szło główkowanie.

Ciekawe, gdzie życie powiedzie; nie tęskniłem do kraju żyjąc w Sztokholmie, w Amsterdamie nie miałem na tęsknoty czasu. Gdzieś trzeba żyć, pewne; zaciekle doświadcza mnie los; nie lubię zatrzymywać się w jednym miejscu na długo, nie myślę o życiu tam, gdzie znam ludzi i miejsca. Zobaczymy, co wyniknie z pracy składkowej losu, intuicji i malarskiego bata, co żąda płócien, farb i miejsca.

Szósta popołudniem słonecznego dnia. Melancholii trochę i zniecierpliwienie, co nie ma się jak przejawić, skoro nie maluję. Wiem, odpoczywam i ładuję się słoneczną energią potrzebną do następnego wysiłku, jakkolwiek będzie. Popijam małymi łykami wino, udaję, że się nic nie stało, o rozczarowaniach sza; pod powiekami mam obraz tej jednej. Powiesz: ach, jedna miłość mniej czy więcej. Ale to nie tak.

Miłość do malowania potrzebna jak kolory i dłonie.

Namawiałem Gudrun na parodniowy wyjazd; ciekawe, czy posłucha; a może już do niej tęsknię? do niej, do której? do kobiety, to pewne.

Na wystawie wizyty z częstotliwością dwie trzy na godzinę; bezpośrednio trafiam do młodych. Przed chwilą zaprzyjaźniłem się z dwoma punkami, co mieszkają obok; fajni chłopcy.

Berlin sprowadza na mnie otrzeźwienie; nie przybywam z dali galaktycznej, chociaż jestem przekazem, lecz z lubelskiej wsi, co cieszy dzisiaj w technicznym świecie, gdzie ludzie zapominają, co to wiatr, drzewo i ziarno. Tu w kapitalistycznym locie odczuwanie jest hamowane przez rozpustne lęki i gadanie o braku lub potrzebie forsy. Tylko biedni nie mówią, z nimi pobywam swobodnie. Dlaczego o tym do Ciebie? Wkurwia współczucie bliźnich, że nic nie sprzedają.

Niebywały kot Humphrey, biedna miauczająca góra, co do każdego przychodzi łaścić się i tulić, grzeje się w słońcu na kamieniach przed bramą i czuwa, a gdy w pobliżu zjawia się pies i wchodzi do ogrodu - kocisko śmiga ku niemu i atakuje bezwzględnie; wczoraj skoczył wprost w twarz wielkiego buldoga, który zmykał ze szlochem.

Napisałem do starszej uroczej pani, którą uraziłem na wernisażu, następujący list:

„Szanowna Pani,

moje zachowanie, którego w momentach ekscytacji nie jestem świadom, w innych momentach mnie samego oburza.

Proszę o łaskawe przyjęcie przeprosin i obrazka.

Z serdecznym pozdrowieniem - WiS.”

Do listu dołączę jej szary karton, który kocham.

Tymczasem nuda na słonecznej przyzbie dopada, gdy zapada zmierzch.

Oponowałem dziś z werwą szaloną wielkiej grupie młodzieży. Od czego się zaczęło? że głupiątko na obrazie dostrzegło swój lęk, wybuch atomowej bomby. Więc nawijałem o strachu, który człowieka trzyma w niewiedzy i bólu; słowa się mówią powoli, a ja w momencie jednym pojąłem, że obraz jako i malarz zdają się ludziom niebezpiecz-

ne! żyją w ciemności, przywykli do życia jako świńskiej męczarni, a tu coś albo ktoś przed oczami świeci i śmieje się. To jak mają reagować?

Kto się boi, ma tylko reakcje lękowe! wszystkie akty są chore, wszystkie czyny zboczzone. W tym momencie pojąłem co najmniej paru ludzi, którzy tak naprawdę, w głębi duszy - kochają, a na płaszczyźnie codziennych zachowań chcą pogłębić, upierdolić, poniżyć. Nie z nienawiści! To reakcje lękowe, ich razi światło. Sowy, gacki wielkouchi! zdają się sobie wrażliwi i mądrzy, a nawet się nie marzy, by stanąć w świetle prawdy. Tak mówię - stanąć! już teraz! nie czekać, kiedy będzie na leżąco, aż śmierć prawdę objawi! Mroczniaki! boją się słońca, radzi je przygasić.

Ale do tematu, bo się okazało, cała klasa uważa wśród uczonych cytatów, tytułów, analiz, że wojna jest sprawą paru lat, może pięciu, co najwyżej piętnastu. Teraz śmieję się drwiąco! To niby po co całe życie tyram? żeby jakaś zasrana bomba to rozpieprzyła? Oskarżyłem brutalnie, że oni tę wojnę robią, wzniecają, przygotowują, już teraz! aby patrzeć, a będą gotowi zabijać.

- Dobrze ci mówić - słyszę, czyli ich zatyka.

Powiesz, że dobrze mi tak mówić? W jasności wieczoru czuję, że nieco załgałem; ale przecież nie mogłem referować mojej optymistycznej wizji ponuklearnej przyszłości, kurczątki by spać nie mogły już dzisiaj! Zrobić to dla Ciebie? podać temat kosmitom pod rozważę?

Wojna nuklearna - nie temat dla wyobraźni, nudne, kto by się chciał tym zajmować! Załóżmy, że użyta została jedna trzecia zasobów nuklearnych; cała planeta poddana gigantycznym wstrząsom i twardej promieniowaniu. Jedna czwarta wymrze w akcji, połowa w ciągu pięciu lat. Natura wspomóż akcje ludzkie potopem katastrof. Pozostała część życia, a mam na myśli życie - wszystkie gatunki, nie tylko Ciebie i ludzi - będzie wymierać coraz wolniej i płodzić się ostro, żeby przetrwać; to, co się urodzi, będzie inne, bo genotypy się zmienią; w miriadach spotworniałych prób pojawią się nowe istoty, których część dożyje wieku płodności, przekaże monstrualne cechy i zdolności potomkom. Zmieni się cała roślinność; gdzie wszystko wymiera, pojawia się nowe. Sto, trzysta lat później nastąpi ewolucyjna eksplozja - nowe gatunki, rodzaje, mnóstwo innowacji. Zapewne nie będzie ludzi,

lecz wiele rodzajów ludziopodobnych; ludzie skundleni, kobiety z wieloma piersiami, ludzie glisty żyjące w mule i ziemi, ludzie pterodaktyle mięsożerne, ludzie żaby w szuwarach, ludzie tłuste hipopotamy. Na poły tylko cielesne na poły energetyczne istoty będą migotać w atmosferze, w innych kolorach, bo atmosfera się zmienia.

Orientujesz się, o co chodzi? Wyrażam proste przekonanie, że życia nic nie zniszczy. Zadaj mu cios - a wybuchnie fajerwerkami tworenia! Och, ciągnąć konkluzje za pępowiny? W łagodnym świetle dwóch świec i paru pochylających się nad zeszytem konwalii? Jaki tu spokój, piszę i nikt nie przeszkadza. Ciepły wiatr wieczorny pachnie i żyje. Czy możliwe, że uniwersum wie o sobie tylko, co wiemy o nim?

Dziesiąta; zadzwoniłem jednak do Gudrun z pytaniem, czy nie chce przyjechać.

- A chcesz tego?

- Nie wiem.

Więc nie chciała przyjechać. Umówiliśmy się rano na pływanie w jeziorze.

Ale we wtorek nie jadę na spotkanie Gudrun; robię zakupy na markecie a kiedy wracam do domu, pod galerię czekają ludzie, otwieram więc kramik. Wygrzewam się w słońcu godzinami z marokańczykiem Ahmedem; wstąpił do galerii po drodze jak przed czterema laty na rozmowy o ludziach, religiach, systemach rządów i własnej drodze życia; odpowiadam na pytania niemal automatycznie, są takie jak kiedyś, syn pustyni nie zaczernął wody ze źródła wiedzy. Towarzyszy nam rozgarnięta Doris szesnastoletnia dziewczyna, pół-niemka, pół-amerykanka; może ma ochotę zostać, ale dyplomatycznie żegnają ich oboje na raz, odchodzą.

W chwili wytchnienia robię na obiad zieloną sałatę z pomidorem i surowymi pieczarkami made in Poland; jem w zamyśleniu, że trzeba się oszczędnie odżywiać; kończy się forsa, a śmiało patrzy w oczy perspektywa, że nic nie sprzedam.

Jest szósta wieczorem, chmurzy się; to już nie wiosna, lecz upalne lato, może nareszcie spadnie deszcz. Dzień rozmów z ludźmi; nużące dla mnie, pożyteczne dla stron. Gerald mówi dzisiaj, że mój pobyt tutaj działa na mieszkańców domu; zaczynają się poznawać i rozmawiać o mnie, wreszcie wspólny temat, czego nigdy przedtem. Zabawne. Ale wolałbym działać wśród swoich.

Wieczorem rozmowy z Rotraut i Margaretą, sąsiadką z domu obok; pochodzi z Łodzi, jest matką Beaty, którą wyda za mąż; chce również mnie swatać - z litości dla mej samotności. Także Klaus z dziewczyną i winem; przyszedł też młody malarz z Katrin, lat siedemnaście i sexy, we mnie wpatrzona i uwodząca.

Piszę w galerii. Jeszcze przyszedł pijaczek, żeby dostać dwadzieścia fenigów. Wszystkie towarzyskości przyjazne, ale dzień szczelnie wypełniony pustką. Czuję w dłoniach jej wiotką sylwetkę o szerokiej pupie, prężne piersi, smukłe palce, którymi pieściła delikatnie; głowa lekko wzniesiona do góry z takim wyrazem, jakby tam, gdzie patrzy...

Jaka ciepła ta noc! Gdzie ją spędzasz Ty, do którego piszę? samotny jak ja? czy umiesz czekać na miłość?

Chciałbym zamknąć galerię, ale nie mam z kim ponieść Kreację do bramy, musi pojawić się gość, przechodzień lub sąsiad; obraz teraz ciężki, bo także tylną stronę obilem mocnym płótnem, aby nie szkodził mu wiatr. Sam nie poradzę, zwłaszcza w wietrze.

Więc powiem Ci o Kreacji; przeszło rok życia zawiera w sobie ten obraz; najlepsze, co w życiu zrobiłem, a z definicji najlepsze jest jedno. Miał trzy fazy ewolucyjne; w pierwszej podobny do teraz, ale cienko i za mało przestrzeni; zamalowałem światło i pół roku malowałem czarną dziurę; rozszerzyła się na całe płótno, a w niej zarys twarzy ludzkiej z wirującym światem gwiazd, przestrzeni, pejzaży.

Po jakimś czasie nie o to chodziło; w dziurze pojawiło się więc znowu i rośnie na zawsze światło w kształcie głowy, z niej promieniuje przestrzenne rytmy żółci, czerwieni, fioletu, błękitu. Był taki moment czy doba zimowa, gdy obraz zdawał się gotowy, ale zniszczyłem wyciskając na płótno z pół setki tub farb olejnych, aby rozbijać je

pędzłem i tworzyć raz jeszcze pejzaże z fakturą bogatą jak rafa koralowa, a gwiazdne przestrzenie gładząc kolejnymi laserunkami coraz ciemniejszych błękitów.

Obraz jest zmienny w wyrazie, ma światło wewnętrzne, ale faktury coraz to inaczej przyjmują załamują światło; jest uzależniony od pogody albo przystosowuje się do niej.

Nazywam go Kreacją lub Stworzeniem, ale na odwrocie jest widoczny pierwszy tytuł: 'Autoportret w obecności reszty', żebyś nie miał wątpliwości dla mego samokrytycyzmu.

Mam Ci się zwierzyć, że to najpiękniejszy obraz stulecia? Czy się chwalebę, czy oznajmiam fakty? Salomon Kaznodzieja 3/22, dla którego wszystko jest marnością, usprawiedliwia mnie następująco:

'... nie ma nic lepszego nad to, że człowiek raduje się ze swych dzieł.'

Codziennie pytają o cenę obrazu; odpowiadam, że nie do sprzedania, gdyż wróci do Polski. Nie rozumieją, ale coś dociera, że mianowicie nie wszystko można kupić.

Nocą w łóżku ponownie; o jedenastej nie mogłem w nim zasnąć, poszedłem go Galerii-cafe; już zamykano, ale spotkałem Ewę i Michaela, pojechałem na piwo do Zielonego Palca. Siedziałem z nimi, nie mogłem więc pisać, a szkoda; Michael przekręcił się jak pomidor na wywrót, powtarza parokrotnie, że ludzie kochają obrazy. Miło widzieć entuzjazm, niech żyje nim dalej, ale chmura gradowa we mnie ostrzega przed zaciąganiem kolejnej pożyczki.

Chyba to wszystko na dzisiaj. Poczucie pustki jest znane i nowe zarazem; było zwykle znaczone rozpaczą, a dziś jest inne. Nie ma bólu. Jest tylko nic.

Środa jest o trzeciej; sprzątam rano odkurzam pracownię i galerię, zraszam ogród i wieszam w nim obrazy, otwieram galerię na pastwę losu - i jadę z przyjaciółmi do Narodowej Galerii obejrzeć retrospektywę Maxa Ernsta. Potężna wystawa, kilkaset prac we wszystkich technikach, przeszedłem przez to jak przez wyżymaczkę; znie-

cierpliwienie i wściekłość pojętna. Rozkwitła druga róża w ogrodzie. Mam obrazy, co nie zawstydzą się w żadnym towarzystwie, ale przede mną wiele pracy i udręki; trzeba mi pracowni i płócien.

Zawsze lubiłem Ernsta, dziś pierwszy raz widziałem oryginały w tej masie; robią wielkie wrażenie. Śmiałość, wielokierunkowość, imanie się najróżniejszych eksperymentów, wizja jako efekt współpracy techniki i ekspresji, kojarzenie tego, co psychiczne z tym, co materiałowe, przerabianie przypadku na konieczność. Wiele poznałem we własnej pracy, niczego mi nie brakuje, tylko płócien; z okazji wystawy doświadczam zrozumienia.

Naparzyłem herbatę z mieszanki herbaty zielonej i mięty; piję ją teraz, świetna na upał. Nie ma rady, trzeba uprzątnąć misę kwiatów ze stołu - niech ustąpi miejsca kartonom i farbom. Dzień lekko przemglony, pochmurny, ale czasami błyska zza obłoków słońce. Czymś trzeba je wzmocnić.

Lecz stało się inaczej; ledwo zacząłem malować, gdy przyszedł rzęsy deszcz; rzuciłem się na obrazy, żeby je ocalić w galerii i bramie a woda zniszczyła karton; poszedł do śmietnika. Także zeszyt, w którym piszę, zmókł nieco.

Czwartek siódmego czerwca jest blisko roku dwutysięcznego. Nic więcej wczoraj? Owszem. Padał ciepły deszcz, stałem w otwartych drzwiach galerii, kiedy do galerii weszła kompletnie przemoczona dziewczyna, i powiedziała, że kocha deszcz.

- Aleś ty mokra - powiedziałem, i chciałem tylko odgarnąć jej włosy z czoła, kiedy to się stało; ona mnie także dotknęła, śliczna, i dotknęliśmy się dalej i dalej, aby po chwili kochać się jak na nas przyszło, na stojąco za drzwiami małej sali, biodro o biodro, pośpiesznie, żeby było za nami; jej szloch i śmiech, i do widzenia lub żegnaj, trzy dni w Berlinie, a to właśnie ostatni.

Zastanawiam się czasem, czy ja po drodze coś płodzę.

Wieczorem przyszła Gudrun i zaprosiła na Retzinę w Kastanii; trochę nerwowi i spięci, ale przeszło, pojechaliśmy do niej na piękną

noc; byłem miły jak mężczyzna po zdradzie potrafi.

Dziś z rana razem na Uniwersytet, śniadanie w stołówce czystej, rozległej i jasnej; idę z nią też na seminarium, żeby zobaczyć, jak to robią tutaj. Owszem, podobnie jak w mojej pamięci, ale tu widoczne, kto dla kogo; mianowicie wykładowca dla studentów. Posiedziałem chwilę popatrując ciekawie; budynek piękny lecz sala zimna i nieprzytulna; wyszedłem, przyjechałem do domu, otworzyłem galerię.

Rozkosznie bolą mięśnie po aktach strzelistych.

Ale jest nudno; idę więc do Christiana na herbatę i jointa; jego opowieść o dzieciństwie, kiedy grywał na organach w kościele i święcił się, a dla zrównoważenia grzeszył na potęgę, łobuzował z innymi okrutnie: jakieś napady, gwałty, pobicia; piętnuje to dziś surowo, podobnie jak siebie, jakim był, bezlitosny dla chłopca burżuazji. Jakim jest, chciałbym poprawić, lecz pozwalam się snuć opowieści.

O północy dopiszę, że był miły dzień. Odwiedził mnie Dieter świeżo po powrocie ze Stanów, opowieści wiele i przyjaźń widoczna; być może kupi wielkiego Mercedesa diesla i zawiezie moje obrazy nie wiadomo dokąd.

Następnie George krótko, żeby zachwycić się obrazami; wróci wkrótce z dziewczynami, chcą sobie coś kupić.

Rotraut i Klaus z ciastkami na kawę; nieporozumienia między nią a Rony nadcichły i kruszyna złoci się wewnątrznie.

Pada deszcz, wiele osób dziś na wystawie.

Wieczór cały spędziłem z Kristin; pokazywała mi swe obrazy, to duży talent kolorystyczny. Wiesz jak się poznaliśmy? Czekałem przed budką, z której telefonowała; uchyliła drzwi mówiąc, że to jeszcze chwilę potrwa i poczęstowała papierosem, którego jednak nie mieliśmy od czego przypalić.

A potem przyszła na wystawę. Ma piękne jasne oczy.

Gudrun mówi, że Kristin piękna; dzwoniłem do niej o jedenaście i rozmowa trwała długo; wróciłem do domu, a Kristin już nie było, zostawiła miłą karteczkę na stole. Do licha! ja chciałem się tylko upewnić, że Gudrun dziś nie wróci, i przywitać naprawdę; nieco onieś-

mielony byłem, bo taka młodziutka.

Po nocy z Gudrun znikło moje napięcie, znowu się kochamy. Jest porażona perspektywą mojego wyjazdu albo powrotu do Polski, czyli rozstaniem; nie wie, że obłapiam inne w przeczuciu nowej miłości. Nie chce spędzać nocy u mnie; nie znosi bliskości mieszczaństwa i kapitału, jak mówi, czyli Christiana i Michaela, reaguje spazmatycznym wstrętem do sposobu życia, jaki wiodą; to nie chodzi o osoby. A często o każdej porze wpadają. Czy krępuje ją mój stosunek do kobiet? o tym sza.

Piszę w Galerii-cafe; ponure to wnętrze, obrazy tęsknią, żeby stąd pójść, ludzie też w miarę obrzydliwi.

Jak się stąd wydostać?

Gudrun wciąż kombinuje; pyta o możliwości wystawiennicze w Zach. Niemczech, lecz przecież nie mam wizy. Chce kupić czerwonego Opla od Reini, żeby jechać ze mną na wakacje do Polski. Szuka mieszkania na dwoje. Uważa nasz związek za oczywisty i wiecznotrwały. A ja? dopiłem piwo i wracam do domu.

Piątek ósmy czerwca wieczorem; cały dzień miłośnie barszkuję z miłą za zasłoniętą firanką, w ufności, że wystawa zadba o gości.

Ubraliśmy się w samą porę, kiedy przyjechała emigracja, Albert z małżonką, aby wytrącić mnie z równowagi; ot, parę zdań za wiele dla wiotkiego ucha. Było tam o zdolnościach psychotronicznych Mario, żale z powodu upadku naszego kraju, który właśnie odwiedzili po dwudziestu latach i temu podobne; stary reakcjonista! Dlaczego gadanie mną wstrząsa? Ach, nie znoszę faszywego współczucia, tak dla Polski jak dla mnie. I zapachu zakalca!

Śmierdzi także w galerii - kotem, mimo, że codziennie myję miskę i toaletę. Humphrey już odżył z upadku; czuje się tak dobrze, że poluje na ptaki w ogrodzie. Wszedłem do galerii przed godziną, a tam dywan upstrzony piórkami sikorki; nagadałem kotu, ale czy można wychować mordercę? Żeby to wszystko! Zeżarło bydlę ptaszka, a potem rzygało po kątach.

Jeszcze miesiąc w Berlinie śmierdzącym padole!

W sobotę widzę, że mój list usycha wśród faktów, wiosna nie upaja; mało wzniosłych momentów, prawie żadnych wierszy; gdzie radość, otucha, natchnienie dla Ciebie?

Kolejna pełnia księżyca za pasem, już jedenasta po wyjeździe, jeśli się nie mylę. Świeci słońce, do galerii przychodzą młodzi ludzie, cieszą się obrazami, a zwłaszcza faktem, że mogą wziąć sobie wiersze; dają często za darmo. Starsi nie wiedzą zapewne o imprezie; już w montażu wystawy towarzyszyło mi poczucie bezsensu działania, więc nie dziw się, że nie mam ochoty biegać po mieście i wieszać plakaty.

Znużony zwierzeniami wybitnego polskiego krytyka literackiego; nic nie opiszę, streszczę go dwuwierszem:

*Ach, włóż mi! włóż mi w usta
smak magdalenki Prousta.*

Notuję Ci dla porządku o poranku wieczór wczorajszy; byli Rita i George, fotografował i mówił nakręcony; z nimi kolacja w pizzerii Luciano, wziąłem dlań nawet grafiki, ale nie ma szkielec; dostałem pół litra wyborowej 'prosto z Warszawy'.

Gudrun dziś spała ze mną.

Miałem wiele snów.

Szedłem wśród pół piaszczystą drogą do lasu. Na 'średnim' polu ojca wstąpiłem do drukarni, gdzie oddałem przed paroma dniami projekt plakatu, ale nie został wydrukowany. Gotowy natomiast plakat Marcina i dobry, kilka sylwetek końskich z widlastymi ogonami.

Na Krakowskim Przedmieściu w Lublinie zobaczyłem swe nazwisko i plakat, to w klubie artystów 'Nora' idzie mój 'Dramat potomności'; nie jest miłe, gdy ktoś przerabia poemat na dramat bez Twojej wiedzy, prawda? ale zaciekawiony wchodzę do środka, gdzie już sporo widzów.

Gasną światła, kurtyna odsłonięta, i oto idę wraz z innymi nocą wzdłuż torów kolejowych, nadjeżdża i przejeżdża pociąg, umieszczony na ostatnim wagonie karabin maszynowy zagdakał nagle kulami,

padam na ziemię. Pociąg pojechał a ja zbudziłem się, to hałasowali śmieciarze wytaczając pojemniki; objąłem ramionami głowę Gudrun, aby osłonić jej uszy, by mogła spać dalej.

Pojechała po porannej herbacie.

Bardzo dokucza ból u nasady kręgosłupa, promieniujący w okolice bioder. Długo zostałem w łóżku, patrząc we wzory gałązek za oknem i przemglone niebo; zmogło mnie niskie ciśnienie i ból.

Nadszedł Christian i ożywiłem się nieco przy kawie i rozmowie o niczym, nie ma kontaktu i być nie może; chce mówić całą głowę, ja prezentuję anarchię i bezhołowie.

Trochę się przejaśniło, więc pomógł przed odejściem na obiad dźwigać i wieszać Kreację. Teraz płótno majestatycznie kołysze się w wietrze. Przede mną parę godzin nudności.

Zmierzcha się, wieje gwałtowny wiatr, Kreacja unosi się w powiewach wysoko - ten żagiel ma dwa i pół na dwa metry, chwilami zmienia pozycję pionową na poziomą w powietrzu - ale nie bój się, haki mocne.

Świty, południa, zmierzchy, wszystkie przejmuję dreszczem niespełnienia; chwilami obrzydzenia. Siedzę tu jak ostatnia dupa. Na sofie, którą przywiózł i ustawił w ogrodzie mąż Dorothy.

Lirycznie szczerzę się wśród kwiatów obok wyciągniętego na całą imponującą długość Humphrey'a. Pięknie w dniach deszczu zakwitły już zdrowe po szoku przesadzania bratki. Krzak różany naśmiewa się ze mnie setką białych kwiatów.

Niedziela dzień pod znakiem straszliwego bólu nasady kręgosłupa i głowy. Pełnia księżyca. Dziś z trudem rozmawiam z ludźmi, a właśnie w niedzielę przychodzi najwięcej.

Bernt popołudniem z butelką wina znów w pełnię, tym razem źle; tylko wyobraź to sobie! siedzimy przy stole w ogrodzie i sączymy kwaśne, gdy na wystawę przychodzi dwóch gentelmanów.

Postali długą chwilę przed Kreacją w rozmowie, weszli do ga-

lerii; wszedł również Michael, więc się nie fatygowałem. Wyszli, podeszli do płótna i oglądali je z bliska od przodu, z boków, a także z tyłu. Po chwili podeszli do stołu, więc wstałem, przywitaliśmy się i starszy pan zaczął coś mówić.

Przerwałem, przeprosiłem, proponując angielski; wtedy młodszy pan po angielsku powiedział, że przecież polski. Straszna bajka. Starszy pan zapytał, ile obraz kosztuje. Nawet nie zaprosiłem, żeby usiedli przy stole! Nie masz pojęcia, jak dość mam tych pytań! Wyjaśniłem grzecznie, że nie do sprzedania. Polszczyzna w ustach starszego pana wykwiwna, chociaż z silnym obcym akcentem. Odpowiadam, co to kreacja; światło tworzy świat form na granicy z ciemnością; nasze ziemskie i kosmiczne pejzaże wznoszą się w górę, do światła, albo - ze światła się krystalizują i wynikają w przestrzenie.

Starszy pan szczupły w jasnoszarym garniturze, biała koszula silna opalenizna niebieskie oczy szpakowate włosy - mówi, że jest księdzem; ma tu w pobliżu właśnie odnowiony kościół, a w nim wielką pustą niszę - rysuje w powietrzu dłońmi - gdzie obraz by bardzo pasował, zwłaszcza, że widzi w nim inne znaczenie - wniebowstąpienie Jezusa Chrystusa; oto zniknął w niebie, zostało po nim światło, a pejzaże podążają w ślad za nim. Do nieba.

Lubię interpretację, jest piękna; inni widzą tu zachód słońca albo supernową. Szkoda, nie do sprzedania; mówię, że powinien wrócić do kraju; w zimowej wystawie jeszcze miał cenę, wysoką cenę, dodaję; starszy pan uśmiecha się powściągliwie.

Widzisz, co się dzieje?

Włóczykijów zapraszam od siedmiu boleści, a oni tutaj postali - i poszli. Michael okropnie przejęty; nie wierzy, że nie chcę sprzedać obrazu.

- Nie mniej niż dwadzieścia tysięcy - mówi - albo pięćdziesiąt, kościół ma przecież pieniądze!

Uważa mnie za szaleńca; jedno pewne - wizyta księży poprawiła nastrój; umawiam się z Berntem na wizytę w komunie, gdzie mieszka, chociaż doraźnie jestem obezwładniony przez ból. Jeszcze Mane i Haka, Doris i Uwe, kupa innych. Kristin wcale nie uwodzę, tak mnie boli w krzyżu!

Wieczorem rozmawiam z Rotraut o ofercie; żałuję, że nie zaprosiłem ich na wino, ani nie prosiłem o adres; już słyszała wieści od Michaela; dzwonił z narzekaniami i prośbą o interwencję.

Ona twierdzi, że nie tylko nie dbam o poprawę losu, ale specjalnie psuję, co do mnie przychodzi, bo wcale nie chcę być szczęśliwy.

- Przywykłeś do cierpień - mówi - pracowałeś życie w trudzie i nie chcesz rezygnować z przeżywania bólu i biedy, przywykłeś do nich. To trudne, być szczęśliwym, ale powinieneś podjąć ten trud!

Moja siostra serdeczna znowu jest mądra, ma świętą rację, ale moje życie będzie ciekawe także z tym obrazem.

W poniedziałki galeria zamknięta, więc leżę w trawach parku nago. Boli mniej, bo na noc Rotraut dała mi worek grzejący, i spałem dzielnie, jakbym nie nabroił. Południe upalne i przemglone, na niebie czasem suną niskie chmury z kierunku przyszłej burzy, rozbrzmiewa śpiew ptaków, grzeją tyły w słońcu, bo pisząc leżę na brzuchu. Dzwonią w oddali dzwony, obficie kumkają żaby w pobliskim stawie. Nic, tylko marzyć bez słów, o czym Ci pisać jeszcze?

*Osobiście poznałem cię, łąko,
w trawach, bławatkach, motylach,
słonko ci przychyliłem,
w kaczeńce
ubrałem twoje pobraże.*

*Teraz piękniejesz zawsze
i na zawsze mnie masz.*

*Wiesz? chyba się zmienię w skowronka
na wieczny czas.*

Ale oto podeszła naga dziewczyna z pytaniem, czy mam ogień; widziała, że paliłem skręta. Sięgnąłem do torby, podałem zapalniczkę z dziękczynną myślą, że ogląda tylko mój tyłek, a ona przykucnęła prze-

de mną i zapaliła papierosa, szczerząc na mnie organ. Zmieszałem się zacie i daleko od seksu. Odeszła do koleżanki opodal, pewnie dziewczyny się nudzą i chcą ruchać, albo bezceremonialność panuje, a ona tylko po ogień. A chmury się zbierają, hej, trzeba iść do domu!

Popołudnie w domu parę godzin i pocałunków przyjacielskich z Karin; poszła, zaraz jadę do Gudrun, gdzie komuna dziewczyn się rozwiązuje i dziewczyny zwalniają wielkie mieszkanie; Petra pojedzie ze mną obejrzeć, może im się nada.

Wtorek się kończy w Zielonym Palcu; miałem galerię długo otwartą ze względu na odwiedzających. Pogody burzliwe; ledwo pamiętam, co wczoraj.

Acha, z parku z zakupami po drodze, a w domu Karin czyli Kasia. Buzi-buzi bez dupci sam nie wiem czemu; przyniosła mi grzyby psychodeliczne, maleńko za dwadzieścia a smaczne, więc jeszcze całusy, ale o dziewiątej do Gudrun z Petrą i Christianem. Tam bardzo pięknie, więc Petra się śpieszyła; Gaby upiekła nam dwojgu piernik w kształcie serca; Reini mała dziewczynka zatroskana zaoszczędziła nieco forsy i zmyka z Berlina na Karaiby; oglądaliśmy razem początek polskiego filmu "Trzeba zabić tę miłość", ale zgodnie za rękę poszliśmy ożywić miłość do pokoju Gudrun, film nudna guma. Pieszczoty dzieją się pięknie w czasie rozbierania się, ale przerwane westchnieniem;

- Och Wieś, jestem strasznie zmęczona.

Co ja na to? reakcja szybsza niż myśl: mały fłaczeje ja sztywnięję i lecę skośnie w dół, znudzony mą treścią wewnętrzną ubieram się i zostawiam senną. Na ulicy zaczepiają mnie cztery roześmiane zaprawione alkoholem dziewczyny, rozmowy, żarty i dotyk, ale nie dają się zabrać do hotelu. Przemierzam pół Berlina na piechotę i rano przychodzę do siebie, oglądając nad rzeką pełnię księżycy i słońce, jak w początku listu do Ciebie. Są w życiu kłamry fabularne, echa harmoniczne, które sprawiają, że tajemnica staje się widzialna.

Dzień dzisiejszy ożywiony, od rana wiele osób na wystawie; niebывałe zachwyty, ale nie wiem dlaczego zadaję masę pytań; mam wrażenie, że poznaję ludzi nie tylko dzisiaj, ale w ich przebiegach czasowych, kompletnie co jest, już było, a jeszcze będzie. Aribert chce kupić 'Majowe słońce'; spadło ze ściany w momencie, gdy do mnie podchodził, rozbijając doniczkę i kwiatek na parapecie. Kocha obraz, ale oferuje tysiąc; studiuje, dostał pracę tutora na uniwersytecie i tyleż zarabia na miesiąc, właśnie pierwsza pensja. Zaprosił na obiad, żebym obejrzał mieszkanie i uznał, czy Słońcu będzie w nim dobrze. Ładne podejście, prawda?

Dobrze mi także, bo cały dzień malowałem obraz na małym kawałku Galaktyki spiralnej; nie wyrzuciłem przecież płótna, tnę je na prostokątne kawałki i używam twórczo, bo tak ożywczo pachną oleje a innych płócien nie ma. Kiki i Heidi szesnastoletnie z Bremen. Kiki malowała na obrazie gwiazdki, siedzieliśmy w słońcu obok siebie, zrobiłem jej fotografię, powiedziała:

- Ja też chcę mieć twoją fotografię - wyjęła z torebki mały aparacik, pstryk.

- A ja chcę mieć twój pocałunek - powiedziałem. Objęła ramionami, przytknęła wpółotwarty dziobek i sztywny języczek; całowałem ją czule, relaksując dziewicze napięcie; w słońcu na sofie, widocznie dumną, że na oczach ludzi, którzy zresztą zachwyceni, że kwiaty, miłości, obrazy, styl życia, który ich napięcia i zalatania łagodzi. Im się zdaje, że we mnie nie ma napięć, bo lubię się śmiać. Pewnie, że lubię, cóż lepszego na powitanie. Urocze maleństwo mnie zacałowało dzieciennie, bez wprawy lecz szczerze; nie chciała pójść do pokoju i rozwiązać temat z bielizny. Ale wróci w niedzielę.

Heidi wziął na górę Christian pod pretekstem robienia kawy; po powrocie miała pąsowe usteczka, ale kawy nam nie przynieśli. Bardzo się przyjaźnimy.

Taki jestem wrażliwiec, że dech mi zapało, kiedy przyszła następna przepiękna dziewczyna; próbowałem ją uwieść bezskutecznie, kiedy pojawiła się i ocaliła mnie Gudrun.

Sporo napięć pomiędzy; Gudrun chce jechać ze mną do Polski, właśnie kupiła od Reini samochód; wśród przyjaznych nieporozumień

trafiliśmy do łóżka i odnaleźli się w miłości. Nasze ciała kochają się już pół stulecia. Śpi teraz, ja przyjechałem na kawę do indyjskiej kafejki jej nowym starym autem.

Jest pogodzona z losem; co prawda tylko w mych ramionach. A Ty wiesz: mam bzika na punkcie dziewczyn, nie ma nic bardziej wzniosłego, niż wzniesione w górę sutki.

Ja chyba zupełnie głupi?! czy mógłbym marzyć o lepszym miejscu na obraz niż kościół? Fakt, smutne, gdyby Kreacja trafiła w prywatne ręce i utkwiała w jakimś apartamencie, obraz był malowany dla ludzi - ale kościół? Przecież to lepsze niż muzeum, bo ciekawi sztuki przyjdą obejrzeć do kościoła, a wielu ludzi kościelnych nigdy nie pójdzie do muzeum!

Nie uprawiam wiary, nie uczestniczę w religii, jestem świecki jak świeca, tyle że płonę - a obrazy na religijnych czy medytujących robią wrażenie. Bo jestem w pełni religijny poza religiami - jak drzewo, gwiazda, czy wilk.

Jak mama byłaby szczęśliwa, wiedząc, że obraz syna wisi w kościele. A ja? Mógłbym mieć w oka mgnieniu atelier, płócien i farb, ile marzyć.

Pewnie to wszystko po coś! Dobrze się dziś malowało. Miło z Gudrun; dopijam kawę i wracam do niej. Jutro zaproszeni do komuny Bernta. Pojutrze umówiony z Aribertem na obiad u niego. W sobotę idziemy na party do Heidi i Toma. Niezły program, prawda?

Stareńki 9-letni Opel jeździ jak malowanie; chcą może wypadać drzwi z prawej strony, ale to nic strasznego; dobrze się prowadzi, jeździ bez zarzutu. Kiedyś w deszczu nocnym przekraczaliśmy granicę z Niemiec do Holandii we trójkę z Wandą i Bogusiem; celnik chciał obejrzeć wnętrze busa. Proszę bardzo, chwacko chwyciłem za klamkę środkowych przesuwanych drzwi a one wypadły o centymetr od jego stopy; jakże się wystraszył! nie chciał niczego oglądać, pomógł mi wstawić drzwi, abym jechał dalej, i bardzo przy tym uważał. Dlaczego się teraz głupio śmieję. Zgadnij, a zgodzę się.

Co jeszcze spisać Ci z tej nocnej chwili, gdzie tylko my czuwamy? Gdy wchodzę do galerii świecą się do mnie obrazy. Ludzie je kochają, ale kojarzą, czyli nie patrzą, jak trzeba. Przed obrazem trzeba

stanąć nago, bez szatek wiedzy i pamięci, pozwolić się napromieniować światłem innego istnienia, usłyszeć, no dobrze, niech będzie - zobaczyć melodię człowieczą.

Gudrun śpi i uśmiecha się; najbardziej ją kocham, gdy śpi.

- Jesteś moją indiańską siostrzyczką - powiedział Jezus do pierwszej dziewczyny, w której się zakochał.

Po pokoju łązi wiele pajaków i stworów, które się schroniły do mieszkania przed deszczem. Życzymy im radości w podróży? ach, taka to i podróż: zjadają albo są zjadane. Jaki to bóg to wymyślił?

*Nocna chwilo, przynieś nam ufność,
z deszczem
spłyń na nas łaską.*

*Oświeć nas,
o! poranku,
dokądkolwiek zdążamy.*

Piszę przy dwóch świecach płonących na stole. Co będzie z nami dalej? czy wydrukuję ten list? czy jest inna poza publikacją szansa, by dotarł do Ciebie?

Są dwa aspekty pokory; pierwszy, to pytanie czy kogoś zainteresuje me życie; drugi aspekt jest straszny, trzeba będzie przepisać na maszynie kilkaset stron. Mordęga fizyczna; i przeżyć to jeszcze raz?

Zegar wybija trzecią, szybko mija noc. Nadal boli kręgosłup. Jest w pobliżu wieczność, kwitną w niej przed oknem róże i rozkwita jaśmin, rosną słoneczniki i barwne maleństwa. Dobranoc, Przyjacielu, śpij dobrze. Śnij, że się obudzisz. Życie czeka.

Czwartek, poranek, dokuczają kręgosłup.

Wczoraj z rana u Rotraut pranie, bo powierzyła mi koty kwiaty i wyjechała do Belgii; potem zakupy, a po śniadaniu malowanie z pięciorgiem dzieci przy stole ogrodowym; masa zabaw i śmiechów, oraz dialogów z gośćmi - wiesz, że to dla Ciebie!

Gudrun wróciła z pracy o 7-mej; popatrz, jak powstaje nieporozumienie! Powiedziała, że głodna okropnie, odpowiedziałem, że umieram z głodu. W porządku? Nie! usłyszała, że jeść wcale nie chcę, i już gotowa kwoczyć się i dąsać. Okay, przerwałem malowanie, zacząłem smażyć filet z ryby, ona umyła sałatę. Udało się zjeść razem obiad, ale nie wiele więcej.

Umówieni z Berntem w komunie chcemy przedtem odwiedzić siostrę Gudrun, bo ich matka wybiera się z wizytą do Berlina; oboje nie znamy miasta zza kierownicy, wybiera krótszą drogę i gubimy się momentalnie; po pół godzinie jazdy wysiadam przy stacji metra, aby jechać do Bernta; miła jedzie autem sama do siostry. Ciekawe, jak sobie poradzi w nieznanym mieście.

W komunie jest sześcioro czy siedmioro, wszyscy studiuja, chłopcy mają do spółki taxi i w ten sposób zarabiają na studia i życie. Mieszkanie 9-pokojowe to ostatnie piętro budynku, za jedne 550 marek miesięcznie; w grupie jest ciekawiej i taniej, żyje się jak w rodzinie, obowiązki równo dzielone. Pokazują mi pokoje obszerne i czyste. Dobrze mi u nich, Bernt zrobił obiad po jugosłowiańsku; przy winie i sałacie gawędzimy. Werner jest aktywistą ruchu zielonych; wydają pisma i literaturę, pieką zdrowe chleby, propagują żywność bez chemikalii, oszczędny tryb życia, troskę o naturę; organizują komuny rolnicze, piekarnie i sklepy; tworzą nową alternatywną społeczność nie dbając wiele o politykę. Tu idzie praca od podstaw. Program nieco utopijny w kontekście niemieckiego kapitalizmu, ale wspaniałe i człowiekowi życzliwe.

Wieczorem przy słabej kawie, której szczyptę wziąłem od Rotraut, bo nie mam na zakupy; jest w domu ryż, papryka i jaja, nie ma głodu, ale kawy herbaty już nie ma. Zabieram się do malowania.

Bratersko poznany Rupert młody malarz z Bawarii; nie lubi Berlina, bo tutaj jest za dużo smrodu aut, papierosów i alkoholi; żyje w górach. Spotykam wielu ludzi czystych, świadomie odmawiających

przyjmowanie trucizn - używek, mięsa, narkotyków, pieniędzy, poszukujących siebie, znajdujących prawdy.

O pierwszej nocy dodam, że wspaniale minął ten dzień malarzsko a wieczór miłośniczo. Kochaliśmy się z nieskończonym żarem i czuciem, a potem zasnęła w mych ramionach ufnie, chociaż zapowiadałem, że ją wkrótce oddam!

*Tak,
bez wahania
oddam cię wiatrowi, gwiazdom,
strumieniowi i zielonej łące,
szklance mleka, obrazom,
oddam cię płomieniom!*

*tak! naglej nocy
i wizjom!
iskierce w popielniku,
stodole znaczonej promieniem księżycy,*

*oddam cię wróblom, pieszczotom mej skóry,
niepewnej przeszłości, wieczności o smaku chleba,*

zapewne oddam cię wszystkiemu, czym jestem.

Malowałem na kawale płótna z Galaktyki obraz czysty i ciemny, ma długi tytuł: 'nie ma się czego bać, wszystko zmierza do czarnej dziury' - z myślą o Gudrun w przyplwywie miłości. Moja miła, nie ma się czego bać; śmierci nie ma w świecie prawdy; to uroszczenie małego rozumku, któremu widno, że ciało stąd dotąd. Śmierć do nas nie należy, troszczmy się o świat! cała ewolucja pracowała, aby zaistniał ten moment; całą przyszłość ten moment wyznacza.

Przyjacielu, wiesz, o czym mówię? Szumi wiosna, nieznanne; najbliżsi przyjaciele to wiatr drzewa obłoki. Lubię ludzkie przyjaźnie, mimo, iż ciasne, osobiste, egoistyczne i czasem wyjadają przestrzeń.

Ale następnym razem, proszę, pozwól mi urodzić się jako brzo-

za na dalekiej północy; niech szarpie mną wiatr i rozrzewnia skwir lata cały długi dzień, niech przewiewa na wskroś chłód zimy i melodyjna cisza zorzy polarnej. Niech burze nie dają spocząć wszystkim mym gałązkom - w spoczynku z ziemią w korzeniach i listkami w niebie.

Chyba, że zmienię zdanie, i zechcę być kamykiem w strumyku, albo galaktycznym systemem sunącym z bezmiaru w bezmiar.

Pobyłem w galerii, zdjąłem parę obrazów, jutro zmienię ekspozycję z nudów. Dobrze mi robi, że maluję; pomyśleć, że zaczęło się od rozdrażnienia i nudy! A rozwija w spokojne błękity; nie ma się czego bać, skoro wszystko zmierza do czarnej dziury.

Piszę przy świecach, gra radio, niepokoję się o kota Humphrey'a, nie wrócił do galerii, a mam ją zamykać na noc; liczę, że wejdzie tu przez okno, jeśli. Niebo jaśniej w śpiewie ptaków; idę do mojej kobiety do łóżka.

Piątek 15 czerwca w przychylności losu. Renesans miłości z Gudrun, fajne malowanie, przemeblowanie wystawy i w trakcie wiele rozmów, które zmieniają się szybko w osobiste zwierzenia, meldunki do Przekazu, bo przecież nie wyglądam na konfesjonał! Jakże inaczej rozumieć mam te opowieści? Mówią życie, troski i nadzieje, lęki i problemy, pokazują mi beznadziejne uwikłanie w świat nieludzki, a zarazem przeraźliwie ludzki. Pytam się, co jest esencją Przekazu, kiedy powątpiewam, że składa się z wydarzeń.

Sąsiadka Margareta, przed wojną mieli sklepik w Łodzi, wprost się zamartwia i spać nie może odkąd się dowiedziała, że opuszczę Berlin; jakże będzie tu znowu nudno w tej ulicy, życie będzie smutne! niestety pięćset za 'Dolinę' to dla niej za dużo! a może mnie ożenić, abym został? ma nawet coś na oku; sama wydaje córkę za mąż za Thomasa sąsiada.

Sobota w ulewnych deszczach; Gudrun wstała wcześniej i pracowała nad projektami przeszłości; o tej godzinie referuje już na uni-

wersytecie; hej, miła, życzę pięknego rumieńca! Ja spałem długo, wystygła filiżanka herbaty, którą dostałem z pocałunkiem przez sen.

Wczoraj wielu gości, dziś otworzyłem galerię dla nikogo; jest ulewa, ochłodziło się znacznie, nie wiem obrazów w ogrodzie ani nie muszę podlewać.

Wczoraj Gudrun do północy pracowała nad projektem, a potem weszła do galerii, gdzie z kimś rozmawiałem; zostaliśmy we dwoje przy dwu kielonkach z flaszki od Luciano. Pytała mnie o malowanie i o to, gdzie jestem.

Obrazowo mówiłem o lodowej krze; wyobraź, stoisz na niej, gdy pęka, twe stopy są na dwóch brzegach, te się oddalają, trzeba się dobrze rozkraczyć.

To moja sytuacja.

Dwa brzegi - to małe i nieskończone, albo też dwa Wieśki. Jeden jest w ponad-indywidualnej esencji, łaskocze pędzlem boga i głaszcze absolut, wywabia istnienia z niebytu. Drugi cielesny i osobowy z pamięcią, pragnieniami, ambicjami, niewiedzą, zakałapučkany i niekiedy bestia.

Gdy nie jestem w sobie, lecz w pełni skoncentrowany na dziejącym się właśnie płótnie, które maluję, w kobiecie, którą kocham, lub w pejzażu dali - wtedy jestem w pełni. Paradoksalnie! Jestem, gdy mnie nie ma. A kiedy moje ja jest we mnie, wtedy otorbia się, zamyka i cierpi, patrzy na świat 'dorosłymi' oczami, i wszystko do dupy! są wtedy wariactwa, bluźnierstwa!

Skacze pajac pomiędzy światami brzegami, które się oddalają od siebie. Miła, to trudno znieść! Jezus mówił, jest droga, a mnie się wydaje, że droga jest w każdym. I każda wiedzie do tego samego miejsca; zdarza się, spotykam ludzi o skrajnie różnych opcjach życiowych - a mnie się wydaje, że z różnych kierunków ludzie zdążają do tego samego miejsca tu, gdzie się jest. To tylko języki są różne, w których To wyrażają. Ludzie są sobie podobni.

Dobrze jest być malarzem, już sama praca jest nagrodą, realizuję w niej życie - a jest nagród więcej! Sam widzisz - mogę spotykać ludzi tak różnych, z odmiennych klas, kultur, religii, warstw, społeczności. Tak różnych od siebie, że nigdy w życiu się nie spotykają! Ja mam dojsćcie do wszystkich - przywilej artysty.

Ktoś jest od dawna w galerii, zobaczę, może na mnie czeka?

Czekała Gundula mocna wysoka dziewczyna typu krew z mlekiem; widziała mnie piszącego przy stole i nie chciała przeszkadzać. Dostałem od niej kwiaty i resztę dnia; rozmowy i żarty przy winie, które też przyniosła. Z początku nieco spłoszona stała przed lustrem i palcami czesała swe długie i wilgotne włosy, nie wzięła szczotki, którą wskazałem; dopiero po godzinie gdy była już sucha, wzięła szczotkę i długo czesała się z lubością lubieżnością. Malowałem, więc wzięła karton i kredki, powstał fajny obrazek w brązach i błękitach.

O dziewiątej przyszła miła, i ją także Gundula czesała; Gudrun polubiła małą od pierwszego wejrzenia, ach, co mówię! mała to wielki różowy piec, właśnie lat siedemnaście! Zrobiła obiad dla nas trojga; przemile rozmawiały koleżanki w śmiechu, bo mała używa nieznanego slangu. O, Arbeitsfreak mówią na mnie - po polsku to chyba pracuś. Gundula poszła o jedenastej z westchnieniem, widząc, że Gudrun na pewno zostaje.

Słyszę komentarz miłej, że prawie każda dziewczyna mnie lubi, bo ze mną może być tak, jak tylko ze sobą; a to zaskakuje, ciekawi.

Niedziela pełna wrażeń, tyle gości i rozmów, że gęba boli; niektórzy zostają na dłużej przy ogrodowym stole. Urszula sławistka urodziła się w Polsce, po latach w Grecji jest Niemką bez stałego miejsca w świecie; jej przyjaciółka chce widzieć więcej obrazów; Hans z arabskim chłopcem kochankiem; fajne dziewczyny z Bremen Katherina i Elske; Mariusz po drodze z wystawy w Hof i Suzanne. I rozwrzeszczane bachory przeważnie jugosłowiańskie malujące obrazki! A cała ta szarańcza wypija, wypala, wyjada wszystko, co w domu, wchodząc drzwiami lub oknem - to ostatnie uwielbiają dzieci i dziewczyny! Potrzebuję znów parę filmów, fotografuję na bieżąco.

O, pocieszył mnie na pustyni wieczora Michael, wstawiając przez okno 2-litrową flaszkę czerwonego wina. Prawda, stosunki między nami są prawie miłosne; czasem się lubimy, czasem nie możemy znieść.

Wspomnę, co robię w słoneczne dni. Ludzie przychodzą, rozmawiamy, jest zawsze stadko dzieciaków, malują przy stole, albo małe panienki przynoszą lalki i bawią się na murku w ogrodzie. Ja maluję najmniejsze obrazy życia; resztki płótna Galaktyki są cięte na coraz to mniejsze kawałki; pamiętasz, płótno było przecięte na cztery trójkąty, teraz prostokąci coraz mniejsze, były jak pocztówki, są jak znaczki pocztowe. Wiesz, nie mam materiałów - kosmosy są w miniaturowe; płótno nasycone przez miesiące farbami; siedzę w słońcu a na kolanach deseczka i obrazek, najcieńsze pędzle zerówki, odrobinki farb, oleju, werniksu. Sympatyczne zajęcia; wiesz, czasem w pełnym słońcu zapada ciemność, a wtedy parę centymetrów płótna potrafi zająć, oświecić, dopóki słońce nie wróci nie wróci.

Dwa i pół raza chciałem napisać do Ryśka, po jego braku wyjaśnień zostaje otwarta sprawa pieniędzy i galerii - ale jest jakoś pusto z tej strony; cóż pisać, po co i na co? być może stać mnie na jednego przyjaciela mniej?

Wielka ćma pod kloszem lampy! gaszę światło, żeby się nie uszkodziła a ona usiada na dłoni. Zapalam światło i przyglądam się z zapartym tchem: cudna brązowo-szara, rozszrebrzona cieniutkimi i puchowymi włoskami na całym ciele; odnoszę do okna, dmucham w nią na pożegnanie, niech leci.

Zawiesiłem nad stolikiem białym jak wszystko w pokoju pierwsze maleńkie obrazki, na które zamienia się Galaktyka; ach, z pół roku temu była najlepszym obrazem, zgasła jak kometa; teraz są maleńkie gwiazdne pejzaże, gdzie wszystko płynie w przestrzeni.

Ha, jak ja przygotuję technicznie maszynopis listu, umieszczę w nim fotografie, które dla Ciebie strzelam?

Jest jakaś jedenasta, w galerii oświetlony tylko oranżowy 'Dorzorca świata', w ogrodzie pod reflektorem 'Kreacja', przystają przechodnie. Uroczą Catherine, żal, że zostawiłem samą w pokoju, gdy przyszły Urszule; nie wiem, kiedy poszła. Urszula koniecznie chciała me wiersze po polsku; jej przyjaciółka w zachwycie przy obrazkach One-touch, czyli Jedno dotknięcie. Akt czystej wolności, kompletny

przekaz, energia ze źródła energii. Tak trzymać!

Już sam, ostro zaprawiony.

Parzę sobie herbatę z kwiatów malwy, się przebieram, roluję skręta ze świętych grzybów. Pójdę chyba do Petry i Rona, jest tam Gudrun i uczą się razem.

Tu liczne grono; roześmieli się jakby na mój widok radośnie, ale kontynuują referowanie i dyskusje; zapaliłem skręta i położyłem się na dywanie, jedyne miejsce, gdzie mogę pisać. Zabawne, napalony, napity, a teraz zgrzybiały, chociaż tak młody; jak działają grzyby? ha, skóra mojego czoła jest przestrzenna i przezroczysta, lecz komu oglądać widoki? Fajnie mają studenci, tworzą seminarium grupowo w śmiechu i hałasie, tyle kapuję, że też się uśmiecham; pierwszym punktem programu jest bowiem krytyka profesorów i asystentów, drugim organizacja pracy, a trzeciego, przedmiotu pracy, bodaj jeszcze nie ma. A ja mam! W skarpetce trzy kilo różowego snu! Jako wolny od zajęć obowiązkowych otwieram butelkę reńskiego i przynoszę kielichy - trzy, bo inni przy wodzie mineralnej i soku.

Wyobraź sobie, że nic nie jest możliwe do wyobrażenia; niczego sobie nie możesz uprzytomnić ani przypomnieć, niczego pomyśleć ani zrozumieć - to gdzie jesteś wtedy?

To przestrzeń. W niej dzieje się Twe życie, głos Gudrun przywracający innych do uwagi, podłoga, co się utwardza pode mną, skowronek, do którego tęsknię - a wszystko w celu niepojętym, nieznanym, a może bez celu, po prostu z natury twórczej energii.

Dobrze, już pójdę, gdzie nie będę się mądrzył.

Poniedziałek 18-ty w ogrodzie z Petrą i Rotraut, która wróciła z Belgii z darami zielonego likieru i zielonej herbaty; pijemy w zapachu jaśminu. Popołudnie ciepłe, zmienił się kierunek wiatru, przezroczyste niebo zwiastuje skandynawski wyż. Panie siedzą z kotem na sofie i rozmawiają ze sobą, ja opodal na murku otwieram zeszyt, aby też pobyć z bratnią duszą. Na trawie pośrodku alei facio ustawia klatki z królikami i odsuwa denka, żeby braciszek mogli skubać trawę. Sonata na skrzypce Beethovena przywołuje zmierzch a słońce złotnie-

je. Świat melancholijnie się toczy swoimi drogami, dzień skończy się na niczym, co wcale nie jest złe, kiedy się wszystko układa pomyślnie. Gudrun dziś jest w pracy, lada chwila przyjdzie albo nie.

Na pewno nie, dzwoniłem; idzie na urodzinowe party.

Późna noc wokoło; piszę, żeby po ludzku zakończyć ten dzień; byłem na kawie u Luciano, żeby powiesić w knajpce grafiki. Szedłem okrężną drogą, zachwyciłem się drzewem, wokół którego goniły się psy; co jeszcze? jeśli tego Ci mało - nic nie wystarczy.

Przyszła przelotnie Frederike; Kasia ze studentami malarstwa; z Ronem i Petrą o kapitalizmie i socjalizmie, których najlepsze cechy mogłyby tworzyć świat ludzki, ale konflikt cech najniższych nurza ziemię w gnoju.

Ja polityką interesuję się jak chłop - lubię wiedzieć! mam wszakże parę hektarów barwnej gleby do obróbki bez względu na przymrozki i odwilże, głowy stanu i dupy ludu. Ufam, tworzę wartości, które są i będą niezbędnie w każdym systemie, jeśli nie dla wszystkich, to przynajmniej dla tych, którzy od systemu odpadli jak ja.

Zaścieliłem posłanie, poszedłem odsikać do toalety w podwórzu, w powrotnej bramie spotkałem Geralda. Jest mi zagadkowy; lubię i czuję respekt. Wstąpił do mnie, więc wypilem jeszcze kielonek likieru skoro on nie pije, i zapaliłem jointa, którego mi skręcił; wracał z grania; spotyka się parę razy w tygodniu z przyjaciółmi w muzyce, 'żeby wyładować energię, oczyścić się i zabawić'.

W trakcie dzisiejszych rozmów motyw wschodu i zachodu, polityki i etyki, terroru i nędzy. Ludzi spotykam, ich problemy duchowe tu i tam podobne: presje systemu, kultury i mody pchają w stereotypy. Główną o polityce zamiast się zastanowić, jak to właściwie jest z kolorem róży, i co to tak pachnie.

Powiem Ci zatem dobranoc. O, może na dobranoc jeszcze sen zawrotny. Chodziłem ze sztyletem i mieczem w zbroi po korytarzach i salach zamku, nadzwyczajnym szermierzem jestem, nie mogą mnie zabić zwykli Italiańcy! Dwór króla półgłupca, którego chciałem ocalić. Miłość, którą musiałem poświęcić. Masa krwawych i ponurych poczuciu, wspomnień z przeszłego życia? prognozy na przyszłość?

Muszę Cię zmartwić na temat inkarnacji: nie mam żadnych powodów do wiary albo do niewiary.

Wtorek zawrotny w południe; klasa gimnazjalna z nauczycielką, jaka świetna młodzież! zachwyceni, żądni szczegółów technologii na papierach, namawiający nauczycielkę na zakup dla szkoły. Chcieliby malować już! i tak jak ja.

Godzina rozmów; kiedy nadcichło, śliczna Yvonne zobaczyła na oknie wiersze, i znów się zaczęło. Sprzedałem kopie, mam już na zakupy.

Ale obudził mnie Ronnie, kładąc na oknie list dziękczynny sam nie wie za co, banana i obrazek 'Żyjącego drzewa', który dla mnie zrobił. Następnie Christian z jointem i rozmowami o twórczości bez ości. Zakupy zrobiłem z Rotraut już wcześniej; śniadanie późne z Gudrun i kochanie leniwe, aż chciała się spóźnić na zajęcia.

Zmierzch; Kiki i Elske zasmucone, że trzeba się nam żegnać; cudne pocałunki Kiki z naiwnego żaru; śliczna maleńka kobietka Elske o ciele uformowanym krągło i mocno z przyszłych męskich zachwyków. Elske zrobiła kanapki i kawę, piliśmy nieco wina; dziewczyny pięknie posprzątały i pozmywały, zostawiły mi nastrój liryczny, po co? Już opuszczają Berlin, ja zostaję; spotkamy się jeszcze?

Maleńkie figle w pokoju za firanką przerywane wizytami i pytaniami przy oknie, bo w ogrodzie są dzieci i mówią, gdzie jestem; przepiękna kobieta odchyliła firankę, widząc mnie w pocałunku powiedziała głośno ironicznie, że przyjdzie za tydzień, kiedy może będziemy mieli więcej czasu. I słusznie!

O zmierzchu sam przez chwilę piszę, mruży tylko Humphrey.

Wieczór z Ewą uroczą anarchistką poznaną wiosną przy tymże oknie; dzisiaj jest drugi raz i przynosi Ballentines whisky, sączymy ją powoli, skoro nie pamięta jak powiedziała kiedyś, że alergię na alkohol. Lat 19, barmanka, chce robić teatr uliczny i walczyć o dobro i prawdę; ach, tyle w niej energii zapału agresji:

- Niemcy są skończone, ten naród nie ma szans, faszyzm się nie skończył, tylko popatrz na twarze skamieniałe w poczuciu ładu, porządku i dorabiania się, popatrz na to gównu. Rodzina, szkoła, kultura, gazety, telewizja i radio pompują w człowieka faszystowskie ideały skrajnego materializmu.

Rewanżuję się przypowieścią łagodną, że to wszystko ze strachu, chcą się od niego osłonić domkiem, autem, porządkiem i forszą, że ludzie są biedni, godni raczej współczucia niż nienawiści.

- Ci biedni ludzie w każdej chwili gotowi poderznąć ci gardło, założyć stryczek na szyję; wystarczy, ktoś powie, że tak trzeba! Mówię ci, czasami chce mi się stanąć w ulicy i krzyknąć 'Ludzie, obudźcie się!', ale przecież nie mówi się do ludzi, to automaty produkowane przez społeczeństwo dla społeczeństwa. Wszędzie gdzie spojrzysz, kwitnie faszyzm, przebrany na pokojowo; gnoi ludzi, a tym, którzy widzą i mówią prawdę - nie pozwala żyć!

- Ewo - powiem jutro którego dnia - kijem gówna do dupy nie zapędzisz! Wypnij na społeczeństwo ogrągluśki tyłek, zwróć się ku życiu. Wokół miriady żywych istnień wszędzie, nie zajmuj się tak ludźmi, bo czasu nie starczy na pszczoły, kamienie i gwiazdy.

Ale nie wiem, czy moją lirykę nie weźmie za imperializm.

Poszła natychmiast po wejściu Gudrun; widziała z pocałunku, że tu poważna akcja. Streściłem rozmowę.

- Ach, gdybyś mnie widział dziewiętnastoletnią! ileż gadałam, przekonywałam, ile było walk i dyskusji! Oczywiście, policja ma młodzież na oku. Oczywiście, że się zmieniałam. Teraz chcę dla ludzi budować domy i otoczenie, pracować pozytywnie, budować, nie burzyć.

Jemy kolację, żegnamy Michaela, co na trzy dni na zachód, ginie kot Humphrey, szukamy we dwoje i po długim czasie znajdujemy po drugiej stronie alei, miauczącego w przerażeniu; kompletny wariat, jutro dostanie smyczę.

Wypalamy skręta, przed pierwszą zmuszam Gudrun do przerwania lektury Bułhakowa, zasypia natychmiast; palę pałeczkę kadzidła, piszę do Ciebie.

Co jeszcze się wydarzyło? a, o poranku, gdy wykochałem Gudrun i wciągałem spodnie, odchylił firankę w oknie Matijas, który jako

barman w Zielonym Palcu; zwariował uczciwie, jak mówi, na punkcie 'Punktu styku', ale może zapłacić 700, nie 1000. Apeluje do sumienia, bo zarabia tylko osiem za godzinę i drobne napiwki. Sąsiadka, co prowadzi wielkiego buldoga na spacer, pytała raz jeszcze, czy nie sprzedam Kreacji, a skoro nie, to ile kosztuje 'Galaktyczna wioska'.

I tak dalej. Jak powiedziałem Gudrun?

- Szczęście i pieniądze nie idą razem!

- Dlaczego?

- Dlatego, że szczęście mi dopisuje.

A po cóż Ci tak skrętnie spisuję? Dziś znowu czuję, że groźnie jest na okrągło; śmierć naprawdę tuż obok, nie ma czasu na rzeczy niepoważne, ach, nie ma niepoważnych rzeczy. Mój drogi, wcale Cię nie gubię. Ale gdybym miał umrzeć, zalecam - nie uwierz! Jest esencja istnienia w każdym istnieniu, ja w niej zawsze jestem. Nie wierz w czas, nie ufaj założeniom, nie przyjmuj żadnych aksjomatów.

Niepotrzebny Ci gmach filozofii, architektury logiki. Bezmiar jest Twoim domem.

Ale świta już w śpiewie ptaków, piękna pora roku i życia, niebo rozjaśnia się pogodnie. Bezmiar jest człowieczym domem.

Środa 20-ty czerwca słabuje; nie mogłem spać po pisaniu o brzasku, leżałem w łóżku czytając 'Nienasycenie' Witkacego. Gudrun spała nerwowo, budziła się o 5:30 gdy czytałem, a potem o 7:50, gdy spałem, czyli znowu spóźniona do pracy.

Wstałem o 12-tej śnięty; długo budzę się w słońcu popijając kawę. Nie wzmogła mnie godzinna wizyta Christiana, który w ostatnich dniach troskliwie rozważa możliwość samobójstwa.

Kochani moi staruszkowie! nie tylko splodzili, zrodzili, wychowali, ale wciąż jeszcze utrzymują przy życiu! Wolę żyć w piekle, niż wtrącać ich do piekła moim umiarem. Ale fakt - do pełni daleko! już nie usprawiedliwia mnie niewiedza.

Z tego wszystkiego ogoliłem się i obmyłem, przejęty powtarzalnością snu, jedzenia, golenia, tysiącem innych niepowtarzalności. Człowiek fabryka gówna; czy zawierałem Ci tę metaforę?

Zadzwoiłem do Gudrun, która dzisiaj w biurze, aby obdarzyć uśmiechem; szczęście dźwięczało w jej głosie, piękną mam i dzielną kobietę; nagotuję ryżu do naszej sałaty powszedniej, ale po pracy jedzie na seminarium, wróci późno.

Bardzo piękny wieczór, ciepło w mocnym zapachu lip. Ciemnieje głęboki szafir nieba, pojawiają się gwiazdy. Więc gdzieś tam między nimi, daleko, wszystko to będzie widziane? jeszcze raz widziane? dziwy waszmość prawisz!

Pewnie, że mam pytania, i to w każdą stronę. Widziane przeze mnie, czy samo w sobie, jakie jest? Wiedziane, jak jest widziane we mnie, czy jakoś inaczej?

Czas nie jest warunkiem istnienia uniwersum, ale warunkiem postrzegania istnienia.

Zapewne jutro będzie wściekły upał; nic się nie wydarzyło; jedna rodzina po raz trzeci zainteresowana obrazem; Kasia z chłopcem malarzem, którego jej życzę, skoro sam bezsilny; Rotraut miła z rozmową o Rony - nie poleci z nim na Tenenerifę, skoro on potrzebuje ciągle nowych kobiet.

- Ach, mężczyzny nie ubywa od kobiet! - stwierdzam sentymentalnie.

Także ona ma mi za złe, że nie sprzedaję obrazów.

Na oknie jest gruby pokład mrówek, skrzydlate królowy się właśnie wyroiły; posypuję obficie parapet solą, bo nie darzę ich zbytnią sympatią; zabieg pomaga, znikają. Mnie oblażyły mrówki niemocy, grzybnie zniechęcenia, pajęczyny zadumy z zadupia rodem. Dzień na niczym pełźnie przez pustynię. Przekwitają dziś róże i jaśmin. Piję się kawą na murku, myślami nie wzbijam wyżej. Coraz mniej stron w tym zeszytcie; będzie mi brakowało Twego uczestnictwa w życiu, kiedy się skończy. Piszę przy świecy w ogrodzie, dzień dał się przeżyć łaskawie. Dobranoc.

Czwartek ledwo po śniadaniu, a już wystawa otwarta; ostatniej nocy osiągnąłem stan krytyczny, ale pieszczoty Gudrun mnie życiu

przywróciły. Był gościem właśnie młody człowiek poeta, dobrze patrzy mu z oczu a dłoń bezwolny flaczek. Ładnie powiedział:

- Kiedy patrzę na twoje obrazy, to widzę, że jesteśmy razem, a to jest szczęście - ten ma dobrze, no nie?

Dźwięk dzwonów oznajmia południe. Kwiaty pną się ku słońcu, rosną. Ja nie muszę, leżę na sofie i patrzę w chmury.

I tak przez cały dzień; byczę się w słońcu, piję wino i palę, czytam Witkacego między rozmowami z ludźmi. Świetna Finka najbielszy skandynawski blond, 23 lata, w Berlinie robi dyplom ekonomii dla uniwersytetu w Helsinkach, połowę roku ma wakacje i podróże, za dwa tygodnie do Szwajcarii, potem na Sumatrę; oczy miłośnie przejrzyste, najczystszy błękit najdłuższego dnia w roku; kobietę mógłbym kochać.

Zaczyna się noc najkrótsza w roku; był poeta poranka raz jeszcze z dziewczyną, Waldek z fajną rozmową i Liza w ferworze serdecznym; troje Holendrów na tripie medytowało wśród kwiatów. Ludzie jako projekcje zwierząt.

Jeszcze raz otworzyłem galerię o północy, bo przyszli istotni goście; Helmut pożyczył mój obraz do domu, aby zobaczyć, jak pasuje do wnętrza i kolekcji; jest sędzią, starszy ode mnie zaledwie dwa lata a przygarbiony i siwy, tylko oczy świecą młodzieńczym blaskiem; wypatrzają coś w moim świetle, czy się przymkną?

Kiedy wróciłem do siebie, podłoga była zasłana szkłem, to wielkie lustro spadło ze ściany, rozbiło się w maczek; znowu omen amen? Ledwo pracowicie zmiotłem, a Norweżki z następnego domu prosiły o pomoc, klucz nie otwiera drzwi wejściowych; pomogłem, dobre żarty, drzwi były otwarte, trzeba było popchnąć. Skończyłem 'Nienasycenie' z żalem, że się kończy.

Leżałem już w łóżku, kiedy w oknie Rotraut:

- Chodź, taxi czeka, szukamy Lizy, nie wróciła do domu.

Zerwałem się w spodnie, pobiegłem; wyjaśniła w taksówce, że mężczyzna napastował Lizę gdy wczoraj wracała do domu, pokazywał jej kuśkę, więc dziewczyny się umówiły, że zaraz po powrocie zadzwoni; nie zrobiła tego, telefon nie odpowiada. Przyjechaliśmy pod jej dom, srebrna Honda pod bramą, ta zamknięta, w oknach ostatniego

piętra ciemno. Telefon nie odpowiada raz jeszcze.

To jest naprawdę, uwierz! zagrałem dla Rotraut w orla i reszkę, wypadło, że Liza nie jest zgwałcona! Życzę jej jak najlepiej.

Poszliśmy do domu piechotą, trwało to bardzo długo, wschodziło słońce, patrzyłem na drzewa i domy, jakbym chciał coś zobaczyć. Pachnie kwiatami lip, kwitnie wielka aleja.

Sobota od płota do płota!

Spałem krótko i treściwie bez snów; okazało się, oczywiście, że Liza wróciła do domu i zmęczona padła w sen. Dzień pogodny, upalny, zaczyna wiać wiatr, ciągną szybkie chmury.

Czy umysł i materia to nie dwa aspekty tego samego zjawiska? Dziś chcę żyć dobrze, strzec się od grzechu rozpaczy.

Zjadłem lunch z Rotrut; jest mi wdzięczna za radę, powiedziałem jej mianowicie:

- Co cię obchodzą inne kobiety? Jeśli lubisz Rony, to leć z nim na wakacje. Jeśli polecisz, nie wiesz, co będzie; jeśli odmówisz, to jasne, będzie ci smutno. O co chodzi? Chcesz życie organizować, nim kierować; pozwól mu działać się bez lęku, jest większe od ciebie.

Po rozmowie dzwoniła do Holandii, zdecydowała się i leci na Teneryfę. Chce mi przedtem kupić sandały, ale to zbędny wydatek, chodzę boso, sam kupię w Warszawie. Gudrun wczoraj nie przyjechała, dziś się nie pokazuje.

Poniedziałek 25-ty czerwca już lato, nie pisałem parę dni do Ciebie wśród przegód; wiele tych rozmów, malowania, wizyt.

Wspomnę sobotę bodaj z zawstydzeniem. Proszę, dziw się, sam jestem zdziwiony. Dzień piękny z Gudrun; zjedliśmy święte grzyby kochając się, bawiąc i spacerując cudownie do chwili, kiedy Twego przyjaciela ogarnął świr.

Tak się zaczęło: patrzyłem w koronę wielkiego drzewa lipy w alei; jeden konar rozłożysty i bujny, drugi równie wielki, lecz zupełnie

nagi i suchy, bez kory, świecący jak próchno.

Cóż takiego zobaczyłem, że zacząłem szlochać? Huk miasta nagle wali w głowę, łaknę ciszy, pojechaliśmy wozem nad jezioro, a tam dopiero śmiechy i krzyki po wodzie, motorówki, muzyki, auta! wrażenie, że życie nieznośne, los skazany na wędrówki przez piekło; walec łaskoty, huk obłąkańczy.

Gudrun natomiast poleciała świetnie, opryskała mnie wodą, popłynęła w dal, gdy oddychałem, żeby przetrwać.

Widzisz, tylko nagi konar, a ja przymierzam go do czegoś, staję się krytyczny, osądzam się bezlitośnie w artystycznych niedokonaniach jak w aspekcie etycznym; summa sumarum ból się ze mnie sączy jak deszcz w listopadzie. Wtedy nie ma jak powiedzieć, ani się poradzić. Przetrwać, przeczekać. Nie zdziczeć, nie upadłać się rozpaczą!

Jestem w metrze, piszę na kolanie, chociaż trochę trzęsie. Ciekawe, co podróż przyniesie. Jadę do Ariberta z decyzją sprzedaży, jeśli zapłaci 1400, skoro proponował 1000. Potrzebuję pieniędzy, ministerstwo moich finansów operuje wyłącznie zerami z obfitością godną innych cyfr. Wczorajsze zakupy Gudrun to papu, nie ma strachu, ale uczucie komfortu chwilowe.

Jak między nami? dobrze, świetnie! Jesteśmy przejęci, jedziemy razem na wakacje do Polski! Kochamy się nadzwyczajnie, pełna fascynacja. I nowy element radości i beztróskiego śmiechu; wiesz? mam specjalny talent w rozśmieszaniu, kiedy nie beczę jak koźlę.

W drodze powrotnej znowu piszę na kolanie w metrze; spędziłem fajne chwile z Aribertem; skończył fizykę, robi dyplom z planowania miasta; pracuje jako asystent, dostał pierwszą pensję tysiąc sto, godzimy się na cenę 1300 za obraz, przyjedzie za dwa trzy dni. Dobra i pracowita vibracja mieszkania; jego pokój duży, wiele książek, kwiaty, dobra aparatura muzyczna, parę plakatów na ścianach; mieszka od lat z dziewczyną, która wspomaga go w studiach i życiu; siedzi nad bledactwem nad podręcznikiem medycznym splakane i zakatarzone, bo cierpi na astmę, a wszystko kwitnie i zapyła. Wypiliśmy we dwóch flaszkę reńskiego i zrobili spacer; to inny Kreuzberg: wody i parki bujne jak marzenie.

Ale oto już Sophie-Charlotte; metro jedzie szybciej gdy piszę; może zarabiać na życie napędzając metro słowami?

Wczoraj był Andrzej w drodze z Warszawy do Paryża, pozazdrościć podróży! pojechał z nim Christian. Mówił, że Rysiek już wrócił z Londynu; ciekawe, jakie będzie nasze w Warszawie spotkanie.

Popołudnie wtorek 26 czerwca w słońcu przed galerią; fajna Gabriela; 23 lata, robi ceramikę z koniecznością pasji, pracuje dwie godziny dziennie zarobkowo, żeby ogień nie zagaś; kupiła plik kopii z twierdzeniem:

- To najpiękniejsze wiersze, jakie mnie w życiu spotkały.

Przesadza w komplementach; miłe są pochwały, ale wiem swoje i recytuję po polsku Rilkego, by przywrócić realne proporcje, a za grosz od niej kupuję ryż, pomidory, kartofle, paprykę i mleko - tyle świeżości dzisiaj.

Wczoraj wieczorem wrócił Michael przejęty, bo drukują mu wiersze w antologii liryki niemieckiej, zaprosił na piwo. Gdy wróciłem o drugiej Gudrun była już w łóżku; spała źle i krótko; ramo straszliwie hałasują robotnicy ubierający sąsiedni dom w rusztowania. Jak za dawnych dobrych czasów zrobiłem śniadanie i przygotowałem kanapki na drogę; pobiegła na uniwersytet.

O ósmej rano listonosz z ekspresem od siostry; zielona pocztówka, żadnej trawy, niestety, a w moim bezludnym świecie nie ma czym łagodzić napięcia.

Śmieszny obrazek - na kamieniach leży wspaniale rozciągnięty Humphrey; na chodniku przystaje mężczyzna z dwoma psami; psy i kot patrzą na siebie w zneruchomieniu; na brodzie owczarka pojawia się ślina, ciężkimi kroplami spada na ziemię. Humphrey odwraca się lekceważąco, psy pozwalają się prowadzić dalej.

Dzwoniłem do Katii, może dziś przyjedzie. Nie wiem, czy wróci na obiad Gudrun, głodnieję. Przebiega Michael z wiadomością, że sprzedaje Galerię-cafe; z takim wystrojem wnętrza przynosi straty; w stosunku do mnie stał się innym człowiekiem, z repertuaru zachowań

znikły złośliwości, jest normalnie. Jeszcze dwa tygodnie wystawy. Kończy się prawie czerwony zeszyt trzeci, w którym do Ciebie piszę.

Wieczorem w ogrodzie sam; wystawa w pełnej iluminacji; udaję zajętego pisaniem, żeby tyle nie gadać!

Środa południe 27 czerwca jest znowu słoneczne; notuję urozmaicony wieczór wczoraj; to Greczynka Weronika, 25 lat skorpion, pracuje w szpitalu; przyniosła wielką flaszkę czerwonego wina i zabawiła gości, czytając im moje wiersze; skromna, ale erotyczna w ciągłym dotykaniu palcem spierzchniętych nieco warg; Kasia rozświertana przepiórka, także Katja i Wolfgang, o północy Gudrun; o drugiej Klaus zasięgał porad sercowych.

Dziś Katja przyjechała znowu; piliśmy herbatę, ma kłopoty z wydaniem płyty, jest energiczna i piękna. Zwierzyłem się jej szczerze z kłopotów i głupot - w efekcie czego poszliśmy na spacer do kościoła w pobliżu, aby 'zasięgnąć języka'; kościół zamknięty, poszliśmy więc dalej, do administracji kościelnej - w poszukiwaniu kościoła i księdza, który chciał kupić Krecję. Wzbudziliśmy sensację wśród miłych pań, ale bezskutecznie. Co się staje, się nie odstaje! Poszliśmy do restauracji Luciano na pizzę; ładnie wiszą na ścianach grafiki, tyle pociechy. Wróciłem do ogródka, gdzie nic się nie dzieje.

Zauważasz, co piszę? dziś szukałem proboszcza, gotów spowiadać się z grzechu pychy i sprzedawać obraz!

Primus Pictor Cosmic Seculis nazywa się 85-cioletni dziadek Dietricha; podobno maluje obrazy podobne do moich; słyszałem o nim parokrotnie; mówię przy okazji, że idee, motywy i pomysły powstają a potem jakby unoszą się w atmosferze, wędrują przez różne głowy i serca. Jeśli masz pomysł to wysyłasz w atmosferę ideę; ktoś otwarty odkryje ją w sobie wcale o tobie nie wiedząc; jeśli nie zrealizujesz pomysłu - wkrótce zrobi to inny w naszym świecie naczyń połączonych. Dietrich to muzyka, flet, piękny człowiek. Bliski wśród wielu innych, z którymi wspólna jedynie dwunożność.

Zawołano mnie wczoraj, gdy byłem w biurze Michaela; wy-

szedłem z jointem w rękę rozbawiony; przed galerią policyjny wóz, przed obrazem oficer policji; wykrzyknąłem prawie:

- Jaki masz fajny pędzel! co takim można zmalować? - wskazując na wielki pistolet u biodra; przyszedł popatrzeć i pytać o ceny, obrazy bardzo mu się podobają, zwłaszcza 'Galaktyczna wioska' ale go nie stać. Potem sprzeczka z Gudrun; twierdzi, że jestem szalony żądając cztery tysiące za obraz od policjanta.

Ma rację, której nie mogę jej przyznać, bo to ja mam obraz.

Czwartek, czwartą. Wczorajszy wieczór ludny i gwarny. Aribert nie zjawił się po obraz. Humphrey z domu wyszedł nie wrócił; sąsiadka, która pieści go zwykle i karmi - szlocha w żalu. Michael groził mi śmiercią, jeśli kot zaginie - teraz pociesza, że zapewne znalazł lepsze miejsce.

Malowałem dużo godzin maleńkie obrazki. Parę miłych wizyt w galerii. Silny wiatr z północy niesie chmury i chłody. I słusznie, trzeba coś robić, a nie byczyć się w słońcu. Lata stają się krótsze!

Malowałem deski Rotraut; herbata na balkonie i zwierzenia nt. antypatii dla Gudrun niezbyt interesujące. Ładny widok z góry, gdy przejeżdża wielka kawalkada kilkuset starych samochodów hucząc, trąbiąc, popisując; uroczę starocie wszystkich krajów, najwięcej z Teksasu i Niemiec. Burzujstwo najwyższej klasy.

Wykąpałem się dla odnowienia duszy. A w niej po odnowie jest jak w kieszeni - pusto.

Noc. Napilem się trochę wódki i poczułem raźnie. Wiesz, po co się pije wódkę, rąbany kosmito? żeby się otumanić, otruć ból istnienia, żeby móc powiedzieć: - Mam wszystko w dupie! - po paru kielonkach dupa robi się nadzwyczaj pojemna.

Wódkę przyniosła Rotraut - nie pijąc; babon bez skazy. O obrazach, które ewentualnie chcę u niej zostawić. Świta czysto w świecie, ani chybi jakiś dzień świąteczny.

Sobota trzydziesty popołudnie wietrzne, przeważnie pochmurne w środku alei zamkowej. Jakie szczęście, że w wielkim Berlinie jest wiatr, szum drzew, chmury, słońce, które łaskawie co kwadrans spoza nich wygląda. Poranne zakupy na markecie to cebule, pomidory, papryki, banany. Mam je w plastikowej neutralnej torbie, którą wieszam na haczyku wózku do zakupów, gdy wchodzę do supermarketu. Wkładam do wózka biały ser, paczkę chrupek i margarynę, wszystko, na co mnie stać, ale w stosownym momencie wkładam też do torby z jarzynami butlę Rumu Jamaica. Nieprzeliczalna liczba przyjaciół, którzy dzień i w noc głęboko cieszyli się zawartością butli; wymienię? ja zaraz po powrocie z kradzieży, Gudrun i przyjaciółka Ruth, Kasia gwiazdka, Karuna i ciemnobrązowa dziewczyna, Michael, Ewa, Rita, George, Katja i jeszcze parę; owszem, uprzedzałem, że kradzione i piją na własną odpowiedzialność w piekle; dobry mój nastrój po chwalebnych czynie, ożywienie i podniecenie, gdy po północy wszyscy do hiszpańskiej restauracji, gdzie dla mnie sałata z tuńczykiem; niestosowne do tego czerwone wino i całkiem zbyteczna tequila. Piszę Ci, ale co chwila przerwy; oto jest Kasia, Karuna, ów mistyczny poeta z długą brodą i cienką ukochaną; także Christian i Andrzej po gangsterskiej do Paryża wyprawie.

Spałem krótko, więc zwyczajny o poranku blues. Nic do roboty, poszedłem przez siebie; słońce zaprowadziło na skwer przy Kaiserdamm. Usiadłem na ławce wśród kwiatów; trochę zbyt jasny, głodny, bez paliwa; nogi wyciągam przed siebie, ręce rozkładam na poręczy ławki. Rozmówca jest prawie natychmiast, zwalisty krótko ostrzyżony około pięćdziesiątki, ubrany jak tramp.

- Pali pan papierosy? - pyta donośnie zatrzymując się przede mną. Patrzę na prawą dłoń bez trzech palców środkowych, kciuk i mały palec jak szpony; odpowiadam:

- Palę czasem, kiedy mam.

Częstuje mnie papierosem i historią, kiedy siada obok.

- Od pół godziny idę i pytam ludzi, czy palą, ale na mój widok stają się niepalący, w lęku, że poproszę o papierosa. A ja mam papiero-

sy, tylko pytam i bawię się mieszczuchami! A ty szczerzy człowiek.

Otworzył torbę plastikową, odwinął z papieru piezonego kurczaka, ujął w szponę połówkę, wskazał na drugą, podsuwając ku mnie; nie wahałem się chwili; wyciągnął z torby bagietki i serwetki, a po dłuższej chwili, w połowie jedzenia, sięgnął do torby i wyjął pół litra wódki. - Na zdrowie! - po polsku, bo już skapował, kto ja. Podał, żebym zaczął, pociągnąłem z dzioba, też wziął jeden wielki haust, zakręcił. Jemy kurczaka, rzucamy okruchy bułki gołębiom i wróblom.

- Widzisz te gołębie? to mieszczuchy kiwają łebkami, chodzą powoli i jedzą. A te wróbelki! podleci taki, złapie ziarnko i ucieka w krzaki - to są złodzieje. Między ptakami jak między ludźmi.

Pod koniec jedzenia wskazuje mi butelkę, odkręcam, wycieram wnętrzem dłoni szyjkę, piję, znowu wycieram, podaję; w tym czasie przechodzi zacy dr Paul amerykański skonfundowany na widok mego kompana i wódki, bo przecież zna mnie uduchowionym; wręcza tylko po drodze Christian Science Monitor z artykułem o malarstwie. Mój nowy przyjaciel ma w torbie ostatnią niespodziankę, jest to wiązanka róż; rozdziela ją pracowicie na dwie połowy i wręcza; pakuje kości i papiery do torby, wyrzuca do kosza, butelkę wkłada do kieszeni bluzy.

- Ty jesteś dobry człowiek - orzeka.

- Ty również dobry człowiek - rewanżuję się i pytam: - A jesteś szczęśliwy?

- Kochany, jak człowiek ma słonko nad głową, co jeść i wypić w dobrym towarzystwie, to pewnie, że szczęśliwy. Ale dobry człowiek nie jestem, świnia jestem nie człowiek, bestia jestem.

- Nie wierzę. Dajesz mi sznapsa, jedzenie, papierosa i róże, i to za nic. Nie wierzę w świnie.

- Nie daję ci za nic, ale za to jaki jesteś. Może zdaje ci się, że za niewinność mi palce odcięli? - pokazuje szpony. - Ze mnie człowieka nie zrobisz, patrz jaki świński ryj - robi miny, chrząka jak wieprz.

Na pożegnanie zapisuje kulfonami adres. - Na wypadek, gdybyś kiedy nie miał co jeść albo gdzie spać, to masz pewną metę - całuje mnie z dubeltówki; wracam w lipową aleję, siedzę i piszę.

W Christian Science Monitor poza ciekawym artykułem o sztuce jest esej księdza Twardowskiego o Januszu Korczaku. Tłumaczę Ci z

angielskiego fragmencik przemówienia Korczaka do młodych nauczycieli; może masz szczęście i znasz polski oryginał?

'Nie dajemy ci boga, ponieważ ty sam masz szukać i znaleźć go w swej duszy poprzez własny wysiłek.

Nie dajemy ci ojczyzny, ponieważ ty sam masz ją odkryć pracą umysłu i serca.

Nie dajemy ci miłości człowieka, ponieważ nie ma miłości bez przebaczenia, a przebaczenie jest trudne i pracowite, co każdy z nas musi sam przedsięwziąć.

Dajemy ci wszak jedno - tęsknotę za lepszym życiem, którego jeszcze nie ma, ale które pewnego dnia będzie, tęsknotę za życiem w prawdzie i sprawiedliwości.

Może ta tęsknota cię zaprowadzi do boga, ojczyzny i miłości.'

Wzruszam się; słońce pośpiesznie osusza łzy.

Mój czerwony zeszyt zapisałem do końca, ale tylko po jednej stronie, więc odwracam go teraz i piszę od końca po drugiej; wróciłem do domu, przyjechała Ruth i Gudrun na herbatę i parę pocałunków; uskarża się, że Michael przy kolacji nocą opowiadał o mnie święstwa nie tylko nieprzyjemne, ale wręcz grubiańskie.

- Ach, Gudrun, znam paru łajdaków, a też mają miejsce na ziemi, nie sprawi mi trudu akceptacja chama - kłamię.

Sobota to wiele wizyt; zwłaszcza Odile i Günter, artyści przejęci i cudni, zapraszają do siebie i do współpracy; pracują w teatrze, malują obrazy, kolaże i dekoracje - otwiera się ciekawa perspektywa przyszłości. Jeszcze Petra i Christian w galerii z parą swych znajomych; zainteresowani obrazami zapowiadają powrót. Waldi na herbatę z ostatnim kielonkiem rumu.

O północy sam, ze mną tylko ból głowy; melancholia przenika mi krocze, a Gudrun zajęta koleżanką, czyli kolacja u dziewczyn i dyskoteka. Wypaść się zatem.

1 lipca niedziela; to pierwsza godzina, dzień wietrzny, poch-

murny i chłodny; wystawę obejrzało od rana z pół setki ludzi, co ma malarza radować. Gęba się nie zamyka, więc szybki obiad i karmię ją makaronem z papryką. Przychodzi Christian z informacją, co się wydarzyło Ewie przedwczoraj nocą, gdy Michael wrócił po świńskim chrząkaniu w restauracji. Nikt nie wie dlaczego ciężko pobił Ewę. Nikt? przecież wiem trochę; nie chciała mu dać dupy, że wyrażę się w jego języku, to jej nakopał do dupy. Żałosne, co? miłość ludojada.

Wczoraj rozmawiał ze swym kolegą szkolnym, który chce kupić obraz, o bogu. Michael nie wierzy w boga; miłość, światło i bóg, mówi, to puste słowa. Uwierz mu, uwierz! Miłość to forsa, światło to forsa, bóg to forsa. A niechże się w puchu wygrzewa do sądnego dnia!

Chyba mi włazi w buty! jest facio, który kupuje mój obraz, ma go już w domu a pieniędzy nie widzę; czyżby załatwiał miły kolega po drodze sprawę zadłużenia? To się wszak wyjaśni, prawda?

Aribert się chyba rozmyślił; cóż, 1300 to dużo dla młodego człowieka; nie przyszedł po obraz, pojutrze wyjeżdża na wakacje. Ach, niech mu wystarczą plakaty, które ma na ścianach.

Zrobiło się bardzo zimne lato, najwyżej dziesięć stopni ciepła; włączam piecyk legalnie do gniazdko; pracował zimę bez przerwy, przez miesiąc odstawiony pod regał, dziś wyciągam go znowu.

Wychodzę często z pokoju do galerii, kiedy ktoś życzy sobie mej obecności; mam szczęście do ludzi mówiących o mym malarstwie - dzisiaj nikt nie mówi na krowę, że dójka.

Znowu widziałem Christiana w drodze po papierosy; zamierzają rozbić łomem drzwi Ewy, bo może nie żyje, nie wychodzi trzecią dobę; fakt, dawno jej nie widziałem, na dzwonki i telefony nie odpowiada, auto stoi na ulicy. Christian ma nadzieję, że boss jej nie zabił; mogło się zdarzyć samobójstwo w rozpacz? nie wierzę! Ewa jest klasa! ale po ilu dniach się pachnie? Zdumiewam się chętnie, zdumienie to mój zawód! no popatrz, Michael mały słaby chłopiec wobec kota Louisa, a jaki silny i męski wobec Ewy!

Tymczasem zapada zmierzch; Gudrun się nie pokazuje i wie, co robi; spędza weekend z Ruth, pokazuje Berlin. Ja za nią nie tęsknię, trudno tęsknić z nudów.

Doprawdy, Przyjacielu, życie między szczękami imadła; ono dociska się zwolna, gdy próbuję myśleć. Czas przyszły w ciemnych brązach, ląduję w Polsce bez pieniędzy i nie mam gdzie mieszkać? Żle pograłem w pokerze natchnień, karty z rąk lecą. Ten rok w Berlinie przyniósł ciśnienie! co wycisnął ze mnie? niezbyt wiele płócien; dzieścię obrazów, pięćset kartonów, ten list. Tęsknię do wielkiej pracy, płomiennej natchnionej epoki; przeczuwam, zdaje się bliska.

Chętnie poszedłbym dokądś, mam dosyć siedzenia na tyłku, ale mam tylko dwadzieścia fenigów w kieszeni, tyle co na telefon - jeśli Aribert jest w domu.

Był w domu, zapytałem wprost:

- Hej, rozumiem, że podjąłeś decyzję, i decyzja jest negatywna.

- Ależ nie, Wiesław, kupuję ten obraz i będę szczęśliwy, mając go na ścianie.

Umawiamy się na wtorkowy wieczór; jeśli obraz zbyt duży na osobowe auto, pomogę zawieźć metrem. Widzisz, potrzebuję tej ustawicznej szarpaniny, aby zobojętnić na niepotrzebne emocje, by stać się nietykalnym dla ludzi i świata.

Dokąd? do Christianów! Petra właśnie pod drzwiami Ewy w skarpetkach, nasłuchując i dając mi znaki, abym szedł dalej nie zatrzymując się; idę do Christiana. Przychodzi po chwili z komunikatem, że w mieszkaniu słychać szelesty, zatem Ewa żyje, chociaż po ciemku. Pijemy z Christianem wino i gawędzimy o życiu; niegorsze dziwaki, znakomicie potrafimy się znosić, a kiedy są chwile bezinteresownych żartów, to cwałujemy ho ho!

Zadzwoiłem od nich do Gudrun, przecież może przyjść! ale nie było jej w domu; Reinie zapytała, co przekazać.

- Kopniaka w dupę - brzmiała moja odpowiedź.

Miły Christian zapytał na dobranoc z nutą szczeroci w głosie:

- Ale ty wiesz, że jesteś wariat?

- Taki przekonany o swej normalności wszakże! - odrzekłem.

Mało interesuje mnie etykieta; sam widzę niekiedy, że ludzie jak popuste zabawki! dla nich, dla tych popsutych zabawek - funkcjonują jako wariat. Lepiej trochę głupoty, niż za dużo mądrości. Pożyczam od Christiana księgę Maxa Schelera; będę miał z kim pójść do łóżka.

Wtorek miłosna noc i płomienny poranek z Gudrun, chociaż dzień pochmurny i szary; kawa z Christianem przed południem, parę godzin w galerii i zajęć obowiązkowych z przekładami wierszy; są dobre, często tragiczne.

Sytuacja autora? Christian nazywa go pieszczotliwie 'pies nazi', a ja na widok psa zmieniam się w wilka; twierdzi, że całe jego życie fałszywostwie. Ewa spuchnięta ponoć kuruje się w domu. Zainteresował mnie zwłaszcza wiersz napisany w Warszawie; stał się przedmiotem ożywionej rozmowy, gdy zjawił się autor. Czytany jako wyznanie Niemca wydał się nam wstrząsający; autor się dowiedział, dlaczego. Wiesz przecież, nie uczę się niemieckiego ani nie próbuję mówić, ale zacznę rozumieć teksty pisane.

Ożywiony dzień. Poszedł Christian, przyszedł Helmut na rozmowę o sztuce; nie jest pewien, czy obraz do mieszkania pasuje, wydaje się zbyt mocny, aby go wieszać wśród innych, bo przestają być widoczne; widzisz, utyskiwania to ćwierć komplementy; on jeszcze nie wie, że kolekcja kilkudziesięciu obrazów nie wiele warta; ma w moim obrazie miarę - wszystko ujawnia jakość w kontekście prawdy. Przyszli młodzi malarze i Katie; niejednego mógł się nasłuchać; wziął drugi obraz; może dwa na ścianie zrównoważą się lepiej? Gerald z muzykami na skręta przed koncertem.

A gość oczekiwany Aribert z gotówką przerwał pisanie do Ciebie. Przed wypłatą zainteresował się błękitem 'Koncertu brandenburskiego', ale zazdrośnie odwróciłem obraz do ściany, bo nie jest skończony. Odliczył trzynaście setek na stół. Ponieśliśmy 'Majowe słońce' do metra, niech zobaczy Berlin. Kielich wina, kawał melona, wieszanie obrazu, pamiątkowe fotografie. Po czym Evi odwiozła mnie do domu autem; za małe, żeby wozić obraz.

Widzisz, jaka harmonia, wydaję ostatnie grosze a dostaję pieniądze; obraz sprzedałem taniej, ale, zwierzę się, to jedno z niewielu płócien namalowanych w jeden dzień, więc honorarium godziwe! Nie zdążę ponarzekać!

Leżę już w łóżku i świergocie ptasim; przed snem słów parę dla Ciebie, bo noc spędziłem z Michaeliem; w 'Atene' późny obiad i wino, potem inna knajpa pod tytułem mała whisky i duże Bacardi, które ja stawiam dla odmiany, przyjaźnie.

Co mówiłem?

Trudne zadanie: doradzać rekinowi, jak zostać biedronką! Że jego problemem jest - otworzyć się. Jest pracowity, ma szczęście, lubiany przez ludzi, ale zaskorupia się i niszczy cenne właściwości, sam sobie szkodzi. Zdawał się poruszony. Ja wiem, że na mój widok toczył się niekiedy z jego egzystencji jad. Wyznał na pożegnanie, że jestem jego krucyfiksem.

Grecka restauracja na obiad, knajpa artystów na Savigny-Platz i whisky, knajpka Asbach na deser i Bacardi, gdzie stary pan barman zaprawiony ma ładną wystawę grafik, rysunków i lamp - oto stacje wieczoru. Weronika, Heidicke; Suzanne śliczna 18-letnia komplementuje wciąż jeszcze obrazy.

- Ach, kiedy patrzę na ciebie - odpowiadam - to momentalnie zapominam, o czym mówisz.

- To nie ma znaczenia, bo przecież komunikujemy się przez wibracje i oczy, nie tylko przez słowa - mówi rozsądna; jej dobrze mówić, ma cudne oczy, wargi i cycki.

- Jest jeszcze komunikacja głębsza - śmieję się - przez dotyk. Jestem pewien, że znasz ją.

I uścisk serdeczny się staje, pocałunek tęskny. Przepelnia mnie energia, wcale nie jestem pijany. Nie ma się czego bać, zmierza do czarnej dziury - jeszcze to namaluję dwa razy!

Chyba teraz wracamy do domu w bezlitosnym świetle, tzn. ktoś mnie wiezie. Ktoś wynosi ze mną Kreację i wieszka na linie. Otwieram galerię, niech będzie, teraz sen bez reszty. Dobranoc Ci albo dzień dobry, jak wolisz!

Środa więc śpię do południa; potem sprzątanie, herbata, godzina z Christianem, przysnuc u Michaela, który po raz pierwszy mi to zaproponował. Świeży przeszedłem do Galerii-cafe, aby zabrać dwa płótna, którym tu źle. Straszniutka atmosfera, dopijam rumu i zmykam do domu, gdzie zawsze lepiej.

Noc; byli dwaj Michaela; chłopiec, który kupił ode mnie 'Bajkę' do swego domu w naturze ma dwadzieścia lat, studiował grafikę w Berlinie, nie lubi hucznej atmosfery miasta i ciśnienia systemu; jedzie na wieś do komuny ekologicznej; drugi Michael pracuje w przedszkolu, dziś po spotkaniu z rodzicami uważa, że świat, rodzice i szkoła źle działają na dzieci, chcą z nich uczynić użytkowe preparaty.

Podobnie o szkole Petry opowiadał Christian wcześniej, tylko patrz na spójność wydarzeń! Model wymyślili, o paradoksie! socjaliści; dzieci są segregowane w grupy, między którymi fluktuacja jest możliwa i stymulowana przez rozbudzenie ducha konkurencji, który się przyda w dorosłym życiu im - i systemowi.

Mówiliśmy też, że Niemcy mają szanse budowy państwa totalitarnego pod demokratycznymi hasłami.

Trzeci Michael największy, tutejszy i ciemny dzisiaj niespokojny. Zobacz no tylko! Gdy zraszałem wodą ogród podszedł do mnie z tyłu, położył głowę na moim ramieniu, biedny mały duży chłopiec, dopóki nie powiedziałem:

- Aleś ty ciężki, Michael! - i stał się lekki, i poszedł. A mnie się zrobiło przykro, jakbym odmówił pomocy.

Gudrun po pracy w biurze bladziutka zmęczona gdy robiłem obiad; na tyle dużo, że nakarmiłem też Katje i George; ten wrócił później z wyrazami wdzięczności i kawałkiem marokana w prezencie. Ledwo znalazłem czas na pozdrowienie, lecz nie na rozmowę z Rotraut.

Żyłem dzisiaj w poczuciu dystansu do wszystkich. Przemilczałem kompletnie dwa z głębi serca monologi. Pierwszy sąsiada z podwórka, co jeździ motocyklem Yamaha, Porschem, VW-busem i prowadzi dom mody - o jego ojcu malarzu, który, uważaj, był też z bohemy.

Serdecznie mówił, jak ludzie tutaj zabiegani, nie mają czasu na sztukę - a jeszcze nie wszedł do galerii! - bo się dorabiają. Milczałem, patrzyłem z uśmiechem w oczy, aż zmieszał się, odszedł.

Drugi to Fin wyglądający na Anglika, przyjaciel Michaela czemu się nie dziwię, przedstawiciel Agfa na Europę z fajką w zębach i troską w oku mówił o trudzie życia wśród tych wszystkich więzów; patrzyłem w oczy z uśmiechem, nie produkuję złych wibracji, ale coś niepokoi w spojrzeniu, więc poszedł; mam dłonie w kieszeniach, nie skłaniam głowy na pożegnanie.

Gonią ludzi za czymś, osiągają czasem i przekonują się, że nie są szczęśliwi, może lepiej z pragnieniem niż z osiągnięciem?

Śmieszna rozmowa z mieszczuchem. Jak to, jestem Polakiem a mieszkam w Berlinie, kto za to płaci? czy jest możliwe, żeby jakiś niemiecki malarz żył i wystawiał w Warszawie? Odpowiadam, że nie znam takiego, ale ja mogę żyć tutaj, bo wygrałem wojnę, tę drugą światową. Nie wiedział kto głupi, kto wariata struga.

Ewa wyszła z domu, bo pokryte sokami lip auto znikło z ulicy. Michael dziś zaczął czuć wyrzuty sumienia; lepiej późno niż wcale. Wszyscy dzisiaj w pół drogi - do nie wiadomo czego.

Zmęczony piję filiżankę kawy. Może pojechać do Rzymu? Gudrun godzi się entuzjastycznie, tam może mieć studia i pracę. Co? ciekawe, tam pono bez liku katolików i komunistów, faszystów i anarchistów, bandytów i księży! moja miła jaśniutka blondynka może być gwiazdą dni i wieczorów, skoro noce rezerwuję dla siebie!

Dziwne, że się postępuję językiem, że spod długopisa lecą szalone literki. Przed rokiem czułem, trzeba pisać - i tak się to nam zdarzyło. Czasu mało, a dla Ciebie zawsze kwadrans albo godziny.

Czwartek piątego notuję przy śniadaniu z Weroniką i Michałem. Zrobiłem dziś rano plakat pożegnalny i powiesiłem w oknie galerii, tak smutno.

Nagłej melancholii nie rozprasza wyznanie kolegi, że w ostatnich latach stał się podejrzliwy i każdego traktuje jako potencjalne

zagrożenie; mówię, że częste wśród samców zwierząt nastawienie - zapładniaj albo zabij. Mieliśmy ciężki rok. Liczę na liczydłach ufności i wychodzi, że dziś lub jutro zwrócę dług, rozliczając go z dawno oddanych mu w komis grafik, których wartość niemal spełnia dług!

Dwaj młodzi ludzie domagali się ceny na 'Autoportret ze słońcem', ale on jest bezcenny, jedyny i nie do sprzedania. List od poety Bernta z tetstem Śri Ramana Maharishi. Zaproszenie Thomasa na ostatnie kawalerskie party; chce mieć z Beatą zdjęcie ślubne przed Kreacją. O czwartej rano chcę spać.

Piątek szóstego lekki ból głowy migotanie w oczach; czy aby na party nie piłem zbyt wiele? Wg. tutejszych zwyczajów przed ślubem pan młody wydaje kawalerskie party, a wtedy tłucze się o drzwi wejściowe kuchenne naczynia; szczątków kupa ogromna, kiedy przyszedłem i talerzyk zbiłem, pół nocy jeszcze rosła wśród okresowych łomotów; szczęścia będzie wiele.

Dużo gości z takiej okazji, rodziny i młodzież, koledzy ze szkoły policyjnej gdzie studiuje Thomas, koleżanki Beatki z kliniki! ja na zasadzie, że malarz mile witany. Ciekawe, poznać tylu młodych i zaprzyjaźnić się z nimi, bo kupę czasu spędziliśmy również w galerii, sprzedałem parę gwiazdnych miniatur z ostatnich tygodni, obrazki maleńkie, więc dla nich dostępne.

Jeszcze dwóch z flaszką wina, żeby pogadać; zwłaszcza Ralph żądny konwersacji, ale mnie po niemiecku nie można do niczego przekonać. Claus ożeniony z Polką jedzie jutro odwiedzić teścia i Oświęcim:

- Żeby zobaczyć, co Niemcy nawyprawiali.

Wspaniała wizyta pani psycholog Ewy ze Stuttgartu; oglądała obrazy godzinę, mówiła zbyt mądrze abym mógł powtórzyć. Wrażenie, że się znamy - nie z życia przecież, ale z głębi esencji, którą możesz nazwać absolutem, bogiem, miłością. Która jest.

Kiedy to ja dzwoniłem do Gudrun, żeby pomówić o Rzymie? dzisiaj rano?

Sobota wieczór w Galerii-cafe z Michaelem, że:

- Człowiek może znaleźć spokojne miejsce w świecie, ale świat nie jest spokojny. - I może wierszyk dla miłej:

*Jestem nie do zniesienia, gdy jestem;
kiedy mnie nie ma, jest czarna dziura.*

*Kiedy mnie nie ma, kiedy
za mną tęsknisz -
popatrz na kwiaty lub drzewa
aż staniesz się wzlotem,
i poznasz, zobaczysz,
staję się gdzieś tam przy pomocy kwiatka,*

rosną jak reszta.

Ósmy czerwca niedziela, obraz został sprzedany za tysiąc trzydziestu przez Gudrun, bo byłem w napięciu z Helmutem; pomylił się fatalnie patrząc na listę cen, chciał kupić także drugi obraz, spojrzął na cenę kartonu pięciokrotnie niższą. Miła złagodziła zadrażnienie, spytała:

- Chcesz sprzedać ten obraz?

- No pewnie!

- Więc wyjdź! - i przyniosła pieniądze w parę minut potem! przecież mówię, że zdolna dziewczyna.

Przyjaciele młodzi Beate i Thomasa przychodzą z winem, studenci są w cywilu, podają kielichy, ale też oswajam z jointem, którym nie częstuję. Volker z Suzanną, Liza i Ewa z Polakami na wakacjach w Berlinie, pan ze śliczną małżonką Adam poeta czy krytyk na rocznym stypendium w Berlinie. Starszy pan z żoną debatuje o zakupie berlińskiego 'Demona'. Dziewczyny przyszły po dwie grafiki. Wielu dyskusoboli!

Oto Gudrun wróciła ze spaceru piękna i świeża z ogromnym bukietem kwiatów:

- Zbierałam je po drodze nie biorąc najpiękniejszych, bo te są dla miejsca, gdzie rosną. Wybierałam te, które do mnie chciały, gdy mówiłam im o podróży ich życia, przeciętne, którym będzie z nami dobrze. Mówiłam każdemu, dlaczego zrywam i dokąd idzie, żeby nas cieszyć obecnością.

Dziś albo jutro jest pełnia księżyca; tyle ich w tym liście.

Tak, dzisiaj pełnia, zaczęła się wcześniej, o szóstej rano odwiozłem Gudrun na lotnisko, odleciała na budowę biblioteki w Bonn, aby zorientować się, co ma na stole kreślarskim i zobaczyć to w terenie. Omal nie spowodowałem wypadku, tak rano nie powinno się mnie wypuszczać z domu, urodziłem się dopiero przed jedenastą.

Wróciła wieczorem bardzo rozkręcona - bowiem budowa, robotnicy, ministerstwo, wystawny obiad w towarzystwie burżujów.

- Jeden z nich był nawet inteligentny, jak na swe stanowisko.

- A my jadamy najtańszą żywność, są nawet tacy, co głodują!

- Nigdy więcej nie pójde na taki obiad, pójde do kantyny, gdzie jedzą robotnicy.

Oto parę jej wykrzykników. Ale mówiła też o pięknej restauracji i wspaniałej obsłudze.

- W takim miejscu chciałabym z tobą jeść obiad! był tam drugi kelner, chłopiec taką z gracją serwował do stołu, że chciałam wykrzyknąć, żeby przestali gadać i patrzyli, jaki on piękny.

Długa opowieść o Bonn i dniu pełnym napięć, ale także o locie ponad chmurami i pięknie zachodu słońca, spacerze oczu wśród chmur. Jest w niej młoda anarchia, gdy mówi o systemie. Gudruneczko biedroneczko w szalonym locie kobieto, to moloch świata robi ludzi niewolnikami innych, a wszyscy jakoś molocha podpierają, ponieważ są ludźmi.

- Nie wszyscy! Wcale nie! - wykrzyknęła dziś w galerii Doris. - Większość ludzi to społeczne zwierzęta, to jeszcze nie ludzie! Czy widzisz, jak się zachowują? jak żyją i myślą? jak żrą swoje padliny i cho-

dzą nie wiedząc, że chodzą? Pod każdą twarzą zwierzę, zwierzątko, łasiczka, wróbelek, albo dla odmiany zepsute automaty

Wolę być malarzem niż dyskutantem. Dzień spędzałem przy pakowaniu płócien, zaniósłem kota do Margarete, pogadałem znowu z osobami, nakarmiłem się jajecznicą z cebulą i papryką.

*Księżyc ma złoty kolor,
a niebo przed zmierzchem
zabarwia się ochrami ziemi.*

*Dzień za dniem patrzę jak oleander
przygotowuje się
i rozkwita do pełni.*

Jego zapach oświeśla mi duszę.

Przy herbacie Beate i Thomas opowiedzieli o podróży kareta do ślubu, potem Michael opowiedział Gudrun dzieje swego życia po niemiecku, więc mało rozumiałem, ale czegoż nie robił! mógłby zostać pisarzem, gdyby doświadczyła go bieda.

Potem kochaliśmy się czule, zasnęła. Rano jedziemy do polskiej misji po wizę dla Gudrun; ciekawe, jaką zobaczymy Polskę.

Jest to noc letnia; po stole łożą zielone koniki i skaczą między zeszytem a bukietem. Wystawa się kończy. Pożegnałem parę nadziei. Tak się składa, że Skylab, który na znaczkach w śmiechu był jako omen wystawy - spada jutro na ziemię. Kto mówi o przypadkach? ten, który nie widzi tła wszechrzeczy. Kto komu się śni?

A spać nie mogę, kociokwik; ach, gdyby wieść trochę normalne życie, nie zaniedbywać niczego. Pokochałem tu wielu ludzi. Ciężko żyć wśród nich, ale pokochałem, i moja miłość w różnoraki sposób jest odwzajemniana! Tymczasem pójdę w wiatr.

Lipowe drzewa szumią w wiersze lipca.

Kochałem tutaj

i byłem kochany.

*Moja droga nieznana, gdyż to ja nią jestem.
Ja - to nieznane,*

*to już jest
w tym wietrze.*

Powolutku ułożył się wierszyk, gdy wracałem znad jeziora. Piję gorące mleko. Widziałem światło w oknach Rotraut, zadzwoniłem pozdrowić. Pisze rodzaj raportu z terapeutycznych doświadczeń ostatnich dwu lat, i praca staje się nadzwyczaj osobista.

Gudrun śpi smacznie, aż pozazdrościć. Boli dłoń, wyskoczył guzek na mym przegubie; to echo wbijanego gwoźdźca? Może pościę.

Minęła pełnia, dzień jedenasty czerwca ma czwartą godzinę, zaczyna świtać, śpiewy ptaków donośne. Wcinam chleb z serem i popijam mlekiem. Rano była polska misja, godzina z Gudrun nad wodą i opowieść o słoniach; kupowanie dla mnie butów, czyli trylogia bez happy endu, jako że grymaśny. Pizza, otwarcie galerii, zakupy włącznie z białym rumem, wieczór i noc w obszernym gronie przyjaciół, niektórych z rodzicami. Przemily list od mamy na deser.

Kaśka kaczką dziwaczka dziwaczy, Zachód zmienia ją w szmatkę do ścierania złudzeń. Popołudniem siedzę pod mym oknem w słońcu. Bardzo miły telefon do Gudrun. Bardzo fajna rozmowa z Michaelem i Christianem. Pięknie kwitną w ogrodzie wielkie żółte bezimienne; podleję te w doniczkach. Wraca już Christian ze sklepu z Coca Colą, śpieszę rum biały do szklaneczek.

W godzinę później sam, dokoła skacze Jacqueline i tańczy, śpiewa piosenkę o Drakuli po słowacku i niemiecku; lubię ją i małych przyjaciół, zjawiają się tu parę razy dziennie. Wskakują przez okno,

budzą ze snu: - Malarzu! trzeba farb, papierów i pędzli! - mam stertę świetnych malunków; każde dziecko to geniusz, a czego potrzebuje geniusz jeśli nie farb i pędzli? I przynoszą prezenty: jabłko, kwiatek, worek drewna na podpałkę.

- Bo będzie kiedyś zima - mówi mały Jürgen może z nadzieją, że się tu zimą zagrzeje.

Na murku siedzi Weronika, macha ręką, lecz nie podchodzi, żeby nie przeszkadzać, gdy piszę.

Noc z czwartku na piątek; wyliczać, co było nie będzie? W galerii słucham Tangerine Dream. Wczorajszy wieczór to tłum gości, alkoholi i haszów; o jedenastej Katja i Heniek mają się ku sobie, więc zostawiam ich w pokoju i jadę do Gudrun; piękna wizyta; ależ ona przepracowana! Jedziemy razem rano, przychodzi popołudniem z pracy, ale nie lubi, że pachnę alkoholem, odjeżdża. Lim po podróży do Polski spowiada się z miłości do Warszawy.

Ważna godzina z Michaelem - dochodzi przecież do płacenia długów. Milczałem parę dni temu gdy przy Christianie przemawiał, że nie policzy mi prądu i czynszu, bo jestem jego gościem. Nie trzeba było nic mówić - w rachunku znalazło się wszystko, nawet dwa czterdzieści dla listonosza za przyniesienie paczuszki z trawą, której dostał garść! Chciał wliczyć farby do malowania galerii, ale zaznaczyłem, że wtedy zażądaj honorarium za malowanie. Dług wynosi dwa i pół tysiąca marek, dokładnie tyle posiadam.

Dzień przepięknie słoneczny, zaróżowiłem się jako świnia, także od wewnątrz. Po moim nosie na autoportrecie chodzi muszka, czy go łaskocze? o, już odleciała.

Rok nasz zmierza do końca w samym środku lata. Doświadczył mnie; milej żyć wiedząc, że także dla Ciebie. Teraz zacznij się dziwnie życie. Kończąc pisać ten tekst; jeszcze parę dni. Sonata jednoroczna na dnie barwne i szare, ruchliwe wątki zdarzeń. Wszystko mija; Twoja obecność towarzyszyła mi w zeszytach na każdej ze stron. A teraz?

Zanurzę się wkrótce w świecie bez słów i bez Ciebie. Nic mnie nie powstrzyma.

Nic się nie zmienia, wiele wyjaśnia, mogę być sam między ludźmi. Nie mógłbym znieść życia, gdybym był tylko człowiekiem!

*Naprzeciw moich obrazów jestem sam
jak wobec świata.*

*Niebo lata jest czyste.
Jutro mnie pod nim nie ma.*

Leżę już w łóżku, niepokój; słoneczniki w ogrodzie rosną kiepsko, mają zbyt wiele cienia; radzą mi, bym uciekał z cienia! Nie jestem szczęśliwy, nie jestem nieszczęśliwy. Nie wyobrażam sobie, że coś mogłoby być lepsze. Niczego mi nie trzeba. A życie trwa jeszcze. Nie darzę bliźnich miłością. Albo prościej: dziś jestem bez miłości.

W popołudnie piątkowe trzynastego fajna wizyta; gość w rzeczywistości to Burga 17-letnia, przyjechała z klasą z Bawarii na tydzień, kocha zwierzęta i naturę; to cud, żeśmy się spotkali, cud, jeśli nie spotkamy się jeszcze; całuje mnie dziewczęco tuląc usta.

Jacqueline przykleiła do okna pożegnalny list pisany dziecinnymi kulfonami.

'Nigdy cię nie zapomnę, życzę ci szczęścia w podróży i nigdy o mnie nie zapomnij'. Dobrze, Jacqueline, nigdy cię nie zapomnę; dostała mały obrazek, po chwili wróciła z domu; mama radzi, żeby dostała większy.

*Śpiew ptaków,
szum deszczu o świecie.
Czy moje zadziwienie
może im towarzyszyć jeszcze
gdy deszcz ucichnie?
teraz?*

Sobota jest świetna! porannie Gudrun umknęła z objęć i pojechała do pracy; Werner i Gunter trują się z projektem do połowy sierpnia, ona chce skończyć prace do końca lipca, żeby me urodziny pierwszego świętować podróżą, jak kocham.

Popołudnie w gronie przyjaciół nie do przeliczenia; Jacqueline przechodzi wprost siebie! tańczy, śpiewa, wspina się na rusztowanie domu i skacze w moje ramiona; poważni goście czują się głupio, że ktoś aż tak mnie kocha! gdy mówi do mnie po słowiańsku, zmienia się jej buzia, staje się dzika i pogańska.

O ósmej pojechałem po Gudrun i przywiozłem ją na obiad wśród rozmów o Katmandu; wczoraj była w galerii para po powrocie z Nepalu, barwni, spokojni, życzliwi.

Teraz jest północ; kurczę się z bólu słuchając dziennika, straszne sprawy świata! Napiję się gorącego mleka. Zdarzają się rzeczy śmieszne, oto szukałem zawzięcie talerza, który dwa dni temu rozbiłem. Klóciliśmy się z Gudrun na niby, błaznując jako dobre małżeństwo, uniosłem go do góry w pozorowanym gniewie, jakbym chciał walnąć o podłogę, a walnąłem o półkę z obrazami nad głową, rozsypał się w białe drzazgi. Dopiero było śmiechu!

Napiłem się gorącego mleka z odrobiną miodu. O świtanu najlepsza godzina do pracy lub medytacji; ludzie śpią, w obszarze nieświadomego spokój; o świecie prawie nikt nie produkuje myśli związanych z walką o byt, przestrzeń istnienia oczyszcza się, kto wstępuje ku różanopalce?

*Pyszny w swej burzy niewysłowionej
światlisty ptak duszy.*

Wróćmy do Przekazu. Moje pomysły sprzed roku upadły. Może były na wyrost? a jednak skierowałeś mnie ku słowom, które piszę. Upada istotność kosmicznej sondy, gdy całe uniwersum przychodzi tu

do mnie, aby się napić mleka z miodem. Nie jestem jakimś aspektem kosmicznego bytu; jestem samym bytem, wszystkim. Nie ma przeprosić ani przecinków, to trzeba podźwignąć.

Pisałem Ci kiedyś, że świat się ogląda moimi oczami, teraz lecę dalej. To wszechświat niepojęty tworzy osoby, przez które swej niepojętości doświadcza. Czy mogę to wyrazić? Osoba jest dla osoby, ma zafajdane życie, jest pozorem. Naprawdę istnieje tylko to wielkie i nieskończone. Popija mleko przez moje usta, czyta przez Twoje oczy, wachluje poranek przy pomocy wiatru i lip alei Zamkowej, zatacza melodyjne kręgi miriadami słońc.

O świtanu jest wiele miejsca, można się przebudzić. Koniecznie, ale to koniecznie trzeba przebudzić się w prawdzie. Bądź uważny, mój Przyjacielu, szanuj każde życie. I natchnij ku prawdzie.

Niedzielne popołudnie podupada lirycznie, jeszcze parę godzin i zabieram obrazy z galerii, w moim pokoju znowu będzie nudno. Grasuje Jacqueline i brat Robert łobuz dzielny; sprąłem mu dupę kłapsami za rozbicie butelki kamieniem, a nie wydał głosu. Cała chmara wrzeszczących bachorów, bawię się z nimi jak z Tobą. Przed bramą Lim mozolnie skrobie szafkę z farby; dostał robotę od Rotraut. W moim życiu nastrój liryczny podkreślany cieniami i blaskami dnia. Zna ją mnie wszyscy, co chwila ktoś podchodzi. Sąsiadka z domu obok, co jeździ wielkim mercedesem i wyprowadza buldoga na spacer - wręczyła mi półtora tysiąca tytułem zaliczki na 'Galaktyczną wioskę'. Za tydzień dopłaci resztę, skoro Kreacja nie do sprzedania.

Wkrótce zacznie się pożegnalne party; znowu to nieskończone uniwersum zaprawi się nieco! Melancholia podkreśla mijanie. Daleka jest ziemia spełnionego życia; być może nie jest z tej ziemi.

Wtorek noc siedemnastego. Obrazy są już u mnie; pracowałem dzień cały. Wieczorem wczoraj Calvados u Michaela z Waldkiem i

dziewczynami, mała whisky u mnie, jego zaproszenie na obiad; elegancka restauracja, wyborne jedzenie; trafił chce, że przy herbacie bo dość na dziś alkoholu, sąsiedni stolik słyszy polską mowę, i trzeba było pić wódki i piwo szemrane z ich życzliwości; alkoholowa to przecież kultura. Odwiózł mnie Waldek do domu, a dzisiaj słyszę nieszczęście: wpadł na kobietę co przechodziła na czerwonych światłach i złamał jej nogę; nie wiem, czy miał ubezpieczenie, wielokrotnie go nań namawiałem; na pewno miał promile!

Jakże chętnie bym pomalował, ale robię się śpiący.

Około nocy jest Gudrun; zepsuł się jej samochód; jadę, pchamy na parking; rano będę próbował naprawiać; po części zapasowe wiozła mnie Reini.

Od paru dni towarzyszy dręczący niedosyt! Mam na myśli pisanie, ten list. Zwłaszcza dziś, gdy widzę, że dzień za dniem wyliczam, czego nie zrobiłem. Czemu służy milion literek zapisanych maczkiem?

Ach, głupio pytam, życie nie ma celu, życie jest. Sztuka nie ma celu, jest lub może być - czystą ekspresją życia. Osobistą przeszłością jest cała ewolucja. Pomyśl, gdy rodziły się gwiazdy, Ty miałeś z nich powstać; gdy formowało się słońce - Tobie miało świecić. Każdy przejaw istnienia pracował na ten moment. Ale:

- Nie wierz mi na jotę - mówię do mojej kobiety - we wszystkim mogę się mylić!

Ładnych rzeczy się dowiaduję od Dietera; znam dobrze dwóch gangsterów; teraz rozumiem, na czym polega ich urok. Tacy eleganccy i zwinni, z pistoletami pod pachą; wiedzą, że są śmiertelni, mogą umrzeć i nie ma strachu. Spacerują naprawdę, śmieją się naprawdę. Znają się na ludziach jak wilki na owcach. Szara na ogół flanela. Twierdzą, bo pochwaliłem się wiedzą o nich, że byłbym równy w ich zawodzie, ale lubimy się bez wspólnoty interesów.

Melos nazywa się poeta, który podarował mi swój tom wierszy 'Perły Chrystusowe'.

Pośrodku alei czekałem na Gudrun i przechodziła Ewa anarchistka, niosąc dwa wielkie błękitne kwiaty, okrągłe kule, jakich nigdy jeszcze nie widziałem.

- Ewo, idę i patrzę, a naprzeciw mnie trzy piękne kwiaty! - wcale nie jest jej śmiesznie, że porównuję ją do kwiatu, kiedy czuje się jak przechodzone gównno.

Odgłosy śmiechów i kroków w alei. Dochodzi trzecia; Gudrun śni o dziecku ze mną.

- Wyjmij to coś, co ci założono - mówię zaglądając jej głęboko w oczy.

- A co wtedy? - pyta ze śmiechem. I naśladując mój głos, dodaje: - Wtedy zobaczymy.

*Płatki kwiatu chryzantemy
prześwietlone blaskiem zachodu,*

*dalej
połówka księżycy widziana przez konary grabu,*

pierwszy nietoperz ciemności.

Kolejna noc, 18 lipca. Dzień dobrych nowin, zwróciłem długi Michaelowi, chociaż nie do końca; odliczyliśmy osiemset za grafiki, które miał w komis, pięćset jeszcze za auto; aby czuć się dziarsko, zostaje tysiąc długu; on dostaje piękny obraz w zastaw. Mruczy pod nosem, jakby za kilometr czy dwa chciał przeproszać, wreszcie wyjaśnia, że bardzo lubi moje obrazy, że się mylił w ocenie, ale zmienił zdanie. Ania ma nic do dodania. Mam dwa i pół tysiąca na przyszłość. A nie mówił mi tata - niech się głupi martwi!

Zbliża się nasze rozstanie, Przyjacielu, ale z innej okazji naczelnie boli głowa; masz na myśli wczorajsze wino?

Lim skrobie mebel w bramie po herbacie ze mną; dziś oddał krew rano, żeby mieć na zakupy; przedsiębiorca, któremu malował pokoje odmawia zapłaty tysiąca, a ponieważ robota była na czarno, nie można podkoczyć. Proponuję zarznąć. Propozycja pomogła kiedyś w

Sztokholmie w podobnej sytuacji z polskim businessmenem.

Waldi zwolniony z policji wyjechał do Polski. Michael najwidoczniej smuci się mym wyjazdem. Christian ledwo chodzi, postanawia rzucić picie i palenie po raz piąty w tym roku. Rotraut uskarża się na jego złośliwość; przedstawiał ją polskiemu towarzystwu jako moją byłą kochankę, jakby nie miała imienia, mówił po polsku zapominając, że Rotraut zna paręnaście języków, a rozumie kilkadziesiąt. Ma żal do niego, i słusznie. Wyjaśniam, że nawet w obecności diabła, mam na myśli Mario, Christian chce być lepszy, lecz w czym można czarta przewyższyć, jeśli nie w diabelskości? Odmawiam interwencji, nie jestem odpowiedzialny za innych, z trudnością za siebie.

Wziąłem wóz Petry, pojechałem do czerwonego Opla na parking, sprawdziłem kable; naprawa trwała minutę, auto na chodzie; na ulicy zobaczyłem Gudrun, dałem jej kluczyki i całusa pod hasłem Katmandu; cieszy się ogromnie, że wylazłem z materialnej kałuży.

Piszę w południe czwartkowe siedząc na ławce w alei przed domem, przemglone słońce i wiatr; noc włóczyłem się po Berlinie, ach, jak przed rokiem w Warszawie! rozmarzona kawa przy stoliku na ulicy, posiłek w grill-barze, piwo w sex-barze. Przejeżdża na rowerze Kiruna, siada przy mnie na chwilę, zaprasza nas dwoje do siebie w Sri Lanka; miasto Dehivala, obszerny dom paręset metrów od oceanu. Przygotowuje się do wyjazdu po wieloletnich studiach w Londynie i Berlinie spędzanych w trudzie nauki i walki o byt; kupił wielki wóz, załaduje doń wszystko, co posiada, czyli wielką bibliotekę książek, za miesiąc rusza w daleką podróż.

- Owszem, widziałem w Europie parę pięknych miejsc, gdzie chciałoby się żyć, ale wiesz, co ojczyzna to ojczyzna!

Chętnie przyznaję rację; wielka chmura przesłania słońce, Karuna odwiedzi mnie w tych dniach z butelką wina. Wiatr jest chłodny, jakby wrześniowy. Był także Ahmed; wciąż dopytuje się o me życie, próbuje orzekać, przepelniony tęsknotą do lepszego życia, innego

świata. Wiesz, ludzie marzą i łakną, a żyją po uszy w łajnie; robią ten świat wcale nie takim, ku jakiemu może się zwracać tęsknota. Intuicja poznawcza, tęsknota - czy nie najlepsza nuta istnienia? Po prawej usiada na ławce starszy pan, przeciera okulary spoglądając w niebo, pochyla się nad gazetą, uważnie czyta artykuł 'Za 50 fenigów do Hiszpanii'.

Na czym polega doświadczenie rzeczywistości? Po pierwsze - na wykształceniu sposobu życia, który doświadczenie umożliwia.

Siedzę tutaj i marzę, wspominam przyjaciół w życiu poznanych i rozproszonych po świecie; wspominam dobre i piękne. Nic mnie z nikim nie łączy, nic mnie od nikogo nie dzieli - weź pod uwagę, i weź to do siebie. Nawet Twoje rewelacje postrzegam dzisiaj z dystansem - kimkolwiek jestem, dzielimy tylko istnienie. We wszechrzeczach nie ma większego znaczenia, czy jestem okiem kosmosu czy głupkiem. Ciągną ciężkie chmury, pozdrawiają sąsiedzi; ich wibracje są ciepłe, przyjazne; nic dziwnego, przecież dla nich żyję, pojmują to w sobie.

Christian kupił sportowe buty; więc moje utyskiwania i krytyki działają? rzuca palenie i picie; chętnie bym mu wina wina fizycznej duchowej odnowy! czy w tym wcieleniu możliwa? ogrodnik wie, że nie prostuje się starego drzewa. Wszystko możliwe! gdyby mógł pojąć siebie i świat w głębi serca, ale w tę stronę nie kieruje spojrzenia, uważa, że serce jest potworne; goni po ślepych torze, ślepnąc z miesiąca na miesiąc. Czy otworzy się wzrok wewnętrzny? jakiej to łaski trzeba, aby się zmienić? Pytanie adresuję również do siebie; znasz mnie! Wziąć za siebie odpowiedzialność - to zasługa bycia człowiekiem.

Popołudniem jest już pochmurno; parzę filiżankę kawy także dla Lima, odpowiadam na pozdrowienia podchodzących do okna.

- Czy wierzysz w boga? - pyta sąsiad barman ciekawski, ten co to narzeka, że nie sprzedałem mu Galaktyki, gdy była wspaniała, a potem zniszczyłem.

Nie, nie wierzę, ale po takiej odpowiedzi szczerzej weźmie mnie za ateistę, a ja tylko nie używam wiary jako drogi życia! On nie zapytał, czy doświadczam boga, nie pojmie, gdy odpowiem twierdząco.

Wiary, przekonania, poglądy, fantazje - to wszystko od rzeczywistości oddziela. On, mój sąsiad, wierzy. Nie, nie doświadcza, a jeśli, to przecież nie boga; pozostaje mistyczny wgląd w zachód słońca raz na stulecie, albo rozdarty światłem przełom czasu w górach.

Wietrze, dobry wietrze, który wzburzasz aleję lipową, przewiej głowę bliźniego, ponieś w przestrzeń jego głupawe architektury rozum, uczyn go pustym, tak proszę! zrób go miejscem na życie przez chwilę, jeden dzień - a będzie to dzień zmartwychwstania.

Czy nie wydaje Ci się, że ludzie po chrześcijańsku i w pełni spełniają przykazanie, że miłują bliźniego jak siebie samego? Siebie nie lubią, wstydzą się, nie szanują - jak mogą kochać innych naprawdę? Ale przecież kochają; kulawo, po trosze, jak można.

Przygotowałem sałatę z pomidorów, oliwek i cebuli, gotuję makaron, do tego okonie w sosie koperkowym! Zasłużony obiad dla takich dwojga, Gudrun przyjdzie z pracy na gotowe. A, dla trojga, wystarczy przecież dla Lima. Jeszcze dziesięć dni do podróży! Myślę o rynsztunku, jakie plecaki, jakie śpiwory będą nam potrzebne, możliwie lekkie, nieduże; ach, myślę oczywiście o Nepalu, Indiach, Sri Lanka - Polskę mamy za 10 dni!

*Chwilo niedoświadczona,
nie ufaj mej beztrosce,
życie obdarzy cię wiedzą,
ciężko będzie ją podjąć.*

*Lato jest w pełni, krągleją owoce,
noc będzie pachnieć
a kobieta kochać.*

A jak Tobie jest, Przyjacielu, w tej chwili? gdzie jesteś, kim jesteś? człowiekiem-osobą czy miejscem na życie? czy szumi w Tobie nieobjęty świat?

Wieczór w pięknej muzyce gitar w radio i szczęku naczyń

zmywanych przez Gudrun; po obiedzie poszliśmy natychmiast na długi spacer do parku, potrzebny jej po dniu pracy w biurze. Wspaniały spacer, chociaż kraina północna. Lato robi się bardzo chłodne; czy sierpień przywróci słońce? zima zmieni się w lato przy pomocy Azji?

Piątek dwudziestego lipca, zaraz po śniadaniu siadam do pisania przy biurku, jest bowiem poczucie braku i niespełnienia. Wieje mocny wiatr. Nie wiem, kim jestem. Nie wiem, co to miłość, moje życie, gwiazda słoneczna nad nami. Wiem tylko, to jest.

Już chyba nie potrafię wyjaśnić Ci niczego więcej. Wartości - te czuję jak czuje mnie wiatr, ten podmuch na policzku. Ty także przeszedłeś w tej książce przemianę. Byłeś ze mną jak ja; jeszcze chwila, a staniesz się zaledwie stylistyczną figurą. Jasno dziś świeci słońce. Wszystko jest jasne. Przed rokiem wzniosła się we mnie fala słów i niosła do jutra.

Jeszcze raz o szczerości? Pytaj, czy nie używam Ciebie, aby się usprawiedliwić z myśli, że życie i sztuka są tym samym. Pytaj, czy kocham. Za nami rok współżycia, okres długi jak miłosny związek. Pytaj, czy zamysł kreuje rzeczywistość. Czy jestem odpowiedzialny za to, co się staje. Nie pytasz? ogolę wariata, popędzę w trawy i drzewa!

Wieczorem Gudrun pojechała do siebie, ja w domu by pisać, chociaż pocałunki zapowiadały miłsze sprawy, niż z Tobą w zeszytcie. Odprowadziłem ją do wozu, gdy Michael otwierał drzwi Ewie; zaprosili do środka i przy słodkim likierze słuchołem gorzkich wyrzutów, jakie sobie serwują; po kłótni postanowili żyć lepiej, a oto. Uczestnictwo w ludzkich rozgrywkach - może to dla Ciebie i kosmitów istotne, ale nie miej złudzeń - wyrzeknę się tego!

Uważaj! mogę wam wyciąć kawał! Kosmici, powiadasz, mają wiele czasu, mogą żyć długo, informacja będzie pojemna. Tu idzie o śmierć; chcę pojąć, co będzie. Umiera ciało mięsne. Umiera ciało astralne. A trzecie ciało, kauzalne, nie umrze? to ono będzie tą kos-

miczną sondą? czyli jakoś to ja polecę, jeszcze ja, nie esencja, bo ta, podejrzewam, jest w każdej galaktyce obecna.

Ależ ja wytnę wam numer! Wiesz, jak brzydę się śmiercią! Ja wcale nie umrę, stanę się nieśmiertelny, lepiej na mnie nie licz! kosmici niech sobie wożą słomę i pomyje!

Owszem, kawa z Christianami; chmury nadciągają; Lim skrobie i dzisiaj; z dziennika radiowego panoszą się po uszach wojny i zgryzoty; osoby są w porządku, do akceptowania, ale te większe organizmy, te państwa i systemy - toż to prymitywne drapieżne ameby! żyją moralnie niżej niż indywidua! Ale ludzie ziemi stają się świadomi, przeczuwamy zupełnie inne życia. Prawda? będziemy się szanowali! będziemy żyć w prawdzie i miłości!

Poszedłem do galerii K; miłe powitanie, dobra wystawa, ale interes się likwiduje, żadnej tu przyszłości. Chodziłem ulicami, wstąpiłem do burdelu na chwilę teraźniejszości; podniecające piwo, nic więcej. Po drodze zakupy na podróż, drobne prezenty dla dzieci. W domu na stole karteczka od Gudrun - to pół roku od pierwszego spotkania / kochania! wróci późno, praca nad projektem dobiega dziś końca.

Beate i Thomas, którym zrobiłem piękne zdjęcie ślubne przed Krecją, i Sabine z herbatą; ona świeża, pachnąca, rumiana, ale nie ma jak nadgryźć!

- Pozwól mi się przynajmniej powąchać - mówię, śmiejemy się wszyscy.

Niedziela dwudziesty drugi, jest bardzo chłodno i wietrznie, jak przed rokiem. Krąg się dopełnił. Jeden słoń więcej na drzewie a drzewo to samo. Czy może się zmienić?

Pora się nam rozstać, Przyjacielu. Żadnych ceregieli! chciałbym coś jeszcze powiedzieć?

To będzie inne życie. Bez Ciebie przy mnie, czyli bez zeszytu - będę lżejszy w drodze! Poznałeś mnie w tym roku, prawda? nie potrzebujesz zapewnień, że będę żył pracowicie, otwarcie, nie zagubię się w świecie. Że odnajdę się wszędzie.

Dobranoc na zawsze!